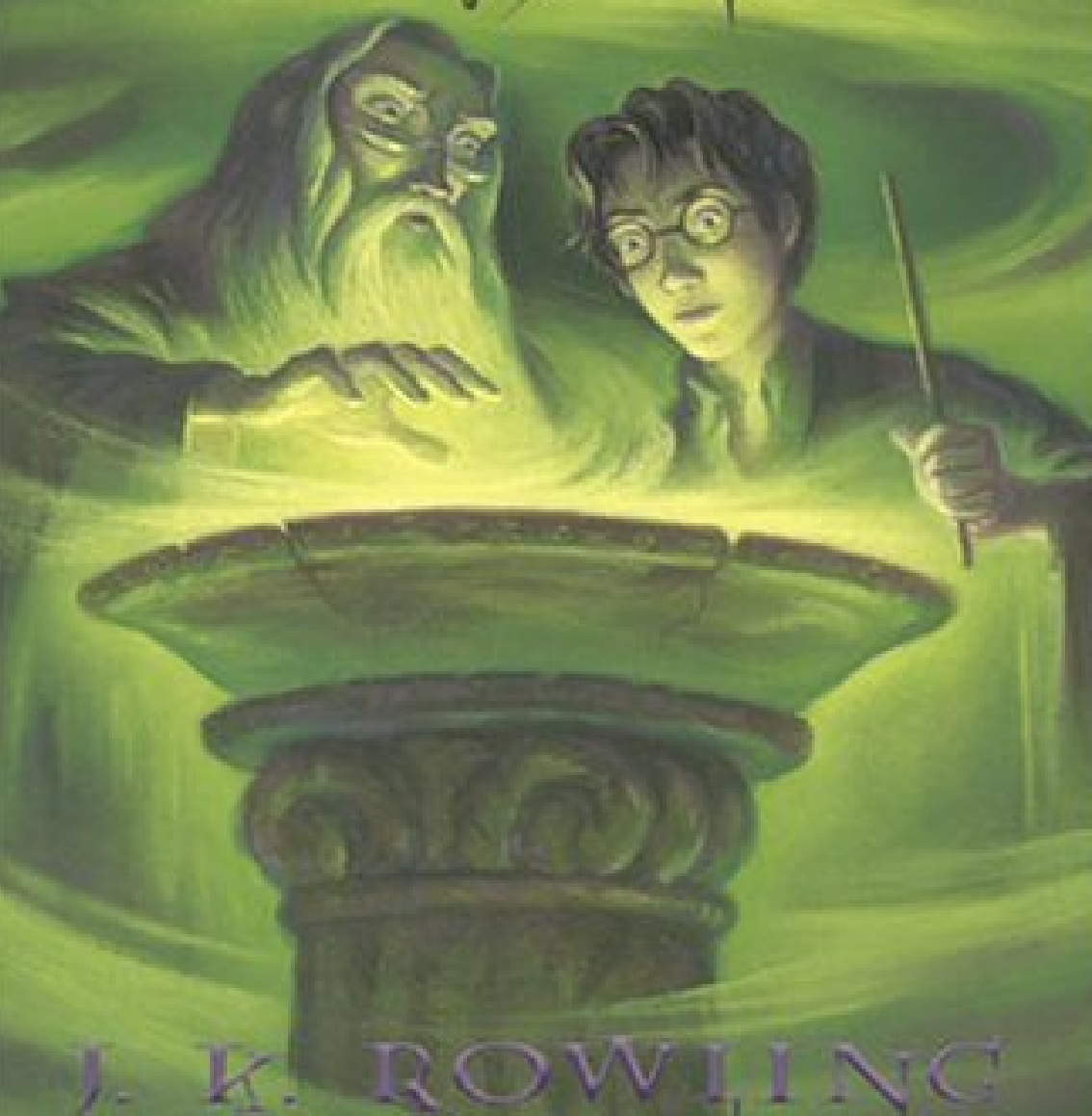


Harry Potter

and the Half-Blood Prince



J. K. ROWLING

Harry Potter™

i PÓŁKRWI KSIĄŻĘ



Ilustrowała
MARY GRANDPRÉ

Tłumaczyła
Armia Świstaka

Korekta
Susie, Toroj i Woyz

Zcaalock

This story is based on Harry Potter and the Half-Blood Prince. Copyright © 2005 by J.K.Rowling
It should be treated as FanFiction. Any similarity to the original is a coincidence.
Owner of the server or account takes no responsibility for the context of this page.

Ludziom dla których pieniądze
nie są najważniejsze oraz
wszystkim fanom Harrego Pottera



Tamten minister

Zbliżała się północ, a Premier siedział sam w swoim biurze czytając długą notę, która przelatywała przez jego mózg nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu zrozumienia. Czekał na telefon od prezydenta dalekiego kraju i poza zastanawianiem się, kiedy ten nieszczęsny człowiek zadzwoni i próbami zagłuszenia nieprzyjemnych wspomnień z całego bardzo długiego, męczącego i ciężkiego tygodnia, w jego głowie nie było już miejsca na nic więcej. Im bardziej próbował się skupić na tekście widniejącym na stronie, tym wyraźniej widział triumfującą twarz jednego ze swoich politycznych przeciwników. Ten właśnie pojawił się w wiadomościach tego dnia, nie tylko wyliczając wszystkie te potworne rzeczy, które wydarzyły się w mijającym tygodniu (tak, jakby komukolwiek trzeba było o nich przypominać), ale również wyjaśniając dlaczego każda z nich była winą rządu. Puls Premiera przyspieszył na myśl o tych oskarżeniach, jako że nie

były ani uczciwe, ani prawdziwe. Bo niby jak jego rząd miał zapobiec zawaleniu się tego mostu? Oburzającym byłoby stwierdzenie, że nie wykładają dość pieniędzy na mosty. Ten, który się zawalił, miał niecałe dziesięć lat i najlepsi eksperci nie potrafili wyjaśnić, dlaczego przelamał się na dwie części, posyłając tuzin samochodów w głąbiny rzeki płynącej poniżej. I jak ktoś śmiało sugerować, że to brak policjantów spowodował te dwa wyjątkowo paskudne i mocno nagłośnione morderstwa? Albo to, że rząd powinien był w jakiś sposób przewidzieć ten dziwny huragan w West Country, który spowodował tyle zniszczeń wśród ludzi i ich własności? I czy to jego winą był fakt, że jeden z jego wiceministrów, Herbert Chorley, akurat w tym tygodniu zaczął zachowywać się tak dziwacznie, że trzeba go było wysłać na przymusowy urlop?

- Ponury nastrój ogarnął kraj - podsumował jego przeciwnik, niemal nie kryjąc szerokiego uśmiechu.

I to niestety była prawda. Premier sam to czuł. Ludzie naprawdę wydawali się bardziej nieszczęśliwi niż zwykle. Nawet pogoda była ponura - cała ta przenikliwie chłodna mgła w połowie lipca... To nie było w porządku, to nie było normalne...

Odwrócił notę na drugą stronę, spojrzął na jej długość i zrezygnował z niej stwierdzając, że jest kiepska. Wyciągając ramiona nad głowę rozejrzał się posępnie po swoim biurze. Był to obszerny pokój, z ładnym marmurowym kominkiem, zwróconym ku długim oknom, zamkniętym szczelnie, aby chroniły przed przedwczesnym chłodem. Z lekkim drżeniem Premier wstał i podszedł do okien przyglądając się rzadkiej mgłę napierającej na szyby. I kiedy tak stał, tyłem do pokoju, usłyszał ciche kasznięcie za sobą.

Zamarł twarzą w twarz z własnym wystraszonym odbiciem w ciemnym szkle. Znał ten kaszel. Słyszał go już wcześniej. Bardzo powoli odwrócił się ku pustemu gabinetowi.

- Halo? - powiedział starając się, by zabrzmiało do odważniej, niż czuł się w tej chwili.

Przez krótką chwilę pozwolił sobie uwierzyć, że nikt

nie odpowie. Jednak głos odpowiedział natychmiast - zdecydowany, stanowczy głos, który brzmiał jakby odczytywał przygotowane oświadczenie. Dobiegał - jak Premier wiedział od pierwszego kaszlnięcia - od strony małego, przypominającego żabę człowieka ze srebrną peruką, namalowanego na małym i zabrudzonym obrazie olejnym wiszącym w odległym kącie pokoju.

- Do Premiera Mugoli. Konieczne pilne spotkanie. Proszę o natychmiastową odpowiedź. Pozdrawiam. Knot. - Człowiek na obrazie patrzył wyczekująco na Premiera.

- Eee - odparł Premier - słuchaj, to nie jest najlepsza pora dla mnie... Widzisz, czekam na telefon, od prezydenta...

- To się da załatwić - odpowiedział natychmiast portret. Serce Premiera zamarło. Tego właśnie się obawiał.

- Ale ja naprawdę miałem nadzieję, że uda mi się z nim porozmawiać...

- Możemy sprawić, by prezydent zapomniał o tym, że miał zadzwonić. Zamiast dziś, zatelefonuje jutro wieczorem - powiedział mały człowieczek. - Proszę pilnie odpowiedzieć panu Knotowi.

- Ja... ech... no dobrze - odparł słabo Premier. - Tak, zobaczę się z Knotem.

Pospieszył z powrotem w kierunku biurka, poprawiając po drodze krawat. Ledwie zdążył usiąść na swoim miejscu i przyjąć, jak miał nadzieję, odprężony i niezmacony niczym wyraz twarzy, kiedy na pustym ruszcie pod marmurowym gzymsem kominka pojawiły się jasnozielone płomienie. Patrzył, próbując nie zdradzać oznak zdziwienia i niepokoju, jak pośród płomieni pojawia się, wirujący niczym bąk, korpulentny mężczyzna. Kilka sekund później wygramolił się na ładny, zabytkowy dywanik, otrzepując popiół z rękawów długiego, prążkowanego płaszcza. W ręku trzymał limonkowozielony melonik.

- Ach... Premier - odezwał się Korneliusz Knot, ruszając naprzód z wyciągniętą dłonią. - Miło znów pana widzieć.

Premier nie mógł szczerze odpowiedzieć takim samym powitaniem, więc nie odezwał się w ogóle. Ani trochę nie był zachwycony tym, że widzi Knota, którego sporadyczne pojawienia się, poza tym, że same w sobie były niepokojące, zwykle oznaczały, że za chwilę usłyszy jakieś bardzo złe wieści. Co więcej, Knot wyglądał na wyraźnie przygnębionego. Był chudszy, bardziej лыsy i jakby poszarzały, a na jego twarzy odbijało się zmęczenie. Premier widział już tak wyglądających polityków i to nigdy nie wróżyło niczego dobrego.

- Czym mogę panu służyć? - spytał krótko ściskając dłoń Knota i wskazując w kierunku najtwardszego z krzeseł stojących przed biurkiem.

- Ciężko stwierdzić, od czego zacząć - wymamrotał Knot, przyciągając ku sobie krzesło, siadając i kładąc swój zielony melonik na kolanach. - Co za tydzień, co za tydzień...

- Też miał pan kiepski, co? - spytał Premier sztywno mając nadzieję, że dał tym do zrozumienia, iż miał na głowie wystarczająco dużo, bez dodatkowej pomocy ze strony Knota.

- Ależ tak, oczywiście - odpowiedział Knot przecierając oczy ze zmęczeniem i przyglądając się Premierowi. - Miałem taki sam tydzień, jak pan, panie Premierze. Most Brockdale... morderstwa Bones i Vance... nie wspominając o zamieszaniu w West Country...

- Pan... eee... pana... to znaczy, chciałem powiedzieć, pana ludzie byli... zamieszani w te... w te wydarzenia, prawda?

Knot zmierzył Premiera surowym wzrokiem.

- Oczywiście że byli - odparł. - Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, co się dzieje?

- Ja... - zawahał się Premier.

To właśnie ten rodzaj zachowania sprawiał, że tak nie lubił wizyt Knota. W końcu, co by nie mówić, był Premierem i nie podobało mu się, gdy ktoś sprawiał, że czuł się jak jakiś ciemny uczeń. Ale oczywiście tak było od pierwszego spotkania z Knotem, które miało

miejsce pierwszego wieczoru po tym, jak został Premierem. Pamiętał to tak dokładnie, jakby wydarzyło się wczoraj i wiedział, że będzie go to prześladować do końca jego dni.

Stał wtedy sam, w tym samym gabinecie, rozkoszując się triumfem, który osiągnął po tylu latach marzeń i planów, kiedy usłyszał kasznięcie za plecami, dokładnie tak jak dziś. Odwrócił się, by usłyszeć, jak brzydki mały portret przemawia do niego, oznajmiając że przybędzie Minister Magii, aby się przedstawić.

Naturalnie przyszło mu na myśl, że długa kampania i stres spowodowany wyborami sprawiły, że oszalał. Był kompletnie przerażony słysząc gadający portret, ale to było nic w porównaniu z tym, co czuł, gdy ten nazywający siebie czarodziejem człowiek wyskoczył z kominka i uściśnął mu dłoń. Nie odezwał się ani słowem, w czasie gdy Knot objaśniał mu uprzejmie, że na świecie nadal żyją w ukryciu czarodzieje i czarownice oraz zapewniał, że nie musi sobie zawracać nimi głowy, jako że Ministerstwo Magii bierze na siebie całą odpowiedzialność za czarodziejską społeczność jak również to, by niemagiczni obywatele nie zwietrzyli ich istnienia. Było to, jak mówił Knot, trudne zadanie, obejmujące wszystko od przepisów dotyczących odpowiedzialnego używania mioteł, po utrzymywanie pod kontrolą populacji smoków (Premier pamiętał, jak przytrzymał się biurka w tym momencie). Następnie Knot, w ojcowski sposób, poklepał wciąż oniemiałego Premiera po ramieniu.

- Nie ma się czym martwić - powiedział. - Jest szansa, że już mnie pan więcej nie zobaczy. Pojawię się jedynie wtedy, gdy coś naprawdę poważnego wydarzy się po naszej stronie, coś, co może mieć wpływ na Mugoli - to znaczy niemagiczną ludność, chciałem powiedzieć. W przeciwnym razie obowiązuje zasada "żyj i daj żyć". I muszę przyznać, że znosi to pan o wiele lepiej niż pański poprzednik. On próbował wyrzucić mnie przez okno, myśląc, że to jakiś żart zaplanowany przez jego opozycję.

Słyszając to, Premier w końcu odnalazł głos.

- Więc... więc nie jest to żart?

To była jego ostatnia, rozpaczliwa nadzieja.

- Nie - odparł łagodnie Knot. - Obawiam się, że nie. Proszę spojrzeć.

I zamienił filiżankę do herbaty w myszokoczka.

- Ale - wykrztusił Premier obserwując jak jego filiżanka przeżuwa róg jego następnego przemówienia - ale dlaczego... dlaczego nikt mi nie powiedział...?

- Minister Magii odkrywa się jedynie przed tym, kto na dzień obecny jest Premierem Mugoli - wyjaśnił Knot wtykając swoją różdżkę z powrotem do marynarki.

- Uważamy, że to najlepszy sposób na zachowanie tajemnicy.

- Ale w takim razie - bąknął Premier - dlaczego poprzedni Premier mnie nie ostrzegł...?

Słyszac to Knot roześmiał się.

- Drogi panie Premierze, a czy pan ma zamiar kiedykolwiek powiedzieć komuś o tym?

I nadal śmiejąc się głośno, Knot wrzucił do kominka jakiś proszek, wstąpił w szmaragdowe płomienie i zniknął przy wtórze świstu. Premier stał w bezruchu i zdał sobie sprawę, że nigdy jak żyje, nie odważy się wspomnieć żywej duszy o tym spotkaniu. Bo kto na całym świecie by mu uwierzył?

Trochę czasu upłynęło nim szok minął. Przez pewien czas próbował przekonywać siebie samego, że Knot faktycznie był jedynie przywidzeniem spowodowanym brakiem snu podczas wyczerpującej kampanii wyborczej. W daremnej próbie pozbycia się wszystkiego, co przypominało mu o tym niepokojącym spotkaniu, oddał myszokoczka swojej zachwyconej bratanicy i wydał polecenie swojemu osobistemu sekretarzowi, by ten zdjął ze ściany portret brzydkiego małego człowieczka, który zapowiedział przybycie Knota. Jednak ku konsternacji Premiera, usunięcie portretu okazało się niemożliwe. Po tym jak kilkoro stolarzy, jeden czy dwóch robotników budowlanych, historyk sztuki i Kanclerz Majątku bezskutecznie próbowali zdjąć go ze ściany, Premier zrezygnował z dalszych prób i postanowił mieć nadzieję, że ów

portret pozostanie w ciszy i bezruchu do końca jego kadencji. Mógł jednak przysiąc, że od czasu do czasu kątem oka widział, jak osobnik na portrecie ziewa, czy drapie się po nosie. Raz czy dwa razy nawet wyszedł z ram, pozostawiając po sobie jedynie fragment ziemistobrazowego płótna. Premier nauczył się jednak nie spoglądać zbyt często na obraz i zawsze, gdy takie rzeczy się działy, wmawiać sobie uparcie, że to tylko jego oczy sprawiają mu psikusa.

Później, trzy lata temu, podczas nocy bardzo podobnej do dzisiejszej, Premier był sam w swoim gabinecie, kiedy portret raz jeszcze oznajmił zbliżające się przybycie Knota. Mocno wystraszony czarodziej wyprysnął z kominka cały przemoknięty.

- Właśnie wracam z Azkabanu - wysapał Knot zlewając sporą ilość wody z ronda swojego melonika wprost do kieszeni. - Pośrodku Morza Północnego, wie pan, paskudny lot... Wśród dementorów panuje chaos... - jego ciałem wstrząsnął dreszcz. - Jeszcze nigdy dotąd nikt im nie uciekł. W każdym razie, przybyłem do pana, panie Premierze. Black jest znanym mordercą Mugoli i może planować przyłączenie się do Sam-Pan-Wie-Kogo... Ale oczywiście, pan nawet nie wie, kto to Sam-Pan-Wie-Kto! - Wpatrywał się przez chwilę w Premiera, po czym powiedział - no cóż, proszę spocząć, proszę spocząć, będzie lepiej, jak pana w to wprowadzę... Proszę się poczęstować whisky...

Premier poczuł się raczej urażony, gdy w jego własnym gabinecie kazano mu usiąść i poczęstowano go jego własną whisky, ale mimo to usiadł. Knot wyciągnął swoją różdżkę, wyczarował znikąd dwie szklanki pełne bursztynowego napoju, posłał jedną z nich w kierunku Premiera i przysunął sobie krzesło.

Knot opowiadał przez ponad godzinę. W pewnym momencie odmówił wypowiedzenia na głos imienia i zamiast tego zapisał je na kawałku pergaminu, który wcisnął Premierowi w dłoń. Kiedy wreszcie Knot podniósł się, by opuścić gabinet, Premier wstał wraz z nim.

- Więc myśli pan, że... - zerknął w dół na imię wypisane trzymanej w lewej ręce kartce - Lord Vol...

- Ten, Którego Imienia Się Nie Wypowiada! - warknął Knot.

- Proszę wybaczyć... Zatem myśli pan, że Ten, Którego Imienia Się Nie Wypowiada nadal żyje?

- No cóż, Dumbledore uważa, że tak - odparł Knot zapinając pod szyją swoją pasiastą pelerynę - Ale nigdy go nie znaleźliśmy. Jeśli chce pan znać moją opinię, nie jest groźny, póki jest sam, tak więc to Blackiem powinniśmy się martwić. Ogłosi pan zatem to ostrzeżenie? Wspaniale. Cóż, mam nadzieję, że już się nie zobaczymy, panie Premierze! Dobranoc.

Jednak spotkali się ponownie. Niecały rok później, wyglądający na udreżonego Knot pojawił się znikąd w gabinecie, by oznajmić Premierowi, że podczas Mistrzostwach Świata w kwidliczu (czy czymś, co brzmiało w ten sposób) miały miejsce niewielkie kłopoty, i że kilkoro Mugoli miało w tym "udział", ale sam Premier ma się nie przejmować, bo fakt, że widziano znak Sam-Pan-Wie-Kogo jeszcze niczego nie oznacza. Knot był przekonany, że był to odosobniony incydent i Biuro do Spraw Kontaktów z Mugolami już zajmowało się wszystkimi koniecznymi modyfikacjami pamięci.

- Och zapomniałbym! - dodał Knot. - Importujemy trzy zagraniczne smoki i sfinksa, które będą nam potrzebne podczas Turnieju Trójmagicznego. Zwykle rutynowe działania, ale z Departamentu Przepisów i Kontroli Magicznych Stworzeń przekazano mi, że zgodnie z ogólnymi wyznacznikami, mamy obowiązek powiadomić pana w przypadku, gdy przywozimy do kraju wyjątkowo niebezpieczne stworzenia.

- Ja... że co.... smoki? - wycharczał Premier.

- Tak, trzy - odparł Knot. - I sfinks. No nic, do widzenia panu. Premier liczył, że smoki i sfinksy to najgorsze, co mogło się wydarzyć, ale się przeliczył. Niecałe dwa lata później, Knot po raz kolejny wyskoczył z ognia, tym razem przynosząc wieści o masowej ucieczce z Azkabanu.

- Masowa ucieczka? - powtórzył ochryple Premier.
- Ależ proszę się nie martwić, proszę się nie martwić! - wykrzykiwał Knot, jedną stopą będąc z powrotem w płomieniach. - Złapiemy ich wszystkich błyskawicznie... po prostu pomyślałem, że powinien pan wiedzieć!

I zanim Premier zdołał krzyknąć - Chwila! Proszę zaczekać! - Knot zniknął w deszczu zielonych iskier.

Cokolwiek by opozycja i prasa nie mówiły, Premier nie był głupim człowiekiem. Nie uciekło jego uwadze ani to, że pomimo zapewnień Knota, podczas ich pierwszego spotkania, widywali się raczej stosunkowo często, ani to, że przy każdej kolejnej wizycie Knot wydawał się być coraz bardziej wytracony z równowagi. I o ile nie lubił myśleć o Ministrze Magii (lub, jak zawsze nazywał Knota w myślach, o tamtym ministrze), Premier nie mógł się oprzeć obawom, że kiedy Knot pojawi się następnym razem, przyniesie ze sobą jeszcze bardziej ponure wieści. Dlatego też widok Knota wylaniającego się po raz kolejny z ognia, wyglądającego niechlujnie i zaskoczonego, że Premier nie wiedział dokładnie czemu się zjawia, był chyba najgorszą rzeczą, która wydarzyła się podczas tego wyjątkowo ponurego tygodnia.

- Niby skąd mam wiedzieć, co dzieje się w... eee... czarodziejskiej społeczności? - spytał Premier ostrym tonem. - Mam tu kraj na głowie i wystarczająco wiele zmartwień w tej chwili i bez...

- To samo i nas martwi - przerwał Knot. - Most Brockdale nie zawalił się sam. Ten huragan, to nie był naprawdę huragan. Te morderstwa nie były dziełem Mugoli. A rodzina Herberta Chorleya byłaby bezpieczniejsza bez niego. Podejmujemy właśnie działania mające na celu przetransportowanie go do Szpitala Magicznych Dolegliwości i Zranień imienia Świętego Munga. Powinno się to odbyć już dziś.

- Co pan... Obawiam się, że... Co? - zawył Premier.

Knot wziął obszerny, głęboki wdech i powiedział: - Panie Premierze, jest mi niezmiernie przykro oznajmić panu, że on powrócił.

Ten, Którego Imienia Się Nie Wypowiada.

- Powrócił? Kiedy mówi pan, że powrócił... znaczy się, on żyje?

Premier sięgnął pamięcią ku szczegółom tej przerażającej rozmowy sprzed trzech lat, kiedy Knot opowiedział mu o czarodzieju, którego obawiano się ponad wszystko inne, czarodzieju, który dokonał tysiąca potwornych przestępstw, zanim znikł tajemniczo przed piętnastoma laty.

- Tak, żyje - odpowiedział Knot. - To znaczy... nie wiem... czy człowieka można nazwać żywym, jeśli nie można go zabić? Ja sam nie bardzo to rozumiem, a Dumbledore nie chce tego dokładnie wytłumaczyć. W każdym razie odzyskał ciało, chodzi, mówi, zabija, więc przyjmijmy, na potrzeby tej rozmowy, że tak, żyje. Premier nie wiedział, co odpowiedzieć, ale uporczywy nawyk chęci bycia "dobrze poinformowanym" na każdy temat sprawił, że sięgnął do szczegółów, które zdołał zapamiętać z poprzednich rozmów.

- Czy Świrus Black jest z... eee... Tym, Którego Imienia Się Nie Wypowiada?

- Black? Black? - spytał Knot z roztargnieniem, obracając melonik w rękach. - Ma pan na myśli Syriusza Black? Na brodę Merlina, nie. Black nie żyje. Okazało się, że, hmm, byliśmy w błędzie, jeśli chodzi o niego. Wyszło na jaw, że był niewinny. I że nie stał po stronie Tego, Którego Imienia Się Nie Wypowiada. To znaczy - dodał usprawiedliwiająco, kręcąc melonikiem jeszcze szybciej - wszystkie dowody wskazywały na to... mieliśmy ponad pięćdziesięcioro naocznych świadków... W każdym razie, tak jak powiedziałem, on nie żyje. Został zamordowany, jeśli już o tym mówimy. Na terenie Ministerstwa Magii. Właściwie, to będzie prowadzone śledztwo w tej sprawie.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, Premier poczuł w tym momencie przyływ litości dla Knota. Jednak niemal natychmiast został on przyćmiony przez błysk samozadowolenia na myśl o tym, że chociaż on sam nie potrafił materializować się z kominków, to podczas jego rządów nigdy nie zostało popełnione morderstwo

w rządowych departamentach. W każdym razie, nigdy do tej pory.

Podczas gdy Premier ukradkiem dotknął drewna swojego biurka, Knot kontynuował - Ale Black nie jest teraz najważniejszy. Rzecz w tym, że mamy wojnę, panie Premierze, i należy podjąć pewne kroki.

- Wojnę? - powtórzył nerwowo Premier. - Z pewnością nie jest to nieco przesadzone określenie?

- Do Tego, Którego Imienia Się Nie Wypowiada dołączyli już ci jego zwolennicy, którzy uciekli w styczniu z Azkabanu - Knot mówił, a melonik wirował w jego dłoniach tak szybko, że wyglądał jak niewyraźna, limonkowitzelona plama. - Odkąd przestali się ukrywać się spustoszenia. Most Brockdale... on to zrobił, panie Premierze.

Zagroził masowym zabiciem Mugoli, jeśli nie dołączę do niego i...

- Dobry Boże, więc to pana wina, że ci ludzie zginęli, a ja muszę odpowiadać na pytania o przestarzałe wsporniki, przedziewałe łączenia i nie wiadomo co jeszcze! - w głosie Premiera słychać było wściekłość.

- Moja wina! - spytał Knot nabierając kolorów. - Czy pan sugeruje, że osobiście ugiąłby się przed takim szantażem?

- Być może nie - odparł Premier wstając i przechodząc się po gabinecie - ale dołożyłbym wszelkich starań, by złapać szantażystę, zanim popelni taką potworność!

- Czy panu naprawdę się wydaje, że się nie podjąłem odpowiednich kroków? - spytał gorączkowo Knot.

- Każdy auror w Ministerstwie starał się, ba, cały czas się stara, odnaleźć go i otoczyć jego zwolenników, ale tak się składa, że mówimy o jednym z najpotężniejszych czarnoksiężników wszechczasów. Czarodzieju, który skutecznie unikał schwymania przez niemal trzy dekady!

- Przypuszczam więc, że powie mi pan, iż to również on spowodował ten huragan w West Country? - spytał Premier, a jego gniew wzrastał z każdą chwilą. Doprowadzał go do szalu fakt, że poznał powód wszystkich tych potwornych katastrof i nie mógł go

ogłosić publicznie. Było to niemal gorsze, niż dowiedzieć się, że była to jednak wina rządu.

- To nie był huragan - stwierdził żałośnie Knot.

- Że co! - warknął Premier, tupiąc przy każdym kroku.

- Powyrywane drzewa, zerwane dachy, powykrzywiane latarnie, potworne obrażenia...

- To byli śmierciożercy - odpowiedział Knot.

- Zwolennicy Tego, Którego Imienia Się Nie Wypowiada. I... podejrzewamy, że brał w tym udział olbrzym.

Premier zatrzymał się w miejscu zupełnie tak, jakby uderzył w niewidzialny mur. - Udział czego?

Knot skrzywił się. - On korzysta z olbrzymów za każdym razem, kiedy chce uzyskać lepszy efekt - wyjaśnił. - Biuro Dezinformacji pracuje na okrągło, mamy zespoły Zapominaczy, próbujących modyfikować wspomnienia wszystkich Mugoli, którzy widzieli, co naprawdę się wydarzyło. Mamy większość Departamentu Przepisów i Kontroli Magicznych Stworzeń, krążących po Somerset, ale nie potrafimy odnaleźć olbrzyma... to katastrofa.

- Nawet o tym nie mów! - wrzasnął z furią Premier.

- Nie będę zaprzeczał, że morale w Ministerstwie jest dość niskie - powiedział Knot. - Najpierw to wszystko, a do tego strata Amelii Bones.

- Strata kogo?

- Amelii Bones. Szefowej Departamentu Egzekwowania Magicznego Prawa. Przypuszczamy, że Ten, Którego Imienia Się Nie Wypowiada zabił ją osobiście, bo była bardzo uzdolnioną czarownicą i wszelkie dowody wskazują, że rozpoczęła się prawdziwa walka.

Knot odchrząknął i, najwyraźniej z wysiłkiem, przestał obracać swój melonik.

- Ale o tym morderstwie pisano w gazetach - odezwał się Premier na chwilę zapominając o złości. - W naszych gazetach. Amelia Bones... napisano tylko, że była kobietą w średnim wieku, która mieszkała sama. To było... paskudne zabójstwo, nieprawdaż? Sprawa nabrała dużego rozgłosu. Widzi pan, policja nie wie co myśleć.

Knot westchnął.

- Cóż, oczywiście, że nie wiedzą - powiedział. - Zabita w pokoju zamkniętym od środka, prawda? My jednak wiemy dokładnie, kto tego dokonał. Nie, żeby zbliżało nas to do schwytania go. No i Emmeline Vance, być może o niej pan nie słyszał...

- O tak, słyszałem! - zaprzeczył Premier. - W gruncie rzeczy, miało to miejsce tuż za rogiem. Gazety powyżywały się wtedy... "Złamanie prawa i porządku publicznego na podwórku Premiera..."

- I jakby tego wszystkiego było mało - kontynuował Knot, prawie nie słuchając Premiera - mamy jeszcze dementorów dosłownie wszędzie, atakujących ludzi na prawo i lewo.

Za dawnych, bardziej szczęśliwych czasów, to zdanie byłoby dla Premiera niezrozumiałe, ale teraz był mądrzejszy.

- Wydawało mi się, że dementorzy pilnują więźniów w Azkabanie - spytał ostrożnie.

- Pilnowali - odparł słabo Knot. - Ale już nie pilnują. Opuścili więzienie i dołączyli do Sam-Pan-Wie-Kogo. Nie będę udawał, że nie był to dla nas cios.

- Ale - zaczął Premier, czując narastające przerażenie

- czy nie mówił mi pan, że to stworzenia, które wysysają nadzieje i szczęście z ludzi?

- To prawda. I rozmnażają się. To właśnie powoduje całą tę mgłę.

Kolana Premiera ugięły się pod nim i opadł na najbliższe krzesło. Myśl o niewidzialnych istotach przemierzających miasta i wsie, rozsiewających rozpacz wśród jego wyborców sprawiła, że poczuł się bardzo słabo.

- Widzi pan, Knot, musi pan coś z tym zrobić! To na panu spoczywa odpowiedzialność, jako na Ministrze Magii!

- Drogi panie Premierze, chyba nie myśli pan szczerze, że po tym wszystkim nadal jestem Ministrem Magii? Zostałem zwolniony trzy dni temu! Cała czarodziejska społeczność domagała się od dwóch tygodni mojej rezygnacji. Podczas swoich rządów nigdy nie widziałem

ich tak zjednoczonych! - odpowiedział Knot śmiało, jednocześnie próbując się uśmiechnąć.

Premierowi na chwilę zabrakło słów. Pomimo oburzenia na sytuację, w jakiej został postawiony, zrobiło mu się żal skurczonego człowieka, który siedział naprzeciw niego.

- Jest mi niezmiernie przykro - odezwał się w końcu.

- Czy jest coś, co mógłbym zrobić?

- To bardzo miłe z pana strony, panie Premierze, ale nie jest pan w stanie nic zrobić. Zostałem tu dziś wysłany, by wprowadzić pana w ostatnie wydarzenia i przedstawić mojemu następcy. Myślałem, że do chwili obecnej już się tu zjawi, jednak oczywiście jest on bardzo zajęty w tej chwili, ma tyle spraw na głowie.

Knot obejrzał się w tył, zerkając na portret brzydkiego człowieczka z długą, kędzierzawą, siwą peruką, który dłużył sobie właśnie w uchu końcem pióra.

- Będzie tu za chwilę, tylko skończy list do Dumbledore'a - odezwał się portret zauważając spojrzenie Knota.

- Życzę mu powodzenia - rzekł Knot. Pierwszy raz jego głos brzmiał bardziej gorzko. - Pisałem do Dumbledore'a dwa razy dziennie, przez ostatnie dwa tygodnie, ale on się nie ruszy. Gdyby tylko był gotów przekonać chłopca, może nadal byłbym... Cóż, może Scrimgeourowi uda się coś osiągnąć.

Knot ucichł, najwyraźniej czując się poszkodowanym, ale ciszę niemal natychmiast przerwał portret, który nagle przemówił swoim szorstkim, oficjalnym głosem.

- Do Premiera Mugoli. Prośba o spotkanie. Pilne. Proszę odpowiedzieć natychmiast. Rufus Scrimgeour, Minister Magii.

- Tak, tak, jasne - odparł Premier rozkojarzonym głosem i ledwie zdążył się wzdrygnąć, gdy płomienie w kominku ponownie zmieniły kolor na szmaragdowy, wznosząc się, odsłaniając w swym sercu drugiego wirującego czarodzieja i wypływając go chwilę później na staroświecki dywanik.

Knot podniósł się z miejsca i, po chwili zawahania, Premier uczynił to samo obserwując jak nowoprzybyły

gość prostuje się, otrzepuje swoje długie, czarne szaty i rozgląda się dokoła.

Pierwsza, głupawa myśl Premiera była taka, że Rufus Scrimgeour wyglądał trochę jak stary lew. W grzywie jego płowych włosów i w krzaczastych brwiach widać było pasemka siwizny. Zza pary druczianych okularów spoglądały bystre żółtawe oczy. Chociaż poruszał się lekko utykając, w jego ruchach była jakaś kocia gracia. Premier zrozumiał, dlaczego społeczność czarodziejska, w tych niebezpiecznych czasach, wołała jako swojego przywódcę Scrimgeoura.

- Jak się pan miewa? - przywitał się Premier uprzejmie, wyciągając dłoń.

Scrimgeour uściśnął ją krótko, mierzając wzrokiem gabinet, po czym wyciągnął z szaty swoją różdżkę.

- Czy Knot powiedział panu wszystko? - spytał ruszając przez pokój i uderzając różdżką w dziurkę od klucza. Premier usłyszał kliknięcie zamka.

- Eee... tak - odparł Premier. - I jeśli nie ma pan nic przeciwko, wolalbym aby drzwi pozostały otwarte.

- Nie chciałbym, by nam przeszkadzano - powiedział krótko Scrimgeour. - Lub obserwowano nas - dodał, wskazując różdżką na okna. Zasłony zasunęły się.

- Tak, no cóż, jestem zajęтым człowiekiem, więc przejdźmy od razu do rzeczy. Po pierwsze, musimy omówić pańskie bezpieczeństwo.

Premier wyprostował się i odparł - Jestem w pełni zadowolony z ochrony, którą mam, dziękuję bar...

- Cóż, my nie jesteśmy - wtrącił Scrimgeour. - Byłoby fatalne dla Mugoli, gdyby ich Premier dostał się pod działanie Klątwy Impreiusa. Nowy sekretarz w pańskim biurze...

- Nie mam zamiaru pozbywać się Kingsley'a Shacklebolta, jeśli to pan sugeruje! - z zdenerwował się Premier. - Jest bardzo wydajny, wykonuje dwa razy więcej zadań niż pozostali...

- To dlatego, że jest czarodziejem - odpowiedział Scrimgeour bez najmniejszego uśmiechu. - Świetnie wyszkolonym aurorem, który został przydzielony do pańskiej ochrony.

- Chwila! - oburzył się Premier - Nie możecie tak po prostu wsadzać swoich ludzi do mojego biura, ja decyduję, kto dla mnie pracuje...

- Wydawało mi się, że był pan zadowolony z Shacklebolta? - spytał chłodno Scrimgeour.

- Jestem... to znaczy... byłem...

- Więc chyba nie ma problemu, prawda? - powiedział Scrimgeour.

- Ja... no tak długo, jak praca Shacklebolta będzie dalej... eee... tak doskonała - odpowiedział nieprzekonująco Premier, ale Scrimgeour zdawał się go prawie nie słuchać.

- Dalej, jeśli chodzi o Herberta Chorleya, pańskiego wiceministra - ciągnął dalej. - Tego, który zabawiał ludzi udając kaczkę.

- Co z nim? - spytał Premier.

- Najwyraźniej, zareagował w ten sposób na kiepsko rzuconą Kłatwę Imperiusa - wyjaśnił Scrimgeour.

- Uszkodziła mu mózg, ale on sam nadal może być niebezpieczny.

- On tylko kwacze! - zaproponował słabo Premier.

- Z pewnością odrobina odpoczynku... Może lepiej nie przesadzać...

- Grupa Uzdrawicieli ze Szpitala Magicznych Dolegliwości i Zranień imienia Świętego Munga bada go w tej chwili. Jak dotąd próbował udusić troje z nich - powiedział Scrimgeour. - Wydaje mi się, że będzie najlepiej, jeśli usuniemy go ze społeczności mugolskiej na jakiś czas.

- Ja... no cóż... Ale nic mu nie będzie, prawda? - spytał Premier z niepokojem

Scrimgeour ledwie wzruszył ramionami, kierując się już w stronę kominka.

- To naprawdę wszystko, co miałem do powiedzenia. Będę pana informował o postępach, panie Premierze... albo raczej, ja sam będę zbyt zajęty, by odwiedzać pana osobiście i w takiej sytuacji będę przysyłał tu Knota. Zgodził się pozostać na stanowisku doradcy. Knot próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo udało mu się to. Wyglądało to raczej tak, jakby bolał go ząb.

Scrimgeour już przetrząsał kieszeń w poszukiwaniu tajemniczego proszku, który zmieniał ogień na zielony. Przez chwilę Premier wpatrywał się żałośnie w obu czarodziejów, po czym słowa, które dławił w sobie przez cały wieczór wyrwały się w końcu z ust.

- Ale na miłość boską! Jesteście czarodziejami! Potraficie czynić magię! Na pewno potraficie poradzić sobie... no... ze wszystkim!

Scrimgeour obrócił się wolno w miejscu i wymienił pełne niedowierzania spojrzenie z Knotem, któremu tym razem naprawdę udało się uśmiechnąć i powiedział uprzejmie:

- Problem w tym, że druga strona też potrafi czynić magię, Panie Premierze.

Po czym obaj czarodzieje jeden po drugim wkroczyli w jasnozielony ogień i zniknęli.

Tłumaczył Spike



Spinner's End

Wiele mil od Downing Street, ta sama chłodna mgła, która oblepiała szyby gabinetu Premiera, snuła się ponad brudną rzeką, wijącą się w dolinie pomiędzy wysokimi, zaśmieconymi brzegami. Olbrzymi komin, pozostałość po nieużywanym młynie, górował nad okolicą, ciemny i złowróżbny. Nic nie mąciło ciszy, prócz szmeru czarnych wód rzeki, nie było też śladów życia poza wątłym lisem, który buszował w trawie w poszukiwaniu jakichś smakowitych resztek.

Nagle z cichutkim pyknięciem na samym brzegu rzeki pojawiła się znikąd szczupła, zakapturzona postać. Lis zamarł z nieufnymi oczami utkwionymi w dziwnym, nowym zjawisku. Postać przez chwilę usiłowała zorientować się, gdzie jest, wreszcie ruszyła szybkim, lekkim krokiem, a jej długa peleryna szeleściła w trawie.

Z drugim, nieco głośniejszym pyknięciem, zmaterializowała się następna zakapturzona sylwetka.

- Czekaaj!

Przenikliwy okrzyk przeraził lisa, rozplaszczonego wśród trawy. Wyskoczył ze swej kryjówki i pognął przed siebie. Rozbłysło zielone światło, rozległ się rozpaczliwy skowyt i martwy lis zwałił się na ziemię.

Druąa postać odwróciła zwierzę czubkiem buta.

- To tylko lis - mruknął lekceważąco damski głos spod kaptura. - Myślałam, że może auror... Cissy, poczekaj!

Lecz postać, do której się zwracała, choć zatrzymała się na moment, widząc zielone światło, już ruszyła dalej, wspinając się na wysoki brzeg.

- Cissy... Narcyzo! Słuchaj...!

Druąa kobieta złapała pierwszą za ramię, lecz ta wyrwała się.

- Odczep się, Bello!

- Musisz mnie wysłuchać!

- Już cię wysłuchałam. I zdecydowałam. Zostaw mnie teraz!

Kobieta nazwana Narcyzą wdrapała się po zboczach aż do miejsca, w którym stara, zardzewiała balustrada oddzielała dolinę rzeki od wąskiej uliczki, brukowanej kocimi łbami. Druąa z kobiet, nazwana Bellą, ruszyła w ślady towarzyski. Zatrzymały się wreszcie obok siebie, patrząc na stojące po drugiej stronie drogi rzędy rozsypujących się, ceglanych domów o pustych, ciemnych oknach.

- On tu mieszka? - spytała Bella, a z głosu jej biła pogarda. - Tutaj? W tym mugolskim gnojowisku? Prawdopodobnie noga nikogo z naszych nigdy tu nie powstała...

Ale Narcyza jej nie słuchała, prześlizgnęła się przez lukę w zardzewiałych prętach i już biegła uliczką.

- Cissy, czekaaj!

Łopocząc połam szat Bella pośpieszyła jej śladem. Narcyza tymczasem skręciła w alejkę między domami, przechodząc na drugą, niemal identyczną ulicę. Niektóre latarnie były zepsute, więc kobiety biegły przez plamy światła i ciemności. Łowczyńi dogoniła zwierzyńę na następnym rogu, tym razem zdołała złapać ją za ramię i odwrócić tak, że stały teraz twarzą

w twarz.

- Cissy, nie wolno ci, nie możesz mu zaufać!

- Czarny Pan mu ufa, czyż nie?

- Czarny Pan... Uważam, że w tym jednym się myli - wydyszała Bella, a oczy jej zablysły pod kapturem, gdy rozglądała się przezornie, czy aby na pewno są same. - W każdym bądź razie, kazano nam nie rozmawiać o planie z nikim. To jest zdrada wobec Czarnego Pana...

- Daj spokój, Bello! - warknęła Narcyza wyciągając różdżkę i celując jej w twarz. Bella tylko się roześmiała.

- Cissy, we własną siostrę? Nie ważysz się...

- Nie ma już takiej rzeczy, na którą się nie poważę! - krzyknęła Narcyza histerycznie, wykonała różdżką ruch, jakby chciała dźgnąć Bellę nożem. Rozbłysło światło, a Bella puściła ramię siostry jak oparzona.

- Narcyza!

Ale Narcyza już biegła dalej. Wciąż masując oparzoną rękę, Bella ruszyła za nią, usiłując nie stracić jej z oczu, kiedy zagłębiały się coraz bardziej w labirynt ceglanych budynków. Wreszcie Narcyza skręciła w Spinner's End, brukowaną uliczkę, nad którą komin starego młyna górował niczym olbrzymi palec, wzniesiony w geście ostrzeżenia. Obcasy Narcyzy stukwały po bruku, gdy mijala rzędy ciemnych okien i połamanych płotów, aż dotarła do domu na samym końcu ulicy. Przez kotary w oknach na parterze prześwitywało przyćmione światło.

Zapukała, zanim jeszcze dogoniła ją klnąca pod nosem Bella. Stały teraz razem czekając, aż ktoś im otworzy, lekko dysząc, owiewane nocną bryzą przesiąkniętą fetorem rzeki. Chwilę później usłyszały jakiś ruch, w następnej sekundzie drzwi uchylily się nieznacznie. W szczelinie widać było wysokiego mężczyznę z długimi, czarnymi włosami przesłaniającymi ziemistą twarz. Czarne oczy przyglądały im się badawczo.

Narcyza zrzuciła kaptur. Była tak blada, że wydawała się lśnić w ciemności, a długie, jasne włosy spływały jej na ramiona, nadając wygląd topielicy.

- Narcyza! - rzekł mężczyzna otwierając drzwi nieco

szerzej, tak że światło zza jego pleców oświetliło Narcyzę i jej siostrę. - Co za miła niespodzianka!

- Severusie - odpowiedziała napiętym szeptem.

- Możemy porozmawiać? To pilne.

- Oczywiście.

Cofnął się, by ją przepuścić. Nie zrzucając kaptura, Bella weszła bez zaproszenia.

- Snape - mruknęła, mijając go.

- Bellatrix - odparł, a wąskie usta zwinęły się w drwiącym uśmieszku, gdy z trzaskiem zamykał drzwi.

Weszli do razu do małego saloniku, który sprawiał wrażenie ciemnej, dusznej celki. Ściany były całkowicie zastawione regałami pełnymi książek o starych, skórzanych grzbietach. Wytarta kanapa, stary fotel i rachityczny stolik stały razem w przyćmionym kręgu światła, padającego z lichtarza zawieszzonego pod sufitem. Pokój sprawiał wrażenie zaniedbanego, jakby zazwyczaj nikt w nim nie mieszkał.

Snape wskazał Narcyzie kanapę. Zdjęła pelerynę, przewiesiła przez oparcie i usiadła, wpatrując się intensywnie w swe białe, drżące dłonie kurczowo zaciśnięte na udach. Bellatrix powoli zsuwała kaptur. Ciemnowłosa, z mocno zarysowaną szczęką, nie przypominała swojej siostry. Przesunęła się i stanęła za Narcyzą, nie odrywając od Snape'a oczu o ciężkich powiekach.

- A więc, czym mogę ci służyć? - zapytał Snape, siadając w fotelu naprzeciw obu sióstr.

- My... Jesteśmy sami, prawda? - spytała cicho Narcyza.

- Ależ oczywiście. Co prawda Glizdogon jest tutaj, ale chyba nie liczymy szkodników?

Wycelował różdżką w ścianę książek za plecami i z głośnym "bang" otwarły się ukryte drzwi ukazując wąską klatkę schodową, na której, jak spetryfikowany, stał niski człowieczek.

- Jak już pewnie się zorientowałeś, Glizdogonie, mamy gości - rzucił od niechcenia Snape.

Garbiąc się niemilosiernie, mężczyzna zwlókł się z ostatnich stopni i wszedł do pokoju. Miał małe, wodniste oczka, szpiczasty nos, a jego wargi rozciągały

się w głupawym uśmiešku. Lewą ręką obejmował prawą, która wyglądała, jakby zakuto ją w srebrną, błyszczącą rękawicę.

- Narcyza! - wychrypiał. - I Bellatrix! Jak miło...

- Glizdogon poda nam coś do picia, jeśli macie ochotę - powiedział Snape. - A potem wróci do swojego pokoju.

Glizdogon skrzywił się, jakby Snape czymś w niego rzucił.

- Nie jestem twoim sługą! - pisnął, unikając wzroku Snape'a.

- Doprawdy? Odniosłem wrażenie, że Czarny Pan oddał mi cię do pomocy.

- Do pomocy, tak, ale nie żebym ci przynosił drinki, albo... sprzątał mieszkanie!

- Nie wiedziałem, Glizdogonie, że nadajesz się także do innych zadań - odparł Snape łagodnie. - Ale jeśli pragniesz się wykazać... To się da załatwić, porozmawiam z Czarnym Panem...

- Sam z nim mogę porozmawiać, jeśli będę chciał!

- Ależ oczywiście, że możesz. - Snape uśmiechnął się szyderczo. - Ale w międzyczasie podaj nam coś do picia. Polecam skrzacie wino domowej roboty.

Glizdogon wahał się chwilę, jakby chciał się klócić, lecz w końcu odwrócił się i wyszedł przez następne drzwi ukryte za ścianą książek. Dobiegł ich brzęk szkła i chwilę później Glizdogon wynurzył się z powrotem, niosąc na tacy zakurzoną butelkę i trzy kieliszki. Postawił wszystko na rachitycznym stoliku i umknął im sprzed oczu, zatrzasnąjąc za sobą drzwi, aż kurz uniósł się z regałów.

Snape nalął trzy kieliszki krwistoczerwonego wina i podał siostrom. Narcyza wymamrotała słowa podziękui, Bellatrix nie odrzekła nic, wciąż wpatrując się intensywnie w gospodarza. Snape nie wydawał się tym zmieszany, wręcz przeciwnie, raczej rozbawiony.

- Za Czarnego Pana! - rzekł, wznosząc kieliszek.

Siostry spełniły toast i Snape ponownie napełnił kieliszki. Narcyza wypila duszkiem podane jej wino i zaczęła gorączkowo:

- Severusie, przepraszam, że przychodzę znieczeka, ale musiałam się z tobą zobaczyć. Myślę, że jesteś jedynym człowiekiem na ziemi, który może mi pomóc...

Snape przerwał jej gestem, po czym ponownie tego wieczoru wycelował różdżkę w ukryte drzwi. Rozległ się huk, jęk i odgłosy szamotaniny, jakby Glizdogon usiłował uciekać na czworaka.

- Przepraszam - rzekł Snape spokojnie. - Ostatnio nabrał niemiłego nawyku podsłuchiwania pod drzwiami. Zupełnie nie wiem, skąd mu się to wzięło. Mówiłaś coś, Narcyzo?

Westchnęła głęboko i zaczęła jeszcze raz.

- Severusie, wiem, że nie powinno mnie tu być, że nie powinnam nikomu o tym mówić, ale...

- No to trzymajże język za zębami! - warknęła Bellatrix. - Zwłaszcza w tym towarzystwie!

- W tym towarzystwie? - podchwycił sardonicznie Snape. - A cóż mam przez to rozumieć, Bellatrix?

- Nie ufam ci, a ty doskonale o tym wiesz!

Narcyza wydała z siebie głośnie westchnienie i ukryła twarz w dłoniach. Snape odstawił kieliszek na stół i usiadł, z dłońmi na oparciu fotela, wciąż z uśmiechem patrząc w nachmurzoną twarz Bellatrix.

- Narcyzo, myślę, że powinniśmy wysłuchać tego, co Bellatrix tak bardzo chce nam powiedzieć, gdyż to nam oszczędzi nużących przerywników. Proszę, kontynuuj, Bellatrix. Dlaczegoż to mi nie ufasz?

- O, są tysiące powodów! - krzyknęła. Gwałtownym ruchem wyminęła kanapę i z brzękiem postawiła kieliszek na stole. - Od czego tu zacząć? Gdzieś ty był, kiedy upadł Czarny Pan? Dlaczegoś nigdy nie próbował go odnaleźć? Co żeś robił przez te wszystkie lata, siedząc w ciepłutkiej kieszeni Dumbledore'a? Czemuś przeszkodził Czarnemu Panu w zdobyciu Kamienia Filozoficznego? Dlaczegoś nie wrócił od razu, gdy się odrodził? Gdzieś ty był parę tygodni temu, kiedy walczyliśmy, by zdobyć przepowiednię? I dlaczego, Snape, Harry Potter wciąż żyje, skoro masz go w zasięgu ręki od pięciu lat?

Zamilkła, zaczerwieniona, z piersią falującą

gwałtownie. Za jej plecami Narcyza siedziała w bezruchu, wciąż kryjąc twarz w dłoniach.

Snape się uśmiechnął.

- Zanim ci odpowiem... O tak, Bellatrix, oczywiście, że ci odpowiem! Możesz przekazać moje słowa wszystkim tym, którzy szepczą za moimi plecami, rozsiewając plotki o mojej zdradzie! Ale zanim ci odpowiem, pozwól, że ja cię o coś zapytam. Naprawdę uważasz, że Czarny Pan nie pytał mnie o to samo? I naprawdę wierzysz, że siedziałbym tu i rozmawiał z tobą, jeśli nie dałbym mu satysfakcjonujących go odpowiedzi?

Zawahała się.

- Wiem, że on ci ufa...

- Ale uważasz, że się myli? Albo, że jakimś cudem zdołałem go oszukać? Nabrałem Czarnego Pana, najpotężniejszego czarnoksiężnika, największego mistrza legilimencji w historii?

Bellatrix nie odpowiedziała nic, ale po raz pierwszy wyglądała na nieco zakłopotaną. Snape nie naciskał. Pochylił się, wziął kieliszek, upił łyk i kontynuował.

- Pytałaś, gdzie byłem, kiedy Czarny Pan upadł. Byłem tam, gdzie mi kazał być, w Szkole Magii i Czarodziejstwa Hogwart. Jego życzeniem było, bym szpiegował Albusa Dumbledore'a. Zakładam, że wiesz, że to na polecenie Czarnego Pana przyjąłem tę posadę? Skinęła głową niemal niezauważalnie i już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale Snape ją uprzedził.

- Pytałaś, dlaczego nie próbowałem znaleźć go, kiedy zniknął. Z tego samego powodu, dla którego nie szukali go Avery, Yaxley, Carrowowie, Greyback, Lucjusz... - tu skłonił się lekko Narcyzie - i tylu innych. Wierzyłem, że zginął. Nie szczycę się tym, myliłem się, ale tak było... Gdyby Czarny Pan nie przebaczył tym, którzy wtedy w niego zwątpili, niewiele by mu teraz pozostało popleczników.

- Miałby mnie! - krzyknęła Bella z pasją. - Mnie, która spędziła dla niego tyle lat w Azkabanie!

- Och, doprawdy, godne podziwu - odparł Snape znudzonym tonem. - Bardzo mu się nie przydałaś w więzieniu, ale niewątpliwie był to piękny gest...

- Gest! - wrzasnęła, furia nadawała jej nieco szalony wygląd. - Kiedy ja znosiłam dementorów, ty siedziałeś sobie wygodniutko w Hogwarcie, zadowolony z życia pupilek Dumbledore'a!

- Niezupełnie. - Głos Snape'a wciąż był spokojny. - Nie pozwolił mi uczyć Obrony Przed Czarną Magią, wiesz? Może myślał, że to by mogło spowodować nawrót... Ściągnęłoby mnie znów na złą drogę.

- I to jest to twoje poświęcenie dla Czarnego Pana? Nie uczyłeś ulubionego przedmiotu? - drwiła. - Jakim cudem wytrzymałeś tak długo? A tak w ogóle, co po coś tam siedział? Szpiegowaleś Dumbledore'a dla Pana, którego uważałeś za zmarłego?

- Bynajmniej - odparł. - Ale Czarny Pan był zadowolony, że nie opuściłem posady. Miałem dla niego informacje o Dumbledorze, zbierane przez szesnaście długich lat. Całkiem użyteczny prezent powitalny - nie to, co niekończące się narzekania, jak to było niemilo w Azkabanie...

- Co nie zmienia faktu, że zostałeś w Hogwarcie.

- Zostałem - powiedział Snape, po raz pierwszy zdradzając zniecierpliwienie. - Miałem dobrą pracę i wolałem to, niż gnienie w Azkabanie. Polowali na śmierciożerców, wiesz? Dumbledore za mnie poręczył i to ochroniło mnie przed więzieniem, tak było mi najwygodniej i tak zrobiłem. Ale powtarzam: Czarny Pan nie narzeka, że zostałem, więc nie widzę powodu, dla którego ty miałabyś narzekać.

- Zdaje się, że chciałaś wiedzieć - podjął nieco głośniejszym głosem, bo Bellatrix zrobiła minę, jakby znów chciała mu przerwać - dlaczego przeszkodziłem Panu w zdobyciu Kamienia Filozoficznego? To proste. Nie wiedział, czy może mi ufać. Myślał, tak jak ty, że odwróciłem się od śmierciożerców, że stałem się wtyką Dumbledore'a. Był w żalonym stanie, bardzo słaby, dzielił ciało z jakąś czarodziejską miernotą. Nie śmiał ujawnić się dawnemu sprzymierzeńcowi, który mógł go wydać Dumbledore'owi albo Ministerstwu. Bardzo żałuję, że mi nie zaufał. Odzyskałby moc trzy lata wcześniej.

A ponieważ mi nie zaufał, wiedziałem tylko, że chciwy i niegodny Quirrell próbował ukraść kamień i nie przeczę, że zrobiłem wszystko, żeby mu w tym przeszkodzić.

Usta Bellatrix wykrzywiły się, jakby przelknęła wyjątkowo gorzką pigułkę.

- Ale nie przybyłeś, kiedy on powrócił, nie zjawiles się natychmiast, gdy poczułeś, że Mroczny Znak pali...

- Owszem. Przybyłem dwie godziny później. Na rozkaz Dumbledore'a.

- O, rozkaz Dumbledore'a...? - zaczęła z oburzeniem.

- Pomyśl! - Snape znów tracił cierpliwość. - Pomyśl! Czekać dwie godziny, tylko dwie godziny, zapewniłem sobie możliwość pozostania w Hogwarcie jako szpieg! Pozwoliłem Dumbledore'owi sądzić, że wracam do Czarnego Pana tylko dlatego, że on mi kazał i dzięki temu mam możliwość zdobywania informacji na temat Zakonu Feniksa i samego Dumbledore'a. Zastanów się, Bellatrix: przez cały rok Mroczny Znak stawał się coraz wyraźniejszy. Wiedziałem, że musi powrócić, każdy śmierciożerca to wiedział! Miałem mnóstwo czasu do namysłu, mogłem rozważyć wszystkie za i przeciw, wiedziałem, czego chcę, mogłem zaplanować następne ruchy, mogłem uciec jak Karkarow, nieprawdaż? Czarny Pan był początkowo niezadowolony, nie przeczę, ale to niezadowolenie z mojego spóźnienia znikło, zapewniam cię, kiedy wyjaśniłem mu, że pozostałem mu wierny, a tylko upewniałem Dumbledore'a w przekonaniu, że wciąż jestem po jego stronie. Tak, Bellatrix, Czarny Pan myślał, że opuściłem go na zawsze, ale się mylił.

- I jaki był z tego pożytek? - warknęła Bellatrix.

- Jakież to niesamowicie przydatne informacje zdobyłeś?

- To, czego się dowiedziałem, przekazałem bezpośrednio Czarnemu Panu - odparł Snape. - Jeśli będzie chciał się nimi z tobą podzielić...

- On się wszystkim ze mną dzieli! - krzyknęła Bella, zapalają się na nowo. - Nazywa mnie swoją

najlojalniejszą, najwierniejszą...

- Czyżby? - W tonie Snape'a pobrzmiwały nutki niedowierzania. - Nadal cię tak nazywa? Nawet po fiasku w ministerstwie?

- To nie była moja wina! - wrzasnęła rumieniąc się paskudnie. - Czarny Pan zawsze mi powierzał swe najgłębsze... Gdyby Lucjusz nie zawałił...

- Nie waż się winić mego męża! - wtrąciła się Narcyza niskim, martwym głosem, podnosząc wzrok na siostrę.

- Nie ma sensu dyskutować tu o winie - załagodził Snape. - Co się stało, to się nie odstanie.

- Ale ciebie tam nie było - rzuciła z furią Bellatrix.

- Nie, ty znów byłeś nieobecny, kiedy my nadstawialiśmy karku, prawda?

- Miałem rozkazy, by się nie wtrącać - odparł Snape.

- Może nie zgadzasz się w tej kwestii z Czarnym Panem? A może uważasz, że Dumbledore nie zauważyłby, że przyłączyłem się do śmierciożerców? A poza tym... Przepraszam, czy mówiłaś coś o nadstawianiu karku? Nie wiem, czy dobrze pamiętam, ale to było sześciu nastolatków, prawda?

- Którym na pomoc ruszyła połowa Zakonu! - burknęła Bellatrix. - A jak już jesteśmy przy Zakonie, to wciąż nie możesz nam powiedzieć, gdzie jest ich siedziba?

- Nie jestem Strażnikiem Tajemnicy, nie mogę wymówić nazwy tego miejsca. Chyba wiesz, jak działa to zaklęcie? Czarny Pan jest zadowolony z tego, co mu przekazuję na temat Zakonu. Dzięki temu ostatnio udało się dopaść Emmeline Vance, no i pomogło w pozbyciu się Syriusza Blacka, choć w tej kwestii muszę jednak oddać ci sprawiedliwość, honor wykończenia go w całości przypada tobie.

Sklonił głowę i uniósł kieliszek. Wyraz twarzy Bellatrix nie złagodniał.

- Unikaszk odpowiedzi na moje ostatnie pytanie, Snape. Harry Potter. Miałaś setki okazji, żeby go zabić przez ostatnie pięć lat. Nie zrobiłaś tego. Dlaczego?

- Przedyskutowałaś to z Czarnym Panem? - zapytał.

- Ja... Ostatnio, my... Ciebie pytam, Snape!

- Gdybym zabił Harry'ego Pottera, Czarny Pan nie

mógłby użyć jego krwi, by się odrodzić niezwykczonym...

- Chyba mi nie mówisz, że przewidziałeś, że Pan zechce użyć chłopaka?

- Nie zamierzam, nie miałem pojęcia o jego planach, powiedziałem ci już, myślałem, że Czarny Pan nie żyje. Usiłuję ci tylko wytłumaczyć, dlaczego Czarny Pan nie żałował, że Potter przeżył, przynajmniej do ostatniego roku...

- Więc dlaczego on wciąż żyje?

- Czy ty rozumiesz, co się do ciebie mówi? Tylko słowo Dumbledore'a chroni mnie przed Azkabanem! Nie sądzisz, że zamordowanie jego pupilka mogłoby spowodować, że zmieniłby zdanie? Ale nie tylko to. Przypomnę ci, kiedy Potter pierwszy raz przybył do Hogwartu mówiło się, że sam jest wielkim czarnoksiężnikiem, co miało tłumaczyć, jakim cudem przeżył atak Czarnego Pana. Rozejrzyj się, wielu myślało, że Potter może być tym, przy którym moglibyśmy ponownie się zjednoczyć. Byłem ciekawy, przyznaję i nie zamierzałem zabijać go w momencie, gdy jego noga postąpiła w zamku.

- Oczywiście - ciągnął - natychmiast zorientowałem się, że Potter nie ma żadnych szczególnych zdolności. Z wielu tarapatów wykaraskał się wyłącznie dzięki mieszaninie wyjątkowego szczęścia i pomocy zdolniejszych od niego przyjaciół. Jest przeciętny do bólu, a przy tym tak okropny i pewny siebie, jak jego ojciec. Zrobiłem co w mojej mocy, żeby pozbyć się go z Hogwartu, ale zabić go, albo pozwolić, żeby zabito go w mojej obecności? Byłbym wielkim głupcem, gdybym porywał się na takie ryzyko pod samym nosem Dumbledore'a.

- I mam uwierzyć, że Dumbledore nigdy cię nie podejrzewał? - zapytała Bellatrix. - Że nie miał pojęcia, komu tak naprawdę jesteś lojalny? Że wierzył ci tak bezgranicznie?

- Dobrze grałem swoją rolę - mruknął. - No i nie doceniasz największej słabości Dumbledore'a - zawsze wierzy, że w człowieku jest dobro. Sprzedałem mu

niezłą bajkę o najgłębszej skrusze gdy, jeszcze jako świeżo nawrócony śmierciożerca dołączyłem do kadry nauczycielskiej, a on przyjął mnie z otwartymi ramionami - chociaż, przyznaję, nigdy nie pozwolił mi zbliżyć się do Czarnej Magii. Dumbledore był wielkim czarodziejem. Tak, był - dodał, słysząc jak Bellatrix prycha z niedowierzaniem. - Sam Czarny Pan to przyznał. Mam jednak przyjemność donieść, że Dumbledore się starzeje. Ten pojedynek z Czarnym Panem w zeszłym miesiącu podkopał jego zdrowie. Został ranny, bo już nie jest tak szybki, jak kiedyś. A jednak przez te wszystkie lata nie przestał ufać Severusowi Snape'owi. I na tym właśnie opiera się moja wielka wartość dla Czarnego Pana.

Bellatrix wciąż wyglądała na nieprzekonaną, lecz jednocześnie niepewną, z której strony teraz go zaatakować. Wykorzystując jej milczenie, Snape zwrócił się do drugiej siostry.

- A teraz... Chciałaś mnie o coś prosić, Narcyzo?

Narcyza spojrzała na niego, a na szczupłej twarzy malowała się rozpacz.

- Tak, Severusie, ja... Myślę, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc, nie mam do kogo się zwrócić. Lucjusz jest w więzieniu i...

Zacisnęła powieki i dwie wielkie łzy popłynęły po jasnych policzkach.

- Czarny Pan zakazał mi mówić o tym komukolwiek - ciągnęła, wciąż ze ściśle zamkniętymi oczami. - Chce, by nikt nie dowiedział się o jego planie. To... wielka tajemnica. Ale...

- Jeśli zakazał ci mówić o tym komukolwiek, nie powinnaś tego robić. - Snape przerwał jej natychmiast.

- Słowo Czarnego Pana jest prawem.

Narcyza wciągnęła głośno powietrze, jakby oblał ją zniecałkowana lodowatą wodą. Po raz pierwszy odkąd weszła do tego domu Bellatrix wyglądała na zadowoloną.

- Widzisz? - wykrzyknęła triumfalnie. - Nawet Snape tak uważa. Skoro masz nikomu nie mówić, to milcz!

Ale Snape wstał i podszedł do okna. Uchylił zasłony,

wyrzwał na pustą ulicę, po czym ponownie je zasunął. Odwrócił się do Narcyzy, marszcząc z namysłem brwi.

- Tak się jednak składa, że ja znam ten plan - rzekł, zniżając głos. - Jestem jednym z niewielu, którym Czarny Pan go wyjawił. Jednakże, skoro kazał ci nikomu nie mówić, Narcyzo, to byłaby zdrada Czarnego Pana.

- Wiedziałam, że ty będziesz o tym wiedział! - wykrzyknęła Narcyza, oddychając z ulgą. - On ci ufa, Severusie...

- Wiesz?! - Chwilową satysfakcję w głosie Bellatrix na powrót zastąpiła furia. - Ty wiesz?!

- Oczywiście - oparł Snape. - Ale jakiego rodzaju pomocy ode mnie oczekujesz, Narcyzo? Jeśli wydaje ci się, że mógłbym przekonać Czarnego Pana, żeby zmienił zdanie, to muszę cię rozczarować, nie ma na to szans. Najmniejszych.

- Severusie - wyszeptala Narcyza, a łzy płynęły jej po twarzy. - To jest mój syn... Mój jedyny syn...

- Draco powinien być dumny! - rzuciła obojętnie Bellatrix. - Czarny Pan obdarzył go wielkim zaszczytem. I powiem to, co myśli Draco: nie cofnie się przed zadaniem, zna swój obowiązek i będzie się cieszył, że dostał szansę sprawdzenia się. Jest podniecony wyzwaniem...

Narcyza płakała już otwarcie, wpatrując się błagalnie w Snape'a.

- Ale on ma szesnaście lat i nie wie, co to oznacza! Dlaczego, Severusie? Dlaczego mój syn? To zbyt niebezpieczne! To zemsta za porażkę Lucjusza, ja to wiem!

Snape nie odpowiedział nic. Odwrócił wzrok od jej łez, jakby były czymś nieprzyzwoitym, ale nie mógł udawać, że jej nie słyszał.

- Dlatego wybrał Draco, prawda? - nalegała. - Żeby ukarać Lucjusza?

- Jeśli Draconowi się powiedzie - powiedział powoli, wciąż nie patrząc jej w oczy, - dostąpi zaszczytów, o jakich inni nawet nie śnią.

- Ale jemu się nie uda! - łkała Narcyza. - Jak może mu

się udać, skoro sam Czarny Pan...?

Bellatrix sapnęła gniewnie, Narcyza zdawała się tracić panowanie nad sobą.

- Miałam na myśli... Jeszcze nikomu się nie udało... Severusie... Proszę... Jesteś, zawsze byłeś jego ulubionym nauczycielem... Jesteś starym przyjacielem Lucjusza... Błagam cię... Jesteś ulubieńcem Czarnego Pana, jego najbardziej zaufanym doradcą... Porozmawiasz z nim, przekonasz go...?

- Czarnego Pana nie można przekonać, a ja nie jestem głupcem, żeby tego próbować - rzekł zimno Snape.

- Nie będę udawał, że Czarny Pan nie zły na Lucjusza. Lucjusz był za wszystko odpowiedzialny, to on dowodził. Dał się złapać, podobnie jak tylu innych, nie udało mu się zdobyć przepowiedni. Tak, Czarny Pan jest zły, Narcyzo, bardzo zły.

- A więc miałam rację, wybrał Dracona z zemsty! - jęknęła Narcyza. - Jemu nie ma się udać, on ma zginąć próbując wykonać zadanie!

Kiedy Snape znów nic nie odpowiedział, Narcyza straciła resztki samokontroli, które jeszcze się w niej kołatały. Zerwała się, podbiegła do Snape'a i złapała go za przednią część szaty. Zbliżyła twarz do jego twarzy, jej lzy kapwały mu na koszulę.

- Możesz to zrobić. Możesz zastąpić Dracona, Severusie. Uda ci się, oczywiście, że ci się uda, a on wynagrodzi ci to stukrotnie, wynosząc ponad nas wszystkich...

Snape złapał ją za nadgarstki i delikatnie wyzwolił się z jej objęć. Patrząc na jej załamioną twarz, rzekł powoli:

- Myślę, że Czarny Pan chce, żebym spróbował jako ostatni. Ale uważa, że Draco musi spróbować pierwszy. Widzisz, zakładając, co nieprawdopodobne, że Draconowi się powiedzie, ja wciąż będę mógł pozostać w Hogwarcie jako szpieg.

- Innymi słowy nie dba o to, czy Draco zginie!

- Czarny Pan jest bardzo zły - powtórzył Snape cicho.

- Nie usłyszał przepowiedni. Wiesz tak samo dobrze, jak ja, Narcyzo, że on łatwo nie przebacza.

Upadła mu do stóp, łkając i jęcząc.

- Moje dziecko... Mój jedyny syn...

- Powinnaś być dumna! - rzuciła bezlitośnie Bellatrix.

- Jeśli miałabym syna, byłabym szczęśliwa, gdyby poległ w służbie Czarnego Pana!

Narcyza krzyknęła z rozpaczą, wczepiając palce w swe długie, jasne włosy. Snape pochylił się, podniósł ją za ramiona i posadził na kanapie. Nalał jej wina i zmusił, by wzięła kieliszek.

- Narcyzo, dość tego. Wypij. Słuchaj mnie!

Uspokoila się trochę i oblewając się winem upiła niewielki lyk.

- Możliwe... Możliwe, że będę mógł pomóc Draconowi. Wyprostowała się, wciąż kredowobiała, a oczy rozszerzyły się z niedowierzaniem.

- Severusie, och, Severusie, pomożesz mu? Będziesz się nim opiekował, zadbasz, żeby nic mu się nie stało?

- Mogę spróbować.

Cisnąwszy kieliszkiem na stół, rzuciła się do stóp Snape'a i ująwszy jego dłonie w swoje, przycisnęła je do ust.

- Jeśli będziesz go bronić... Severusie, czy przysięgniesz mi to? Czy złożysz Niezłomną Przysięgę?

- Niezłomną Przysięgę?

Twarz Snape'a nie wyrażała nic. Bellatrix jednak zarechotała triumfalnie.

- Nie słyszysz go, Narcyzo? O, pewnie, że spróbuje, tego jestem pewna. Te same puste słowa, te jego normalne wymówki! I to wszystko z rozkazu Czarnego Pana, oczywiście!

Snape nawet na nią nie spojrzał. Czarne oczy wpatrzone były w błękitne, pełne łez oczy Narcyzy, która wciąż ścisnęła jego dłonie.

- Oczywiście, Narcyzo, złożę Niezłomną Przysięgę - powiedział cicho. - Może nawet twoja siostra ją przypieczętuje.

Bellatrix stała z otwartymi ze zdziwienia ustami. Snape ukląkł naprzeciw Narcyzy. Na oczach zdumionej Bellatrix, połączyli prawe dłonie.

- Będzie ci potrzebna różdżka, Bellatrix - rzekł zimno

Snape.

Wyciągnęła ją, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

- I musisz podejść trochę bliżej - dodał.

Zbliżyła się, tak że stała teraz nad nimi, różdżką dotykając ich połączonych dłoni.

Narcyza przemówiła.

- Severusie, czy przysięgasz strzec mojego syna, Dracona, gdy będzie wypełniał rozkaz Czarnego Pana?

- Przysięgam.

Blyszczący język płomienia wystrzelił z różdżki i oplótł ich dłonie niczym ognisty drut.

- Czy przysięgasz chronić go ze wszystkich swoich sił?

- Przysięgam.

Drugi płomienisty język wytrysnął z różdżki, tworząc wokół połączonych dłoni blyszczący łańcuch.

- I czy przysięgasz, jeśli będzie to konieczne... Jeśli Draco zawiedzie... - wyszeptała Narcyza, a dłoń Snape'a zadrżała w jej uścisku, lecz mimo to jej nie cofnął. - Czy przysięgasz wykonać wolę Czarnego Pana i rozkaz, który wydał Draconowi?

Zapadła cisza. Bellatrix wpatrywała się w nich rozszerzonymi źrenicami, z różdżką wciąż dotykającą ich dłoni.

- Przysięgam.

Twarz Bellatrix, na której wciąż malowało się niedowierzanie zaczerwieniła się od blasku trzeciego płomienia, który, wystrzeliwszy z różdżki wplótł się pomiędzy dwa poprzednie niczym sznur, niczym ognisty wąż.

Tłumaczyła Visperas



Móć i nie chcieć

Harry Potter głośno chrapał. Przesiedział na krześle obok okna w sypialni blisko cztery godziny patrząc na ciemną ulicę, w końcu zasnął z głową opartą na zimnej szybie, z przekrzywionymi okularami i otwartymi ustami. Para z jego ust osiadła na szkle migocząc w pomarańczowym blasku ulicznej lampy. Sztuczne światło latarni odbierało jego twarzy naturalne kolory, co w połączeniu z szopą czarnych, rozczochranych włosów nadawało mu iście upiorny wygląd.

Pokój zasypany był różnymi rzeczami i śladowymi ilościami śmieci. Sowie pióra, skórki jabłek i papierki po słodyczach zdobiły podłogę. Księgi zakłęb i zmięte szaty były porozrzucone na łóżku, w nikłym blasku lampy wałały się nieuporządkowane gazety. Nagłówek jednej z nich głosił:

HARRY POTTER: WYBRANIEC?

Dalej krążą plotki o ostatnich, niepokojących wydarzeniach w Ministerstwie Magii, podczas których widziano Tego-Którego-Imienia-Nie-Wolno-Wymawiać.

- Nie wolno nam udzielać żadnych informacji, proszę mnie o nic nie pytać - powiedział wychodzący z Ministerstwa Obliviator, który odmówił podania swojego nazwiska.

Niemniej jednak, wysoko postawieni informatorzy z Ministerstwa potwierdzili, że walka rozegrała się w sławnej Sali Przepowiedni.

Pomimo, iż rzecznicy Ministerstwa odmawiają wydania oświadczenia, że takie miejsce naprawdę istnieje, rosnąca liczba czarodziejów wierzy, że Śmierciożercy, odsiadujący obecnie wyrok w Azkabanie za włamanie oraz próbę kradzieży przepowiedni, naprawdę chcieli ją wykraść. Treść proroctwa nie jest znana, choć często można spotykać się z przypuszczeniem, że dotyczyło Harry'ego Pottera - jedynej znanej osoby, która przeżyła Zaklęcie Uśmiercające. Wiadomo również, że był obecny w Ministerstwie tamtej nocy. Niektórzy posuwają się do tego, że nazywają Pottera "Wybrańcem", wierząc, że przepowiednia wskazuje go, jako jedyne, który może uwolnić nas od Tego-Którego-Imienia-Nie-Wolno-Wymawiać.

Nie wiadomo, o gdzie obecnie, jeśli w ogóle istnieje, znajduje się owo proroctwo, chociaż... (więcej, strona 2, kolumna 5.)

Kolejna gazeta leżała tuż obok pierwszej. Nagłówek był dobrze widoczny:

SCRIMGEOUR NASTĘPCĄ KNOTA

Większą część strony zajmowało duże, czarno-białe zdjęcie mężczyzny o lwim wyglądzie, grubych włosach i zniszczonej twarzy. Zdjęcie było magiczne - mężczyzna wskazywał na sufit.

Rufus Scrimgeour, były Szef Biura Aurorów w Departamencie

Przestrzegania Prawa, objął stanowisko Ministra Magii po ustępującym Korneliuszu Knocie. Wybór ten spotkał się z dużym entuzjazmem wśród czarodziejskiego społeczeństwa. Niezależnie od poparcia, plotki o sprzeczce między nowym Ministrem a Albusem Dumbledore'em - przywróconym na stanowisko Głównym Magiem Wizengamotu - obiegiły świat już kilka godzin po tym, objęciu przez Scrimgeoura urzędu. Rzecznicy Scrimgeoura przyznali, że spotkał się z Dumbledore'em, gdy tylko objął stanowisko. Nie ujawnili jednak tematów, o których panowie dyskutowali. Albus Dumbledore znany jest z... (więcej, strona 3, kolumna 2.)

Na lewo od gazety leżała kolejna, złożona tak, że historia o Ministrze, zapewniającym uczniom bezpieczeństwo, była widoczna.

Nowo wybrany Minister Magii, Rufus Scrimgeour, mówił dzisiaj o nowych, trudnych przedsięwzięciach, jakie Ministerstwo podjęło, by zapewnić bezpieczeństwo wszystkim uczniom, wracającym tej jesieni do Szkoły Magii i Czarodziejstwa Hogwart.

- Z wiadomych powodów Ministerstwo Magii nie ujawni szczegółów, dotyczących nowych, rygorystycznych zasad bezpieczeństwa - powiedział Scrimgeour. Wtajemniczony informator zawiadomił nas, że tajemnicze przedsięwzięcia dotyczą defensywnych zaklęć i czarów, szeregu przeciwnzaklęć oraz małego zadania dla sił aurorskich, poświęconego tylko i wyłącznie ochronie Hogwartu.

Większość obywateli czuje się uspokojona działaniami, jakie Minister podjął w kwestii bezpieczeństwa uczniów. Pani Augusta Longbottom powiedziała:

- Mój wnuk, Neville - przyjaciel Harry'ego Pottera, przypadkowo walczył razem z nim przeciw śmierciożercom w Ministerstwie w czerwcu i...

Resztę artykułu przysłoniła duża, ptasia klatka, stojąca na gazecie. W środku znajdowała się przepiękna sowa śnieżna. Jej bursztynowe oczy władczyim spojrzeniem lustrowały pokój, odwracała czasami głowę, by spojrzeć na śpiącego pana. Raz czy dwa kłapnęła

dziobem, ale Harry był zbyt głęboko we śnie, by ją usłyszeć. Na środku pokoju stał wielki, otwarty kufer. Wyglądał tak, jakby tylko czekał na spakowanie, jednak jego wnętrze było prawie puste, nie licząc starej bielizny, słodczy, pustych kałamarzy i połamanych piór, które leżały na dnie. W pobliżu, na podłodze, znajdowała się fioletowa ulotka, na której widniały litery:

Wydane z polecenia Ministerstwa Magii **OCHRON ŚWÓJ DOM I RODZINĘ PRZED** **CIEMNYMI SIŁAMI**

Nad społecznością magiczną wisi obecnie groźba organizacji zwanej Śmierciożercami. Zachowując podane niżej środki ostrożności, możesz ochronić siebie, rodzinę i dom przed ich atakiem.

- 1. Nie opuszczaj samotnie miejsca zamieszkania.*
- 2. Ostrożność powinna być zachowana szczególnie w godzinach nocnych. Jeśli będzie to możliwe, organizuj podróże przed zapadnięciem zmroku.*
- 3. Skontroluj zaklęcia ochronne wokół domostw, upewniając się czy każdy z domowników zna zaklęcia awaryjne, do których należą: Zaklęcie Tarczy i Zaklęcie Kameleona oraz, w przypadku nieletnich członków rodziny, Wspólnej Aportacji.*
- 4. Stwórzcie z przyjaciółmi i rodziną hasła bezpieczeństwa, by sprawdzać zamaskowanych, przez użycie Elixiru Wielosokowego, Śmierciożerców. (zob. str. 2.)*
- 5. Jeśli zauważysz, że członek rodziny, znajomy, przyjaciel albo sąsiad, zachowuje się podejrzanie, poinformuj o tym niezwłocznie Biuro Przestrzegania Magicznego Prawa. Mogą być pod wpływem Imperiusa. (zob. str. 4.)*
- 6. Gdy Mroczny Znak pojawi się nad mieszkaniem, bądź jakimkolwiek innym budynkiem, pod żadnym pozorem NIE WCHODŹ DO ŚRODKA, tylko skontaktuj się natychmiast z Biurem Aurorów.*
- 7. Niepotwierdzone znaki sugerują, że Śmierciożercy mogą używać aktualnie Inferich (zob. str. 10.). Każdy widziany Inferius (spotkanie z w/w) powinno być zgłoszone Ministerstwu NATYCHMIAST.*

Harry burknął we śnie, a twarz ześliznęła się o parę centymetrów niżej, przekrzywiając okulary jeszcze bardziej, ale chłopak się nie obudził. Budzik, naprawiony przez chłopaka kilka lat temu, tykał głośno na parapecie, wskazując za minutę jedenastą. Obok niego, upuszczony przez bezwładną rękę Pottera, leżał kawałek pergaminu pokryty drobnym, pochylonym pismem. Harry czytał ten list bardzo często, odkąd chwili, kiedy trzy dni temu zobaczył go po raz pierwszy, że choć został dostarczony jako ciasno zwinięty rulonik, teraz leżał całkowicie rozprostowany.

Drogi Harry,

Jeśli Ci to odpowiada, przybędę na Privet Drive numer cztery w ten piątek o godzinie dwudziestej trzeciej, by eskortować Cię do Nory, gdzie spędzisz resztę swoich wakacji.

W drodze do Nory chciałbym załatwić pewną sprawę i byłoby mi miło, gdybyś zgodził się, aby mi towarzyszyć. Sprawę wyjaśnię dokładnie, kiedy się zobaczymy.

Jeśli możesz, wyślij odpowiedź poprzez tę sowę. Mam nadzieję, że zobaczymy się w piątek.

Z pozdrowieniami:

Albus Dumbledore.

Chociaż znalazł list na pamięć, Harry spoglądał co kilka minut na wiadomość od siódmej, kiedy zasiadł przy oknie, przez które mógł obserwować oba końce Privet Drive. Wiedział, że nie ma sensu ponownie czytać listu od Dumbledore'a. Przez sowę, która przyniosła wiadomość, odesłał zgodę, tak jak prosił profesor. Jedyne, co mógł teraz robić, to czekać cierpliwie. Dyrektor pojawi się w końcu, albo i nie.

Potter się jednak nie spakował. To było zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe - po dwóch tygodniach w towarzystwie Dursleyów, zostanie uratowany. Nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że coś pójdzie nie tak - jego wiadomość mogła nie dotrzeć do Dumbledore'a, dyrektor może zostać powstrzymany przed przybyciem, list może się okazać oszustwem, żartem albo pułapką. Harry nie mógłby znieść pakowania, a później

ponownego rozpakowywania kufra. Jediną czynnością, którą wykonał na wieść o możliwej podróży, to zamknięcie w klatce Hedwigi.

Duża wskazówka budzika zatrzymała się na dwunastce. W tym momencie lampa za oknem zgasła.

Chłopak obudził się tak gwałtownie, jakby nagła ciemność go zaalarmowała. Pospiesznie poprawiając okulary i odklejając policzek od szyby, przywarł nosem do szkła i mrużąc oczy spojrzal na chodnik. Wysoka postać w długim, powiewającym na wietrze płaszczu, szła ścieżką przez ogród.

Harry podskoczył tak, jakby poraził go prąd, przewrócił krzesło i zaczął zbierać wszystko w zasięgu ręki i wrzucać do kufra. Dźwigał właśnie komplet szat, dwie książki zaklęć i paczkę chipsów, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Piętro niżej, w salonie, wuj Vernon krzyknął:

- Kto, do cholery, dobija się po nocy?

Harry zamarł z mosiężnym teleskopem w jednej ręce i trampkami w drugiej. Zupełnie zapomniał ostrzec Dursleyów o możliwym przybyciu Dumbledore'a. Czując, jak jednocześnie rośnie w nim panika i śmiech, wygramolił się przez kufer i otworzył drzwi swojego pokoju, by usłyszeć jak głęboki głos przemówił:

- Dobry wieczór. Pan Dursley, jeśli się nie mylę. Ośmielę się stwierdzić, że Harry powiedział panu, że po niego przybędę.

Harry zbiegł po schodach przeskakując po dwa na raz, zatrzymując się nagle na kilka stopni przed ostatnim. Wieloletnie doświadczenia nauczyły go, by nie stawać w zasięgu rąk wuja Vernona, jeśli to tylko możliwe. W drzwiach stał wysoki, chudy mężczyzna, z długimi do pasa, srebrnymi włosami i brodą. Miał na sobie długi, czarny płaszcz podróżny i szpiczastą tiarę, a na zakrzywionym nosie spoczywały okulary połówki. Vernon Dursley, którego wąs był tak samo bujny jak broda Dumbledore'a, chociaż czarny, i który miał na sobie ciemnobrązową koszulę nocną, gapił się na przybysza tak, jakby nie mógł uwierzyć swoim małym oczkom.

- Biorąc pod uwagę wyraz niedowierzania na pańskiej twarzy, Harry nie uprzedził pana, że przyjdę - powiedział uprzejmie Dumbledore. - Jednakże, przyjmijmy, że zaprosił mnie pan ciepło do swojego domu. Nie jest mądrze stać długo przed drzwiami w tych nieciekawych czasach.

Przestąpił żwawo próg i zamknął za sobą drzwi.

- Dużo czasu minęło, odkąd byłem tu ostatni raz - rzekł Dumbledore, spoglądając na wuja Vernona. Muszę powiedzieć, że pański agapant kwitnie.

Vernon Dursley nic nie powiedział. Harry nie wątpił, że zdolność mowy wróci szybko - żyła na skroni wuja pulsowała niebezpiecznie szybko - ale coś w Dumbledorze zaparło mu chwilowo dech w piersi. Mogła to być magia, która ujawniała się w samej obecności, ale także to, że nawet wuj Vernon mógł wyczuć, iż był to człowiek, którego bardzo trudno zastraszyć.

- Ach, dobry wieczór Harry - powiedział Dumbledore, patrząc na chłopca przez połówki okularów z najbardziej usatysfakcjonowanym wyrazem twarzy.

- Świetnie, świetnie.

Te słowa zdawały się obudzić wuja Vernona. Jeśli o niego chodziło, jasnym było, że każdy kto spojrzał na Harry'ego i mówił "świetnie", był człowiekiem, z którym nie mógł się widywać.

- Nie chciałbym być nieuprzejmy... - zaczął tonem, w którym nieuprzejmość usłyszeć można było w każdej sylabie.

- ... jednak, niestety, przypadkowa nieuprzejmość występuje alarmująco często - dokończył poważnie Dumbledore. - Lepiej nie mówić wcale, drogi panie. Ach, a to pewnie musi być Petunia.

Drzwi do kuchni otworzyły się, stanęła w nich ciotka Harry'ego w zarzuconym na koszulę nocną szlafroku i w gumowych rękawiczkach. Najwyraźniej była w połowie swojego zwykłego, wieczornego sprzątanía kuchni. Jej końska twarz nie wyrażała więcej niż szok.

- Albus Dumbledore - rzekł dyrektor, kiedy wuj Vernon go nie przedstawił. - Korespondowaliśmy.

Harry pomyślał, że to dość dziwny sposób przypomnienia ciotce Petunii o tym, iż wysłał jej kiedyś wyjca. Ale ciotka się nie odezwała.

- A to musi być wasz syn, Dudley.

Dudley wybrał sobie ten moment, by wynurzyć się z wejścia do salonu. Jego duża głowa, otoczona blond włosami, z otwartymi w przestrachu ustami, wystająca z pasiastego kołnierza piżamy, wyglądała dziwnie bezcielesnie. Dumbledore czekał chwilę, najwyraźniej sądząc, że któreś z Dursleyów coś powie, ale kiedy cisza zaczynała się przeciągać, uśmiechnął się.

- Przyjmijmy, że zaprosili mnie państwo do swojego salonu.

Dudley usunął się z drogi, kiedy Dumbledore go mijał. Harry, ciągle ściskając w rękach teleskop i trampki, przeskoczył resztę schodów i podążył za profesorem, który usadowił się w fotelu najbliżej kominka i rozglądał się po pomieszczeniu z wyrazem życzliwego zainteresowania na twarzy. Wyglądał nadzwyczaj nie na miejscu.

- Nie... nie wychodzimy, proszę pana? - zapytał z obawą Harry.

- Tak, oczywiście, wychodzimy, ale najpierw jest kilka spraw, które musimy przedyskutować - rzekł profesor.

- I wolałbym tego nie robić przy ludziach. Będziemy nadużywać gościnności twojej ciotki i wuja jeszcze tylko przez kilka chwil.

- Będzie pan?

Vernon Dursley wszedł do pokoju, Petunia tuż za nim, a Dudley czaił się za rodzicami.

- Tak - odpowiedział po prostu Albus. - Będę.

Wyciągnął różdżkę tak szybko, że Harry ledwie to dostrzegł. Sofa wysunęła się do przodu, zwalając z nóg Dursleyów tak, że zmuszeni byli usiąść.

Kolejny ruch ręki i sofa wróciła na poprzednie miejsce.

- Może być nam również wygodnie - rzekł mile Dumbledore.

Kiedy chował różdżkę z powrotem, Harry zauważył, że jego ręka jest szerniała i wyschnięta. Wyglądało to tak, jakby skóra była spalona.

- Proszę pana, co się panu stało w...?

- Później, Harry - powiedział. - Usiądź, proszę.

Chłopak zajął krzesło, nie patrząc na Dursleyów, którzy zdumieni siedzieli w ciszy.

- Przypuszczałem, że zaproponuje mi pan coś do picia - powiedział profesor do wuja Vernona. - Jednak wszystko wskazuje na to, że nadzieje były płonne.

Trzy drgnięcia różdżki i zakurzona butelka wraz z pięcioma szklankami pojawiły się w powietrzu. Butelka przechyliła się i rozlała hojnie do szklanek płynu w kolorze miodu, które podleciały do każdej osoby w pomieszczeniu.

- Najlepszy miód madame Rosmerty - rzekł Dumbledore, unosząc szklankę w geście toastu ku Harry'emu, który złapał przeznaczone dla niego naczynie i upił trochę płynu. Nigdy wcześniej nie pił czegoś takiego, ale ogromnie mu smakowało. Dursleyowie rzucili sobie nawzajem krótkie, przestraszone spojrzenia i próbowali ignorować szklanki, co było nie lada wyzwaniem, gdyż szklanki co chwilę trącały ich lekko w głowy. Harry nie mógł nie dostrzec, że Dumbledore najwyraźniej dobrze się bawił.

- Więc, Harry - powiedział dyrektor, odwracając się w jego stronę - powstał problem, który mam nadzieję będziesz mógł pomóc nam rozwiązać. Poprzez nas mam na myśli Zakon Feniksa. Ale najpierw muszę ci powiedzieć, że testament Syriusza został odnaleziony tydzień temu. Zostawił ci wszystko, co posiadał. Siedzący na sofie wuj Vernon odwrócił głowę w jego stronę, ale Harry nawet na niego nie spojrział, nie mógł nawet pomyśleć o niczym, co mógłby powiedzieć.

- O, dobrze.

- To w zasadzie jest całkiem proste - kontynuował Albus. - Dorzucisz całkiem sporą sumkę na swoje konto, które znajduje się u Gringotta i odziedziczysz wszystkie jego ruchomości. Nieco problematyczną częścią dziedzictwa...

- Jego ojciec chrzestny nie żyje? - zapytał głośno wuj Vernon. Dumbledore i Harry odwrócili się w jego

stronę. Szklanka z miodem usilnie szturchała go w głowę. Mężczyzna próbował ją odtrącić.

- Nie żyje? Jego ojciec chrzestny?

- Tak - odpowiedział starszy czarodziej. Nie zapytał Harry'ego dlaczego nie ma zaufania do Dursleyów.

- Naszym problemem - kontynuował rozmowę z chłopakiem tak, jakby nikt mu nie przerywał - jest to, że Syriusz zostawił ci także Grimmauld Place 12.

- Zostawił mu dom? - zapytał chciwie wuj Vernon. Jego małe oczka zwęziły się, ale nie doczekał się odpowiedzi.

- Można go dalej używać jako kwater głównych - powiedział Harry. - Nie dbam o to. Może go pan zatrzymać, ja go nie chcę. - Potter nie chciał już nigdy więcej postawić nogi na Grimmauld Place, jeśli tylko możliwe. Myślał, że wspomnienie o Syriuszu, uwięzionym w miejscu, które tak desperacko chciał opuścić, grasującym samotnie po ciemnych, zatęchłych pokojach, będzie go już zawsze prześladowało.

- To wspaniałomyślne - rzekł dyrektor. - Jednakże, czasowo wyprowadziliśmy się z budynku.

- Dlaczego?

- Cóż - rzekł Dumbledore, ignorując mamrotania Dursleya, który dostawał efektowne szturchańce w głowę od natrętnej szklanki miodu. - Tradycja rodziny Blacków nakazuje, by dom był przekazywany w bezpośredniej linii do rąk kolejnego mężczyzny z nazwiskiem "Black". Syriusz był ostatnim z rodu, jako że jego młodszy brat Regulus zmarł przed nim, obaj byli bezdzietni. Oczywiście jest, że jego wolą było, byś ty odziedziczył dom, jednakże możliwe, że jakieś zaklęcia lub uroki chronią dom przed przejściem we władanie osoby, która nie jest czystej krwi.

Żywy obraz wrzeszczącego, plującego portretu pani Black, wiszącego w korytarzu Grimmauld Place, stanął Harry'emu przed oczami.

- Założę się, że chronią - powiedział.

- Całkiem prawdopodobne - rzekł dyrektor. - I jeżeli taki urok rzeczywiście istnieje, wtedy dom staje się własnością najstarszego żyjącego krewnego Syriusza,

czyli w tym wypadku Bellatrix Lestrange.

Nie zdając sobie sprawy z tego co robi, Harry skoczył na równe nogi, teleskop i trampki spoczywające na jego kolanach potoczyły się po podłodze. Bellatrix Lestrange, morderczyni Syriusza, miałyby odziedziczyć jego dom?

- Nie - wykrzyknął.

- Cóż, wolelibyśmy, żeby go jednak nie dostała - powiedział spokojnie Dumbledore. - Sytuacja jest skomplikowana. Nie wiemy czy zaklęcia, które rzuciliśmy na dom, na przykład to, że był nienanoszalny, przetrwają, skoro Syriusz nie jest już właścicielem. Może zdarzyć się tak, że Bellatrix przybędzie tam w każdej chwili. Oczywiście, musieliśmy się stamtąd wynieść do tego czasu i poczekać, aż cała sprawa się wyjaśni.

- Ale jak chce pan sprawdzić, czy mogę być właścicielem?

- Na szczęście - rzekł dyrektor - jest jeden prosty test. Odstawił swoją szklanę na mały stolik stojący obok fotela, ale zanim mógł zrobić cokolwiek innego, wuj Vernon krzyknął:

- Zabierze pan od nas te cholerne szklanki?!

Harry rozejrzał się. Wszyscy Dursleyowie osłaniali głowy rękami, a szklanki grzmociły ich po głowach, rozlewając wszędzie swoją zawartość.

- Och, tak mi przykro - powiedział uprzejmie Dumbledore, podnosząc raz jeszcze swoją różdżkę i wszystkie trzy szklanki zniknęły. - Ale wiecie, w dobrym tonie byłoby wypić.

Wyglądało na to, że wuj Vernon wybuchnie za chwilę niezliczoną liczbą nieprzyjemnych odpowiedzi, ale jedynie wtopił się z powrotem w poduszki na sofie obok ciotki Petunii i Dudleya, nic nie mówiąc i nie odklejając swoich świńskich oczu od różdżki Albusa.

- Widzisz - rzekł profesor, odwracając się w stronę chłopaka, zupełnie tak jakby wuj Vernon mu nie przeszkodził - jeśli rzeczywiście odziedzyczyłeś dom, odziedzyczyłeś także...

Machnął różdżką po raz piąty. Słyszeć się dało głośny

trzask i pojawił się skrzat domowy z rykowanym nosem, uszami nietoperza i olbrzymimi, przekrwionymi oczami klęczący na puszystym dywanie Dursleyów, odziany w brudne szmaty. Ciotka Petunia wydobyła z siebie jeżący włosy na głowie pisk. Niczego tak brudnego nie było w jej domu, odkąd mogła sięgnąć pamięcią. Dudley zabrał z podłogi duże, białe, różowe stopy i trzymał je niemal nad głową myśląc, że stworzenie mogłoby wdrapać się po jego spodniach od piżamy. Wuj Vernon zagrmiał:

- Co to do cholery jest?!

- Stworek - odpowiedział Dumbledore.

- Stworek nie chce, Stworek nie chce, Stworek nie chce! - zachrypiał skrzat domowy prawie tak głośno jak wuj Vernon, tupiąc nogą i ciągnąc się za uszy. - Stworek należy do panienki Bellatrix, o tak, Stworek należy do Blacków, Stworek chce swoją nową panią, Stworek nie chce iść do Pottera, Stworek nie chce, nie chce, nie chce...

- Jak widzisz, Harry - rzekł profesor głośno, przekrzykując ciągle powtarzane przez stworzenie "nie chce, nie chce, nie chce". - Stworek stawia niejaki opór, jeśli wspomina mu się o tym, że może być twoją własnością.

- Nie obchodzi mnie to - powiedział jeszcze raz chłopak, patrząc na wijącego się i tupiącego skrzata. - Nie chcę go.

- Nie chce, nie chce, nie chce...

- Wolalbyś, żeby został własnością Bellatrix Lestrange? Pamiętając, że mieszkał w kwaterze głównej Zakonu Feniksa przez ostatni rok?

- Nie chce, nie chce, nie chce...

Harry gapił się na Dumbledore'a. Wiedział, że nie można pozwolić Stworkowi na służenie Bellatrix Lestrange, ale sama myśl o tym, że może być jego właścicielem, o braniu odpowiedzialności za stworzenie, które zdradziło Syriusza, była odrażająca.

- Rozkaż mu coś - rzekł dyrektor. - Jeśli jest twoją własnością, będzie musiał posłuchać. Jeśli nie, wtedy będziemy musieli pomyśleć o innym sposobie

trzymania go z dala od jego pani.

- Nie chce, nie chce, nie chce, NIE CHCE!

Głos Stworka zmienił się w krzyk. Harry nie mógł wymyślić niczego innego prócz:

- Stworek, zamknij się!

Przez chwilę wydawało się, że Stworek się udusi. Złapał się za gardło, wargi wciąż wyginały się wściekle, a oczy wychodziły mu z orbit. Po kilku sekundach rozpaczliwego przelykania, rzucił się w końcu na dywan (ciocia Petunia jęknęła) i jał bębnić w podłogę rękami i nogami, dając się ponieść wściekłości, lecz wciąż nie wydając z siebie choćby pisku.

- Cóż, to upraszcza sytuację - powiedział wesoło Dumbledore. - Oznaczy to, że Syriusz doskonale wiedział, co robi. Jesteś prawowitym właścicielem domu na Grimmauld Place pod numerem 12, no i prawowitym właścicielem Stworka.

- Czy... Czy ja muszę go zatrzymać? Przy sobie? - spytał osłupiały Harry, Stworek wciąż wil mu się u stóp.

- Nie, jeśli nie chcesz - odparł Dumbledore. - Jeśli mogę ci coś zasugerować, możesz odesłać go do Hogwartu, może pracować w kuchni. A w ten sposób inne skrzaty będą go miały na oku.

- O, tak. - Harry odetchnął z ulgą. - Tak, tak właśnie zrobię. Eee, Stworku, idź do Hogwartu i pracuj tam w kuchni z innymi skrzatami.

Stworek, który leżał teraz płasko na plecach z wszystkimi kończynami w górze, spojrzal na Harry'ego z najgłębszą nienawiścią i z głośnym trzaskiem zniknął.

- Dobrze - podjął dyrektor. - Pozostaje jeszcze kwestia hipogryfa Hardodzioba. Hagrid zajmował się nim od śmierci Syriusza, ale Hardodziób jest teraz twoją własnością, więc jeśli chciałbyś postanowić coś innego...

- Nie - przerwał mu Harry natychmiast. - Niech zostanie z Hagridem. Myślę, że Hardodziób też by tak wołał.

- Hagrid będzie zachwycony - uśmiechnął się Dumbledore. - Strasznie się ucieszył widząc go

ponownie. Przy okazji, postanowiliśmy, że ze względu na bezpieczeństwo Hardodzioba, na jakiś czas zmienimy mu imię na Suchoskrzydły, choć osobiście nie podejrzewam, żeby Ministerstwo domyśliło się, że to hipogryf, którego swego czasu kazano uśmiercić. No dobrze, Harry, kufer spakowany?

- Hmm...

- Wątpieś, czy się zjawie? - zasugerował złośliwie.

- Ja... ja tylko muszę skończyć - odparł pośpiesznie Harry i ruszył na górę, łapiąc po drodze trampki i teleskop.

Zebranie wszystkich potrzebnych rzeczy zabrało mu niewiele więcej niż dziesięć minut. W ostatniej chwili wyciągnął spod łóżka pelerynę niewidkę, zakręcił kałamarz z atramentem zmieniającym kolor i wreszcie usiadł na wieku skrzyni, w którym za nic nie chciał zmieścić się kociołek. Po czym zszedł na dół z kufrem w jednej ręce i klatką z Hedwigą w drugiej. Rozczarował się, gdy zobaczył, że Dumbledore nie czeka na niego w przedpokoju, co oznaczało, że rad nie rad musi wrócić do salonu.

Nikt nic nie mówił. Dumbledore nucił coś cichutko, najwyraźniej całkiem się nie spiesząc. Atmosfera w pokoju była gęstsza niż zimna Nutella i Harry nie miał odwagi spojrzeć na Dursleyów, więc powiedział tylko:

- Jestem gotowy, profesorze.

- Dobrze. Zatem została nam ostatnia sprawa. - Z tymi słowami ponownie zwrócił się do Dursleyów. - Jak zapewne państwu wiadomo, w przyszłym roku Harry będzie już pełnoletni...

- Nie - przerwała mu ciotka Petunia, odzywając się po raz pierwszy od przybycia dyrektora.

- Przepraszam? - Zdziwił się uprzejmie Dumbledore.

- Nie, nie będzie pełnoletni. Jest o miesiąc młodszy od Dudleya, a Dudleyek skończy osiemnaście lat dopiero za dwa lata.

- Och - odparł łagodnie Dumbledore. - W świecie czarodziejów pełnoletność osiąga się z ukończeniem siedemnastego roku życia.

- Bzdura - mruknął wuj Vernon, ale Dumbledore

zignorował go całkowicie.

- Jak zapewne państwo wiedzą, czarodziej zwany Lordem Voldemortem powrócił do kraju. Społeczeństwo czarodziejskie jest teraz w stanie otwartej wojny. Harry, którego Lord Voldemort wielokrotnie usiłował zabić, jest teraz w większym niebezpieczeństwie niż w dniu, gdy zostawiłem go na waszym progu, piętnaście lat temu, z listem wyjaśniającym okoliczności morderstwa jego rodziców oraz prośbą, żebyście troszczyli się o niego, jakby był waszym synem.

Dumbledore przerwał i mimo że ani nie zmienił tonu głosu, ani nie zdradzał jakichś szczególnych oznak złości, Harry poczuł nagle emanujący od niego przedziwny chłód i spostrzegł, że Dursleyowie zbliżyli się do siebie.

- Nie usłuchaliście mojej prośby. Nigdy nie traktowaliście Harry'ego jak syna. Nie dostał od was niczego, poza lekceważeniem i okrucieństwem. Jedyne, co można wam przyznać to to, że dzięki temu uniknął tej szkody, którą wyrządziliście temu nieszczęśliwemu, który siedzi między wami.

Zarówno ciotka Petunia, jak i wuj Vernon obejrzeli się instynktownie, jakby mieli nadzieję zobaczyć między sobą kogoś innego, niż Dudleya.

- My...? Skrzywdziliśmy Dudleya? Co to ma... - zaczął wuj Vernon wściekle, ale Dumbledore uniósł ostrzegawczo palec i zapadła cisza, jakby wuj Vernon oniemiał.

Magia, której użyłem piętnaście lat temu zapewnia Harry'emu potężną ochronę, dopóki może to miejsce nazywać "domem". Jakkolwiek nieszczęśliwy tu był, jakkolwiek niechciany i źle traktowany, przynajmniej dawaliście mu dach nad głową. Ta magia wygaśnie, kiedy Harry skończy lat siedemnaście, innymi słowy, kiedy stanie się dorosły. Proszę was tylko o to, byście pozwolili Harry'emu wrócić raz jeszcze do tego domu przed siedemnastymi urodzinami, co zapewni mu ochronę do tego czasu.

Nikt z Dursleyów nie odrzekł słowa. Dudley wciąż

marszczył brwi tak, jakby intensywnie zastanawiał się, kiedy to został tak źle potraktowany. Wuj Vernon sprawiał wrażenie, jak gdyby coś utkwilo mu w gardle, a twarz ciotki Petunii była dziwnie czerwona.

- Cóż, Harry, czas na nas. - Dumbledore wstał i poprawił swą długą, czarną pelerynę. - Do zobaczenia - skłonił się grzecznie Dursleyom, którzy nie odpowiedzieli nic, a ich miny mówiły dobitnie, że jeśli o nich chodzi, to ten moment może nigdy nie nadejść. Dumbledore opuścił pokój.

- No to cześć - powiedział Harry i pospieszył za dyrektorem, który już czekał przy kufrze Harry'ego, na którym tkwiła klatka z Hedwigą.

- Nie chcemy chyba, żeby w tej chwili nas obciążały - rzekł, wyciągając różdżkę. - Wyślę je bezpośrednio do Nory, będą tam na nas czekały. Jednak wolałbym, żebyś wziął ze sobą swoją pelerynę niewidkę... Tak na wszelki wypadek.

Harry wyciągnął pelerynę z kufra z niejaką trudnością, usiłując nie pokazać Dumbledore'owi, jaki wielki ma w środku bałagan. Kiedy wreszcie upchnął pelerynę w wewnętrznej kieszeni kurtki i na powrót domknął kufer, Dumbledore machnął różdżką i kufer, klatka i Hedwiga zniknęły. Dumbledore wykonał kolejny ruch różdżką i drzwi frontowe otworzyły się, ukazując chłodną, mglistą ciemność.

- A teraz, Harry, pójdźmy w noc na spotkanie tej kapryśnej kusicielki, przygody.

Tłumaczył Robal



Horacy Slughorn

Pomimo tego, że każdą chwilę ubiegłych kilku dni spędził w desperackiej nadziei, że Dumbledore rzeczywiście go stąd zabierze, Harry wyraźnie czuł się nieswojo, gdy wspólnie opuszczali Privet Drive. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z dyrektorem poza murami Hogwartu, zazwyczaj dzieliło ich biurko. Napływało także wspomnienie ich ostatniego, prywatnego spotkania i raczej umacniało skrepowanie Harry'ego. Dużo wtedy krzyczał, nie mówiąc już o strzaskaniu kilku wartościowych rzeczy Dumbledore'a.

Dumbledore wydawał się zupełnie spokojny.

- Trzymaj różdżkę w pogotowiu, Harry - powiedział pogodnie.

- Myślałem, że nie wolno mi używać magii poza szkołą?

- Jeśli ktoś cię zaatakuje - oznajmił Dumbledore - masz moje pozwolenie na użycie każdego przeciwzakęcia czy klątwy, jaka przyjdzie ci do głowy. Aczkolwiek nie wydaje mi się, byś musiał się martwić o dzisiejszy wieczór.

- Dlaczego nie, panie dyrektorze?
- Jesteś ze mną - odpowiedział po prostu Dumbledore.
- To wystarczy.

Zatrzymał się gwałtownie przy końcu Privet Drive.

- Nie zdałeś jeszcze egzaminu umożliwiającego teleportację - stwierdził.

- Nie - odparł Harry. - Chyba trzeba mieć siedemnaście lat?

- Zgadza się - przyznał Dumbledore. - Będziesz więc musiał bardzo mocno trzymać mnie za ramię. Lewe, jeśli laska, jak zauważyłeś, ręka, która ma moc jest w tej chwili nieco delikatna.

Harry złapał wyciągnięte przedramię Dumbledore'a.

- Dobrze - powiedział Dumbledore. - Ruszajmy.

Harry miał wrażenie, że ręka Dumbledore'a mu ucieka, więc wzmocnił uścisk, potem wszystko stało się czernią, poczuł napór ze wszystkich stron, nie mógł oddychać, wokół jego klatki piersiowej zaciskały się żelazne obręcze, gałki oczne zostały wciśnięte w głąb głowy, bębniaki słuchowe wpychane były do środka czaszki i wtedy...

Nabrał głęboko chłodnego, nocnego powietrza i otworzył lżawiające oczy. Czuł się zupełnie tak, jakby właśnie przeciągnięto go przez bardzo ciasną, gumową rurę. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że Privet Drive zniknęła. On i Dumbledore stali teraz w miejscu wyglądającym na opuszczony wioskowy plac, pośrodku którego znajdowały się stary pomnik, upamiętniający wojennych bohaterów i kilka ławek. Gdy zdolność rozumienia dogoniła zmysły, Harry uświadomił sobie, że właśnie po raz pierwszy w życiu teleportował się.

- Wszystko w porządku? - zapytał Dumbledore, spoglądając na niego z troską. - Trochę czasu mija, zanim się człowiek przyzwyczai.

- Nic mi nie jest - oparł Harry, pocierając uszy, które jakby niechętnie opuściły Privet Drive. - Chyba jednak wolę miotły...

Dumbledore uśmiechnął się, poprawił pod szyją płaszcz podróżny i powiedział:

- Tędy.

Szedł różnym krokiem, minął pusty zajazd i kilka domów. Według zegara na pobliskim kościele była prawie północ.

- Powiedz mi, Harry - rzekł Dumbledore. - Twoja blizna... dokuczala ci ostatnio?

Harry bezwiednie uniósł dłoń do czoła i potarł znak w kształcie błyskawicy.

- Nie - odparł - i zastanawia mnie to. Myślałem, że teraz przez cały czas będzie piekła, skoro Voldemort odzyskał swoją moc.

Spojrzał na Dumbledore'a i ujrzał na jego twarzy wyraz zadowolenia.

- Ja, z drugiej strony, myślałem coś zupełnie innego - powiedział Dumbledore. - Lord Voldemort wreszcie zdał sobie sprawę, jak niebezpieczny był dostęp do jego myśli i uczuć, których doświadczałeś razem z nim. Wydaje się, że teraz stosuje przeciw tobie oklumencję.

- Cóż, nie narzekam - stwierdził Harry, który rzeczywiście nie tęsknił ani za niepokojącymi snami, ani za nagłymi przebłyskami myśli Voldemorta.

Wyszli za róg, minęli budkę telefoniczną i przystanek. Harry znów spojrzał z ukosa na Dumbledore'a.

- Panie profesorze?

- Tak?

- Ee... gdzie my tak właściwie jesteśmy?

- To, Harry, jest urocza wioska Budleigh Babberton.

- A co tu robimy?

- A tak, oczywiście, nie powiedziałem ci - rzekł Dumbledore. - Cóż, nie wiem sam, ile razy mówiłem to w ciągu ostatnich lat, ale, po raz kolejny, brakuje nam jednego członka grona nauczycielskiego. Jesteśmy tu, by namówić mojego dawnego kolegę, by wrócił z emerytury do Hogwartu.

- Jak ja mogę w tym pomóc?

- Och, jestem pewien, że się przydasz - rzucił ogólnikowo Dumbledore. - W lewo, Harry.

Szli teraz stromą, wąską uliczką otoczoną domami. Wszystkie okna były ciemne. Dziwny chłód, który

przez ostatnie dwa tygodnie panował na Privet Drive, dało się odczuć również tutaj. Myśląc o dementorach, Harry zerknął przez ramię i ścisnął w kieszeni różdżkę.

- Panie profesorze, dlaczego nie teleportowaliśmy się do domu pańskiego kolegi?

- Ponieważ byłoby to równie niegrzeczne, jak wyważanie frontowych drzwi - odparł Dumbledore. Uprzejmość wymaga, by dać innym czarodziejom możliwość, by nas nie przyjęli. Poza tym wiele siedzib czarodziejskich jest magicznie chronionych przed teleportacją. W Hogwarcie na przykład...

- ... nie można się teleportować ani w budynku, ani na błoniach - powiedział Harry szybko. - Hermione Granger mi powiedziała.

- I miała rację. Znow w lewo.

Zegar kościelny wybił za ich plecami północ. Harry zastanowił się, dlaczego Dumbledore nie uważa za niegrzeczne tak późne wizyty, ale teraz, gdy nawiązali już rozmowę, miał ważniejsze pytania.

- Czytałem w *Proroku Codziennym*, że zwolniono Knota...

- Zgadza się - powiedział Dumbledore, wchodząc w boczną uliczkę. - Zastąpił go, co też pewnie wiesz, Rufus Scrimgeour, były szef Biura Aurorów.

- Czy on... Myśli pan, że jest dobry? - spytał Harry.

- Interesujące pytanie - zadumał się Dumbledore. - Na pewno jest zdolny. Bardziej zdecydowany i silniejszy niż Korneliusz.

- Tak, ale miałem na myśli...

- Wiem, co miałeś na myśli. Rufus jest człowiekiem czynu i, walcząc przez większość życia zawodowego z mrocznymi czarodziejami, nie lekceważy Lorda Voldemorta.

Harry czekał, ale Dumbledore nie powiedział nic na temat sprzeczki, o której donosił *Prorok Codzienny*, a że nie miał wystarczająco odwagi, by poruszyć ten temat, zmienił go.

- Proszę pana... czytałem o pani Bones.

- Tak - powiedział Dumbledore cicho. - Okropna strata. Była wspaniałą wiedźmą. Teraz tutaj, tak mi się

wydaje... auć.

Wskazał zranioną dłoń.

- Panie profesorze, co się stało z pańską...?

- Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia - oznajmił Dumbledore. - To wstrząsająca opowieść, a chciałbym odpowiednio ją przekazać.

Uśmiechnął się do Harry'ego, który pojął, że nie utarło mu właśnie nosa, i że wciąż może zadawać pytania.

- Dostałem sową ulotkę z Ministerstwa Magii, o środkach bezpieczeństwa, jakie powinniśmy wszyscy podjąć przeciw śmierciożercom...

- Tak, ja też taką otrzymałem - powiedział Dumbledore, wciąż się uśmiechając. - Uważasz, że jest przydatna?

- Nie bardzo.

- Tak myślałem. Nie zapytałeś mnie na przykład, jaki jest mój ulubiony smak dżemu, by sprawdzić, czy rzeczywiście jestem profesorem Dumbledore'em, a nie kimś podającym się za niego.

- Nie... - zaczął Harry, niezupełnie pewien, czy został właśnie skarcony, czy nie.

- Na przyszłość, Harry, malinowy... choć oczywiście, gdybym był śmierciożercą musiałbym dowiedzieć się, jaki lubię smak, zanim zacząłbym się za siebie podawać.

- Ee... racja - stwierdził Harry. - Na ulotce pisało coś o Inferich. Co to dokładnie jest? Nie podano dokładnych informacji.

- To zwłoki - oznajmił spokojnie Dumbledore. - Martwe ciała, które zczarowano, by spełniały rozkazy mrocznych czarodziejów. Nie widziano Inferich od dawna, odkąd Voldemort miał pełnię swej mocy ostatnim razem... Zabił wystarczająco dużo ludzi, by stworzyć sobie armię. To tutaj, Harry, dokładnie...

Zbliżyli się do małego, przyjemnego, kamiennego domu z ogródkiem. Harry był zbyt zajęty przyswajaniem sobie przerażającej wiedzy o Inferich, by zwracać uwagę na cokolwiek innego, ale gdy doszli do frontowej bramy, Dumbledore zatrzymał się gwałtownie i Harry wpadł na niego.

- Ojej. Ojej, ojej, ojej.

Harry podążył za jego wzrokiem wzdłuż starannie utrzymanej ścieżki i poczuł, że jego serce zamiera. Drzwi wejściowe wisiały na zawiasach.

Dumbledore spojrział w stronę obu krańców ulicy. Wydawała się zupełnie pusta.

- Różdżka w dłoń i za mną, Harry - powiedział cicho.

Otworzył bramę i szybko, choć cicho, z Harrym tuż za plecami, podążył ścieżką, a potem bardzo powoli pchnął drzwi, unosząc jednocześnie różdżkę.

- *Lumos*.

Koniec różdżki rozjarzył się, rzucając światło na wąski przedpokój. Na lewo znajdowały się kolejne drzwi. Z różdżką wciąż w górze Dumbledore wszedł do bawialni, a Harry zaraz za nim.

Ich oczom ukazał się obraz nędzy i rozpacz. Drewniany zegar leżał rozbity u ich stóp, jego tarcza była pęknięta, a wahadło leżało nieopodal niczym upuszczony miecz. Pianino znajdowało się niedaleko, przewrócone na bok, z klawiszami rozsypanymi po podłodze. Szczałki zrzuconego kandelabru zaraz za nim. Poduszki były zgniecione, pierze wysypywało się z rozdarć, wszędzie wałowały się kawałki szkła i porcelany. Dumbledore uniósł różdżkę jeszcze wyżej i światło padło na ściany, których tapetę spryskano czymś ciemnoczerwonym i lepkim. Harry ze świstem nabral powietrza i dyrektor odwrócił się.

- Niezbyt piękne, prawda? - powiedział ciężko. - Tak, wydarzyło się tu coś okropnego.

Dumbledore ostrożnie przesunął się na środek pokoju, oglądając pobojuwisko, jakie miał pod stopami. Harry poszedł za nim, rozglądając się wokół, na pół przestraszony tym, co mogło kryć się za szczątkami pianina czy przewróconej sofy, ale nigdzie nie widział śladu ciała.

- Może walczyli i... i zabrali go, panie profesorze? - zasugerował, usiłując nie wyobrażać sobie, jak mocno zraniony musiał być człowiek, by zostawić takie ślady na ścianach.

- Nie wydaje mi się - odparł cicho Dumbledore,

spoglądając za przewrócony fotel.

- To znaczy, że on...?

- Wciąż jest gdzieś tutaj? Tak.

I bez ostrzeżenia Dumbledore schylił się, zatapiając czubek różdżki w siedzeniu fotela, który wrzasnął:

- Auć!

- Dobry wieczór, Horacy - powiedział Dumbledore, prostując się.

Szczęka Harry'ego opadła. Tam, gdzie ułamek sekundy wcześniej znajdował się fotel, kucal teraz nadzwyczaj otyły, łysy, stary mężczyzna, masując podbrzusze i patrząc na Dumbledore'a zmrużonymi wodnistymi oczami, w których czaiła się uraza.

- Nie musiałeś wciskać tej różdżki tak mocno - stwierdził szorstko, wstając. - Bolało.

Światło błyszczało na jego łysinie, wytrzeszczonych oczach, ogromnych, srebrnych wąsach, nadających mu wygląd morsa, i wypolerowanych guzikach aksamitnej, bordowej kamizelki, założonej na jedwabną, liliową piżamę. Czubkiem głowy ledwo sięgał Dumbledore'owi do podbródka.

- Co mnie zdradziło? - burknął, kiwając się i wciąż pocierając podbrzusze. Wydawał się być wyjątkowo mało speszony, jak na człowieka, którego właśnie zdemaskowano po tym, jak udawał fotel.

- Mój drogi Horacy - powiedział Dumbledore z rozbawieniem - gdyby śmierciożercy rzeczywiście tu byli, zostawiliby nad domem Mroczny Znak.

Czarodziej klepnął się pulchną dłonią w szerokie czoło.

- Mroczny Znak - wymamrotal. - Wiedziałem, że coś... cóż. I tak bym nie zdążył, kończyłem tapicerkę, kiedy weszliście do pokoju.

Westchnął głęboko, a czubki jego wąsów zafalowały.

- Przyjmiesz moją pomoc przy sprzątaniu? - spytał uprzejmie Dumbledore.

- Proszę - odpowiedział mężczyzna.

Stanęli odwrócenymi plecami: wysoki, szczupły czarodziej i niski, okrągły, i machnęli różdżkami w identycznym ruchu.

Meble odskoczyły na właściwe im miejsca, ornamenty uformowały się w powietrzu, pierze wleciało z powrotem w poduszki, rozdarte książki naprawiły się, lądując na półkach, lampy naftowe wskoczyły na boczne stoliki i zapłonęły, obszerna kolekcja rozbitych srebrnych ramek przeleciała z blaskiem przez pokój i osiadła, cała i nietknięta, na biurku, zniknęły rozdarcia, pęknięcia i dziury, a ściany wyczyściły się same.

- A tak przy okazji, co to była za krew? - spytał Dumbledore głośno, gdy zreperowany zegar stojący wygrał kurant.

- Na ścianach? Smocza - zawołał czarodziej nazwany Horacym, gdy, z ogłuszającym zgrzytem i brzęczeniem, kandelabr wkręcił się z powrotem w sufit.

Ostatnie *brzdęk* ze strony pianina i zapadła cisza.

- Tak, smocza - powtórzył czarodziej konwersacyjnym tonem. - Ostatnia butelka, a ceny są aktualnie niebotyczne. Ale można będzie jej użyć ponownie.

Na sztywnych nogach poszedł po małą, kryształową butelkę, stojącą na szafce, i uniósł do światła, oceniając płyn wewnątrz.

- Hmm. Trochę zakurzona. Odstawił butelkę i westchnął. Wtedy jego wzrok spoczął na Harrym.

- Oho - powiedział, a jego wielkie, okrągłe oczy powędrowały do czoła Harry'ego i blizny w kształcie błyskawicy. - Oho!

- To - oznajmił Dumbledore, przesuając się do przodu celem dokonania prezentacji - jest Harry Potter. Harry, to mój stary przyjaciel i kolega z pracy, Horacy Slughorn.

Slughorn odwrócił się do Dumbledore'a z chytrym wyrazem twarzy.

- Więc tak chciałeś mnie przekonać, prawda? Cóż, odpowiedź brzmi: nie, Albusie.

Minął Harry'ego, nie patrząc w jego stronę, a jego twarz wyrażała próbę oparcia się pokusie.

- Możemy przynajmniej się napić? - zapytał Dumbledore. - Za stare, dobre czasy?

Slughorn zawahał się.

- W porządku, jeden drink - zgodził się niechętnie.

Dumbledore uśmiechnął się do Harry'ego i wskazał mu krzesło, bardzo podobne do tego, które dopiero co udawał Slughorn, stojące obok płonącego kominka i jarzącej się lampy naftowej.

Harry zajął miejsce z wyraźnym wrazeniem, że Dumbledore - z jakiegoś powodu - chce uczynić go możliwie jak najbardziej widocznym. Kiedy Slughorn, zajęty do tej pory karafkami i kielichami, znów spojrzął na pokój, jego oczy momentalnie spoczęły na Harrym.

- Hmpf - powiedział, odwracając wzrok tak szybko, jakby bał się urazić oczy. - Proszę. - Podał drinka Dumbledore'owi, który usiadł był bez zaproszenia, przesunął tacę do Harry'ego, a potem zapadł między poduszki naprawionej sofy i pełne niezadowolenia milczenie. Jego nogi były tak krótkie, że nie dotykał nimi podłogi.

- Jak ci się powodzi, Horacy? - zapytał Dumbledore.

- Nie za dobrze - odparł od razu Slughorn. - Płuca mi dokuczają. I reumatyzm. Nie mogę się poruszać tak, jak kiedyś. No, ale tego należało oczekiwać. Stary wiek. Zmęczenie.

- A jednak musiałeś poruszać się bardzo szybko, by zgotować nam takie powitanie, w tak krótkim czasie - zauważył Dumbledore. - Nie mogłeś mieć więcej niż trzy minuty?

Na pół z irytacją, na pół z dumą Slughorn powiedział:

- Dwie. Nie słyszałem, że włączył się Czar Intruzów, brałem kąpiel. Jednak - dodał surowo, odzyskując powagę - fakty są faktami: jestem starym człowiekiem, Albusie. Starym, zmęczonym człowiekiem, który zasłużył na spokojne życie i kilka wygod.

Te z pewnością miał, pomyślał Harry, rozglądając się po pomieszczeniu. Pokój był staroświecki i zagracony, jednak nikt nie mógł powiedzieć, że nie był wygodny, znajdowały się w nim miękkie krzesła i podnóżki, napoje i książki, pudełka czekoladek i puchate poduszki. Gdyby Harry nie wiedział, kto tu mieszka, stawałby na bogatą, grymaśną staruszkę.

- Nie jesteś jeszcze taki stary jak ja, Horacy - powiedział Dumbledore.

- Cóż, może więc sam powinieneś pomyśleć o emeryturze - odparł Slughorn bez ogródek. Jego jasne, agrestowe oczy odszukały zranioną dłoń Dumbledore'a. - Widzę, że i refleks już nie ten co dawniej.

- Masz zupełną rację - oznajmił łagodnie Dumbledore, odciągając rękaw, by pokazać koniuszki spalonych i pociemniałych palców. Ich widok wywołał nieprzyjemne mrowienie na karku Harry'ego. - Bez wątpienia jestem wolniejszy, niż byłem. Z drugiej strony...

Wzruszył ramionami i rozłożył szeroko ręce, jakby chciał powiedzieć, że wiek wynagradza mu w czym innym, i Harry zauważył na zdrowej ręce pierścień, którego nigdy wcześniej nie widział, by Dumbledore nosił: spory, raczej niezdarnie wykonany ze złota, z dużym czarnym kamieniem, pękniętym we środku. Oczy Slughorna również na chwilę przywarły do pierścienia i Harry zobaczył, jak lekko marszczy się jego szerokie czoło.

- Wszystkie te zabezpieczenia przed intruzami, Horacy... to dla śmierciożerców czy dla mnie? - spytał Dumbledore.

- Czego chcieliby śmierciożercy od takiego biednego, zwichrowanego niedołęgi, jak ja? - zapytał Slughorn.

- Podejrzewam, że chcieliby wykorzystać twoje wyjątkowe talenty do zmuszania, torturowania i mordowania - odparł Dumbledore. - Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie usiłowali cię jeszcze zwerbować?

Slughorn przez chwilę patrzył na Dumbledore'a złowrogo, po czym wymamrotał:

- Nie dałem im szansy. Od roku jestem w ciągłym ruchu. Nie zostaję w jednym miejscu dłużej niż tydzień. Przeprowadzam się z jednego mugolskiego domu do drugiego - właściciele tego są na wakacjach na Wyspach Kanaryjskich. Bardzo tu miło, żal mi będzie wyjeżdżać. Jak raz wypracujesz metodę, później

jest łatwo: jedno zwykle zaklęcie zamrażające na te ich absurdalne alarmy, których używają zamiast fałszoskopów i możesz być pewien, że sąsiedzi nie zauważą, jak wnosisz pianino.

- Pomysłowe - przyznał Dumbledore. - Ale wydaje się na dość męczącą egzystencją dla zwichrowanego niedołęgi, który szuka spokojnego życia. Gdybyś wrócił do Hogwartu...

- Jeśli zamierzasz powiedzieć mi, że moje życie będzie spokojniejsze w tej pierońskiej szkole, możesz sobie darować, Albusie! Być może się ukrywam, ale słyszałem kilka zabawnych pogłosek, odkąd odeszła Dolores Umbridge! Jeśli tak traktujecie obecnie nauczycieli...

- Profesor Umbridge naraziła się naszemu stadu centaurów - oznajmił Dumbledore. - Wydaje mi się, Horacy, że ty nie wbiegłbyś do lasu, nazywając horde centaurów "plugawymi mieszkańcami".

- Tak zrobiła, prawda? - powiedział Slughorn.

- Idiotka. Nigdy jej nie lubiłem.

Harry zachichotał i Dumbledore ze Slughornem obrócili się, by na niego spojrzeć.

- Przepraszam - rzekł szybko Harry. - Znaczy się... ja też jej nie lubiłem.

Dumbledore podniósł się raczej gwałtownie.

- Wychodzicie? - spytał natychmiast Slughorn z nadzieją.

- Nie, zastanawiałem się, czy mogę skorzystać z łazienki - odrzekł Dumbledore.

- Och - Slughorn był wyraźnie rozczarowany. - Drugie drzwi na lewo w przedpokoju.

Dumbledore wyszedł z pokoju. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, zapadła cisza. Po kilku chwilach Slughorn wstał, ale wydawał się nie wiedzieć, czym się zająć. Rzucił Harry'emu ukradkowe spojrzenie, po czym podszedł do kominka i odwrócił do niego plecami, grzejąc obszerny tył.

- Nie myśl, że nie wiem, dlaczego cię tu przyprowadził - powiedział nagle.

Harry tylko spojrział na niego. Wodniste oczy

Slughorna zsunęły się po bliźnie Harry'ego, tym razem zajmując się jego twarzą.

- Wyglądasz zupełnie jak ojciec.

- Tak mi powiedziano - odparł Harry.

- Za wyjątkiem oczu. Masz...

- Oczy mamy, wiem. - Harry słyszał to tak często, że zaczynało go nużyć.

- Hmpf. Tak, cóż. Nauczyciel nie powinien mieć ulubieńców, to oczywiste, ale ona była moim. Twoja matka - dodał Slughorn w odpowiedzi na pytające spojrzenie Harry'ego. - Lily Evans. Jedna z najbystrzejszych osób, jakich kiedykolwiek uczyłem. Bardzo żywiołowa. Urocza dziewczyna. Zawsze jej mówiłem, że powinna być w moim Domu. Zawsze dostawałem bardzo bezczelne odpowiedzi.

- Który był pana Dom?

- Byłem opiekunem Slytherinu - powiedział Slughorn.

- Och, nie - zawołał szybko, widząc wyraz twarzy Harry'ego i wyciągając w jego stronę krótki, gruby palec - nie używaj tego przeciwko mnie! Jesteś Gryfonem, jak ona, prawda? Tak, zwykle to się dziedziczy. Chociaż nie zawsze. Słyszałeś kiedykolwiek o Syriuszu Blacku? Musiałeś słyszeć... sporo go było w gazetach ostatnimi laty... zginął kilka tygodni temu... Harry poczuł, jakby niewidzialna ręka ścisnęła jego wnętrzności i mocno trzymała.

- Cóż, w każdym razie był wielkim kumplem twojego ojca.

Cała rodzina Blacka była w moim Domu, ale Syriusz skończył w Gryffindorze! Szkoda... był utalentowanym chłopakiem. Dostałem jego brata, Regulusa, kiedy już się pojawił, ale wołałbym komplet.

Brzmiał jak entuzjastyczny kolekcjoner, którego przelicytowano na aukcji. Najwyraźniej zagubiony we wspomnieniach, patrzył na przeciwną ścianę, obracając się lekko w miejscu, by równomiernie ogrzać plecy.

- Twoja matka pochodziła z mugolskiej rodziny, oczywiście. Nie mogłem w to uwierzyć, gdy się dowiedziałem. Byłem pewien, że musi być czystej krwi, była taka dobra.

- Moja najlepsza przyjaciółka pochodzi z mugolskiej rodziny - powiedział Harry. - I jest najlepsza na roku.
- Zabawnie się czasami dzieje, nieprawdaż? - spytał Slughorn.

- Niezupełnie - odparł Harry chłodno.

Slughorn spojrział na niego zdumiony.

- Nie możesz myśleć, że jestem uprzedzony! - zawołał.

- Nie, nie, nie! Czy nie powiedziałem dopiero co, że twoja matka była jednym z moich ulubionych uczniów? Był też Dirk Cresswell, rok po niej, aktualnie szef Biura Współpracy z Goblinami, kolejny z mugolskiej rodziny, bardzo utalentowany uczeń, wciąż dostarcza mi informacji, co się dzieje u Gringotta!

Zakolysał się lekko w przód i w tył, uśmiechając z samozadowoleniem, i wskazał na błyszczące fotografie na kredensie, każda zapełniona malutkimi, ruszającymi się ludźmi.

- Wszystkie od moich byłych studentów, wszystkie z dedykacjami. Zauważysz Barnabę Cuffe'a, wydawcę *Proroka Codziennego*, zawsze jest zainteresowany moją opinią na temat wiadomości. I Ambroży Flume, z Miodowego Królestwa - mam od niego koszyk na każde urodziny, a wszystko dlatego, że przedstawiłem go Cyceronowi Harkissowi, który dał mu pierwszą pracę! A tam z tyłu - musisz wyciągnąć szyję - to Gwenog Jones, który przecież prowadzi Harpie z Holyhead... Ludzie zawsze się dziwią, że znam się tak dobrze z Harpiami i mam bilety, kiedykolwiek zechcę!

Ta myśl zdała się nadzwyczajnie go rozweselić.

- I wszyscy ci ludzie wiedzą, gdzie pana znaleźć, dokąd wszystko panu wysłać? - spytał Harry, który nie mógł przestać zastanawiać się, dlaczego śmierciożercy jeszcze nie wyśledzili Slughorna, skoro mogły go odnaleźć koszyki łakoci, bilety na mecze quidditcha i goście, pragnący rady i opinii.

Uśmiech spłynął w twarzy Slughorna tak szybko, jak krew ze ścian jego domu.

- Oczywiście, że nie - powiedział, spoglądając na Harry'ego. - Od roku nie mam z nikim kontaktu.

Harry miał wrażenie, że te słowa zaszokowały samego

Slughorna. Przez chwilę wyglądał dość niepewnie. Potem wzruszył ramionami.

- Jednak... w takich czasach rozważny czarodziej trzyma głowę nisko. Dumbledore'owi łatwo mówić, ale przyjęcie teraz posady w Hogwarcie byłoby równoznaczne z publicznym wyznaniem przynależności do Zakonu Feniksa! I choć jestem pewien, że są naprawdę cudowni, odważni i tak dalej, osobiście nie podoba mi się poziom moralny...

- Nie musi pan wstępować do Zakonu, by uczyć w Hogwarcie - zawołał Harry, który nie potrafił przegnać z głosu nuty szyderstwa: ciężko było współczuć wygodnej egzystencji Slughorna, gdy wspominał Syriusza kryjącego się w jaskiniach i żywiącego szczurami. - Większość nauczycieli do niego nie wstąpiła, a żaden nigdy nie został zabity. No, poza Quirrellem, ale ten dostał za swoje, skoro pracował dla Voldemorta.

Harry był pewien, że Slughorn jest jednym z tych czarodziejów, którzy nie znoszą, gdy imię Voldemorta wymawia się na głos, i nie rozczarował się: Slughorn drgnął i wydał okrzyk protestu, który Harry zignorował.

- Myślę, że personel jest bardziej bezpieczny niż większość ludzi, dopóki Dumbledore jest dyrektorem. Jest jedynym, którego Voldemort zawsze się bał, prawda? - ciągnął.

Slughorn przez moment czy dwa patrzył w przestrzeń: wydawał się rozważać słowa Harry'ego.

- Cóż, tak, to prawda, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać nigdy nie szukał walki z Dumbledore'em - wymamrotał niechętnie. - I podejrzewam, iż ktoś mógłby argumentować, że skoro nie dołączyłem do śmierciożerców, Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać raczej nie będzie uważał mnie za przyjaciela... A w takim wypadku byłbym bezpieczniejszy trochę bliżej Albusa... Nie mogę udawać, że śmierć Amelii Bones mną nie wstrząsnęła... Jeśli ona, ze wszystkimi swoimi kontaktami w ministerstwie i ochroną...

Dumbledore wkroczył do pokoju i Slughorn podskoczył, jakby zapomniał, kogo gości w domu.

- Och, jesteś, Albusie - powiedział. - Długo cię nie było. Żołądek?

- Nie, czytałem sobie mugolskie magazyny - odparł Dumbledore. - Naprawdę uwielbiam ich wzory dzianin. Cóż, Harry, wystarczająco długo nadużywaliśmy gościnności Horacego, myślę, że musimy już iść.

Harry bardzo chętnie zerwał się na nogi. Slughorn sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Wychodzicie?

- W rzeczy samej. Umiem poznać przegraną sprawę, gdy ją widzę.

- Stracony...?

Slughorn wydawał się poruszony. Kręcił się i wiercił, obserwując, jak Dumbledore zakłada płaszcz podróżny, a Harry zapina kurtkę.

- Przykro mi, że nie chcesz tej roboty, Horacy - powiedział Dumbledore, unosząc zdrową rękę w geście pożegnania. - Hogwart z przyjemnością by cię znów powitał. Jednak, pomimo naszych zwiększonych środków bezpieczeństwa, zawsze ucieszymy się z twoich wizyt, jeśli tylko zechcesz przyjechać.

- Tak... cóż... bardzo to łaskawe... rzekłbym...

- Do zobaczenia więc.

- Do widzenia - powiedział Harry.

Byli przy frontowych drzwiach, gdy dobiegł ich krzyk z tyłu.

- W porządku, w porządku, zrobię to!

Dumbledore odwrócił się i ujrzał Slughorna stojącego bez tchu na progu bawialni.

- Porzucisz emeryturę?

- Tak, tak - zawołał niecierpliwie Slughorn.

- Muszę być szalony, ale tak.

- Cudownie - oznajmił rozpromieniony Dumbledore.

- W takim razie, Horacy, zobaczymy się pierwszego września.

- Tak, tego możesz być pewien - burknął Slughorn.

Kiedy szli ścieżką przez ogród, doleciał ich głos Slughorna:

- Będę chciał podwyżkę, Dumbledore!

Dumbledore zachichotał. Brama zamknęła się za nimi i ruszyli w drogę powrotną ze wzgórza, w ciemności i wirującej mgle.

- Dobra robota, Harry - powiedział Dumbledore.

- Nic nie zrobiłem - odparł Harry zdumiony.

- Ależ tak, zrobiłeś. Pokazałeś Horacemu, ile dokładnie może zyskać na powrocie do Hogwartu. Lubisz go?

- Ee...

Harry nie był pewien, czy lubi Slughorna czy nie. Podejrzewał, że na swój sposób jest miły, ale wydawał się również próżny i o wiele za bardzo zaskoczony faktem, że dziewczyna z mugolskiej rodziny mogła być dobrą czarownicą, jakkolwiek by tego nie wyjaśniał.

- Horacy - powiedział Dumbledore, zwalniając Harry'ego z obowiązku wyjawienia jego myśli - ceni sobie wygody. Ceni też towarzystwo ludzi sukcesu, znanych i ważnych. Podoba mu się świadomość, że wpływa na innych. Sam nigdy nie chciał zajmować tronu, woli krzesła z tyłu - więcej miejsca, by się rozciągnąć. Zawsze miał swoich ulubieńców w Hogwarcie, czasami ze względu na ich ambicję albo inteligencję, czasami urok czy zdolności, i posiadał niesamowity talent wybierania tych, którzy w przyszłości osiągną wybitne pozycje w swoich dziedzinach. Horacy stworzył niemal klub swoich faworytów, z sobą w centrum, przedstawiając, nawiązując kontakty pomiędzy członkami i zawsze czerpiąc jakąś korzyść w zamian, czy było to pudełko jego ulubionych kandyzowanych ananasów, czy możliwość rekomendacji kolejnego członka Biura Współpracy z Goblinami.

W umyśle Harry'ego pojawił się nagle żywy obraz wielkiego, nabrzmiałego pająka, przędącego wokół siebie sieć, dodającego tu i ówdzie nić, która złowi dla niego więcej wielkich i soczystych much.

- Mówię ci to wszystko - kontynuował Dumbledore

- nie by nastawić cię przeciw Horacemu - czy, jak musimy go teraz nazywać, profesorowi Slughornowi

- ale byś miał się na baczności. Bez wątpienia będzie chciał cię przyciągnąć, Harry. Byłbyś ozdobą jego kolekcji: Chłopiec, Który Przeżył... czy, jak teraz na ciebie mówią, Wybraniec.

Na te słowa Harrym zawładnął chłód, nie mający nic wspólnego z otaczającą mgłą. Przypomniały mu się słowa, które usłyszał kilka tygodni temu, słowa, które miały dla niego straszliwe i konkretne znaczenie: *Żaden nie może żyć, gdy drugi przeżyje...*

Dumbledore zatrzymał się, zrównawszy z kościołem, który mijali wcześniej.

- Wystarczy, Harry. Chwyć moje ramię.

Tym razem Harry był gotów na teleportację, choć wciąż uważał, że jest nieprzyjemna. Gdy ciśnienie ustąpiło i znów mógł oddychać, stał obok Dumbledore'a na wiejskiej drodze i patrzył na krzywą sylwetkę swojego drugiego ulubionego budynku na świecie - Nory. Pomimo uczucia strachu, które dopiero co nim władało, na ten widok jego nastrój mógł tylko się poprawić. Ron tam był... i pani Weasley, która gotowała lepiej niż ktokolwiek inny...

- Jeśli nie masz nic przeciwko, Harry - powiedział Dumbledore, gdy mijali bramę - chciałbym zamienić z tobą dwa słowa, zanim się pożegnamy. Na osobności. Może tutaj?

Dumbledore wskazał na zaniedbaną, kamienną przybudówkę, gdzie Weasleyowie trzymali miotły. Nieco zdumiony, Harry podążył za Dumbledore'em poprzez skrzypiące drzwi do pomieszczenia mniejszego niż przeciętna komórka. Dumbledore zapalił czubek różdżki, tak, że przypominała teraz pochodnię, po czym uśmiechnął się do Harry'ego.

- Liczę, że wybaczysz mi tę wzmiankę, Harry, ale jestem zadowolony i dumny, że tak dobrze radzisz sobie po wszystkim, co zaszło w ministerstwie. Pozwól mi powiedzieć, że Syriusz z pewnością byłby z ciebie dumny.

Harry przelknął głośno, zdolność mowy jakby go opuściła.

Nie czuł się na siłach, by dyskutować o Syriuszu, wystarczająco bolesne było słyszeć, jak wuj Vernon mówi "Jego ojciec chrzestny nie żyje?", a nawet gorzej słyszeć imię Syriusza rzucone od niechcienia przez Slughorna.

- Okrutne było to - stwierdził cicho Dumbledore - że ty i Syriusz mieliście tak mało czasu. Brutalny koniec tego, co powinno stać się długą i szczęśliwą przyjaźnią. Harry skinął głową, nie odrywając wzroku od pająka, który właśnie wspinał się po kapeluszu Dumbledore'a. Wiedział, że Dumbledore rozumie, że może nawet podejrzewa, że zanim Harry otrzymał jego list, niemal cały czas u Dursleyów leżał na łóżku, nie jadł i patrzył w zamglone okno, pełen chłodnej pustki, którą zwykł kojarzyć z dementorami.

- Po prostu ciężko - powiedział Harry w końcu, cichym głosem - wiedzieć, że on już do mnie nie napisze.

Oczy zapiekły go nagle i zamrugał. Czuł się głupio, wyznając to, ale fakt, że miał kogoś poza Hogwartem, kto troszczył się o niego niemal jak rodzic, był jedną z najlepszych rzeczy, jakie odkrył wraz ze znalezieniem ojca chrzestnego... A teraz sowy już nigdy nie obdarzą go tą pociechą...

- Syriusz reprezentował to, czego nigdy nie znałeś - oznajmił łagodnie Dumbledore. - Naturalnie, jego strata jest bolesna...

- Ale kiedy byłem u Dursleyów... - przerwał Harry silniejszym głosem - zdałem sobie sprawę, że nie mogę się odciąć albo... albo załamać. Syriusz by tego nie chciał, prawda? A poza tym, życie jest za krótkie... Wystarczy popatrzeć na panią Bones, na Emelinę Vance... Mogę być następny, nie? Ale jeśli tak - powiedział zaciekle, patrząc prosto w niebieskie oczy Dumbledore'a, migocące w blasku różdżki - zabiorę z sobą tylu śmierciożerców, ilu zdołam. I Voldemorta też, o ile mi się uda.

- Mówisz jak syn swoich rodziców i prawdziwy chrześniak Syriusza! - zawołał Dumbledore, w geście aprobaty klepiąc Harry'ego po plecach.

- Chylę przed tobą tiary... albo chyliłbym, gdybym nie bał się, że obsypię cię deszczem pajaków.

- Teraz na bardziej konkretny temat... Czytałeś przez ostatnie dwa tygodnie *Proroka Codziennego*?

- Tak - odparł Harry, a jego serce uderzyło nieco szybciej.

- Przekonasz się więc, że wydostało się dość sporo przecieków, cała powódź, dotyczących twojej przygody w Sali Przepowiedni?

- Tak - odparł znów Harry. - I wszyscy teraz wiedzą, że jestem tym...

- Nie, nie wiedzą - przerwał Dumbledore. - Tylko dwie osoby na całym świecie znają pełną treść proroctwa o tobie i Lordzie Voldemorcie. I obie stoją w tym cuchnącym, pełnym pajaków schowku na miotły. Prawdą jest jednak, że wielu odgadło - i to słusznie - że Voldemort wysłał swoich śmierciożerców, by wykradli przepowiednię, i że przepowiednia dotyczy ciebie.

- Wydaje mi się, że mam rację, sądząc, że nikomu nie zdradziłeś, o czym mówi proroctwo?

- Nie - powiedział Harry.

- Mądra decyzja - odrzekł Dumbledore. - Choć uważam, że powinieneś wyjawić ją przyjaciołom, panu Ronaldowi Weasleyowi i panie Hermionie Granger. Tak - kontynuował, gdy Harry spojrział z przestrachem - myślę, że powinni wiedzieć. Nie wyświadczasz im przysługi, ukrywając coś, co jest dla nich ważne.

- Nie chciałem...

- ... martwić ich lub przestraszyć? - dopowiedział Dumbledore, przyglądając się Harry'emu ponad okularami-połówkami. - Czy być może wyznać, że ty sam martwisz się i jesteś przestraszony? Potrzebujesz przyjaciół, Harry. Dopiero co powiedziałeś, że Syriusz nie chciałby, byś się zamykał przed innymi.

Harry nic nie odrzekł, ale Dumbledore nie wydawał się żądać odpowiedzi. Kontynuował:

- Kolejna, choć związana z tym sprawa: chciałbym, byś w tym roku przychodził do mnie na prywatne lekcje.

- Prywatne... z panem? - spytał Harry zaskoczony, wreszcie przerywając milczenie.

- Tak. Myślę, że czas najwyższy, bym wziął większy udział w twojej edukacji.

- Czego będzie mnie pan uczył?

- Och, trochę tego, trochę tamtego - powiedział Dumbledore beztrąsko.

Harry czekał z nadzieją, ale Dumbledore nie rozwinął tematu, zapytał więc w zamian o coś, co lekko go niepokoiło.

- Jeśli będę miał lekcje z panem, nie będę musiał uczyć się oklumencji ze Snape'em, prawda?

- *Profesorem* Snape'em, Harry. Nie, nie będziesz musiał.

- Dobrze - stwierdził Harry z ulgą - bo były...

Urwał, uważając, by nie powiedzieć tego, co naprawdę myśli.

- Wydaje mi się, że słowo "fiasko" pasowałoby całkiem nieźle - stwierdził Dumbledore, kiwając głową.

Harry zaśmiał się.

- Cóż, to znaczy, że od teraz nie będę już widział dużo profesora Snape'a - powiedział - bo nie pozwoli mi kontynuować eliksirów, jeśli nie dostanę z sumów Wybitnie, a wiem, że nie dostanę.

- Nie licz sów, dopóki nie przylecą - oznajmił Dumbledore poważnie. - Co, gdy teraz o tym myślę, powinno nastąpić trochę później dzisiejszego dnia. Teraz jeszcze dwie rzeczy, Harry, zanim się rozstaniemy.

- Po pierwsze, chcę byś od tego momentu zawsze miał przy sobie pelerynę niewidkę. Nawet w Hogwarcie. Na wszelki wypadek, rozumiesz? Harry skinął głową.

- I wreszcie, na czas twojego pobytu tutaj Nora została objęta najlepszą ochroną, jaką może zapewnić Ministerstwo Magii. Te środki spowodowały trochę niedogodności dla Artura i Molly - na przykład cała ich korespondencja jest sprawdzana przed wysłaniem. W najmniejszym stopniu nie mają nic przeciwko, gdyż ich jedyną troską jest twoje bezpieczeństwo. W każdym razie kiepską odpłatą będzie, jeśli nadstawisz kark podczas pobytu u nich.

- Rozumiem - orzekł Harry szybko.
- Bardzo dobrze - powiedział Dumbledore, otwierając drzwi schowka na miotły i wychodząc na podwórze. - Widzę światło w kuchni. Nie pozbawiajmy dłużej Molly możliwości lamentu nad tym, jaki jesteś chudy.

Tłumaczyła Clio



Nadmiar Flegmy

Harry i Dumbledore podeszli do tylnych drzwi Nory, przy których stały znajome gumowce i zakurzone kociolki, Harry słyszał dochodzące z odległej szopy, ciche gdakanie sennych kurcząt. Dumbledore zastukał trzykrotnie i Harry spostrzegł nagle poruszenie za oknem kuchni.

- Kto tam? - usłyszeli nerwowy głos należący, jak Harry z trudem rozpoznał, do pani Weasley.

- Przedstaw się!

- To ja, Dumbledore. Przyprowadziłem Harry'ego.

Drzwi otworzyły się od razu. Stała w nich pani Weasley, niska, pulchna, w starej zielonej koszuli nocnej.

- Harry, kochanie! Na niebiosa, Albusie, przestraszyłeś mnie! Mówiłeś, by nie oczekiwać was wcześniej niż nad ranem!

- Mieliliśmy szczęście - oznajmił Dumbledore, przeprowadzając Harry'ego przez próg. - Slughorn dał się przekonać o wiele łatwiej, niż przypuszczałem. Robota Harry'ego, oczywiście. Ach, witaj, Nimfadoro!

Harry rozejrzał się i ujrzał, że pomimo późnej godziny pani Weasley nie jest sama. Młoda czarownica z bladą, trójkątną twarzą i mysimi włosami siedziała przy stole, ściskając w dłoniach duży kubek.

- Dzień dobry, panie profesorze - powiedziała.

- Serwus, Harry.

- Cześć, Tonks.

Harry pomyślał, że Tonks wygląda na zmęczoną, może nawet chorą, a w jej uśmiechu jest coś wymuszonego. Wyglądała o wiele mniej barwnie bez zwyczajowych różowych włosów.

- Lepiej już pójdę - stwierdziła szybko, wstając i naciągając płaszcz na ramiona. - Dziękuję za herbatę i dobre słowo, Molly.

- Proszę, nie wychodź z mojego powodu - zawołał Dumbledore uprzejmie. - Nie mogę zostać, mam pilną sprawę do Rufusa Scrimgeour'a.

- Nie, nie, muszę już iść - upierała się Tonks, nie patrząc Dumbledore'owi w oczy. - Noc...

- Kochanie, może wpadniesz w weekend na obiad, Remus i Szaloonooki też będą.

- Nie, naprawdę, Molly... ale dziękuję... Dobrej nocy wszystkim.

Tonks minęła Dumbledore'a i Harry'ego i wyszła na podwórze, kilka kroków za progiem obróciła się w miejscu i zniknęła. Harry zauważył, że pani Weasley wygląda na zmartwioną.

- Cóż, do zobaczenia w Hogwarcie, Harry - powiedział Dumbledore. - Uważaj na siebie. Molly, do usług.

Sklonił się przed panią Weasley i poszedł za przykładem Tonks, znikając dokładnie w tym samym miejscu. Pani Weasley zamknęła drzwi na podwórze, po czym pociągnęła Harry'ego za ramię, by w pełnym świetle lampionu zbadać jego wygląd.

- Jesteś jak Ron - westchnęła, oglądając go z góry na dół. - Obaj wyglądacie, jakby potraktowano was zaklęciem rozciągającym. Przysięgam, że Ron urósł cztery cale, odkąd ostatni raz kupowałam mu szkolne szaty. Jesteś głodny, Harry?

- Tak - odparł Harry, nagle zdając sobie z tego sprawę.

- Siadaj, kochanie, coś ci przygotuję.

Gdy Harry usiadł, puszysty rudy kot ze splaszczonym pyszczkiem wskoczył mu na kolana i mrużąc usadowił się wygodnie.

- Więc Hermiona też tu jest? - spytał Harry wesoło, drapiąc Krzywolapa za uszami.

- Och tak, przyjechała przedwczoraj - odrzekła pani Weasley, stukając różdżką w wielki żelazny garnek, który wskoczył na piec z głośnym brzdękiem i od razu zaczął bulgotać. - Oczywiście wszyscy są w łózkach, spodziewaliśmy się ciebie za kilka godzin. Proszę...

Znów uderzyła w garnek, który uniósł się w powietrze, podleciał do Harry'ego i przechylił się, pani Weasley podsunęła pod spód miszkę akurat, by złapać strumień gęstej, parującej zupy cebulowej.

- Chleba, kochanie?

- Dziękuję, pani Weasley.

Machnęła różdżką przez ramię, na stole wdzięcznie wylądowały bochenek chleba i nóż. Podczas gdy chleb się kroił, a garnek wskoczył na piec, pani Weasley usiadła naprzeciwko Harry'ego.

- Więc przekonałeś Horacego Slughorna, by przyjął tę pracę?

Harry skinął głową - usta miał pełne gorącej zupy i nie mógł mówić.

- Nauczał Artura i mnie - oznajmiła pani Weasley.

- Był w Hogwarcie całe wieki, mniej więcej tak długo jak Dumbledore, tak mi się wydaje. Lubisz go?

Tym razem usta mając wypchane chlebem, Harry wzruszył ramionami i wymijająco potrząsnął głową.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziała pani Weasley. - Oczywiście, potrafi być czarujący, gdy tego chce, ale Artur nigdy za nim nie przepadał. W ministerstwie jest pełno dawnych faworytów Slughorna, zawsze był dobry w promowaniu ludzi, ale nie miał wiele czasu dla Artura - chyba uważał, że nie stać go na wiele. Cóż, to tylko wskazuje, że nawet Slughorn popełnia błędy. Nie wiem, czy Ron ci pisał, bo to się stało dopiero co... ale Artur dostał awans!

Było jasne, że pani Weasley nie mogła się doczekać,

kiedy to powie.

Harry przelknął spory łyk bardzo gorącej zupy i niemal poczuł, jak jego gardło pokrywa się pęcherzykami.

- Wspaniale! - wysapał.

- Jesteś słodki - rozjaśniła się pani Weasley, prawdopodobnie biorąc jego zalzawione oczy za przejaw wzruszenia. - Tak, w odpowiedzi na obecną sytuację Rufus Scrimgeour powołał kilka nowych urzędów i Artur jest szefem Urzędu Wykrywania i Konfiskaty Falszywych Zakłéc Obronnych i Przedmiotów Ochronnych. To poważna funkcja, dziesięciu ludzi składa mu teraz raporty!

- O czym dokładnie...?

- Widzisz, w całej tej panice z powodu Sam-Wiesz-Kogo w sprzedaży pojawiły się wszędzie najdziwniejsze przedmioty, które mają chronić ludzi przed Sam-Wiesz-Kim i śmierciożercami. Potrafisz sobie wyobrazić - różne ochronne eliksiry, które w rzeczywistości są sosem do mięsa z dodatkiem ropy czyrakobulw, czy instrukcje zakłéc obronnych, które tak naprawdę powodują odpadanie uszu... W większości sprawcami są ludzie pokroju Mundungusa Fletchera, którzy nigdy w życiu uczciwie nie pracowali, a teraz wykorzystują ogólne przerażenie, ale co jakiś czas tu i ówdzie zdarza się coś naprawdę paskudnego. Kilka dni temu Artur skonfiskował karton przeklętych fałszoskopów, prawie na pewno podłożonych przez śmierciożerców. Sam więc widzisz, że to bardzo odpowiedzialna praca, wciąż mu powtarzam, że głupotą jest tęsknić do świec silnikowych, tosterów i wszystkich tych mugolskich śmieci. - Pani Weasley zakończyła przemowę z surowym spojrzeniem, jak gdyby Harry sugerował, że naturalne jest tęsknić za świecami silnikowymi.

- Pan Weasley wciąż w pracy? - spytał Harry.

- Tak, cały czas. W gruncie rzeczy trochę się spóźnia... Mówił, że wróci koło północy...

Obróciła się, by spojrzeć na duży zegar, który stał przekrzywiony przy końcu stołu, na stercie pościeli w koszu z praniem. Harry rozpoznał go od razu: miał dziewięć wskazówek, każda opisana imieniem członka

rodziny i zazwyczaj wisiał w bawialni Weasleyów. Jego aktualna pozycja sugerowała, że pani Weasley nosi go z sobą po całym domu. Każda z dziewięciu wskazówek pokazywała teraz *groźba śmierci*.

- Od jakiegoś czasu tak jest - wyjaśniła pani Weasley, siląc się na swobodny ton - odkąd Sam-Wiesz-Kto wrócił. Podejrzewam, że wszystkim teraz grozi śmierć... Wątpię, by chodziło tylko o naszą rodzinę... Ale nie znam nikogo, kto miałby taki zegar, więc nie mogę sprawdzić. Och!

Z nagłym okrzykiem wskazała na tarczę zegara. Wskazówka pana Weasleya przesunęła się na "w drodze".

- Już idzie!

I rzeczywiście, chwilę później rozległo się pukanie do kuchennych drzwi. Pani Weasley podskoczyła i pospieszyła do wejścia, z jedną dłonią na klamce i twarzą przyciśniętą do drewna zawołała cicho:

- To ty, Arturze?

- Tak - dobiegł zmęczony głos pana Weasleya. - Ale odpowiedziałbym tak samo, nawet gdybym był śmierciożercą, kochanie. Zadaj pytanie!

- Och, naprawdę...

- Molly!

- Dobrze, dobrze... Co jest twoją największą ambicją?

- Odkryć, jak samoloty utrzymują się w powietrzu.

Pani Weasley kiwnęła głową i przekreśliła klamkę, ale najwidoczniej pan Weasley trzymał ją mocno z drugiej strony, gdyż drzwi pozostały zamknięte.

- Molly! Najpierw ja muszę zadać ci pytanie!

- Arturze, naprawdę, to jest głupie...

- Jak lubisz, żebym cię nazywał, gdy jesteśmy tylko we dwoje?

Nawet w przytłumionym świetle lampionu Harry widział, że pani Weasley zarumieniała się gwałtownie. Sam poczuł, że robi mu się gorąco wokół uszu i na szyi, pospiesznie przełknął zupę, stukając łyżką o miskę tak mocno, jak potrafił.

- Mollineczko - wyszeptala potwornie zawstydzona pani Weasley w szczelinę między drzwiami a futryną.

- Zgadza się - powiedział pan Weasley. - Teraz możesz mnie wpuścić.

Pani Weasley otworzyła drzwi i ukazał się jej mąż: szczupły, łysiejący, rudy czarodziej, noszący okulary w rogowych oprawkach oraz długi, zakurzony płaszcz podróżny.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego musimy przechodzić przez to za każdym razem, gdy wracasz do domu - stwierdziła pani Weasley, wciąż zaróżowiona, pomagając mężowi zdjąć pelerynę. - Śmierciożercy mogliby wydobyć od ciebie odpowiedź, zanim by przybrali twoją postać!

- Wiem, kochanie, ale taka jest procedura ministerstwa, a ja powinienem dawać przykład. Coś smakowicie pachnie... zupa cebulowa?

Pan Weasley obrócił się z nadzieją w kierunku stołu.

- Harry! Nie spodziewaliśmy się ciebie aż do rana!

Uścisnęli sobie dłonie i pan Weasley opadł na krzesło obok Harry'ego, a pani Weasley postawiła przed nim miskę zupy.

- Dziękuję, Molly. To był ciężki wieczór. Jakiś idiota zaczął sprzedawać Medale Metamorficzne. Załóż na szyję, a będziesz mógł przybrać dowolny wygląd. Setki tysięcy przebrań tylko za dziesięć galeonów!

- A co się naprawdę stanie, gdy je założyć?

- Przeważnie człowiek przybiera nieprzyjemny odcień pomarańcza, ale kilkorgu ludziom wyrosły też na całym ciele macki, jak brodawki. Jakby w Świętym Mungu nie mieli wystarczająco roboty!

- Fred i George uznaliby coś takiego za zabawne - powiedziała pani Weasley z wahaniem.

- Jesteś pewien...?

- Oczywiście, że jestem! - odparł pan Weasley

- Chłopcy nie zrobiliby czegoś podobnego teraz, gdy ludzie tak desperacko szukają ochrony!

- Więc dlatego się spóźniłeś? Z powodu Medalii Metamorficznych?

- Nie, mieliśmy donos na paskudne Zakłęcie Samorażące w Elephant i Castle, ale na szczęście oddział z Departamentu Przestrzegania Prawa

rozwiązał problem, zanim się tam zjawiliśmy...

Harry ukrył dłoń ziewnięcie.

- Do łóżka - Pani Weasley nie dała się nabrać. - Pokój Freda i George'a już na ciebie czeka, masz cały dla siebie.

- Czemu? A gdzie oni są?

- Och, na Ulicy Pokątnej, śpią w malutkim mieszkaniu nad sklepem z magicznymi gadżetami, tacy są zajęci - powiedziała pani Weasley. - Przyznaję, nie pochwalałam tego na początku, ale chyba rzeczywiście mają smykałkę do interesów! Chodź, kochanie, twój kufer już tam jest.

- Dobranoc, panie Weasley - zawołał Harry, odsuwając krzesło. Krzywołap zeskoczył lekko z jego kolan i wybiegł z pomieszczenia.

- Dobranoc, Harry - odparł pan Weasley.

Harry zobaczył, że gdy wychodzili z kuchni, pani Weasley spojrziała na zegar w koszu na bieliznę. Wszystkie wskazówki znów tkwiły na *groźba śmierci*.

Sypialnia Freda i George'a znajdowała się na drugim piętrze. Pani Weasley wskazała różdżką na lampę na stoliku nocnym, która zapłonęła od razu, i pokój utonął w przyjemnym, złocistym blasku. Choć na biurku przy oknie stał ogromny wazon z kwiatami, ich woń nie była w stanie przytłumić zapachu prochu, jaki wciąż się tu unosił. Sporą część podłogi pokrywały nieopisane, zamknięte kartony, pomiędzy którymi stał kufer Harry'ego. Pokój wyglądał jak tymczasowy magazyn.

Ze swojej grzędy na szczycie dużej szafy zahukała uszczęśliwiona Hedwiga, po czym wyleciała przez okno. Harry wiedział, że przed polowaniem chciała się z nim zobaczyć. Życzył pani Weasley dobrej nocy, przebrał się w piżamę i położył do jednego z łóżek. Pod poszewką poduszki leżało coś twardego. Sięgnął do środka i wyciągnął lepiący się, czerwono-pomarańczowy cukierek, w którym rozpoznał Wymiotkę. Uśmiechając się do siebie, obrócił na brzuch i momentalnie zasnął.

Kilka sekund później, a przynajmniej tak się wydawało

Harry'emu, obudził go dźwięk o mocy wystrzału armatniego, gdy ktoś otworzył drzwi. Siadając prosto na posłaniu, usłyszał zgrzyt rozsuwanych zasłon: oślepiające światło słoneczne ukuło go w oczy. Oslaniając je dłonią, drugą macał wokół siebie, rozpaczliwie poszukując okularów.

- Cosiedzieje?

- Nie wiedzieliśmy, że już tu jesteś! - zawołał głośny i podekscytowany głos, po czym Harry poczuł ostre uderzenie w głowę.

- Ron, nie bij go! - powiedział z wyrzutem dziewczęcy głos.

Dłoń Harry'ego odnalazła okulary, założył je, choć światło wciąż było tak jasne, że prawie nic nie widział. Przez chwilę drżał przed nim długi, niewyraźny cień, Harry mrugnął i jego oczom ukazał się wyszczerzony Ron Weasley.

- W porządku?

- Nigdy nie było lepiej - odparł Harry, rozcierając czubek głowy i padając znów na poduszki. - A u ciebie?

- Nieźle - stwierdził Ron, przysuwając karton i siadając na nim. - Kiedy się tu dostałeś? Mama dopiero co nam powiedziała!

- Jakoś o pierwszej.

- Mugole byli znośni? Traktowali cię dobrze?

- Jak zawsze - powiedział Harry, gdy Hermiona przysiadła na brzegu łóżka. - Dużo ze mną nie rozmawiali, co nawet wolę. Co u ciebie, Hermiona?

- Och, wszystko dobrze - oznajmiła, przyglądając się Harry'emu tak, jakby na coś chorował. Podejrzewał, że wie, co się kryje za tym spojrzeniem, a że nie miał ochoty rozprawać o śmierci Syriusza czy czymkolwiek równie nieprzyjemnym, zapytał: - Która godzina? Przegapiłem śniadanie?

- Nie martw się, mama przyniesie ci tacę. Uważa, że wyglądasz na niedożywionego - powiedział Ron, wywracając oczami. - Dobra, co się działo?

- Niewiele, przecież siedziałem u ciotki i wuja, nie?

- Daj spokój! - zawołał Ron. - Byłeś z Dumbledorem!

- Nic ekscytującego. Po prostu chciał, bym pomógł mu przekonać starego nauczyciela do powrotu do Hogwartu. Nazywa się Horacy Slughorn.

- Och - powiedział Ron jakby rozczarowany. - Myśleliśmy...

Hermiona rzuciła Ronowi ostrzegawcze spojrzenie i Ron błyskawicznie zmienił zamiar.

- ... myśleliśmy, że będzie chodzić o coś takiego.

- Serio? - spytał Harry z rozbawieniem.

- No... no przecież Umbridge nie ma, więc potrzebujemy nowego nauczyciela od obrony przed czarną magią, nie? Więc, ee, jaki on jest?

- Wygląda trochę jak mors i był opiekunem Slytherinu - odparł Harry. - Coś nie tak, Hermiona?

Patrzyła na niego, jakby czekała na jakieś dziwne oznaki z jego strony. Szybko uśmiechnęła się, ale nie wypadło to przekonująco.

- Nie, oczywiście, że nie! Więc, um, Slughorn wydaje się dobrym nauczycielem?

- Nie wiem - powiedział Harry. - Nie może być gorszy niż Umbridge, prawda?

- Znam kogoś gorszego od Umbridge - dobiegł głos od wejścia. Młodsza siostra Rona weszła do pokoju, wyglądając na poirytowaną. - Cześć, Harry.

- Co się dzieje? - spytał Ron.

- To *ona* - odparła Ginny, opadając na łóżko obok Harry'ego. - Oszaleć można.

- Co tym razem zrobiła? - spytała Hermiona wspólnie.

- Sposób, w jaki ze mną rozmawia... jakbym miała trzy lata!

- Wiem - zgodziła się Hermiona, ścisząc głos. - Jest taka zarozumiała.

Harry był zdumiony, słysząc, jak Hermiona mówi o pani Weasley, i nie mógł winić Rona za gniewną odpowiedź:

- Możecie się od niej odczepić na pięć sekund?

- Och, jasne, broń jej - warknęła Ginny. - Wszyscy wiemy, że ty nie masz jej dość.

To wydawało się dziwnym komentarzem na temat matki Rona. Z wrażeniem, że coś przeoczył, Harry spytał:

- O kim wy...?

Ale odpowiedzi doczekał, zanim skończył pytanie. Drzwi do sypialni otwarły się ponownie i Harry instynktownie podciągnął przykrycie po samą brodę, a zrobił to tak mocno, że Hermiona i Ginny zsunęły się z łóżka na podłogę.

W drzwiach stała młoda kobieta, której uroda zapierała dech w piersiach do tego stopnia, że pokój wydał się nagle pozbawiony powietrza. Była wysoka i smukła, miała długie blond włosy i niemal emanowała słabym, srebrnym blaskiem. By dopełnić obrazu doskonałości, niosła bogato zastawioną tacę.

- 'Arry - zawołała gardłowym głosem. - Tyle czasu minęło!

Gdy przesunęła się ponad progiem w jego kierunku, za nią ukazała się pani Weasley, wydając się poirytowana.

- Nie było potrzeby przynosić tu tacy, sama miałam to zrobić!

- To żaden problem - powiedziała Fleur Delacour, stawiając tacę na kolanach Harry'ego i całując go w policzki: czuł, że miejsca, gdzie dotknęły go jej usta, zaczynają płonąć. - Tęsknilam za nim. Pamiętasz moją siostrę, Gabrielle? Nigdy nie zapomniala o 'Arrym Potterze. Będzie uradowana, mogąc cię znów zobaczyć.

- Och... ona też tu jest? - wychrypiał Harry.

- Nie, nie, głuptasku - Fleur roześmiała się jak dzwoneczki. - W przyszłym roku, kiedy... ale czyżbyś nie wiedział?

Jej wielkie, niebieskie oczy rozszerzyły się, gdy z wyrzutem popatrzyła na panią Weasley, która powiedziała:

- Jeszcze nie zdążyliśmy mu powiedzieć.

Fleur obróciła się do Harry'ego, a jej falujące włosy uderzyły panią Weasley w twarz.

- Bill i ja planujemy się pobrać!

- Och - powiedział Harry tępo. Nie mógł nie zauważyć, że pani Weasley, Hermiona i Ginny uparcie unikają

swojego wzroku. - Wow. Ee... gratuluję!

Pochyliła się nad nim i jeszcze raz pocałowała.

- Bill jest w tej chwili bardzo zajęty, bardzo ciężko pracuji, a ja mam tylko pół etatu u Gringotta z uwagi na mój angielski, więc przywiózł mi tutaj na kilka dni, bim poznała jego rodzinę. Ucieszałam się na wieść, że przyjedziesz... nie ma tu dużo do roboty, 'iba że lubi się gotowanie i kurcietą! Smacznego, 'Arry!

Z tymi słowami obróciła się wdzięcznie i wypłynęła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Pani Weasley wydała odgłos, który brzmiał jak "ysz!"

- Mama jej nienawidzi - powiedziała Ginny cicho.

- Nie nienawidzę jej! - zaprotestowała pani Weasley zirytowanym szeptem. - Po prostu uważam, że pospieszyli się z tymi zaręczynami, to wszystko!

- Znają się od roku - zauważył Ron, sprawiając wrażenie dziwnie oszołomionego, gdy wciąż spoglądał na drzwi.

- No, to niezbyt długo! Oczywiście wiem, dlaczego tak się stało. To ta niepewność związana z powrotem Sami-Wiecie-Kogo, ludzie myślą, że jutro mogą umrzeć, więc spieszą się ze wszystkimi decyzjami, na jakie normalnie zostawiliby sobie czas. Tak samo było ostatnim razem, kiedy zdobył władzę, ludzie pobierali się na lewo i prawo...

- Także ty i tata - wtrąciła przebiegle Ginny.

- Tak, cóż, wasz ojciec i ja byliśmy dla siebie stworzeni, więc dlaczego mieliśmy czekać? - spytała pani Weasley. - Podczas gdy Bill i Fleur... cóż... co oni tak naprawdę mają ze sobą wspólnego? On ciężko pracuje, twardo stoi na ziemi, tymczasem ona jest...

- Krową - powiedziała Ginny, kiwając głową. - Ale Bill wcale nie stoi tak twardo na ziemi. Jest przecież łamaczem uroków, prawda? Lubi przygodę, splendor... Pewnie dlatego poleciał na Flegmę.

- Nie nazywaj jej tak, Ginny - zawołała pani Weasley ostro, gdy Harry i Hermiona wybuchnęli śmiechem.

- Lepiej już pójdę... Zjedz jajka, póki są ciepłe, Harry. Wyglądając na zatroskaną, wyszła z pokoju. Ron wciąż sprawiał wrażenie, jakby był lekko upojony ponczem.

Potrząsnął głową, jak pies chcący pozbyć się wody z uszu.

- Nie przyzwyczyłeś się do niej, skoro mieszkacie razem? - spytał Harry.

- Cóż, właściwie tak - odparł Ron

- ale jeśli niespodziewanie wpada na ciebie, jak przedtem...

- To żalosne - stwierdziła wściekle Hermiona, odsuwając się od Rona najdalej, jak mogła. Odwróciła się ku niemu z założonymi rękami, gdy już doszła do ściany.

- Tak naprawdę nie chcesz jej tutaj do końca życia? - spytała Ginny Rona z niedowierzaniem. Kiedy zaledwie wzruszył ramionami, powiedziała: - Cóż, mama położy temu kres, jeśli tylko zdoła, założę się z tobą o wszystko.

- Jak ma zamiar to zrobić? - spytał Harry.

- Wciąż zaprasza Tonks na obiad. Chyba wierzy, że Bill zakocha się w Tonks. Mam nadzieję, że rzeczywiście tak będzie, o wiele chętniej ją widziałabym w rodzinie.

- Jasne, to na pewno podziła - zawołał Ron z sarkazmem. - Słuchaj, żaden zdrowy na umyśle facet nie zakocha się w Tonks, kiedy ma obok Fleur. Tonks jest w porządku, kiedy nie robi głupich rzeczy z włosami i nosem, ale...

- Wygląda o wiele lepiej niż *Flegma* - powiedziała Ginny.

- I jest o wiele bardziej inteligentna, jest aurorem! - dorzuciła Hermiona z kąta.

- Fleur nie jest głupia. Była dość dobra, by wziąć udział w Turnieju Trójmagicznym - stwierdził Harry.

- No nie, ty też! - zawołała Hermiona z goryczą.

- Pewnie podoba ci się, gdy Flegma mówi "'Arry"? - spytała Ginny pogardliwie.

- Nie - odparł Harry, żalując, że się w ogóle odezwał.

- Chciałem powiedzieć, że Flegm... że Fleur...

- Wolalabym Tonks w rodzinie - powtórzyła Ginny.

- Z nią przynajmniej można się pośmiać.

- Ostatnio niewiele się śmieje - zauważył Ron.

- Za każdym razem, gdy ją widzę, coraz bardziej przypomina Jęczącą Martę.

- To nie fair - warknęła Hermiona. - Wciąż nie doszła do siebie po tym, co się stało... wiesz... znaczy się, on był jej kuzynem!

Serce Harry'ego zamarło. I oto dotarli do Syriusza. Podniósł widelec i zaczął wpychać do ust jajecznicę, z nadzieją, że uniknie zaproszenia na dołączenie do tej rozmowy.

- Tonks i Syriusz ledwie się znali! - powiedział Ron.

- Syriusz siedział w Azkabanie przez połowę jej życia, a przedtem ich rodziny się nie spotykały...

- Nie o to chodzi - stwierdziła Hermiona. - Ona uważa, że jest winną jego śmierci!

- Jak na to wpadła? - spytał Harry wbrew sobie.

- Cóż, walczyła z Bellatrix Lestrange, prawda? Pewnie czuje, że gdyby tylko ją załatwiła, Bellatrix nie zabiłaby Syriusza.

- To głupie - uznał Ron.

- Poczucie winy tego, który przeżył - powiedziała Hermiona. - Wiem, że Lupin usiłował jej tłumaczyć, ale ona wciąż jest w dołku. Ma problemy z metamorfozą!

- Z...?

- Nie może zmieniać wyglądu jak kiedyś - wyjaśniła Hermiona. - Wydaje mi się, że wstrząs w jakiś sposób wpłynął na jej moc czy coś.

- Nie wiedziałem, że to możliwe - zdziwił się Harry.

- Ja też nie - powiedziała Hermiona - ale podejrzewam, że jeśli jest się naprawdę przygnębionym...

Drzwi otworzyły się ponownie i do środka zajrzała pani Weasley.

- Ginny - wyszeptała - zejdź na dół pomóc mi z lunchem.

- Rozmawiam! - zawołała oburzona Ginny.

- Już! - powiedziała pani Weasley i wycofała się.

- Potrzebuje mnie tylko po to, by nie być sama z Flegmą! - powiedziała Ginny z irytacją. Zafalowała włosami, doskonale imitując Fleur i przepłynęła przez pokój z rozłożonymi ramionami niczym balerina.

- Wy się też lepiej pospieszcie - stwierdziła i wyszła.
Harry wykorzystał chwilową ciszę, by dokończyć śniadanie. Hermione przeglądała książki Freda i George'a, chociaż co chwilę rzucała Harry'emu ukradkowe spojrzenia. Ron, który właśnie częstował się tostem Harry'ego, wciąż patrzył rozmarzonym wzrokiem na drzwi.

- Co to? - spytała wreszcie Hermione, trzymając coś na kształt małego teleskopu.

- Nie wiem - odparł Ron - ale jeśli Fred i George zostawili to tutaj, pewnie jeszcze nie jest gotowe do sklepu, więc uważaj.

- Twoja mama mówiła, że nieźle idzie im w sklepie - wtrącił Harry. - Powiedziała, że Fred i George mają smykałkę do interesów.

- To mało powiedziane - zawołał Ron. - Liczą galeony! Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ten sklep, nie byliśmy jeszcze na Ulicy Pokątnej, bo mama powiedziała, że tata musi się z nami wybrać jako dodatkowa ochrona, a teraz jest bardzo zajęty w pracy, ale opowieści brzmią wspaniale.

- A co z Percym? - spytał Harry, trzeci z kolei syn Weasleyów poróżnił się z resztą rodziny. - Rozmawia znów z rodzicami?

- Nie - odparł Ron.

- Ale wie, że twój tata miał cały czas rację w kwestii powrotu Voldemorta...

- Dumbledore uważa, że ludzie łatwiej wybaczą innym, że byli w błędzie niż że mieli rację - powiedziała Hermione. - Słyszałam, jak mówił to twojej mamie, Ron.

- Brzmi całkiem w stylu Dumbledore'a - zgodził się Ron.

- Będzie mi dawał prywatne lekcje w tym roku - oznajmił Harry konwersacyjnym tonem.
Ron zakrztusił się kawałkiem tostów, a Hermione gwałtownie nabrała powietrza.

- Nic nie mówileś! - zawołał Ron.

- Dopiero sobie przypomniałem - wyznał szczerze Harry. - Powiedział mi w nocy, w waszym schowku na

miotły.

- Kurczę... prywatne lekcje z Dumbledore'em! - Ron był pod wrażeniem. - Ciekawe, dlaczego...?

Urwał. Harry widział, jak wymieniają z Hermioną spojrzenia. Odłożył nóż i widelec, a jego serce biło zdumiewająco mocno, zważywszy, że nie robił nic więcej, tylko siedział na łóżku. Dumbledore powiedział mu, by to zrobił... czemu nie teraz? Utkwił wzrok w widelcu, który skrzył się w blasku słońca rozlewającym się na jego kolanach, i oznajmił:

- Nie wiem, czego dokładnie zamierza mnie uczyć, ale myślę, że to z powodu przepowiedni.

Ron i Hermiona milczeli. Harry miał wrażenie, że oboje zamarli. Kontynuował, wciąż mówiąc do widelca:

- Wiecie, tej, którą usiłowano skraść z ministerstwa.

- Nikt jednak nie wie, co głosiła - powiedziała szybko Hermiona. - Rozbiła się.

- Chociaż w *Proroku* napisali... - zaczął Ron, ale Hermiona uciszyła go.

- *Prorok* miał rację - stwierdził Harry, spoglądając na nich z pewnym wysiłkiem. Hermiona wyglądała na przestraszoną, a Ron na zdumionego. - Ta szklana kulka, którą rozbito, nie była jedynym zapisem przepowiedni. Usłyszałem całą opowieść u Dumbledore'a w gabinecie. To do niego była skierowana ta przepowiednia, więc mógł mi powiedzieć. Wynika z niej - Harry nabral głęboko powietrza - że jestem tym, który ma pokonać Voldemorta... a w każdym razie mówi, że żaden z nas nie może żyć, gdy drugi przeżyje.

Przez chwilę cała trójka patrzyła na siebie w ciszy. Potem rozległ się huk i Hermiona zniknęła za obłokiem czarnego dymu.

- Hermiona! - krzyknęli Harry i Ron jednocześnie, taca śniadaniowa zsunęła się z trzaskiem na podłogę.

Kaszłąc, Hermiona wyłoniła się z dymu, kurczowo trzymając teleskop i prezentując znakomity, fioletowy siniak pod okiem.

- Ścisnęłam to i... i uderzyło mnie! - sapnęła.

I rzeczywiście, teraz widzieli małą pięść na długiej

sprężynie, wystającą z końca teleskopu.

- Nie martw się - powiedział Ron, wyraźnie powstrzymując śmiech. - Mama ci pomoże, ma wprawę w leczeniu drobnych zranień...

- Och, nieważne! - zawołała Hermiona pospiesznie.

- Harry, och, Harry...

Znow usiadła na brzegu jego łóżka.

- Zastanawialiśmy się, po powrocie z ministerstwa... oczywiście, nie chcieliśmy mówić nic o tobie, ale po słowach Lucjusza Malfoya, jakoby przepowiednia dotyczyła ciebie i Lorda Voldemorta, cóż, podejrzewaliśmy, że to może być coś takiego... Och, Harry... - Popatrzyła na niego, po czym wyszeptala

- Boisz się, Harry?

- Nie tak bardzo jak wcześniej - odparł Harry. - Kiedy pierwszy raz to usłyszałem, bałem się... Ale teraz czuję, jakbym zawsze wiedział, że na końcu będę musiał się z nim zmierzyć...

- Kiedy usłyszeliśmy, że Dumbledore osobiście ma cię zabrać od Dursleyów, pomyśleliśmy, że może powie ci albo pokaże coś związanego z przepowiednią - powiedział Ron niecierpliwie. - Mieliśmy trochę racji, nie? Nie dawałby ci lekcji, gdyby uważał cię za straceńca, nie marnowałby czasu... musi uważać, że masz szansę!

- To prawda - przytaknęła Hermiona. - Ciekawe, czego będzie cię uczył, Harry? Prawdopodobnie naprawdę zaawansowanej magii obronnej, silnych przeciwzakłęb, antyuroków...

Harry tak naprawdę nie słuchał. Rozlewało się w nim ciepło, które nie miało nic wspólnego z promieniami słońca. Ucisk w klatce piersiowej zniknął. Wiedział, że Ron i Hermiona byli bardziej wstrząśnięci, niż dawali po sobie poznać, ale sam fakt, że wciąż byli po jego stronie, że dodawali mu otuchy, że nie odsunęli się, jakby był skażony czy niebezpieczny, był wart więcej, niż mógłby im kiedykolwiek powiedzieć.

- ... i generalnie zakłęb wymijających - zakończyła Hermiona. - Cóż, przynajmniej znasz jeden przedmiot, jaki będziesz miał w tym roku, to więcej niż Ron i ja.

Zastanawiam się, kiedy przyjdą nasze wyniki sumów.

- Niedługo, minął już miesiąc - zauważył Ron.

- Czekajcie - powiedział Harry, przypominając sobie kolejny fragment nocnej rozmowy. - Wydaje mi się, że Dumbledore mówił, że wyniki sumów będą dzisiaj!

- Dzisiaj? - zapiszczała Hermiona. - *Dzisiaj?* Ale czemu nie... O mój Boże... powinieneś był powiedzieć...

Zerwała się na równe nogi.

- Idę zobaczyć, czy jakieś sowy przyleciały...

Ale kiedy Harry zszedł na dół dziesięć minut później, zupełnie ubrany i z pustą tacą, Hermiona siedziała przy stole kuchennym bardzo poruszona, a pani Weasley usiłowała zmniejszyć jej połowiczne podobieństwo do pandy.

- Nie chce ustąpić - mówiła pani Weasley zaniepokojona, stojąc nad Hermioną z różdżką w ręce i egzemplarzem *Poradnika Uzdrowicieli* otwartym na "Siniaki, rozcięcia i otarcia". - Wcześniej zawsze skutkowało, nie rozumiem tego.

- Fred i George uznaliby za świetny dowcip to, że nie chce zejść - stwierdziła Ginny.

- Ale musi zejść! - pisnęła Hermiona. - Nie mogę do końca życia tak wyglądać!

- Nie będziesz, kochanie, znajdziemy sposób, nie martw się - powiedziała pani Weasley uspokajająco.

- Bill mówił mi, że Fred i George są bardzo zabawni! - zawołała Fleur, uśmiechając się łagodnie.

- Tak, duszę się ze śmiechu - warknęła Hermiona.

Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po kuchni, zaciskając palce.

- Pani Weasley, jest pani zupełnie, zupełnie pewna, że nie było dziś żadnych sów?

- Tak, kochanie, zauważyłabym - odparła pani Weasley cierpliwie. - Ale dopiero dziewięta, wciąż jest dużo czasu...

- Wiem, że namieszałam ze starożytnymi runami - wymamrotała Hermiona rozgorączkowana - na pewno popełniłam przynajmniej jedną poważną pomyłkę. A obrona przed czarną magią w ogóle poszła mi źle. Myślałam, że z transmutacji wszystko było dobrze, ale

gdy teraz o tym myślę...

- Hermiona, zechciałabyś się zamknąć? Nie jesteś jedyną osobą, która się denerwuje! - warknął Ron.

- A jak już dostaniesz swoje jedenaście "Wybitnych" sumów...

- Nie, nie, nie! - zawołała Hermiona, histerycznie machając rękami. - Wiem, że wszystko oblałam!

- Co się stanie, jeśli oblejemy? - Harry rzucił pytanie do wszystkich, ale to Hermiona mu odpowiedziała.

- Przedyskutujemy nasze opcje z opiekunem domu. Spytałam profesor McGonagall pod koniec ubiegłego roku.

Żołądek Harry'ego skręcił się. Żałował, że zjadł tyle na śniadanie.

- W Beauxbatons - oznajmiła Fleur z zadowoleniem - mieliśmy inni system. Według mnie lepsi. Przystępowaliśmy do naszych egzaminów po sześciu latach, nie pięciu, i wtedy...

Słowa Fleur utonęły w krzyku Hermiony, która wskazywała poprzez kuchenne okno. Na niebie widać było wyraźnie trzy czarne plamki, które rosły z chwili na chwilę.

- To zdecydowanie sowy - powiedział Ron ochryple, zrywając się, by dołączyć do Hermiony przy oknie.

- I to trzy - dopowiedział Harry, stając z drugiej strony.

- Po jednej dla każdego z nas - stwierdziła Hermiona przerażonym szeptem. - Och nie... och nie... och nie... Mocno złapała Harry'ego i Rona za łokcie.

Sowy frunęły prosto do Nory, trzy ładne puszczyki, a każdy z nich - co okazało się, gdy zniżyły lot ponad ścieżką prowadzącą do domu - niósł dużą, kwadratową kopertę.

- Och *nie!* - zapiszczała Hermiona.

Pani Weasley precyzyjnie się między nimi i otworzyła okno. Jedna, druga, trzecia, sowy wleciały do środka i wylądowały w zgrabnym szeregu na stole. Wszystkie trzy uniosły prawe nóżki.

Harry przesunął się do przodu. List adresowany do niego przywiązany był do łapki środkowej sowy.

Odwiązał go drżącymi palcami. Na lewo od niego Ron usiłował odczepić własne wyniki, na prawo - dłonie Hermiony trzęsły się tak mocno, że drżała cała jej sowa.

Wszyscy milczeli. Wreszcie Harry zdołał odczepić kopertę. Otworzył ją szybko i rozwinął tkwiący wewnątrz pergamin.

WYNIKI STANDARDOWYCH UMIEJĘTNOŚCI MAGICZNYCH:

<i>Oceny Pozytywne:</i>		<i>Oceny Negatywne:</i>	
<i>Wybitny</i>	(W)	<i>Nędzny</i>	(N)
<i>Powyżej oczekiwań</i>	(P)	<i>Okropny</i>	(O)
<i>Zadowolający</i>	(Z)	<i>Troll</i>	(T)

HARRY JAMES POTTER OSIĄGNĄŁ:

<i>Astronomia</i>	Z
<i>Eliksir</i>	P
<i>Historia magii</i>	W
<i>Obrona przed czarną magią</i>	P
<i>Opieka nad magicznymi stworzeniami</i>	O
<i>Transmutacja.</i>	P
<i>Wróżbiarstwo</i>	N
<i>Zaklęcia</i>	P
<i>Zielarstwo</i>	P

Harry przeczytał pergamin kilkakrotnie, a jego oddech wyrównywał się za każdym razem. Było dobrze: zawsze wiedział, że obleje wróżbiarstwo, no i nie miał możliwości zaliczyć historii magii, bo w połowie egzaminu stracił przytomność, ale zdał wszystko inne! Przebiegł palcami wzdłuż ocen... dobrze zaliczył transmutację i zielarstwo, miał nawet "powyżej oczekiwań" z eliksirów! A najlepsze, że dostał "wybitny" z obrony przed czarną magią!

Obrócił się. Hermione stała odwrócona tyłem i ze spuszczoną głową, ale Ron wyglądał na zachwyconego. - Oblałem tylko wróżbiarstwo i historię magii, ale kto by się tym przejmował? - powiedział szczęśliwy do Harry'ego. - Trzymaj... zamiana...

Harry zerknął na stopnie Rona: żadnego "wybitnego"... - Wiedziałem, że będziesz najlepszy w obronie przed czarną magią - zawołał Ron, uderzając Harry'ego w ramię. - Dobrze nam poszło, prawda?

- Bardzo dobrze! - powiedziała pani Weasley z dumą, mierzwiąc włosy Rona. - Siedem sumów, to więcej niż Fred i George uzyskali wspólnie!

- Hermione? - spytała Ginny niepewnie, gdy Hermione wciąż stała tyłem. - Jak tobie poszło?

- Ja... nieźle - odparła Hermione cichutko.

- Och, daj spokój - powiedział Ron, podchodząc i wyrывая jej wyniki z ręki. - No... dziesięć "wybitnych" i jeden "powyżej oczekiwań" z obrony przed czarną magią. - Spojrzał na nią, na pół rozbawiony, na pół zirytowany. - Jesteś rozzarowana, prawda?

Hermiona potrząsnęła głową, ale Harry roześmiał się.

- Cóż, jesteśmy teraz uczniami owutemów! - wyszczerzył się Ron. - Mamo, są jeszcze kielbaski?

Harry znów spojrzał na swoje wyniki. Były tak dobre, na jakie zaledwie mógł mieć nadzieję. Czuł tylko jedno małe ukłucie żalu... To grzebało jego nadzieje na zostanie aurorem. Nie zdołał zapewnić sobie dość dobrej oceny z eliksirów. Zawsze wiedział, że mu się nie uda, ale mimo to wciąż odczuwał ściskanie żołądka, patrząc na to małe, czarne "P".

Naprawdę dziwnym zbiegiem okoliczności było, że to śmierciożerca w przebraniu jako pierwszy powiedział Harry'emu, że byłby dobrym aurorem, ale ten pomysł w jakiś sposób nim zawładnął i Harry nie mógł myśleć o sobie jako o kimkolwiek innym. Więcej, wydawało się słusznym wyborem, odkąd usłyszał przepowiednię kilka tygodni temu... *Żaden nie może żyć, gdy drugi przeżyje...* nie byłoby zgodne z prorocstwem i nie miałby najlepszej szansy na przeżycie, gdyby dołączył do tych wspaniałych wyszkolonych czarodziejów, których zadaniem było odnaleźć i zabić Voldemorta?

Tłumaczyła Clio



Ścieżki Dracona

Przez kilka następnych tygodni w Norze Harry prawie na okrągło przebywał w ogrodzie. Większość czasu spędzał, grając parami w quidditcha w sadzie Weasleyów (on i Hermiona przeciwko Ronowi i Ginny - Hermiona była straszna, a Ginny dobra, tak więc podział był sprawiedliwy), a wieczorami jadł potrójne porcje wszystkiego, co pani Weasley przed nim postawiła.

Byłyby to szczęśliwe, spokojne wakacje, gdyby nie liczne zniknięcia, dziwne wypadki, a nawet zgony, o których prawie codziennie czytali w Proroku. Czasem Bill i pan Weasley przynosili do domu wieści jeszcze przed ukazaniem się ich w gazecie. Ku niezadowoleniu pani Weasley, świętowanie szesnastych urodzin Harry'ego zostało popsute przez przerażające nowiny, które przyniósł na imprezę Remus Lupin. Wyglądał nędznie i ponuro, brązowe włosy znacznie mu posiwiały, a ubranie miał bardziej zniszczone i polatane niż kiedykolwiek przedtem.

- Dementorzy znów zaatakowali - ogłosił, gdy pani Weasley wręczyła mu spory kawałek urodzinowego toru. - Znalezione też ciało Igora Karkarowa w jakiejś chacie na północy. Mroczny Znak widniał nad domem... Cóż, szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że przeżył aż rok po opuszczeniu śmierciożerców. Brat Syriusza, Regulus, zginął po kilku dniach, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Tak, cóż... - powiedziała pani Weasley, marszcząc brwi - może porozmawialibyśmy o czymś innym...

- Remus, a słyszałeś o Florianie Fortescue? - spytał Bill, częstowany winem przez Fleur. - Prowadził...

- Lodziarnię na Pokątnej? - dokończył Harry z nieprzyjemnym uczuciem w brzuchu. - Dawał mi darmowe lody. Co się z nim stało?

- Wygląda na to, że został porwany.

- Ale czemu? - spytał Ron, a pani Weasley spojrzała ze złością na Billa.

- Kto wie? Musiał się im jakoś narazić. Porządny był z niego facet.

- Skoro mówimy o Pokątnej - wtrącił pan Weasley.

- Wygląda na to, że Ollivander też zniknął.

- Wytwórca różdżek? - spytała przestraszona Ginny.

- Tak, on. Sklep jest pusty. Nie ma śladów walki. Nikt nie wie, czy zniknął dobrowolnie czy został porwany.

- Ale skąd ludzie będą brali różdżki?

- Od innych producentów - odpowiedział jej Lupin.

- Ale Ollivander był najlepszy i niedobrze, jeśli ma go druga strona.

Następnego dnia po tym raczej ponurym, urodzinowym spotkaniu, przybyły listy z Hogwartu. Ten przeznaczony dla Harry'ego zawierał niespodziankę

- został mianowany kapitanem drużyny quidditcha.

- To daje ci status równy prefektom! - krzyknęła radośnie Hermiona. - Możesz teraz używać naszej specjalnej łazienki i w ogóle!

- Łaaaa, pamiętam, jak Charlie nosił jedną z nich - powiedział Ron, z radością przymierzając odznakę.

- Harry, to jest super, jesteś moim kapitanem... Jeśli przyjmiesz mnie z powrotem, oczywiście, ha ha...

- Cóż, przypuszczam, że nie możemy odkładać wycieczki na Pokątną teraz, gdy macie już swoje listy - westchnęła pani Weasley, spoglądając na spis podręczników Rona. - Pojedziemy w sobotę, jeśli wasz ojciec nie będzie musiał znowu siedzieć w pracy. Nie pojedę bez niego.

- Mamo, czy naprawdę sądzisz, że Sama-Wiesz-Kto zamierza ukryć się między regałami w Esach i Floresach? - zachichotał Ron.

- A Fortescue i Ollivander wyjechali na wakacje, tak? - nachmurzyła się pani Weasley. - Jeśli myślisz, że środki bezpieczeństwa są śmieszne, możesz zostać tutaj, a ja kupię ci to, czego potrzebujesz...

- Nie, chcę iść, chcę zobaczyć sklep Freda i George'a! - powiedział pospiesznie Ron.

- Więc uważaj na to, co mówisz, młody człowieku, zanim dojdę do wniosku, że jesteś zbyt niedojrzały, by iść z nami - powiedziała ze złością pani Weasley, chwytając swój zegar, którego wszystkie dziewięć wskazówek ustawionych było na "groźbie śmierci", i umieszczając go na szczycie stosu świeżo wypranych ręczników. - I to samo dotyczy powrotu do Hogwartu! Ron odwrócił się i spojrzał na Harry'ego z niedowierzaniem, podczas gdy jego matka chwyciła kosz prania i chwiejający się zegar i wyleciała jak burza z pokoju.

- Kurczę... już nawet nie można zażartować...

Mimo to przez następne kilka dni Ron uważał, by nie żartować na temat Voldemorta. Sobota nadeszła i, mimo że obyło się bez kolejnych wybuchów złości ze strony pani Weasley, to kobieta podczas śniadania wyglądała na bardzo spiętą. Bill, który zamierzał zostać w domu razem z Fleur (ku zadowoleniu Hermiony i Ginny), podał Harry'emu torbę pełną monet.

- A dla mnie? - zażądał od razu Ron, otwierając szeroko oczy.

- To pieniądze Harry'ego, idioto - odparł Bill.

- Wyjąłem je dla ciebie z twojej skrytki, Harry, bo teraz gobliny tak zaostrzyły ochronę, że zwykłym klientom wyjęcie złota zabiera około pięciu godzin. Dwa dni

temu wetknęli Arkie Philpottowi Sondę Rzetelności w... Cóż, zaufaj mi, to był prostszy sposób.

- Dzięki, Bill - powiedział Harry, chowając swoje złoto.

- On jist zawsze taki troskliwi - zamruczała z uwielbieniem Fleur, głaszcząc Billa po nosie. Ginny za plecami dziewczyny udawała, że wymiotuje w swoje muesli. Harry zadławił się swoimi płatkami, a Ron uderzył go w plecy.

To był pochmurny, ponury dzień. Jeden ze specjalnych ministerialnych samochodów, którym Harry już raz podróżował, czekał na nich przed furtką, kiedy wyszli z domu, narzucając na siebie peleryny.

- Fajnie, że tata znowu może nas tym zabrać - powiedział z wdzięcznością Ron, gdy samochód ruszył spod Nory, a Bill i Fleur machali im z okna. On, Harry, Hermiona i Ginny rozsiedli się wygodnie na szerokim tylnym siedzeniu.

- Nie przyzwyczajaj się, to tylko z powodu Harry'ego - rzucił przez ramię pan Weasley. Razem z żoną siedział z przodu, obok kierowcy z Ministerstwa. Przednie siedzenie pasażera zostało zmienione w coś, co przypominało dwuosobową sofę. - Dostał ochronę jak minister. A od Dziurawego Kotła będzie nam towarzyszyć dodatkowa ochrona.

Harry nie odezwał się. Nie miał specjalnie ochoty robić zakupów, kiedy będzie otoczony przez batalion aurorów. Schował swoją pelerynę niewidkę do plecaka. Co było dobre na Dumbledore'a, powinno wystarczyć i na ludzi ministerstwa, tym bardziej, że wcale nie był pewien, czy ministerstwo w ogóle wie o jego pelerynie.

- Jesteśmy na miejscu - ogłosił kierowca po zaskakująco krótkiej chwili, odzywając się po raz pierwszy. Zwolnił na Charing Cross Road i zatrzymał się przed Dziurawym Kotle. - Mam na was zaczekać. Jak myślicie, ile wam to zajmie?

- Przypuszczam, że kilka godzin - odpowiedział pan Weasley. - O, już jest!

Harry poszedł w jego ślady i wyjrzał przez okno. Jego serce podskoczyło. Przed gospodą nie czekała na nich

obstawa aurorska, ale gigantyczna, czarnobroda postać Rubeusa Hagrida, gajowego z Hogwartu ubranego w długi bobrowy płaszcz. Rozpromienił się na widok twarzy Harry'ego, nieświadomy zdumionych spojrzeń mijających go mugoli.

- Harry! - zagrział, łapiąc chłopaka w miążdzący kości uścisk w chwili, gdy ten wysiadł z samochodu.

- Hardodziób... Suchoskrzydły, się znaczy... powinieneś go zobaczyć, jest taki szczęśliwy po powrocie na otwartą przestrzeń...

- Dobrze, że jest zadowolony - powiedział Harry, szczerząc się i masując sobie żebra. - Nie wiedzieliśmy, że *ochrona* oznacza ciebie!

- Wiem, jak za starych czasów, nie? Widzisz, ministerstwo chciało przysłać aurorów, ale Dumbledore stwierdził, że ja mogę się tym zająć - powiedział z dumą Hagrid, wypinając pierś i wsadzając kciuki do kieszeni. - Chodźmy więc... najpierw ty, Molly, Artur...

Dziurawy kocioł był, po raz pierwszy od kiedy Harry pamiętał, kompletnie pusty. Ze starej ekipy pozostał tylko Tom - pomarszczony i bezzębny gospodarz. Spojrzał z nadzieją na wchodzących, ale zanim zdolał się odezwać, Hagrid powiedział:

- Dzisiaj tylko przechodzimy, Tom, sprawy Hogwartu, rozumisz.

Gospodarz skinął głową ponuro i wrócił do wycierania szklanek. Harry, Hermiona, Hagrid i Weasleyowie przeszli przez bar i tylnym wyjściem przedostali się na małe chłodne podwórze, gdzie stały pojemniki na śmieci. Hagrid uniósł swój różowy parasol i zastukał w określoną cegłę w murze, która otworzyła przejście na krętą, brukowaną ulicę. Zatrzymali się zaraz przy wejściu i rozejrzeli wokół.

Ulica Pokątna zmieniła się. Kolorowe, błyszczące witryny, które przedstawiały księgi zaklęć, składniki eliksirów i kociołki, były niewidoczne, ukryte pod przyklejonymi na nich wielkimi ministerialnymi plakatami. Większość tych posępnych fioletowych afiszy z zasadami bezpieczeństwa była powiększoną

wersją broszur, które rozsyłano latem, a inne przedstawiały ruszające się czarno-białe fotografie znanych śmierciożerców przebywających na wolności. Bellatrix Lestrange uśmiechała się drwiąco z frontu najbliższej apteki. Kilka witryn było zabitych deskami, w tym ta należąca do Lodziarni Floriana Fortescue. Z drugiej strony ulicy rozstawiono wiele podniszczonych straganów. Najbliższy, stojący przed księgarnią "Esy i Floresy", pod pasiastą, poplamioną markizą miał kartonowy szyld przypięty z przodu:

AMULETY

Skuteczne przeciw wilkołakom, dementorom i Inferim

Zaniedbany, mały czarodziej potrząsał naręczami srebrnych symboli na łańcuszkach i kiwał w stronę przechodniów.

- Jeden dla pani córeczki, madame? - odezwał się do pani Weasley, lypiąc okiem na Ginny, kiedy przechodzili. - Dla ochrony jej ślicznego karku?

- Gdybym był na służbie... - zaczął pan Weasley, patrząc ze złością na sprzedawcę amuletów.

- Ale nie jesteś, kochanie, nie aresztujesz teraz nikogo, spieszy nam się - odparła pani Weasley, nerwowo przeglądając listy. - Myślę, że powinniśmy zacząć od sklepu Madame Malkin, Hermiona chce kupić nowe szaty, Ron wyrósł ze swoich i ty także potrzebujesz nowych, Harry, tak szybko rośniesz... chodźmy...

- Molly, nie ma sensu, żebyśmy wszyscy szli do Madame Malkin - zaproponował pan Weasley. - Może oni troje pójdą z Hagridem, a my wybierzemy się do *Esów i Floresów* i kupimy wszystkim podręczniki?

- Sama nie wiem - odparła pani Weasley niespokojnie, wyraźnie rozdarta między pragnieniem szybkiego zakończenia zakupów a chęcią trzymania się razem. - Hagridzie, myślisz...?

- Nie martw się, nic im się ze mną nie stanie, Molly - powiedział olbrzym uspokajająco, machnąwszy beztrąsko ręką wielkości pokrywy śmietnika. Pani Weasley nie wyglądała na do końca przekonaną, ale

zgodziła się na rozdzielenie i popędziła do *Esów i Floresów* z mężem i Ginny, podczas gdy Harry, Ron, Hermiona i Hagrid ruszyli do Madame Malkin.

Harry zauważył, że wielu mijających ich ludzi ma to samo udęczone, niespokojne spojrzenie, które zaobserwował u pani Weasley i nikt nie zatrzymuje się, by porozmawiać. Sprzedawcy trzymali się razem, w swoich żytych grupach, zajmując się własnymi sprawami. Nie widać było, by ktokolwiek robił zakupy samotnie.

- Gdybyśmy weszli tam wszyscy, zrobiłby się tłok - powiedział Hagrid, zatrzymując się przed salonem Madame Malkin i schylił się, by zajrzeć przez szybę.

- Stanę na straży na zewnątrz, w porząsiu?

Tak więc Harry, Ron i Hermiona weszli razem do małego sklepu. Na pierwszy rzut oka wyglądał na pusty, ale nie zdążyli jeszcze zamknąć drzwi, gdy usłyszeli znajomy głos dochodzący zza stojaka z szatami w kolorach błyszczącej zieleni i błękitu.

- ... już dzieckiem, na wypadek gdybyś nie zauważyła, matko. Potrafię robić zakupy sam.

Dało się słyszeć cmoknięcie i głos, który Harry rozszyfrował jako należący do Madame Malkin, właścicielki sklepu, odezwał się:

- No, kochanie, twoja matka ma rację, nikt z nas nie powinien chodzić teraz samotnie, nie ma to nic wspólnego z tym, czy jesteś dzieckiem...

- Patrz, gdzie wsadzasz te szpilki!

Nastolatek o bladej, ostrej twarzy i jasnoblond włosach wyłonił się zza stojaka ubrany w twarzowy komplet ciemnozielonych szat migoczący od szpilek wbitych na skrajach tkaniny i mankietach rękawów. Podszedł do lustra, by się przejrzeć. Nie minęło kilka sekund, kiedy zauważył odbicie Harry'ego, Rona i Hermiony stojących za nim. Jego jasne szare oczy zwęziły się.

- Jeśli zastanawiasz się, co to za zapach, matko, szlama właśnie weszła - powiedział Draco Malfoy.

- Myślę, że nie ma potrzeby używać takiego języka! - odezwała się Madame Malkin, wybiegając zza stojaka z centymetrem krawieckim i różdżką w dłoniach.

- I nie chcę wyciągniętych różdżek w moim sklepie! - dodała pośpiesznie, gdy zerknąwszy w stronę drzwi zobaczyła Harry'ego i Rona, stojących z różdżkami wycelowanymi w Malfoya. Hermiona stojąca tuż za nimi wyszeptwała:

- Nie, szczerze, nie warto.

- Jasne, jakbyście się odważyli użyć magii poza szkołą - zadrwił Malfoy. - Kto tak załatwił ci oko, Granger? Chciałbym posłać mu kwiaty.

- Wystarczy! - przerwała Madame Malkin ostro, oglądając się po wsparcie. - Madame, proszę!

Narcyza Malfoy wyłoniła się zza stojaka.

- Odlóżcie je - powiedziała zimno do Harry'ego i Rona.

- Jeśli zaatakujecie mojego syna ponownie, gwarantuję, że to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobicie.

- Czyżby? - odparł Harry. Zrobił krok do przodu i spojrzał w gładką, arogancką twarz, która - przy całej bladeści - wciąż przypominała Harry'emu twarz jej siostry. Był teraz tak wysoki jak pani Malfoy. - Wezwie pani kilku śmierciożerców, żeby nas załatwili?

Madame Malkin pisnęła i chwyciła się za serce.

- Naprawdę, nie powinieneś oskarżać... Mówienie niebezpiecznych rzeczy... Schowajcie różdżki, proszę!

Ale Harry nie opuścił różdżki. Narcyza Malfoy uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

- Widzę, że bycie pupilkiem Dumbledore'a dało ci fałszywe poczucie bezpieczeństwa, Harry Potterze. Ale Dumbledore nie zawsze będzie mógł cię chronić.

Harry rozejrzał się z drwiącą miną.

- Łaaa!... popatrzmy... nie ma go tutaj! Dlaczego by nie spróbować? Może uda im się znaleźć podwójną celę dla pani i tego nieudacznika, pani męża!

Malfoy wykonał wściekły ruch w stronę Harry'ego, ale potknął się o zbyt długą szatę. Ron zaśmiał się głośno.

- Nie waz się odzywać w ten sposób do mojej matki, Potter! - warknął Malfoy.

- W porządku, Draco - powiedziała Narcyza, powstrzymywała syna, zaciskając smukłe białe palce na jego ramieniu. - Spodziewam się, że Potter ponownie połączy się z drogim Syriuszem szybciej niż ja z

Lucjuszem.

Harry podniósł swą różdżkę wyżej.

- Harry, nie! - jęknęła Hermiona, chwytając jego rękę i próbując opuścić ją na siłę. - Pomyśl... nie możesz... Wpadłbyś w duże kłopoty...

Madame Malkin zawahała się przez moment, nie wiedząc, co robić. Po chwili najwidoczniej postanowiła udawać, że nic się nie stało w nadziei, że tak zostanie. Nachyliła się ku Malfoyowi, który wciąż wpatrywał się w Harry'ego.

- Myślę, że ten lewy rękaw możnaby troszkę podwinąć, pozwól...

- Auć! - wrzasnął Malfoy, odtrącając jej rękę - Patrz, gdzie wpinasz szpilki, kobieto! Matko, myślę, że już tego nie chcę.

Ściągnął szatę przez głowę i rzucił na podłogę pod nogi Madame Malkin.

- Masz rację, Draco - zgodziła się z nim Narcyza, patrząc pogardliwie na Hermionę. - Teraz już wiem, jaka hołota robi tu zakupy. Pójdziemy do Twilfitta i Tattinga.

To powiedziawszy, oboje wyszli ze sklepu, Malfoy zadbał jeszcze, by jak najmocniej zderzyć się z Ronem na odchodnym.

- Hm, czyżby? - powiedziała Madame Malkin. Złapała leżące na podłodze szaty i zaczęła czyścić je różdżką jak odkurzaczem, aż zlikwidowała wszystkie zabrudzenia.

Roztargniona mierzyła nowe szaty Rona i Harry'ego, próbowała sprzedać Hermionie męskie szaty zamiast damskich, więc gdy wreszcie zamknęła za nimi drzwi, odetchnęła z ulgą.

- Macie wszystko? - spytał radośnie Hagrid, kiedy do niego podeszli.

- Mniej więcej - odparł Harry. - Widziałeś Malfoyów?

- Taa - powiedział gajowy beztrąsko. - Ale oni nie... nie ośmieliliby się wszczynać awantury na środku Pokątnej, Harry. Nie przejmuj się nimi.

Harry, Ron i Hermiona wymienili spojrzenia, ale zanim zdążyli wyprowadzić Hagrida z błędu, pojawili się

państwo Weasleyowie i Ginny, obladowani ciężkimi paczkami książek.

- Wszyscy cali? - spytała pani Weasley. - Macie swoje szaty? W porządku więc, możemy zajrzeć do apteki i Eeylopa po drodze do Freda i George'a... Trzymajcie się blisko...

Ani Harry, ani Ron nie musieli kupować niczego w aptece, ponieważ żaden z nich nie kontynuował nauki Elikserów, ale obaj kupili duże pudelka sowych orzeszków dla Hedwigi i Świstoświnki w Centrum Handlowym Eeylopa. Później, z panią Weasley ciągle zerkającą na zegarek, pospieszyli dalej wzdłuż ulicy w poszukiwaniu *Czarodziejskich Dowcipów Weasleyów*, sklepu z kawałami prowadzony przez Freda i George'a.

- Naprawdę, nie możemy zostać długo - powiedziała pani Weasley. - Rozejrzemy się tylko szybko i wracamy do samochodu. Jesteśmy blisko, to jest numer dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt cztery...

- Jesteśmy! - ogłosił Ron, zatrzymując się.

W porównaniu z nudnymi, przysłoniętymi plakatami witrynami dookoła, wystawa Freda i George'a była po oczach jak pokaz fajerwerków. Przypadkowi przechodnie odwracali głowy, wpatrując się w szybę, a kilka wyglądających na oszołomione osób zatrzymało się, jak sparaliżowane. Lewa witryna była pełna wszelkiego rodzaju oślepiająco wirujących, wystrzeliwujących, migoczących, podskakujących i piszczących przedmiotów. Harry'emu oczy zaczynały łzawić od samego patrzenia. Prawe okno zasłonięte było przez gigantyczny plakat, fioletowy jak te z Ministerstwa, ale ozdobiony błyszczącymi złotymi literami:

CZEMU WAS MĘCZY

SAM-WIESZ-KTO?

LEKIEM WAM BĘDZIE

SAM-ZRÓB-TO!

BO TO ZATWARDZENIA UCZUCIE

NAJBARDZIEJ PSUJE SAMOPOCZUCIE!

Harry zaczął się śmiać. Usłyszał słaby odgłos za sobą i obejrzał się, by zobaczyć panią Weasley wpatrującą się, oniemiała, w plakat. Jej usta poruszały się, bezgłośnie wymawiając *Sam-Zrób-To*.

- Zostaną zamordowani we własnych łózkach! - wyszeptała.

- Nie zostaną! - powiedział Ron, podobnie jak Harry, bardzo rozbawiony. - To jest cudowne!

On i Harry pierwsi weszli do sklepu. Był pełen klientów, Harry nie mógł nawet dopchać się do półek. Rozglądał się, spoglądając na pudła piętrzące się do sufitu: były tam Bombonierki Lesera, które bliźniacy udoskonalali podczas ich ostatniego, nieukończonego roku w Hogwarcie. - Harry zauważył, że Krwotoczki Truskawkowe były najbardziej popularne, na półce zostało tylko jedno, uszkodzone opakowanie. Pojemniki pełne zabawkowych różdżek, najtańsze jedynie zamieniały się z gumowe kurczaki lub parę majtek, kiedy się machnęło, najdroższe były nieświadomego użytkownika po głowie i szyi. Pudełka piór, które dzieliły się na Samonapelniające Się, Sprawdzające Ortografię i Podpowiadające. Tłum trochę się przerzedził i Harry przepchnął się do kontuaru, gdzie rozgadana grupa zachwyconych dziesięciolatków wpatrywała się w malutkiego, drewnianego ludzika powoli wspinającego się na szubienicę. Całość zamontowana była na pudełku z napisem: *Wielokrotny wisielec - nie myl się, bo żadynda!*

Opatentowane Sny Na Jawie

Hermiona zdołała przecisnąć się przez tłum do dużej wystawy przy ladzie i czytała informacje na odwrocie pudełka z bardzo kolorowym obrazem przystojnego młodzieńca i zachwyconej dziewczyny stojących na pokładzie pirackiego okrętu.

- *Jedno proste zaklęcie i wejdziesz w wysokiej jakości, bardzo realistyczny, trzydziestominutowy sen na jawie, łatwy do uruchomienia podczas nudnej lekcji i właściwie niewykrywalny (efekty uboczne obejmują bezmyślny wyraz twarzy i niewielki*

ślinotok). *Od szesnastego roku życia*. Wiesz - zwróciła się do Harry'ego Hermiona. - To jest naprawdę nadzwyczajna magia!

- Za to, Hermiono - odezwał się głos za nimi

- dostaniesz jeden gratis.

Rozpromieniony Fred stał ubrany w komplet karmazynowych szat, które wspaniale gryzły się z jego płomiennymi włosami.

- Jak się masz, Harry? - Uścisnęli sobie ręce. - I co się stało z twoim okiem, Hermiono?

- Wasz bokserski teleskop - powiedziała ponuro.

- O kurczę, zapomniałem o tym - odparł Fred.

- Masz...

Wyciągnął z kieszeni tubkę i podał jej. Odkręciła ostrożnie korek, żeby odkryć gęstą, żółtą pastę.

- Po prostu nałóż ją na oko, siniak zniknie w ciągu godziny - powiedział Fred. - Musieliśmy znaleźć porządny likwidator siniaków. Większość produktów testujemy na sobie.

Hermiona spojrzała podejrzliwie.

- Ale to bezpieczne? - spytała.

- Jasne, że tak - odpowiedział pewnie Fred. - Chodź, Harry, oprowadzę cię.

Harry zostawił Hermionę zajętą smarowaniem podbitego oka pastą i poszedł za Fredem do tylnej części sklepu, gdzie zobaczył stoisko sztuczek karcianych i sznurkowych.

- Mugolskie magiczne sztuczki! - powiedział radośnie Fred, wskazując na nie. - Dla takich dziwaków jak tata, rozumiesz, którzy lubią mugolskie gadżety. Nie zarabiamy na tym kroci, ale mamy dość stabilny interes, a nowinki... O, jest George...

Bliźniak Freda uścisnął energicznie dłoń Harry'ego.

- Orowadzasz go? Chodź na zaplecze, Harry, to tam zarabiamy prawdziwe pieniądze... Zwiń cokolwiek, a zapłacisz nie tylko galeonami! - ostrzegł małego chłopca, który pospiesznie wyciągnął rękę ze zbiornika z napisem:

JADALNE MROczne ZNAKI - KTO ZJE, BĘDZIE CHORY!

George odsunął zasłonę obok mugolskich sztuczek i Harry ujrzał ciemne, mniej zatłoczone pomieszczenie. Leżące tu produkty nie były głośno reklamowane.

- Rozwinęliśmy produkcję poważniejszej serii - powiedział Fred. - Zabawnie się złożyło...

- Nie uwierzyłbyś, ilu ludzi, nawet tych pracujących w Ministerstwie, nie umie rzucić porządnego Zaklęcia Tarczy - podjął George. - Oczywiście, oni nie mieli ciebie za nauczyciela, Harry.

- Dokładnie... Myśleliśmy, że Kapelusze Tarczy będą zabawne, no wiesz, podpuścić kumpla, żeby rzucił w ciebie klątwą, kiedy to założysz i obserwować jego minę, kiedy zaklęcie odbije się. Ale ministerstwo zakupiło pięćset, jako standardowe wyposażenie personelu pomocniczego. I wciąż dostajemy zamówienia hurtowe!

- Więc rozwinęliśmy produkcję - Płaszcz Tarczy, Rękawiczki Tarczy...

- ... To znaczy, nie pomogłyby przeciw Niewybaczalnym, ale łagodzi pomniejszych klątwy lub uroki...

- I wtedy pomyśleliśmy, że moglibyśmy zająć się całą strefą związaną z Obroną Przed Czarną Magią, bo to kopalnia pieniędzy - kontynuował rozentuzjasmowany George. - To jest super. Spójrz, Błyskawiczny Proszek Ciemności, importujemy go z Peru. Przydatne, jeśli chcesz szybko uciec.

- A nasze Detonatory Przynęty znikają już z półek, sam zobacz - powiedział Fred, wskazując na dziwnie wyglądające, czarne przedmioty, próbujące uciec z widoku. - Po prostu upuszczasz jednego ukradkiem, a on ucieka i wydaje głośny dźwięk, odwracając uwagę od ciebie.

- Przydatne - Harry był pod wrażeniem.

- Masz - powiedział George, łapiąc kilka i rzucając Harry'emu.

Młoda czarownica z krótkimi blond włosami wsadziła

głową przez zasłonę. Harry zobaczył, że ona też jest ubrana w karmazynowe firmowe szaty.

- Na zewnątrz jest klient, który szuka kociolka do żartów, panie Weasley i panie Weasley - oznajmiła.

Harry uznał, że to dziwne słyszeć, że ktoś nazywa Freda i George'a *panem Weasley*, ale oni podeszli do tego spokojnie.

- W porządku, Verity, już idę - powiedział szybko George. - Harry, wybieraj sobie, co chcesz, ok? Na koszt firmy.

- Nie mogę! - zaproponował Harry, który zdążył już wyciągnąć swoje pieniądze, by zapłacić za Detonatory.

- Nie płacisz tu - odparł stanowczo Fred, machając odmownie ręką.

- Ale...

- Daleś nam kapitał na początek, nie zapomnieliśmy o tym - powiedział bez wahania George. - Bierz, co chcesz. Pamiętaj tylko, żeby powiedzieć ludziom, skąd to masz, gdy spytają.

Powiedziawszy to, zniknął za zasłoną, by pomóc klientom, a Fred zaprowadził Harry'ego z powrotem do głównej części sklepu, gdzie znaleźli Hermionę i Ginny wciąż ślęczące nad Opatentowanym Snem Na Jawie.

- Widziałyście naszą specjalną serię *Cudowna Czarownica*? - spytał Fred. - Za mną, drogie panie...

Blisko okna stał szereg jaskraworóżowych produktów, naokoło których grupa podekscytowanych dziewcząt chichotała entuzjastycznie. Hermiona i Ginny stanęły obok, patrząc podejrzliwie.

- Mamy tu - mówił z dumą Fred - najlepsze eliksiry miłosne na świecie.

Ginny uniosła sceptycznie brwi.

- Działają? - spytała.

- Oczywiście, że tak, do dwudziestu czterech godzin, w zależności od wagi danego chłopaka...

- ... i atrakcyjności dziewczyny - dokończył George, pojawiając się znienacka. - Ale nie sprzedajemy ich naszej siostrze - dodał, nagle poważniejąc. - Nie, gdy ma ona już około pięciu chłopców, jak sły...

- Cokolwiek słyszeliście od Rona to jedno wielkie

kłamstwo - odparła Ginny spokojnie, pochylając się, by wziąć z półki mały różowy słoik. - Co to?

- Pewny, działający w dziesięć sekund, korektor krost - odpowiedział Fred. - Doskonały do wszystkiego, od czyraków do wągrów, ale nie zmieniaj tematu. Spotykasz się obecnie z niejakim Deanem Thomasem, tak czy nie?

- Tak - odpowiedziała Ginny. - I kiedy ostatni raz sprawdzałam, był z pewnością jednym chłopcem, nie pięcioma. A to co?

Wskazała na grupę okrągłych kulek klaczków w odcieniach różu i fioletu, turlających się po klatce i wydających przeraźliwe piski.

- Pufek pigmejski - powiedział George. - Miniaturowe pufki, nie nadajemy z rozmnażaniem. A co z Michaeliem Cornerem?

- Rzuciłam go, nie umiał przegrywać - odparła Ginny, wkładając palec między pręty klatki i patrząc na małe zwierzątka gromadzące się wokół niego. - Są naprawdę słodkie!

- Są fajnymi przytulankami, to fakt - przyznał Fred.

- Dość często zmieniasz chłopaków, nie sądzisz?

Ginny odwróciła się w jego stronę, ręce oparła na biodrach. Minę miała zupełnie jak pani Weasley, Harry był zaskoczony, że Fred nie odsunął się.

- To nie twój interes. I dziękuję ci - zwróciła się wściekle do Rona, który pojawił się przy George'u, obladowany towarem - za nieopowiadanie bajek na mój temat tym dwóm!

- Trzy galeony, dziewięć sykli i knut - powiedział Fred, oceniwszy liczne pudelka w ramionach Rona. - Bulisz.

- Jestem twoim bratem!

- A to są nasze rzeczy, które chcesz zwędzić. Trzy galeony, dziewięć sykli. Opuść knuta.

- Ale ja nie mam trzech galeonów, dziewięciu sykli!

- Więc lepiej odłóż to z powrotem na miejsce i uważaj, by były to właściwe półki.

Ron upuścił kilka pudeł, zaklął i wykonał niegrzeczny gest ręką w stronę Freda. Niestety, zauważyła go pani Weasley, która wybrała właśnie ten moment, by się

pojawić.

- Jeśli jeszcze raz zobaczę, jak to robisz, klątwą złączę ci palce - zagroziła.

- Mamo, mogę mieć pigmejskiego pufka? - natychmiast spytała Ginny.

- Co? - spytała pani Weasley ostrożnie.

- Spójrz, są takie słodkie...

Pani Weasley przesunęła się, żeby spojrzeć na pigmejskie pufki i Harry, Ron i Hermiona zyskali widok na to, co dzieje się za oknem. Draco Malfoy szedł pospiesznie po ulicy. Był sam. Gdy mijal Czarodziejskie Dowcipy Weasleyów, obejrzał się za siebie. Chwilę później przeszedł obszar widoczny przez szybę i stracili go z oczu.

- Ciekawe, gdzie jego mamusia? - odezwał się Harry, marszcząc brwi.

- Wygląda na to, że jej uciekł - powiedział Ron.

- Czemu, jak myślicie? - spytała Hermiona.

Harry nie odpowiedział, zamyślił się głęboko. Narcyza Malfoy nie spuściłaby świadomie swojego ukochanego synka z oczu. Malfoy musiał się naprawdę wysilić, żeby się od niej uwolnić.

Ponieważ znał Malfoya i go nie znosił, Harry był pewien, że powód nie mógł być niewinny.

Rozejrzał się. Pani Weasley i Ginny pochylały się nad pigmejskimi pufkami. Pan Weasley z zachwytem badał opakowanie mugolskich kart do gry. Fred i George byli zajęci pomaganiem klientom. Za szybą Hagrid stał tyłem do nich, rozglądając się po ulicy.

- Właźcie, szybko - powiedział Harry, wyciągając z plecaka pelerynę niewidkę.

- Sama nie wiem, Harry - odezwała się Hermiona, patrząc niepewnie w stronę pani Weasley.

- No chodź - ponaglił Ron.

Ociągała się jeszcze przez chwilę, po czym wskoczyła pod pelerynę razem z Harrym i Ronem. Nikt nie zauważył ich zniknięcia, wszyscy byli zbyt zainteresowani produktami Freda i George'a. Harry, Ron i Hermiona przecisnęli się do wyjścia tak szybko, jak tylko mogli, ale gdy wyszli na ulicę, Malfoy zniknął

tak skutecznie, jak oni chwilę wcześniej.

- Szedł w tamtym kierunku - wymamrotał Harry najciszej jak mógł, żeby mruczący do siebie Hagrid nie mógł ich usłyszeć. - Chodźmy.

Pospiechali ulicą, zaglądając do okien na lewo i prawo, póki Hermiona nie wskazała przed siebie.

- To on, nie? - wyszeptała. - Skręca w lewo?

- Co za niespodzianka - odszepnął Ron.

Malfoy rozejrzał się dookoła, po czym wślizgnął się w Aleję Śmiertelnego Nokturnu i zniknął z pola widzenia.

- Szybko, bo go zgubimy - powiedział Harry, przyspieszając.

- Będzie widać nam stopy - zaprotestowała zaniepokojona Hermiona, kiedy peleryna załopotąła dookoła ich kostek. Obecnie całej trójce dużo trudniej było ukrywać się pod peleryną.

- Nieważne - powiedział niecierpliwie Harry. - Szybko! Aleja Śmiertelnego Nokturnu, boczna ulica poświęcona Czarnej Magii, wyglądała na kompletnie opuszczoną. Idąc, zaglądali przez szyby do sklepów, ale wyglądało na to, że nigdzie nie ma klientów. Harry przypuszczał, że kupowanie czarnomagicznych artefaktów w tych niebezpiecznych i podejrzliwych czasach było bardzo nieostrożne. Zwłaszcza, jeśli ktoś to widział.

Hermiona chwyciła jego ramię w mocnym uścisku.

- Auć!

- Ciii! Spójrz! Tam jest!

Doszli do jedyne go sklepu na Nokturnie, który Harry już odwiedził - *Borgin i Burkes*, który oferował szeroki wybór złowrogich przedmiotów. Pośród skrzyń pełnych czaszek i starych butelek, stał odwrócony do nich tyłem Draco Malfoy, ledwo widoczny zza wielkiej czarnej szafy, w której Harry kiedyś ukrywał się przed nim i jego ojcem. Sądząc po ruchach jego rąk, Malfoy mówił z ożywieniem. Właściciel sklepu, pan Borgin, tłustowłosy, zgarbiony mężczyzna, stał przodem do rozmówcy. Wyraz jego twarzy był ciekawą mieszanką oburzenia i strachu.

- Gdybyśmy tylko mogli słyszeć, o czym mówią! -

odezwała się Hermiona.

- Możemy! - powiedział podekscytowany Ron.

- Moment, cholera.

Upuścił jeszcze kilka pudełek, które wciąż kurczowo trzymał i szperał w największym.

- Uszy Dalekiego Zasięgu, spójrzcie!

- Fantastycznie! - ucieszyła się Hermiona, gdy Ron rozpakował cieliste sznurki i zaczął wprowadzać je pod drzwi. - Och, mam nadzieję, że nie obłożył drzwi Zaklęciem Nieprzenikalności...

- Nie! - odparł radośnie Ron. - Słuchajcie!

Przybliżyli głowy do siebie i słuchali zawzięcie przy końcach sznurków, gdzie głos Malfoya słychać było głośno i wyraźnie, jak gdyby ktoś włączył radio.

- ...sz jak to naprawić?

- Możliwe - odpowiedział Borgin, tonem sugerującym, że nie jest skłonny się angażować. - Musiałbym to zobaczyć. Dlaczego nie przyniesie pan tego do sklepu?

- Nie mogę - powiedział Malfoy. - To musi leżeć. Powiedz mi tylko, jak to zrobić.

Harry zobaczył, jak Borgin oblizal nerwowo wargi.

- Cóż, bez zobaczenia tego, muszę powiedzieć, że to będzie bardzo trudne, może nawet niemożliwe. Nie mógłbym niczego zagwarantować.

- Nie? - odparł Malfoy i Harry wiedział, poznał po tonie, że uśmiecha się drwiąco. - Może to sprawi, że będziesz pewniejszy.

Zbliżył się do Borgina i szafa zasłoniła go. Harry, Ron i Hermiona kręcili się w różne strony, by go dojrzeć, ale jedyne co mogli dostrzec to Borgina, wyglądającego na bardzo przestraszonego.

- Powiedz komukolwiek - zaczął Malfoy - i dosięgnie cię zasłużona kara. Znasz Fenrira Greybacka? To przyjaciel rodziny. Będzie wpadał tu od czasu do czasu, żeby upewnić się, że poświęcasz problemowi pełną uwagę.

- Nie będzie potrzeby...

- Ja o tym zdecyduję - przerwał Malfoy. - Cóż, lepiej już pójdę. I pamiętaj, uważaj na to. Będzie mi potrzebne.

- Może chciałby pan zabrać to teraz?
- Nie, oczywiście, że nie, głupi człowieczku, jak bym wyglądał, idąc z tym po ulicy? Tylko nie sprzedaj tego.
- Oczywiście, że nie... sir.

Borgin uklonił się tak głęboko, jak wtedy, gdy Harry widział go, kłaniającego się Lucjuszowi Malfoyowi.

- Ani słowa nikomu, Borgin, włączając w to moją matkę, jasne?

- Oczywiście, oczywiście - wymamrotał Borgin, ponownie się kłaniając.

Po chwili dzwonek nad drzwiami zabrzączał głośno, gdy Malfoy opuszczał sklep, wyglądając na bardzo zadowolonego z siebie. Przeszedł tak blisko Harry'ego, Rona i Hermiony, że poczuli jak peleryna znowu zawirowała. W sklepie, Borgin pozostawał zastygły, jego obłudny uśmiech zniknął, teraz wyglądał na zmartwionego.

- O co chodziło? - wyszeptał Ron, zwijając Uszy Dalekiego Zasięgu.

- Nie wiem - powiedział Harry, zamyślając się głęboko.

- Chciał coś naprawić... i coś zarezerwować...
Widzieliście, co pokazywał, kiedy mówił *to*?

- Nie, był niewidoczny za tą szafą...

- Zostańcie tu - wyszeptała Hermiona.

- Co chcesz...?

Ale Hermiona już wyskoczyła spod peleryny. Sprawdziła włosy w odbiciu w szybie i wmaszerowała do sklepu, potrącając dzwonek. Ron pospiesznie wsadził Uszy Dalekiego Zasięgu z powrotem pod drzwi i podał jeden ze sznurków Harry'emu.

- Witam, koszmaryny ranek, prawda? - Hermiona odezwała się pogodnie do Borgina, który nie odpowiedział, ale spojrział na nią podejrzliwie. Mruczając radośnie, Hermiona spacerowała między plataniną wystawionych przedmiotów.

- Czy ten naszyjnik jest na sprzedaż? - spytała, zatrzymując się przed oszkloną kasetką.

- Jeśli masz półtora tysiąca galeonów - odpowiedział Borgin zimno.

- Och... e... Nie, nie mam tyle - odparła Hermiona,

przechadzając się. - A... ta śliczna...hm... czaszka?

- Szesnaście galeonów.

- Więc jest na sprzedaż, tak? Nie jest... zarezerwowana? Pan Borgin spojrział na nią, mrużąc oczy. Harry miał nieprzyjemne wrażenie, że wiedział dokładnie, o co chodzi Hermionie. Najwidoczniej dziewczyna również domyśliła się, że została rozszyfrowana, bo nagle porzuciła ostrożność.

- Rzecz w tym, że... e... chłopak, który właśnie wyszedł, Draco Malfoy, cóż, jest moim przyjacielem i chciałam kupić mu jakiś prezent urodzinowy, ale jeśli on już coś zarezerwował, oczywiście, nie chcę kupować mu tego samego, więc... e...

Według Harry'ego była to naprawdę kiepska historia i najwyraźniej Borgin też tak pomyślał.

- Wynocha - powiedział ostro. - Wynoś się!

Hermionie nie trzeba było powtarzać dwa razy, pospieszyła do drzwi, a po piętach deptał jej właściciel. Dzwonek znów zadzwonił, a Borgin zatrzasnął za nią drzwi i wywiesił kartkę, że sklep jest nieczynny.

- No cóż - powiedział Ron, zarzucając pelerynę na Hermionę. - Warto było spróbować, ale twoje zachowanie było zbyt oczywiste...

- Cóż, następnym razem będziesz mógł pokazać mi, jak to się robi, Mistrzu Tajemnic! - odcięła się.

Ron i Hermiona sprzeczali się całą drogę z powrotem do Czarodziejskich Dowcipów Weasleyów, gdzie musieli przerwać, by ominąć niepostrzeżenie bardzo zaniepokojoną panią Weasley i Hagrida, którzy najwyraźniej zauważyli ich nieobecność. Już w sklepie, Harry chwycił pelerynę i schował do torby, po czym dołączył do pozostałej dwójki, która, w odpowiedzi na oskarżenia pani Weasley, wmawiała jej, że cały czas byli na zapleczu sklepu i najwidoczniej nie sprawdziła dokładnie.

Tłumaczył Kubiś

ROZDZIAŁ SIÓDMY



Klub Sluga

Harry spędził dużą część ostatniego tygodnia wakacji, rozmyślając nad zachowaniem Malfoya na Śmiertelnym Nokturnie. Najbardziej martwiła go satysfakcja, która malowała się na twarzy Ślizgona, gdy opuszczał sklep. Nic, co sprawiało, że Malfoy wyglądał na szczęśliwego, nie mogło oznaczać czegoś dobrego. Irytowało go trochę, że ani Ron, ani Hermione nie wydawali się tak ciekawi tego, czym zajmuje się Dracon, jak on. Wyglądało na to, że po kilku dniach zaczęło ich nudzić dyskusowanie na ten temat.

- Tak, już się zgodziliśmy, że to było podejrzane, Harry - powiedziała Hermione nieco niecierpliwie. Siedziała na parapecie w pokoju Freda i George'a ze stopami opartymi na jednym z kartonowych pudełek i patrzyła niechętnie znad nowego egzemplarza *Tłumaczenia run dla zaawansowanych*. - Ale czy nie zgodziliśmy się też, że wyjaśnień może być wiele?

- Może zepsuł swoją Rękę Glorii? - Wymamrotał Ron, próbując wyprostować wygięte witki miotły.

- Pamiętajcie tę jego wysuszoną łapę?

- A co z *I pamiętaj, uważaj na to?* - zapytał po raz enty Harry. - To brzmiało, jakby Borgin miał drugi z zepsutych przedmiotów, a Malfoy chciał obu.

- Tak sądzisz? - powiedział Ron, tym razem próbując doczyścić zabrudzony kawałek rączki miotły.

- Właśnie tak - odrzekł Harry. Gdy ani Ron, ani Hermiona nie odpowiedzieli, kontynuował - Jego ojciec jest w Azkabanie. Nie uważacie, że Malfoy będzie chciał się zemścić?

Ron podniósł wzrok i zamrugał.

- Malfoy? Zemścić się? A co on może zrobić?

- No i właśnie o to mi chodzi - nie wiem! - warknął Harry. - Ale coś knuje i uważam, że powinniśmy to potraktować poważnie. Jego ojciec jest śmierciożercą i...

Harry przerwał i zamarł z otwartymi ustami, ze wzrokiem utkwionym w okno za plecami Hermiony. Przyszła mu do głowy zaskakująca myśl.

- Harry? - głos Hermiony był pełen niepokoju. - Co się stało?

- Blizna nie zaczęła cię znowu boleć, prawda? - zapytał nerwowo Ron.

- On jest śmierciożercą - powiedział powoli Harry.

- Zajął miejsce swojego ojca wśród śmierciożerców.

Zapadła cisza. Po chwili Ron wybuchnął śmiechem.

- *Malfoy?* Harry, on ma szesnaście lat! Myślisz, że Sam-Wiesz-Kto przyjąłby go?

- To się wydaje nieprawdopodobne, Harry - powiedziała Hermiona oskarżycielsko.

- Dlaczego myślisz, że...

- Madame Malkin. Nawet go nie dotknęła, a on krzyknął i wyrwał się, kiedy chciała mu podwinąć rękaw. To była lewa ręka. Wypalono mu Mroczny Znak.

Ron i Hermiona spojrzeli po sobie.

- Więc... - zaczął rudzielec niepewnie.

- Myślę, że po prostu chciał się stamtąd wydostać,

Harry - stwierdziła Hermiona.

- Pokazał Borginowi coś, czego nie widzieliśmy

- ciągnął z uporem Potter. - Coś, co go poważnie przestraszyło. To był Znak, wiem to - pokazał Borginowi, z kim ma do czynienia. Widzieliście, jak poważnie go potraktował!

Ron i Hermiona znów wymienili spojrzenia.

- Nie jestem pewna, Harry...

- No, dalej nie sądzę, żeby Sam-Wiesz-Kto pozwolił Malfoyowi przyłączyć się do siebie...

Zły, ale absolutnie przekonany o swojej racji Harry złapał stos brudnych szat do quidditcha i wyszedł z pokoju. Pani Weasley już od paru dni nalegała, żeby nie zostawiali prania i pakowania na ostatnią chwilę. Na półpiętrze wpadł na Ginny, która wracała do swojego pokoju, niosąc stertę świeżo wypranych ubrań.

- Nie szlabym teraz do kuchni - ostrzegła go.

- Jest tam dość dużo Flegmy.

- Będę uważał, żeby się nie poślizgnąć - uśmiechnął się Harry.

Oczywiście, gdy tylko wszedł do kuchni, zobaczył Fleur siedzącą za stołem i pochłoniętą przygotowaniami do ślubu z Billem. Pani Weasley pilnowała stosu samoobierających się pędów. Wyglądała na podenerwowaną.

- Bill i ja już prawie zdecydowaliśmy się na dwi druhni, Ginny i Gabrielle będą razem wglądać bardzo słodko. Myślę, żebi ubrać je na bladozłoto - różowi bilbi oczywiście okropni przy włosach Ginny...

- Ach, Harry! - zawołała pani Weasley, przerywając monolog Fleur. - Dobrze, że jesteś, chciałam ci wytłumaczyć, co ustaliliśmy odnośnie bezpieczeństwa podczas jutrzejszej podróży do Hogwartu. Znow dostaniemy samochody z Ministerstwa, aurorzy będą czekać na stacji...

- Czy będzie tam Tonks? - zapytał Harry, wręczając Molly swoje szaty do quidditcha.

- Nie, nie sądzę. Z tego, co mówił Artur, oddelegowano ją gdzie indziej.

- Zauważała się, ta Tonks - zauważyła Fleur,

przyglądając się własnemu, cudownemu odbiciu w
łyżeczce do herbaty.

- Wielki błąd, jeśli jesteście ciekawi mojego...

- Tak, *dziękuję* ci - odrzekła cierpko pani Weasley,
znów zagłuszając Fleur. - Idź już lepiej, Harry, chcę,
żeby w miarę możliwości wasze kufry były spakowane
jeszcze dziś, żebyśmy uniknęli corocznej bieganiny na
minutę przed wyjściem.

Rzeczywiście ich odjazd następnego ranka był bardziej
zorganizowany, niż zwykle. Gdy samochody z
Ministerstwa zajęły przed Norę, wszystko było
gotowe: kufry spakowane, kot Hermiony, Krzywołap,
zamknięty bezpiecznie w koszyku podróżnym, zaś
Hedwiga, Świstoświnka, sowa Rona i nowy, fioletowy
pufek pigmejski Ginny, Arnold - w klatkach.

- Au revoir, 'Arry - powiedziała gardłowym głosem
Fleur, całując go na pożegnanie. Ron z nadzieją
pospieszył do przodu, ale Ginny podstawiła mu nogę.
Potknął się i padł jak długi w pył u stóp Fleur.
Wściekły, zaczerwieniony i ubrudzony, szybko wsiadł
do auta, nie mówiąc nawet: *Do widzenia*.

Na King's Cross nie czekał a nich rozradowany Hagrid.
Zamiast niego dwóch ponurych, brodatych aurorów
ubranych w ciemne, mugolskie garnitury podeszło do
ministerialnych samochodów i bez słowa
odeskortowało ich na stację.

- Szybko, szybko, przez barierkę - pani Weasley
wydawała się lekko podenerwowana surową
sprawnością ich *opiekunów*. - Niech lepiej Harry pójdzie
pierwszy z...

Spojrzała pytająco na jednego z aurorów, który skinął
twierdząco głową, chwycił Harry'ego za ramię i
spróbował poprowadzić go w stronę barierki pomiędzy
peronem dziewiątym a dziesiątym.

- Umiem chodzić, dziękuję - warknął poirytowany
Harry, wrywając rękę z uścisku aurora. Popchnął swój
wózek prosto na solidnie wyglądającą barierkę,
ignorując milczącego towarzysza. Chwilę później stał
na peronie dziewięć i trzy czwarte. Nad tłumem był już
widoczny dym unoszący się z komina jasnoczerwonego

Hogwart Ekspresu.

Hermiona i Weasleyowie dołączyli do niego dosłownie po paru sekundach. Nie pytając o zdanie ponurego aurora, Harry podszedł do przyjaciół, by wraz z nimi udać się na poszukiwanie pustego przedziału.

- My nie możemy, Harry - powiedziała Hermiona, patrząc na niego przeprasząc. - Ron i ja musimy najpierw iść do przedziału dla prefektów, a potem popatrolować trochę korytarze.

- A tak, zapomniałem.

- Lepiej idźcie wszyscy prosto do pociągu, macie jeszcze tylko kilka minut - ostrzegła pani Weasley, spoglądając na zegarek. - Cóż... Udanego semestru, Ron.

- Panie Weasley, czy mogę zamienić z panem słowo? - zapytał Harry, decydując się na rozmowę pod wpływem impulsu.

- Oczywiście - odpowiedział mężczyzna. Wyglądał na lekko zaskoczonego, ale mimo to odszedł z Harrym tam, gdzie pozostali nie mogli ich usłyszeć.

Harry przemyślał wszystko dokładnie i doszedł do wniosku, że jeśli miałby opowiedzieć o tym komukolwiek, to najlepszą osobą byłby pan Weasley. Po pierwsze dlatego, że pracował w Ministerstwie i miał obecnie najlepsze widoki na dalsze prowadzenia śledztwa, po drugie nie było zbyt wielkich szans na to, że wybuchnie gniewem.

Gdy się oddalali, Harry uchwycił podejrzliwe spojrzenia pani Weasley i ponurego aurora.

- Gdy byliśmy na ulicy Pokątnej - zaczął chłopiec, ale rozmówca ubiegł go.

- Czy dowiem się, gdzie ty, Ron i Hermiona zniknęliście, kiedy teoretycznie byliście na zapleczu sklepu Freda i George'a?

- Skąd pan...

- Harry, proszę. Rozmawiasz z człowiekiem, który wychował Freda i George'a.

- Yyyy... No tak, to prawda, nie byliśmy na zapleczu.

- Dobrze. Usłyszymy więc najgorsze.

- Pod peleryną niewidką poszliśmy za Draconem

Malfoyem.

- Mielicie jakiś szczególny powód, żeby to zrobić, czy to była zwykła zachcianka?

- Myślałem, że Malfoy coś knuje - powiedział Harry, ignorując pełne rozdrażnienia i rozbawienia jednocześnie spojrzenie pana Weasleya. - Dał dyla swojej matce i chciałem wiedzieć dlaczego.

- Pewnie, że chciałeś - odrzekł z rezygnacją mężczyzna. - I co? Dowiedziałeś się?

- Poszedł do *Borgina i Burkesa* - odpowiedział Harry

- i zmusił sprzedawcę, Borgina, żeby mu pomógł coś naprawić. Powiedział też, że chce, żeby Borgin coś dla niego zatrzymał. Zabrzmiało to tak, jakby to coś było bardzo podobne do rzeczy, która wymagała naprawy. Coś jakby komplet. I...

Harry wziął głęboki oddech.

- Jest coś jeszcze. Widzieliśmy, że Malfoy podskoczył jak oparzony, kiedy Madame Malkin próbowała dotknąć jego lewego ramienia. Myślę, że wypalono mu Mroczny Znak. Myślę, że zastąpił swojego ojca wśród śmierciożerców.

Pan Weasley wyglądał na zmieszanego. Po chwili powiedział:

- Harry, wątpię, żeby Sam-Wiesz-Kto pozwolił szesnastolatкови...

- Czy ktokolwiek wie, co tak naprawę zrobiłby Sam-Wiesz-Kto, a czego nie? - spytał zirytowany Harry.

- Przepraszam, panie Weasley, ale czy to nie jest warte sprawdzenia? Jeśli Malfoy chce, żeby naprawiono dla niego jakiś przedmiot i musi w tym celu grozić Borginowi, to prawdopodobnie chodzi o coś mrocznego i niebezpiecznego, prawda?

- Jeśli mam być szczerzy, to wątpię, Harry - odpowiedział wolno pan Weasley. - Widzisz, po aresztowaniu Lucjusza Malfoya dokładnie przeszukaliśmy jego dom i skonfiskowaliśmy wszystko, co mogło być niebezpieczne.

- Myślę, że coś pominęliście - z uporem twierdził chłopiec.

- Może - odrzekł pan Weasley, ale Harry miał wrażenie,

że mówi to tylko dla świętego spokoju.

Usłyszeli za sobą gwizdek. Już niemal wszyscy wsiedli do pociągu i drzwi się zamykały.

- Lepiej się pospiesz - powiedział pan Weasley, a jego żona zawołała:

- Harry, szybko!

Podbiegł do przodu, a państwo Weasley pomogli mu umieścić kufer w pociągu.

- Kochanie, przyjeżdżasz do nas na Boże Narodzenie, to już załatwione z Dumbledore'em, więc zobaczymy się dość szybko - zwróciła się do Harry'ego pani Weasley. Chłopiec zdążył już zatrzasnąć za sobą drzwi i wyglądał przez okno ruszającego z wolna pociągu.

- Pamiętaj, dbaj o siebie...

Pociąg nabierał prędkości.

- ...bądź grzeczny i ...

Biegła teraz, by zdążyć powiedzieć wszystkim.

- ...uważaj na siebie!

Harry machał, dopóki pociąg nie skręcił i chłopiec nie stracił państwa Weasleyów z oczu. Potem postanowił sprawdzić, gdzie poszli pozostali. Sądził, że Ron i Hermiona zostali już skoszarowani w przedziale dla prefektów, ale za to wypatrzył w korytarzu rozmawiającą z grupką znajomych Ginny. Podeszedł do niej, ciągnąc za sobą swój kufer.

Gdy się zbliżał, ludzie wpatrywali się w niego beczelnie. Niektórzy nawet przyciskali twarze do przeszklnych drzwi przedziałów, by na niego spojrzeć. Spodziewał się, że w tym semestrze, z powodu rozgłaszanych przez Proroka plotek o *Wybrańcu*, będzie musiał znosić większą niż kiedyś rzeszę gapiów i ciekawskich, ale nie podobało mu się wrażenie, że znajduje się w polu rażenia wyjątkowo intensywnie świecącego reflektora. Złapał Ginny za ramię.

- Idziesz ze mną szukać przedziału?

- Nie mogę, Harry. Obiecałam Deanowi, że się z nim spotkam - odpowiedziała pogodnie Ginny.

- Do zobaczenia później.
- Jasne - mruknął Harry. Przyglądał się, jak odchodzi, falując długimi, rudymi włosami w rytm kroków, i poczuł dziwną irytację. Podczas wakacji tak bardzo przyzwyczał się do jej obecności, że zdążył zapomnieć, że w szkole Ginny nie kręciła się w pobliżu niego, Rona i Hermiony. Po chwili zamrugał i rozejrzał się: był otoczony przez grupę zauroczonych dziewcząt.
- Cześć, Harry! - usłyszał za sobą znajomy głos.
- Neville! - zawołał chłopiec z ulgą i obrócił się, by zobaczyć okrągłą twarz, należącą do kolegi, z trudem przeciskającego się przez tłum.
- Cześć, Harry - przywitała się stojąca zaraz za Neville'em długowłosa dziewczyna o zamglonym spojrzeniu.
- Cześć, Luna. Co u ciebie słychać?
- Wszystko w porządku, dziękuję - odrzekła panna Lovegood. Przyciskała do piersi czasopismo. Wielkie litery na okładce ogłaszały wszem i wobec, że w środku znajduje się darmowa para Widmokularów.
- Żongler dobrze się trzyma? - zapytał Potter. Czuł pewną sympatię do gazety, której rok wcześniej udzielił wywiadu *na wyłączność*.
- O tak, nakład rośnie - odpowiedziała radośnie Luna.
- Chodźmy znaleźć miejsca - zaproponował Harry i wszyscy troje zaczęli iść korytarzem mijając hordy, wpatrujących się w nich w milczeniu uczniów Hogwartu. W końcu znaleźli pusty przedział i Harry z wdzięcznością pospieszył do środka.
- Gapią się nawet na *nas* - zauważył Neville, wskazując na siebie i Lunę - ponieważ jesteśmy z tobą!
- Gapią się na was, bo też byliście w ministerstwie - odpowiedział Harry, umieściwszy swój kufer na półce.
- Nasza mała przygoda została wnikliwie opisana w Proroku Codziennym, musiałeś to zauważyć.
- Tak. Myślałem, że babcia będzie wściekła o cały ten szum w prasie - powiedział Neville. - A tymczasem była naprawdę zadowolona. Powiedziała, że zaczynam wreszcie dorównywać mojemu tacie. Kupiła mi nową różdżkę, spójrz!

Wyciągnął swój nowy nabytek i zademonstrował go Harry'emu.

- Drzewo wiśniowe i włos jednoróżca - rzekł dumnie.

- Sądźmy, że to jedna z ostatnich sprzedanych przez Ollivandera, zaginął następnego dnia. Och, Teodora! Wracaj!

I zanurkował pod siedzenie, by odzyskać swą ropuchę, która zdecydowała się właśnie na jeden ze swoich częstych zrywów ku wolności.

- Czy w tym roku też będą spotkania GD, Harry? - spytała Luna, wrywając ze środka Żonglera parę psychodelicznych okularów.

- Chyba nie ma sensu, skoro pozbyliśmy się Umbridge, prawda? - odpowiedział Harry, siadając. Neville uderzył głową o siedzenie, spod którego próbował wyjść. Wyglądał na bardzo rozczarowanego.

- Lubilem GD! Bardzo dużo się od ciebie nauczyłem!

- Mnie też się podobały te spotkania - dodała spokojnie Luna. - To było tak, jakbym miała przyjaciół.

To była jedna z tych niewygodnych rzeczy, które Luna często mówiła, i które sprawiały, że Harry czuł jednocześnie litość i zakłopotanie. Zanim zdążył odpowiedzieć, za drzwiami ich przedziału zapanowało zamieszanie. Grupa dziewcząt z czwartego roku szeptała i chichotała po drugiej stronie szyby.

- Ty go zapytaj!

- Nie, ty!

- Ja to zrobię!

Krzykliwie wyglądająca pannica o wielkich, ciemnych oczach, wystającym podbródku i długich, czarnych włosach otworzyła drzwi.

- Cześć, Harry. Jestem Romilda. Romilda Vane - oznajmiła głośno i pewnie.

- Może dosiędziesz się do nas? Nie musisz być z *nimi* - dodała scenicznym szeptem, wskazując na wystające spod siedzenia pośladki Neville'a i na Lunę, która w swych darmowych Widmokularach wyglądała jak obłąkana, wielokolorowa sowa.

- To moi przyjaciele - odpowiedział chłodno Harry.

- Och - dziewczyna wyglądała na niezwykle zaskoczoną. - Och. OK.

I wycofała się, zamykając za sobą drzwi.

- Ludzie oczekują, że będziesz miał fajniejszych przyjaciół, niż my - stwierdziła Luna, ukazując jeszcze raz swój talent do wygłaszania krępująco szczerych opinii.

- Jesteście fajni - uciał Harry. - Nikogo z nich nie było przy mnie w ministerstwie. Nie walczyli ze mną.

- Miło z twojej strony, że tak mówisz - rozpromieniła się Luna, po czym nasunęła swoje Widmokulary głębiej na nos i zatopiła się w lekturze Żonglera.

- Mimo wszystko, nie stanęliśmy twarzą w twarz z nim - powiedział Neville, gramoląc się spod siedzenia z klakami i kurzem we włosach oraz zrezygnowaną Teodorą w ręce. - Ty tak. Powinieneś usłyszeć, jak mówi o tobie moja babcia: *Ten Harry Potter ma więcej charakteru, niż całe Ministerstwo Magii razem wzięte!* Oddałaby wszystko, żebyś to ty był jej wnukiem.

Harry zaśmiał się fałszywie i zmienił temat na wyniki sumów tak szybko, jak tylko mógł. Gdy Neville wyliczał swoje oceny i zastanawiał się głośno, czy będzie mógł kontynuować naukę transmutacji, skoro dostał tylko Zadowolający, Harry patrzył na niego, nie słuchając.

Dzieciństwo Neville'a zostało zniszczone przez Voldemorta, tak samo jak dzieciństwo Harry'ego, ale Longbottom nie miał pojęcia, że o tylko mały włos uniknął losu kolegi. Przepowiednia mogła się odnosić do któregośkolwiek z nich, chociaż z nieznanых powodów Voldemort wolął wierzyć, że chodzi w niej o Pottera.

Czy gdyby to Neville został wybrany przez Voldemorta, siedziałby tu teraz naprzeciwko Harry'ego, obarczony blizną w kształcie błyskawicy i brzemieniem przepowiedni? A może nie? Czy jego matka oddałaby za niego życie tak, jak Lily oddała swoje za synka? Na pewno tak, ale... Co by było, gdyby nie zdołała stanąć między swym dzieckiem a Voldemortem? Czy wtedy w ogóle nie byłoby *Wybrańca*?

Puste krzesło tam, gdzie teraz siedzi Neville, i pozbawiony blizny Harry, całowany na pożegnanie nie przez matkę Rona, a przez własną?

- Wszystko w porządku, Harry? Dziwnie wyglądasz - zatroszczył się Longbottom.

- Przepraszam, ja... - zaczął Harry.

- Wrakochlusty cię złapały? - spytała współczująco Luna, przyglądając się Harry'emu zza ogromnych, kolorowych okularów.

- Ja... Co?

- Wrakochlusty. Są niewidzialne, wpływają ci przez uszy i sprawiają, że mózg ci się lasuje - wyjaśniła.

- Wydawało mi się, że gdzieś się tutaj kręciły.

Przezesłała palcami przejrzyste powietrze, jakby chciała bronić się przed wielkimi, niewidzialnym ćmami. Harry i Neville spojrzeli na siebie porozumiewawczo i szybko zaczęli rozmawiać o quidditchu.

Pogoda za oknami pociągu była tak samo zmienna, jak przez całe lato. Gdy jechali, otaczały ich przejmujące chłodem mgły, które po chwili ustępowały miejsca słabemu, czystemu światłu słońca. Podczas jednego z jasnych momentów, kiedy słońce było niemal dokładnie nad ich głowami, Ron i Hermiona weszli wreszcie do przedziału.

- Mam nadzieję, że wózek z jedzeniem będzie tu szybko, umieram z głodu - rzucił Ron tęsknie, opadając ciężko na siedzenie obok Harry'ego i pocierając ręką brzuch. - Cześć Neville, cześć Luna. Wiesz co? - dodał, odwracając się w stronę Pottera.

- Malfoy nie wypełnia obowiązków prefekta. Siedzi w przedziale z grupą Ślizgonów, widzieliśmy go, jak przechodziliśmy.

Harry wyprostował się, zainteresowany. To nie było w stylu Malfoya - przegapić szansę na demonstrowanie swej władzy prefekta, której z radością nadużywał przez cały poprzedni rok.

- Co zrobił, kiedy was zobaczył?

- To, co zwykle - odrzekł Ron obojętnie, prezentując ordynarny gest. - Ale to do niego niepodobne, prawda?

No... *to* tak - powtórzył gest - ale dlaczego nie lazi po korytarzach i nie gnębi pierwszorocznych?

- Nie mam pojęcia - powiedział Harry, ale myśli kotłowały się w jego głowie. Czyż to nie wyglądało tak, jakby Malfoy miał poważniejsze rzeczy na głowie, niż dręczenie młodszych uczniów?

- Pewnie wolał Brygadę Inkwizycyjną - stwierdziła Hermiona. - Może po tym wszystkim bycie prefektem nie jest dla niego zbyt ekscytujące?

- Nie wydaje mi się - oponował chłopiec.

- Sądzę, że on...

Ale zanim zdążył wyjaśnić swoją teorię, drzwi przedziału znów się otworzyły i zdyszana dziewczyna z trzeciego roku weszła do środka.

- Mam to dostarczyć Neville'owi Longbottomowi i Harry'emu P-Potterowi - gdy spojrzała na Harry'ego, zawahała się i splonęła rumieńcem. Trzymała dwa zwitki pergaminu związane fioletowymi wstążkami. Zakłopotani chłopcy wzięli od niej przeznaczone dla siebie listy, a dziewczyna wycofała się z przedziału.

- Co to? - dopytywał się Ron, gdy Harry rozwijał swój pergamin.

- Zaproszenie.

Harry!

Byłoby mi bardzo miło, gdybyś zechciał towarzyszyć mi podczas lunchu w przedziale C.

Z poważaniem,

Profesor H. E. F. Slughorn

- Kim jest profesor Slughorn? - zapytał Neville, patrząc z zakłopotaniem na swoje zaproszenie.

- Nowym nauczycielem - odpowiedział Harry.

- No cóż, chyba będziemy musieli iść, prawda?

- Ale po co ja mu jestem potrzebny? - pytał Neville nerwowo tak, jakby spodziewał się szlabanu.

- Nie mam pojęcia - odrzekł nie do końca zgodnie z prawdą Harry. Nie był jeszcze do końca pewny, czy jego przeczucia się sprawdzą. - Słuchaj - dodał, uderzony nagłą myślą. - Chodźmy pod peleryną

niewidką, wtedy będziemy mogli po drodze przyjrzeć się dobrze Malfoyowi i zobaczyć, co knuje.

Jednak pomysł spelzł na niczym: korytarz był tak pełen ludzi oczekujących na wózek z jedzeniem, że nie dało się przez niego przecisnąć pod peleryną. Harry z żalem włożył ją z powrotem do torby, stwierdzając przy tym, że dobrze by było mieć ją na sobie choćby dlatego, żeby uniknąć wścibstwa współpasażerów, które zdawało się nabrać na sile od czasu, kiedy Potter ostatnio pojawił się na korytarzu. Co jakiś czas uczniowie przemykali obok ich przedziału, by lepiej mu się przyjrzeć. Wyjątek stanowiła Cho Chang, która uciekała na swoje miejsce, gdy tylko widziała, że Harry się zbliża. Gdy Potter przechodził obok jej okna, zobaczył ją pogrążoną uparcie w rozmowie z przyjaciółką, Mariettą. Panna Edgecombe miała na twarzy grubą warstwę makijażu, która nie do końca maskowała układające się w dziwny kształt przyszcze. Uśmiechając się ironicznie, Harry poszedł dalej.

Gdy dotarli do przedziału C, stwierdzili, że Slughorn zaprosił nie tylko ich, choć z entuzjastycznego powitania można było wywnioskować, że na Pottera czekał ze szczególną niecierpliwością.

- Harry, mój chłopcze! - nauczyciel na jego widok zerwał się z miejsca, tak że jego wielki, okryty aksamitną szatą brzuch zdawał się wypełniać całą wolną przestrzeń przedziału. Jego świecąca łysina i bujne, srebrne wąsy błyszcząły w świetle słońca równie jasno, jak złote guziki jego kamizelki. - Dobrze cię widzieć, dobrze cię widzieć! A to zapewne pan Longbottom?

Neville przytaknął. Wyglądał na przestraszonego. Na zaproszenie Slughorna usiedli zaraz przy drzwiach, naprzeciwko siebie, zajmując jedyne wolne jeszcze miejsca. Harry rzucił okiem na pozostałych gości. Rozpoznał Ślizgona ze swojego roku, wysokiego, ciemnowłosego chłopca z wydatnymi kośćmi policzkowymi i długimi, skośnymi oczami. Było tam także dwóch siódmoklasistów, których nie znał, oraz wciśnięta w róg, tuż obok Slughorna i mająca minę

świadczącą o tym, że nie za bardzo wie, jak się tu dostała, Ginny.

- Znacie tu wszystkich? - zapytał nauczyciel Harry'ego i Neville'a. - Blaise Zabini jest, rzecz jasna, na waszym roku...

Zabini nie przywitał się ani nie dał żadnego znaku, że ich rozpoznaje, a Potter i Longbottom poszli w jego ślady: Gryfoni i Ślizgoni nie znosili się z założenia.

- To jest Cromac McLaggen, może wpadliście na siebie kiedyś? Nie?

McLaggen, potężny młodzieniec o szorstkich włosach podniósł rękę, a Harry i Neville kiwnęli głowami.

- ... a to jest Marcus Belby, nie wiem czy...

Chudy i wyglądający na nerwowego Belby posłał im wymuszony uśmiech.

- ... a ta uroczą, młoda dama mówi, że was zna - dokończył Slughorn.

Ginny skrzywiła się za plecami nauczyciela.

- Dobrze, przechodzimy do najprzyjemniejszego - powiedział serdecznie belfer.

- Będziecie mieli szansę poznać się trochę bliżej. Proszę, weźcie sobie serwetki. Spakowałem własny lunch. Z tego, co pamiętam, wózek aż się ugina od lukrecyjnych różdżek, a biedny układ pokarmowy starego człowieka raczej nie radzi sobie z takimi rzeczami. Bażanta, Belby?

Chłopiec jako pierwszy poczęstował się czymś, co wyglądało jak pół bażanta na zimno.

- Właśnie mówiłem młodemu Marcusowi, że miałem przyjemność uczyć jego wuja, Damoklesa - oznajmił Slughorn Harry'emu i Neville'owi, tym razem częstując wszystkich bułkami z koszyka. - Wybitny czarodziej, wybitny. W pełni zasłużył sobie na swój Order Merlina. Często widzisz wuja, Marcusie?

Niestety, Belby właśnie wziął spory kęs bażanta i, chcąc jak najprędzej odpowiedzieć nauczycielowi, przełknął zbyt szybko, przez co zaczął się dławić.

- *Anapneo* - wypowiedział spokojnie Slughorn, wskazując różdżką na Marcusa, który natychmiast przestał kaszleć.

- Nie, niezbyt często - odpowiedział Belby, łapiąc z trudem oddech. Oczy mu łzawiły.

- No, oczywiście, pewnie jest zajęty - rzekł nauczyciel, patrząc na chłopca pytająco. - Wątpię, żeby wynalazł Elixir Antywilkołaczy bez wielkich nakładów pracy.

- Tak sądzę - wszystko wskazywało na to, że Marcus boi się ugryźć ponownie swojego bażanta, dopóki się nie upewni, że Slughorn z nim skończył.

- Eeee... Widzi pan, on i mój tato nie dogadują się zbyt dobrze, więc niewiele wiem o...

Jego głos zamarł, gdy nauczyciel posłał mu chłodny uśmiech i zwrócił się w stronę McLaggena.

- Teraz ty, Cormac - zaczął Slughorn.

- Wiem przypadkiem, że widzisz się często z wujem Tyberiuszem, gdyż wdziałem u niego zdjęcie was dwóch podczas polowania na kolkogonki**, zdaje się, że w Norfolk?

- O tak, to była wspaniała zabawa - odrzekł chłopiec.

- Byliśmy tam z Bertiem Higgsem i Rufusem Scrimgeourem, oczywiście nie był wtedy jeszcze Ministrem.

- Ach, Bertiego i Rufusa też znasz - rozpromienił się nauczyciel, tym razem częstując wszystkich ciastkami z małej tacy i omijając dziwnym trafem Belby'ego.

- Powiedz mi więc...

Było dokładnie tak, jak podejrzewał Harry. Wydawało się, że każdy z obecnych został zaproszony, bo był związany z kimś znanym lub wpływowym. Każdy, z wyjątkiem Ginny. Okazało się, że matka Zabiniego, którego odpytywano po McLaggenie, jest słynną pięknoscią (z tego, co rozumiał Harry, wychodziła za mąż siedem razy, każdy z jej mężów zmarł w tajemniczych okolicznościach i zostawił jej mnóstwo złota). Potem przyszła kolej na Neville'a. To było bardzo niezręczne dziesięć minut. W końcu jego matka i ojciec, znani aurorzy, byli torturowani aż do obłędu przez Bellatrix Lestrange i kilku jej kumpli - śmierciożerców. Pod koniec rozmowy z Longbottomem Potter miał wrażenie, że Slughorn postanowił zaczekać z osądzeniem chłopca do czasu, aż zobaczy, czy

odziedziczył talenty swoich rodziców.

- A teraz - rozpoczął nauczyciel, przesuwając się ciężko na swoim siedzeniu. Wyglądał jak konferansjer zapowiadający gwóźdź programu. - Harry Potter! Od czego by tu zacząć? Mam wrażenie, że gdy spotkaliśmy się latem, zdołałem ledwie zarysować problem - przez moment kontemplował chłopca, jakby ten był wyjątkowo dużym i soczystym kawalkiem bażanta.

- *Wybraniec* - tak cię teraz nazywają!

Harry nie odpowiedział. Belby, McLaggen i Zabini wpatrywali się w niego.

- Oczywiście - kontynuował Slughorn, obserwując Gryfona uważnie - plotki były od lat... Pamiętam, gdy... cóż... po tej straszliwej nocy... Lily... James... A ty przeżyłeś... Zmierzam do tego, że musisz mieć moce wykraczające ponad przeciętność.

Zabini zakaszła lekko, co miało zapewne zasygnalizować jego rozbawienie i sceptycyzm. Zza pleców nauczyciela dało się słyszeć rozzłoszczony głos:

- Tak, Zabini, bo ty masz wielki talent... do popisywania się.

- O rety! - zaśmiał się swobodnie Slughorn, spoglądając na Ginny, która z za jego wielkiego brzucha patrzyła z wściekłością na Zabiniego. - Lepiej, żebyś był ostrożny, Blaise. Przechodząc przez korytarz, widziałem tę młodą damę rzucającą genialnego Upiorogacka. Sam bym go nie odbił!

Zabini tylko spojrział pogardliwie.

- Tak czy owak - belfer podjął przerwany wątek, zwracając wzrok ku Harry'emu - takie plotki słyszałem tego lata! Oczywiście człowiek nie wie, w co wierzyć, powszechnie wiadomo, że Prorok drukował nieścisłe informacje, robił błędy... Jednak biorąc pod uwagę liczbę świadków, nie ma większych wątpliwości, że w Ministerstwie miało miejsce pewne zajście i ty byłeś w jego centrum!

Harry, który nie widział innego wyjścia z sytuacji, jak tylko bezczelnie skłamać, kiwnął twierdząco głową,

nadal nic nie mówiąc. Slughorn rozpromienił się.

- Taki skromny, taki skromny, nic dziwnego, że Dumbledore tak cię lubi... Więc byłeś tam? Ale reszta historii... Rzecz jasna, tak sensacyjna, że człowiek nie wie, w co wierzyć... Na przykład ta bajkowa przepowiednia...

- Nie słyszeliśmy przepowiedni - odezwał się Longbottom, a jego twarz przybrała kolor geranium.

- To prawda - potwierdziła Ginny z zapalem. - Oboje z Neville'em też tam byliśmy, te wszystkie bzdury z *Wybrańcem* to tylko jeden z wielu wymysłów Proroka.

- Oboje też tam byliście? - zainteresował się nauczyciel, spoglądając to na jedno, to na drugie, ale oboje siedzieli tak samo spokojnie, jak przed jego dodającym odwagi uśmiechem.

- No więc... oczywiście, to prawda, że Prorok wyolbrzymia - powiedział z lekkim rozczarowaniem Slughorn. Pamiętam, jak droga Gwenog mówiła mi

- rzecz jasna mam na myśli Gwenog Jones, kapitan Harpii z Holyhead...

Zagłębił się w przydługie wspominki, ale Harry miał wyraźne wrażenie, że nauczyciel jeszcze z nim nie skończył, że Neville i Ginny go nie przekonali.

Popołudnie ciągnęło się, okraszone anegdotami o znakomitych czarodziejach, których Slughorn uczył i którzy mieli szczęście należeć w Hogwarcie do organizacji zwanej "Klub Sluga". Harry nie mógł się doczekać końca, ale nie wiedział, jak mógłby się grzecznie wymknąć. W końcu pociąg po raz kolejny wydostał się z wszechogarniającej mgły, by trafić wprost na czerwony zachód słońca. Nauczyciel rozejrzał się dookoła, mrugając oślepiiony niespodziewanym błyskiem światła.

- Wielkie nieba, już się robi ciemno! Nie zauważyłem, że zapalili lampy! Lepiej już idźcie przebrać się w szkolne szaty. McLaggen, musisz do mnie wpaść i pożyczyć tę książkę o kolkogonach. Harry, Blaise... przyjdźcie, jak tylko będziecie w pobliżu. To samo dotyczy ciebie, panienko - mrugnął do Ginny. - No, idźcie już, idźcie.

Przepychając się obok Harry'ego, Zabini rzucił mu paskudne spojrzenie, które chłopak odwzajemnił z całą mocą. On, Ginny i Neville szli teraz wzdłuż pociągu za Blaisem.

- Cieszę się, że to się skończyło - wymamrotał Neville.

- Dziwny człowiek, prawda?

- Tak, trochę - odpowiedział Harry, ze wzrokiem wbitym w Zabinię. - Jak to się stało, że tam trafiłaś, Ginny?

- Zobaczył, jak rzucam zaklęcie na Zachariasza Smitha

- odpowiedziała. - Pamiętasz, tego idiotę z Hufflepuffu, który był w GD? Męczył mnie pytaniami o to, co się stało w ministerstwie, i wkurzył mnie tak bardzo, że go potraktowałam Upiorogackiem. Kiedy przyszedł Slughorn, myślałam, że dostanę szlaban, a on po prostu stwierdził, że to był bardzo dobry urok i zaprosił mnie na lunch! Wariat, nie?

- Lepszy powód, żeby kogoś zaprosić, niż to, że jego matka jest sławna - powiedział Harry i skrzywił się, patrząc na tył głowy Zabinię. - Albo dlatego, że jego wuj...

Ale przerwał. Właśnie przyszedł mu do głowy pomysł: nierozsądny, ale genialny. Za chwilę Blaise miał wejść do przedziału Ślizgonów z szóstego roku i Malfoy będzie tam siedział i myślał, że nikt poza kolegami z jego własnego domu go nie słyszy. Gdyby tylko Harry zdołał wejść za Zabiniem niezauważony, co by zobaczył i usłyszał? Prawda, zostało już niewiele czasu, oceniając po krajobrazie za oknami, stacja Hogsmeade była odległa o mniej niż pół godziny drogi, ale... nikt inny nie zdawał się być przygotowany, by wziąć na poważnie podejrzenia Harry'ego, więc do niego należało udowodnienie ich.

- Zobaczmy się później - wyszeptał Harry, wyciągając z torby pelerynę niewidkę i narzucając ją na siebie.

- Ale co ty...? - zapytał Neville.

- Później! - wymamrotał i popędził za Zabiniem tak cicho, jak tylko zdołał, choć stukot pociągu czynił te starania niemal bezsensownymi.

Korytarze były teraz prawie puste. Wszyscy wrócili do

swoich przedziałów, aby się przebrać w szkolne szaty i spakować swe rzeczy. Choć Potter trzymał się Zabinięgo możliwie najbliżej, byle tylko go nie dotknąć, nie był dość szybki, żeby wślizgnąć się do środka, kiedy Ślizgon otworzył drzwi. Blaise już je zamykał, kiedy Harry pospiesznie podstawił stopę tak, by mu przeszkodzić.

- Co się z tym dzieje? - warknął Zabini, uderzając ponownie drzwiami w nogę Pottera.

Harry przytrzymał je i mocno popchnął. Ślizgon, wciąż trzymając kurczowo klamkę, poleciał w bok i wylądował na kolanach Gregory'ego Goyle'a. Dzięki zaistniałemu zamieszaniu Gryfon szybko wślizgnął się do przedziału, wskoczył na chwilowo puste miejsce Blaise'a i podciągnął się na półkę z bagażami. Miał szczęście, że Goyle i Zabini warczeli właśnie na siebie, ściągając wzrok wszystkich pozostałych. Dla Harry'ego było oczywistym, że jego stopy i kostki zostały odsłonięte, kiedy peleryna zsunęła się lekko. Przeżył nawet chwilę grozy, kiedy wydawało mu się, że oczy Malfoya śledzą jego trampek, który szybciotko wsuwa się z powrotem pod pelerynę. Ale wtedy Goyle zatrzasnął drzwi i zrzucił z siebie Blaise'a. Wyglądający na wściekłego Zabini opadł na swoje miejsce, Vincent Crabbe wrócił do lektury komiksu, a Malfoy, chichocząc, położył się z powrotem na dwóch siedzeniach, z głową na kolanach Pansy Parkinson. Potter skulił się niewygodnie pod peleryną, upewniając się, że każdy cal jego ciała jest dokładnie schowany, i obserwował Pansy, która delikatnie odgarniała lśniące, jasne włosy z czoła Dracona. Harry uśmiechnął się kpiąco: dziewczyna zachowywała się, jakby uważała, że każda chciałaby być na jej miejscu. Lampiony zwisające z sufitu przedziału dawały tak jasne światło, że Harry mógł przeczytać każde słowo z komiksu siedzącego tuż pod nim Crabbe'a.

- Więc, Zabini - zaczął Malfoy - czego chciał Slughorn?
- Po prostu próbował się zapoznać z ludźmi, którzy mają duże znajomości - odpowiedział Blaise, wciąż patrząc wilkiem na Goyle'a. - Nie żeby znalazł wielu.

Te informacje raczej nie usatysfakcjonowały blondyna.

- Kto jeszcze był zaproszony? - dopytywał się.
- McLaggen z Gryffindoru.
- O tak, jego wuj to szycha w Ministerstwie.
- Jakiś Belby z Ravenclawu.
- Nie on, to palant! - oburzyła się Pansy.
- Poza tym Longbottom, Potter i ta Weasleyówna.

Malfoy podniósł się nagle, odtrącając rękę dziewczyny.

- Zaprosił Longbottoma?
- Tak przypuszczam, skoro Longbottom tam był - stwierdził obojętnie Blaise.
- Co takiego ma Longbottom, co mogłoby zainteresować Slughorna?

Zabini wzruszył ramionami.

- Potter, cenny Potter, pewnie chciał sobie popatrzeć na *Wybrańca* - Draco uśmiechnął się szyderczo. - Ale Weasleyówna? Co jest w niej takiego wyjątkowego?
- Wielu chłopakom się podoba - powiedziała Pansy, obserwując kątem oka reakcję Malfoya. - Nawet ty myślisz, że jest ładna, prawda, Blaise? Wszyscy wiemy, jak trudno cię zadowolić!
- Nie dotknąłbym tej małej, brudnej zdrajczynie krwi, jakkolwiek by nie wyglądała - odpowiedział chłodno Zabini. Dziewczyna wyglądała na zadowoloną. Malfoy z powrotem położył głowę na kolanach Ślizgonki i pozwolił jej głaskać się po włosach.
- Cóż, szkoda, że Slughorn ma tak kiepski gust. Może zaczyna niedołąźnieć. Smutne, mój ojciec zawsze mówił, że za jego czasów to był dobry czarodziej. Ojciec był jednym z jego faworytów. Slughorn pewnie nie słyszał, że jestem w pociągu, albo...
- Nie liczyłbym na zaproszenie - przerwał mu Blaise.
- Pytał mnie o ojca Notta, kiedy tylko przyszedłem. Widocznie byli kiedyś przyjaciółmi, ale kiedy usłyszał, że złapali go w Ministerstwie, nie wyglądał na zbyt uradowanego i Nott nie dostał zaproszenia, prawda? Nie sądzę, żeby Slughorna interesowali śmierciożercy. Malfoy wyglądał na wściekłego, ale zmusił się do pozbawionego rozbawienia śmiechu.
- Zresztą, kogo obchodzi, kto go interesuje? Kim on w

końcu jest? Jakiś głupi nauczyciel - Draco ziewnął ostentacyjnie. - Chodzi mi o to, że skoro nie jest pewne, czy w przyszłym roku wrócę do Hogwartu, to jakie ma znaczenie, czy gruby staruch, którego czas już minął, lubi mnie, czy nie?

- Jak to - nie jest pewne, czy w przyszłym roku wrócisz do Hogwartu? - powiedziała z oburzeniem Pansy, przestając go wreszcie czochrać.

- No... Tego się nigdy nie wie - odpowiedział Malfoy ze słabym uśmiechem. - Zawsze mogę zostać... *oddelegowany* do większych i lepszych rzeczy.

Serce przykucającego na półce z bagażami Harry'ego zaczęło szybciej bić. Co by na to powiedzieli Ron i Hermiona? Crabbe i Goyle gapili się na Dracona. Najwyraźniej nie mieli pojęcia o jakichkolwiek planach, dotyczących oddelegowania do większych i lepszych rzeczy. Nawet Zabini pozwolił sobie na zaciekawione spojrzenie, co nadszarpnęło nieco jego wyniosłą pozę. Oniemiała Pansy wróciła do powolnego glaskania włosów Malfoya.

- Chodzi ci o...

Draco wzruszył ramionami.

- Matka chce, żebym skończył szkołę, ale ja sądzę, że w dzisiejszych czasach to wcale nie jest takie ważne. Pomyślcie tylko... Kiedy Czarny Pan przejmie władzę, to czy będzie go interesowało, ile kto ma sumów czy owutemów? Pewnie, że nie. Wtedy będzie liczyły zasługi względem niego, stopień okazanego oddania.

- I ty sądzisz, że będziesz w stanie coś dla niego zrobić? - spytał złośliwie Zabini. - Nie w pełni wykwalifikowany szesnastolatek?

- Właśnie to powiedziałem, prawda? Może jego nie obchodzi, czy jestem wykwalifikowany. Może zadanie, które dla mnie ma, nie wymaga kwalifikacji - odpowiedział cicho Malfoy.

Crabbe i Goyle siedzieli niczym gargulce z otwartymi ustami. Pansy wpatrywała się w Malfoya, jakby nigdy w życiu nie widziała niczego tak budzącego respekt.

- Widać już Hogwart - zauważył Draco, wskazując na pogrążony w ciemności krajobraz za oknem i wyraźnie

upajając się wrażeniem, jakie wywarł.

Harry był tak zajęty wpatrywaniem się w Malfoya, że nie zauważył, jak Goyle sięga po swój kufer. Gdy go zdejmował, uderzył Gryfona mocno w bok głowy. Harry mimowolnie jęknął z bólu. Malfoy spojrział na półkę z bagażami, marszcząc brwi.

Potter nie bał się blondyna, ale mimo to niezbyt mu się uśmiechało bycie złapanym przez grupę nieprzyjaźnie nastawionych Ślizgonów na chowaniu się w ich przedziale pod peleryną niewidką. Mimo łzawiących oczu i bolącej głowy, wyciągnął ostrożnie różdżkę, uważając, by się nie odkryć, i czekał, powstrzymując oddech. Ku jego uldze, Malfoy najwyraźniej uznał, że się przesłyszał. Wzorem kolegów włożył szaty, zamknął kufer i zapiał pod szyją swój nowy, gruby płaszcz podróżny, podczas gdy pociąg pełził już w kierunku stacji, to przyspieszając, to zwalniając.

Harry widział, jak korytarze znów się wypełniają, i miał nadzieję, że Ron i Hermiona wezmą jego rzeczy na peron. On sam nie mógł się ruszyć, dopóki ktoś był w przedziale. W końcu, po ostatnim szarpnięciu, pociąg stanął na dobre. Goyle otworzył drzwi i zaczął torować sobie drogę w tłumie drugorocznych, rozpychając się brutalnie. Crabbe i Zabini szli za nim.

- Idź już - nakazał Draco Pansy, która czekała na niego z wyciągniętą ręką, jakby miała nadzieję, że chłopak poda jej swoją. - Chcę tylko jeszcze coś sprawdzić.

Ślizgonka wyszła. Teraz Harry i Malfoy byli sami w przedziale. Ludzie przechodzili przez korytarz, kierując się w stronę pograżonego w mroku peronu. Blondyn podszedł do drzwi i zaciągnął zasłony tak, żeby nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka. Następnie pochylił się nad kufrem i znów go otworzył.

Harry przypatrywał mu się z brzegu półki na bagaż, serce zabiło mu nieco szybciej. Co takiego Malfoy chciał schować przed Pansy? Może uda się zobaczyć ten tajemniczy, zepsuty przedmiot, którego naprawienie było tak ważną sprawą?

- *Petrificus Totalus!*

Ślizgon bez ostrzeżenia skierował różdżkę w stronę

Pottera, który natychmiast znieruchomiał. Jakby w zwolnionym tempie zsunął się z półki i spadł prosto pod nogi Malfoya, objając się boleśnie i wprawiając podłogę w drżenie. Peleryna niewidka utknęła pod nim, całe jego ciało nagle stało się widoczne, jego nogi nadal były podkurczone w absurdalnej, ściśniętej pozycji kłęzącej. Nie mógł poruszyć ani jednym mięśniem, był w stanie tylko wpatrywać się w Ślizgona, który uśmiechał się szeroko.

- Tak myślałem - powiedział radośnie. - Słyszałem, jak Goyle uderza cię kufrem. I wydawało mi się, że widziałem jakiś biały błysk w powietrzu, kiedy Zabini wrócił...

Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na trampkach Harry'ego.

- Nie słyszałeś niczego, co jest dla mnie ważne, Potter, ale skoro już cię tu mam...

I mocno uderzył stopą w twarz Gryfona. Harry poczuł, że nos mu się łamie, krew trysnęła obficie.

- To od mojego ojca. Hm, zobaczmy...

Malfoy wyszarpnął pelerynę spod unieruchomionego ciała i rzucił na wierzch.

- Nie sądzę, żeby ktoś cię znalazł, zanim pociąg wróci do Londynu - powiedział cicho. - Do zobaczenia... lub nie, Potter.

I, upewniając się, że nadepnął po drodze na palce Harry'ego, Malfoy wyszedł z przedziału.

** Przekład tego tytułu wywołało wśród naszej grupy tłumaczącej tak gorącą dyskusję, że czuję się w obowiązku wyjaśnić, czemu wybrałam akurat tę wersję (w oryginale mamy: "The Slug Club"). Otóż słówko "slug", które jest skrótem od nazwiska Slughorn, najczęściej widnieje w słownikach jako "ślimak". Wygląda to ślicznie i prosto. Problem zaczyna się, gdy dojdziemy do mniej oficjalnych znaczeń. Wtedy pojawia nam się np. "kula" (taką z pistoletu), "żeton", "miarka mocnego alkoholu" ("the slug of vodka to w swobodnym przekładzie "seta wódki") czy też czasownik "uderzał". Stałam więc jako ten osiołek, co wśród jadła z głodu padł, oszłamiona obfitością znaczeń. Postanowiłam więc, że Czytelnik też powinien móc się cieszyć tą wieloznacznością. W końcu to jest w języku najpiękniejsze.*

*** W kwestii kotkogonków odsyłam do "Fantastycznych zwierząt". Konia z rzędem temu, kto zgadnie, czemu poważni czarodzieje polują na toto, skoro wystarczyłoby poszczuć białym psem... Wygląda mi to na snobistyczną rozrywkę typu łowy na zająca w "Panu Tadeuszu" czy dzisiejsze gonitwy za lisem na św. Huberta.*

Tłumaczyła Semele



Triumf Snape'a

Harry nie mógł poruszyć żadnym mięśniem. Leżał pod peleryną niewidką, czując, jak ciepła i mokra krew płynie mu z nosa, pokrywając całą twarz. Wsłuchiwał się w głosy uczniów i ich kroki na korytarzu. Natychmiast pomyślał, że ktoś z pewnością sprawdzi przedziały, zanim pociąg ruszy. Ale prawie w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że nawet jeśli ktoś będzie do nich zaglądać, to i tak go nie usłyszy ani nie zobaczy. Chłopak mógł mieć nadzieję tylko na to, że ktoś tu wejdzie i na niego nadepnie.

Harry nigdy nie nienawidził Malfoya bardziej niż w tej chwili. Leżał sponiewierany, niczym żółw przewrócony na grzbiet, z krwią spływającą mu do otwartych ust. Głupia sytuacja... ostatnie odgłosy kroków cichły. Wszyscy kręcili się już po ciemnym peronie. Słyszał szuranie kufrow i głośnie rozmowy na zewnątrz.

Ron i Hermiona pewnie pomyślą, że wyszedł z pociągu bez nich. Kiedy już dotrą do Hogwartu, zajmą miejsca w Wielkiej Sali, rozejrzą się po całym stole Gryfonów i

w końcu zrozumieją, że go tam nie ma, on będzie już pewnie w połowie drogi powrotnej do Londynu.

Staral się wydać jakiś dźwięk, choćby chrząknięcie, ale bez skutku. Wtedy przypomniał sobie, że niektórzy czarodzieje, tacy jak Dumbledore, potrafili rzucać zaklęcia bezgłośnie, więc spróbował przywołać swoją różdżkę, która wypadła mu z dłoni, powtarzając w kółko w myślach *Accio różdżka!*, ale nic to nie dawało. Wydawało mu się, że słyszy szelest drzew otaczających jezioro i odległe pohukiwanie sowy, ale nic nie wskazywało na to, że go ktokolwiek szuka. Nie wyłowił też (pogardzał sobą za samą nadzieję na to) spanikowanych głosów ludzi, zastanawiających się, gdzie zniknął Harry Potter. Zaczęło ogarniać go uczucie bezsilności, kiedy wyobraził sobie sznur zaprzęgniętych w testrale powozów, toczących się w stronę szkoły i przytłumione wybuchy śmiechu z karety, w której Malfoy siedzi i relacjonuje pozostałym Ślizgonom, jak to zaatakował Harry'ego.

Pociąg szarpnął, aż Harry przewrócił się na bok. Teraz zamiast na sufit patrzył na brudną podłogę pod siedzeniami. Posadzka zaczęła wibrować, kiedy włączono silnik. Ekspres odjeżdżał i nikt nie wiedział, że Harry wciąż się w nim znajduje.

Nagle poczuł, że peleryna niewidka zsuwa się z niego.

– Serwus, Harry – odezwał się nad nim czyjś głos.

Harry dostrzegł czerwony błysk i jego ciało odtajało. Był w stanie usiąść z nieco większą godnością. Wierzchem dłoni szybko otarł krew z posiniaczonej twarzy i spojrzał na Tonks, trzymającą w dłoni jego pelerynę.

– Lepiej szybko się stąd wynośmy – powiedziała, kiedy okna zamglily się od pary i pociąg zaczął wyjeżdżać ze stacji. – Chodź, wyskoczmy.

Harry pośpieszył za nią korytarzem. Tonks otworzyła drzwi i przeskoczyła na platformę, która wydawała się obsuwać pod nimi, w miarę jak ekspres nabierał prędkości. Harry podążył za nią, zachwiał się nieco przy lądowaniu, potem wyprostował na czas, aby zobaczyć purpurowy błysk przyśpieszającej

lokomotywy, która znikala za zakretem.

Zimne, nocne powietrze lagodzilo pulsowanie nosa. Tonks przygladala sie mu. Byl zly i zaZenowany, Ze znaleziono go w tak glupiej sytuacji. Podala mu peleryne.

– Kto to zrobil?

– Draco Malfoy – odparl gorzko Harry. – Dzieki za... coz...

– Nie ma sprawy – odrzekla bez usmiechu. Sdzac z tego, co mogl dojrzec w tym mroku, miala tak samo mysle wlosy i nieszczesliwa mine jak wtedy, kiedy spotkal ja w Norze. – Moge naprawic ci nos, nie ruszaj sie.

Harry'emu nie podobal sie zbytnio ten pomysl, zamierzal odwiedzic Madam Pomfrey, do ktorej mial nieco wiecej zaufania, jesli chodzilo o lecznicze zaklecia, ale wydawalo mu sie, Ze nieuprzejmie bedzie to powiedziec, wiec zamknal oczy i stal nieruchomo.

– Episkey! – powiedziala Tonks.

Harry poczul, jak jego nos staje sie najpierw goracy, a po chwili zimny. Chlopak uniosl dlon i dotknal go ostroznie. Wydawal sie w porzadku.

– Wielkie dzieki!

– Lepiej wloz z powrotem te peleryne, musimy isc do szkoly – odparla Tonks, nadal bez usmiechu. Kiedy Harry zarzucil na siebie peleryne, machnela rozdzka. Wytrysnelo z niej wielkie, srebrne, czworonozne stworzenie i pomknelo w mrok.

– Czy to byl patronus? – spytal. Widzial kiedyś, jak Dumbledore wysylal w ten sposob wiadomosci.

– Tak, wysylalam informacje do szkoly, Ze cie znalazlam, aby sie nie martwili. No chodz, lepiej sie nie ociagajmy.

Ruszyli w strone drogi prowadzacej do zamku.

– Jak mnie znalazlas?

– Zauwazyłam, Ze nie wyszedles z pociagu, a wiedzialam, Ze masz te peleryne. Pomyslalam, Ze z jakiegoś powodu sie ukrywasz. Kiedy zobaczyłam w tym przedziale zaciagniete zaslony, stwierdzilam, Ze lepiej sprawdzę.

- Ale co tu w ogóle robisz? – zapytał.
- Stacjonuję teraz w Hogsmeade, żeby zapewnić szkole dodatkową ochronę – odpowiedziała.
- Tylko ty tu jesteś, czy...?
- Nie, są ze mną jeszcze Proudfoot, Savage i Dawlish.
- Dawlish, ten auror, który zaatakował w zeszłym roku Dumbledore'a?
- Dokładnie ten.

Brnęli ciemną, pustą ścieżką, idąc po świeżych śladach powozów. Harry zerknął spod peleryny na Tonks. W zeszłym roku była ciekawska (czasami aż w irytujący sposób), łatwo się śmiała i często żartowała. Teraz wydawała się starsza, dużo poważniejsza i bardziej zdecydowana. Czy było to efektem tego, co stało się w ministerstwie? Pomyślał z zakłopotaniem, że Hermione zaproponowałaby, aby powiedział coś pocieszającego na temat Syriusza, że to w ogóle nie była wina Tonks, ale nie mógł się do tego zmusić. Zdecydowanie nie obwiniał jej o śmierć swojego chrzestnego ojca. Jego śmierć nie była bardziej jej winą niż kogokolwiek innego (a już zdecydowanie mniej niż jego), ale Harry wolał nie mówić o Syriuszu, jeśli mógł tego uniknąć. W milczeniu więc wędrowali dalej zimną nocą. Długa peleryna Tonks szeleściła za nimi po ziemi.

Harry zawsze przemierzał tę drogę w powozie i nigdy nie zdawał sobie sprawy z odległości, jaka dzieliła Hogwart od stacji w Hogsmeade. Ulżyło mu bardzo, kiedy w końcu zobaczył wysokie kolumny, każdą z dzikiem na szczycie, stojące po obu stronach wrót. Był głodny, było mu zimno i z entuzjazmem witał możliwość opuszczenia tej nowej, mroczniejszej Tonks. Ale kiedy dotknął dłonią bramy, zauważył, że jest zamknięta na kłódkę.

– Alohomora! – powiedział zdecydowanym głosem, wskazując na zamek, ale nic się nie stało.

– To nie zadziała – odparła Tonks. – Dumbledore sam je zaczarował.

Harry rozejrzał się.

– Mógłbym wspiąć się po murze – zasugerował.

– Nie, nie mógłbyś – powiedziała matowym głosem.

– Są na nich klątwy przeciw intruzom. Ochrona została bardzo wzmocniona tego lata.

– No cóż, w takim razie – odpowiedział Harry, zaczynając już mieć dość bierności z jej strony – będę musiał się tu przespaciać i poczekać do rana.

– Ktoś po ciebie idzie – odparła. – Patrz.

Niedaleko zamku kołysała się latarnia. Harry był tak zadowolony, kiedy ją zobaczył, że byłby nawet w stanie wytrzymać wypowiedzianą świszczącym głosem Filcha krytykę na temat jego opieszłości i tyradę o tym, że jego praca zostałaby znacznie usprawniona przy regularnym stosowaniu śrub na kciuki. Dopiero kiedy żółte światło znalazło się dziesięć stóp od nich i Harry ściągnął pelerynę tak, aby można było go dostrzec, rozpoznał – czując falę czystej nienawiści – haczykowany nos i długie, czarne, tłuste włosy Severusa Snape'a.

– No, no, no... – Snape uśmiechnął się szyderczo, wyciągając różdżkę i stukając nią jeden raz w kłódkę. Łańcuch opadł i wrota się otworzyły. – Jak miło, że się pojawiłeś, Potter, chociaż najwyraźniej zdecydowałeś, że szkolne szaty pomniejszyłyby efekt twojego wejścia.

– Nie mogłem się przebrać, nie miałem swojego... – zaczął Harry, ale Snape mu przerwał.

– Nie ma potrzeby czekać, Nimfadoro. Potter jest dość... ach... bezpieczny w moich rękach.

– Chciałam, aby wiadomość otrzymał Hagrid – powiedziała Tonks, marszcząc czoło.

– Hagrid spóźnił się na ucztę powitalną, tak jak Potter, więc ja odebrałem ją zamiast niego. Nawiasem mówiąc

– Snape odsunął się, aby wpuścić Harry'ego do środka – zaciekawił mnie twój nowy patronus.

Zamknął wrota z głośnym brzęknięciem tuż przed nosem Tonks i ponownie stuknęła różdżką w łańcuchy, które natychmiast poruszyły się i ponownie zatrzasnęły.

– Myślę, że lepiej ci było z poprzednim – stwierdził Snape, a zjadliwość w jego głosie była doskonale wyczuwalna. – Ten nowy wyglądał na słabego.

Kiedy Snape zakolysał latarnią, Harry przez chwilę

widział wściekłość i szok na twarzy Tonks. Potem ponownie skryła się w mroku.

– Dobranoc – zawołał do niej przez ramię chłopak, zaczynając iść za Snape'em w stronę szkoły. – Dzięki za... wszystko.

– Do zobaczenia, Harry.

Snape przez jakąś minutę się nie odzywał. Harry czuł, jak jego ciało emituje fale nienawiści tak potężnej, że nieprawdopodobne było, aby mężczyzna nie czuł, jak go pałą. Chłopak nienawidził Snape'a od pierwszego ich spotkania, ale mężczyzna raz na zawsze, nieodwracalnie stracił możliwość na uzyskanie przebaczenia Harry'ego swoim zachowaniem w stosunku do Syriusza. Cokolwiek by nie mówił Dumbledore, Harry miał latem dość czasu, aby pomyśleć, i stwierdził, że obłudne uwagi Snape'a, jakoby Syriusz pozostawał bezpiecznie ukryty, kiedy reszta Zakonu walczy z Voldemortem, były zapewne bardzo silnym bodźcem do tego, by Syriusz pośpieszył do ministerstwa tamtej nocy i zginął. Chłopak trzymał się tego przekonania, ponieważ pozwalało mu ono obwiniać Snape'a, a to przynosiło mu satysfakcję. Poza tym wiedział, iż jeśli komuś nie było przykro, że Syriusz odszedł, to tym kimś był mężczyzna właśnie idący obok niego.

– Gryffindor traci pięćdziesiąt punktów za spóźnienie – powiedział Snape. – I, niech się zastanowię, kolejne dwadzieścia za mugolski strój. Wiesz, nie sądzę, aby kiedykolwiek którykolwiek dom miał negatywną ilość punktów tak wcześnie w semestrze. Nawet nie zaczęliśmy jeszcze puddingu. Możliwe, że ustanowiłeś rekord, Potter.

Wściekłość i nienawiść kotłowały się w Harrym, ale chłopak wolałby odbyć unieruchomioną całą drogę do Londynu, niż powiedzieć Snape'owi, dlaczego się spóźnił.

– Pewnie chciałeś mieć wielkie wejście, co? – kontynuował mężczyzna. – A skoro nie miałeś tym razem latającego samochodu, stwierdziłeś, że dramatyczny efekt spowoduje wtargnięcie do Wielkiej

Sali w połowie uczty.

Harry nadal się nie odzywał, chociaż miał wrażenie, że zaraz go rozniesie. Wiedział, że Snape poszedł po niego właśnie dlatego, dla tych kilku minut, kiedy mógł go irytować i torturować, nie mając nikogo w zasięgu słuchu.

W końcu dotarli do schodów zamku i kiedy wielkie, dębowe drzwi otworzyły się, ukazując przestronną salę wejściową, przez otwarte drzwi do Wielkiej Sali usłyszeli odgłosy rozmów, śmiechu i dzwonienie talerzy i pucharów. Harry zastanawiał się, czy mógłby z powrotem narzucić na siebie pelerynę niewidkę i w ten sposób niepostrzeżenie zająć miejsce przy stole Gryfonów (który, niestety, znajdował się najdalej od wejścia).

– Żadnej peleryny – powiedział Snape, jakby czytając w myślach chłopaka. – Możesz przejść tak, żeby wszyscy cię widzieli, co, niewątpliwie, jest dokładnie tym, czego chciałeś.

Harry odwrócił się na pięcie i pomaszerował prosto przez otwarte drzwi: wszystko, aby tylko znaleźć się dalej od Snape'a. Wielką Salę, w której stały cztery długie stoły poszczególnych domów i stół nauczycielki na końcu pomieszczenia, jak zwykle dekorowały unoszące się w powietrzu świece, które sprawiały, że talerze w ich świetle migotały i żarzyły się. Jednak Harry szedł tak szybko, że to wszystko było tylko błyszczącą plamą. Zdążył minąć stół Puchonów, zanim ludzie naprawdę zaczęli się gapić, a zanim zaczęli wstawać, aby lepiej mu się przyjrzeć, już wypatrzył Rona i Hermionę. Pośpiesznie przeszedł do nich i wepchnął się na miejsce pomiędzy nimi.

– Gdzie... cholibka, co ci się stało w twarz? – spytał Ron, wpatrując się w niego, tak jak wszyscy inni w pobliżu.

– Czemu, co z nią nie tak? – Harry chwycił łyżkę i przyjrzał się w niej z bliska swojemu wykrzywionemu odbiciu.

– Jesteś cały zakrwawiony! – powiedziała Hermiona.

– Chodź tutaj...

Uniosła różdżkę. Powiedziała „Tergeol!” i usunęła krew.

– Dzięki – odparł Harry, czując teraz, że ma czystą twarz. – Jak wygląda mój nos?

– Normalnie – odpowiedziała niespokojnie dziewczyna.

– A czemu miałyby być inaczej? Harry, co się stało, byliśmy przerażeni!

– Później wam opowiem – powiedział szorstko. Był świadomy, że przysłuchiwali się im Ginny, Neville, Dean i Seamus. Nawet Prawie Bezgłowy Nick, duch Gryffindoru, przyleciał nieco bliżej, aby podsłuchać.

– Ale... – zaczęła Hermiona.

– Nie teraz – przerwał jej Harry, ponurym, doniosłym głosem. Miał wielką nadzieję, że wszyscy pomyślą, iż był zamieszany w coś heroicznego, najlepiej mającego związek z kilkoma śmierciożercami i dementorami. Oczywiście, Malfoy rozgłosi co się stało tak szeroko, jak tylko będzie mógł, ale zawsze istniała szansa, że nie dotrze to do zbyt wielu Gryfonów.

Sięgnął po kilka nóżek kurczaka i garść frytek, ale zanim zdążył je wziąć, zniknęły i zastąpiły je puddingi.

– W każdym razie przegapiłeś ceremonię przydziału – oświadczyła Hermiona, kiedy Ron sięgnął po duży kawałek, czekoladowego ciasta.

– Tiara powiedziała coś ciekawego? – spytał Harry, biorąc kawałek placka z melasą.

– W sumie mniej więcej to samo... doradzała, byśmy się zjednoczyli w obliczu naszych wrogów, no wiesz.

– Dumbledore wspominał w ogóle o Voldemorcie?

– Jeszcze nie, ale zawsze zostawia właściwą przemowę na koniec uczyty, no nie? To już niedługo.

– Snape powiedział, że Hagrid spóźnił się na ucztę...

– Widziałeś Snape'a? Jak? – spytał Ron, między dwoma wielkimi kęsami ciasta.

– Wpadłem na niego – odparł wymijająco Harry.

– Hagrid spóźnił się tylko kilka minut – powiedziała Hermiona. – Patrz, macha do ciebie.

Harry podniósł wzrok na stół nauczycielski i uśmiechnął się szeroko do Hagrida, który rzeczywiście

do niego machał. Hagrid nigdy nie zdołał zachowywać się z taką godnością jak profesor McGonagall, opiekunka Gryfonów, której czubek głowy znajdował się gdzieś pomiędzy łokciem a ramieniem siedzącego obok niej półolbrzyma. Profesor patrzyła z dezaprobatą na to entuzjastyczne powitanie. Harry zdziwił się, gdy zobaczył nauczycielkę wróżbiarstwa, profesor Trelawney, siedzącą po drugiej stronie Hagrida. Rzadko opuszczała pokój w swojej wieży, a Harry nigdy wcześniej nie widział jej na uczcie powitalnej. Wyglądała tak dziwnie jak zawsze, błyszcząc paciorkami, owinięta szalem. Okulary sprawiały, że jej oczy wydawały się ogromne. Harry zawsze uważał ją za oszustkę, więc szokiem było dla niego, kiedy odkrył pod koniec poprzedniego semestru, że to ona wygłosiła przepowiednię, przez którą Lord Voldemort zabił jego rodziców i zaatakował jego samego. Ta wiedza sprawiała, że jeszcze mniej chciał przebywać w jej towarzystwie, ale na szczęście w tym roku rezygnował z Wróżbiarstwa. Jej wielkie, przypominające reflektory latarni oczy obróciły się w jego stronę. Szybko odwrócił się w stronę stołu Ślizgonów. Draco Malfoy demonstrował miążdżenie nosa, wywołując charkotliwy śmiech i aplauz. Harry opuścił wzrok na swój placek z melasą, wnętrzości znowu mu płonęły. Czego by nie dał, by móc zmierzyć się z Malfoyem jeden na jednego...

– Więc czego chciał profesor Slughorn? – spytała Hermiona.

– Dowiedzieć się, co naprawdę wydarzyło się w ministerstwie – odparł.

– On i wszyscy pozostali tutaj. – Pociągnęła nosem.

– Ludzie wypytywali nas o to w pociągu, no nie, Ron?

– Taak – odpowiedział Ron. – Wszyscy chcieli wiedzieć, czy naprawdę jesteś tym Wybrańcem...

– Dużo odbyło się rozmów na ten temat nawet pomiędzy duchami – wtrącił Prawie Bezgłowy Nick, pochylając swoją, ledwo połączoną z resztą ciała, głowę w stronę Harry'ego tak, że zachwiała się niebezpiecznie. – Uważają mnie za coś w rodzaju

autorytetu w sprawach Pottera. Powszechnie wiadomo, że jesteśmy zaprzyjaźnieni. Zapewniłem jednak społeczność duchów, że nie będę napastował cię o informacje. „Harry Potter wie, że może mi powierzyć każdy sekret”, tak im powiedziałem. „Szybciej bym umarł niż zdradził jego zaufanie.”

– To niewiele, biorąc pod uwagę, że już umarłeś – stwierdził Ron.

– Raz jeszcze wykazałeś wrażliwość tępej siekiery – odezwał się urażonym głosem Prawie Bezgłowy Nick, wznosił się w powietrze i odpląnął w stronę drugiego końca stołu dokładnie w chwili, kiedy ze swojego miejsce podniósł się Dumbledore. Rozmowy i śmiech pobrzmiwające w sali ucichły prawie natychmiast.

– Najlepszego wieczoru, wam wszystkim! – powiedział, uśmiechając się szeroko i wyciągając ramiona, jakby chciał objąć całe pomieszczenie.

– Co się stało z jego dłonią? – sapnęła Hermiona.

Nie tylko ona to zobaczyła. Prawa dłoń dyrektora była tak samo czarna i wyglądająca na martwą jak tej nocy, kiedy mężczyzna przyszedł zabrać Harry'ego od Dursleyów. W pomieszczeniu rozległy się szepty. Dumbledore zinterpretował je właściwie, uśmiechnął się lekko i potrząsnął purpurowo-złotym rękawem, zakrywając zranienie.

– Nie ma się czym martwić – powiedział beztrąsko.

– A teraz... nowym uczniom: witam! Starym uczniom: witam ponownie! Czeka was kolejny rok pełen nauki magii...

– Jego dłoń wyglądała tak samo, kiedy widziałem go latem – szepnął Harry do Hermiony. – Ale myślałem, że do teraz ją wyleczy... albo że robi to Madam Pomfrey.

– Wygląda, jakby była martwa – odparła Hermiona, która wyglądała jakby miała mdłości. – Są pewne rany, których nie można wyleczyć... stare kłątwy... i są trucizny, na które nie ma antidotum...

– ...a pan Filch, nasz woźny, prosił, bym przekazał, że wszystkie produkty zakupione w sklepie Czarodziejskie Dowcipy Weasleyów są zabronione.

– Ci, którzy chcą grać w drużynie quidditcha swojego Domu, powinni podać imiona i nazwiska swoim Opiekunom, jak zawsze. Szukamy również nowych komentatorów, którzy powinni postąpić podobnie.

– Z przyjemnością witamy w tym roku nowego członka grona nauczycielskiego. Profesor Slughorn...

Slughorn wstał, jego łysina błyszczała w świetle świec, a wielki, ukryty pod kamizelką brzuch rzucał duży cień na stół.

– ...pracował już kiedyś ze mną, a teraz zgodził się ponownie zająć stanowisko Mistrza Elikśirów.

– Elikśirów?

– Elikśirów?

To słowo krążyło po całej sali, a wszyscy zastanawiali się, czy dobrze słyszeli.

– Elikśirów? – powiedzieli równocześnie Ron i Hermiona, odwracając się w stronę Harry'ego. – Ale mówileś...

– W międzyczasie profesor Snape – Dumbledore mówił głośniej, by było go słyhać mimo mamrotania

– przejmie posadę nauczyciela obrony przed czarną magią.

– Nie! – krzyknął Harry tak głośno, że wiele głów zwróciło się w jego stronę. Nie przejął się tym. Wpatrywał się rozgniewany w stół nauczycielski. Jak można było po takim czasie dać Snape'owi stanowisko nauczyciela obrony przed czarną magią? Czy nie było powszechnie wiadome, że Dumbledore nie ufał mu pod tym względem?

– Ale Harry, mówileś, że Slughorn będzie uczył obrony! – powiedziała Hermiona.

– Tak myślałem! – odparł Harry, próbując sobie przypomnieć, kiedy Dumbledore mu to mówił, ale teraz, kiedy się tak nad tym zastanawiał, nie mógł sobie przypomnieć, żeby dyrektor mówił mu, czego dokładnie miał uczyć Slughorn.

Siedzący po prawej stronie Dumbledore'a Snape nie wstał, gdy ogłoszono jego nazwisko, uniósł tylko leniwie dłoń, uznając aplauz ze strony Ślizgonów, a jednak Harry był pewny, że widział triumf na twarzy,

której tak bardzo nienawidził.

– Cóż, przynajmniej ma to jeden plus – powiedział okrutnie. – Na koniec roku już Snape'a nie będzie.

– Co masz na myśli? – spytał Ron.

– Ta posada jest przeklęta. Nikt nie wytrzyma dłużej niż rok... Quirrell nawet zginął. Osobiście będę trzymał kciuki za następną śmierć...

– Harry! – krzyknęła z wyrzutem zszokowana Hermiona.

– Może po prostu wróci na koniec roku do uczenia eliksirów – powiedział rozsądnie Ron. – Ten Slughorn może nie chce uczyć na dłuższą metę, Moody nie chciał.

Dumbledore odchrząknął. Nie tylko Harry, Ron i Hermiona dyskutowali. Cała Wielka Sala szumiała od rozmów o tym, że Snape w końcu osiągnął to, czego zawsze pragnął. Dumbledore nie powiedział już nic więcej o zmianach wśród nauczycieli, sprawiając wrażenie, jakby nie był świadomy, jakie to sensacyjne wiadomości ogłosił, poczekał kilka sekund, aż zaległa zupełna cisza.

– Teraz – kontynuował – jak już wszyscy tutaj wiedzą, Lord Voldemort i jego zwolennicy raz jeszcze rosą w siłę.

Cisza wydawała się napinać i naprężyć, w miarę jak mówił dyrektor. Harry zerknął na Malfoya. Chłopak nie patrzył nawet na Dumbledore'a, ale lewitował różdżką widelec, jakby uważał, że słowa dyrektora nie są godne jego uwagi.

– Nie mogę podkreślić wystarczająco silnie, jak niebezpieczna jest obecna sytuacja i jak bardzo każdy z nas musi uważać, abyśmy byli bezpieczni. Magiczne fortyfikacje zamku zostały wzmocnione w wakacje, jesteśmy chronieni na nowe, silniejsze sposoby, ale nadal musimy drobiazgowo strzec się beztrioski ze strony uczniów i nauczycieli. Nalegam zatem, byście przestrzegali ograniczeń, jakie mogą na was nałożyć nauczyciele, jak by nieprzyjemne nie były – w szczególności mam na myśli zasadę nieprzebywania poza dormitoriami w godzinach ciszy nocnej. Ma to na

celu zapewnienie bezpieczeństwa. Proszę, abyście zgłosili natychmiast komuś z grona pedagogicznego, jeśli zauważycie coś dziwnego bądź podejrzanego, w zamku lub poza nim. Wierzę, że zawsze będziecie mieć na uwadze bezpieczeństwo swoje własne i pozostałych. Niebieskie oczy Dumbledore'a przesunęły się po uczniach, zanim dyrektor uśmiechnął się.

– Ale teraz czekają na was łóżka, tak ciepłe i wygodne, jak tylko możecie sobie wymarzyć, a wiem, jak dla was ważne jest, byście byli dobrze wyspani przed jutrzejszymi lekcjami. Życzymy więc teraz sobie dobrej nocy. Pip pip!

Przy typowych odgłosach szurania odsunięto ławki do tyłu i uczniowie zaczęli opuszczać Wielką Salę, kierując się do swoich dormitoriów. Harry'emu nie śpieszyło się, by wyjść razem z gapiącym się na niego tłumem, nie chciał też zbliżyć się do Malfoya na tyle, aby pozwolić mu powtórzyć historię, jak to kopnął go w nos. Został więc z tyłu, udając że poprawia sznurowadło i pozwalając większości Gryfonów pójść przodem. Hermiona ruszyła na początek, aby wypełniać obowiązki prefekta i poprowadzić pierwszoklasistów, ale Ron został z Harrym.

– Co naprawdę stało się z twoim nosem? – spytał, kiedy szli na samym końcu tłumu wychodzącego z pomieszczenia, poza zasięgiem słuchu kogokolwiek.

Harry opowiedział mu. Miarą ich przyjaźni było, że Ron się nie zaśmiał.

– Widziałem, jak Malfoy pokazuje coś z nosem – powiedział ponuro.

– Taak, no cóż, nieważne – odparł gorzko Harry.

– Posłuchaj, co mówił, zanim się dowiedział, że tam byłem...

Harry spodziewał się, że Ron będzie zaskoczony przechwałkami Malfoya. Jednak Ron pozostał niewzruszony.

– Daj spokój, Harry, popisывał się tylko przed Parkinson... jaką misję powierzylby mu Sam-Wiesz-Kto?

– Skąd wiesz, że Voldemort nie potrzebuje kogoś w Hogwarcie? Nie byłby to pierwszy...

– Wolałbym, żebyś nie mówił tego imienia, Harry – odezwał się pełen wyrzutu głos za nimi. Harry obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak Hagrid kręci głową.

– Dumbledore je mówi – odparł uparcie Harry.

– Taak, cóż, to Dumbledore, nie? – powiedział tajemniczo Hagrid. – Czemu się spóźniłeś? Martwiłem się.

– Zostałem w pociągu – odparł Harry. – A dlaczego ty się spóźniłeś?

– Byłem z Graupem – odparł radośnie Hagrid.

– Straciłem poczucie czasu. Ma teraz nowy dom w górach, Dumbledore mu załatwił... ładna, duża jaskinia. Jest dużo szczęśliwszy niż w lesie. Rozmawialiśmy sobie.

– Naprawdę? – spytał Harry, starannie unikając wzrokiem Rona. Ostatnim razem, kiedy spotkali przyrodniego brata Hagrida, okrutny olbrzym miał talent do wrywania drzew, a jego słownictwo ograniczało się do pięciu słów, z których dwóch nie potrafił poprawnie wymówić.

– Och taak, naprawdę posunął się do przodu – odparł z dumą Hagrid. – Będziecie zaskoczeni. Myślę nad wyszkoleniem go na mojego pomocnika.

Ron prychnął, ale zdołał zamaskować to głośnym kichnięciem. Stali już obok dębowych drzwi wejściowych.

– Zobaczmy się jutro, pierwsza lekcja zaraz po obiedzie. Przejdźcie wcześniej, powiecie cześć Hardo... znaczy się Suchoskrzydłemu.

Machnął wesoło ręką na pożegnanie i wyszedł w mrok. Harry i Ron spojrzeli po sobie. Harry wiedział, że Ron czuł dokładnie to samo.

– Nie kontynuujesz opieki nad magicznymi stworzeniami, nie?

Ron pokręcił głową.

– Ty też nie, prawda?

Harry też pokręcił głową.

– I Hermiona – dodał Ron – też nie?

Harry znowu pokręcił głową. Wolał nie myśleć, co dokładnie powie Hagrid, kiedy się dowie, że troje jego ulubionych uczniów zrezygnowało z jego przedmiotu.

Tłumaczyła: Mirriel



Półkrwi Księżę

Harry i Ron spotkali się z Hermioną w pokoju wspólnym następnego dnia, tuż przed śniadaniem. Harry, mając nadzieję, że otrzyma poparcie dla swojej teorii, nie tracąc czasu opowiedział Hermionie, co Malfoy mówił w pociągu.

- Ale z pewnością po prostu przechwalał się, aby zaimponować Parkinson, no nie? - wtrącił szybko Ron, zanim Hermiona zdążyła powiedzieć cokolwiek.

- No cóż - odparła niepewnie. - Nie wiem... Malfoy lubi udawać ważniejszego, niż jest... Ale to by było grube kłamstwo...

- Dokładnie - powiedział Harry, ale nie mógł mówić dalej, ponieważ zbyt wiele osób starało się podsłuchać, o czym rozmawiali, nie mówiąc już o tych, którzy gapili się na niego i szeptali zasłaniając usta dłońmi.

- Niegrzecznie jest pokazywać palcami - warknął Ron w stronę pewnego pierwszoklasisty, kiedy dołączyli do kolejki wychodzących przez otwór za portretem. Chłopak, szepczący coś o Harrym do swego kolegi, zaczerwienił się i potknąwszy wypadł przez dziurę.

Ron zachichotał.

- Uwielbiam bycie szóstoklasistą. A w dodatku mamy w tym roku czas wolny. Całe okienka, podczas których możemy spokojnie siedzieć i się relaksować.

- Będziemy potrzebować tego czasu na naukę, Ron! - powiedziała Hermiona, ruszając korytarzem.

- Taak, ale nie dzisiaj - odparł Ron. - Dzisiaj będziemy leniuchować.

- Stój! - wykrzyknęła Hermiona, wyciągając ramię i przytrzymując przechodzącego czwartoklasistę, który próbował przecisnąć się obok niej, ściskając mocno w dłoni limonkowitzowy dysk. - Zębate frisby są zabronione. Oddaj to - rzekła surowo. Chłopak, marszcząc czoło, oddał warczące frisby, przemknął pod ramieniem Hermiony i pomknął za swoimi przyjaciółmi. Ron poczekał, aż chłopak zniknie, po czym zabrał Hermionie dysk.

- Świetnie. Zawsze chciałem mieć coś takiego.

Sprzeciw Hermiony został zagłuszony głośnym chichotem. Najwyraźniej Lavender Brown uznała uwagę Rona za wyjątkowo zabawną. Nadal się śmiała, kiedy ich minęła, spoglądając przez ramię na Rona, który wyglądał na zadowolonego z siebie.

Po błękitnym suficie Wielkiej Sali płynęły małe, rzadkie chmurki. Widok ten przywoływał na myśl niebo widziane przez okno dachowe. Wcinając owsiankę, jajka i bekon, Harry i Ron opowiedzieli Hermionie o kłopotliwej rozmowie, jaką poprzedniego wieczora odbyli z Hagridem.

- Ale on nie może naprawdę myśleć, że będziemy kontynuować opiekę nad magicznymi stworzeniami! - powiedziała zdenerwowana. - To znaczy, czy kiedykolwiek któreś z nas wykazało... no wiecie... entuzjazm?

- O to właśnie chodzi, no nie? - odparł Ron i polknął całe sadzone jajko. - To właśnie my najbardziej się staraliśmy podczas lekcji, bo lubimy Hagrida. Ale on sądzi, że lubimy ten głupi *przedmiot*. Myślicie, że ktokolwiek będzie go kontynuował na owutemach?

Hermiona i Harry nie odpowiedzieli, nie było takiej

potrzeby. Wiedzieli dobrze, że nikt z ich roku nie zamierzał ciągnąć dalej opieki nad magicznymi stworzeniami. Unikali wzrokiem Hagrida i odmachali mu bez przekonania, kiedy odchodził od stołu nauczycielskiego dziesięć minut później.

Kiedy już zjedli, pozostali na swoich miejscach, czekając na profesor McGonagall. Rozdanie planów lekcji było w tym roku bardziej skomplikowane niż zazwyczaj, ponieważ profesor McGonagall musiała najpierw upewnić się, że wszyscy otrzymali wymagane oceny z sumów, aby kontynuować wybrane przedmioty na poziomie owutemów. Hermione szybko dowiedziała się, że może kontynuować zaklęcia, numerologię, starożytnie runy i eliksiry, i pobiegła na pierwszą lekcję run. Z Neville'em zajęło to nieco więcej czasu. Jego okrągła twarz wyrażała zdenerwowanie, kiedy profesor McGonagall przeglądała jego podanie i sprawdzała wyniki sumów.

- Ziellarstwo, dobrze - powiedziała. - Profesor Sprout będzie zachwycona, kiedy zobaczy *wybitny*. I *ponyżej oczekiwań* kwalifikuje cię na obronę przed czarną magią. Ale jest problem z transmutacją. Przykro mi, Longbottom, ale *zadowalający* to naprawdę za mało na poziom owutemów. Po prostu nie sądzę, abyś poradził sobie z programem.

Neville zwiesił głowę. Profesor McGonagall spojrzała na niego przez swoje kwadratowe okulary.

- A właściwie dlaczego chcesz kontynuować transmutację? Zawsze sprawiałeś wrażenie, że ci się niezbyt podoba.

Neville zerknął na nią nieszczęśliwy, wymamrotał coś o tym, że *moja babcia chce*.

- Pff - prychnęła profesor McGonagall. - Najwyższy czas, aby twoja babcia nauczyła się być dumną z wnuka jakiego ma, a nie takiego, jakiego uważa, że mieć powinna - szczególnie po tym, co zaszło w ministerstwie.

Neville zaczerwienił się i zamrugał zmieszany. Profesor McGonagall nigdy wcześniej nie powiedziała mu komplementu.

- Przykro mi, Longbottom, ale nie mogę wpuścić cię do mojej klasy owutemów. Widzę jednak, że masz *powyżej oczekiwań* z zaklęć - czemu nie spróbować tego przedmiotu?

- Babcia uważa, że zaklęcia to pójdzie na łatwiznę - mruknął Neville.

- Weź zaklęcia - powiedziała profesor McGonagall. - A ja napiszę do Augusty, że to, iż ona nie zdała *swoich* sumów z zaklęć, nie znaczy, że ten przedmiot jest bezwartościowy. - Profesor uśmiechnęła się na widok rozradowanej twarzy chłopaka i stuknęła różdżką w czysty plan zajęć - który natychmiast wypełnił się szczegółami dotyczącymi jego nowych lekcji - i podała go Neville'owi.

Następnie opiekunka Gryfonów odwróciła się do Parvati Patil, która na samym początku spytała, czy Firenzo, ten przystojny centaur, nadal uczy wróżbiarstwa.

- On i profesor Trelawney podzielili w tym roku klasy pomiędzy siebie - odpowiedziała profesor McGonagall z nutką dezaprobaty w głosie. Powszechnie wiadomym było, że pogardza tym przedmiotem. - Szóstą klasę wzięła profesor Trelawney.

Parvati, nieco przybita, pięć minut później wyruszyła na wróżbiarstwo.

- A więc, Potter, Potter... - zaczęła profesor McGonagall, sprawdzając swoje notatki i spoglądając na Harry'ego. - Zaklęcia, obrona przed czarną magią, zielarstwo, transmutacja... wszystko w porządku. Muszę przyznać, że byłam zadowolona z twojej oceny z transmutacji, Potter, bardzo zadowolona. A teraz powiedz mi, czemu nie zgłosiłeś się do kontynuowania eliksirów? Sądziłam, że chciałeś zostać aurorem?

- Chciałem, ale powiedziała mi pani, że musiałbym dostać *wybitny* z sumów.

- Tak było, kiedy profesor Snape uczył tego przedmiotu. Jednak profesorowi Slughornowi wystarczy *powyżej oczekiwań*, aby przyjąć ucznia do klasy. Chcesz uczyć się dalej eliksirów?

- Tak - odparł Harry - ale nie kupiłem książek, ani

składników, ani niczego...

- Jestem przekonana, że profesor Slughorn będzie w stanie pożyczyć ci podręcznik - stwierdziła profesor McGonagall. - Bardzo dobrze, panie Potter, oto twój plan lekcji. Och, przy okazji - dwudziestu chętnych już się zgłosiło do gryfońskiej drużyny quidditcha. Później przekażę ci listę i będziesz mógł dopasować kwalifikacje do swoich zajęć.

Kilka minut później Ron dowiedział się, że ma te same przedmioty co Harry, i razem odeszli od stołu.

- Patrz - powiedział szczęśliwy Ron, przyglądając się rozkładowi lekcji - mamy teraz wolne... I po przerwie też... i po obiedzie... *świetnie!*

Wrócili do pokoju wspólnego, w którym było tylko sześcioro siódmoklasistów, między innymi Katie Bell, jedyna osoba, która pozostała z oryginalnego składu drużyny, do którego dołączył w pierwszej klasie Harry.

- Tak myślałam, że to dostaniesz. Dobra robota - zawołała, wskazując na odznakę kapitana, przypiętą na piersi Harry'ego. - Powiedz mi, kiedy ogłosisz kwalifikacje!

- Nie wygłupiaj się - odparł Harry - nie musisz ich przechodzić, pięć lat patrzyłem, jak grasz...

- Nie możesz tak zaczynać - ostrzegła. - Przecież gdzieś tu może być ktoś dużo lepszy ode mnie. Dobre drużyny już nie raz zostały popsute przez to, że kapitan trzymał w zespole tylko stare twarze albo wpuszczał swoich przyjaciół...

Ron wyglądał na nieco skрэpowanego i zaczął bawić się zębatym frisby, które Hermiona zarekwirowała czwartoklasiście. Przedmiot pomknął przez pokój wspólny, warcząc i próbując pogryźć gobeliny. Żółte oczy Krzywołapa śledziły go. Kot zasyczał, gdy frisby zbliżyło się za bardzo.

Godzinę później niechętnie opuścili skąpany w słońcu pokój wspólny i ruszyli do położonej cztery piętra niżej sali obrony przed czarną magią. Hermiona już stała w kolejce przed drzwiami, trzymając na rękach ciężkie i nieco zużyte książki.

- Mamy dużo pracy domowej z run - stwierdziła z niepokojem, kiedy dołączyli do niej Harry i Ron.

- Piętnastocalowe wypracowanie, dwa tłumaczenia i muszę to wszystko przeczytać do środy!

- Straszne - ziewnął Ron.

- Poczekaj tylko - odparła z urazą. - Złożę się, że Snape nam dużo zada.

Kiedy jeszcze mówiła, drzwi do sali otworzyły się i na korytarz wyszedł Snape, jego ziemistą twarz jak zwykle zakrywały dwie kurtyny tłustych, czarnych włosów. W kolejce natychmiast zaległa cisza.

- Do środka - powiedział.

Kiedy weszli, Harry rozejrzał się. Snape już zdążył roztoczyć w pomieszczeniu swoją aurę. Było ciemniej i bardziej ponuro niż zwykle, ponieważ zasłony zostały zaciągnięte, a pomieszczenie oświetlały świece. Ściany zdobiły nowe obrazy, z których wiele przedstawiało cierpiących ludzi z przerażającymi ranami bądź dziwnie powykęcanyymi częściami ciała. Nikt się nie odezwał, kiedy zajmowali miejsca, wszyscy patrzyli tylko na ciemne, odrażające rysunki.

- Nie mówiłem, żebyście wyjęli książki - powiedział Snape, zamykając drzwi i stając za swoim stołem twarzą do klasy. Hermiona szybko wrzuciła swój egzemplarz *Twarzą w twarz z wrogiem bez twarzy* z powrotem do torby i wsunęła ją pod krzesło.

- Zamierzam wam coś powiedzieć i chcę, aby cała wasza uwaga była skupiona na mnie.

Czarnymi oczami przyglądał się ich twarzom, o ułamek sekundy dłużej zatrzymując wzrok na Harrym.

- Mieliście jak dotąd pięciu różnych nauczycieli tego przedmiotu, jeśli dobrze pamiętam.

Jeśli dobrze pamiętasz... Tak jakbyś nie przyglądał się wszystkim po kolei, jak przychodzą i odchodzą, mając nadzieję, że będziesz następny, pomyślał Harry.

- Oczywiście, każdy z tych nauczycieli miał swoje własne metody i priorytety. Zważywszy na to zamieszanie, jestem zaskoczony, że tak wielu z was zdołało zdać sumy z tego przedmiotu. Będę jeszcze bardziej zdziwiony, jeśli wszyscy poradzicie sobie z

materiałem do owutemów, który będzie o wiele bardziej zaawansowany.

Snape przeszedł w róg pokoju, mówiąc teraz o wiele ciszej. Uczniowie powyciągali szyje, aby go lepiej widzieć.

- Czarna magia - zaczął Snape - jest różnorodna, zmienna i wieczna. Walka z nią przypomina walkę z potworem o wielu głowach, któremu w miejsce każdej odciętej głowy wyrasta druga, jeszcze silniejsza i mądrzejsza niż poprzednia. Walczycie z czymś, co jest niestale, mutujące, nieopisywalne.

Harry gapił się na Snape'a. Zupełnie czym innym było respektowanie czarnej magii jako niebezpiecznego wroga, a czym innym mówienie o niej tak, jak robił to Snape - z taką miłością.

- Wasza obrona - kontynuował nieco głośniejszym głosem Snape

- musi zatem być tak elastyczna i kreatywna jak magia, której chcecie przeciwdziałać. Te obrazy - wskazał na kilka, przechodząc koło nich - są dobrą reprezentacją tego, co dzieje się z tymi, którzy cierpią, na przykład przez klątwę *Cruciatius* - machnął dłonią w stronę wiedzmy krzyczącej w agonii - poczują pocałunek dementora - czarodziej z pustym wzrokiem, leżący zwinięty w kłębek pod ścianą - albo sprowokują atak Inferich - krwawa masa na ziemi.

- Czy w takim razie widziano Inferich? - spytała cienkim głosem Parvati Patil. - Czy to prawda, że ich używa?

- Czarny Pan używał Inferich w przeszłości - odparł Snape - co oznacza, że lepiej przyjąć, iż może ich użyć ponownie. Teraz...

Ruszył w kierunku swojego stołu, obchodząc pokój z drugiej strony. Klasa ponownie przyglądała się, jak idzie, a szaty powiewają za nim.

- ...jesteście, jak sądzę, zupełnymi nowicjuszami, jeżeli chodzi o rzucanie bezgłośnych zaklęć. Jakie są zalety bezgłośnych zaklęć?

Dłoń Hermiony wystrzeliła w powietrze. Snape długo rozglądał się po klasie, upewniając się, że nie ma wyboru.

- No dobrze... Panno Granger? - powiedział w końcu szorstko.

- Przeciwnik nie ma żadnego ostrzeżenia, jakiego rodzaju magii używamy - odpowiedziała Hermiona.

- Co daje nam chwilową przewagę.

- Odpowiedź skopiowana prawie co do słowa ze *Standardowej Księgi Zaklęć, Tom 6* - stwierdził lekceważąco Snape (w rogu sali zachichotał Malfoy) - ale ogólnie prawidłowa. Tak, ci którzy potrafią czynić magię bez wykrzykiwania inkantacji, zyskują element zaskoczenia. Oczywiście, nie każdy czarodziej to potrafi. Jest to kwestia koncentracji i potęgi umysłu, której niektórzy - zatrzymał złośliwie wzrok na Harrym - nie posiadają.

Chłopak wiedział, że Snape miał na myśli ich fatalne lekcje oklumencji z zeszłego roku. Nie odwrócił wzroku, ale wpatrywał się w Snape'a, aż ten spojrzal gdzie indziej.

- Teraz dobierzcie się w pary - mówił dalej nauczyciel

- jedno z was będzie starało się rzucić zaklęcie na partnera, *nie odzywając się*. Drugie będzie próbowało odbić je *tak samo cicho*. Zaczynajcie.

Chociaż Snape o tym nie wiedział, Harry nauczył przynajmniej połowę klasy (każdego z członków GD), jak wyczarować tarczę. Jednak żadne z nich nigdy nie robiło tego bezgłośnie. Sporo osób oszukiwało, wielu po prostu szeptało inkantację, zamiast wymawiać ją na głos. Jak zwykle, po dziesięciu minutach lekcji Hermiona zdołała odbić wymamrotaną przez Neville'a kłutwę galaretowatych nóg, nie wymawiając przy tym ani słowa, za co każdy rozsądny nauczyciel nagrodziłby Gryffindor dwudziestoma punktami, jak pomyślał gorzko Harry, ale Snape zignorował to zupełnie. Chodził między uczniami, sprawiając - jak zwykle - wrażenie przerośniętego nietoperza. Zatrzymał się na dłużej przy Harrym i Ronie, próbujących poradzić sobie z ćwiczeniem.

Ron, mający za zadanie rzucić zaklęcie na Harry'ego, był czerwony na twarzy, zaciskał mocno usta, aby powstrzymać się przed pokusą wyszeptania słów. Harry

trzymał różdżkę podniesioną, czekając z niecierpliwością, by odbić zaklęcie, lecz wyglądało na to, że nigdy nie zostanie rzucone.

- Żalotne, Weasley - stwierdził po chwili Snape.

- Czekaj... pokażę ci...

Zwrócił różdżkę na Harry'ego tak szybko, że chłopak zareagował instynktownie, zupełnie zapominając o bezgłośnych zaklęciach.

- *Protego!* - wykrzyknął.

Jego tarcza była tak silna, że Snape stracił równowagę i uderzył o biurko. Cała klasa odwróciła się i patrzyła, jak nauczyciel prostuje się, marszcząc czoło.

- Pamiętasz, Potter, jak mówiłem, że ćwiczymy *bezgłośne* zaklęcia?

- Tak - odparł sztywno Harry.

- Tak, *proszę pana*.

- Nie musi profesor mówić do mnie *proszę pana*.

Słowa wymknęły mu się, zanim zorientował się, co mówi. Kilka osób głośno chwyciło powietrze, między nimi Hermiona. Jednak za Snape'em Ron, Dean i Seamus uśmiechali się szeroko z aprobatą.

- Szlaban, sobota wieczór, mój gabinet - powiedział Snape. - Nikt nie będzie mi pyskować, Potter... nawet *Wybraniec*.

- To było genialne, Harry! - wykrzyknął Ron, kiedy już bezpiecznie szli na przerwę, jakiś czas później.

- Naprawdę nie powinieneś tego mówić - stwierdziła Hermiona, marszcząc czoło i zerkając na Rona.

- Czemu to zrobiłeś?

- Próbowałem rzucić na mnie klątwę, jeśli nie zauważyłaś!

- odparł Harry, kipiąc ze złości. - Miałem tego dosyć podczas lekcji oklumencji! Czemu dla odmiany nie znajdzie sobie innego królika doświadczalnego? A co w ogóle myślał Dumbledore, pozwalając mu uczyć obrony? Słyszeliście, jak mówił o czarnej magii? Kocha ją! Wszystko to o *niestałości, nieopisywalności*...

- No cóż - odpowiedziała Hermiona. - Pomyślałam, że mówił nieco jak ty.

- Jak *ja*?

- Tak, kiedy opowiadałeś nam o tym, jak to jest

zmierzyć się z Voldemortem. Powiedziałeś, że nie chodziło tylko o wykute na pamięć zaklęcia, powiedziałeś, że byłeś tylko ty, twój umysł i hart ducha - no cóż, czy nie to właśnie mówił Snape? Że wszystko sprowadza się do odwagi i szybkiego myślenia?

Harry czuł się tak rozbrojony tym, że uważała jego słowa za tak samo warte zapamiętania, jak te ze *Standardowej Księgi Zaklęć*, że się nie klócił.

- Harry, hej, Harry!

Harry rozejrzał się. Jack Sloper, jeden z palkarzy z zeszłorocznej drużyny Gryfonów, biegł w jego stronę z pergaminem w dłoni.

- Dla ciebie - wydyszał Sloper. - Słuchaj, słyszałem, że jesteś nowym kapitanem. Kiedy będą kwalifikacje?

- Jeszcze nie wiem - odparł Harry, myśląc, że Sloper musiałby mieć duże szczęście, aby utrzymać się w drużynie. - Dam ci znać.

- Och, jasne. Miałem nadzieję, że będzie to w ten weekend...

Ale Harry już nie słuchał, rozpoznał wąskie, pochyle pismo na pergaminie. Zostawiając Slopera w połowie zdania, odszedł z Ronem i Hermioną, po drodze rozwijając list.

Drogi Harry,

Chciałbym zacząć nasze prywatne lekcje w sobotę. Przyjdź do mojego gabinetu o ósmej wieczorem. Mam nadzieję, że miło spędzasz pierwszy dzień szkoły.

Z pozdrowieniami,

Albus Dumbledore

PS Lubię musy cytrusy.

- Lubi musy cytrusy? - spytał po przeczytaniu listu przez ramię Harry'ego skonsternowany Ron.

- To hasło, aby przejść koło chimery broniącej wejścia do jego gabinetu - odpowiedział cicho Harry. - Ha! Snape nie będzie zadowolony... Nie będę mógł odpracować jego szlabanu!

Harry, Ron i Hermiona spędzili resztę przerwy, zastanawiając się, czego Dumbledore będzie uczyć

Harry'ego. Ron myślał, że najpewniej będą to spektakularne klątwy i zaklęcia, których nie będą znali śmierciożercy. Hermione stwierdziła, że takie rzeczy są nielegalne i że dużo bardziej prawdopodobnym jest, iż dyrektor chciał nauczyć go zaawansowanej magii obronnej. Po przerwie Hermione poszła na numerologię, a Harry i Ron wrócili do pokoju wspólnego, gdzie niechętnie zaczęli odrabiać pracę domową zadaną przez Snape'a. Okazało się to tak skomplikowane, że nie skończyli jeszcze, gdy Hermione dołączyła do nich podczas ich poobiedniego czasu wolnego (choć jej obecność znacząco przyspieszyła już pracę). Właśnie skończyli, kiedy zadzwonił dzwonek na popołudniowe podwójne eliksiry, i pobiegli znajomą drogą na dół, do klasy w lochach, która tak długo należała do Snape'a.

Kiedy dotarli na korytarz, zobaczyli, że tylko tuzin osób kontynuuje przedmiot na poziomie owutemów. Crabbe i Goyle najwyraźniej nie zdołali zdobyć odpowiednich sumów, ale udało się to czworgu Ślizgonom, włącznie z Malfoyem. Było też czworo Krukonów i jeden Puchon, Ernie Macmillan, którego Harry lubił, pomimo jego raczej pompatycznego zachowania.

- Harry - powiedział zarozumiale Ernie, wyciągając do Harry'ego dłoń, gdy ten podszedł - nie mieliśmy okazji porozmawiać rano podczas obrony przed czarną magią. Dobra lekcja, moim zdaniem, ale tarcza to, oczywiście, nic nowego dla nas, tych z GD... Jak się macie, Ron, Hermione?

Zanim zdążyli powiedzieć coś więcej niż "dobrze", drzwi do lochu otworzyły się i wysunął się przez nie najpierw brzuch, a potem reszta Slughorna. Kiedy wchodzili do klasy, wielkie, sumiaste wąsy nauczyciela zwinęły się ponad uśmiechniętymi ustami i profesor przywitał Harry'ego i Zabiniego ze szczególnym entuzjazmem.

Loch był już, o dziwo, pełen oparów i starych zapachów. Harry, Ron i Hermione wachali z zainteresowaniem buzujące kociołki, obok których

przechodzili. Czworo Ślizgonów zajęło razem jeden stół, tak jak czwórka Krukonów, więc Harry, Ron i Hermiona musieli dzielić biurko z Erniem. Wybrali znajdujący się najbliżej kociołka w kolorze złotym, z którego wydobywała się najbardziej uwodzicielska woń, jaką Harry kiedykolwiek czuł: przypominała mu naraz placek z melasą, zapach drewnianego uchwyty miotły i czegoś kwiatowego, co chyba kiedyś czuł w Norze. Zauważył, że oddycha wolno i głęboko, a opary wypełniają go niby drink. Poczł ogromne zadowolenie. Uśmiechnął się szeroko do Rona, który odpowiedział mu leniwym uśmiechem.

- A teraz, teraz, teraz - odezwał się Slughorn. Jego ogromna sylwetka drgała poprzez błyszczące opary.

- Wyjmijcie wszyscy szale, wagi i zestawy do eliksirów. I nie zapomnijcie o *Warzeniu eliksirów dla zaawansowanych...*

- Proszę pana? - powiedział Harry, unosząc rękę.

- Tak, Harry, mój chłopcze?

- Nie mam książki ani szalek, ani niczego - Ron też nie ma - nie wiedzieliśmy, że będziemy mogli kontynuować naukę...

- Ach, tak, profesor McGonagall wspominała o tym... Nie martw się, mój chłopcze, nie martw się. Dzisiaj możecie korzystać z ingrediencji z szafy, i jestem pewny, że możemy wam pożyczyć jakieś szale. Mam też tutaj kilka starych książek, będą musiały wystarczyć do czasu, kiedy napiszecie do *Esów i Floresów...*

Slughorn podszedł do szafy stojącej w rogu i po chwili wrócił z dwiema zużytymi egzemplarzami *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych* autorstwa Libatiusa Borage'a, które podał chłopakom wraz z dwoma zestawami poplamionych szalek.

- A teraz - powiedział Slughorn, wracając na przód sali i wypinając już i tak ogromną pierś, aż guziki w jego kamizelce o mało nie powystrzelały - przygotowałem dla was kilka eliksirów, przyjrzyjcie się im, tak z ciekawości. Takiego rodzaju mikstury powinniście być w stanie uwarzyć po ukończeniu owutemów. Pewnie o nich słyszeliście, nawet jeśli ich jeszcze nie robiliście.

Czy ktoś może mi powiedzieć, co znajduje się w tym kociołku?

Wskazał na stojący najbliżej Ślizgonów. Harry uniósł się nieco z krzesła i zobaczył coś, co wyglądało jak zwyczajna, wrząca woda.

Hermiona, dobrze wyćwiczonym ruchem, uniosła jako pierwsza dłoń w powietrze. Slughorn wskazał na nią.

- To veritaserum, bezbarwny, bezwonny eliksir, który zmusza tego, kto go wypije, do mówienia prawdy - powiedziała Hermiona.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze! - odparł wesóło Slughorn. - A teraz - kontynuował wskazując na kociołek stojący koło Krukonów - ten tutaj jest raczej powszechnie znany... wspomniany ostatnio na kilku ulotkach, które rozsyła ministerstwo... Kto może...?

Dłoń Hermiony raz jeszcze była najszybsza.

- To eliksir wielosokowy, profesorze - powiedziała.

Harry też rozpoznał mulistą substancję, powoli wrząca w drugim kociołku, ale nie miał Hermionie za złe, że otrzymała punkty za odpowiedź. To w końcu ona uwarzyła ten eliksir, będąc w drugiej klasie.

- Wyśmienicie, wyśmienicie! A teraz ten... Tak, moja droga? - powiedział Slughorn, patrząc z rozbawieniem, jak ręka Hermiony ponownie wystrzeliła w górę.

- To Amortentia!

- Zgadza się. Aż głupio pytać - kontynuował profesor, któremu Hermiona najwyraźniej zaimponowała

- ale podejrzewam, że wiesz, co on robi?

- To najsilniejszy eliksir miłosny na ziemi! - odparła dziewczyna.

- Dokładnie! Rozpoznałaś go, jak podejrzewam, po jego osobliwym perłowym połysku?

- I po tym, że para unosi się po charakterystycznej spirali - dodała z entuzjazmem. - Dodatkowo powinien mieć inny zapach dla każdego z nas, zależnie od tego, co kogo pociąga, ja czuję świeżo ściętą trawę i nowy pergamin, i...

Ale zaczerwieniła się i nie dokończyła zdania.

- Mogę się dowiedzieć, jak masz na imię, moja droga? - zapytał nauczyciel, ignorując zakłopotanie Hermiony.

- Hermiona Granger, proszę pana.
- Granger? Granger? Czy nie jesteś przypadkiem spokrewniona z Hektorem Dagworth-Grangerem, założycielem Najbardziej Niesamowitego Stowarzyszenia Warzycieli?

- Nie, nie sędzę, profesorze. Jestem pochodzenie mugolskiego.

Harry zobaczył, jak Malfoy pochyła się bliżej Notta i coś szepcze. Obaj zachichotali, ale Slughorn nie okazał pogardy, wręcz odwrotnie, uśmiechnął się i przesunął wzrok z Hermiony na siedzącego obok niej Harry'ego.

- Aha! *Moja najlepsza przyjaciółka pochodzi z mugolskiej rodziny. I jest najlepsza na roku.* Podejrzewam, że to właśnie o niej mówileś, Harry?

- Tak, proszę pana - odparł chłopak.

- No, no, dwadzieścia dobrze zasłużonych punktów dla Gryffindoru, panno Granger - powiedział dobrodusznie nauczyciel.

Malfoy miał taką minę jak wtedy, kiedy Hermiona uderzyła go w twarz. Dziewczyna odwróciła się rozpromieniona do Harry'ego.

- Naprawdę mu powiedziałaś, że jestem najlepsza na roku? - wyszeptala. - Och, Harry!

- A co w tym takiego niesamowitego? - szepnął podirytowany Ron. - *Jesteś* najlepsza na roku, powiedziałbym mu to, gdyby mnie spytał!

Hermiona uśmiechnęła się, ale uciszyła go, aby mogli usłyszeć, co mówi Slughorn. Ron wyglądał na niezadowolonego.

- Oczywiście, Amortentia, tak naprawdę, nie tworzy *miłości*. Nie jest możliwym wytworzenie czy imitowanie uczucia. Nie... On tylko powoduje silną namiętność lub obsesję. Jest to, najprawdopodobniej, najbardziej niebezpieczny i potężny eliksir w tej sali, och tak - powiedział profesor, kiwając ponuro głową w stronę Malfoya i Notta, którzy uśmiechali się sceptycznie.

- Kiedy przeżyjecie tyle co ja, przestaniecie pogardzać potęgą obsesyjnej miłości...

- A teraz - rzekł Slughorn - czas rozpocząć pracę.

- Proszę pana, nie powiedział nam pan, co znajduje się

w tym ostatnim - powiedział Ernie Macmillan, wskazując na mały, czarny kociołek, stojący na stole nauczyciela. Elixir znajdujący się w nim bulgotał wesoło. Był w kolorze płynnego złota, duże krople wyskakiwały ponad powierzchnię niczym złote rybki, ale ani jedna z nich nie wyleciała poza obręb naczynia.

- Oho - ponownie odezwał się Slughorn. Harry był przekonany, że nauczyciel wcale nie zapomniał o eliksirze, ale czekał na pytanie dla dramatycznego efektu. - Tak. To. No cóż, *ten* ciekawy, mały eliksir, panie i panowie, jest nazywany Felix Felicis. Sądzę - odwrócił się z uśmiechem do Hermiony, która głośno wciągnęła powietrze - że wiesz, czym jest Felix Felicis, prawda, panno Granger?

- To płynne szczęście - odparła podekscytowana dziewczyna. - Sprawia, że ma się szczęście!

Cała klasa wyprostowała się. Teraz Harry widział tylko tył głowy Malfoya, bo chłopak, w końcu, skupił całą uwagę na Slughornie.

- Bardzo dobrze, to kolejne dziesięć punktów dla Gryffindoru. Tak, Felix Felicis to dziwny eliksir - rzekł nauczyciel. - Niesamowicie trudny do przygotowania, gdy jest źle uwarzony wywoła katastrofę. Jednak, gdy przyrządzimy go prawidłowo, tak jak ten tutaj, sprawi, że wszystkie wasze starania zakończą się sukcesem... Przynajmniej do chwili, kiedy minie jego działanie.

- Profesorze, czemu ludzie nie piją tego cały czas? - zapytał skwapliwie Terry Boot.

- Ponieważ używany zbyt często, powoduje roztargnienie, ryzykanctwo i zbytnią pewność siebie - odparł Slughorn. - Wiedzie, zbyt dużo dobrego... Bardzo toksyczne w dużych ilościach. Ale brane oszczędnie i bardzo rzadko...

- Czy pan go kiedyś brał? - zapytał bardzo zaciekawiony Michael Corner.

- Dwukrotnie w życiu - odpowiedział nauczyciel.

- Pierwszy raz, gdy miałem dwadzieścia cztery lata, drugi gdy miałem pięćdziesiąt siedem. Dwie łyżki stołowe podczas śniadania. Dwa perfekcyjne dni.

Zapatrzył się rozmarzony w dal. Harry pomyślał, że

niezależnie od tego, czy udawał czy nie, efekt był dobry.

- I to - powiedział Slughorn, najwyraźniej wracając do rzeczywistości - zaoferuję jako nagrodę za dzisiejszą pracę.

Zaległa taka cisza, że każde bulgotanie otaczających ich eliksirów wydawało się dziesięć razy głośniejsze.

- Jedną małą buteleczkę Felix Felicis - kontynuował nauczyciel wyjmując z kieszeni miniaturową, zakorkowaną fiolkę i pokazując ją wszystkim.

- Wystarczy na dwanaście godzin szczęścia. Od świtu do zmierzchu będziecie mieć szczęście we wszystkim, co będziecie robić.

- Muszę was jednak ostrzec, że nie można go używać podczas zorganizowanych zawodów... Na przykład w sporcie, podczas egzaminów czy wyborów. Zatem zwycięzca może użyć *szczęścia* tylko w zwyczajny dzień i patrzeć, jak ten przeciętny dzień staje się wyjątkowy!

- Zatem - powiedział nagle pełen energii Slughorn - jak możecie wygrać moją wspaniałą nagrodę? No cóż, poprzez otwarcie *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych*. Mamy jeszcze trochę ponad godzinę, co powinno wam wystarczyć na porządną próbę Żywej Śmierci. Wiem, że jest to bardziej skomplikowane niż cokolwiek, co dotąd robiliście, i nie oczekuję od was perfekcyjnego wywaru. Jednak ten, kto zrobi go najlepiej, wygra ten mały Felix Felicis. Do pracy!

Rozległ się szelest, kiedy każdy przysunął do siebie swój kociołek, i głośnie stukanie, kiedy uczniowie zaczęli dokładać ciężary na szalki wag, ale nikt się nie odezwał. Harry zobaczył, jak Malfoy przekartkowuje gorączkowo swój egzemplarz podręcznika. Malfoy nie mógł jaśniej pokazać, jak bardzo chce tego szczęśliwego dnia. Harry pochylił się nad poplamioną książką, którą pożyczył mu Slughorn.

Ku swojej irytacji zobaczył, że poprzedni właściciel popisał na stronach i marginesy był tak samo czarne, jak zadrukowana część. Pochylając się nisko nad listą składników (nawet tutaj poprzedni właściciel dopisał uwagi i powykreślał niektóre rzeczy), Harry pośpieszył

do schowka z ingrediencjami, aby znaleźć wszystko, czego będzie potrzebować. Kiedy powrócił na swoje stanowisko, zobaczył, jak Malfoy szybko tnie korzenie waleriany.

Każdy rozglądał się wkoło, patrząc, co robi reszta. Zarówno zaletą, jak i wadą eliksirów było to, że trudno było zachować swoją pracę tylko dla siebie. Po dziesięciu minutach całe pomieszczenie było pełne sinawych oparów. Oczywiście, wyglądało na to, że Hermiona dokonała największych postępów w pracy. Jej mikstura przypominała "jednorodną substancję o kolorze czarnej porzeczki", która według podręcznika wskazywała dokładnie połowę procesu warzenia.

Po skończeniu siekania korzeni, Harry znowu pochylił się nisko nad książką. Naprawdę irytujące było próbowanie rozszyfrowania listy wskazówek spod głupich dopisków poprzedniego właściciela książki, który z jakiegoś powodu zmienił sposób cięcia ziaren *sopofora* i spisał alternatywną instrukcję:

Zmiażdż płaską stroną srebrnego sztyletu, sok wydobywa się lepiej niż przy pocięciu.

- Profesorze, myślę, że znał pan mojego dziadka, Abraxasa Malfoya?

Harry podniósł wzrok, Slughorn przechodził właśnie koło stołu Ślizgonów.

- Tak - odparł nauczyciel, nie patrząc na chłopaka

- przykro mi było usłyszeć, że zmarł, chociaż oczywiście nie było to niespodzianką, smocza ospa w jego wieku...

I poszedł dalej. Harry z uśmiechem na twarzy pochylił się nad swoim kociolkiem. Wiedział, że Malfoy spodziewał się traktowania takiego, jakie otrzymywali Harry czy Zabini. Może nawet oczekiwał takich przywilejów, jakie miał u Snape'a. Wyglądało na to, że jeśli chciał wygrać butelkę Felix Felicis, będzie musiał polegać tylko na swoim talencie.

Ziarna *sopofora* okazały się bardzo trudne do pocięcia.

Harry odwrócił się do Hermiony.

- Mogę pożyczyć twój srebrny nóż?

Przytaknęła niecierpliwie, nie odwracając wzroku od

swojej mikstury koloru purpurowego, która według książki powinna przyjąć teraz liliowy odcień.

Harry zmiażdżył swoje ziarna płaską stroną sztyletu. Ku jego zaskoczeniu natychmiast wypłynęło tyle soku, że trudno było uwierzyć, iż mogło się go tyle w nich pomieścić. Szybko dorzucił to do kociołka i zobaczył, że eliksir natychmiast zmienił kolor na opisany w podręczniku liliowy.

Irytacja na poprzedniego właściciela natychmiast wyparowała i Harry spojrział na następną linijkę instrukcji. Zgodnie z książką powinien mieszać substancję przeciwnie do ruchu wskazówek zegara do chwili, kiedy będzie przezroczysta jak woda. Jednak według dopisanej uwagi po każdym siedmiu mieszaniach przeciwnie do zegara powinien dodać jedno w drugą stronę. Czy stary właściciel mógł mieć ponownie rację?

Harry zamieszał w lewo, wstrzymał oddech i zamieszał w prawo. Efekt był natychmiastowy. Elixsír stał się lekko różowy.

- Jak to zrobiłeś? - zapytała niecierpliwie Hermiona, twarz miała czerwoną, a włosy coraz bardziej poplątane przez opary znad kociołka. Jej mikstura nadal miała barwę purpurową.

- Zamieszaj w stronę zgodną z ruchem wskazówek zegara...

- Nie, nie, książka mówi przeciwnie do ruchu wskazówek! - warknęła.

Harry wzruszył ramionami i powrócił do pracy. Siedem w lewo, jedno w prawo, przerwa... Siedem w lewo, jedno prawo...

Po drugiej stronie stołu Ron przeklinał gwałtownie pod nosem. Jego eliksír miał kolor płynnej lukrecji. Harry rozejrzał się. Z tego co widział, nikt nie miał wywaru tak jasnego jak on. Czuł podniecenie, coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło w tych lochach.

- I... koniec czasu! - zawołał Slughorn. - Koniec mieszania, proszę!

Nauczyciel przesuwiał się powoli wzdłuż stołów, zaglądając do kociołków. Nie komentował, ale czasami

zamieszał albo powąchał miksturę. W końcu doszedł do biurka, gdzie siedzieli Harry, Ron, Hermiona i Ernie. Uśmiechnął się smutno, patrząc na smołowate coś w kociołku Rona, przeszedł obok granatowej substancji Erniego. Na eliksir Hermiony kiwnął z aprobatą. Wtedy zobaczył efekt pracy Harry'ego i uśmiechnął się niezwykle zadowolony.

- Zdecydowany zwycięzca! - zawołał na cały loch.

- Wspaniale, wspaniale, Harry! Dobry Boże, z całą pewnością odziedziczyłeś talent po matce, Lily miała rękę do eliksirów, o tak! Proszę bardzo, w takim razie, proszę bardzo - jedna buteleczka Felix Felicis, tak jak obiecałem, dobrze ją wykorzystaj!

Harry wsunął małą fiolkę złotego płynu do kieszeni wewnętrznej, czując dziwną kombinację radości na widok wściekłych min Ślizgonów i poczucia winy z powodu zawodu na twarzy Hermiony. Ron wyglądał na oniemiałego.

- Jak to zrobiłeś? - wyszeptał do Harry'ego, kiedy wyszli z lochu.

- Chyba po prostu miałem szczęście - odparł Harry, ponieważ Malfoy znajdował się w zasięgu słuchu.

Kiedy już siedzieli bezpiecznie podczas obiadu przy stole Gryfonów, poczuł, że teraz może im powiedzieć. Twarz Hermiony z każdym jego słowem stawała się coraz bardziej surowa.

- Pewnie uważasz, że oszukiwałem? - zakończył zdenerwowany jej miną.

- No cóż, to nie była do końca samodzielna praca, nie? - odparła sztywno.

- Korzystał z innych instrukcji niż my - powiedział Ron. - Mogła nastąpić katastrofa, nie? Ale zaryzykował i mu się udało. - Westchnął. - Slughorn mógł podać tę książkę mi, ale na mojej nikt nic nie pisał. Obrzygał trochę, patrząc na stronę pięćdziesiątą drugą, ale...

- Czekał no - odezwał się głos blisko lewego ucha Harry'ego i chłopak nagle poczuł ten sam kwiatowy zapach, jaki wyczuł w lochach Slughorna. Rozejrzał się i zobaczył, że dołączyła do nich Ginny. - Dobrze słyszałam, Harry? Robiłeś to, co napisał ktoś w

książce?

- Tylko skorzystałem z kilku wskazówek zapisanych na marginesie, naprawdę, Ginny, nie ma w tym nic nadzwyczajnego...

- Ginny ma rację - powiedziała Hermiona, natychmiast odyskując animusz. - Powinniśmy sprawdzić, czy nie ma w niej nic dziwnego. Te wszystkie dziwaczne instrukcje, kto wie?

- Hej! - krzyknął oburzony Harry, kiedy wyciągnęła z jego torby *Warzenie eliksirów dla zaawansowanych* i uniosła różdżkę.

- *Specialis revelio!* - powiedziała, stukając w okładkę.

Nic się nie stało. Książka dalej leżała na stole, tak samo stara i poplamiona.

- Skończyłaś? - zirytował się Harry. - A może chcesz poczekać i zobaczyć, czy nie zrobi kilku salt?

- Chyba jest w porządku - odparła Hermiona, nadal wpatrując się podejrzliwie w książkę. - Znaczący naprawdę wydaje się być... tylko podręcznikiem.

- Dobrze. Zatem zabiorę ją z powrotem - stwierdził Harry i zdjął ją ze stołu, ale wyslizgnęła mu się z dłoni i upadła otwarta na podłogę.

Nikt nie patrzył. Chłopak schylił się, aby ją podnieść, i zobaczył, że u dołu tylnej okładki napisano coś tym samym małym, ciasnym pismem co instrukcje, dzięki którym wygrał butelkę płynnego szczęścia, teraz bezpiecznie schowaną w skarpetce w jego kufrze.

Ta książka jest własnością Półkrwi Księcia

Tłumaczyła Mirriel



Dom Gauntów

Na kolejnych lekcjach eliksirów Harry korzystał z rad Półkrwi Księcia za każdym razem, kiedy różniły się od tych, które zamieszczał w książce Libatius Borage. Skutkiem tego już na czwartej lekcji Slughorn rozplrywał się nad jego zdolnościami twierdząc, że dawno nie uczył kogoś tak utalentowanego. Ani Ronowi, ani Hermionie wcale się to nie podobało, choć Harry niejednokrotnie proponował, żeby robili to samo. Ron miał jednak o wiele większe problemy z odcyfrowaniem notatek Księcia niż Harry, a przecież nie mógł za każdym razem prosić Harry'ego o głośne odpowiedzi, bo byłoby to jednak zbyt podejrzane. Natomiast Hermiona uparcie brnęła przez – jak je nazywała – *oficjalne* receptury i stawiała się coraz bardziej zła, gdy dawały gorsze rezultaty, niż *nieoficjalne* instrukcje Księcia. Harry zastanawiał się mimochodem, kim był Półkrwi Książę. Chociaż ilość zadawanych im prac domowych skutecznie przeszkadzała w przeczytaniu całego

Warzenia eliksirów dla zaawansowanych, przejrzał książkę na tyle dokładnie, by wiedzieć, że prawie nie było strony, na której Książę nie zamieściłby dodatkowych notatek, dotyczących już nie tylko samych eliksirów. Tu i ówdzie zdarzały się zapiski wyglądające jak zaklęcia, które Książę wymyślił sam.

- Albo sama – wtrąciła zirytowana Hermiona, przysłuchująca się, jak w sobotni wieczór w pokoju wspólnym Harry dzieli się tymi spostrzeżeniami z Ronem. – Równie dobrze, to mogła być dziewczyna. I pismo też wygląda bardziej na pismo kobiety niż mężczyzny.

- Nazywano go Półkrwi *Księciem* – odparł Harry.

- Ile dziewczyn zwano „Książętami”?

Zdawało się, że Hermiona nie ma na to odpowiedzi, bo zmarszczyła tylko brwi i odsunęła swoje wypracowanie na temat zasad rematerializacji spoza zasięgu wzroku Rona, który usiłował je przeczytać do góry nogami.

Harry spojrzął na zegarek i szybko wepchnął stary egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych* do torby.

- Za pięć ósma, lepiej już pójdę, bo się spóźnię do Dumbledore'a.

- O! – zawołała Hermiona. – Powodzenia, Harry! Poczekamy na ciebie, ciekawe, czego będzie cię uczył!

- Mam nadzieję, że będzie OK – dodał Ron i razem z Hermioną popatrzyli za nim, kiedy wychodził przez dziurę w portrecie.

Harry szedł przez puste korytarze, tylko raz musiał nagle uskokczyć za jakiś posąg, gdy Profesor Trelawney pojawiła się znienacka zza zakrętu, mamrocząc do siebie i tasując bardzo już zniszczoną talię kart. Idąc, czytała z nich, nie zwracając uwagi na otoczenie.

- Dwójka pik: konflikt – mruczała, mijając miejsce, w którym przycałił się Harry. – Siódemka pik: zły omen. Dziesiątka pik: przemoc. Walet pik: czarnowłosy młodzieniec, zapewne w tarapatach, który nie lubi pytającego...

Zatrzymała się jak wryta, po drugiej stronie posągu.

- Nie, to nie może być prawda – prychnęła nagle

rozniewana i Harry usłyszał, jak niecierpliwie tasuje karty i odchodzi, zostawiając za sobą delikatną woń taniej sherry. Odczekał chwilę, aż był pewny, że Trelawney sobie poszła, po czym znów pobiegł aż do tego miejsca w korytarzu na siódmym piętrze, gdzie samotna chimera stała przy ścianie.

- Musy cytrusy – powiedział Harry i chimera odskoczyła ukazując ruchomą klatkę schodową. Harry wstąpił na pierwszy schodek i dał się ponieść łagodną spiralą do drzwi prowadzących do gabinetu Dumbledore'a. Zapukał.

- Proszę wejść – rozległ się głos Dumbledore'a.

- Dobry wieczór, panie profesorze – powiedział Harry, wchodząc do gabinetu dyrektora.

- O, dobry wieczór, Harry. Usiądź – uśmiechnął się do niego Dumbledore. – Mam nadzieję, że pierwszy tydzień w szkole był udany?

- Tak, dziękuję, profesorze.

- Widzę, że byłeś zajęty, skoro już masz szlaban na koncie!

- Ja... – zaczął Harry z zakłopotaniem, ale Dumbledore wcale nie miał zbyt surowej miny.

- Uzgodniłem z profesorem Snape'em, że odpracujesz ten szlaban w przyszłą sobotę.

- Dobrze – zgodził się Harry, któremu szlaban u Snape'a wydawał się teraz wyjątkowo nieistotną rzeczą. Rozglądał się po pokoju w poszukiwaniu najmniejszej wskazówki, co też Dumbledore planuje z nim ćwiczyć dziś wieczór. Okrągły gabinet nic się nie zmienił. Delikatne, srebrne instrumenty stały na stolikach o pajęczych nóżkach, pykając i brzęcząc, portrety byłych dyrektorów i dyrektorek drzemaly sobie w swoich ramach, a wspaniały feniks Dumbledore'a, Fawkes, siedział na swoim miejscu, przyglądając się Harry'emu z zainteresowaniem. Nic nie wskazywało, że Dumbledore zamierza uczyć go pojedynków.

- Zatem, Harry – zaczął Dumbledore rzeczowo.

- Zastanawiasz się zapewne, czego zamierzam cię uczyć w czasie naszych – nazwijmy to – lekcji?

- Tak, panie profesorze.

- Cóż, postanowiłem, że nadszedł czas, byś – teraz, gdy już wiesz, co popchnęło Lorda Voldemorta do ataku na ciebie piętnaście lat temu – poznał pewne dalsze informacje.

Zapadła cisza.

- Przecież podobno ostatnim razem powiedział mi pan wszystko – rzekł Harry, a w jego głosie przebijały oskarżycielskie tony. – Profesorze – dodał.

- I tak zrobiłem – odparł Dumbledore łagodnie.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem. Od tej chwili opuszczamy pewny grunt faktów i rozpoczynamy wspólną podróż przez zwodnicze moczary wspomnień, aż po niezbadane odmęty spekulacji. Od tego momentu, Harry, mogę się mylić równie żałośnie, jak niejaki Humphrey Belcher, który uważał, że nastąpiła era serowych kociołków.

- Ale uważa pan, że ma rację?

- Oczywiście, że tak, ale jak już zdołałem ci udowodnić, ja też popełniam błędy, jak każdy inny. Po prawdzie, jako że jestem – wybac mi brak skromności – nieco mądrzejszy niż większość ludzi, moje błędy są przez to odpowiednio poważniejsze.

- Panie profesorze – podjął Harry niepewnie. – Czy to, co chce mi pan powiedzieć, ma coś wspólnego z przepowiednią? Czy to pomoże mi... przeżyć?

- To ma mnóstwo wspólnego z przepowiednią – Głos Dumbledore'a był tak swobodny, jakby Harry pytał go o prognozę pogody na jutro. – I mam wielką i szczerą nadzieję, że to pozwoli ci przeżyć.

Dyrektor wstał i obszedł biurko mijając Harry'ego, który obrócił się niecierpliwie na krześle, żeby zobaczyć, jak Dumbledore nurkuje w szafie stojącej przy drzwiach. Gdy się stamtąd wynurzył, piastował w objęciach dobrze mu znaną, płaską, kamienną misę ze zdobionym rantem. Postawił myślodsiewnię przed Harrym.

- Wyglądasz na zmartwionego – zauważył.

Rzeczywiście Harry przyglądał się myślodsiewni z obawą. Dotychczasowe doświadczenia z tym przedziwnym przedmiotem, magazynującym i

ujawniającym myśli i wspomnienia, choć wysoce pouczające, były też wyjątkowo nieprzyjemne. Ostatnim razem, gdy naruszył zawartość misy, zobaczył więcej, niż chciał widzieć. Ale Dumbledore się uśmiechał.

- Tym razem wejdiesz do myślodsiewni ze mną... I, co jeszcze bardziej niezwykle, za pozwoleniem.

- Gdzie się wybieramy, panie profesorze?

- Na wycieczkę aleją reminiscencji Boba Ogdena – odparł Dumbledore, wyciągając z kieszeni kryształową flaszkę. Wewnątrz wirowała srebrzystobiała substancja.

- Kim był Bob Ogden?

- Pracował w Departamencie Przestrzegania Prawa. Umarł jakiś czas temu, ale przed śmiercią zdołałem jeszcze znaleźć go i przekonać, by powierzył mi swoje wspomnienia. Będziemy mu towarzyszyć w jednej z wypraw, jaką musiał przedsięwziąć w ramach wykonywania swoich obowiązków. Pozwól, Harry...

Ale dyrektor miał wyraźne problemy z wyciągnięciem koreczka z kryształowej buteleczki, zraniona ręka wydawała się sztywna i obolała.

- Profesorze... Może ja?

- Nieważne, Harry...

Dumbledore machnął różdżką i korek wystrzelił z flaszki.

- Panie profesorze... Jak zranił się pan w rękę? – zapytał ponownie Harry, przyglądając się szerniałym palcom z mieszaniną odrazy i współczucia.

- Nie czas teraz na tę opowieść, Harry. Jeszcze nie teraz. Mamy spotkanie z Bobem Ogdenem.

Dumbledore wlał zawartość buteleczki do kamiennej misy, srebrzysta substancja – ni to ciecz, ni gaz – zaczęła wirować i migotać.

- Ty pierwszy, Harry.

Gestem zaprosił go do myślodsiewni. Harry pochylił się, wziął głęboki oddech i zanurzył twarz w błyszczącej mieszaninie. Poczul, że stopy odrywają mu się od ziemi, spadał, spadał przez wirującą ciemność, aż – całkiem nagle – oślepiło go światło słoneczne.

Zanim oczy Harry'ego oswoiły się z jasnością, Dumbledore wylądował koło niego.

Znajdowali się na wiejskiej drodze, obsadzonej wysokimi, splątanymi krzewami, pod letnim niebem błękitnym jak niezapominajki. Jakies dziesięć stóp od nich stał niski, pulchny człowiek, w nieprawdopodobnie grubych okularach, za którymi jego oczy wydawały się maleńkie niczym u kreta. Czytał właśnie drewniany drogowskaz wystający z jeżyn po lewej stronie drogi. Harry wiedział, że musi to być Ogden, był jedyną postacią w zasięgu wzroku, a poza tym nosił dziwaczny strój, jaki zwykle noszą niedoświadczeni czarodzieje, usiłujący pozować na Mugoli. W tym przypadku był to surdut i getry założone na jednoczęściowy kostium kąpielowy w paski. Zanim Harry miał szansę, by przyjrzeć się dokładniej tej cudacznej postaci, Ogden ruszył rażno drogą.

Dumbledore i Harry podążyli za nim. Mijając drogowskaz Harry spojrzal na drewniane ramiona. Jedno wskazywało kierunek, z którego przyszli, a napis głosił *Great Hangleton, 5 mil.* Strzałka w przeciwnym kierunku opatrzona była inskrypcją *Little Hangleton, 1 mila.*

Przez chwilę szli i nie było widać nic poza porastającymi pobocze zaroślami, niebem ponad nimi i niską postacią odzianą w surdut, maszerującą przed nimi. Wreszcie droga skręciła w lewo, dalej prowadząc w dół stromego zbocza, tak że rozpostarł się przed nimi nieoczekiwany widok na całą dolinę. Harry dojrzał wieś, niewątpliwie Little Hangleton, wtuloną między dwa strome zbocza, kościół i cmentarz widoczne były nawet z tej odległości. Po drugiej stronie doliny, na przeciwległym zboczu, stała elegancka rezydencja, otoczona rozległym, wypielęgowanym trawnikiem.

Po drodze w dół zbocza szybki krok Ogdena przeszedł w lekki trucht. Dumbledore przyspieszył, Harry poszedł w jego ślady. Zakładał, że ich celem jest Little Hangleton i zastanawiał się – jak w noc, w którą

odwiedzili Slughorna - dlaczego muszą taki kawał iść pieszo, zamiast się tam po prostu aportować. Wkrótce jednak okazało się, że nie miał racji, wcale nie zmierzali do wsi. Droga skręcała ostro w prawo i gdy minęli zakręt, mignęły im tylko poly Ogdenowego surduta znikające w dziurze w żywopłocie.

Dumbledore i Harry ruszyli za nim wąską ścieżką wśród zarośli, jeszcze wyższych i dzikszych niż te, które obrastały drogę do wsi. Nierówna ścieżka, pełna kamieni i wybojów, schodziła stromo ze wzgórza, wiodąc do małego, ciemnego zagajnika. Parę chwil później dotarli do skraju lasu. Dumbledore i Harry zatrzymali się tuż za Ogdenem, który stanął i wyciągnął różdżkę.

Mimo bezchmurnego nieba stare drzewa rzuciły głęboki, chłodny cień i dopiero po paru sekundach Harry dostrzegł na wpół ukryty w zaroślach budynek. Wydawało mu się to bardzo dziwnym miejscem na dom, jako że rosnące wokół drzewa zasłaniały światło i widok na dolinę poniżej. Zastanawiał się, czy ktoś w ogóle tam mieszka; ściany porastał mech, a na dachu brakowało tylu dachówek, że bez trudu można było dojrzeć krokwie. Dookoła bujnie rosły pokrzywy, z czubkami na wysokości parapetów małych, niewiarygodnie brudnych okien. Ledwie jednak zdążył dojść do wniosku, że nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby tu mieszkać, jedno z okien otworzyło się z trzaskiem uwalniając kłęby dymu lub pary, jakby wewnątrz ktoś gotował.

Ogden postąpił do przodu cicho i ostrożnie. Po paru krokach zatrzymał się ponownie, wpatrując się we frontowe drzwi, do których ktoś przybił martwego węża.

Rozległ się szelest i trzask, gdy z najbliższego stojącego drzewa zeskoczył człowiek w lachmanach lądując tuż przed nosem Ogdena, który cofnął się odruchowo, potykając się i przydeptyując poly surduta.

- *Wynos się stąd!*

Stał przed nim mężczyzna o włosach tak brudnych, że nie sposób było określić ich koloru. Brakowało mu

paru zębów, a ciemne, paciorkowate oczy płasły na wszystkie strony w okropnym zezie. Całość jednak nie sprawiała komicznego wrażenia, przeciwnie, efekt był przerażający i Harry wcale nie dziwił się Ogdenowi, który mimowolnie cofnął się parę kroków, zanim zaczął rozmowę.

- Eee... Dzień dobry. Jestem z Ministerstwa Magii...

- *Wynosz się stąd.*

- Przepraszam bardzo, ale nie rozumiem...?

Harry pomyślał w pierwszej chwili, że Ogden jest wyjątkowo tępy, jego zdaniem nieznamy wyrażał się nad wyraz jasno, zważywszy, że na potwierdzenie swoich słów miał w jednej dłoni różdżkę, a w drugiej krótki, zakrwawiony nóż.

- Zapewne go rozumiesz, Harry? – zapytał cicho Dumbledore.

- Oczywiście – odpowiedział Harry lekko zdziwiony.

- A dlaczego Ogden nie...?

W chwili, gdy jego wzrok padł na przybitego na drzwiach węża, zrozumiał.

- On jest wężousty?

- Bardzo dobrze – przytaknął Dumbledore, uśmiechając się lekko.

Mężczyzna ruszył teraz w stronę Ogdena, wciąż trzymając nóż w jednej, a różdżkę w drugiej dłoni.

- Proszę posłuchać... - zaczął Ogden, ale było już za późno, rozległ się huk i Ogden leżał na ziemi, ściskając kurczowo się za nos, a obrzydliwa, żółtawa maź ściekała mu między palcami.

- Morfin! – krzyknął jakiś głos.

Zaawansowany w latach człowiek wybiegł z domku trzaskając drzwiami tak mocno, że martwy wąż zakolysał się żałośnie. Był niższy od tego młodszego i przedziwnie zbudowany, ramiona miał bardzo szerokie, a ręce stosunkowo za długie, co razem z jasnobrazowymi oczami, krótkimi, potarganymi włosami i pełną zmarszczek twarzą nadawało mu wygląd potężnej, choć starej małpy. Stał za mężczyzną z nożem, który teraz rechotał wpatrując się w leżącego na ziemi Ogdena.

- Jesteś pan z Ministerstwa? – zapytał, spoglądając w dół.

- Tak! – odparł Ogden gniewnie, ocierając twarz.

- A pan, jak sądzę, to pan Gaunt?

- Tajest. Trafił pana w twarz?

- Owszem! – warknął Ogden.

- Powinieneś pan uprzedzić, że się zjawisz – rzucił Gaunt napastliwie. – To prywatna posiadłość. Nie możesz pan tak wleźć i dziwić się, że mój syn się bronil.

- Bronił się przed czym, dobry człowieku? – spytał Ogden, wstając niezgrabnie.

- Ciekawskimi. Intruzami. Mugolami i całą tą hołotą.

Ogden wycelował różdżką we własny nos, w jednej chwili przestała wreszcie z niego ciec żółtawa, ropopodobna maź. Tymczasem Gaunt zwrócił się do Morfina, szepcząc kącikiem ust:

- *Do domu. I bez dyskusji.*

Tym razem Harry rozpoznał mowę węzów, rozumiał, co zostało powiedziane, ale wyodrębnił też dziwny syk, który słyszał Ogden. Morfin miał zamiar się sprzeciwić, ale pod wpływem gniewnego spojrzenia ojca najwyraźniej zmienił zdanie i powlókł się do domku, trzaskając drzwiami. Wąż znów zakolysał się żałośnie.

- Rozumiem, że to pański syn? – zapytał Ogden, usuwając z surduta ostatnie ropne ślady. – To był Morfin, prawda?

- Tak, to był Morfin – odrzekł starzec obojętnie.

- Jesteś pan czystej krwi? – rzucił agresywnie.

- To nie ma nic do rzeczy – odparł Ogden zimno i Harry poczuł dla niego nagły szacunek. Najwyraźniej jednak Gaunt nie podzielał tej opinii. Przyjrzał się twarzy Ogdena mrużąc oczy i wymamrotał wyjątkowo obelżywym tonem:

- Jak się dobrze zastanowić, to powiedziałbym, że takie nosy jak pański widywałem już we wsi...

- Nie wątpię. Zwłaszcza, jeśli wcześniej Morfin miał z nimi styczność. Może będziemy kontynuować tę rozmowę wewnątrz?

- Wewnątrz?
- Tak, panie Gaunt. Jak mówiłem, jestem tu z powodu Morfina. Wysłał mi pan sowę...
- Nie używam sów – przerwał mu Gaunt. – Nie otwieram listów.
- To niech pan później nie narzeka, że nikt pana nie uprzedza o swoim przybyciu – podsumował Ogden ostro. – Powodem mojego przybycia jest poważne naruszenie czarodziejskiego prawa, które miało miejsce dziś we wczesnych godzinach porannych...
- No dobrze, już dobrze! – wrzasnął Gaunt. – Wchodź pan do tego cholernego domu, ciekawe, co panu z tego przyjdzie!

Najwyraźniej dom składał się z trzech małych pokoi. Dwoje drzwi prowadziło z głównego pomieszczenia, które służyło jako kuchnia i salon. Morfin siedział w brudnym fotelu przy kopcącym kominku, bawiąc się żywą żmiją, która wila się między jego grubymi palcami, i nucąc w mowie węzów:

*Syku, syku, mój wężyku
Wij się grzecznie wij,
Bo wuj Morfin cię przybije
Gwoździkiem do drzwi!*

Z kąta po drugiej stronie dobiegło prychnięcie i dopiero w tej chwili Harry zdał sobie sprawę, że w pokoju był ktoś jeszcze, dziewczyna, której obdarta, szara sukienka była dokładnie w kolorze kamiennej ściany, znajdującej się za nią. Stojąc przy brudnym, czarnym piecu, na którym coś się gotowało, przedstawiała odrapane garnki i patelnie stojące na półce ponad nim. Miała ciemne, proste włosy i całkiem pospolitą, bladą twarz o grubych rysach. Jej oczy, jak oczy jej brata, wędrowały we wszystkich kierunkach niezależnie od siebie. Wyglądała nieco czyściej niż pozostali mieszkańcy małego domku, ale i tak Harry pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział tak żałośnie wyglądającej osoby.

- Moja córka Merope – mruknął niechętnie Gaunt,

widząc zaciekawione spojrzenie Odgena.

- Dzień dobry – przywitał się Ogden.

Nie odpowiedziała, spojrzała tylko na ojca przerażonym wzrokiem i odwróciła się szybko z powrotem do pieca i znów zaczęła przestawiać garnki na półce.

- Cóż, panie Gaunt, – Ogden przypomniał sobie, po co tu przyszedł – przechodząc do sedna, mamy podstawy przypuszczać, że pański syn Morfin użył wczoraj późnym wieczorem czarów w obecności mugola.

Rozległ się ogłuszający *brzęk*. Merope upuściła jeden z garnków.

- *Podnieś to!* – wrzasnął na nią Gaunt. – Tak jest, graślaj się po podłodze, jak jakiś cholerny mugol; po co masz różdżkę, ty bezużyteczna kupo gnoju?

- Panie Gaunt, proszę! – wykrzyknął zaszokowany Ogden, a Merope, która właśnie podniosła rondel, zaczerwieniła się strasznie i naczynie znów wypadło jej z rąk. Pośpiesznie wyciągnęła różdżkę trzęsącymi się rękami, wymamrotała niedosłyszalnie jakieś zaklęcie, a garnek wystrzelił spod jej stóp, uderzył w ścianę naprzeciw i pękł na połowy.

Morfin zaniósł się szaleńczym chichotem.

- Zrób z tym coś! – wrzasnął ponownie Gaunt.

- Popraw to, ty beznadziejna tępoto!

Potykając się Merope ruszyła przez pokój, ale zanim zdołała podnieść różdżkę, Ogden wyciągnął swoją i rzekł pewnie *Reparo!*. W okamgnieniu rondel był zreperowany.

Przez moment wydawało się, że Gaunt skrzyczy również i Ogdena, ale widać wpadł na lepszy pomysł, bo w zamian wykrzywił się drwiąco do córki.

- Całe szczęście, że ten miły pan z ministerstwa tu jest, prawda? – szydził. – Może zabierze cię z moich oczu, może nie przeszkadzają mu cholerne charłaki...

Nie oglądając się na nikogo, bez słowa podziękowania pod adresem Odgena, Merope złapała garnek i odstawiła, wciąż trzęsącymi się dłońmi, na swoje miejsce. Potem stanęła sztywno, oparta o ścianę między brudnym oknem a piecem, jakby marzyła

wyłącznie o tym, by wtopić się w kamień i zniknąć.

- Panie Gaunt – podjął Ogden. – Jak już wspominałem, powodem mojego przybycia...

- Słyszałem już! – przerwał mu Gaunt. – I co z tego? Morfin pokazał mugolowi, co go czeka, i co z tego?

- Morfin złamał czarodziejskie prawo – odparł Ogden surowo.

- *Morfin złamał czarodziejskie prawo.* – W ustach Gaunta śpiewna intonacja Ogdena brzmiała pompatycznie i głupkowato. – Dał cholernemu mugolowi nauczkę, to teraz jest nielegalne, czy jak?

- Owszem – rzekł Ogden. - Obawiam się, że jest.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni surduta mały zwitek pergaminu i rozwinął go skrupulatnie.

- A to co? Wyrok? – zapytał Gaunt, podnosząc gniewnie głos.

- To jest wezwanie na przesłuchanie w ministerstwie...

- Wezwanie? *Wezwanie?* Za kogo się pan uważasz, wzywając mojego syna gdziekolwiek?

- Jestem kierownikiem Wydziału w Departamencie Przestrzegania Prawa – odparł spokojnie Ogden.

- A my to niby śmiecie, co? – wrzasnął Gaunt, ruszając na Ogdena, celując w niego brudnym palcem.

– Śmiecie, co to będą tańczyć, jak im Ministerstwo zagra, co? Czy pan wiesz, do kogo mówisz, cholerna szlamo? Wiesz pan?

- Miałem wrażenie, że rozmawiam z panem Gauntem – rzekł Ogden ostrożnie, nie ustępując jednak ani na krok.

- A żebyś pan wiedział! – ryknął Gaunt. Harry'emu wydawało się, że czarodziej obscenicznym, mugolskim gestem daje Ogdenowi do zrozumienia, co o nim sądzi, ale po chwili zorientował się, że Gaunt pokazywał pracownikowi ministerstwa brzydki pierścień z czarnym oczkiem, który nosił na środkowym palcu.

- Widzisz pan? Widzisz to? Wiesz pan, co to jest? Wiesz pan, kto to nosił? Od stuleci jest w naszej rodzinie, tak daleko sięga nasz rodowód! I to najczystsza krew! Wiesz pan, ile mi dawano za ten pierścień, za ten herb Perevellów wryty w kamieniu?

- Nie mam pojęcia – powiedział Ogden, mrużąc oczy za każdym razem, gdy pierścień przelatywał mu o cal od nosa. – I jest mi to całkowicie obojętne. Pański syn popełnił...

Z rykiem wściekłości Gaunt przyskoczył do córki. Przez ułamek sekundy Harry sądził, że staruch zamierza ją udusić, bo złapał ją za gardło, w następnej sekundzie już ciągnął ją w kierunku Ogdena za ciężki, złoty łańcuch, który miała na szyi.

- Widzisz pan? – zawył Gaunt, machając Ogdenowi przed nosem ciężkim, złotym medalionem. Merope tymczasem charczała, usiłując złapać oddech.

- Widzę, widzę!

- *Slytherina!* – huknął Gaunt. – Salazara Slytherina! Jesteśmy jego ostatnimi żyjącymi potomkami, i co pan na to, panie kierownik?

- Panie Gaunt, pańska córka! – krzyknął przestraszony Ogden, ale Gaunt już puścił Merope, która zataczając się uciekła do swojego kąta, masując szyję i oddychając z trudem.

- Widzisz pan! – podsumował triumfalnie Gaunt, jakby właśnie udowodnił coś ponad wszelką wątpliwość. – I nie gadaj pan do nas, jakbyśmy byli błotem na jaśniepańskiej podeszwie. Całe pokolenia czystej krwi, sami czarodzieje. Założę się, żeś pan takiego rodzaju jeszcze nie widział!

Splunął na podłogę wprost pod nogi gościa. Morfin zaniósł się rechotem, Merope, skulona pod oknem, z włosami opadającymi na twarz, nie powiedziała nic.

- Panie Gaunt – podjął Ogden uparcie. – Obawiam się, że ani pańscy przodkowie, ani moi nie mają nic wspólnego ze sprawą, która mnie tu sprowadza. Przybyłem tu z powodu Morfina, Morfina i tego mugola, którego zaatakował wczoraj późnym wieczorem. Z informacji otrzymanych przez ministerstwo – zerknął na trzymany w dłoni pergamin – wynika, że Morfin rzucił na rzezonego mugola urok lub zaklęcie powodując u niego tym samym napad wyjątkowo bolesnej pokrzywki.

Morfin zachichotał.

- *Cicho, chłopcze* – warknął Gaunt w mowie węzów i Morfin natychmiast się uciszył.

- A nawet jeśli, to co z tego? – zwrócił się przekornie do Ogdena. – Przecież wypucujecie mu buźkę, poprawicie pamięć i wszystko będzie cacy?

- Nie o to chodzi i doskonale pan o tym wie, panie Gaunt. To był niesprowokowany atak na bezbronnego...

- Ha, od pierwszej chwili wiedziałem, żeś pan jest kolejnym wielbicielem mugoli! – warknął Gaunt i ponownie splunął na podłogę.

- Ta rozmowa donikąd nie prowadzi – odparł Ogden stanowczo. – Sądząc po zachowaniu pańskiego syna oczywistym jest, że wcale nie żałuje swoich czynów. – Znowu zerknął na trzymany pergamin. – Morfin zostanie przesłuchany czternastego września w związku ze stawianym mu zarzutem używania magii w przytomności mugola oraz spowodowania uszczerbku na ciele rzezonego mugola...

Zamilkł. Stukot końskich kopyt i donośny śmiech docierał do pokoju przez otwarte okno. Najwyraźniej kręta droga prowadząca do wsi przechodziła bardzo blisko lasku, w który stał dom. Gaunt zamarł słuchając odgłosów z szeroko otwartymi oczami. Morfin zasyczał i odwrócił się do okna węsząc, niczym wygłodniały wilk. Merope podniosła głowę. Harry zauważył jej kredowobiałą twarz.

- Mój Boże, a cóż to za szkaradzieństwo! – rozległ się dźwięczny, dziewczęcy głos, tak wyraźnie, jakby jego właścicielka stała tuż pod oknem. – Czy twój ojciec nie mógłby czegoś zrobić z tą szopą, Tom?

- To nie należy do nas – odpowiedział jej głos młodego mężczyzny. – Wszystko po tej stronie doliny jest nasze, ale ta chałupa należy do tego starego włóczęgi, Gaunta i jego dzieci. We wsi gadają, że ten jego syn to wariat... Dziewczyna się roześmiała. Odgłosy stawały się coraz głośniejsze. Morfin zrobił ruch, jak gdyby chciał się podnieść ze swojego fotela, ale ojciec go powstrzymał.

- *Siedź tu* – syknął w mowie węzów.

- Tom – zapytała znowu dziewczyna, sądząc po głosie

stojąc przed domem. – Czy mi się wydaje, czy ktoś przybił węza do drzwi?

- Wielki Boże, masz rację! – zdumiał się mężczyzna.

- To pewnie sprawka tego syna, mówiłem ci, że on ma nie po kolei w głowie. Nie patrz na to, moja droga Cecylio.

Stukot końskich kopyt powoli się oddalał.

- *Moja droga* – wyszeptał Morfin w mowie węzów, przyglądając się siostrze. – *Powiedział do niej moja droga. Więc jednak nie będziesz jego.*

Merope była tak blada, że Harry pomyślał, że dziewczyna zemdleje.

- *A co to niby ma znaczyć?* – warknął ostro Gaunt, również w mowie węzów, patrząc to na córkę, to na syna. – *Morfin, o czym ty mówisz?*

- *Podoba jej się ten mugol* – odparł Morfin złośliwie nie spuszczać przerażonej siostry z oczu. – *Zawsze leżę do ogrodu, kiedy on przejeżdża, gapi się na niego przez żywopłot, no co, może nie? A wczoraj wieczorem...*

Merope potrząsnęła głową, błagalnie wpatrując się w brata, ale ten ciągnął bezwzględnie - *Siedziałś w oknie, czekając, aż będzie wracał do domu, prawda?*

- *Przesiadwała w oknie, żeby popatrzeć na mugola?* – powtórzył cicho Gaunt.

Wszyscy troje zdawali się zapomnieć zupełnie o obecności Ogdena, który przyglądał im się zarówno zdziwiony, jak i poirytowany tym nowym wybuchem niezrozumiałych syków i powarkiwań.

- *Czy to prawda?* – zapytał Gaunt martwym głosem postępując krok w przód ku przerażonej dziewczynie.

- *Moja córka, czystej krwi potomkini Salazara Slytherina wzdycha do cholernego, mugolskiego śmiecia?*

Merope szaleńczo potrząsała głową, przytulając się do ściany, najwyraźniej niezdolna do wydobywania z siebie głosu.

- *Ale ja go dorwałem, ojczel!* – zarechotał Morfin.

- *Dorwałem go, jak tu przechodził i z tą wysypką już nie był taki śliczniusi, prawda, Merope?*

- *Ty ohydna, mała gadzino, ty cholerny charłaku!* – zawył Gaunt, tracąc nad sobą kontrolę, zaciskając dłonie na

szy córki.

Tak Harry, jak i Ogden odruchowo wrzasnęli *nie!*, Ogden uniósł różdżkę i zawołał *Relashio!*. Gaunta odrzuciło do tyłu. Puszczając córkę zatoczył się, potknął o krzesło i upadł na wznak. Z wściekłym rykiem Morfin zerwał się z fotela i ruszył w kierunku Ogdena, wymachując swym zakrwawionym nożem i rzucając na oślep uroki.

Ogden zaczął uciekać. Dumbledore dał znak Harry'emu, że powinni zrobić to samo. Harry posłuchał, a krzyki Merope wciąż dźwięczały mu w uszach.

Ogden biegł ścieżką, ramionami chroniąc głowę, aż dotarł do drogi, gdzie zderzył się z lśniącem kasztankiem, na którym jechał bardzo przystojny, ciemnowłosy młodzieniec. Zarówno on, jak i śliczna dziewczyna jadąca na siwku koło niego, wybuchnęli śmiechem na widok Ogdena, który odbił się od końskiego boku i powiewając połami surduta popędził dalej, aż się za nim kurzyło.

- Myślę, że już wystarczy, Harry – powiedział Dumbledore. Wziął Harry'ego pod ramię i delikatnie pociągnął. W następnej chwili obaj unieśli się poprzez ciemność, aż wylądowali pewnie z powrotem w pogrążonym w półmroku gabinecie dyrektora.

- Co się stało z tą dziewczyną z domku? – zapytał natychmiast Harry, podczas gdy Dumbledore zapalał lampy przy pomocy różdżki. – Z tą Merope, czy jak jej tam było?

- Och, przeżyła – odparł dyrektor siadając za biurkiem i gestem wskazując Harry'emu, że powinien zrobić to samo. – Ogden aportował się do Ministerstwa i wrócił z posiłkami w przeciągu piętnastu minut. Morfin i jego ojciec usiłowali walczyć, ale obaj zostali obezwładnieni, zabrani z domu, a następnie skazani przez Wizengamot. Morfin, który już miał niezłą kartotekę z powodu wielokrotnych ataków na mugoli, został skazany na trzy lata w Azkabanie. Marvolo, który zranił kilku pracowników Ministerstwa z Ogdenem włącznie, dostał pół roku.

- Marvolo? – zdziwił się Harry.
- Owszem – potaknął Dumbledore z uśmiechem.
- Cieszę się, że nadążasz.
- Ten starzec był...
- Dziadkiem Voldemorta – dokończył Dumbledore.
- Marvolo, jego syn Morfin i córka Merope byli ostatnimi z Gauntów. Gauntowie to bardzo stara rodzina czarodziejska, znana z wybuchowej natury i skłonności do brutalnych zachowań potęgujących się poprzez pokolenia ze względu na przyjęty zwyczaj zawierania małżeństw między kuzynami. Brak rozważliwej wspomagany manią wielkości sprawił, że rodowe złoto roztrwoniono na parę pokoleń przed urodzeniem Marvola. On sam, jak widziałeś, żył niemal w skrajnej nędzy, posiadając jedynie paskudny charakter, niezmiernie pokłady dumy i arogancji oraz parę klejnotów rodzinnych, które cenil prawie tak, jak swego syna i o wiele bardziej niż córkę.
- Więc Merope... – zaczął Harry, pochylając się na krześle i spuszczać oczu z twarzy Dumbledore'a.
- Więc Merope... Panie profesorze, czy to oznacza, że ona była... *Matką Voldemorta?*
- Tak jest – odparł Dumbledore. – I tak się składa, że mogliśmy również spojrzeć na ojca Voldemorta. Ciekawym, czy go zauważyłeś?
- To ten mugol, którego zaatakował Morfin? Mężczyzna na koniu?
- Bardzo dobrze. – Dyrektor uśmiechnął się z aprobatą. – Tak, to był Tom Riddle senior, przystojny mugol, który zwykł był jeździć konno nieopodal domu Gauntów i w którym Merope Gaunt kochała się tak szaleńczo, jak skrycie.
- I w końcu się pobrali? – spytał z niedowierzaniem Harry, któremu trudno było wyobrazić sobie mniej prawdopodobną parę.
- Zdaje się, że zapominasz, że Merope była czarownicą. Prawdopodobnie, terroryzowana przez ojca, nie miała większych szans na rozwinięcie swych magicznych talentów, ale kiedy Marvolo i Morfin siedzieli sobie bezpiecznie w Azkabanie, kiedy wreszcie, po raz

pierwszy w życiu, była sama i wolna, wtedy z pewnością pozwoliła swym wrodzonym zdolnościom rozkwitać i ukuła plan ucieczki od tego beznadziejnego życia, które wiodła przez osiemnaście lat. Masz jakiś pomysł, co mogła przedsięwziąć Merope, by Tom Riddle zapomniał o swojej mugolskiej towarzyszyce i zakochał się w niej samej?

- Zakłęcie Imperius? – zaproponował Harry.

- Albo eliksir miłosny?

- Bardzo dobrze. Osobiście skłaniałbym się ku eliksirowi miłosnemu. Myślę, że wydawało jej się to o wiele bardziej romantyczne, no i nie sądzę, żeby było to szczególnie trudne. Zapewne w gorący, letni dzień, kiedy Tom Riddle jechał samotnie na konną przejażdżkę, nie miała specjalnych problemów z przekonaniem go, żeby się napił nieco wody. Jednym słowem, w parę miesięcy po tej scenie, która rozegrała się na naszych oczach, osada Little Hangleton żyła wielkim skandalem. Możesz sobie wyobrazić, jak huczało od plotek, gdy syn miejscowego ziemianina uciekł z córką włóczęgi, Merope.

- Ale szok, który przeżyli sąsiedzi, był niczym w porównaniu ze wstrząsem, jaki stał się udziałem Marvola – ciągnął Dumbledore. – Kiedy wrócił z Azkabanu, zamiast posłusznej córki, czekającej z gorącym posiłkiem na jego powrót, zastał całową warstwę kurzu i liścik pożegnalny, w którym wyjaśniała, co zrobiła i dlaczego. Z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, od tej chwili nigdy już nie wspominał ani jej imienia, ani w ogóle tego, że miał córkę. Wstrząs, który przeżył po odejściu Merope, mógł przyczynić się do jego rychłej śmierci... Albo po prostu nigdy nie nauczył się sam sobie gotować. Azkaban bardzo osłabił Marvola, który nie doczekał nawet powrotu Morfina.

- A Merope? Ona... Umarła, prawda? Voldemort przecież wychował się w sierocińcu?

- Zgadza się – przytaknął. – Teraz możemy już tylko zgadywać, ale myślę, że nietrudno domyślić się, co stało się potem. Widzisz, parę miesięcy po sekretnym

ślubie, Tom Riddle powrócił do rezydencji w Little Hangleton, ale już bez żony. Zaczął rozpowiadać po okolicy, że został paskudnie oszukany i podstępnie złapany. Przez co rozumiał, jak się zdaje, że znajdował się pod działaniem czarów, które teraz zostały zdjęte, choć obawiam się, że nie użył dokładnie tych słów, by nie zostać posądzonym o pomieszenie zmysłów. A okoliczni mieszkańcy założyli prawdopodobnie, że Merope skłamała Tomowi, iż spodziewa się jego dziecka, a on ożenił się z nią właśnie z tego powodu.

- Ale przecież *urodziła* syna?

- Ale dopiero po roku od ucieczki. Tom Riddle porzucił ją, gdy wciąż jeszcze była w ciąży.

- Co poszło nie tak? Elixir przestał działać?

- Cóż, to znów domysły – odparł Dumbledore.

- Ale wydaje mi się, że Merope, która głęboko kochała męża, nie mogła znieść myśli, że trzyma go przy sobie za pomocą magii. Myślę, że sama przestała mu podawać eliksir. Może w swym zaślepieniu wierzyła, że przez ten czas on również się w niej zakochał. A może miała nadzieję, że zostanie z nią dla dobra dziecka. Jakkolwiek było, myliła się. Porzucił ją, nigdy jej już nie zobaczył, no i nigdy nie zainteresował się choćby w najmniejszym stopniu, co stało się z jego synem.

Niebo na zewnątrz było atramentowo czarne, a lampy w gabinecie dyrektora płonęły wyjątkowo jasno.

- Myślę, że na dziś już wystarczy – rzekł Dumbledore po chwili milczenia.

- Tak, panie profesorze – podniósł się, ale nie ruszył z miejsca. – Panie profesorze... Czy to ważne, żebym znał przeszłość Voldemorta?

- To bardzo ważne, jak sądzę.

- A... Czy to jest jakoś związane z przepowiednią?

- To jest bezpośrednio związane z przepowiednią.

- No tak – mruknął Harry, wciąż zakłopotany, ale uspokojony. Odwrócił się i już miał wychodzić, gdy nasunęło mu się jeszcze jedno pytanie, zatrzymał się więc i spojrzął na dyrektora.

- Panie profesorze, czy ja mogę opowiedzieć o tym wszystkim Ronowi i Hermionie?

Dumbledore milczał przez chwilę, po czym odpowiedział z namysłem.

- Tak, myślę, że pan Weasley i panna Granger udowodnili, że można im ufać. Ale muszę cię poprosić, Harry, byś ostrzegł ich, aby nie przekazywali tych informacji dalej. Wolalbym, żeby nie rozeszły się plotki o tym, ile wiem o Lordzie Voldemorcie. Albo ilu z jego sekretów się domyślam.

- Oczywiście, panie profesorze. Dopilnuję, żeby wiedzieli tylko Ron i Hermiona. Dobranoc.

Zawrócił do drzwi i w tej właśnie chwili go dostrzegł. Na jednym ze stolików o pajęczych nóżkach, między delikatnymi, srebrnymi przyrządami, leżał brzydki, złoty pierścień z ogromnym, pękniętym, czarnym kamieniem.

- Panie profesorze – zapytał, wpatrując się w klejnot.

- Ten pierścień...

- Tak?

- Miał go pan na palcu tej nocy, gdy odwiedziliśmy profesora Slughorna.

- Owszem.

- Ale to nie jest... Profesorze, to nie jest ten sam pierścień, który Marvolo Gaunt pokazał Ogdenowi?

Dumbledore skinął.

- Ten sam.

- Ale jakim cudem...? Od dawna go pan ma?

- Nie, zdobyłem go całkiem niedawno – odparł Dumbledore. – W zasadzie na kilka dni przed tym, kiedy odebrałem cię z domu twojej ciotki i wuja.

- To wtedy zranił się pan w rękę?

- Mniej więcej wtedy.

Harry zawahał się. Dyrektor wciąż się uśmiechał.

- Panie profesorze, jak właściwie...?

- Późno już, Harry. Tę historię usłyszysz innym razem. Dobranoc.

- Dobranoc, panie profesorze.

Tłumaczyła Visperas



Pomocna dłoń Hermiony

Jak już wcześniej mówiła Hermiona, czas, który szóstkłasiści mieli wolny od zajęć, nie był porą błęgiego relaksu, czego spodziewał się Ron. Próbowali wówczas utrzymać tempo, jakie narzucały im zadawane w ogromnych ilościach zadania domowe. Nie tylko musieli uczyć się, jakby co dzień miał być egzamin, ale same lekcje były bardziej absorbujące niż kiedykolwiek. Harry rozumiał zaledwie połowę z tego, co obecnie wykladała profesor McGonagall. Raz czy dwa o powtórzenie instrukcji musiała ją prosić nawet Hermiona. Zdziwiająca było to (a Hermionę drażniło coraz bardziej), że ulubionym przedmiotem Harry'ego stały się teraz - dzięki pomocy Półkrwi Księcia - eliksiry.

Nauki bezgłośnych czarów należało się teraz spodziewać nie tylko na lekcjach obrony przed czarną magią, ale i na zaklęciach oraz transmutacji. Harry często widywał, jak koledzy z klasy, czy to w pokoju wspólnym, czy podczas posiłków, czerwienią się i

wyteżają, jakby przedawkowali *Sam-Zrób-To*, wiedział jednak, że usiłują sprawić, by ich czary działały bez mówionych inkantacji. Wyjścia do szklarni były ulgą; co prawda zajmowali się na zielarstwie roślinami bardziej niebezpiecznymi niż kiedykolwiek przedtem, wolno im było za to głośno przeklinać, gdy jadowita tentakula łapała ich znienacka od tyłu.

Cały ten nawal pracy i godziny spędzane na gorączkowym treningu bezgłośnych zaklęć spowodowały między innymi, że Harry, Ron i Hermiona nie mieli dotąd czasu na odwiedzenie Hagrida. On sam przestał przychodzić na posiłki do nauczycielskiego stołu, co już samo w sobie było złym znakiem, a kiedy parę razy spotkali go w korytarzu czy na błoniach, zawsze w tajemniczy sposób ich nie zauważał, albo nie słyszał ich powitań.

- Musimy do niego iść i wszystko sobie wyjaśnić - orzekła w końcu Hermiona przy sobotnim śniadaniu, patrząc na puste, ogromne krzesło Hagrida przy stole nauczycielskim.

- Mamy dzisiaj rano quidditcha, będą eliminacje! - zaprotestował Ron. - I powinniśmy ćwiczyć to zaklęcie *Aguamenti* na zajęcia z Flitwickiem! Zresztą, co tu wyjaśniać? Jak mamy mu powiedzieć, że nienawidzimy tego głupiego przedmiotu?

- Wcale nie nienawidzimy! - sprzeciwiła się Hermiona.

- Mów za siebie, ja tam nie zapomniałem o skłatkach - odparł Ron ponuro. - Mówię wam, ledwo się wywinęliśmy. Nie słyszałaś, jak on się rozwodził o tym swoim stukniętym braciszku. Gdybyśmy sobie zostawili te zajęcia, musielibyśmy uczyć Graupa wiązania sznurowadeł.

- Nie cierpię nie odzywać się do Hagrida - pożałowała się Hermiona.

- Pójdziemy po quidditchu - zapewnił ją Harry. Jemu też brakowało Hagrida, choć podobnie jak Ron uważał, że lepiej żyłoby im się bez Graupa. - Tylko że próby mogą zająć całe rano, tyle ludzi się zgłosiło.

- Trochę się denerwował podejmując pierwsze wyzwanie w swojej karierze kapitana.

- Nie wiem czemu ta drużyna nagle zrobiła się taka popularna.

- Oj, Harry! - zniecierpliwiała się Hermiona. - To nie quidditch jest taki popularny, tylko ty! Jeszcze nigdy nie byłeś równie interesujący, i szczerze mówiąc, jeszcze nigdy się tak ludziom nie podobałeś!

Ron zakrzuszył się kawalkiem śledzia. Hermiona rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy, po czym z powrotem obróciła się do Harry'ego.

- Teraz każdy wie, że mówisz prawdę! Cały świat czarodziejów musiał przyznać, że nie kłamałeś. Voldemort rzeczywiście powrócił, a ty w ciągu ostatnich dwóch lat dwa razy z nim walczyłeś i przeżyłeś. No i nazywają cię teraz Wybrańcem. Nadal nie rozumiesz, czemu ludzie są tobą zafascynowani?

Harry poczuł niespodziewanie, że w Wielkiej Sali zaczyna mu być gorąco, choć sklepienie wciąż ukazywało zimną i deszczową pogodę.

- Musiałeś wytrzymać, kiedy ministerstwo cię prześladowało i próbowało wciskać ludziom, że jesteś kłamcą, na dodatek nieźrównoważonym psychicznie. Masz jeszcze na dłoni te blizny po tym, jak ci ta wredna baba kazała pisać krwią, a ty i tak obstawaleś przy swoim...

- Mam jeszcze ślady po tym, jak mnie te mózgi złapały w ministerstwie, popatrz. - Ron podwinął rękawy.

- A do tego od czerwca jesteś już chyba o stopę wyższy - dokończyła Hermiona, ignorując to, co powiedział Ron.

- Ja jestem wysoki - rzucił Ron niedbale.

Zjawily się sowy z pocztą, wlatujące przez zalane deszczem okna, i opryskały wszystkich kropelkami. Większość obecnych otrzymywała więcej poczty niż zwykle - zaniepokojeni rodzice pragnęli wieści od swoich pociec i chcieli je z kolei zapewnić, że w domu wszystko w porządku. Harry od początku roku szkolnego w ogóle nie dostawał poczty; jego jedyny stały korespondent już nie żył, i choć Harry żywił nadzieję, że Lupin od czasu do czasu coś napisze, jak dotąd tak się nie stało. Zaskoczył go więc widok

śnieżnobiałej Hedwigi, kołującej wśród brązowych i popielatych sów, która zaraz wylądowała przed nim z dużym, prostokątnym pakunkiem. Chwilę później identyczna paczka upadła przed Ronem, przygniatając jego wyczerpaną sówkę, Świstoświnkę.

- Ha! - Harry odpakował nowiutki egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych z Esów i Floresów*.

- Wspaniale! - ucieszyła się Hermiona. - Teraz możesz oddać tamtą popisaną książkę.

- Zwariowałaś? - odparował Harry. - Zostawię ją sobie! Wiesz, pomyślałem...

Wyciągnął stare *Warzenie eliksirów dla zaawansowanych* z torby i puknął okładkę różdżką, szepcząc: *Diffindo!*. Okładka odpadła. To samo zrobił z nową książką; Hermiona była zgorszona. Zamienił okładki, szturchnął różdżką obie książki i powiedział: *Reparo!*. Egzemplarz Księcia wyglądał teraz na nowy, zaś nowa książka z Esów i Floresów na mocno podniszczoną.

- Oddam Slughornowi nową. Kosztowała dziewięć galeonów, on źle na tym nie wyjdzie.

Usta Hermiony zacisnęły się w wyrazie gniewu i dezaprobaty, jednak jej uwagę odwróciła trzecia sowa, która wylądowała przed nią z nowym *Prorokiem*. Hermiona pośpiesznie rozwinęła gazetę i przejrzała pierwszą stronę.

- Zginął ktoś znajomy? - zapytał Ron niezobowiązująco. Pytał o to zawsze, gdy Hermiona otwierała gazetę.

- Nie, ale znowu były ataki dementorów - odpowiedziała. - I aresztowanie.

- Świetnie! Kogo? - spytał Harry, myśląc o Bellatrix Lestrangle.

- Stan Shunpike - powiedziała Hermiona.

- Co?! - Harry aż podskoczył.

- "*Stanley Shunpike, konduktor Błędnego Rycerza, popularnego wśród czarodziejów środka transportu, został aresztowany pod zarzutem przynależności do Śmierciożerców. Pana Shunpike'a, lat 21, osadzono w areszcie wczoraj, w późnych godzinach wieczornych, po przeprowadzeniu obławy w okolicy jego domu w Clapham...*".

- Stan Shunpike Śmierciożercą? - zdziwił się Harry, wspominając tego pryszczatego chłopaka, którego poznał trzy lata temu. - Nigdy w życiu!

- Mogli na niego rzucić klątwę Imperius - rozsądnie zauważył Ron. - Nigdy nie wiadomo.

- Nie sądzę - odparła Hermiona, wciąż czytając.

- Napisali, że został aresztowany, kiedy usłyszano, jak opowiada w pubie o tajnych planach Śmierciożerców. - Twarz Hermiony wyrażała niepokój. - Gdyby był pod Imperium, raczej by się nie włóczył, rozpowiadając o ich planach, prawda?

- Wyglądało, jakby się chciał popisać, że tyle wie - powiedział Ron. - To nie ten, co to się chwalił, że będzie ministrem magii, jak zagadywał tamtą wilę?

- Tak, to ten - potwierdził Harry. - Co jest grane? Żeby Stana ktoś traktował na serio...

- Chcą pewnie, żeby ludzie myśleli, że coś się w tej sprawie robi - skrzywiła się Hermiona. - Wszyscy są przerażeni. Wiecie, że rodzice bliźniaczek Patil chcą je zabrać do domu? A Eloise Midgeon już zabrali. Ojciec ją odwiózł, wczoraj wieczorem.

- Co?! - krzyknął Ron, gapiąc się na Hermionę.

- Przecież w Hogwarcie jest bezpieczniej, niż w ich domach, musi być! Mamy aurorów, wszystkie te dodatkowe zaklęcia ochronne... I mamy Dumbledore'a!

- Raczej nie zawsze go mamy - odezwała się cicho Hermiona, zerkając znad *Proroka* w stronę stołu nauczycielskiego. - Zauważyliście? Jego miejsce jest często puste, tak jak miejsce Hagrida w tamtym tygodniu.

Harry i Ron popatrzyli we wskazanym kierunku. Krzesło dyrektora rzeczywiście było wolne. Kiedy Harry się nad tym zastanowił, przypomniał sobie, że nie widział Dumbledore'a od ich prywatnej lekcji tydzień temu.

- Pewnie opuścił szkołę i robi coś dla Zakonu - kontynuowała szeptem. - To znaczy... Wygląda to poważnie, prawda?

Nie odpowiedzieli, ale Harry wiedział, że myślą o tym samym. Dzień wcześniej zdarzyło się coś

przerazającego, a Hannę Abbott wywołano z zielarstwa, by jej donieść, że zginęła jej matka. Nie spotkali Hanny od tamtej pory.

Gdy pięć minut później odchodzili od stołu Gryffindoru i kierowali się w stronę boiska, minęli Lavender Brown i Parvati Patil. Harry pamiętał, co Hermione mówiła o bliźniaczkach i wyjeździe do domu, który szykowali im rodzice, nie zdziwiło go więc, że przyjaciółki szepczą do siebie i wyglądają bardzo nieszczęśliwie. Zdziwił się za to, gdy Ron zrównał się z dziewczętami, bo wtedy Parvati szturchnęła nagle Lavender, a ta obejrzała się i obdarzyła Rona ciepłym uśmiechem. Ron zamrugał, a potem nieśmiało odwzajemnił uśmiech. Jego krok natychmiast zaczął przypominać marsz defiladowy. Harry powstrzymał się, by nie wybuchnąć śmiechem, wspominając, że odkąd Malfoy złamał mu nos, Ron czegoś takiego w ogóle nie robił. Hermione jednak przez całą drogę do stadionu, którą pokonywali w zimnej, mglistej mżawce, była milcząca i zamyślona; gdy już dotarli na stadion, poszła znaleźć sobie miejsce na trybunach, zapominając życzyć Ronowi powodzenia. Tak, jak Harry oczekiwał, eliminacje do drużyny zajęły większą część poranka. Wyglądało na to, że stawiała się na nie połowa Gryffindoru, od pierwszoklasistów, nerwowo ściskających najgorsze ze szkolnych mioteł, do siódmoklasistów, górujących nad resztą i emanujących chłodem i wrogością. Wśród tych ostatnich był wielki chłopak o szorstkich włosach, którego Harry momentalnie przypomniał sobie z ekspresu do Hogwartu.

- Poznaliśmy się w pociągu, w przedziale Grubaska - zaczął poufale, wychodząc przed innych, żeby uścisnąć Harry'emu rękę. - Cormac MacLaggen. Obrońca.

- Nie startowałeś do drużyny rok temu, prawda? - Widząc, jaki jest szeroki, Harry pomyślał, że mógłby bronić wszystkich trzech pętli nawet się nie ruszając.

- Leżałem w skrzydle szpitalnym, kiedy był nabór - odpowiedział chłopak z przechwałką w głosie. - Bo się założyłem, że zjem funt jaj chochlików.

- Dobra - odparł Harry. - No to... Może poczekaj tam.
- Wskazał na obrzeże boiska, blisko miejsca, gdzie siedziała Hermiona. Wydało mu się, że po twarzy McLaggena przemknęła irytacja i zastanowił się, czy McLaggen nie oczekuje czasem taryfy ulgowej dla faworytów *Grubaska*.

Zdecydował się zrobić na początek prosty test i kazać wszystkim kandydatom do drużyny podzielić się na dziesięcioosobowe grupy i oblecieć boisko dookoła. Okazało się to dobrym pomysłem. W pierwszej dziesiątce byli sami pierwszorocznicy, jasne było, że prawie w ogóle jeszcze nie latali. Jeden tylko chłopiec utrzymał się w powietrzu dłużej niż dziesięć sekund; tak był tym zaskoczony, że zaraz uderzył w słupek.

W drugiej grupie było dziesięć dziewczyn, najgłupszych, jakie Harry kiedykolwiek spotkał. Kiedy dmuchnął w gwizdek, po prostu popadały ze śmiechu, ściskając się nawzajem. Była wśród nich Romilda Vane. Kiedy kazał im opuścić boisko, usłuchały z niezmaconą radością, siadły na trybunach i zaczęły przeszkadzać pozostałym.

Grupa trzecia miała krakę w połowie drogi wokół boiska. Większość czwartej przyszła bez miotel. Piąta składała się z Puchonów.

- Jak jest tu ktoś jeszcze spoza Gryffindoru - wrzasnął Harry, którego zaczynało to już niezłe denerwować - to proszę, niech sobie wreszcie pójdzie!

Po chwili ciszy paru małych Krukonów pomknęło przez boisko, parszcząc śmiechem.

Po dwóch godzinach borykania się ze skargami i napadami złości, z których jeden skończył się nawet roztrzaskaniem Komety Dwa Sześćdziesiąt i wybiciem kilku zębów, Harry wybrał sobie trzy ścigające. Powróciła do drużyny Katie Bell, której próba wypadła świetnie. Nowym nabytkiem była Demelza Robbins, niezrównana w uchylaniu się przed tłuczkami, zaś Ginny Weasley nie tylko latała lepiej od wszystkich pozostałych, ale i strzeliła siedemnaście goli. Harry był zadowolony z tego wyboru, zdarł już sobie jednak gardło wydzierając się na wszystkich narzekających, a

teraz przechodził przez to samo z odrzuconymi palkarzami.

- Już zdecydowałem, a jeśli nie zejdziecie z drogi obrońcom, oberwiecie kłatwą! - ryknął.

Żaden z palkarzy, których wybrał, nie spisywał się tak wspaniale, jak swego czasu Fred i George, ale i tak Harry nie mógł na nich narzekać: Jimmy Peakes był niewysokim, ale dobrze zbudowanym trzecioklasistą, który gwałtownie odbitym tłuczkiem nabił Harry'emu z tyłu głowy guza wielkości jaja, zaś Richie Coote wyglądał cherlawo, lecz jego celności nic nie można było zarzucić. Obaj dołączyli do Katie, Demelzy i Ginny siedzących na trybunach, w oczekiwaniu na wybór ostatniego członka drużyny.

Harry z rozmysłem odwłókl próby obrońców na sam koniec, w nadziei, że stadion trochę się opróżni i gracze będą pod mniejszą presją. Niestety, wszyscy odrzuceni kandydaci oraz spora liczba tych, którzy po długim śniadaniu przyszli sobie popatrzeć, zdążyła dołączyć do widzów, tłumy były więc jeszcze większe. Każdego ze wzlatających w powietrze obrońców witano porcją krzyków i drwin. Ronowi, na którego Harry szybko spojrział, często puszczały nerwy. Harry miał nadzieję, że chłopakowi to przeszło po ich ostatnim wygranym meczu, najwyraźniej tak się jednak nie stało, gdyż Ron był bladozielony na twarzy.

Żaden z pierwszych pięciu kandydujących nie obronił w sumie więcej niż dwa gole. Rozczarowało Harry'ego, że Cormac McLaggen na pięć karnych strzałów obronił cztery. Przy piątym za to poleciał zupełnie nie w tę stronę; zgromadzeni wyśmiali go i wygwizdali, a McLaggen wrócił na ziemię, zgrzytając zębami.

Siadając na swojego Zmiatacza Jedenastkę Ron wyglądał, jakby miał zemdleć. Z trybun rozległ się okrzyk: *Powodzenia!*. Harry obejrzał się, spodziewając się zobaczyć Hermionę, ale to była Lavender Brown. Miał wielką ochotę ukryć twarz w dłoniach, jak Lavender zrobiła chwilę później, ale uznał, że jako kapitan powinien okazywać trochę więcej charakteru, skierował więc uwagę na Rona i jego grę.

Niepotrzebnie się jednak martwił - Ron obronił kolejno jeden, dwa, trzy... cztery... pięć karnych strzałów. Uradowany, Harry z trudem powstrzymał się od dołączenia do wiewiórek zgromadzonych widzów i obrócił się do McLaggena, chcąc mu powiedzieć, że niestety, ale Ron go pokonał, gdy zobaczył, że McLaggen, zaczerwieniony, stoi parę cali przed nim. Harry zrobił szybko krok w tył.

- Jego siostra nawet się nie starała - wycedził McLaggen, a w jego słowach słyszano się groźbę. Żył na jego skroni pulsowała tak samo jak ta, którą Harry często widywał na skroni wuja Vernona. - Strzeliła mu łatwego do obrony gola.

- Bzdura - odparł chłodno Harry. - Tego właśnie o mało nie puścił.

McLaggen posunął się o krok ku Harry'emu, który tym razem nie ustąpił mu miejsca.

- Daj mi jeszcze raz spróbować.

- Nie - odparł Harry. - Już próbowałeś. Obroniłeś cztery gole, Ron pięć. Obrońcą jest Ron, wygrał uczciwie. Zejdź mi z drogi.

Przez moment myślał, że McLaggen go uderzy, ale Cormac tylko wykrzywił się paskudnie i niemal biegiem opuścił boisko, polykając przekleństwa.

Harry obrócił się do swoich nowych graczy, uśmiechających się do niego szeroko.

- Super... - wychrypiał. - Naprawdę świetnie lataliście...

- Poszło ci wspaniale, Ron!

Tym razem to Hermiona biegła ku nim z trybun; Harry widział, jak Lavender opuszcza boisko, ręka w rękę z Parvati, z dość naburmuszoną miną. Ron był z siebie całkowicie zadowolony, a gdy wyszczerzył się do Hermiony i do drużyny, zdawał się jeszcze wyższy niż zwykle.

Po zarezerwowaniu sobie na najbliższy czwartek czasu na trening Harry, Ron i Hermiona pożegnali resztę drużyny i ruszyli odwiedzić Hagrida. Słońce właśnie zaczynało nieśmiało wyglądać zza deszczowych chmur i w końcu ustąpiła mżawka. Harry był strasznie głodny; miał nadzieję, że u Hagrida znajdzie się coś do

zjedzenia.

- Malo nie puściłem tego czwartego karnego - opowiadał Ron wesoło. - Demelza świetnie strzeliła, widziałeś? Lepiej niż pozostała czwórka. Podkreśliła trochę...

- Tak, byleś niesamowity. - Hermiona wyglądała na rozbawioną.

- No i byłem lepszy od McLaggena! - ciągnął Ron z uciechą. - Widzieliście, jak przy tym piątym strzale poleciał w złą stronę? Zupełnie, jakby go Confundus trafił...

Zaskoczyło Harry'ego, że przy tych słowach Hermiona całkiem wyraźnie się zaróżowiła. Ron nic nie zauważył, zbyt był zajęty opisywaniem z czułością i z detalami wszystkich karnych, które obronił.

Przed chatą Hagrida uwiązany był wielki popielaty hipogryf, Hardodziób. Na ich widok klapnął ostrym dziobem i zwrócił łeb w ich stronę.

- O rany! - wyrwało się Hermionie. - Jest trochę straszny, prawda?

- Dalabyś spokój, przecież na nim latałaś? - zdziwił się Ron.

Harry podszedł bliżej i skłonił się hipogryfowi, nie mrugając ani nie odwracając wzroku. Po chwili Hardodziób również zgiął się w ukłonie.

- Jak się masz? - spytał Harry cichutko, podchodząc pogłaskać pokrytą piórami głowę. - Tęsknisz za nim? Ale u Hagrida ci dobrze, prawda?

- Ej! - rozległo się nagle.

Zza rogu chaty wyłonił się odziany w kwiecisty fartuch Hagrid, niosąc wór ziemniaków. Kiel, ogromny brytan deptający mu po piętach, szczechnął ogłuszająco i pobiegł skokami w ich stronę.

- Odejdź no od niego! Bo ci paluchy... A, toście wy.

Kiel przyskakiwał to do Rona, to do Hermiony, próbując lizać ich po uszach. Hagrid przez krótką chwilę stał i patrzył na nich, potem obrócił się i wmaszerował do swojej chaty, zatraskując za sobą drzwi.

- Ojej! - wyszeptała Hermiona ze zgrozą.

- Nic się nie martw - oznajmił Harry ponuro. Podeszedł do drzwi i zaczął w nie walić. - Hagridzie! Otwieraj, chcemy porozmawiać!

Ze środka nie dobiegł żaden dźwięk.

- Jeśli nie otworzysz, wywalimy drzwi! - krzyknął Harry, wyciągając różdżkę.

- Harry... - zaczęła zszokowana Hermiona. - Nie możesz...

- Właśnie, że mogę! - odkrzyknął. - Odsuń się.

Zanim jednak zdążył powiedzieć coś więcej, drzwi otwarły się gwałtownie, tak jak przewidział, i zjawił się w nich Hagrid, patrzący na niego z góry i, mimo fartucha w kwiatki, wyglądający naprawdę groźnie.

- Jestem nauczycielem! - zagrmiał na Harry'ego.

- Nauczycielem, Potter! Nie bedziesz mnie groził, że drzwi wywalisz!

- *Pan* wybaczy - odparł Harry, z naciskiem na pierwsze słowo, chowając różdżkę do kieszeni szaty.

Hagrid wytrzeszczył oczy.

- Od kiedy mnie mówisz *pan*?

- A od kiedy mi mówisz *Potter*?

- Świetnie - warknął Hagrid - Bardzo zabawne. Czyli żeście mnie przechytrzyli, tak? No dobra, właźcie już, wy małe, niewdzięczne...

Mrucząc coś do siebie ponuro, odsunął się i wpuścił ich. Hermiona z przestachem wskoczyła za Harrym do środka.

- No i co? - burknął Hagrid, kiedy już Harry, Ron i Hermiona usadowili się przy jego wielgachnym, drewnianym stole, a Kiel natychmiast ułożył łeb na nodze Harry'ego i obślinił mu szatę. - Co to ma być? Żal wam się mnie zrobiło? Myślicie, że sam zostałem, czy jak?

- Nie! - odparował Harry. - Chcieliśmy się z tobą zobaczyć.

- Tęskniliśmy za tobą! - oznajmiła Hermiona drżącym głosem.

- Żeście tęsknili, tak? - Hagrid pociągnął nosem. - No jasne.

Ciężkim krokiem krzątał się po izbie, robiąc herbatę w

swoim wielkim, miedzianym kociołku i cały czas mrucząc pod nosem. W końcu z hukiem postawił przed nimi trzy kubki mahoniowoczarnej herbaty, wielkie jak wiadra, i talerz swoich twardych jak skała herbatników. Harry tak zgłodniał, że nawet kuchnia Hagrida go nie odstraszyła, i natychmiast poczęstował się ciastkiem.

- Hagridzie - zaczęła niepewnie Hermiona, gdy olbrzym przysiadł się do nich i zaczął obierać ziemniaki tak brutalnie, jakby każdy z nich wyrządził mu krzywdę.

- Wiesz, my chcieliśmy dalej się uczyć opieki nad magicznymi stworzeniami... - Hagrid znów głośno pociągnął nosem. Harry'emu wydało się, że parę smarków wpadło przy tym do ziemniaków i ucieszył się, że nie przyszli do Hagrida na obiad.

- Naprawdę! - zapewniła. - Tylko że już nie mamy rady wziąć tylu lekcji!

- Jasne - powtórzył Hagrid.

Rozejrzeli się nagle dookoła, gdy rozległ się dziwny, chlupoczący dźwięk; Hermiona pisnęła cichutko a Ron zeskoczył z krzesła i odbiegł wokół stołu jak najdalej od wielkiej beczki w kącie, na którą dotąd ledwie zwracali uwagę. Beczka pełna była czegoś w rodzaju długich na stopę czerwi, oślizgłych, białych i wijących się.

- Co to jest, Hagridzie? - zapytał Harry, starając się, by zabrzmiało to, jakby go to interesowało, a nie brzydziło, ciastko jednak odłożył.

- Normalnie, wielkie pędraki - odezwał się Hagrid.

- A co z nich wyrosnie? - spytał Ron z obawą.

- Nic z nich nie wyrosnie - odparł Hagrid. - Aragoga nimi karmię.

I nagle, niespodziewanie, załzał się łzami.

- Hagridzie! - krzyknęła Hermiona zrywając się na nogi, obiegła stół mijając z dala beczkę z czerwiami i objęła jego dygocące ramiona. - Co się stało?

- Bo... on... - czknął Hagrid, zalewając się łzami i wycierając twarz fartuchem. - No... Aragoga... On umiera chyba... Zachorował w lecie, a jeszcze mu się wcale nie poprawiło... Nie wiem, co ja zrobię, jak on... Jak... Tak żeśmy długo razem byli...

Hermiona poklepała Hagrida po ramieniu, nie wiedząc chyba, co właściwie powiedzieć. Harry rozumiał, jak się czuła. Wiedział, że Hagrid dał groźnemu - choć małemu - smokowi pluszowego misia w prezencie; widywał, jak półolbrzym nuci gigantycznym skorpionom, wyposażonym w ssawki i żądła, próbował dyskutować z jego brutalnym, gigantycznym braciszkiem, tu jednak chodziło o najbardziej chyba niepojętą z potwornych fascynacji Hagrida: Aragoga, olbrzymiego, mówiącego pająka, zamieszkującego w głębi Zakazanego Lasu, z którego legowiska Harry i Ron cztery lata temu ledwie uszli z życiem.

- Czy my... Czy coś możemy dla ciebie zrobić? - zapytała, ignorując Rona, który robił przerażone miny i gorączkowo potrząsał głową.

- Oj, chyba nie, Hermiono - odpowiedział przytłumionym głosem Hagrid, próbując ocierać lzy.

- Wiecie, reszta plemienia... No, rodzinka Aragoga... Sie trochę dziwne robią, jak on jest chory. Rozdrażnione takie...

- Taak, trochę już je od tej strony poznaliśmy - mruknął Ron.

- Wątpię, żeby teraz kto prócz mnie pod ich kolonię mógł lazić, bo i niebezpiecznie - dokończył Hagrid i głośno wysmarkał się w fartuch, nim znów na nich spojrzal. - Ale dzięki, Hermiono... Miło z twojej strony.

Po tej wymianie zdań atmosfera wyraźnie się oczyściła, bo chociaż Harry i Ron niczym nie okazali, że chcieliby pójść karmić wielkimi pędrakami pająka-olbrzyma o morderczym usposobieniu, Hagrid przypuszczalnie założył, że chętnie to zrobią, i znów był sobą.

- Ech, zawsze żem wiedział, że ciężko by wam było jeszcze i mnie w plan lekcji upchnąć - zaburczał, dolewając im herbaty. - Nawet, jakbyście się o zmieniacze czasu postarali.

- Nie mogliśmy - odpowiedziała Hermiona.

- Rozbiliśmy w czerwcu w ministerstwie całą gablotę zmieniaczy czasu. Pisali o tym w *Proroku*.

- A, co tam - machnął ręką Hagrid. - Jak nie możecie,

to nie możecie. I się nie gniewajcie, że byłem... no wiecie. Jam się tylko o Aragoga martwił. I czy jakby was profesor Grubbly-Plank uczyła...

Wszyscy troje oświadczyli kategorycznie, choć niezgodnie z prawdą, że profesor Grubbly-Plank, która kilka razy zastępowała Hagrida, jest kiepską nauczycielką, dzięki czemu o zmroku, kiedy opuszczali chatę Hagrida a on machał im na pożegnanie, wyglądał już całkiem pogodnie.

- Umieram z głodu - oznajmił Harry, kiedy już drzwi się za nimi zamknęły, zaś oni śpieszyli przez opustoszałe błonia, nad którymi zdążyło się ściemnić. Zrezygnował z ciastek Hagrida po tym, jak coś podejrzanie zaczęło mu trzeszczeć w zębach.

- A wieczorem mam ten szlaban u Snape'a, prawie nie będę miał czasu na obiad.

Wchodząc do zamku zobaczyli, jak Cormac McLaggen wkracza do Wielkiej Sali. Musiał dwa razy próbować trafić w drzwi, gdyż za pierwszym odbił się od framugi. Ron tylko zarżał na ten widok ze śmiechu i wszedł za McLaggenem do Sali, ale Harry złapał Hermionę za ramię i zatrzymał ją.

- No co? - zapytała obronnym tonem.

- Jeśli chcesz wiedzieć - rzekł cicho Harry - to McLaggen rzeczywiście wygląda, jakby dostał zaklęciem Confundus. A stał dzisiaj dokładnie na wprost miejsca, gdzie siedziałaś.

Hermiona splonęła rumieńcem.

- No dobrze, zrobiłam to - wyszeptwała. - Ale chyba słyszałeś, jak mówił o Ronie i Ginny! Zresztą ma wredny charakter, widziałeś, jak zareagował, kiedy się nie dostał; nie chciałbyś mieć kogoś takiego w drużynie.

- Nie chciałbym - odpowiedział. - Chyba faktycznie bym nie chciał. Ale czy to nie było nieuczciwe, Hermiono? To znaczy... Przecież jesteś prefektem!

- Aj, przestań - rzuciła, a Harry się uśmiechnął.

- Co wy robicie? - spytał Ron, który właśnie pojawił się znowu w wejściu do Wielkiej Sali i przyjrzał im się podejrzliwie.

- Nic - odpowiedzieli jednocześnie i szybko ruszyli za Ronem. Od woni pieczeni Harry'ego aż skręcało. Tylko jednak zdążyli postawić raptem trzy kroki w stronę stołu Gryffindoru, gdy profesor Slughorn zastąpił im drogę.

- Harry, Harry, ciebie właśnie chciałem zobaczyć! - zahuczał kordialnie, kręcąc sumiastego węża i wypinając ogromny brzuch. - Miałem nadzieję, że złapię cię jeszcze przed obiadem! Co byś powiedział, żeby zamiast na obiad, przyjść wieczorem na kolacyjkę w moich skromnych progach? Urządzamy małe przyjęcie, tylko dla kilku wschodzących gwiazd, przyjdą McLaggen i Zabini, i uroczą Melinda Bobbin, znasz ją? Jej rodzina ma sieć aptek. No i, oczywiście, mam nadzieję, że również panna Granger zaszczyci mnie swoją obecnością.

Slughorn skłonił się lekko Hermionie po tych słowach. Odnosiło się wrażenie, że Ron jest nieobecny, profesor ledwie na niego spoglądał.

- Nie mogę, panie profesorze - odpowiedział od razu Harry. - Mam szlaban u profesora Snape'a.

- Ojej! - uśmiech na twarzy Slughorna zgasł w komiczny sposób - Ojej, ojej! Liczyłem na ciebie, Harry! Cóż, będę musiał szepnąć Severusowi słówko i wyjaśnić sytuację. Na pewno go przekonam, żeby przelożył twój szlaban. O tak, zobaczymy się później! - I opuścił w pośpiechu Salę.

- Nie ma szans, żeby przekonał Snape'a - mruknął Harry, kiedy już Slughorn oddalił się poza zasięg głosu. - Ten szlaban już jest przelożony, Snape dla Dumbledore'a się zgodził, ale dla nikogo innego się nie zgodzi.

- Och, tak bym chciała, żebyś mógł przyjść, ja nie chcę tam iść sama! - oznajmiła Hermiona z niepokojem; Harry wiedział, że myślała o McLaggenie.

- Sama raczej nie będziesz, on pewnie Ginny też zaprosi - wtrącił Ron, któremu wyraźnie się nie podobało, że Slughorn go ignoruje.

Po posiłku skierowali się z powrotem do wieży Gryffindoru. Pokój wspólny był zatłoczony, gdyż

większość uczniów zdążyła już skończyć obiad, znaleźli jednak wolny stolik i usiedli; Ron, od spotkania ze Slughornem w kiepskim humorze, z założonymi rękami gapił się w sufit. Hermiona sięgnęła po *Proroka Wieczornego*, którego ktoś pozostawił na krześle.

- Coś nowego? - spytał Harry.

- Niespecjalnie. - Hermiona otworzyła gazetę i przeglądała kolejne strony. - O, popatrz, Ron, jest o twoim tacie... Nic mu nie jest! - dodała szybko, gdy Ron oglądał się z przerażeniem. - Jest tylko napisane, że był w domu Malfoyów. *"Kolejne przeszukanie rezydencji tego śmierciożercy najwyraźniej nie przyniosło rezultatów. Artur Weasley z Urzędu Wykrywania i Konfiskaty Fałszywych Zakładów Obronnych i Przedmiotów Ochronnych powiedział, że jego grupa kierowała się poufną informacją"*.

- Tak, moją! - krzyknął Harry. - Powiedziałem mu na dworcu Kings Cross o Malfoju i o tym, co Malfoy chciał u Borgina naprawić! Skoro Malfoy nie trzyma tego w domu, musiał to przywieźć do Hogwartu, cokolwiek to jest, i...

- Ale jak miał to zrobić, Harry? - Hermiona odłożyła gazetę ze zdumioną miną. - Przecież wszystkich nas przeszukano po przyjeździe!

- Naprawdę? - zdziwił się Harry. - Mnie nie!

- No tak, oczywiście; zapomniałam, że się spóźniłam. W każdym razie Filch wszystkich nas sprawdził czujnikami tajności, kiedy byliśmy w sali wejściowej. Każdy czarnoksięski drobiazg by się znalazł, wiem na pewno, że Crabbe'owi skonfiskowali zmniejszoną czaszkę. Czyli Malfoy nie mógł wnieść nic niebezpiecznego!

Harry, któremu na chwilę odebrało mowę, zapatrzył się, jak Ginny bawi się ze swoim pufkiem pigmejskim Arnoldem, nim wpadł na pomysł jak ominąć tę trudność.

- Więc ktoś mu to przysłał sową - zdecydował. - Może jego matka.

- Wszystkie sowy też są sprawdzane - odparowała Hermiona. - Filch nam powiedział, kiedy dźgał nas tymi czujnikami gdzie popadło.

Tym razem Harry'emu skończyły się pomysły, więc już się nie odezwał. Wyglądało na to, że Malfoy nie miał możliwości wniesienia czegokolwiek niebezpiecznego czy czarnoksięskiego na teren szkoły. Harry spojrzął z nadzieją na Rona, siedzącego z założonymi rękami i gapiącego się na Lavender Brown.

- Masz jakiś pomysł, jak Malfoy...

- Skończ z tym, Harry - odpowiedział Ron.

- Słuchaj, to nie moja wina, że Slughorn zaprosił Hermionę i mnie na to swoje głupie przyjęcie, przecież wiesz, że nie chcieliśmy iść! - zirytował się Harry.

- Cóż, skoro mnie nigdzie nie zapraszają - Ron podniósł się - to idę spać.

I pomaszzerował w stronę dormitoriów chłopców, a Harry i Hermiona odprowadzili go wzrokiem.

- Harry? - odezwała się nowa ścigająca, Demelza Robbins, zjawiając się nagle obok niego. - Masz wiadomość.

- Od profesora Slughorna? - spytał z nadzieją, prostując się.

- Nie... Od profesora Snape'a - odpowiedziała Demelza. Serce Harry'ego zamarło. - Masz przyjść dzisiaj wieczorem na szlaban do jego gabinetu, o wpół do dziewiątej. Eee... niezależnie od tego, ile zaproszeń dostaniesz. Chciał, żeby ci powiedzieć, że będziesz oddzielał gnijące gumochłony od tych nadających się do eliksirów i... że nie będziesz potrzebował rękawic ochronnych.

- Świetnie - odparł grobowym głosem. - Wielkie dzięki, Demelzo.

Tłumaczył asdfasdf



Srebro i opale

Gdzie był Dumbledore i co robił? W ciągu kolejnych kilku tygodni Harry zdołał zobaczyć go tylko dwa razy. Rzadko pojawiał się na posilkach i Harry uznał, że Hermione miała rację uważając, że przebywa po kilka dni poza szkołą. Czy Dumbledore zapomniał o lekcjach, których miał udzielać Harry'emu? Mówił, że miały prowadzić do czegoś związanego z przepowiednią. Poprawiały Harry'emu samopoczucie i dodawały otuchy, a teraz czuł się nieco opuszczony.

W połowie października nadszedł czas pierwszego w tym semestrze wyjścia do Hogsmeade. Harry zastanawiał się, czy te wycieczki nie zostaną wstrzymane z powodu zaostrzenia zasad bezpieczeństwa wokół szkoły, ale z przyjemnością dowiedział się, że będą kontynuowane. Zawsze miło było wyrwać się ze szkoły na kilka godzin.

W dniu wyjścia do Hogsmeade Harry obudził się

wcześnie rano. Zanosiło się na burzę. Czas do śniadania spędził na czytaniu swojego podręcznika eliksirów. Leżenie w łóżku i czytanie podręczników nie należało do zwyczajów Harry'ego. Taki rodzaj zachowania, jak dosadnie określał je Ron, przynosił ujmę każdemu, z wyjątkiem Hermiony, która po prostu miała obsesję na tym punkcie. Harry czuł jednak, że wersja *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych* Półkrwi Księcia niekoniecznie była podręcznikiem. Im więcej Harry śleczął nad tą książką, tym bardziej zdawał sobie sprawę, jak wiele zawierała, nie tylko użytecznych wskazówek i ułatwień dotyczących warzenia eliksirów, dzięki którym Harry błyszczał na lekcjach, ale również pomysłowych drobnych uroków i klątw nagryzmołonych na marginesach, które, Harry był tego pewien z powodu skreśleń i poprawek, były wynalazkami samego Księcia.

Chłopak wypróbował już kilka z nich, między innymi zaklęcie powodujące przyśpieszony wzrost paznokci u nóg (przechodząc korytarzem wypróbował je na Crabbellie, z zachwycającym rezultatem). Było tam również zaklęcie przyklejające język do podniebienia, (którego użył dwukrotnie, ku ogólnej radości, na niczego się nie spodziewającym Filchu). Jednak najbardziej użyteczne ze wszystkich, okazało się *Muffliato*, zaklęcie wypełniające uszy wszystkich znajdujących się w pobliżu niemożliwym do zidentyfikowania brzęczeniem, tak że długie rozmowy mogły być prowadzone na lekcjach bez ryzyka, że ktoś je podsłucha. Jediną osobą, której te zaklęcia nie przypadły do gustu, była Hermiona, która przywoływała potępiający wyraz twarzy i, jeśli Harry użył zaklęcia *Muffliato*, całkowicie odmawiała rozmowy.

Siadając na łóżku, Harry przekręcił książkę na bok, żeby móc się dokładniej przyjrzeć się instrukcjom do zaklęcia, które wydawało się sprawiać Księciu nieco kłopotów. Było wielokrotnie pokreślone i pozmieniane, ale ostateczna, wciśnięta w róg strony wersja głosiła:

Levicorpus (Bezg.)

Kiedy wiatr i grad waliły bezlitośnie o szyby, a Neville chrapał głośno, Harry gapił się na litery w nawiasie. Bezg... to musi być skrót *bezglłośne*. Harry raczej wątpił, że zdoła opanować to szczególne zaklęcie. Wciąż miał trudności z zaklęciami bez inkantacji, czego Snape nie omieszkiał komentować na każdej lekcji OPCMu. Z drugiej strony, Księżę zdążył już udowodnić, że jest znacznie skuteczniejszym nauczycielem niż Snape.

Nie wskazując różdżką niczego konkretnego, machnął w górę i powiedział w myślach *Levicorpus!*

- Aaaaaaaaaau!

Błysnęło i pokój wypełniły głosy - wszyscy się obudzili, kiedy Ron krzyknął. Harry spanikował i upuścił *Warzenie eliksirów dla zaawansowanych*. Ron wisiał w powietrzu do góry nogami tak, jakby był zaczepiony za kostkę na niewidzialnym haku.

- Przepraszam! - zawołał Harry. W tym samym czasie Dean i Seamus ryknęli śmiechem, a Neville zbierał się z podłogi, jako że wcześniej spadł z łóżka. - Trzymaj się! Zaraz ściągnę cię na dół...

Po omacku znalazł podręcznik i kartkował go w panice, próbując znaleźć właściwą stronę. W końcu znalazł i odcyfrował słowa nagryzmołone pod zaklęciem. Modląc się, żeby były przeciwzaklęciem, skupił się jak tylko mógł na słowie *Liberacorpus!*. Kolejny błysk światła i Ron spadł jak worek kartofli na materac.

- Przepraszam - powtórzył Harry słabo, gdy Dean i Seamus wciąż ryczeli ze śmiechu.

- Jutro rano, - powiedział Ron zduszonym głosem - wolalbym, żebyś nastawił sobie budzik.

Zanim się ubrali, opatulając kilkoma ręcznie wydzierganymi przez panią Weasley swetrami, szalikami i płaszczami, Ron ochłonął z szoku i zdecydował, że nowe zaklęcie Harry'ego jest jednak bardzo zabawne. Tak bardzo zabawne, że bezzwłocznie opowiedział o nim Hermionie.

- ... i wtedy błysnęło kolejny raz, światło, a ja znowu wylądowałem na łóżku! - Ron wyszczerzył się w szerokim uśmiechu, przysuwając sobie kielbaski.

Hermiona nie uśmiechnęła się ani razu w czasie tej opowieści, a teraz patrzyła na Harry'ego z wyraźną dezaprobatą.

- Czy to zaklęcie nie pochodziło przypadkiem z *tego* twojego podręcznika do eliksirów? - spytała.

Harry skrzywił się.

- Zawsze wyciągasz najgorsze możliwe wnioski.

- Pochodziło?

- No dobra... pochodziło, ale co z tego?

- Więc tak po prostu postanowiłeś wypróbować nieznaną, ręcznie napisaną inkantację i zobaczyć co się stanie?

- A jakie to ma znaczenie, że była napisana ręcznie? - odpowiedział Harry, starając się uniknąć odpowiedzi na dalszą część pytania.

- Ponieważ, prawdopodobnie nie jest zatwierdzone przez Ministerstwo Magii. A poza tym - dodała kiedy Harry i Ron zgodnie wywrócili oczami - zaczynam myśleć, że ten Książę miał nieco wredny charakter.

Obaj natychmiast zaczęli głośno protestować.

- To był tylko żart! - powiedział Ron, otwierając butelkę keczupu nad swoimi kielbaskami. - Żart! Nic więcej!

- Wieszanie ludzi do góry nogami za kostkę? Kto poświęca swój czas i energię na opracowywanie tego rodzaju zaklęć?

- Fred i George - odparł Ron, wzruszając ramionami.

- To zupełnie w ich stylu. I, e...

- Mój ojciec - powiedział Harry, który dopiero w tym momencie zdał sobie z tego sprawę.

- Co? - zawołali Ron i Hermiona razem.

- Mój ojciec używał tego zaklęcia - wyjaśnił Harry.

- Ja... Lupin mi powiedział.

To ostatnie nie było prawdą. W rzeczywistości Harry widział swojego ojca używającego tego zaklęcia na Snape'ie, ale nigdy nie powiedział Ronowi i Hermionie o tej wyprawie do myśloidsiewni. Jednak w tym momencie uderzyła go wspaniała możliwość. Czy Książę Półkrwi mógł być... ?

- Harry, może twój tata używał go - zaczęła Hermiona

- ale nie on jeden. Jakbyś zapomniał, widzieliśmy wielu ludzi posługujących się tym zaklęciem. Bujanie ludźmi w powietrzu. Sprawianie, żeby unosili się podczas snu, bezbronni.

Harry spojrział na nią. Z nieprzyjemnym uczuciem przypomniał sobie zachowanie śmierciożerców na Mistrzostwach Świata w Quidditchu. Ron pośpieszył mu z pomocą.

- To było co innego - powiedział z naciskiem. - Oni go nadużywali. Harry i jego tata robili to tylko dla żartów. Ty po prostu nie lubisz Księcia, Miona - dodał, oskarżycielsko celując w nią kielbaską - bo jest lepszy niż ty w eliksirach...

- To nie ma nic do rzeczy! - odpowiedziała, robiąc się czerwona. - Po prostu uważam za wyjątkowo nieodpowiedzialne używanie zaklęć, o których się nawet nie wie, do czego służą i przestań mówić o *Księciu* jakby to był jego tytuł! Mogę się założyć, że to tylko głupi pseudonim i wcale mi się nie wydaje, żeby był jakimś miłym człowiekiem.

- Nie rozumiem, skąd ci się to wzięło - powiedział Harry gorączkowo. - Gdyby miał być przyszłym śmierciożercą, nie chwaliłby się, że jest *półkrwi*, nieprawdaż?

Kiedy tylko to powiedział, przypomniał sobie, że jego ojciec był czystej krwi, ale odepchnął tę myśl. Będzie się tym martwił później.

- Wszyscy śmierciożercy nie mogą być czystej krwi, bo nie ma aż tylu czarodziei pochodzących ze starych rodów - twierdziła uparcie Hermiona. - Myślę, że większość z nich jest półkrwi i tylko udają, że są czystej. Nienawidzą tylko urodzonych wśród mugoli, byliby całkiem zadowoleni, gdybyście ty i Ron zechcieli się do nich dołączyć.

- Nie ma mowy, żeby mnie przyjęli do śmierciożerców - powiedział Ron urażony. Kawalek kielbaski spadł z widelca, którym wymachiwał w stronę Hermiony, i uderzył Erniego Macmillana w głowę. - Cała moja rodzina to zdrajcy krwi! To dla nich tak samo godne pogardy jak urodzenie wśród mugoli!

- A mną byliby zachwyceni - stwierdził Harry z sarkazmem. - Bylibyśmy najlepszymi kumplami, gdyby tylko ciągle nie próbowali mnie załatwić.

To wystarczyło, żeby Ron wybuchnął śmiechem. Nawet Hermiona uśmiechnęła się niechętnie. Pojawienie się Ginny odwróciło ich uwagę od tematu.

- Hej Harry, miałam ci to przekazać.

Był to zwój pergaminu z imieniem Harry'ego na wierzchu, napisanym znajomym, wąskim, pochyłym pismem.

- Dzięki, Ginny... To od Dumbledore'a, o następnej lekcji - poinformował Rona i Hermionę, rozwijając zwój i szybko zapoznając się z jego treścią. - W poniedziałek wieczorem. - Nagle poczuł się lekko i szczęśliwie. - Masz ochotę dołączyć do nas w Hogsmeade, Ginny? - spytał.

- Idę z Deanem, ale może zobaczymy się na miejscu - odpowiedziała, machając im na pożegnanie.

Filch, jak zwykle stał przy dębowych drzwiach frontowych, sprawdzając nazwiska osób mających pozwolenie na wyjście do Hogsmeade. Proces ten trwał dłużej niż zwykle, ponieważ woźny sprawdzał każdego trzykrotnie za pomocą czujnika tajności.

- Jakie to ma znaczenie, jeśli chcemy coś wynieść ze szkoły? - irytował się Ron, rzucając długiemu czujnikowi sekretów nieprzychylnie spojrzenie.

- Z całą pewnością powinno się sprawdzać, co się wnosi z powrotem *do* zamku? Jego tupet zapewnił mu kilka dodatkowych pociągnięć czujnikiem. Wciąż się krzywił, kiedy wyszli na wiatr i śnieg na zewnątrz.

Droga do Hogsmeade nie należała do przyjemnych. Harry owinął sobie brodę szalikiem, jednak odsłonięta część twarzy wkrótce skostniała. Ścieżka prowadząca do wioski była pełna uczniów zgiętych w pół, usiłujących ochronić się przed powiewami przejmująco zimnego wiatru. Harry nie raz zastanawiał się, czy nie lepiej było jednak zostać w ciepłym pokoju wspólnym, kiedy w końcu dotarli do Hogsmeade i zobaczyli, że sklep Zonka został zabity deskami. Harry uznał to za potwierdzenie, że tej wycieczce nie było pisane,

należć do grona radosnych. Ręką w grubej rękawiczce Ron wskazał w kierunku Miodowego Królestwa, które, chwała Merlinowi, było otwarte. Harry i Hermiona powlekli się w ślad za nim w stronę zatłoczonego sklepu.

- Dzięki Bogu - wykrztusił Ron, kiedy owionęło ich ciepłe, powietrze o zapachu toffi. - Zostańmy tu całe popołudnie.

- Harry, mój chłopcze - rozległ się za nimi grzmiący głos.

- Och nie... - mruknął Harry. Cała trójka odwróciła się, żeby zobaczyć profesora Slughorna, ubranego w wielki futrzany kapelusz i płaszcz z pasującym do kołnierzem, z wielką torbą z kandyzowanych ananasów, zajmującego przynajmniej połowę sklepu.

- Harry, przegapiłeś już trzy z moich małych spotkań - powiedział Slughorn trącając go dobrodusznie w pierś.

- Tak się nie da, mój chłopcze. Nie odpuszczę! Panna Granger uwielbia te kolacje, nieprawdaż?

- Oczywiście - zaczęła Hermiona z rezygnacją

- są naprawdę...

- Więc czemu nie wpadniesz, Harry? - nie ustępował Slughorn.

- Mamy treningi quidditcha, profesorze - odpowiedział Harry, który rzeczywiście przesuwiał godziny treningów za każdym razem, kiedy otrzymywał *niewielkie* zaproszenie przewiązane fioletową wstążką. Ta strategia oznaczała dodatkowo, że Ron nie był pozostawiany samemu sobie. Zwykle doskonale się z Ginny bawili, wyobrażając sobie Hermionę siedzącą z McLaggenem i Zabinim.

- No tak, spodziewam się, że wygracie swój pierwszy mecz po tak ciężkiej pracy! - powiedział Slughorn.

- Ale odrobina wypoczynku jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Co powiesz na poniedziałkowy wieczór? Nie zamierzałeś chyba trenować w taką pogodę?

- Nie mogę, profesorze. Jestem umówiony z... eee, profesorem Dumbledore'em.

- Znowu pech! - zawołał Slughorn dramatycznym tonem. - No dobrze... Nie możesz unikać mnie bez

końca, Harry!

Z królewskim gestem na pożegnanie, wytoczył się ze sklepu, zaszczyciwszy Rona taką dozą uwagi, jak gdyby był on leżącym na wystawie kawalkiem karaluchowego bloku.

- Nie mogę uwierzyć, że wymigales się od kolejnego spotkania - powiedziała Hermiona. - One nie są w sumie aż takie złe... Czasem jest nawet zabawnie...

- W tym momencie zauważyła wyraz twarzy Rona.

- O! Zobaczcie, mają cukrowe pióra w wersji de luxe. Będzie je można ssać godzinami!

Zadowolony z zaproponowanej przez Hermionę zmiany tematu, Harry okazał ogromnym cukrowym piórom bez porównania więcej zainteresowania, niż uczyniłby to normalnie, jednak Ron wciąż wyglądał na przygnębionego i ledwie wzruszył ramionami kiedy Hermiona spytała go, dokąd chciałby teraz pójść.

- Chodźmy do Trzech Miotel - zaproponował Harry.

- Tam przynajmniej będzie ciepło.

Ponaciągali szaliki z powrotem na twarze i wyszli z cukierni. Po jej słodkim ciepłe, przenikliwy wiatr siekł ich twarze niczym nożami. Ulica nie była zatłoczona, nikt nie zatrzymywał się żeby pogadać, każdy chciał jak najszybciej dotrzeć do celu. Wyjątek stanowili dwaj mężczyźni, stojący przed wejściem do Trzech Miotel. Jeden z nich był bardzo wysoki i chudy. Przez zapadane deszczem okulary, Harry rozpoznał barmana z drugiego pubu, *Pod Świńskim Łbem*. Kiedy Harry, Ron i Hermiona podeszli bliżej, barman szczelniej owinął się płaszczem i odszedł, pozostawiając niższego z pakunkiem, w którym grzebał zawzięcie. Byli ledwie o krok od niego, kiedy Harry go rozpoznał.

- Mundungus!

Krępy, krzywonogi mężczyzna z długimi, potarganymi, jasnobrązowymi włosami podskoczył i upuścił starą walizkę, która otworzyła się, ujawniając zawartość, mogącą stanowić wystawę sklepu ze starociami.

- Och, siema 'Arry - powiedział Mundungus Fletcher, wyjątkowo marnie imitując beztroski ton. - Nie pozwólcie mi zabierać wam czasu.

I zaczął zgarniać z ziemi rozrzuconą zawartość walizki, sprawiając przy tym wrażenie człowieka, który pragnie, zapaść się pod ziemię.

- Sprzedajesz te rzeczy? - spytał Harry, obserwując jak Mundungus zagarnia z ziemi asortyment niechłujnie wyglądających obiektów.

- No z czegoś trza żyć - odpowiedział Mundungus.

- Dawaj to!

Ron przystanął i podniósł z ziemi coś srebrnego.

- Chwileczkę - zaczął. - To mi wygląda znajomo...

- Dzięki! - przerwał Dung, wrywając mu puchar z rąk i upychając go z powrotem w walizce. - Dobra, to zobaczymy się... Auu!!

Harry przyparł Mundungusa do ściany pubu, chwytając go za gardło. Trzymając go mocno jedną ręką, drugą wyciągnął różdżkę.

- Harry! - wrzasnęła Hermiona.

- Wyniosłeś to z domu Syriusza - zaczął Harry, który był tak blisko Dunga, że czuł nieprzyjemny zapach starego tytoniu i spirytusu. - Jest oznaczony herbem Blacków.

- Ja... nie tego... co...? - belkotał Mundungus, powoli stając się purpurowy na twarzy.

- Co zrobiłeś? Wróciłeś tej samej nocy, kiedy zginął i obrabowałeś jego dom?! - warknął Harry.

- Ja... nie tego...

- Oddaj to!

- Harry, nie możesz! - wrzasnęła Hermiona, kiedy Dung zaczął robić się niebieski.

Nagle rozległ się głośny trzask i Harry poczuł jak coś odepchnęło jego ręce od gardła Mandungusa. Z trudem łapiąc powietrze i prychnąwszy, Fletcher złapał swoją walizkę i - pyk - deportował się.

Harry kłął na całe gardło, obracając się w miejscu, żeby zobaczyć, gdzie zniknął Mundungus.

- Wracaj, ty złodzieju...!

- Harry, to nie ma sensu. - Znikąd pojawiła się Tonks. Jej mysiego koloru włosy były mokre od rozpuszczonego śniegu. - Mundungus jest już pewnie w Londynie. Krzyk nie ma sensu.

- On okradł dom Syriusza! Okradł go!
- Tak, ale mimo wszystko - zaczęła Tonks, wydawało się, że ta informacja nie robiła na niej najmniejszego wrażenia - nie powinniście stać na zimnie. Odprowadziła ich wzrokiem do drzwi Trzech Miotel. Kiedy tylko Harry znalazł się w środku, wybuchł ponownie.
- On okradał Syriusza!
- Harry, wiem, ale proszę, nie krzycz tak, ludzie się gapią - wyszeptała Hermiona. - Idź i usiądź. Przyniosę ci coś do picia.
- Kiedy Hermiona powróciła do ich stolika kilka minut później, niosąc trzy butelki piwa kremowego, Harry wciąż się wściekał.
- Czy Zakon nie może kontrolować Mundungusa? - dopytywał się gniewnym szeptem. - Czy naprawdę nie mogliby chociaż powstrzymać go od wynoszenia z kwatery głównej wszystkiego, co nie jest przykręcone na stałe?
- Ciii! - próbowała go uciszyć Hermiona, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. Niedaleko siedziało kilku czarodziei, którzy przyglądali się Harry'emu z wielkim zainteresowaniem, a Zabini stał nonszalancko oparty o najbliższy filar. - Harry, mnie też to bardzo irytuje. To w końcu ciebie okradł...
- Harry udławił się piwem. Zapomniał, że teraz to on jest właścicielem numeru dwunastego przy placu Grimmauld.
- Racja, to teraz należy do mnie - przyznał. - Nic dziwnego, że nie ucieszył się na mój widok! Powiem Dumbledore'owi co jest grane, Fletcher tylko jego się boi.
- Dobry pomysł - wyszeptała Hermiona, wyraźnie zadowolona, że Harry się uspokoił. - Na co się tak gapisz, Ron?
- Na nic! - zawołał Ron, szybko odwracając wzrok od baru, ale Harry wiedział, że próbował spotkać spojrzenie atrakcyjnej barmanki, Madame Rosmerty, do której od dawna miał słabość.
- Sądzę, że to *nic* za moimi plecami nalewa ognistej -

zauważyła Hermiona zjadliwie.

Ron zignorował przycinek, sącząc swojego kremowca w czymś, co zapewne uważał za pełne godności milczenie. Harry myślał o tym, jak bardzo Siriusz nienawidził tych srebrnych pucharów. Hermiona bębniła palcami o blat, spoglądając to na Rona, to na bar.

- Może uznamy to za koniec atrakcji na dzisiaj i wrócimy do szkoły? - zaproponowała w momencie, kiedy Harry dopił ostatnią kroplę swojego piwa.

Pozostali przytaknęli. Wyjście nie należało do udanych, a pogoda stawała się coraz gorsza. Raz jeszcze owinęli się szczelnie płaszczami, opatulili szalikami, wciągnęli rękawiczki, podążając za Katie Bell i jej przyjaciółką opuścili pub i wyszli na główną ulicę. Kiedy z trudem brnęli przez błoto w kierunku Hogwartu, myśli Harry'ego podążyły za Ginny. Nie spotkali jej nigdzie, z pewnością dlatego, że siedziała teraz zadowolona, z Deanem, w herbaciarni Madame Puddifoot, przybytku szczęśliwych par. Pochmurniejac pochylił głowę pod naporem wiatru i śniegu z deszczem i brnął dalej.

Po jakimś czasie stało się jasne, że przynoszone przez wiatr głosy Katie i jej przyjaciółki stały się głośniejsze i bardziej gniewne. Harry mrużył oczy patrząc na ich niedalekie sylwetki. Najwyraźniej klóciły się o coś, co Katie trzymała w ręku. - To nie ma z tobą nic wspólnego, Leanne!

- Harry usłyszał głos Katie.

Skręcili na zakręcie ścieżki. Rozmokły śnieg padał intensywnie, osiadając na okularach Harry'ego. Kiedy wyciągnął rękę, żeby zetrzeć go rękawiczką, Leanne sięgnęła po paczkę trzymaną przez Katie, która szarpnęła ją z powrotem do siebie, i paczka upadła na ziemię.

W tym samym momencie, Katie wzbila się w powietrze. Nie tak jak Ron, podwieszony komicznie za kostkę, ale z gracją, rozkładając szeroko ramiona, jakby zrywała się do lotu. Jednak było w tym coś dziwnego i niepokojącego... Wiatr rozwiał jej włosy, ale oczy miała zamknięte, a twarz całkiem pozbawioną wyrazu.

Harry, Ron, Hermiona i Leanne zatrzymali się natychmiast, obserwując, co się dzieje. I wtedy, sześć stóp nad ziemią, Katie zaczęła straszliwie krzyczeć. Otworzyła szeroko oczy, ale cokolwiek widziała czy też czuła, najwyraźniej sprawiało jej ogromne cierpienie. Krzyczała i krzyczała. Leanne zaczęła krzyczeć. Chwyliła ją za kostki, próbując ściągnąć z powrotem na ziemię. Harry, Ron i Hermiona rzucili się w ich kierunku żeby pomóc, ale kiedy chwycili ją za nogi, sama na nich spadła. Harry i Ron zdołali ją złapać, ale tak bardzo się wrywała, że nie mogli jej utrzymać. Więc opuścili ją na ziemię, gdzie rzucała się i krzyczała, najwyraźniej nie będąc w stanie rozpoznać kogokolwiek z nich.

Harry rozejrzał się dookoła. Krajobraz wydawał się opustoszały.

- Zostańcie tu! - zawołał do pozostałych przekrzykując wycie wiatru. - Biegnę po pomoc.

Zaczął biec w kierunku zamku. Nigdy wcześniej nie widział nikogo, kto zachowywałby się tak, jak Katie i nie mógł wymyślić żadnej przyczyny takiego zachowania. Biegł pochylony wzdłuż ścieżki aż zderzył się z czymś, co wydawało się niedźwiedziem stojącym na tylnych łapach.

- Hagrid! - wydyszał, wyplątując się z żywopłotu, w który wpadł.

- Harry! - odpowiedział Hagrid. W jego brwiach i brodzie zalegał rozpuszczający się śnieg. Miał na sobie swój wielki, kosmaty płaszcz ze skór bobrów.

- Właśnie żem odwiedzał Graupa, on tera taki wygadany, że nie uwierzysz...

- Hagrid, komuś się coś stało, albo dostał klątwę, albo coś...

- Że co? - spytał Hagrid, pochylając się nisko, żeby mimo wycia wiatru móc usłyszeć, co Harry do niego mówi.

- Ktoś został przeklęty! - wrzasnął Harry.

- Przeklęty? Kto? Nie Ron, ani Hermiona?

- Nie, nie oni. Katie Bell, tędy...

Razem pobiegli z powrotem ścieżką. Szybko znaleźli

grupkę ludzi wokół Katie, która wciąż rzucała się i krzyczała, leżąc na ziemi. Ron, Hermiona i Leanne wciąż starali się ją uspokoić.

- Cofnijta się! - zawołał Hagrid. - Dajcie mi obaczyć!

- Coś jej się stało - płakała Leanne. - Nie mam pojęcia co...

Hagrid przyglądał się leżącej przez sekundę, po czym bez słowa pochylił się nad nią, podniósł na rękach z ziemi i pobiegł z nią w kierunku zamku. Rozdzierające krzyki Katie szybko przestały do nich docierać, i jedynym dźwiękiem było wycie wiatru.

Hermiona podeszła do płaczącej przyjaciółki Katie i objęła ją ramieniem.

- Jesteś Leanne, prawda?

Dziewczyna przytaknęła.

- To stało się zupełnie nagle, czy...?

- To się stało, kiedy torba się rozdarła - lkała Leanne, wskazując na rozmiękającą teraz brązową papierową torbę leżącą na ziemi. W rozdarciu coś polyskiwało zielono. Ron pochylił się i wyciągnął rękę w kierunku torby, ale Harry złapał go i pociągnął do tyłu.

- Nie dotykaj tego!

Sam też się schylił. Z papieru wystawał naszyjnik ozdobiony opalami.

- Ja już go kiedyś widziałem! - zawołał Harry, przyglądając mu się uważnie. - Leżał w gablocie, w sklepie Borgina i Burkes'a, wieki temu. Na metce było napisane, że jest przeklęty. Katie musiała go dotknąć. - Popatrzył na Leanne, która nie mogła opanować drżenia. - Skąd Katie go wytrzasnęła?

- Właśnie dlatego się kłóciliśmy. Wróciła z toalety w Trzech Miotłach niosąc go i powiedziała, że to ma być niespodzianka dla kogoś w Hogwarcie i ona musi ją dostarczyć. Dziwnie wyglądała, jak to mówiła... O nie, o nie, musiała być pod Imperiumem, a ja się nie zorientowałam!

Leanne znowu zaczęła szlochać. Hermiona łagodnie poklepała ją po ramieniu.

- Nie powiedziała, kto jej to dał?

- Nie... nie powiedziała mi... a ja powiedziałam, że jest

głupia i żeby nie brała tego do szkoły, ale ona mnie nie słuchała i... i wtedy chciałam zabrać jej to... i... i...

Leanne znów zaniósła się szlochem.

- Chodźmy lepiej do szkoły - powiedziała Hermiona, wciąż obejmując Leanne. - Dowiemy się, jak się czuje. Chodźmy...

Harry wahał się przez chwilę, ale w końcu ściągnął z szyi szalik i ignorując uwagi Rona, ostrożnie owinał nim naszyjnik i podniósł go.

- Powinniśmy go pokazać pani Pomfrey - stwierdził.

Podążając ścieżką za Hermioną i Leanne, Harry myślał intensywnie. Kiedy weszli na teren zamku nie mógł już dłużej zachowywać swoich myśli dla siebie.

- Malfoy wie o tym naszyjniku. Był na wystawie u Borgina i Burkes'a cztery lata temu. Widziałem, jak mu się uważnie przyglądał, kiedy ukrywałem się przed nim i jego ojcem. Właśnie *to* kupował tego dnia, kiedy go śledziliśmy! Przypomniał sobie o nim i wrócił po niego!

- Ja... Nie jestem pewien, Harry - zaczął Ron niepewnie. - Mnóstwo ludzi zagląda do Borgina i Burkes'a... Czy ta dziewczyna nie mówiła, że Katie dostała go w damskiej toalecie?

- Powiedziała, że miała go ze sobą kiedy wróciła z łazienki, niekoniecznie musiała go dostać w toalecie...

- McGonagall! - rzucił Ron ostrzegawczo.

Harry spojrział w górę. I rzeczywiście, przez padający śnieg z deszczem po kamiennych stopniach biegła im na spotkanie profesor McGonagall.

- Hagrid mówił, że wy czworo widzieliście, co stało się Katie Bell - Proszę natychmiast na górę, do mojego gabinetu! Co to jest, Potter?

- To jest to coś, czego Katie dotknęła - odpowiedział Harry.

- Merlinie! - zawołała profesor McGonagall. Wyglądała na przejętą, kiedy brała naszyjnik od Harry'ego. - Nie, nie, Filch, oni są ze mną! - dodała pospiesznie, widząc woźnego człapiącego przez wielki hol ze swoim czujnikiem tajności podniesionym wysoko i wyrazem pragnienia na twarzy. - Zanieś ten naszyjnik do

profesora Snape'a, bezzwłocznie, ale uważaj, żeby go nie dotknąć, trzymaj go w szaliku!

Harry wraz z pozostałą trójką udał się za panią profesor schodami na górę, do jej biura. Oblepione rozmiękłym śniegiem szyby drżały w swoich ramach i w całym pomieszczeniu, mimo płonącego w kominku ognia, panował chłód. McGonagall zamknęła drzwi i obeszła biurko, aby stanąć przodem do Harry'ego, Rona i Hermioną oraz wciąż płaczącej Leanne.

- Słucham - spytała ostro. - Co się stało?

Etapami, z wieloma przerwami, w czasie których próbowała zapanować nad szlochem, Leanne opowiedziała profesor McGonagall o tym, jak Katie poszła do łazienki w Trzech Miotłach i wróciła niosąc niczym nie wyróżniającą się paczkę, jak zachowanie Katie wydało się jej dziwne i jak pokłóciła się z nią, twierdząc, że to bardzo nierozsądne, zgodzić się dostarczyć do szkoły nieznanego obiektu, jak kłótnia skończyła się szamotaniną, w czasie której torba się rozdarła. W tym miejscu Leanne straciła kontrolę nad płaczem i nie udało się z niej wydobyć ani słowa więcej.

- Dobrze już, dobrze. Idź do skrzydła szpitalnego, niech Madame Pomfrey da ci coś na uspokojenie.

Kiedy Leanne wyszła, profesor McGonagall zwróciła się do pozostałej trójki.

- Co się stało, kiedy Katie dotknęła naszyjnika?

- Uniosła się w powietrze - zaczął Harry, zanim Ron czy Hermiona zdążyli cokolwiek powiedzieć.

- I zaczęła krzyczeć, a potem zemdląca. Pani profesor, czy mógłbym zobaczyć się z dyrektorem?

- Dyrektor wyjechał. Wróci dopiero w poniedziałek. - Profesor McGonagall wyglądała na zdziwioną.

- Wyjechał? - powtórzył Harry gniewnie.

- Tak, Potter, wyjechał! - potwierdziła cierpko.

- Ale cokolwiek masz do powiedzenia na temat tego strasznego wypadku, możesz z pewnością powiedzieć mnie.

Harry zawahał się na moment. Profesor McGonagall nie należała do osób, które zachęcają do wyznań.

Dumbledore, choć pod wieloma względami znacznie bardziej onieśmiałający, wydawał się jednak mniej skłonny wyśmiać jakąś teorię, nieważne jak bardzo nieprawdopodobną. Sprawa była poważna i nie czas było martwić się potencjalną śmiesznością.

- Myślę, że to Draco Malfoy dał Katie ten naszyjnik.

Po jego jednej stronie, Ron zaczął wycierać nos, wyraźnie zakłopotany. Po drugiej, Hermiona przestępowała z nogi na nogę, jakby chciała się od niego odsunąć.

- To bardzo poważne oskarżenie - powiedziała profesor McGonagall po chwili milczenia. - Czy masz na to jakieś dowody?

- Nie - zaczął Harry. - Ale... - i opowiedział jej o tym, co zobaczył i usłyszał śledząc Malfoya na Nokturnie. Kiedy skończył, McGonagall wyglądała na zmieszaną.

- Malfoy przyniósł coś do *Borgina i Burkes'a* do naprawy?

- Nie, pani profesor. Chciał tylko, żeby Borgin powiedział mu, jak tę rzecz naprawić, nie miał tego ze sobą. Ale nie o to chodzi. On wtedy coś kupił i myślę, że właśnie to właśnie ten naszyjnik...

- Widziałeś, jak Malfoy wyszedł ze sklepu niosąc podobną paczkę?

- Nie, pani profesor. Powiedział Borginowi, żeby zachował to w sklepie...

- Ale Harry - przerwała Hermiona - Borgin spytał go, czy chce to zabrać ze sobą, a Malfoy powiedział, że nie...

- Bo nie chciał tego dotykać, to oczywiste! - zawołał Harry ze złością.

- Dokładnie, to powiedział: *Jak bym wyglądał, niosąc coś takiego ulicą?* - przypomniała Hermiona.

- No cóż, z naszyjnikiem wyglądałby jak dureń - wtrącił Ron.

- Och, Ron - powiedziała Hermiona zrezygnowanym tonem. - Byłby zapakowany, więc nie musiałby go ani dotykać, ani nie miałby trudności ze schowaniem go pod płaszczem, więc nikt by nic nie zauważył! Myślę, że cokolwiek zarezerwował w sklepie Borgina, było

albo hałaśliwe, albo duże, ciężkie i nieporęczne, takie, że zwracałoby uwagę przechodniów. A poza tym - dodała z naciskiem, zanim Harry zdążył jej przerwać - pytałam Borgina o ten naszyjnik, nie pamiętasz? Kiedy weszłam do środka, żeby spróbować się dowiedzieć, co Malfoy odłożył, widziałam go wtedy. A Borgin po prostu podał mi cenę, nie powiedział, że jest już sprzedana, ani nic...

- No cóż, to było dosyć oczywiste, w przeciągu pięciu sekund zdał sobie sprawę, o co ci chodzi, więc nic ci nie powiedział. Poza tym, Malfoy mógł w międzyczasie posłać po ten...

- Wystarczy! - przerwała profesor McGonagall, kiedy Hermiona już otwierała usta, żeby mu odpowiedzieć.

- Potter, doceniam to, że mi o tym powiedziałaś, ale nie możemy uznać pana Malfoya za winnego tylko dlatego, że odwiedził sklep, w którym naszyjnik prawdopodobnie został kupiony, bo to samo odnosi się co najmniej setki innych osób...

- To samo mówiłem... - wtrącił cicho Ron.

- Poza tym, w tym roku znacznie podnieśliśmy standardy bezpieczeństwa wokół szkoły. Nie wierzę, że ten naszyjnik mógłby się dostać do szkoły bez naszej wiedzy...

- Ale...

- A ponadto - stwierdziła tonem definitywnie ucinającym wszelką dyskusję. - Pan Malfoy nie był dziś w Hogsmeade.

Harry ze zdumienia otworzył usta, wypuszczając powietrze.

- Jest pani pewna, pani profesor?

- Odbywał szlaban. Ze mną. Dwa razy z rzędu nie wykonał pracy domowej z transmutacji. Więc dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swoimi podejrzeniami, Potter

- powiedziała przechodząc koło nich - ale powinnam teraz udać się do skrzydła szpitalnego, żeby sprawdzić, jak czuje się Katie Bell. Miłego dnia.

Otworzyła drzwi gabinetu. Nie mieli innego wyboru, jak minąć ją bez słowa i wyjść.

Harry był zły na pozostałych, że wzięli stronę

McGonagall. Niemniej nie mógł się powstrzymać od wzięcia udziału w dyskusji nad ostatnimi wydarzeniami.

- Więc jak sądzicie, komu Katie miała oddać naszyjnik?

- spytał Ron, kiedy szli po schodach w kierunku pokoju wspólnego.

- Kto wie - odpowiedziała Hermione. - Ale ktokolwiek to był, miał szczęście. Nie mógł przecież otworzyć torby bez dotknięcia naszyjnika.

- Mogła być przeznaczona dla mnóstwa ludzi - stwierdził Harry. - Dla Dumbledore'a - śmierciożercy pewnie marzą, żeby się go pozbyć, musi być jednym z ich głównych celów. Albo Slughorn - Dumbledore sądzi, że Voldemort naprawdę chciał go mieć po swojej stronie i raczej się nie ucieszył, kiedy stanął po stronie Dumbledore'a. Albo...

- Albo dla ciebie - powiedziała Hermione, sprawiając wrażenie zakłopotanej.

- Raczej nie - odparł Harry. - Bo Katie po prostu by się odwróciła na ścieżce i dała mi paczkę, prawda? Szliśmy za nią od Trzech Miotel. Byłoby nawet rozsądniej, oddać paczkę poza Hogwartem, bo Filch dokładnie sprawdza wszystkich wchodzących i wychodzących. Zastanawiam się, dlaczego Malfoy kazał jej zabrać naszyjnik do zamku?

- Harry, Malfoya nie było w Hogsmeade! - przypomniała mu Hermione, tupiąc nogą z irytacji.

- Więc musiał się ktoś posłużyć. Crabbe'm albo Goyle'm, albo, jak się lepiej zastanowić, jakimś innym śmierciożercą, teraz ma pewnie znacznie lepszych goryli niż Crabbe i Goyle, teraz kiedy ma więcej wsparcia...

Ron i Hermione wymienili spojrzenia wyraźnie mówiące, że nie ma sensu z nim dyskutować.

- Zalewajka - powiedziała Hermione stanowczo, kiedy doszli do portretu Grubej Damy.

Portret odchylił się, odsłaniając wejście do pokoju wspólnego. Był pełen ludzi i zapachu przemoczonych ubrań. Najwyraźniej wiele osób zdecydowało się wrócić z Hogsmeade wcześniej z powodu okropnej pogody. Co dziwne, nie słychać było gwaru spekulacji i strachu.

Najwyraźniej wiadomość o wypadku Katie jeszcze tu nie dotarła.

- Kiedy się pomyśli, tak na spokojnie, to jednak nie był wyjątkowo podstępny atak - powiedział Ron, jakby nigdy nic spychając jakiegoś pierwszorocznika z dobrego fotela przy ogniu i siadając w nim samemu.

- Klątwa nie dostałaby się nawet do zamku. To chyba nie jest dobry przykład niezawodnego planu.

- Masz rację - przyznała Hermiona, kopiąc Rona w kostkę, żeby zszedł z fotela, po czym zaoferowała go z powrotem pierwszakowi. - Zdecydowanie nie należał do starannie przemyślanych.

- A od kiedy Malfoy zalicza się do grona najwybitniejszych światowych myślicieli? - spytał Harry.

Ani Ron, ani Hermiona nie odpowiedzieli.

Tłumaczyła Falco Malfoy



Skryty Riddle

Następnego dnia Katie została przeniesiona do Szpitala Magicznych Dolegliwości i Zranień imienia Świętego Munga. Do tego czasu wiadomość o tym, że rzucono na nią klątwę, rozeszła się po całej szkole, jednak szczegóły wciąż były zamieniane i chyba nikt poza Harrym, Ronem, Hermioną i Leanne nie wiedział, że sama Katie nie była zamierzonym celem.

- Och, ale Malfoy oczywiście wie - mówił Harry Ronowi i Hermionie, którzy trzymali się swojej nowej taktyki i udawali głuchych za każdym razem, gdy Harry zaczynał swoją gadkę pod tytułem Malfoy-Jest-Śmierciożercą.

Harry zastanawiał się, czy Dumbledore, gdziekolwiek był, zdąży wrócić na czas na kolejną lekcję, która miała się odbyć w poniedziałkowy wieczór. Jako że nie dostał informacji, jakoby lekcji miało nie być, stawiał się punktualnie o ósmej pod gabinet Dumbledore'a. Zapukał i usłyszał głos nakazujący mu wejść. W środku siedział Dumbledore. Wyglądał na niezwykle

zmęczonego. Jego ręka była nadal czarna i spalona, ale uśmiechnął się pokazując Harry'emu, by usiadł. Na biurku, jak ostatnio, stała myśłodsiewnia, rzucając na sufit srebrzyste plamy światła.

- Wiele się wydarzyło, kiedy mnie nie było - powiedział Dumbledore. - Słyszałem, że byłeś świadkiem wypadku Katie.

- Tak, panie profesorze. Jak ona się czuje?

- Nadal bardzo kiepsko, chociaż można powiedzieć, że miała szczęście. Wygląda na to, że musnęła o medalion bardzo małą powierzchnią skóry. W jej rękawiczce była maleńka dziurka. Gdyby go założyła, albo chociaż wzięła w nieosłoniętą dłoń, umarłaby, prawdopodobnie natychmiast. Na szczęście profesor Snape był w stanie uczynić dość, by zapobiec szybkiemu rozprzestrzenianiu się kłątwy...

- Dlaczego on? - spytał szybko Harry. - Dlaczego nie pani Pomfrey?

- Bezcelny - odezwał się cichy głos z jednego z portretów wiszących na ścianie. Fineas Nigellus Black, prapradziadek Syriusza, uniósł głowę ze swego ramienia, na którym zdawał się spać. - Za moich czasów nie pozwoliłbym uczniowi kwestionować sposobu, w jaki funkcjonuje Hogwart.

- Dobrze, dziękuję Fineasie - uciszył go Dumbledore.

- Harry, profesor Snape wie o wiele więcej na temat czarnej magii niż pani Pomfrey. W każdym razie lekarze ze świętego Munga co godzinę wysyłają mi sprawozdania i mam nadzieję, że z czasem Katie całkowicie dojdzie do siebie.

- Gdzie pan był w ten weekend, profesorze? - spytał Harry, ignorując silne przeczucie, że być może przeciąga strunę. Przeczucie najwyraźniej podzielał Fineas Nigellus, który syknął cicho.

- Wolalbym teraz o tym nie mówić - odparł Dumbledore. - Jednakże powiem ci w odpowiednim czasie.

- Naprawdę? - spytał zaskoczony Harry.

- Tak, tak myślę - powiedział Dumbledore, wyciągając z szat nową butelkę srebrzystych myśli i odkorkowując

ją dotknięciem różdżki.

- Profesorze... - odezwał się niepewnie Harry

- Spotkałem Mundungusa w Hogsmeade.

- Ach tak, dotarło już do mnie, że Mundungus traktuje twój spadek z lekceważeniem - Dumbledore zachmurzył się nieco. - Zapadł się pod ziemię od czasu waszego spotkania przy "Trzech Miotłach". Myślę, że jest przerażony na myśl o spotkaniu ze mną. Jak by nie było, możesz być spokojny, że nie wyniesie już żadnego przedmiotu, który należał do Syriusza.

- Ta parszywa stara szlama rozkradała dziedzictwo Blacków? - rozgniewał się Fineas Nigellus, po czym wymaszerował ze swojego obrazu, bez wątpienia po to, by odwiedzić swój portret na Grimmauld Place numer 12.

- Profesorze - odezwał się Harry po krótkiej przerwie.

- Czy profesor McGonagall przekazała panu to, co jej powiedziałem, po tym jak Katie została ranna? Na temat Draco Malfoya?

- Tak, opowiedziała mi o twoich podejrzeniach.

- I co pan...?

- Dołożę wszelkich starań, by przesłuchać każdego, kto mógł maczać palce w wypadku Katie - wyjaśnił Dumbledore. - Ale w tej chwili interesuje mnie nasza lekcja.

Słyszając to Harry poczuł się lekko urażony. Bo jeśli te lekcje były tak ważne, to czemu między pierwszą a drugą była taka długa przerwa? Jednak nie odezwał się już słowem na temat Draco Malfoya, patrzył tylko jak Dumbledore wlewa nowe wspomnienia do myślodsiewni i zaczyna obracać kamienną misę w swoich długich dłoniach.

- Z pewnością pamiętasz, że skończyliśmy historię początków Lorda Voldemorta w chwili, gdy przystojny mugol, Tom Riddle, porzucił swoją małżonkę-czarownicę Merope i powrócił do rodzinnego domu w Little Hangleton. Opuszczona Merope została w Londynie spodziewając się dziecka, które pewnego dnia miało stać się Lordem Voldemortem.

- Skąd pan wie, że była w Londynie, proszę pana?

- Dzięki świadectwu niejakiego Karaktakusa Burke'a - odparł Dumbledore. - Dziwnym zbiegiem okoliczności, był jednym z założycieli sklepu, z którego pochodził naszyjnik, o którym właśnie rozmawialiśmy.

Zamieszał zawartością myślodsiewni dokładnie tak, jak Harry już wcześniej widział - zupełnie jak poszukiwacz złota przepłukujący piasek. Ze srebrnej, wirującej masy uniósł się mały stary człowiek, obracający się z wolna w myślodsiewni. Był srebrny jak duch, jednak dużo bardziej materialny, z bujną kępą włosów, które całkowicie zakrywały jego oczy.

- Tak, zdobyliśmy go w interesujących okolicznościach. Został przyniesiony przez młodą czarownicę tuż przed Gwiazdką, wiele lat temu. Powiedziała, że bardzo potrzebuje złota. Cóż, to akurat było oczywiste. Ubrana w jakieś lachmany i w daleko posuniętej... wie pan, spodziewała się dziecka. Powiedziała, że medalion należał do Slytherina. Prawdę mówiąc na okrągło słyszymy tego rodzaju opowieści. "Och, to należało do Merlina, to jego ulubiona filiżanka". Ale kiedy spojrzałem na niego, zobaczyłem, że symbol się zgadza i do sprawdzenia wystarczyło kilka prostych zaklęć. Oczywiście to oznaczało, że jest niemal bezcenny. Kobieta nie miała najwyraźniej pojęcia, ile to jest warte. Cieszyła się z dziesięciu galeonów, które dostała za niego. To była najlepsza transakcja, jakiej kiedykolwiek dokonaliśmy!

Dumbledore zamaszycie wstrząsnął myślodsiewnią i Karaktakus Burke opadł w wirującą masę wspomnień, z której się wyłonił.

- Dał jej tylko dziesięć galeonów? - oburzył się Harry.

- Karaktakus Burke nie był znany ze swej hojności - odparł Dumbledore. - Wiemy zatem, że mając niedługo urodzić, Merope była sama w Londynie i bardzo potrzebowała złota. Tak bardzo, że sprzedała jedyną cenną rzecz, jaką posiadała - medalion, który był częścią rodzowego spadku, tak cenionego przez Marvola.

- Ale przecież mogła czarować! - zniecierpliwził się Harry. - Za pomocą magii mogła przecież zdobyć

jedzenie i wszystko inne, prawda?

- Ach, pewnie mogła - powiedział Dumbledore.

- Ale moim zdaniem, tu znów zgaduję, choć jestem pewien, że mam rację, kiedy mąż ją opuścił, Merope przestała używać magii. Myślę, że nie chciała już więcej być czarownicą. Oczywiście, mogło się zdarzyć, że nieodwzajemniona miłość i towarzysząca jej rozpacz wyssały z niej moc. W każdym razie, jak za chwilę zobaczysz, Merope zrezygnowała z użycia swej różdżki nawet po to, by ocalić własne życie.

- Nie chciała żyć nawet dla swego syna?

Dumbledore uniósł brwi.

- Czyżbyś współczuł Lordowi Voldemortowi?

- Nie - odparł szybko Harry - ale ona miała wybór, prawda? Nie tak jak moja mama...

- Twoja mama też miała wybór - powiedział spokojnie Dumbledore. - Tak, Merope Riddle wybrała śmierć, mimo iż potrzebował jej syn. Jednak nie osądzaj jej zbyt surowo, Harry. Była niezmiernie osłabiona przez długie cierpienie i nigdy nie posiadała odwagi twojej matki. A teraz, jeśli byłbyś łaskaw wstać...

- Dokąd idziemy? - spytał Harry, kiedy Dumbledore dołączył do niego przy biurku.

- Tym razem - odpowiedział Dumbledore - odwiedzimy moje wspomnienia. Myślę, że uznasz je zarówno za bogate w szczegóły, jak i wystarczająco dokładne. Ty pierwszy, Harry...

Harry pochylił się nad myślodsiewnią. Zanurzył twarz w chłodnej powierzchni wspomnienia i znów zaczął spadać poprzez ciemność... Chwilę później jego stopy uderzyły o twardy grunt. Otworzył oczy i spostrzegł, że stoi wraz z Dumbledore'em przy zgiełkowej ulicy Londynu sprzed lat.

- A oto i ja - oznajmił pogodnie Dumbledore, wskazując przed siebie, na wysoką postać, która przechodziła przez ulicę przed zaprzężoną w konie furmanką z mlekiem.

Młody Albus Dumbledore miał długie kasztanowe włosy i brodę. Znalazłszy się po ich stronie ulicy, ruszył chodnikiem, przyciągając wiele ciekawskich

spojrzeń. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że miał na sobie ostentacyjnie skrojony garnitur ze śliwkowofioletowego aksamitu.

- Niezły garnitur, profesorze - wyrwało się Harry'emu, nim zdołał się powstrzymać, ale Dumbledore tylko zachichotał, kiedy tak szli kawałek za jego młodszym wcieleniem. W końcu przeszli przez metalową bramę wkraczając na pusty dziedziniec, który poprzedzał posepny, czworokątny budynek otoczony wysokim ogrodzeniem. Dumbledore wszedł do góry po kilku schodach prowadzących do frontowych drzwi i zapukał raz. Po chwili czy dwóch drzwi otworzyła niechlujnie wyglądająca, odziana w fartuch dziewczynka.

- Dzień dobry. Jestem umówiony z panią Cole, która, jak sądzę, jest tu gospodynią.

- Och - wykrztusiła zaskoczona dziewczynka, zakłopotana ekscentrycznym wyglądem Dumbledore'a.

- Tego... no... chwi... PANI COLE! - wrzasnęła przez ramię.

Harry usłyszał odległy głos krzyczący coś w odpowiedzi. Dziewczynka obróciła się do Dumbledore'a.

- Proszę wejść, już idzie.

Dumbledore wkroczył do korytarza wyłożonego czarnymi i białymi płytkami. Całość wyglądała dość szpetnie, ale było tu nieskazitelnie czysto. Harry i starszy Dumbledore podążyli za nim. Zanim jeszcze drzwi frontowe zdążyły zamknąć się za nimi, na ich spotkanie wybiegła chuda, sterana kobieta. Miała twarz o ostrych rysach, na której malowała się raczej troska niż niezyczliwość. Idąc w stronę Dumbledore'a, głowę miała odwróconą do tyłu i wydawała polecenia innej pomocnicy w fartuchu.

- ...i zanieś jodynę na górę i daj Marcie. Billy Stubbs znowu rozdrapał swoje strupy, a Eric Whalley zabrudził ropą pościel. Jeszcze ospy nam tu brakowało - powiedziała już chyba sama do siebie i w tym momencie jej wzrok spoczął na Dumbledorze. Zdumiona zatrzymała się w miejscu, wyglądając jakby żyrafa przekroczyła właśnie jej progi.

- Dzień dobry - odezwał się Dumbledore, wyciągając dłoń. Panią Cole po prostu zatkało.

- Nazywam się Albus Dumbledore. Wysłałem do pani list, prosząc o spotkanie, a pani uprzejmie zaprosiła mnie tu dzisiaj.

Pani Cole zamrugła oczami. Najwyraźniej uznawszy, że Dumbledore nie jest przywidzeniem, odezwała się słabym głosem:

- Ach, tak. No cóż... dobrze więc... Tak, lepiej wejdźmy do mojego gabinetu.

Poprowadziła Dumbledore'a do małego pokoju, który był najwyraźniej po części poczekalnią, po części gabinetem. Wyglądał tak samo nędznie jak korytarz, a meble tu były stare i nie pasujące do siebie. Wskazała Dumbledore'owi rozklekotane krzesło i usadowiła się za zawalonym biurkiem obserwując go nerwowo.

- Przyszedłem tu, jak pisałem już w moim liście, by porozmawiać o Tomie Riddle'u i omówić kwestię jego przeszłości - oznajmił Dumbledore.

- Czy pan jest rodziną? - spytała pani Cole.

- Nie, jestem nauczycielem - wyjaśnił Dumbledore.

- Przybyłem aby zaoferować Tomowi miejsce w mojej szkole.

- Zatem co to za szkoła?

- Nazywa się Hogwart - odpowiedział Dumbledore.

- I jak to się stało, że jest pan zainteresowany Tomem?

- Uważamy, że posiada cechy, których oczekujemy.

- Chce pan powiedzieć, że wygrał stypendium? Jak to możliwe? Nigdy do żadnego nie był typowany.

- Cóż, jego imię przypisane było do naszej szkoły od samego urodzenia...

- Kto go zapisał? Jego rodzice?

Nie było wątpliwości, że pani Cole była kłopotliwie bystrą osobą. Dumbledore najwyraźniej uznał tak samo. Harry spostrzegł jak profesor wysuwa swoją różdżkę z kieszeni aksamitnego garnituru, w tej samej chwili podnosząc zupełnie pustą kartkę z biurka pani Cole.

- Proszę - powiedział Dumbledore i machnął raz różdżką pod stołem, podając jej papier. - Myślę, że to

wszystko wyjaśni.

Wzrok pani Cole rozmył się na chwilę i powrócił do normy, kiedy wpatrywała się intensywnie w pustą kartę papieru.

- Wygląda na to, że wszystko jest jak należy - odezwała się łagodnie, oddając kartkę. Następnie jej wzrok padł na butelkę ginu i dwie szklanki, których z pewnością nie było kilka sekund wcześniej.

- Eee... może poczęstuje się pan szklaneczką ginu? - spytała bardzo wytwornym głosem.

- Bardzo chętnie - rozpromienił się Dumbledore.

Szybko stało się jasne, że jeśli chodzi o picie ginu, pani Cole nowicjuską nie była. Nalawszy obojgu dość pokaźne porcje, wychyliła swoją szklankę jednym łykiem. Cmoknęła głośno i po raz pierwszy uśmiechnęła się do Dumbledore'a, który nie zawahał się skorzystać z okazji.

- Zastanawiałem się, czy mogłaby pani mi opowiedzieć coś o przeszłości Toma Riddle'a? Zdaje się, że urodził się tu, w sierocińcu?

- Zgadza się - przytaknęła pani Cole dolewając sobie ginu. - Pamiętam to bardzo dobrze, bo sama właśnie tu zaczynałam. Sylwester, siarczysty mróz, śnieg, wie pan. Paskudna noc. I wtedy przyszła ta dziewczyna, niewiele wtedy starsza ode mnie, chwając się i zataczając na frontowych schodach. Nie była zresztą pierwsza. Wpuściliśmy ją do środka i zanim minęła godzina, urodziła dziecko. Nie minęła następna, a ona była martwa.

Pani Cole pokiwała głową w zadumie i wzięła kolejny pokaźny łyk ginu.

- Czy powiedziała coś, zanim umarła? - spytał Dumbledore. - Może na przykład coś o ojcu dziecka?

- Skoro już o tym mówimy, to tak - odparła pani Cole, która zdawała się teraz nieźle bawić, mając szklaneczkę ginu w dłoni i publikę chętną do wysłuchania jej opowieści. - Pamiętam, jak mi powiedziała: "Mam nadzieję, że jest podobny do tatusia" i nie skłamię, jeśli powiem, że miała prawo tak myśleć, bo sama nie była żadną piękną. Potem powiedziała, że ma się

nazywać Tom, po jego ojcu, i Marvolo, po jej ojcu. Tak wiem, to śmieszne imię, prawda? Zastanawialiśmy się, czy nie była czasem z cyrku... I powiedziała, że na nazwisko ma mieć Riddle. I umarła chwilę później, nie mówiąc już ani słowa.

- I cóż, nazwaliśmy go dokładnie tak, jak chciała. Wyglądało na to, że to dla niej takie ważne, ale ani Tom, ani Marvolo, ani żaden Riddle nigdy nie zjawił się po niego, ani żadna inna rodzina, więc został w sierocińcu i od tamtej pory mieszka tutaj.

Pani Cole niemal odruchowo nalala sobie kolejną zdrową porcję ginu. Na jej policzkach pojawiły się dwie różowe plamy. Następnie stwierdziła:

- To zabawny chłopak.

- Tak - przytaknął Dumbledore, - myślałem, że tak będzie.

- Był też zabawnym dzieckiem. Prawie w ogóle nie płakał, wie pan. A później, kiedy trochę dorósł, był... dziwny.

- W jakim sensie dziwny? - spytał łagodnie Dumbledore.

- No, on...

Ale pani Cole zebrała się i nie było już nic rozmazanego czy mglistego w przeszywającym spojrzeniu, jakie rzuciła Dumbledore'owi znad swej szklanki ginu.

- Mówi pan, że stanowczo ma miejsce w pana szkole?

- Zdecydowanie - przytaknął Dumbledore.

- I nic, co powiem, tego nie zmieni?

- Nic - potwierdził Dumbledore.

- Zabierze go pan, bez względu na wszystko?

- Bez względu na wszystko - powtórzył poważnie Dumbledore.

Zerknęła na niego tak, jakby podejmowała decyzję, czy może mu zaufać, czy nie. Najwyraźniej zdecydowała, że może, bo powiedziała z pośpiechem:

- On straszy inne dzieci.

- Chce pani powiedzieć, że znęca się nad nimi? - spytał Dumbledore.

- Tak myślę - pani Cole zmarszczyła lekko brwi, - ale

bardzo trudno jest go na tym przyłapać. Miały miejsce zdarzenia... paskudne rzeczy...

Dumbledore nie naciskał, choć Harry widział, że był zainteresowany. Kolejny raz łyknęła ginu i jej różowe policzki jeszcze bardziej nabrały rumieńców.

- Królik Billa Stubbsa... cóż, Tom powiedział, że tego nie zrobił i nie wiem, jak miałby to zrobić, ale tak czy siak, zwierzak sam się nie powiesił u krokwi.

- No nie wydaje mi się, nie - przytaknął cicho Dumbledore.

- Ale niech mnie diabli, jeśli wiem, jak dostał się na górę, żeby to zrobić. Wiem tylko, że on i Billy pokłócili się dzień wcześniej. Innym razem - pani Cole wzięła następny haust ginu, rozlewając przy tym trochę na brodę - na letniej wycieczce... zabieramy ich, wie pan, raz do roku na wieś czy nad morze...

- W każdym razie Amy Benson i Dennis Bishop nigdy nie doszli do siebie po tym, co się stało. Wszystko co z nich wyciągnęliśmy to tyle, że poszli do jakiejś jaskini z Tomem Riddle'em. Ten przysięgał, że tylko zwiedzali jaskinię, ale coś się tam stało, jestem tego pewna. Poza tym, cóż, było wiele rzeczy, dziwnych rzeczy...

Obejrzała się znów na Dumbledore'a i chociaż policzki miała zaczerwienione, jej spojrzenie było trzeźwe.

- Nie wydaje mi się, by wiele osób żałowało, widząc jak odchodzi.

- Rozumie pani zapewne, że nie będziemy go u nas trzymali na stałe? - powiedział Dumbledore. - Będzie musiał wracać tutaj przynajmniej każdego lata.

- Lepsze to niż nic - stwierdziła pani Cole z lekką czkawką. Podniosła się i Harry był pod wrażeniem, widząc że stała całkiem stabilnie, mimo iż dwie trzecie ginu zniknęło już z butelki. - Domyślam się, że chciałby się pan z nim zobaczyć.

- Niezmiernie - odparł Dumbledore, również wstając.

Poprowadziła go ze swojego gabinetu w górę kamiennymi schodami, wydając polecenia i strofując pomoc domową i dzieci mijane po drodze. Wszystkie sieroty, jak zauważył Harry, ubrane były w takie same, szarawe tuniki. Wyglądały na całkiem zadbane, ale bez

wątpienia było to ponure miejsce na dorastanie.

- No i jesteśmy - powiedziała pani Cole, kiedy skręcili na drugie piętro i zatrzymali się pod pierwszymi drzwiami na długim korytarzu. Zapukała dwukrotnie i weszła do środka.

- Tom? Masz gościa. To jest pan Dumberton... o przepraszam Dunderbore. Przyszedł powiedzieć ci, że... zresztą niech sam to zrobi.

Harry i dwaj Dumbledore'owie weszli do pokoju, a pani Cole zamknęła za nimi drzwi. Był to mały, pusty pokój, w którym nie było nic poza starą szafą i metalowym łóżkiem. Na szarych kocach, z nogami wyciągniętymi do przodu i książką w rękach, siedział chłopiec.

Na twarzy Toma Riddle nie było ani śladu po Gauntach. Spełniło się ostatnie życzenie Merope - był miniaturową wersją swego przystojnego ojca, wysoki jak na jedenastolatka, ciemnowłosy i blady. Zmrużył nieco oczy przyglądając się niezwykleму wyglądowi Dumbledore'a. Na chwilę zapadła cisza.

- Jak się masz, Tom? - odezwał się Dumbledore, ruszając przed siebie i wyciągając dłoń.

Chłopiec zawahał się, lecz podał swoją dłoń i wymienili uścisk. Dumbledore przystawił twarde, drewniane krzesło koło Riddle'a tak, że wyglądali trochę jak szpitalny pacjent i jego gość.

- Jestem profesor Dumbledore.

- Profesor? - powtórzył Riddle. Widać było w nim ostrożność. - To tak jak "doktor"? Po co pan tu jest? Nasłala pana, żeby mi się pan przyjrzał?

Wskazywał palcem na drzwi, za którymi zniknęła pani Cole.

- Nie, nie - zaprzeczył Dumbledore uśmiechając się.

- Nie wierzę panu - stwierdził Riddle. - Ona chce, żeby ktoś mnie obejrzał, prawda? Gadaj prawdę!

Ostatnie dwa słowa zagrzmiał z siłą, która niemal powalala. To był rozkaz i brzmiał jakby Riddle wydawał go już wiele razy. Wpatrywał się w złości rozszerzonymi oczami w Dumbledore'a, który nie zareagował w ogóle, uśmiechając się dalej uprzejmie.

Po chwili Riddle przestał rzucać piorunujące spojrzenia, ale wyglądał na jeszcze bardziej ostrożnego.

- Kim pan jest?

- Już ci powiedziałem. Nazywam się profesor Dumbledore i pracuję w szkole zwanej Hogwart. Przybyłem zaoferować ci miejsce w mojej szkole... twojej nowej szkole, jeśli zechcesz.

Reakcja Riddle'a na te słowa była bardzo zaskakująca. Wściekły zeskoczył z łóżka i odsunął się od Dumbledore'a.

- Nie wciśnie mi pan kitu! Wariatkowo, stamtąd pan jest, prawda? "Profesor", jasne... Więc słuchaj, nigdzie nie idę, rozumiemy się? To ta stara kocica powinna wylądować na oddziale zamkniętym. Nigdy nie zrobiłem niczego ani małej Amy Benson, ani Dennisowi Bishopowi i może ich pan spytać, powiedzą panu!

- Nie jestem ze szpitala - wyjaśnił cierpliwie Dumbledore. - Jestem nauczycielem i, jeśli tylko usiądziesz spokojnie, opowiem ci o Hogwarcie. Oczywiście jeżeli nie będziesz chciał przyjść do szkoły, nikt cię nie będzie zmuszał...

- Niech tylko spróbują - zadrwił Riddle.

- Hogwart - ciągnął Dumbledore, jakby nie słyszał ostatnich słów Riddle'a, - jest szkołą dla osób o specjalnych umiejętnościach...

- Nie jestem czubkiem!

- Wiem, że nie jesteś. Hogwart nie jest szkołą dla wariatów. To szkoła magii.

Zapadła cisza. Riddle zastygł w bezruchu wpatrzony w profesora z twarzą bez wyrazu, ale jego wzrok przeskakiwał między oczami Dumbledore'a, jakby próbował przyłapać któreś z nich na kłamstwie.

- Magii? - powtórzył szeptem.

- Zgadza się - powiedział Dumbledore.

- Czy... czy to magia, to co potrafisz robić?

- A co takiego potrafisz?

- Różne rzeczy - wysapał Riddle. Fala podniecenia narastała w nim i wpełzała na zapadłe policzki. Wyglądał jakby miał gorączkę. - Potrafię przesuwac

rzeczy bez dotykania ich, potrafię zmusić zwierzaki, by robiły to, co chcę, bez tresowania ich. Potrafię sprawić, by coś złego stało się ludziom, którzy mnie zdenerwują. Mogę sprawić, by cierpieli, jeśli tylko zechcę.

Jego nogi trzęsły się. Zrobił chwiejny krok do przodu i usiadł z powrotem na łóżku wpatrując się w swoje dłonie, z głową pochyloną jak do modlitwy.

- Wiedziałem, że jestem inny - wyszeptał w stronę drżących palców - wiedziałem, że jestem wyjątkowy. Zawsze, wiedziałem, że to coś więcej.

- Cóż, i całkiem słusznie - powiedział Dumbledore, który nie uśmiechał się już, ale uważnie obserwował Riddle'a. - Jesteś czarodziejem.

Riddle podniósł głowę. Jego twarz była odmieniona. Gościł na niej widok dzikiego szczęścia, a mimo to z jakiegoś powodu nie wyglądał dzięki temu lepiej. Wręcz przeciwnie, jego przystojne rysy wydawały się teraz twardsze, a wyraz jego twarzy stał się niemal bestialski.

- Pan też jest czarodziejem?

- Tak, jestem.

- Udowodnij to! - powiedział natychmiast Riddle tym samym rozkazującym tonem, którego użył mówiąc "Gadaj prawdę!".

Dumbledore uniósł brwi.

- Jeżeli, jak rozumiem, przyjmujesz swoje miejsce w Hogwarcie...

- Jasne, że przyjmuję!

- Więc będziesz się do mnie zwracał per "profesor" albo "proszę pana".

Na mgnienie oka wyraz twarzy Riddle'a stwardniał, jednak już po chwili odpowiedział zaskakująco grzecznym głosem:

- Przepraszam, proszę pana. Chciałem powiedzieć... Profesorze, proszę, czy mógłby mi pan pokazać..?

Harry był pewien, że Dumbledore odmówi i wytłumaczy Riddle'owi, że na demonstracje będzie mnóstwo czasu w Hogwarcie, że znajdują się teraz w budynku pełnym mugoli i w związku z tym muszą być

ostrożni. Jednak, ku jego wielkiemu zdziwieniu, Dumbledore wyciągnął różdżkę z wewnętrznej kieszeni marynarki, skierował ją w stronę obskurnej szafy stojącej w kącie i machnął niedbale.

Szafa stanęła w płomieniach.

Riddle zerwał się na równe nogi. Zawył wstrząśnięty i wściekły, a Harry wcale mu się nie dziwił - wewnątrz musiało się znajdować wszystko, co posiadał. Jednak kiedy jeszcze Riddle darł się na Dumbledore'a, płomienie zniknęły, pozostawiając szafę w nienaruszonym stanie.

Riddle wytrzeszczył oczy i przeniósł wzrok z szafy na Dumbledore'a. Po chwili, z chciwością na twarzy, wskazał na różdżkę i spytał:

- Gdzie mogę taką dostać?

- Wszystko w swoim czasie - powiedział Dumbledore.

- Myślę, że coś próbuje się wydostać z twojej szafy.

I faktycznie, ze środka dobiegało ciche grzechotanie.

Riddle po raz pierwszy wyglądał na przestraszonego.

- Otwórz drzwi - nakazał Dumbledore.

Riddle zawahał się, ale przeszedł przez pokój i gwałtownym ruchem otworzył drzwi szafy. Na najwyższej półce, ponad rzędem wytartych ubrań, leżało małe, tekturowe pudełko. Trzęsło się i grzechotało, jakby w środku zamkniętych było parę rozwścieczonych myszy.

- Wyciągnij je - polecił Dumbledore.

Niespokojny Riddle ściągnął trzęsące się pudełko.

- Czy w tym pudełku jest coś, czego mieć nie powinieneś? - spytał Dumbledore.

Riddle rzucił Dumbledore'owi długie, kalkulujące spojrzenie.

- Tak, tak mi się wydaje, proszę pana - odpowiedział wreszcie bezbarwnym głosem.

- Otwórz je - powiedział Dumbledore.

Riddle zdjął wieko pudełka i wysypał zawartość na łóżko, nie spoglądając nawet na nią. Harry, który oczekiwał czegoś o wiele bardziej ekscytującego, zobaczył garść małych, zwykłych przedmiotów. Były pośród nich jo-jo, srebrny naparstek i zaśniedziała

harmonijka. Uwolnione z pudełka przestały się trząść i leżały w całkowitym bezruchu na cienkich kocach.

- Oddasz te rzeczy właścicielom i przeprosisz ich. - powiedział spokojnie Dumbledore, chowając różdżkę pod marynarkę. - Dowiem się, czy zostało to zrobione. I ostrzegam, kradzieży nie toleruje się w Hogwarcie.

Riddle ani trochę nie wyglądał na speszzonego. Nadal wpatrywał się chłodno w Dumbledore'a mierząc go wzrokiem. W końcu odezwał się bezbarwnym głosem:

- Tak, proszę pana.

- W Hogwarcie - ciągnął dalej Dumbledore - uczy my nie tylko jak używać magii, ale również jak ją kontrolować. Używałeś, jestem pewien, że nieumyślnie, swoich mocy w sposób, który ani nie jest nauczany, ani tolerowany w naszej szkole. Nie jesteś pierwszy ani ostatni, któremu wyrwało się jakieś magiczne zaklęcie. Powinieneś jednak wiedzieć, że Hogwart ma prawo wydalać uczniów, a Ministerstwo Magii... tak, istnieje i Ministerstwo... karze tych, którzy łamią prawo jeszcze surowiej. I wszyscy nowi czarodzieje muszą zaakceptować to, że wkraczając do naszego świata, zobowiązują się przestrzegać naszych praw.

- Tak, proszę pana - powtórzył Riddle.

Nie można było stwierdzić, co mógł teraz myśleć. Kiedy wkładał kradzione przedmioty z powrotem do pudełka, jego twarz pozostała zupełnie bez wyrazu. Gdy skończył, odwrócił się do Dumbledore'a i bez ogródek stwierdził:

- Nie mam żadnych pieniędzy.

- Temu łatwo można zaradzić - odparł Dumbledore, wyciągając z kieszeni skórzaną sakiewkę. - Mamy w Hogwarcie fundusz dla tych, którzy potrzebują pomocy przy zakupie książek i szat. Być może będziesz musiał kupić niektóre księgi zaklęć i inne rzeczy z drugiej ręki, ale...

- Gdzie się kupuje księgi zaklęć? - przerwał Riddle, który bez podziękowania wziął ciężki miasek i teraz oglądał złote galeony.

- Na ulicy Pokątnej - odpowiedział Dumbledore.

- Mam ze sobą listę twoich książek i sprzętu, którego będziesz potrzebował w szkole. Mogę pomóc ci znaleźć wszystko...

- Pójdzie pan ze mną? - spytał Riddle, spoglądając w górę.

- Oczywiście, jeśli chc...

- Nie potrzeba - powiedział Riddle. - Przyzwyczaiłem się robić wszystko samemu, cały czas sam łażę po Londynie. Jak się dostać na tę ulicę Pokątną... proszę pana? - dodał widząc spojrzenie Dumbledore'a.

Harry myślał, że Dumbledore będzie nalegał na to, by towarzyszyć Riddle'owi, ale raz jeszcze został zaskoczony. Dumbledore wręczył Riddle'owi kopertę zawierającą listę wyposażenia i wyjaśniwszy mu dokładnie, jak dotrzeć z sierocińca do "Dziurawego Kotła", odezwał się:

- Będziesz w stanie go dostrzec, pomimo iż mugole wokół ciebie... to znaczy, niemagiczni ludzie... go nie zobaczą. Spytaj o barmana Toma. Łatwo zapamiętać, bo ma na imię tak jak ty...

Riddle wzdrygnął się, jakby chciał odpędzić natrętną muchę.

- Nie podoba ci się imię "Tom"?

- Pełno jest Tomów - burknął Riddle, po czym jakby nie mogąc powstrzymać pytania, jakby wyrwało mu się na przekór jemu samemu, spytał: - Czy mój ojciec był czarodziejem? Powiedzieli, że też nazywał się Tom Riddle.

- Obawiam się, że nie wiem - odparł łagodnie Dumbledore.

- To nie mogła być moja matka, bo nie umarłaby tak - stwierdził Riddle bardziej do siebie niż do Dumbledore'a. - To musiał być on. Dobrze więc... jak już będę miał wszystkie rzeczy... kiedy mam jechać do tego Hogwartu?

- Wszystkie szczegóły znajdziesz na drugim kawałku pergaminu w swojej kopercie - odpowiedział Dumbledore. - Pociąg wyruszy ze stacji King's Cross pierwszego września. W kopercie jest również bilet.

Riddle skinął głową. Dumbledore wstał i ponownie

wyciągnął ku niemu dłoń. Ściskając ją Riddle powiedział:

- Potrafię rozmawiać z węzami. Odkryłem to, kiedy byliśmy na wycieczce, na wsi... One mnie znajdują i szepczą do mnie. Czy to normalne u czarodzieja?

Harry czuł, że Riddle chcąc wyrzucić wrażenie, aż do tej chwili powstrzymywał się przed wspomnianiem o tej najdziwniejszej umiejętności.

- To niezwykle - odpowiedział Dumbledore po chwili wahania, - ale słyszano o takich przypadkach.

Ton jego głosu był zwyczajny, ale jego oczy przesuwaly się z zaciekawieniem po twarz Riddle'a. Stali tak przez chwilę, mężczyzna i chłopiec, wpatrując się w siebie nawzajem. Wreszcie puścili dłonie. Dumbledore stanął w drzwiach.

- Do zobaczenia, Tom. Zobaczymy się w Hogwarcie.

- Myślę, że wystarczy - odezwał się białobrody Dumbledore stojący u boku Harry'ego i kilka chwil później raz jeszcze poszybował nieważko przez ciemność, by wylądować w gabinecie z teraźniejszości.

- Usiądź sobie - powiedział Dumbledore lądując obok Harry'ego.

Harry siadł posłusznie, a jego myśli wciąż wypełniało to, co właśnie zobaczył.

- Uwierzył w to znacznie szybciej niż ja... To znaczy, gdy powiedział mu pan, że jest czarodziejem - odezwał się. - Ja w pierwszej chwili nie uwierzyłem Hagridowi, gdy mi to oznajmił.

- Tak, Riddle był całkowicie gotów, by uwierzyć, że jest, by użyć jego słów, wyjątkowy - przytaknął Dumbledore.

- Czy wtedy... wiedział pan? - spytał Harry.

- Czy wiedziałem, że poznałem właśnie najniebezpieczniejszego czarnoksiężnika wszechczasów? - zapytał Dumbledore. - Nie, nie miałem pojęcia, że gdy dorośnie, stanie się tym, kim jest. Jednak z pewnością zaintrygował mnie. Wróciłem do Hogwartu zamierzając przyglądać mu się uważniej. I tak powinienem to uczynić, biorąc pod uwagę, że był sam, nie miał przyjaciół, jednak teraz już czułem, że

muszę to zrobić nie tylko dla niego, ale i dla dobra innych.

- Jego zdolności, jak usłyszałeś, były zadziwiająco rozwinięte jak na tak młodego czarodzieja i, co najciekawsze i najbardziej złowieszcze, zdążył już odkryć, że jest w stanie je częściowo kontrolować, i zaczął używać ich świadomie. A jak widziałeś, nie były to tylko przypadkowe eksperymenty typowe dla młodych czarodziejów. Już wtedy używał magii przeciwko innym ludziom, by ich zastraszyć, ukarać, kontrolować. Te historyjki o uduszonym króliku, o małym chłopcu i dziewczynce, których zaciągnął do jaskini, były bardzo sugestywne... "Mogę sprawić, by cierpieli, jeśli tylko zechcę..."

- I był wężoustym - wtrącił Harry.

- Zaiste, był. Rzadka umiejętność, do tego zwykle łączona z Czarną Magią, chociaż jak wiemy, pośród wielkich i dobrych czarodziejów też bywają wężouści. Tak naprawdę, jego oczywisty pociąg do okrucieństwa, dominacji i zachowania prywatności zaniepokoiły mnie znacznie bardziej, niż jego umiejętność rozmawiania z wężami.

- Czas znów sobie z nami pogrywa - powiedział Dumbledore wskazując na ciemne niebo za oknami. - Ale zanim się rozstaniemy, chciałbym zwrócić ci uwagę na niektóre aspekty scen, które właśnie widzieliśmy, jako że mają one wielkie znaczenie dla spraw, o których będziemy rozmawiać na przyszłych spotkaniach.

- Po pierwsze, mam nadzieję, że zauważyłeś reakcję Riddle'a, kiedy wspomniałem, że ktoś inny miał tak samo na imię jak on, "Tom"?

Harry przytaknął.

- W tamtej chwili pokazał swoją pogardę dla wszystkiego, co wiąże go z innymi ludźmi, wszystkiego, co czyni go zwyczajnym. Nawet wtedy chciał być inny, odmienny, sławny. Jak już wiesz, odrzucił swe imię w ciągu kilku krótkich lat od tej rozmowy i stworzył maskę Lorda Voldemorta, pod którą krył się przez tak długi czas.

- Wierzę, że zauważyłeś również, iż Tom Riddle już wtedy był bardzo samowystarczalny, tajemniczy i najwyraźniej nie miał przyjaciół? Nie chciał pomocy, czy też towarzystwa w swej podróży na ulicę Pokątną. Wolął działać sam. Dorosły Voldemort jest taki sam. Usłyszysz, jak wielu śmierciożerców twierdzi, jakoby mieli jego zaufanie, że są w bliskich kontaktach z nim, a nawet, że go rozumieją. Wydaje im się. Lord Voldemort nigdy nie miał przyjaciela i wierzę, że nigdy nie chciał żadnego mieć.

- Wreszcie, mam nadzieję, że nie jesteś jeszcze zbyt śpiący, by zwrócić na to uwagę, Harry, młody Tom Riddle lubił kolekcjonować trofea. Widziałeś pudełko pełne skradzionych przedmiotów, które ukrył w swoim pokoju. Wszystkie one zabrane zostały ofiarom jego zastraszania. Pamiątki, jeśli tak wolisz, wyjątkowo nieprzyjemnych zaklęć. Zachowaj w pamięci tę sroczą przypadłość, bo to szczególnie ona będzie ważna później.

- A teraz już naprawdę czas iść do łóżka.

Harry podniósł się. Kiedy szedł przez pokój, jego spojrzenie padło na mały stolik, na którym ostatnim razem spoczywał pierścień Marvolo Gaunta. Pierścienia nie było.

- Tak, Harry? - spytał Dumbledore widząc, że Harry się zatrzymał.

- Pierścień znikł - odparł Harry rozglądając się dookoła.

- Ale pomyślałem, że ma pan może harmonijkę, albo coś w tym stylu.

Dumbledore uśmiechnął się do niego zerkając znad swoich okularów.

- Bardzo bystre, Harry, ale harmonijka była zawsze tylko harmonijką.

I po tej zagadkowej uwadze pomachał do Harry'ego, który zrozumiał, że ma już sobie pójść.

Tłumaczył Spike



Felix Felicis

Następnego dnia pierwszą lekcją Harry'ego było zielarstwo. Nie mógł opowiedzieć Ronowi i Hermionie o swoich lekcjach z Dumbledore'em podczas śniadania w obawie, że zostaną podsłuchani, ale wtajemniczył ich we wszystko, gdy przemierzali grządki warzywne, idąc w kierunku szklarni. Porywisty wicher wreszcie ucichł. Powróciła za to dziwna mgła, przez co dotarcie do właściwej szklarni zajęło im troszkę więcej czasu niż zwykle.

- Łał, trochę przerażające, szczenięce lata Sami-Wiecie-Kogo - powiedział Ron, gdy zajmowali miejsca wokół jednego z sękatych pni Snargaluffa, będących obiektem badań w tym semestrze i zaczęli wkładać ochronne rękawice. - Ale ciągle nie łapię, dlaczego Dumbledore ci to pokazuje. Znaczy, to wszystko jest bardzo interesujące i w ogóle, ale po co?

- Bo ja wiem? - odparł Harry, nakładając gumowy fartuch. - Ale twierdzi, że to wszystko jest bardzo ważne i pomoże mi przeżyć.

- Ja myślę, że to wszystko jest fascynujące - oświadczyła szczerze Hermiona. - To z całą pewnością ma sens: dowiedzieć się o Voldemorcie tyle, ile się da. Jak inaczej poznasz jego słabości?

- A jak było na ostatnim przyjętku u Slughorna? - zapytał ją szorstko Harry spod gumowego fartucha.

- Och, było całkiem zabawnie - opowiedziała Hermiona, wkładając ochronne gogle. - Trochę przynudzał o swoich sławnych eks-uczniach, i absolutnie rozplywał się nad McLaggenem, z powodu jego koneksji, ale zaserwował całkiem niezłe jedzonko i przedstawił nam Gwenog Jones.

- Gwenog Jones? - zapytał Ron, a jego oczy rozszerzyły się pod goglami. - Tę Gwenog Jones? Kapitana Harpii z Holyhead?

- Dokładnie ją - odrzekła Hermiona. - Osobiście uważam, że jest ciut napuszona, ale...

- Wystarczy już tych pogaduszek! - krzyknęła profesor Sprout energicznie, krzątając się wokół i patrząc na nich srogo. - Zostaliście z tyłu, wszyscy już zaczęli, a Neville ma już pierwszy strąk!

Rozejrzeli się. Faktycznie, Neville miał rozkrwawioną wargę i kilka brzydkich zadrapań na twarzy, ale trzymał nieprzyjemnie pulsujący zielony obiekt wielkości grapefruita.

- Dobrze, pani profesor, już zaczynamy! - zapewnił Ron, a gdy nauczycielka się odwróciła, dodał cicho:

- Powinniśmy użyć Muffliato, Harry.

- Nie, nie powinniście! - warknęła natychmiast Hermiona, patrząc na nich tak, jak zawsze, kiedy poruszali temat Półkrwi Księcia i jego zaklęć. - No już, lepiej weźmy się do roboty... - Obdarzyła ich spojrzeniem pełnym niepokoju.

Wzięli głęboki oddech i rozdzielili między siebie sękatę pieńki.

Ożyły natychmiast. Długie pędy, kolczaste jak gałązki jeżyny, wyleciały z wierzchołka, strzeliły w powietrzu niczym baty. Jeden zaplątał się we włosy Hermiony i Ron walnął w niego sekatorem. Harry szczęśliwie złapał kilka pędów i związał razem. Pomiędzy

mackowatymi gałązkami pojawił się otwór. Hermiona odważnie wsadziła rękę do dziupli, ale ta zacisnęła się wokół jej łokcia niczym pułapka. Harry i Ron tarposili i wykręcali pędy, zmuszając pień, by znów się otworzył, a Hermiona wyszarpnęła rękę, ściskając w palcach strączek taki, jak zdobyty przez Neville'a. Naraz kolczaste pęczki zamknęły się wewnątrz, a sękaty pień znów stał, wyglądając jak niewinny kawałek martwego drewna.

- Wiecie, nie sądzę żebym sprawił sobie taki do ogródka, kiedy będę miał własny dom - oznajmił Ron, popychając gogle na czoło i ocierając pot z twarzy.

- Podrzucić mi miskę! - zawołała Hermiona, wciąż zaciskając w wyciągniętej ręce pulsujący strączek. Harry podał jej naczynie. Wrzuciła strąk do środka z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Nie bądź taka wrażliwa, wyciśnij je! Są najlepsze, kiedy są świeże! - zawołała profesor Sprout.

- Tak czy siak - podjęła Hermiona jakby przed chwilą nie zaatakował ich kawałek drewna - Slughorn urządza przyjęcie gwiazdkowe, Harry, i nie będziesz miał szans, by wymigać się od niego. Kazał mi sprawdzić twoje wolne wieczory, więc chce być pewny, że wyda je w noc, w którą będziesz mógł przyjść.

Harry jęknął. W tym samym czasie Ron siłował się ze strąkiem w misce, uciskając go i miętosząc tak mocno, jak tylko mógł.

- Kolejna imprezka tylko dla faworytów Slughorna, znaczy się? - rzucił gniewnie.

- Tak, tylko dla Klubu Sluga.

Strąk wystrzelił spomiędzy palców Rona, odbił się od ściany szklarni i uderzył w tył głowy profesor Sprout, strącając jej z głowy stary połatany kapelusz. Harry poszedł go poszukać. Gdy wrócił, Hermiona właśnie mówiła:

- Słuchaj, to nie ja wymyśliłam nazwę "Klub Sluga".

- *Klub Sluga* - powtórzył Ron z grymasem godnym Malfoya. - To żalosne. Cóż, mam nadzieję, że przyjętko będzie udane. Czemu nie pójdziesz razem z McLaggenem, wtedy Slughorn zrobi z was Króla i

Królową Balu...

- Wolno nam przyprować ze sobą gościa - odparła Hermiona, która z jakiegoś powodu zapłonęła jasnym rumieńcem. - Miałam zamiar zaprosić ciebie, ale skoro uważasz, że to żalosne, nie będę się trudziła!

Harry nagle zapragnął, by strąk poleciał gdzieś dalej, tak żeby nie musiał siedzieć teraz pomiędzy Ronem a Hermioną. Niezauważony przez żadne z nich, dosięgnął misy zawierającej strąk i spróbował otworzyć go energiczniej i głośniejszym niż było to konieczne. Niestety, nadal słyszał każde słowo z ich konwersacji.

- Chciałaś zaprosić mnie? - zapytał Ron kompletnie innym tonem.

- Tak - odparła wściekle Hermiona. - Ale oczywiście skoro zaproponowałaś żebym poszła z McLaggenem...

Nastąpiła pauza, w czasie której Harry przy pomocy łopatkę nadal miażdżył oporny strąk.

- Nie, nie sugerowałem - wyszeptał Ron.

Harry zgubił strąk i uderzył w misę, roztrzaskując ją.

- *Reparo* - mruknął pospiesznie, dłubiąc różdżką w skorupach, misa złożyła się z powrotem. Brzęk jednakże zdołał zwrócić uwagę Rona i Hermiony na obecność Harry'ego.

Hermiona wyglądała na wzburzoną i natychmiast poczęła kartkować swoje wydanie *Mięsożernych drzew świata*, by znaleźć odpowiedni sposób na pozyskiwanie soku ze strąków Snugaluffa. Ron tymczasem wyglądał na lekko zbaraniałego, ale zadowolonego z siebie.

- Oddaj to, Harry - zawołała pośpiesznie Hermiona.

- Tu piszą, że powinniśmy je dźgać czymś ostrym...

Harry odstąpił jej misę ze strąkiem. On i Ron z powrotem nałożyli gogle na oczy i jeszcze raz rozdzielili pieńki.

Nie chodzi o to, że się tego nie spodziewał, dumal Harry, szamocząc się z pragnącym go udusić, ciernistym pędem. Przeczował, że to się stanie, prędzej czy później. Ale nie był pewien jak się do tego ustosunkować... On i Cho byli teraz zbyt zawstydzeni, by na siebie spojrzeć, a co dopiero porozmawiać. A co jeśli Ron i Hermiona zaczną ze sobą chodzić, a potem

zerwą? Czy ich przyjaźń to przetrwa? Harry pamiętał te parę tygodni na trzecim roku, kiedy w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Próby pogodzenia ich wcale go nie bawiły. A z drugiej strony, jeśli nie zerwą? Co jeśli staną się jak Bill i Fleur, a jego obecność będzie na tyle krępująca, że wyłączą go na dobre?

- Mam skubańca! - zawył Ron, wyciągając drugi strąk w chwili, gdy Hermionie udało się otworzyć pierwszy, a misa wypełniła się bulwami, wiercącymi się niczym bladezielone robaki.

Reszta lekcji minęła bez dalszych rozmów na temat przyjęcia u Slughorna, jednakże Harry bacznie obserwował dwójkę swoich najbliższych przyjaciół przez następne parę dni. Ron i Hermiona nie odnosili się do siebie inaczej niż zwykle, może byli dla siebie nieco miłsi. Harry podejrzewał, że pozostaje mu tylko poczekać i zobaczyć, co też się wydarzy pod wpływem piwa kremowego w słabo oświetlonych pokojach Slughorna w noc przyjęcia. Do tego czasu miał ważniejsze zmartwienia.

Katie Bell wciąż pozostawała w szpitalu Świętego Munga i nie było widoków na to, by miała szybko go opuścić, co oznaczało, że obiecująca drużyna Gryffindoru, którą Harry tak mozolnie trenował już od września, została pozbawiona jednego ścigającego. Harry zatrzymał miejsce wolne w nadziei, że Katie jednak powróci, ale zbliżał się pierwszy mecz ze Slytherinem, co w końcu zmusiło Harry'ego do zaakceptowania smutnego faktu, że dziewczyna nie pojawi się na czas, by zagrać.

Harry obawiał się, że nie zniesie kolejnego walnego testowania Gryfonów. Z mieszanymi uczuciami, wiedząc, że to, co robi ma mało wspólnego z quidditchem, pewnego dnia, po transmutacji, osaczył Deana Thomasa. Prawie cała klasa zdążyła już wyjść, pozostawiając kilka wyczarowanych przez Hermionę żółtych ptaszków, krążących po sali z radosnym świergotem. Nikt inny nie dał rady wyczarować więcej, niż kupkę piór.

- Jesteś nadal zainteresowany graniem jako ścigający?

- Co ty...? Taaak, oczywiście, że tak! - zawołał podniecony Dean. Ponad jego ramieniem Harry zobaczył Seamusa Finnegana chowającego książki do torby z trzaskiem i kwaśną miną. Jedną z przyczyn, dla której Harry ociągał się ze złożeniem propozycji Deanowi było to, że bardzo by się to nie spodobało Seamusowi. Ale z drugiej strony, musiał robić to, co było najlepsze dla drużyny, a Dean przewyższył Seamusa w ostatnich kwalifikacjach.

- No to jesteś w drużynie - rzekł Harry. - Trening jest dzisiaj, o siódmej.

- Dobra - ucieszył się Dean. - Na razie, Harry! Rany, nie mogę się doczekać, by powiedzieć o tym Ginny!

Wybiegł z sali, pozostawiając Harry'ego i Seamusa samych. Nie ułatwiło sytuacji, że gdy śmignął nad nimi jeden z kanarków Hermiony, ptasie odchody wylądowały na czole Seamusa.

Seamus nie był jedyną osobą rozczarowaną wyborem zastępcy Katie. W pokoju wspólnym było jeszcze więcej szemrania, bo teraz Harry miał w drużynie dwóch kolegów z klasy. W swojej całej karierze szkolnej Harry znosił już gorszą atmosferę, i właściwie się nią nie przejmował, ale narastająca presja praktycznie wymuszała zwycięstwo w nadchodzącym meczu ze Ślizgonami. Harry zdawał sobie sprawę, że jeśli Gryffindor wygra, cały Dom natychmiast zapomni, że kiedykolwiek go krytykował i przysięgnie, iż zawsze wierzył w doskonałość drużyny. Jeśli przegrają... Cóż, Harry pocieszał się, że już przecież znosił gorsze rzeczy.

Widząc Deana latającego podczas wieczornego treningu, Harry nie znalazł powodu, by żałować swojej decyzji. Dean współpracował z Ginny i Demelzą. Palkarze, Peakes i Coote, z każdym treningiem stawali się coraz lepsi. Jedynym problemem był Ron.

Harry zawsze wiedział, że Ron jest niekonsekwentnym graczem, który nie ma za grosz pewności siebie, a świadomość, że jego pierwszy mecz będzie zarazem meczem otwierającym sezon, dodatkowo pogarszała sytuację.

Po tym jak przepuścił pół tuzina goli, w większości strzelonych przez Ginny, jego technika stawała się coraz gorsza. W końcu uderzył nadlatującą Demelzę Robins prosto w usta.

- Przepraszam Demelza, to był wypadek, naprawdę strasznie mi przykro! - krzyczał, kiedy zygzakami podchodziła do lądowania zraszając krwią wszystko dookoła. - Ja tylko...

- Spanikowałem! - krzyknęła gniewnie Ginny, lądując obok Demelzy i badając jej spuchniętą wargę.

- Ty palancie, patrz, co narobiłeś!

- Ja się tym zajmę - zawołał Harry stając naprzeciwko obu dziewczyn. Skierował różdżkę na wargę Demelzy, szepnął *Episkey*. - A, Ginny, nie nazywaj Rona palantem, nie jesteś kapitanem tej drużyny.

- Cóż, ty wyglądałeś na zbyt zajętego, by samemu nazwać go palantem, a wydawało mi się, że ktoś powinien...

Harry siłą powstrzymywał się od uśmiechu.

- Jazda do góry, wszyscy...

Ogólnie był to jeden z najgorszych treningów, w jakim przyszło im uczestniczyć. Mimo to Harry nie uważał, by szczerłość była dobrą taktyką, Mecz ze Ślizgonami był już zbyt blisko.

- Dobra robota, wszyscy. Myślę, że rozłożymy Slytherin na obie łopatki - zapewniał żywo, gdy pałkarze i ścigający opuszczali szatnię bardzo z siebie zadowoleni.

- Grałem jak wór smoczego łajna - oznajmił Ron przytłumionym głosem, gdy drzwi zamknęły się za Ginny.

- Nieprawda - oświadczył stanowczo Harry. - Ron, jesteś najlepszym obrońcą, jakiego wypróbowałem. Twoim jedynym problemem są nerwy.

Harry utwierdzał go w tym przekonaniu przez całą drogę powrotną do zamku, a gdy doszli na drugie piętro, Ron poweselał nieco.

Kiedy Harry uniósł arras, za którym znajdowała się droga na skróty do wieży Gryffindoru, ich oczom okazali się Dean i Ginny, namiętnie się całujący i

obejmujący tak ciasno, jakby byli ze sobą sklejeni.

Harry poczuł, jak gdzieś w jego piersi budzi się do życia wielka, łuskowata poczwara i zaciska pazury na jego trzewiach. Gorąca krew zdawała się zalewać mu rozum, paląc wszystkie myśli, pozostawiając tylko dzikie pragnienie, by przekląć Deana, zmieniając go w nędzną maź. Zmagając się z ogarniającym go nagłym szaleństwem, słyszał głos Rona, jakby dochodził z bardzo daleka.

- Ej!

Dean i Ginny przerwali, rozglądając się wokół.

- Co? - rzuciła Ginny

- Nie życzę sobie znajdować mojej własnej siostry migdalącej się w miejscach publicznych!

- Korytarz był pusty, dopóki nie przylazłeś - odparła Ginny.

Dean wyglądał na zawstydzonego. Posyłał Harry'emu znaczące spojrzenia, które ten pozostawił bez odpowiedzi, podczas gdy nowonarodzona poczwara wrzeszczała o rychłej odprawie Deana z drużyny.

- Ehm... Chodź, Ginny - powiedział w końcu Dean.

- Wracajmy do pokoju wspólnego...

- Ty idź! - odpowiedziała Ginny. - Ja muszę zamienić słówko z moim kochanym braciszkiem!

Dean odszedł i nie wyglądał jakby żałował, że ominie go ta scena.

- Świetnie - zaczęła Ginny odrzucając długie rude włosy, zasłaniające jej twarz i piorunując Rona wzrokiem. - To nie twój interes, co robię, z kim i gdzie, Ron...

- Właśnie, że mój! - warknął Ron. - Myślisz, że chcę, by ludzie nazywali moją siostrę...

- Jak...? - krzyknęła wyciągając nagle różdżkę.

- Jak konkretnie?

- On nie miał tego na myśli, Ginny - wtrącił się Harry, a poczwara wywrzaskiwała swoje pełne poparcie dla słów Rona.

- Oczywiście, że miał! - wybuchła. - Tylko dlatego, że on nigdy się z nikim nie miział, a jego szczytowe osiągnięcie w całowaniu to buziak od naszej ciotki

Muriel...

- Zamknij się! - ryknął Ron mieniając się różnymi odcieniami czerwieni.

- A właśnie, że się nie zamknę! - darła się Ginny.

- Widziałam jak gapisz się na Flegmę w nadziei, że cmoknie cię w policzek za każdym razem, jak się pojawia. To żalosne! Gdybyś poszedł gdzieś i też kogoś wyobrażał, nie przeszkadzałoby ci że inni to robią...!

Ron również wyciągnął różdżkę. Harry szybko stanął między nimi.

- Bredzisz! - wyl Ron, celując w Ginny i jednocześnie starając się obejść Harry'ego, który stał z rozłożonymi ramionami zasłaniając Ginny. - Tylko dlatego, że nie robię tego publicznie...!

Ginny zanosła się szyderczym śmiechem, próbując zepchnąć z drogi Harry'ego

- Całowałaś Świstoświnkę, co? Czy może ukrywasz pod poduszką zdjęcie ciotki Muriel? Ty...

Smuga pomarańczowego światła przemknęła pod lewym ramieniem Harry'ego i minęła Ginny o kilka cali. Harry pchnął Rona na przeciwną ścianę.

- Nie bądź głupi...

- Harry całował się z Cho Chang! - krzyczała Ginny, teraz już bardzo bliska lez. - A Hermiona z Wiktorem Krumem, tylko ty, Ron, udajesz, że to coś obrzydliwego, i to też tylko dlatego, że masz takie doświadczenie jak nie przymierzając dwunastolatek!

Po tych słowach uciekła tak szybko jak mogła. Harry puścił Rona, którego mina jednoznacznie obiecywała komuś śmierć w okolicznościach nieprzyjemnych. Stali tak, dysząc ciężko, dopóki zza rogu nie wyłoniła się Pani Norris, kocica Filcha, rozładowując napięcie.

- Chodź - powiedział Harry, słysząc szuranie stóp Filcha.

Wbiegli po schodach i dalej korytarzem na siódmym piętrze.

- Z drogi - warknął Ron na małą dziewczynkę, która przestraszona odskoczyła na bok upuszczając butlę żabiego skrzeku.

Harry ledwo zarejestrował odgłos tłuczonego szkła. Czuł się zdezorientowany, oszołomiony, pewno podobnie by się czuł gdyby trafił w niego piorun. To tylko dlatego, że ona jest siostrą Rona, tłumaczył sobie, nie lubisz oglądać jej całującej Deana, dlatego, że to siostra Rona...

Ale do jego umysłu zakradało się powoli nieproszone marzenie, o opuszczonym korytarzu i nim samym całującym Ginny zamiast... Poczwała w jego piersi zamruczała z rozkoszy. Ale potem Ron wdierał się poprzez zasłonę z arrasów, celował różdżką w Harry'ego i wykrzykiwał frazesy typu *uważałem cię za przyjaciela* albo *zdradziłeś zaufanie...*

- Myślisz, że Hermiona naprawdę całowała się z Krumem? - zapytał nagle Ron, gdy zbliżali się do Grubej Damy. Harry właśnie popadał w poczucie winy, jednocześnie starając się odpędzić wizję tego samego korytarza, ale bez interwencji Rona, czyli gdy on i Ginny pozostaliby całkiem sami...

- Co? - odezwał się zakłopotany. - Och... ehm...

Szczerza odpowiedź brzmiałaby *tak*, ale nie chciał jej udzielać. Jednakże Ron, śledząc wyraz jego twarzy, szykował się na coś gorszego.

- Zalewajka - powiedział złowrogo do Grubej Damy, przeszli przez dziurę za portretem do pokoju wspólnego.

Żaden z nich nie wspomniał więcej ani o Ginny, ani o Hermionie. Praktycznie do końca wieczora prawie z sobą nie rozmawiali i udali się do łóżek w milczeniu, każdy zaprzątnięty swoimi myślami.

Harry długo leżał bezsennie, wpatrując się w baldachim, rozpięty na czterech filarach, próbując przekonać siebie samego o tym, że jego uczucie do Ginny było wyłącznie czysto braterskie. Mieszkali razem całe lato, jak brat i siostra, grali razem w quidditcha, drażnili Rona, śmieli się z Billa i Flegmy, czyż nie? Znal Ginny od wieków... To naturalne, że chciał ją chronić... Naturalne, że chciał się nią opiekować... chciał pogruchotać Deanowi każdą kończynę, kostka po kostce, za całowanie jej... Nie!...

Będzie musiał popracować nad sobą, by te uczucia pozostały rzeczywiście tylko czysto braterskie.

Ron wydał z siebie potężne, ostrzegawcze chrapnięcie. Ona jest siostrą Rona, powtarzał sobie stanowczo Harry. Siostrą Rona. Nie wchodzi w rachubę. Za nic nie zaryzykowałby swojej przyjaźni z Ronem. Uderzył pięścią w poduszkę, próbując jej nadać bardziej wygodny kształt i czekał aż nadejdzie sen, starając się ze wszystkich sił powstrzymać swoje myśli od błędzenia w niebezpiecznych rejonach blisko Ginny.

Harry obudził się następnego ranka lekko oszołomiony i wytracony z równowagi serią snów, w których Ron ścigał go z kijem pałkarza, ale szczęśliwie koło południa wymienił sennego Rona na prawdziwego, który odnosił się oziębłe nie tylko do Ginny i Deana, ale także do Hermiony, traktując ją z mieszaniną oziębłości, obojętności i drwiny. Co więcej, Ron najwyraźniej przez noc stał się taki wrażliwy i skory awantur, jak skłątka tylnowybuchowa. Dzień upłynął Harry'emu na próbach utrzymania pokoju pomiędzy Ronem i Hermioną, ale bez widocznego sukcesu. W końcu Hermiona udała się do sypialni obrażona do żywego, a Ron grasował po dormitorium chłopców, przeklinając gniewnie i poszturchując kilku pierwszorocznych za to, że na niego patrzyli.

Ku przerażeniu Harry'ego, złość Rona nie malała przez następne kilka dni. Nawet gorzej, wyraźnie kolidowała z jego obrończymi umiejętnościami, obniżając je jeszcze bardziej i doprowadzając jego samego do jeszcze większej wściekłości. Do tego stopnia, że podczas ostatniego treningu przed sobotnim meczem nie był w stanie obronić żadnej piłki, którą posłali ścigający, dodatkowo wydzierając się na każdego tak strasznie, że doprowadził Demelzę Robins do lez.

- Zamknij się i zostaw ją spokoju! - krzyknął Peakes, unoszący się powyżej Rona, dodając sobie ważności ciężkim kijem.

- DOŚĆ! - ryknął Harry, obserwując Ginny nieprzyjemnie łypiącą w kierunku Rona i przypominając sobie jej osławione zdolności w zakresie

Upiorogacków. Pomknął interweniować, nim sprawy wymkną się spod kontroli. - Peakes, leć i popakuj tłuczki, Demelza weź się w garść, grałaś dzisiaj naprawdę dobrze. Ron... - odczekał, aż reszta drużyny znajdzie się poza zasięgiem słuchu, zanim dokończył

- ...jesteś moim najlepszym kumplem, ale jak dalej będziesz tak traktował pozostałych, wykopię cię z drużyny.

Przez moment naprawdę myślał, że Ron go uderzy, ale potem stało się coś gorszego. Ron zdawał się zwisać z miotły, cała jego waleczność zniknęła.

- Sam rezygnuję, jestem żaloszny - mruknął.

- Nie jesteś żaloszny i nie rezygnujesz! - zawołał wściekle Harry, chwytając Rona za poły szaty. - Możesz bronić wszystko, gdy jesteś w formie, masz problem psychiczny!

- Więc uważasz, że jestem psychiczny?

- Tak, może tak uważam!

Przez chwilę piorunowali się wzrokiem, po czym Ron potrząsnął zrezygnowany głową.

- Wiem, że nie masz czasu, by znaleźć następnego obrońcę, więc zagram w jutrzejszym meczu. Ale jeśli przegramy, a przegramy na pewno, zabieram się z drużyny.

Nic, co mówił Harry, nie zmieniło sytuacji. Starł się poprawić Ronowe poczucie własnej wartości w czasie obiadu, ale ten był zbyt zajęty byciem gburowatym i opryskliwym dla Hermiony, by to dostrzec. Harry przesiedział cały wieczór w pokoju wspólnym, tłumacząc Ronowi, że drużyna będzie załamana, jeśli odejdzie, ale te zapewnieniom tym trudno było dać wiarę, widząc że gracze usiedli zbici w najdalszym kącie, i mamrotali coś, rzucając co jakiś czas złe spojrzenia w kierunku Rona. Doprowadzony do ostateczności Harry próbował rozłodzić go w nadziei, że sprowokuje go do buntu i obudzi waleczną postawę obrońcy, ale i ta strategia nie zadziałała. Ron poszedł do łóżka przybity i pozbawiony nadziei.

Harry znów leżał długo pogrążony w zupełnych ciemnościach. Nie chciał przegrać nadchodzącego

meczu. Nie tylko dlatego, że było jego pierwszy mecz jako kapitana drużyny, ale po prostu musiał pokonać Draco Malfoya w quidditchu, tym bardziej, że nie potrafił jeszcze udowodnić swoich podejrzeń co do niego. A na razie, jeśli Ron zagra tak jak dotychczas, szanse na to, że wygrają były zaiste mizerne... Gdyby tylko był jakiś sposób, by Ron zebrał się sobie... By wspiał się na szczyt swoich możliwości... coś, co mogłoby sprawić, że Ron będzie miał naprawdę dobry dzień... Odpowiedź przyszła do Harry'ego wraz z jednym z tych cudownych przyływów natchnienia.

Następnego dnia śniadanie było jak zwykle drażliwym tematem. Ślizgoni głośno buczeni i syczeli na wszystkich członków drużyny Gryffindoru wchodzących do Wielkiej Sali. Harry spojrzał na sufit i zobaczył czyste bładoniebieskie niebo: dobry znak.

Stół Gryffindoru, cały w złocie i szkarłacie, powitał pojawiającego się Harry'ego i Rona głośnymi wiwatami. Harry szczyrzył zęby i machał, Ron wykrzywił się niepewnie i potrząsał głową.

- Rozchmurz się Ron! - zawołała Lavender. - Wiem, że będziesz wspaniały!

Ron zignorował ją.

- Herbaty? - zapytał go Harry. - Kawy? Soku z dyni?

- Cokolwiek - mruknął ponuro Ron, markotnie odgryzając kawałek tosta.

Kilka minut później pojawiła się Hermiona, tak zmęczona poprzednim nieprzyjemnym zachowaniem Rona, że nie zeszła z nimi na śniadanie, ale teraz zatrzymała się przy nich po drodze na drugą stronę stołu.

- Jak obaj się czujecie? - zagaiła niezobowiązująco, a jej oczy powędrowały ponad głową Rona.

- Dobrze - odpowiedział Harry, skoncentrowany na trzymaniu Ronowej szklanki z sokiem z dyni. - Proszę Ron, wypij wszystko.

Ron zdążył tylko podnieść szklankę do ust, gdy odezwała się ostro Hermiona.

- Nie pij tego, Ron!

Obaj, Harry i Ron, spojrzeli na nią.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Ron.
Hermiona gapiała się na Harry'ego, jak gdyby nie wierzyła własnym oczom.

- Dolaleś mu coś do tego picia?
- Przepraszam? - odparł Harry.
- Słyszalesz mnie. Widziałam. Właśnie dolaleś mu coś do tego soku. A buteleczkę masz teraz w prawej ręce!
- Nie wiem o czym mówisz - rzekł Harry, pospiesznie ukrywając buteleczkę w kieszeni.
- Ron, proszę cię, nie pij tego! - powtórzyła Hermiona ostrzegawczo, ale Ron już podnosił szklanę, opróżnił ją jednym haustem i oznajmił:
- Przestań mną komenderować, Hermiono!
Wyglądała na zbulwersowaną. Przynęła się tak blisko Harry'ego, by tylko on mógł ją usłyszeć.
- Powinni wywalić cię za to ze szkoły, Harry - syknęła.
- Nie spodziewałabym się tego po tobie.
- I kto to mówi - wyszeptał w odpowiedzi. - A może mały Confundusik?
Odeszła bez słowa. Harry patrzył za nią bez cienia skruchy. Hermiona nigdy nie zrozumiała, jak poważną sprawą jest quidditch. Popatrzył na Rona, który oblizywał wargi.
- Już czas - odezwał się Harry radośnie.
Zmarznięta trawa skrzypiała pod stopami, kiedy schodzili na stadion.
- Na całe szczęście pogoda jest świetna, nie? - zapytał Harry Rona.
- Taa... - mruknął Ron, blady i wyglądający jakby dostał mdłości.
Ginny i Demelza przebrały się już w szaty do quidditcha i czekały na pozostałych.
- Warunki wyborne - zaczęła Ginny, ignorując Rona.
- I zgadnijcie co się stało? Vaisey, ścigający Ślizgonów, oberwał tłuczkiem w głowę na wczorajszym treningu i dziś nie zagra! I co najlepsze, Malfoy też się pochorował!
- Co? - zawołał zdziwiony Harry, odwracając się i wytrzeszczając oczy na Ginny. - On jest chory? A niby co mu jest?

- Nie mam pojęcia, ale to wspaniale - zauważyła rezolutnie Ginny. - Zamiast niego wystawili Harpera. Jest z mojego roku i jest idiotą.

Harry uśmiechnął się nieco nieprzytomnie, a gdy przebierał się w szkarłatne szaty, ostatnie o czym myślał, to quidditch. Malfoy już raz twierdził, że nie może grać ze względu na kontuzję, ale wtedy stanął na głowie, by przełożyć mecz na taki termin, który Ślizgonom pasował lepiej. Dlaczego teraz pozwolił, żeby zastąpił go rezerwowo? Naprawdę był chory, czy tylko udawał?

- Coś tu śmierdzi, nie sądzisz? - zapytał półgłosem Rona. - Żeby Malfoy nie grał?

- Mnie tam lepiej - odparł Ron nieco żywszym tonem. - Vaisey też nie gra, a to ich najlepszy ścigający, wcale mi się nie uśmiechało... Hej! - zawołał nagle, zamierając w bezruchu i gapiąc się na Harry'ego.

- Co?

- Ja... Czy ty... - Ron ściszył głos, a na twarzy malował mu się przestach i podniecenie. - Mój sok... Przecież... Ty nie...?

Harry tylko uniósł brwi.

- No cóż, zaczynamy za pięć minut - odrzekł obojętnie. - Lepiej się pospiesz.

Wyszli na boisko przy wtórce ogłuszających wrzasków i gwizdów. Jedna strona boiska błyszczała złotem i czerwienią, druga stanowiła morze srebra i zieleni. Puchoni i Krukoni również się podzielili, pomiędzy okrzykami i brawami Harry wyraźnie słyszał ryk sławnego lwa na kapeluszu Luny Lovegood.

Harry podszedł do sędziującej mecz pani Hooch, która już stała pośrodku boiska, gotowa wypuścić piłki.

- Kapitanowie, uściśnijcie sobie dłonie - zarządziła, i Harry poczuł, jak jego dłoń miażdży w uścisku nowy kapitan Ślizgonów, Urquhart. - Na miotły. Na mój gwizdek, trzy... dwa... jeden... - Rozległ się gwizd i w tej samej sekundzie gracze odbili się mocno od ziemi i wystartowali.

Harry wznosił się nad stadionem, wypatrując znicza i jednocześnie pilnując Harpera, który latał zygzakiem

dużo, dużo niżej. I wtedy właśnie rozległ się głos komentatora, tak odmienny od tego, który dobrze znał. - Tak więc zaczęli i myślę, że wszyscy tu są nieco zaskoczeni drużyną, jaką w tym roku skompletował Potter. Wielu sądziło, że po bardzo nierównym zeszłym sezonie Ronald Weasley nie utrzyma się na pozycji obrońcy, ale jak się okazuje, bliska przyjaźń z kapitanem jest wielkim atutem...

Trybuny Ślizgonów przyjęły te słowa brawami i aprobującym wrzaskiem. Harry wychylił się, żeby spojrzeć na miejsce dla komentatora. Wysoki, jasnowłosy chłopak z zadartym nosem mówił do magicznego megafonu, którym kiedyś posługiwał się Lee Jordan. Harry rozpoznał ścigającego Puchonów, Zachariasza Smitha, którego zresztą serdecznie nie znosił.

- A oto pierwsze natarcie Slytherinu na bramki Gryfonów, Urquhart śmiga i...

Żołądek Harry'ego wykonał efektowną przewrotkę.

- ... Weasley obronił. Cóż, widać i jemu musi się czasem udać...

- A żebyś wiedział, Smith - wymamrotał Harry, uśmiechając się sam do siebie. Zanurkował pomiędzy ścigających, wciąż wypatrując najmniejszych śladów nieuchwytnego znicza.

Po półgodzinie meczu Gryffindor prowadził sześćdziesiąt do zera, Ron popisał się paroma naprawdę widowiskowymi obronami (niektóre piłki dosięgnął ledwie końcami palców), a Ginny zdobyła cztery z sześciu goli. To skutecznie powstrzymało rozważania Zachariasza, czy rodzeństwo Weasleyów dostało się do drużyny tylko dlatego, że Harry ich lubi. W zamian postanowił poznęcać się nad Peakesem i Coote'em.

- No tak, Coote nie jest zbudowany jak na palkarza przystało - oznajmił wyniośle. - Przydałoby mu się nieco mięśni...

- Walnij go tłuczkiem! - wrzasnął Harry mijając Coote'a, ale ten, radośnie uśmiechnięty, posłał następny tłuczek prosto w nadlatującego z przeciwnej

strony Harpera. Głuche plaśnięcie powiedziało Harry'emu, że tłuczek trafił celu.

Zdawało się, że na Gryfonów nie ma mocnych. Raz po raz zdobywali punkty i raz za razem Ron bronił z przedziwną łatwością. Teraz już się uśmiechał, a gdy tłum zawył - po jednej szczególnie spektakularnej akcji - stary refren *Weasley jest naszym królem*, pomachał do nich, jakby dyrygował olbrzymią orkiestrą.

- Czy mnie się wydaje, czy jemu się roi, że jest kimś ważnym? - rozległ się nad uchem Harry'ego złośliwy głos i Harry omal nie spadł z miotły, gdy, z rozmysłem i ogromną szybkością wpadł na niego Harper. - Ten twój kumpel, wielbiciel szlam...

Pani Hooch patrzyła w inną stronę i chociaż Gryfoni zawyli z oburzeniem, w momencie, kiedy się odwróciła, Harper już odlatywał. Z bolącym ramieniem Harry pomknął za nim, zdecydowany odplacić mu pięknym za nadobne.

- O, chyba Harper ze Slytherinu zobaczył znicza! - obwieścił Zachariasz Smith przez swój magiczny megafon. - Tak, najwyraźniej widzi coś, co umknęło Porterowi!

- Czy ten Smith oszalał? - zastanawiał się Harry. - Nie widział, co ten Harper naprawdę zrobił?

Ale w następnej sekundzie żołądek Harry'ego podszedł mu do gardła. Smith miał rację, a on się mylił. Harper nie odleciał tak sobie, dostrzegł coś, czego on nie widział. Złoty Znicz śmigał wysoko nad nimi, błyszcząc zachęcająco na czystym, błękitnym niebie.

Harry przyspieszył, wiatr świstał mu w uszach, skutecznie zagłuszając komentarz Smitha i wycie tłumu, ale Harper wciąż go wyprzedzał, a Gryffindor prowadził tylko stoma punktami. Jeśli Harper złapie znicza, Gryffindor przegra mecz... Ale teraz Ślizgon wyprzedzał Harry'ego tylko o stopę. Wyciągnął rękę.

- Ty, Harper! - wrzasnął zdesperowany Harry.

- Ile Malfoy ci zapłacił za ten mecz?

Nie wiedział, co go podkuśiło, ale Harper chybił o ułamek sekundy i znicz prześlizgnął mu się między palcami. Harry rzucił się na małą, trzepoczącą pileczkę

i złapał ją.

- TAAAAAK!!! - wykrzyknął. Zataczając koło pospieszył w dół, na boisko, ściskając znicza w wysoko uniesionej dłoni. Wreszcie tłum zorientował się, co się stało i wydał z siebie donośny ryk, zagłuszający gwizdek kończący mecz.

- Ginny, gdzie ty lecisz? - zawołał Harry, którego właśnie ściskała reszta niewielkiej drużyny, ale Ginny z dużą prędkością przeleciała koło nich i z okropnym trzaskiem uderzyła w podium dla komentatora. Publika zaczęła się śmiać, gdy reszta drużyny Gryfonów wylądowała nieopodal drewnianej ruiny, spod której niemrawo usiłował się wydostać Zachariasz Smith. Harry dosłyszał głos Ginny, beztrudno tłumaczącej zirytowanej profesor McGonagall:

- Przepraszam, pani profesor, zapomniałam zahamować!

Harry, śmiejąc się, zwolnił resztę drużyny, przytulił Ginny, ale szybko wypuścił ją z objęć. Unikając jej wzroku, klepnął wesoło Rona w plecy, niwelując tym samym całą wrogość. Drużyna Gryffindoru opuściła boisko ramię w ramię, raz po raz walecznie wznosząc pięści lub intensywnie machając do kibiców.

W szatni panował triumfalny nastrój.

- Balanga w pokoju wspólnym, tak ogłosił Seamus!! - darł się podniecony Dean. - Chodźcie Ginny, Demelza! W szatni pozostali tylko Ron i Harry. Właśnie zbierali się do wyjścia, kiedy do szatni wpadła Hermiona. W rękach miętosila szalik Gryffindoru i wyglądała na bardzo smutną, ale zdeterminowaną.

- Harry, chciałabym cię prosić na słówko. - wzięła głęboki oddech i ciągnęła - Nie wolno ci było tego robić. Słyszałeś Slughorna, to zabronione!

- I co zamierzasz z tym zrobić, wydać nas? - zachnął się Ron

- O czym wy oboje gadacie? - zapytał w końcu Harry, odwracając się by powiesić szatę, więc żadne z nich nie zauważyło jego szczerzego uśmiechu.

- Doskonale wiesz, o czym mówimy - zapiszczała Hermiona. - Przy śniadaniu doprawiłeś dyniowy sok

Rona eliksirem szczęścia! *Felix Felicis!*

- Nieprawda! - opowiedział Harry, spoglądając jej w oczy.

- Ależ tak, zrobiłeś to, Harry, i to dlatego wszystko poszło tak dobrze, dlatego Ślizgoni pudłowali, a Ron wszystko bronił!

- Nie dodałem mu niczego! - bronił się Harry, szczerząc się szeroko. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej maleńką buteleczkę, tę samą, którą Hermiona widziała rano. Była nadal wypełniona złocistym płynem, dokładnie zakorkowana i dodatkowo precyzyjnie zapieczętowana woskiem. - Chciałem, żeby Ron myślał, że to zrobiłem, więc zamarkowałem, ale wtedy, kiedy wiedziałem, że patrzysz. - Spojrzał na Rona. - Obroniłeś wszystko, ponieważ czuleś, że masz szczęście, ale dokonałeś tego sam.

Schowal buteleczkę powrotem do kieszeni.

- A więc na serio nic nie było w moim soku z dyni? - zdziwił się niepomiernie Ron. - Ale przecież pogoda była świetna... i Vaisey nie zagrał... I naprawdę nie dałeś mi eliksiru szczęścia?

Harry pokręcił głową. Przez chwilę Ron gapił się na niego z szeroko otwartymi ustami, poczym spojrzał na Hermionę.

- Rano dodałeś do soku Rona *Felix Felicis*, to dlatego wszystko obronił! - zawołał, udając jej głos. - Widzisz, Hermiono! Potrafię bronić bramek bez niczyjej pomocy!

- Nigdy nie twierdziłam, że nie potrafisz... Ron, ty też wierzyłeś, że dostałeś eliksir!

Ale Ron, minawszy ją, dziarskim krokiem wymaszerowywał z szatni, zarzuciwszy sobie na ramię miotłę.

- Ehm... - zaczął Harry chcąc przerwać ciszę, która nagle zapadła. Jego genialny plan nie przewidywał wyjść awaryjnych na wypadek takiej sytuacji. - Może... może powinniśmy iść na górę i dołączyć do imprezy?

- Ty idź! - odpowiedziała Hermiona, mrugając, by powstrzymać lzy. - Ja mam na razie dość Rona, a nie mam pojęcia, co też mu takiego zrobiłam... - i również

wybiegła z szatni.

Harry powoli przemierzał błonia, zmierzając w kierunku zamku, mijal tłumy uczniów, którzy mu gratulowali, ale w głębi serca miał poczucie wielkiej porażki. Był pewny, że gdy tylko Ron wygra mecz, on i Hermiona natychmiast z powrotem staną się przyjaciółmi. Nie miał pojęcia w jaki sposób wytłumaczyć Hermionie, że jedyną jej przewiną wobec Rona był pocałunek dla Wiktora Kruma, tyle że został uznany za zbrodnię całkiem niedawno.

Harry nie zdołał dostrzec Hermiony na gryfońskiej imprezie. Kiedy tam wreszcie dotarł, zabawa w pełni się rozkręciła. Jego pojawienie się wywołało nową falę okrzyków, pozdrowień i poklepywań tak, że wkrótce został otoczony przez gratulujący mu tłum ludzi. Odnalezienie Rona zajęło mu dużo czasu, bo dodatkowo wymagało pozbycia się obu braci Creevey'ów, którzy chcieli przeprowadzić drobiazgową analizę meczu, a grupka rozchichotanych dziewczyn otoczyła go szczelnym kordonem, trzepocząc rzęsami i zaśmiewając się z jego ostatniej, zabawnej wypowiedzi, a na koniec musiał wyswobodzić się od Romildy Vane, która bardzo wyraźnie sugerowała, że chce iść z nim na Bożonarodzeniowe przyjęcie Slughorna. A gdy człapał w stronę stołu z napojami, natknął się na Ginny. Arnold, pigmejski pufek, siedział na jej ramieniu, a Krzywolał mrucał z nadzieją u jej stóp.

- Szukasz Rona? - zapytała, uśmiechając się złośliwie.

- Jest tam, parszywy hipokryta.

Harry spojrzal w wskazanym kierunku. Tam, doskonale widoczny dla wszystkich w pokoju stał Ron, owijający się wokół Lavender Brown tak szczelnie, że trudno było określić, czyja ręka jest czyja.

- To wygląda jakby próbował zjeść jej twarz, co? - stwierdziła Ginny bez cienia emocji. - Ale podejrzewam, że w końcu jakoś pozna tę skomplikowaną technikę. Niezła gra, Harry. - Poklepała go po ramieniu. Harry miał wrażenie, że spada z bardzo wysoka, ale już po chwili Ginny odeszła, by wziąć sobie jeszcze piwa kremowego i

zabrała z sobą to uczucie. Krzywołap klusował przy niej, utkwivszy oczy w Arnoldzie.

Harry odwrócił się od Rona, który nie wyglądał, by miał szybko być osiągalny, i zauważył, jak zamyka się dziura za portretem. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Zdawało mu się, że zobaczył w niej znikającą burzę brązowych loków.

Rzucił się do wyjścia, omijając szerokim łukiem Romildę Vane. Wyszedł przez portret Grubej Damy. Korytarz na zewnątrz zdawał się być pusty.

- Hermiona?

Odnalazł ją w pierwszej otwartej klasie. Siedziała samotnie na nauczycielskim biurku, nie licząc stadka rozćwierkanych, żółtych ptaszków, krążących jej nad głową. Z pewnością dopiero co je wyczarowała. Harry nie mógł nie docenić jej umiejętności, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Och, cześć Harry - powiedziała łamiącym się głosem

- Tak sobie ćwiczę.

- Taa... wiesz one są... ehm... naprawdę doskonale - rzekł Harry.

Nie miał pojęcia, co powinien jej teraz powiedzieć. Zastanawiał się tylko czy istnieją jakieś szanse, że nie zauważyła Rona i że opuściła pokój, bo wydawał jej się troszkę za głośny. Wreszcie Hermiona przemówiła bardzo zmienionym głosem.

- Ron zdaje się dobrze bawić.

- Ehm... naprawdę? - wymamrotał Harry.

- Nie udawaj, że go nie widziałeś. Na pewno się z tym nie ukrywał, był...

Drzwi za nimi otworzyły się z trzaskiem. Ku przerażeniu Harry'ego, Pojawił się w nich roześmiany Ron ciągnący za rękę Lavender.

- Och! - zatrzymał się na chwilę widząc Harry'ego i Hermionę.

- Ups! - zaszczębiotała Lavender i wycofała się z sali, bardzo chichocząc i zamykając drzwi za sobą.

Zapadła straszna, groźna, pełna napięcia cisza. Hermiona wpatrywała się w Rona, który skutecznie unikał jej wzroku, ale zwrócił się do Harry'ego z

mieszaniną zuchwałości i zakłopotania.

- Cześć, Harry! Zastanawiałem się gdzie zniknąłeś!

Hermiona zsunęła się z biurka. Malutkie stadko złotych ptaszków w dalszym ciągu fruwało wokół jej głowy, na kształt dziwaczego pierzastego układu słonecznego.

- Nie powinieneś pozwolić, by Lavender czekała na zewnątrz - szepnęła. - Będzie się zastanawiała, dokąd poszedłeś.

Bardzo powoli zmierzała w kierunku drzwi. Harry spojrzał na Rona, który odczuł wyraźną ulgę, że poprzestała tylko na tym.

- *Oppugno!* - rozległo się przy samych drzwiach.

Harry zdążył się odwrócić, by zobaczyć Hermionę, z wściekłym grymasem na twarzy celującą różdżką w Rona. Chmara żółtych ptaszków wystrzeliła w kierunku rudzielca niczym grad puszystych, złotych pocisków. Ron zawył i próbował zasłonić sobie dłońmi twarz, ale ptaszki atakowały, dziobiąc i drapiąc każdy kawałek ciała, jaki mogły osiągnąć.

- Zabrzjedmnie! - zawył Ron.

Rzucając mu pożegnalne spojrzenie mściwej furii Hermiona szarpnięciem otworzyła drzwi i zniknęła za nimi. Harry mógł przysiąc, że nim trzasnęły drzwi, usłyszał szloch.

Tłumaczyła Tanger



Nieźłomna przysięga

Śnieg znowu wirował za zamrożonymi oknami. Święta zbliżały się wielkimi krokami. Hagrid własnoręcznie dostarczył już zwyczajowe dwanaście choinek do Wielkiej Sali. Girlandy z ostrokrzewu i świąteczne łańcuchy okręcono wokół poręczy schodów. Niewypalające się nigdy świece roztaczały blask z wnętrz helmów od zbroi i wzdłuż korytarzy porozwieszano duże pęki jemioly. Spore grupy dziewcząt zbierały się pod nimi za każdym razem, gdy Harry przechodził, co powodowało korki w korytarzach. Na szczęście, częste, nocne wędrówki Harry'ego pozwoliły mu dobrze poznać większość z sekretnych zamkowych przejść, więc często mógł bez większej trudności poruszać się trasami pozbawionymi jemioly.

Ron, który kiedyś na pewno uważałby przyczyny tych obejść za powód do zazdrości, teraz po prostu ryczał ze śmiechu. Chociaż Harry wolął tego nowego, śmiejącego się i żartującego przyjaciela niż markotnego

i agresywnego, którego musiał znosić przez kilka ostatnich tygodni, ulepszony Ron wiele kosztował. Po pierwsze, Harry musiał pogodzić się z częstą obecnością Lavender Brown, która każdą chwilę, kiedy nie całowała Rona, uważała za straconą. Po drugie, Harry po raz kolejny okazał się przyjacielem dwojga ludzi, którzy najprawdopodobniej nie zamierzali nigdy więcej zamienić słowa.

Ron, którego dłonie i przedramiona wciąż nosiły ślady po ataku ptaszków Hermiony, przybierał obronny i urażony ton.

- Nie powinna narzekać - powiedział Harry'emu.

- Całowała się z Krumem. Teraz odkryła, że istnieje ktoś, kto ze mną też chce się całować. Hej, to wolny kraj. Nie zrobiłem niczego złego.

Harry nie odpowiedział, ale udawał, że jest zaabsorbowany treścią książki, którą mieli przeczytać przed jutrzejszą lekcją zaklęć (Kwintesencja: Poszukiwanie). Zdecydowany pozostać przyjacielem zarówno Rona, jak i Hermiony, spędzał wiele czasu z zamkniętymi ustami.

- Niczego Hermionie nie obiecywałem - mamrotał Ron.

- To znaczy, no tak, miałem z nią pójść na przyjęcie u Slughorna, ale nigdy nie mówiła... Tylko jako przyjaciele... Jestem wolnym strzelcem...

Harry przewrócił stronę Kwintesencji, świadomy, że Ron go obserwuje. Jego głos ścichł do pomrukiwania, ledwie słyszalnego na tle trzaskania płomieni, ale Harry miał wrażenie, że znowu posłyszał słowa "Krum" i "nie powinna narzekać".

Plan Hermiony był tak wypełniony, że Harry mógł z nią spokojnie porozmawiać dopiero wieczorami, kiedy Ron i tak był na tyle ściśle przytwierdzony do Lavender, że nie zauważał, co robi jego przyjaciel. Hermiona odmawiała siedzenia w Pokoju Wspólnym, kiedy przebywał tam Ron, więc Harry zwykle szedł do niej do biblioteki, co oznaczało, że rozmawiali szeptem.

- Może całować, kogo tylko zechce - powiedziała Hermiona, a bibliotekarka, pani Pince, snuła się za

pólkami z tyłu. - Naprawdę, nie widzę powodu, dla którego miałyby mnie to obchodzić.

Uniosła swoje pióro i tak mocno zaznaczyła kropkę nad "i", że przebiła pergamin. Harry nie powiedział niczego. Miał wrażenie, że niedługo głos mu zaniknie, bo w ogóle go nie używał. Pochylił się nieco niżej nad Warzeniem Elikśirów dla Zaawansowanych i kontynuował robienie notatek z Wiecznych Elikśirów, co jakiś czas robiąc pauzy, by odczytać użyteczne uwagi Księcia do tekstu Libatiusa Borage'a.

- A tak w ogóle - dodała Hermiona po chwili - powinieneś być ostrożny.

- Powtarzam po raz ostatni - odparł Harry lekko zachrypniętym głosem po trzech kwadransach milczenia - nie oddam tej książki. Nauczyłem się więcej od Półkrwi Księcia, niż Slughorn lub Snape kiedykolwiek by mnie nau...

- Nie mówię o tym twoim głupim, rzekomym księciu - powiedziała Hermiona, rzucając książkę złe spojrzenie, jakby ta była w stosunku do niej niegrzeczna. - Mówię o tym wcześniejszym. Zajrzałam do łazienki dziewcząt, zanim tutaj przyszłam i był tam z tuzin dziewczyn, w tym ta Romilda Vane, dyskutujących, jak podrzucić ci eliksir miłosny. Wszystkie mają nadzieję, że zabierzesz którąś z nich na przyjęcie Slughorna i chyba wszystkie kupiły eliksiry miłosne Freda i George'a, które, obawiam się, zapewne działają...

- Dlaczego ich wtedy nie skonfiskowałaś? - zapytał Harry. Wydawało mu się niezwykłym, że mania Hermiony dotycząca przestrzegania zasad opuściła ją w tak poważnym momencie.

- Nie miały ze sobą eliksirów w łazience - odrzekła Hermiona lekceważąco. - Rozmawiały o taktyce. I jako że wątpię, że Półkrwi Książę - rzuciła książkę kolejne pogardliwe spojrzenie - mógł wymarzyć antidotum na sześć eliksirów miłosnych na raz. Na twoim miejscu zaprosiłabym kogoś, co powstrzymałoby inne od myślenia, że wciąż mają szansę. To już jutro wieczorem, robią się zdesperowane.

- Nie istnieje nikt, kogo chciałbym zaprosić - wymamrotał Harry, wciąż starając się nie myśleć o Ginny więcej, niż mógłby zaradzić, mimo że wciąż się pojawiała w jego snach w takich kontekstach, że był gorąco wdzięczny, iż Ron nie zna Legilimencji.

- W każdym razie uważaj, co pijesz, bo Romilda Vane wyglądała na zdeterminowaną - powiedziała Hermiona ponuro.

Podciągnęła do góry długą rolkę pergaminu, na którym pisała swój esej z numerologii i dalej skrobała piórem. Harry obserwował ją, ale jego myśli były daleko.

- Poczekaj - powiedział powoli. - Myślałem, że Filch zakazał wszystkiego kupionego w Czarodziejskich Dowcipach Weasleyów?

- A od kiedy ktokolwiek przywiązuje wagę do tego, czego zakazał Filch? - zapytała Hermiona, wciąż koncentrując się na swoim esej.

- Ale myślałem, że sowy są przeszukiwane. Więc jakim sposobem te dziewczyny sprowadziły do szkoły eliksiry miłosne?

- Fred i George wysłali je zamaskowane jako perfumy i eliksiry na kaszel. To część ich serwisu dla zamawiających przez sowy.

- Dużo o tym wiesz.

Hermiona spojrzała na niego takim wzrokiem, jakim przed chwilą obdarzyła jego Warzenie Elikssirów dla Zaawansowanych.

- To wszystko było na etykietach, z tyłu butelek, które pokazali mi i Ginny w lecie - powiedziała zimno. - Nie mam w zwyczaju wlewać ludziom eliksirów do picia... Udawać, że to robię, także, co jest tak samo złe...

- E tam, nieważne - powiedział szybko Harry. - Chodzi o to, że oszukują Filcha, prawda? Te dziewczyny przemycają do szkoły rzeczy zamaskowane jako coś innego! Więc czy Malfoy nie mógłby wnieść naszyjnika do szkoły?

- Oj, Harry... nie znowu...

- Hej, niby czemu nie?

- Słuchaj... - westchnęła Hermiona. - Czujniki tajności wykrywają klątwy, uroki i czary ukrywające, prawda? Są

przecież używane do odnajdywania Czarnej Magii i takich przedmiotów. Na pewno znalazłyby potężną kłutwę, jak ta na naszyjniku, w kilka sekund. Ale coś, co zostało umieszczone w nieodpowiedniej butelce, się nie liczy - zresztą eliksiry miłosne to nie Czarna Magia ani nic niebezpiecznego...

- Łatwo ci mówić - mruknął Harry, myśląc o Romildzie Vane.

- ...więc to leżałoby w gestii Filcha, aby sprawdzić, czy to na pewno eliksir na kaszel, a że on nie jest zbyt dobrym czarodziejem, to pewnie nie potrafi odróżnić jednego eliksiru od drugiego...

Hermiona zamarła. Harry też to usłyszał: ktoś przemieszczał się tuż za nimi wzdłuż ciemnych pólek. Czekali i po chwili sępowata postać pani Pince ukazała się zza rogu, jej zapadłe policzki, pergaminowa skóra i długi, zakrzywiony nos podświetlone niekorzystnie przez lampę, którą niosła.

- Biblioteka jest już zamknięta. Pamiętajcie, aby oddać wszystko, co wypożyczyliście, do właściwego... Cóż zrobiłeś z tą książką, ty zepsuty chłopcze?!

- Nie jest z biblioteki, jest moja! - odparł szybko Harry, ściągając ze stołu swoje Warzenie Elixirów dla Zaawansowanych, bo bibliotekarka sięgnęła po nie szponiastą dłońią.

- Zniszczona! - syknęła. - Zbezczeszczona, splugawiona!

- To tylko popisana książka! - Harry wyszarpnął swoją własność z jej uścisku.

Pani Pince wyglądała, jakby miała atak. Hermiona, która w pośpiechu spakowała swoje rzeczy, złapała Harry'ego za rękę i wyciągnęła go na zewnątrz.

- Wyrzuci cię z biblioteki, jeśli nie będziesz ostrożny. Dlaczego musiałeś wziąć tę głupią książkę?

- To nie moja wina, że ona ma totalnego świra, Hermiono. A może myślisz, że usłyszała, jak obgadujesz Filcha? Zawsze myślałem, że może coś jest między nimi...

- Ha, ha, ha...

Ciesząc się faktem, że znowu mogą swobodnie

rozmawiać, ruszyli wzdłuż pustych, oświetlonych lampami korytarzy z powrotem do pokoju wspólnego, klóćąc się o to, czy Filch i pani Pince byli w tajemnicy w sobie zakochani.

- Blyskotki - powiedział Harry do Grubej Damy, używając nowego, wymyślnego hasła.

- Dla ciebie też - odrzekła z szelmowskim uśmiechem, odsłaniając im przejście.

- Cześć, Harry! - zawołała Romilda Vane, gdy tylko przeszedł przez dziurę za portretem. - Chciałbyś wody goździkowej?

Hermiona rzuciła mu przez ramię spojrzenie pod tytułem: A nie mówiłam?

- Nie, dzięki - odparł szybko Harry. - Nie przepadam za nią.

- Cóż, weź przynajmniej to - powiedziała Romilda, wpychając mu do rąk pudełko. - To Czekoladowe Kociolki, mają w środku ognistą whisky. Babcia mi je przysłała, ale ich nie lubię.

- A... tak... dzięki - odrzekł Harry, nie mogąc wymyślić niczego innego do powiedzenia. - E... ja tylko przyszedłem tutaj z...

Jego głos ścichł i Harry przyspieszył, by ukryć się za Hermioną.

- Mówiłam - rzekła ta zwięźle. - Im później kogoś zaprosisz, tym później dadzą ci spokój i może być...

Jej twarz nagle przybrała wyraz zmieszania - dostrzegła Rona i Lavender splecionych w tym samym fotelu.

- No, dobranoc, Harry - powiedziała i chociaż była dopiero siódma wieczorem, bez słowa ruszyła do dormitorium dziewcząt.

Harry poszedł spać, zapewniając samego siebie, że pozostał jeszcze jeden dzień lekcji, który trzeba przetrwać, oraz przyjęcie u Slughorna, po którym on i Ron razem wyjadą do Nory. Wydawało mu się niemożliwym, że Ron i Hermiona zdołają się pogodzić przed feriami, ale, być może, przerwa świąteczna da im czas, by odpocząć i przemyśleć swoje zachowanie...

Ale nie była to zbyt mocna nadzieja i stała się nawet słabsza po lekcji transmutacji dnia następnego.

Właśnie zaczęli bardzo ważny temat dotyczący ludzkiej transmutacji: pracując przed lustrami, mieli zmienić kolor własnych brwi. Hermiona śmiała się złośliwie z pierwszej, zupełnie nieudanej próby Rona, w trakcie której zdołał przypawić sobie wyjątkowo udane, zakręcone wąsy. A ten dokonał odwetu, w okrutny, ale i bardzo udany sposób udając Hermionę podskakującą na krześle za każdym razem, gdy profesor McGonagall zadawała jakieś pytanie. Lavender i Parvati uznały to za bardzo zabawne, co sprawiło, że Hermiona znowu była bliska płaczu. Wybiegła z klasy razem z dzwonkiem, zostawiając w środku połowę swoich rzeczy. Harry, zdecydowawszy, że była w większej potrzebie niż Ron, pozbierał je i poszedł za nią.

Znalazł ją wreszcie, gdy wylonila się z dziewczęcej łazienki piętro niżej. Towarzyszyła jej i klepała niezdecydowanie po plecach Luna Lovegood.

- O, witaj, Harry. Czy wiesz, że jedna z twoich brwi jest jaskrawożółta?

- Cześć, Luna. Hermiono, zostawiłaś swoje rzeczy...

Wyciągnął przed siebie książki.

- A, tak - odpowiedziała Hermiona zduszonym głosem, biorąc je i odwracając się szybko, by ukryć fakt, że ocierała oczy piórnikiem. - Dzięki, Harry. Powinnam już iść...

Odeszła w pośpiechu, nawet nie dając Harry'emu szansy na słowa pocieszenia, chociaż, tak po prawdzie, żadnych nie mógł wymyślić.

- Jest trochę nieszczęśliwa - powiedziała Luna. - Z początku myślałam, że to Jęcząca Marta, ale okazało się, że to Hermiona. Mówiła coś o Ronie Weasleyu...

- Tak, pokłócili się.

- On czasem mówi śmieszne rzeczy, prawda? - rzekła Luna, gdy ruszyli razem dalej korytarzem. - Ale potrafi być nieprzyjemny. Zauważyłam w zeszłym roku.

- No, chyba tak - mruknął Harry. Luna właśnie okazywała swoją zdolność do mówienia niewygodnej prawdy - dotąd nie znał nikogo takiego. - Twój semestr dobrze minął?

- No, był w porządku - odrzekła Luna. - Trochę

samotny bez GD. Ale Ginny była za to miła. Któregoś dnia sprawiła, że dwaj chłopcy na transmutacji przestali mnie przezywać Pomylną...

- Chciałabyś pójść ze mną dzisiaj na przyjęcie Slughorna?

Te słowa wyszły z ust Harry'ego, zanim zdołał je powstrzymać i miał wrażenie, że wypowiedział je ktoś zupełnie obcy.

Luna spojrzała na niego swoimi wylupiastymi oczyma.

- Przyjęcie Slughorna? Z tobą?

- Tak, mamy przyprowadzić kogoś ze sobą, więc pomyślałem, że może byś chciała... to znaczy... - Chciał zaznaczyć swoje intencje wyraźnie: - To znaczy, tylko jako przyjaciele, wiesz. Ale jeśli nie życzysz sobie...

Już miał nadzieję, że wcale sobie nie życzy.

- Nie, chciałabym pójść z tobą jako przyjaciółka! - powiedziała Luna, promieniując radością jak nigdy wcześniej. - Nikt mnie dotąd nie zaprosił na żadne przyjęcie jako przyjaciółki! Czy to dlatego przefarbowalesz sobie brew, na przyjęcie? Czy ja też powinnam?

- Nie - odrzekł dobitnie Harry. - To była pomyłka. Poproszę Hermionę, by to poprawiła. Spotkajmy się przy holu wejściowym o ósmej wieczorem.

- AHA! - krzyknął jakiś głos nad ich głowami i oboje podskoczyli - nieświadomie przeszli właśnie pod Irytkiem, który wisiał do góry nogami na kandelabrze i wrednie się uśmiechał. - Potterek zaprosił Pomylnę na przyjęcie! Potterek kooocha Pomylnę! Potterek kooooocha Pomyluuuunę! - I odleciał, rechocąc i wrzeszcząc Potterek kocha Pomylnę.

- Fajnie załatwić coś prywatnie - mruknął Harry. Teraz na pewno cała szkoła będzie wiedziała, że Harry Potter zaprosił Lunę Lovegood na przyjęcie u Slughorna.

- Mogłeś zaprosić każdą! - zdumiał się Ron przy kolacji. - Każdą! A ty wybrałaś Pomylnę Lovegood?

- Nie nazywaj jej tak, Ron! - powiedziała ostro Ginny, przystając za Harrym w drodze do swoich przyjaciół.

- Naprawdę się cieszę, że z nią idziesz, Harry, jest bardzo podekscytowana.

Przeszła wzdłuż stołu, by usiąść koło Deana. Harry próbował poczuć zadowolenie z tego, że Ginny cieszyła się, iż zabierał Lunę na przyjęcie, ale jakoś mu to nie wychodziło. Spory kawałek dalej przy stole samotnie siedziała Hermiona, grzebiąc łyżką w swoim gulaszu. Harry zauważył, że Ron spoglądał na nią ukradkiem.

- Mógłbyś powiedzieć przepraszam - walnął Harry.

- I co, dać się zaatakować kolejnym stadem kanarków?

- wymamrotał Ron.

- To po co ją udawałeś?

- Śmiała się z moich wąsów!

- Ja też, to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Ale Ron wydawał się tego nie słyszeć, bo właśnie przybyły Parvati i Lavender. Ta ostatnia, wciskając się między chłopców, zarzuciła Ronowi ręce na szyję.

- Cześć, Harry - powiedziała Parvati, która wydawała się lekko zawstydzona i znudzona zachowaniem ich przyjaciół.

- Cześć. Co słyhać? Zostajesz jednak w Hogwarcie? Słyszałem, że twoi rodzice chcieli, żebyś opuściła szkołę.

- Na razie im to wyperswadowałam - odparła Parvati.

- Ta sprawa z Katie okropnie ich wystraszyła, ale skoro od tamtego czasu nic się nie stało... o, cześć, Hermiono!

Parvati się rozpromieniła. Harry stwierdził, że czuła się winna ze względu na to, że śmiała się z Hermiony na transmutacji. Obejrzał się i zauważył, że Hermiona też stała się radosna, może nawet bardziej niż Parvati. Dziewczyny były czasem bardzo dziwne.

- Cześć, Parvati! - zawołała, zupełnie ignorując Rona i Lavender. - Wybierasz się na dzisiejsze przyjęcie u Slughorna?

- Nie dostałam zaproszenia - odparła Parvati ponuro.

- Chciałabym pójść, wygląda na to, że będzie świetnie... Ty się wybierasz, prawda?

- Tak, spotykam się z Cormakiem o ósmej i...

Usłyszeli odgłos, jakby przepychacz do rur został wyciągnięty z zablokowanego odpływu i pojawił się Ron. Hermiona zachowywała się, jakby niczego nie słyszała ani nie widziała.

-...idziemy razem na przyjęcie.

- Cormakiem? - zapytała Parvati. - Masz na myśli Cormaca McLaggena?

- Tak jest - odpowiedziała słodko Hermiona. - To ten, który prawie - położyła duży nacisk na to słowo - został obrońcą Gryffindoru.

- A więc chodzisz z nim? - wytrzeszczyła oczy Parvati.

- No tak, nie wiedziałaś? - odparła Hermiona z bardzo niehermionowatym chichotem.

- No nie! - powiedziała Parvati, wyraźnie podniecona taką plotką. - Łał, lubisz graczy w quidditcha? Wpierw Krum, teraz McLaggen...

- Lubię bardzo dobrych graczy - poprawiła ją Hermiona, cały czas się uśmiechając. - No, to do zobaczenia... Muszę iść przygotować się na przyjęcie... Wyszła. Lavender i Parvati od razu się do siebie przysunęły, by przegadać tę nowinkę, wszystko, co kiedykolwiek usłyszały o McLaggenie i wszystko, czego się domyśliły na temat Hermiony. Ron wyglądał na dziwnie zakłopotanego i milczał. Harry'ego pozostawiono samemu sobie, aby w samotności rozważał poziom, do którego zniżą się dziewczyny, aby się zemścić.

Kiedy pojawił się w holu wejściowym o ósmej, ujrzał niezwykłą ilość kręcących się tam dziewcząt. Wszystkie zdawały się na niego niechętnie spoglądać, kiedy podchodził do Luni. Miała na sobie błyszczące srebrne szaty, które, co prawda, powodowały wiele chichotów wśród obserwatorów, ale poza tym wyglądała ładnie. Harry cieszył, że nie wzięła swoich rzodkiewkowych kolczyków, naszyjnika z kapsli od piwa kremowego i Widmokularów.

- Cześć. To idziemy?

- O tak - odparła radośnie. - Gdzie jest przyjęcie?

- W gabinecie Slughorna - powiedział Harry, wiodąc ją

w górę marmurowych schodów z dala od gapiących się i szepczących. - Słyszałaś, że ma się zjawić jakiś wampir?

- Rufus Scrimgeour? - zapytała Luna.

- Ja... co?! - zdziwił się Harry, zbity z tropu. - Masz na myśli Ministra Magii?

- Tak, on jest wampirem - powiedziała Luna dobitnie.

- Ojciec napisał o tym długi artykuł, kiedy Scrimgeour przejął władzę od Knota, ale zabroniono mu go opublikować. Najwyraźniej nie chcą, aby dowiedziano się prawdy.

Harry, który uważał wampirze pochodzenie Rufusa Scrimgeoura za zupełnie nieprawdopodobne, ale był przyzwyczajony do powtarzania przez Lunę dziwacznych poglądów taty, nie odpowiedział. Dochodzili już do gabinetu Slughorna, odgłosy śmiechu, muzyki i głośnych rozmów z każdym krokiem stawały się coraz wyraźniejsze.

Czy zostało tak już zbudowane, czy Slughorn użył w tym celu magicznych sztuczek, jego biuro było o wiele większe niż zwykły, nauczycielski gabinet. Sufit i ściany pokryto szmaragdowymi, karmazynowymi i złotymi draperiami, zaproszeni czuli się tak, jakby znaleźli się w środku wielkiego namiotu. Pokój był zatłoczony, duszny i skąpany w czerwonym świetle rzucanym przez ornamentowaną, złotą lampę umieszczoną na środku sufitu, w której trzepotały skrzydełkami prawdziwe elfy, a każdy był jasną kulą światła. Głośny śpiew towarzyszył czemuś, co brzmiało jak mandoliny, dobiegał z dalekiego kąta. Obłoki dymu wisiały nad kilkoma starszymi czarodziejami, pogrążonymi w rozmowie, a skrzaty domowe torowały sobie przejście w lesie nóg, używając skrzekliwych głosów. Niemal zasłonięte srebrnymi talerzami z jedzeniem, które niosły w rekach, wyglądały jak małe, wędrujące stoły.

- Harry, mój chłopcze! - zahuczał Slughorn, niemal od razu, gdy Luna i Harry przecisnęli się przez drzwi.

- Wchodź, wchodź, jest tylu ludzi, z którymi chciałbym cię poznać!

Slughorn miał na sobie przyozdobioną frędzelkami, aksamitną tiarę, pasującą do bonzurki. Trzymając Harry'ego za rękę tak mocno, jakby chciał się z nim deportować, poprowadził go w sobie tylko znanym kierunku. Harry złapał Lunę za rękę i pociągnął za nim.

- Harry, chciałbym, abyś poznał Eldreda Worple'a, mojego dawnego ucznia, autora książki Bracia Krwi: Moje Życie Wśród Wampirów. I, oczywiście, jego przyjaciela Sanguiniego.

Worple, mały, krępy okularnik, entuzjastycznie uścisnął i potrząsnął ręką Harry'ego. Wampir Sanguini, wysoki i wychudzony, z wyraźnymi cieniami pod oczami, tylko kiwnął mu głową. Wyglądał na znudzonego. Obok niego stała grupka ciekawskich i podekscytowanych dziewcząt.

- Harry Potter, jest mi bardzo miło! - powiedział Worple, spoglądając na Harry'ego swoimi krótkowzrocznymi oczyma. - Pewnego dnia spytałem profesora Slughorna: "Gdzie jest biografia Harry'ego Pottera, na którą wszyscy czekamy?"

- Ee... naprawdę pan pytał?

- Tak skromny, jak mówił Horacy! Ale poważnie - jego sposób mówienia się zmienił, stał się bardziej biznesowy. - Byłbym zachwycony, jeśli mógłbym ją napisać! Ludzie pragną wiedzieć o tobie więcej, pragną! Jeśli zechciałbyś udzielić mi kilku wywiadów, powiedzmy, w cztero-pięciogodzinnych sesjach, myślę, że moglibyśmy skończyć tę książkę w przeciągu kilku miesięcy. I to wszystko z niewielkim twoim wysiłkiem, możesz o to zapytać Sanguiniego jeśli cię to - Sanguini, zostań tutaj! - dodał, nagle stanowczo, bo wampir zaczął się przesuwać w kierunku dziewcząt z dość głodnym spojrzeniem. - Proszę, poczęstuj się pasztecikiem - mruknął, ściągając jednego z tacy niesionej przez przechodzącego skrzata i wpychając go do ręki Sanguiniego, zanim znowu zwrócił się do Harry'ego. - Drogi chłopcze, mógłbyś zarobić tyle złota, nie masz pojęcia...

- Nie jestem zainteresowany - odparł twardo Harry

- i właśnie zauważyłem przyjaciółkę, przepraszam. - Wciągnął Lunę w tłum tuż za sobą. Faktycznie, przed chwilą dojrzał burzę brązowych włosów znikającą pomiędzy ludźmi, którzy wyglądali na dwóch członków zespołu Fatalne Jędze. - Hermiono! Hermiono!

- Harry! Tu jesteś, na szczęście! Cześć, Luna!

- Co ci się stało? - zapytał Harry, bo Hermiona wyglądała na wygniecioną, jakby właśnie wywalczyła sobie wyjście z gąszczy diabelskich sidła.

- Och, właśnie uciekłam - to znaczy, właśnie zostawiłam Cormaca. Pod jemiolą - dodała, bo Harry nadal na nią pytająco spoglądał.

- Dobrze ci tak za to, że z nim przyszedł - powiedział jej surowo.

- Pomyślałam, że on najbardziej zdenerwuje Rona - odrzekła Hermiona bez emocji. Przez chwilę się zastanawiałam nad Zachariaszem Smithem, ale ogólnie rzecz biorąc...

- Zastanawiałaś się nad Smithem?! - zbulwersował się Harry.

- Tak, zastanawiałam się, i chyba wolałabym wybrać jego, bo przy McLaggenie nawet Graup jest dżentelmenem. Chodźmy tędy, zauważymy go, jest taki wysoki... - Ruszyli w trójkę do drugiej części pokoju, podnosząc po drodze czarki pełne miodu pitnego i zbyt późno orientując się, że stoi tam samotna profesor Trelawney.

- Dzień dobry - przywitała się Luna.

- Dobry wieczór, moja droga - powiedziała nauczycielka wróżbiarstwa, z pewną trudnością koncentrując wzrok na Lunie. Harry znów poczuł kuchenną sherry. - Nie widziałam cię ostatnio na moich lekcjach...

- To dlatego, że w tym roku uczy mnie Firenzo - odparła Luna.

- Och, oczywiście - odrzekła profesor Trelawney z nerwowym, pijackim chichotem. - Albo Szkap, jak ja o nim mawiam. Pomyślałby kto, nieprawdaż, że skoro wróciłam do szkoły, profesor Dumbledore pozbyłby

się konia...? Ale nie, dzielimy się lekcjami... To zniewaga, to po prostu zniewaga. Czy wiesz...

- Nauczycielka wydawała się zbyt pijana, by rozpoznać Harry'ego. Kiedy wściekle krytykowała Firenzo, Harry przysunął się do Hermiony.

- Wyjaśnijmy sobie coś. Czy zamierzasz powiedzieć Ronowi, że interweniowałeś podczas sprawdzianu na obrońcę?

Hermiona uniosła brwi.

- Myślisz, że zniżylabym się do tego?

Harry spojrział na nią przenikliwie.

- Jeśli możesz umawiać się z McLaggenem...

- Jest pewna różnica - odparła Hermiona z godnością.

- Ale nie mam zamiaru powiedzieć Ronowi o tym, co się mogło lub nie wydarzyć na sprawdzianie na obrońcę.

- To dobrze - odrzekł Harry żarliwie. - Bo jeśli znowu by się załamał i byśmy przegrali następny mecz...

- Quidditch! - parsknęła Hermiona ze złością. - Czy to wszystko, o co dbają faceci? Cormac nie zadał ani jednego pytania odnoszącego się do mojej osoby, nie, zostałam potraktowana za to Setką Wspaniałych Obbron Cormaca McLaggena i tak cały czas... O nie, idzie tutaj!

- Przemieściła się tak szybko, że wydawało się, że użyła teleportacji: w jednej chwili jeszcze tam była, a w drugiej wślizgnęła się między dwie parszające rubasznym śmiechem czarownicy i zniknęła.

- Widziałeś Hermionę? - zapytał McLaggen, przepychając się przez tłum minutę później.

- Nie, przepraszam - odrzekł Harry i odwrócił się, by dołączyć do Luny, na chwilę zapominając, z kim rozmawiała.

- Harry Potter! - powiedziała profesor Trelawney głębokim, wibrującym głosem, wreszcie go zauważając.

- O, dzień dobry - rzekł Harry bez entuzjazmu.

- Drogi chłopcze! - wyszeptała konspiracyjnie.

- Te plotki! Te historie! Wybraniec! Oczywiście, wiedziałam to od dawna... Znaki nigdy dobrze ci nie wróżyły, Harry... Ale dlaczego nie powróciłeś do wróżbiarstwa? Dla ciebie jest to szczególnie ważny

przedmiot!

- Ale, Sybillo, wszyscy myślimy, że to nasz przedmiot jest najważniejszy! - zabrzmiał donośny głos i obok profesor Trelawney pojawił się Slughorn z mocno czerwoną twarzą, lekko przekrzywioną aksamitną tiarą, kielichem miodu w jednej ręce i wielką mięsą babeczką w drugiej. - Lecz wąpię, bym kiedyś widział naturalniejszy talent do eliksirów! - oznajmił, obdarzając Harry'ego czułym spojrzeniem przekrwionych oczu. - To instynkt, jak u jego matki! Dotąd miałem tylko kilku tak zdolnych uczniów, mogę ci to powiedzieć, Sybillo - nawet Severus... - I ku przerażeniu Harry'ego, Slughorn wyciągnął ramię i przyciągnął do nich Snape'a jakby znikąd. - Przestań się tam czać i dołącz do nas, Severusie! - czknął radośnie obecny Mistrz Elikssirów. - Właśnie mówiłem o wyjątkowych zdolnościach Harry'ego do warzenia eliksirów! Część zasług, oczywiście, należy do ciebie, to ty go uczyłeś przez pięć lat!

Uwięziony, z ręką Slughorna otaczającą jego ramiona, Snape spojrział w dół na Harry'ego wzdłuż swojego haczykowatego nosa, a jego czarne oczy się zwęziły.

- To dziwne, nigdy nie miałem wrażenia, że dałem radę czegoś Pottera nauczyć.

- W takim razie to naturalne zdolności! - zawołał Slughorn. - Powinieneś widzieć, jak na pierwsze lekcji zrobił mi Wywar Żywej Śmierci - żaden uczeń dotąd nie uwarzył lepszego za pierwszym razem, chyba nawet nie ty, Severusie...

- Naprawdę? - powiedział cicho Snape, wciąż przewiercając wzrokiem Harry'ego, który czuł pewien dyskomfort. Ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to to, żeby Snape zaczął się interesować przyczynami jego nagłych sukcesów w dziedzinie warzenia eliksirów.

- Przypomnij mi, Harry, jakie jeszcze wybrałeś przedmioty? - zapytał Slughorn.

- Obronę przed czarną magią, zaklęcia, transmutację, zielarstwo...

- W skrócie, wszystkie przedmioty wymagane, by być aurorem - stwierdził Snape z cieniem szyderczego

uśmiechu na ustach.

- Tak, właśnie tym chciałbym się zająć - odparł Harry wyzywająco.

- I byłbyś w tym dobry! - zahuczał Slughorn.

- Nie wiem, czy powinieneś być aurorem, Harry - powiedziała niespodziewanie Luna. Wszyscy na nią spojrzeli. - Aurorzy są częścią Spisku Zgniókła, myślałam, że wszyscy to wiedzą. Planują obalić Ministerstwo Magii od wewnątrz za pomocą połączenia Czarnej Magii i choroby dziąseł.

Harry, śmiejąc się, wciągnął połowę swojego miodu nosem. Rzeczywiście, warto było zabrać tu Lunę chociażby dla czegoś takiego. Wylaniając się ze swojej czary, rozkaszlany i mokry, ale cały czas uśmiechnięty, zauważył coś, co jeszcze bardziej podniosło go na duchu: Dracona Malfoya ciągniętego w ich kierunku za ucho przez Argusa Filcha.

- Profesorze Slughorn - zacharczał woźny, z drgającymi policzkami i rozbieranymi oczami, w których czaił się błysk maniackiego tępicielel występków. - Znalazłem tego chłopca kręcącego się na korytarzu piętro wyżej. Twierdzi, że był zaproszony na twoje przyjęcie, ale się spóźnił. Czy wysłałeś mu zaproszenie?

Malfoy wyrwał się z uścisku Filcha, wściekły.

- No dobrze, nie byłem zaproszony! - powiedział, rozzłoszczony. - Chciałem się wśliznąć bez zaproszenia, zadowolony?

- Nie, nie zadowolony! - odparł Filch, co zupełnie klóciło się z wyrazem satysfakcji na jego twarzy.

- Jesteś w kłopotach, jesteś! Nie słyszałeś, jak dyrektor mówił, że nie wolno się po nocy szwendać po korytarzach, chyba że się ma pozwolenie, no nie słyszałeś?

- W porządku, Argusie, wszystko w porządku - oznajmił Slughorn, machając ręką. - Mamy Święta i mieć ochotę, żeby pójść na przyjęcie, to żadne przestępstwo. Tym razem obejdzie się bez kary. Możesz zostać, Draco.

Wyraz wściekłości i zawodu na twarzy Filcha był do przewidzenia, ale czemu, zastanawiał się Harry, Malfoy

wyglądał na równie zawiedzionego? I dlaczego Snape spoglądał na Ślizgona, zły, jak i - czy to możliwe?

- trochę przestraszony? Ale zanim Harry zarejestrował to, co widział, Filch się odwrócił i odszedł, powłócząc nogami i mamrocząc pod nosem, Malfoy zmusił się do uśmiechu i podziękował Slughornowi za pozwolenie, a twarz Snape'a znowu przybrała kamienny wyraz.

- To nic takiego, nic takiego - powtarzał Slughorn, machając rękoma na podziękowania Malfoya.

- W końcu znalazłem twojego dziadka...

- Zawsze dobrze o panu mówił - powiedział szybko Malfoy. - Twierdził, że jest pan najlepszym warzycielem eliksirów, jakiego kiedykolwiek znał.

Harry gapił się na Malfoya. Nie zaskoczyło go lizusostwo, bo widywał to u niego często w stosunku do Snape'a. Zafascynowało go to, że Ślizgon wyglądał trochę niezdrowo. To był pierwszy raz, kiedy widział Malfoya z bliska od długiego czasu: zauważył teraz, że ma podkrążone oczy, a jego skóra poszarzała.

- Chciałbym zamienić z tobą słówko, Draco - rzekł nagle Snape.

- Nie, Severusie - czknął znowu Slughorn - mamy Święta, nie bądź zbyt surowy...

- Jestem opiekunem jego domu i będę decydować, jak surowa - lub nie - będzie kara - powiedział szorstko Snape. - Za mną, Draco.

Wyszli, Snape prowadził, a Malfoy szedł za nim, wyglądając na urażonego. Harry stał przez chwilę bez ruchu, po czym zwrócił się do Luny:

- Wróć za chwilę, hmm... muszę do łazienki.

- W porządku - odpowiedziała radośnie i wydawało mu się, że usłyszał, jak Luna, wbiegając z powrotem w tłum, wraca z profesor Trelawney do rozmowy na temat Spisku Zgnilokła, którym nauczycielka wydawała się szczerze zainteresowana.

Kiedy wy dostał się z przyjęcia, łatwo było wyjąć pelerynę-niewidkę z kieszeni i narzucić ją na siebie. Wszędzie było pusto. Trudniejszym wydawało się znalezienie Snape'a i Malfoya. Harry pobiegł wzdłuż korytarza, odgłos jego kroków maskowała muzyka i

głośne rozmowy dobiegające z gabinetu Slughorna. Być może Snape zabrał Malfoya do swojego biura w lochach... Albo odprowadzał go do pokoju wspólnego Slytherinu... Harry przemierzał korytarz, przyciskając ucho do każdych drzwi po kolei, aż wreszcie, z dreszczem podekscytowania, przykląkł przy ostatniej dziurce od klucza i usłyszał głosy.

- ...pozwolić na błędy, Draco, bo jeśli zostaniesz wyrzucony ze szkoły...

- Nie miałem z tym nic wspólnego, dobrze?

- Mam nadzieję, że mówisz prawdę, bo to było niezgrabnie zrobione i głupie. Już jesteś podejrzewany o to, że brałeś w tym udział.

- Kto mnie podejrzewa? - zapytał Malfoy ze złością.

- Mówię po raz ostatni, to nie ja, dobrze? Tamta Bell musiała mieć wroga, o którym nikt nie wiedział - nie patrz tak na mnie! Wiem, co robisz, nie jestem głupi, ale to nie zadziała - mogę cię powstrzymać!

Przez chwilę panowało milczenie, a potem Snape powiedział cicho:

- Aha... Widzę, że ciotka Bellatrix uczyła cię Oklumencji. Jakie myśli chcesz ukryć przed swoim panem, Draco?

- Niczego nie zamierzam przed nim ukrywać, tylko nie chcę, żebyś ty się wtrącał! - Harry przycisnął ucho do dziurki od klucza. Co się stało, że Malfoy mówił w ten sposób do Snape'a - do Snape'a, w stosunku do którego zawsze okazywał szacunek, a nawet sympatię...?

- To dlatego unikałeś mnie w tym semestrze? Bałeś się, że się wtrącę? Zdajesz sobie sprawę, że gdyby ktokolwiek inny odmówił przyjścia do mojego gabinetu, chociaż go o to prosiłem, Draco, to...

- Więc daj mi szlaban! Powiedz Dumbledore'owi! - zadrwił Malfoy.

Nastąpiła kolejna przerwa. Potem Snape stwierdził:

- Wiesz doskonale, że nie zamierzam zrobić żadnej z tych rzeczy.

- To powinieneś przestać mi powtarzać, że mam przyjść do twojego gabinetu!

- Posłuchaj - powiedział Snape tak cicho, że Harry

musiał przyłgnąć do dziurki od klucza, żeby coś usłyszeć. - Próbuję ci pomóc. Przynależem twojej matce, że będę cię chronił. Złożyłem Niezłomną Przysięgę, Draco...

- Widać będziesz musiał ją złamać, bo nie potrzebuje twojej ochrony! To moja misja, on mi ją dał i ja ją wypełnię, mam plan i on wypali, tylko to trwa trochę dłużej, niż przewidywałem!

- Jaki jest twój plan?

- To nie twój interes!

- Jeśli powiesz mi, co próbujesz zrobić, mogę ci udzielić pomocy...

- Mam tyle pomocy, ile potrzebuję, dziękuję, nie jestem sam!

- Ale dzisiaj byłeś sam, co stanowi wyjątkowo głupie posunięcie, a chodzenie w pojedynkę po korytarzach bez wsparcia i czujek, to są podstawowe błędy...

- Crabbe i Goyle byliby ze mną, gdybyś nie dał im szlabanu!

- Mów ciszej! - warknął Snape, bo Malfoy podniósł głos z emocji. - Jeśli twoi przyjaciele Crabbe i Goyle zamierzają zdać SUMy z obrony przed Czarną Magią w tym roku, powinni się trochę bardziej przyłożyć niż dotąd...

- A co to ma za znaczenie? - zapytał Malfoy. - Obrona przed Czarną Magią to tylko żart, prawda, tylko gra? Jakby ktokolwiek z nas potrzebował mieć ochronę przed Czarną...

- To gra niezbędna, aby osiągnąć sukces, Draco! Gdzie bym był przez te wszystkie lata, gdybym nie wiedział, jak grać? A teraz słuchaj! Jesteś nieostrożny, chodzisz po nocy, dajesz się złapać i jeśli korzystasz z takiej pomocy, jak Crabbe'a i Goyle'a...

- Nie są jedyni, mam innych ludzi po swojej stronie, lepszych ludzi!

- Więc czemu mi się nie zwierzysz, mogę...

- Wiem, o co ci chodzi! Chcesz się plawić w mojej chwale!

Nastąpiła jeszcze jedna przerwa, po której Snape powiedział zimno:

- Mówisz jak dzieciak. Rozumiem, że aresztowanie i uwięzienie twojego ojca wytrąciło cię z równowagi, ale...

Harry miał tylko sekundę. Usłyszał kroki Malfoya po drugiej stronie drzwi i rzucił się w bok, gdy tylko się otworzyły. Ślizgon ruszył dużymi krokami w dół korytarza, minął otwarty gabinet Slughorna, a potem zakręcił, i zniknął. Harry ledwie oddychał, wciąż przykucnięty, gdy Snape powoli wyszedł z klasy. Wrócił na przyjęcie z niezgłębionym wyrazem twarzy. Gryfon pozostał na podłodze, przykryty niewidką, a myśli kołatały mu się po głowie jak oszalale.

Tłumaczyła Nila



Bardzo mroźne święta

Więc Snape proponował mu pomoc? Naprawdę *proponował mu pomoc?*

- Jeśli jeszcze raz o to spytasz - powiedział Harry - wsadzę ci tę brukselkę...

- Tylko się upewniam! - zawołał Ron. Stali we dwóch przy kuchennym zlewie w Norze, obierając dla pani Weasley stertę brukselk. Śnieg tworzył zaspę za oknem naprzeciw ich oczu.

- *Tak, Snape proponował mu pomoc!* - oznajmił Harry.

- Powiedział, że obiecał matce Malfoya chronić go, że złożył Niezłomny Ślub czy coś takiego...

- Niezłomną Przysięgę? - spytał Ron, wyglądając na oszołomionego. - Nie, nie mógł... Jesteś pewien?

- Tak, jestem pewien - odparł Harry. - Bo co? Co to oznacza?

- Cóż, nie można złamać Niezłomnej Przysięgi...

- Zabawne, tyle to już sam wymyśliłem. Co się więc stanie, gdy ją złamiesz?

- Umrzesz - powiedział po prostu Ron. - Fred i George

próbowali wciągnąć mnie w taką, gdy miałem jakieś pięć lat. Prawie się zgodziłem. Już się trzymaliśmy z Fredem za ręce i tak dalej, kiedy tata nas znalazł. Wpadł w furję. - Oczy Rona zalśniły od wspomnień.

- Tylko raz widziałem, żeby tata był równie wściekły jak mama. Fred twierdzi, że od tamtego czasu jego lewy pośladek nie jest taki jak przedtem.

- Dobra, pomijając temat lewego pośladka Freda...

- Słucham? - dobiegł głos Freda, gdy bliźniacy wkroczyli do kuchni.

- Aaa, George, popatrz. Używają noży i w ogóle. Na zdrowie!

- Jeszcze dwa miesiące i będę miał siedemnaście lat - powiedział Ron zrzędliwie. - Wtedy będę mógł używać do tego magii!

- Ale w międzyczasie - stwierdził George, siadając przy stole i kładąc na nim nogi - popatrzmy, jak demonstrujesz prawidłowe użycie... ups!

- To przez was! - zawołał wściekle Ron, ssąc rozcięty kciuk. - Poczekajcie tylko, jak skończę siedemnaście...

- Z pewnością olśnisz nas wszystkich swoimi dotychczas ukrytymi zdolnościami. - Fred ziewnął.

- A skoro mowa o dotychczas ukrytych zdolnościach, Ronaldzie - powiedział George. - Co to Ginny wspominała o tobie i młodej damie o zwanej - o ile nasze źródło ma słuszość - Lavender Brown?

Ron lekko się zaczerwienił, jednak nie wyglądał na niezadowolonego, gdy wrócił do brukselki.

- Zajmijcie się własnymi sprawami.

- Cóż za cięta riposta! - zawołał Fred. - Nie wiem doprawdy, skąd je bierzesz. Nieważne, chcemy wiedzieć... jak to się stało?

- Co się stało?

- Miała wypadek, czy co?

- Co?

- No, jak nabawiła się tak rozległego urazu mózgu? Hej, ostrożnie!

Pani Weasley weszła do kuchni w samą porę, by zobaczyć, jak Ron rzuca swoim nożem we Freda, który zmienił go następnie w papierowy samolocik jednym

leniwym machnięciem różdżki.

- *Ron!* - zawołała gniewnie. - Nie chcę więcej widzieć, jak rzucasz nożami!

- Nie będę tego robił - powiedział Ron - przy tobie - dodał pod nosem, wracając do sterty brukserek.

- Fred, George, przykro mi, kochani, ale dziś przyjeżdża Remus, więc Bill będzie musiał wcisnąć się do was!

- Żaden problem - stwierdził George.

- Charliego nie będzie, Harry i Ron zostają na poddaszu, a jeśli Fleur ulokujemy u Ginny...

- ... piękne święta dla Ginny... - wymamrotał Fred.

- ... wszystkim powinno być wygodnie. No, w każdym razie będą mieli gdzie spać - powiedziała pani Weasley lekko znękanym głosem.

- Więc Percy nie ma zamiaru pokazać swojej gęby? - spytał Fred.

Pani Weasley odwróciła się tyłem.

- Nie, podejrzewam, że jest zajęty.

- Albo jest największym głąbem świata - powiedział Fred, gdy pani Weasley wyszła z kuchni. - Jedno z dwojga. No to chodźmy, George.

- Co znów kombinujecie? - spytał Ron. - Nie możecie pomóc nam z tą brukselką? Machnięcie różdżką i mielibyśmy wolne!

- Nie, nie możemy tak postąpić - powiedział Fred poważnie. - To robota, która buduje charakter. Obieranie brukselki bez użycia magii pozwala zrozumieć, jak ciężko jest mugolom i charłakom...

- ... a jeśli prosisz ludzi o pomoc, Ron - dodał George, puszczając w jego stronę samolot - nie radziłbym rzucać w nich nożami. Taka mała wskazówka. Idziemy do wioski. W sklepie papierniczym pracuje śliczna dziewczyna, która uważa, że moje sztuczki z kartami to coś cudownego... prawie prawdziwa magia...

- Gnojki - stwierdził Ron ponuro, patrząc na bliźniaków przemierzających zaśnieżone podwórze.

- Zajęłoby im dziesięć sekund i my też byśmy mogli iść.

- Ja nie - powiedział Harry. - Obiecałem

Dumbledore'owi, że podczas pobytu tutaj nie będzie nigdzie wychodził.

- Racja - odrzekł Ron. Obrął kilka brukselek i spytał:

- Powiesz Dumbledore'owi, o czym rozmawiali Snape i Malfoy?

- Tak - odparł Harry. - Powiem każdemu, kto może ich powstrzymać, a Dumbledore otwiera tę listę. I z twoim tatą też zamienię słowo.

- Szkoda, że nie usłyszałeś, co Malfoy robi.

- Nie mogłem, nie? O to przecież chodziło: nie chciał powiedzieć Snape'owi.

Przez chwilę czy dwie panowała cisza, a potem Ron oznajmił:

- Wiesz oczywiście co ci powiedzą, prawda? Tata i Dumbledore, i wszyscy? Powiedzą, że Snape tak naprawdę wcale nie próbuje pomóc Malfoyowi, tylko chce się dowiedzieć, co Malfoy planuje.

- Nie słyszeli go - rzekł Harry stanowczo.

- Nikt nie jest tak dobrym aktorem, nawet Snape.

- No... Tak tylko mówię - powiedział Ron.

Harry spojrział na niego, marszcząc czoło.

- Ale ty uważasz, że mam rację?

- Jasne! - zawołał Ron pospiesznie. - Pewnie, że masz rację! Ale oni są przekonani, że Snape jest w Zakonie, nie?

Harry nic nie powiedział. Właśnie wpadło mu do głowy, że to będzie najsilniejszy kontrargument dla jego nowego odkrycia. Słyszał niemal Hermionę, jak mówi: *"Oczywiście, Harry, że udawał że chce pomóc, by namówić Malfoya do zwierzeń..."*

Było to jednak czyste wyobrażenie, jako że nie miał możliwości opowiedzieć Hermionie, co usłyszał. Zniknęła z przyjęcia Slughorna przed jego powrotem

- a w każdym razie tak oznajmił mu poirytowany McLaggen - a gdy wrócił do pokoju wspólnego, była już w łóżku. On i Ron wyjechali do Nory wcześniej następnego dnia i ledwo miał czas, by życzyć przyjaciółce wesółych świąt i szepnąć, że po przyjeździe ma jej do powiedzenia coś bardzo ważnego. Nie był jednak pewien, czy go słyszała - w tym samym

czasie za jego plecami Ron i Lavender zegnali się w bardzo niewerbalny sposób.

Jednak nawet Hermiona nie mogła zaprzeczyć jednemu: Malfoy ewidentnie coś planował i Snape wiedział o tym, więc Harry czuł, że jego "A nie mówiłem?" jest w pełni usprawiedliwione, jak zresztą oświadczył już kilka razy Ronowi.

Pan Weasley spędzał w ministerstwie całe dnie i Harry nie miał możliwości porozmawiania z nim aż do wieczoru wigilijnego. Weasleyowie i ich goście siedzieli w bawialni, którą Ginny udekorowała z takim przepychem, że wszyscy czuli się jak w eksplozji papierowych łańcuchów. Fred, George, Harry i Ron jako jedyni wiedzieli, że anioł na czubku choinki jest tak naprawdę ogrodowym gnomem, który ugryzł Freda w kostkę, gdy ten zbierał marchewkę do świątecznego obiadu. Potraktowany zaklęciem oszalamiającym, pomalowany na złoto, wepchnięty w miniaturowy tiulowy trykot i z maleńkimi skrzydełkami przyklejonymi na plecach, patrzył na nich wściekle - najbrzydszy anioł, jakiego Harry kiedykolwiek widział, z wielką łysą jak ziemniak głową i raczej futrzastymi stopami.

Wszyscy usiłowali słuchać świątecznej audycji z udziałem ulubionej piosenkarki pani Weasley, Celestyny Warbeck, której świergot dobiegał z wielkiego, drewnianego radia. Fleur, która najwidoczniej uznała Celestynę za nudną, rozmawiała w kącie tak głośno, że nachmurzona pani Weasley trzymała różdżkę skierowaną na regulator dźwięku, skutkiem czego Celestyna rozbrzmiewała coraz głośniej. Pod osłoną wyjątkowo jazzowego kawalka o tytule *Kociołek pełen gorącej, mocnej miłości* Fred i George zaczęli grać z Ginny w eksplodującego durnia. Ron wciąż rzucał Billowi i Fleur ukradkowe spojrzenia, jakby miał nadzieję, że czegoś się nauczy. Remus Lupin, szczuplejszy i bardziej mizerny niż kiedykolwiek, siedział przy kominku i patrzył w płomień, jakby zupełnie nie słyszał głosu Celestyny.

*Przyjdź, rozpal mój kociolatek
Będziesz o niego dbał
Uwarzę Ci mocnej miłości
Byś w cieple dziś się grzał.*

- Tańczyliśmy przy tym, gdy mieliśmy osiemnaście lat! - zawołała pani Weasley, wycierając oczy robótką.

- Pamiętasz, Arturze?

- Mphf? - spytał pan Weasley, kiwając się nad obieranymi mandarynkami. - Och tak... wspaniała melodia...

Z pewnym wysiłkiem wyprostował się na krześle i spojrzał na Harry'ego, który siedział obok.

- Przepraszam za to - powiedział, wskazując głową na radio, w którym Celestyna doszła do refrenu. - Zaraz się skończy.

- Żaden problem - wyszczerzył się Harry. - Dużo ma pan pracy w ministerstwie?

- Bardzo - odparł pan Weasley. - Nie miałbym nic przeciwko, gdybyśmy chociaż posuwali się naprzód, ale wątpię, by choćby jeden z tych trzech, których aresztowaliśmy w ciągu ostatnich kilku miesięcy, był prawdziwym śmierciożercą... Tylko nie powtarzaj tego nikomu, Harry - dodał szybko, nagle o wiele bardziej przytomny.

- Wciąż nie uwolnili Stana Shunpike'a, prawda? - spytał Harry.

- Obawiam się, że nie - powiedział pan Weasley.

- Wiem, że Dumbledore apelował u samego Scrimgeoura w sprawie Stana... Znaczący się, każdy, kto go przesłuchiwał, zgadza się, że taki z niego śmierciożerca jak z tej mandarynki... Ale ci na górze chcą sprawiać wrażenie, że robią jakieś postępy, a *trzy aresztowania* brzmią lepiej niż *trzy błędne aresztowania i wypuszczenia*... ale to wszystko też jest ściśle tajne...

- Nic nikomu nie powiem - obiecał Harry. Wahał się przez moment, zastanawiając, jak najlepiej podjąć następny temat. Gdy tak zbierał myśli, Celestyna Warbeck zaczęła balladę *Zaczarowałeś moje serce*.

- Panie Weasley, pamięta pan, co mówiłem panu na

stacji?

- Sprawdziłem to, Harry - odrzekł szybko pan Weasley.
- Poszedłem i przeszukałem cały dom Malfoyów. Nie było tam nic, w całości bądź kawałkach, co nie miało prawa tam być.

- Tak, wiem, czytałem w *Proroku*... ale chodzi mi o coś innego... no, o coś więcej...

I opowiedział panu Weasleyowi całą rozmowę pomiędzy Malfoyem a Snape'em. W międzyczasie zobaczył, jak Lupin odwrócił głowę w ich kierunku i chwyta każde słowo. Kiedy skończył, zapadła cisza - pomijając słodki trel Celestyny.

*Moje biedne serce, gdzieżeś zniknęło?
Ktoś je zaklęciem skradł...*

- Nie wpadło ci do głowy, Harry - spytał pan Weasley
- że Snape mógł po prostu udawać...?

- Udawać chęć pomocy, by odkryć, co Malfoy planuje?
- powiedział Harry szybko. - Jasne, wiedziałem, że pan tak powie. Ale jaką mamy pewność?

- Nie nasza w tym głowa - oznajmił niespodzianie Lupin. Odwrócił się plecami do kominka i teraz siedział naprzeciw Harry'ego i pana Weasleya. - Tylko Dumbledore'a. Dumbledore ufa Severusowi i to powinno wystarczyć nam wszystkim.

- Ale - powiedział Harry - załóżmy... załóżmy, że Dumbledore myli się co do Snape'a...

- Ludzie wiele razy tak mówili. Wszystko sprowadza się do tego, czy ufasz Dumbledore'owi. Ja ufam. Dlatego ufam też Severusowi.

- Ale Dumbledore też popełnia błędy - zaproponował Harry. - Sam tak mówi. A pan...

Popatrzył Lupinowi prosto w oczy.

- ... naprawdę lubi pan Snape'a?

- Ani lubię, ani nie lubię Severusa - powiedział Lupin.

- Nie, Harry, mówię szczerze - dodał, gdy Harry spojrział na niego sceptycznie. - Pewnie nigdy nie będziemy przyjaciółmi. Po tym wszystkim, co zaszło między Jamesem i Syriuszem a Severusem, za dużo

między nami goryczy. Ale nie zapominam, że podczas tamtego roku, gdy uczyłem w Hogwarcie, Severus co miesiąc przygotowywał dla mnie wywar tojadowy, przygotowywał go perfekcyjnie, i nie musiałem podczas pełni cierpieć, jak miało to miejsce wcześniej.

- Ale *przypadkowo* wymknęło mu się, że jest pan wilkołakiem, i musiał pan odejść! - zawołał Harry ze złością.

Lupin wzruszył ramionami.

- Wiadomość i tak by się rozniosła. Obaj wiemy, że chciał mojej posady, ale o wiele więcej uczyniłby szkód, majstrując przy eliksirze. Utrzymał mnie w zdrowiu. Muszę być wdzięczny.

- Może nie ośmielił się kombinować z eliksirem, skoro Dumbledore miał na niego oko! - oświadczył Harry.

- Uparłeś się, by go nienawidzić, Harry - powiedział Lupin, uśmiechając się blado. - Rozumiem to. Mając Jamesa za ojca i Syriusza za chrzestnego, musiałeś odziedziczyć stare uprzedzenia. Jak najbardziej powinieneś powiedzieć Dumbledore'owi to, co powiedziałaś Arturowi i mnie, ale nie oczekuj, że podzieli twój punkt widzenia. Nie oczekuj nawet, że będzie zaskoczony. Całkiem możliwe, że Severus wypytywał Draco na polecenie Dumbledore'a.

*... teraz, gdy je rozdarłeś w strzępy,
oddaj serce, złość ci wielkie dzięki!*

Celestyna zakończyła piosenkę długim i wysokim dźwiękiem i z odbiornika doleciał gromki aplauz, do którego entuzjastycznie przyłączyła się pani Weasley.

- Czi to już koniec? - powiedziała Fleur. - Dziki Bogu, co za okropni...

- Napijemy się przed snem? - spytała głośno pani Weasley, wstając. - Ma ktoś ochotę na ajerkoniak?

- Czym się pan ostatnio zajmował? - spytał Harry Lupina, gdy pan Weasley zakrzętał się, by przynieść ajerkoniaku, a pozostali zaczęli się przeciągać i rozmawiać.

- Och, działałem w podziemiu - odparł Lupin.

- Niemal dosłownie. Dlatego nie mogłem pisać, Harry. Listy by mnie wydały...

- Jak to?

- Żyłem między moimi towarzyszami, moimi pobratymcami - powiedział Lupin. - Wilkołakami - dodał, widząc niezrozumienie na twarzy Harry'ego.

- Prawie wszyscy są po stronie Voldemorta. Dumbledore chciał szpiega i miał mnie... już gotowego. W jego głosie zabrzmiała gorycz i być może zdał sobie z tego sprawę, bo przy następnych słowach uśmiechał się trochę cieplej:

- Nie narzekam. To ważna robota, a kto mógłby wykonać ją lepiej ode mnie? Ale ciężko było zdobyć ich zaufanie. Widzisz, noszę na sobie wyraźne oznaki życia między czarodziejami, podczas gdy oni odcięli się od normalnego społeczeństwa i żyją na marginesie, kradnąc - i czasem zabijając - by nasycić głód.

- Dlaczego przystali do Voldemorta?

- Myślą, że pod jego rządami czeka ich lepsze życie - wyjaśnił Lupin. - A z Greybackiem ciężko się klócić...

- Kim jest Greyback?

- Nie słyszałeś o nim? - Dłonie Lupina zacisnęły się konwulsyjnie na jego kolanach. - Fenrir Greyback jest prawdopodobnie najdzikszym z żyjących wilkołaków. Uważa za swój życiowy cel pokąsać i zarazić możliwie najwięcej ludzi. Chce stworzyć wystarczająco dużo wilkołaków, by uzyskać przewagę nad czarodziejami. Voldemort w zamian za służbę obiecał mu ofiarę. Greyback specjalizuje się w dzieciach... Gryź je wcześniej, powiada, i wychowaj z dala od rodziców, by nienawidziły normalnych czarodziejów. Voldemort grozi, że wypuści go na dzieci czarodziejów.. Taka groźba zazwyczaj skutkuje.

Lupin przerwał na chwilę, po czym powiedział:

- To Greyback mnie ugryzł.

- Co? - spytał zaskoczony Harry. - Kiedy... kiedy byłeś dzieckiem, tak?

- Tak. Mój ojciec kiedyś go obraził. Przez długi czas nie znałem tożsamości wilkołaka, który mnie zaatakował. Żalowałem go nawet, myślałem, że nie

miał nad sobą kontroli, bo już wiedziałem, jak to jest po transformacji. Ale Greyback nie jest taki. Podczas pełni sytuuje się niedaleko ofiary, upewnia, że jest wystarczająco blisko, by zaatakować. Wszystko planuje. Voldemort posługuje się nim jako przywódcą wilkołaków. Nie mogę udawać, że moje argumenty robią jakieś postępy w stosunku do uporu Greybacka, że my wilkołaki zasługujemy na krew, że powinniśmy mścić się na normalnych ludziach.

- Ale wy jesteście normalni! - zawołał Harry porywczo.

- Macie tylko... problem...

Lupin wybuchnął śmiechem.

- Czasami naprawdę przypominasz mi Jamesa. Zwykły mawiać przy ludziach o moim *małym, futrzanym problemie*. Ludzie byli przekonani, że mam niegrzecznego królika.

Wyglądał na bardziej pogodnego, przyjmując od pani Weasley kieliszek ajerkoniaku. Harry tymczasem poczuł przypływ podniecenia: ta ostatnia uwaga o ojcu przypomniawszy mu coś, o co chciał zapytać Lupina.

- Słyszał pan kiedykolwiek o kimś nazywanym Półkrwi Księciem?

- Półkrwi kim?

- Księciem - powiedział Harry, obserwując go uważnie.

- W świecie czarodziejskim nie ma książąt - odrzekł Lupin z uśmiechem. - Rozważasz przybranie takiego tytułu? Myślałem, że wystarczy ci *Wybraniec*.

- To nie ma nic wspólnego ze mną! - zawołał Harry z oburzeniem. - Półkrwi Książę był kiedyś w Hogwarcie, mam jego stary podręcznik do eliksirów. Napisał w nim pełno zaklęć, które sam wymyślił. Jednym z nich było *Levicorpus*...

- Och, było w modzie za moich czasów w Hogwarcie - powiedział Lupin, pogrążając się we wspomnieniach.

- Przez kilka miesięcy podczas piątego roku człowiek nie mógł się nigdzie ruszyć, by zaraz nie wisieć w powietrzu za kostki.

- Mój tata go używał - oznajmił Harry. - Widziałem w myślodsiewni, jak użył go na Snapie.

Starł się, by jego głos brzmiał swobodnie, jakby

rzucal komentarz zupełnie pozbawiony znaczenia, ale nie był pewien, czy osiągnął zamierzony efekt - uśmiech Lupina zawierał w sobie odrobinę za dużo zrozumienia.

- Tak - odparł Lupin - ale nie on jeden. Jak mówiłem, zaklęcie było bardzo popularne... wiesz, jak to się zmienia...

- Ale musiało być wynalezione w waszych czasach - upierał się Harry.

- Niekoniecznie - stwierdził Lupin. - Uroki wchodzą i wychodzą z mody jak wszystko inne.

Popatrzył Harry'emu w twarz i powiedział cicho:

- James był czarodziejem czystej krwi, Harry, i przyrzekam ci, że nigdy nie prosił nas, byśmy nazywali go *Książę*.

Porzucając pretensje, Harry spytał:

- O Syriusza też nie chodzi? Ani o pana?

- Absolutnie.

- Aha. - Harry spojrzal w ogień. - Tak sobie myślałem... cóż, sporo mi pomógł na lekcjach eliksirów. *Książę*, znaczy się.

- Jak stara jest ta książka, Harry?

- Nie wiem, nie sprawdzałem.

- Cóż, może to da ci jakąś wskazówkę odnośnie pobytu Księcia w Hogwarcie - powiedział Lupin.

Wkrótce potem Fleur postanowiła naśladować Celestynę w piosence *Kociolatek pełen gorącej, mocnej miłości*, co wszyscy uznali - po zerknięciu na twarz pani Weasley - za sygnał, by udać się na spoczynek. Harry podreptał za Ronem do jego sypialni na poddaszu, gdzie wstawiono łóżko polowe.

Ron zasnął niemal natychmiast, ale Harry przed snem wygrzebał z kufra swój egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych*. Potem powoli przewracał stronicę, aż w końcu znalazł na pierwszej stronie datę wydania. Książka miała prawie pięćdziesiąt lat. Pięćdziesiąt lat temu nie było w Hogwarcie ani jego ojca, ani przyjaciół ojca. Rozczarowany Harry wrzucił podręcznik z powrotem do kufra, wyłączył lampę i zwinął się na łóżku, myśląc o wilkołakach i Snapie, o

Stanie Shunpike'u i Półkrwi Księciu, aż wreszcie zapadł w niespokojny sen pełen skradających się cieni i płaczu pokąsanych dzieci...

- Ona chyba sobie żartuje...

Harry obudził się gwałtownie i zobaczył na skraju łóżka wypchaną skarpetę. Założył okulary i rozejrzył się. Małe okienko było niemal zupełnie zaszypane śniegiem, a tuż przy nim, wyprostowany na łóżku, siedział Ron, oglądając grubą, złotą łańcuch.

- Co to? - spytał Harry.

- Od Lavender - odparł Ron z odrazą. - Chyba nie myśli, że będę nosił...

Harry przyjrzał się i roześmiał. Na łańcuchu dyndały złote litery, ułożone w słowa MÓJ MISIACZEK.

- Ładne - powiedział. - Z klasą. Powinieneś koniecznie założyć i pokazać Fredowi i George'owi.

- Jeśli im powiesz - zagroził Ron, wpychając naszyjnik pod poduszkę - to ja... ja... ja...

- Zająkasz mnie na śmierć? - spytał Harry, szczerząc się. - Daj spokój, zrobiłbym to?

- Ale skąd jej wpadło do głowy, że spodoba mi się coś takiego? - spytał Ron w powietrze, sprawiając wrażenie raczej wstrząśniętego.

- Cóż, przypomnij sobie - podpowiedział Harry.

- Wspomniałeś jej kiedykolwiek, że chciałbyś chodzić publicznie ze słowami "mój misiaczek" na szyi?

- No... tak naprawdę za dużo nie rozmawiamy - przyznał Ron. - Głównie...

- Całujecie się - podsunął Harry.

- No, tak - zgodził się Ron. Wahał się przez moment, po czym spytał: - Hermiona na serio chodzi z McLaggenem?

- Nie wiem - odparł Harry. - Byli razem na przyjęciu u Slughorna, ale nie wydaje mi się, żeby to przeszło w coś więcej.

Ron zagłębił się w skarpetę w nieco lepszym nastroju. Pośród prezentów Harry'ego znalazły się: wydziergany przez panią Weasley sweter z wielkim Złotym Zniczem na przedzie, pudło produktów Czarodziejskich Dowcipów Weasleyów od bliźniaków oraz lekko

wilgotny, pachnący pleśnią pakunek z etykietką: "Dla Pana od Stworka".

Harry patrzył przez chwilę.

- Myślisz, że można śmiało otworzyć? - spytał.

- Nie może być nic niebezpiecznego, nasza poczta wciąż jest sprawdzana przez ministerstwo - odparł Ron, choć spoglądał na paczkę raczej podejrzliwie.

- Nie pomyślałem, by cokolwiek dać Stworkowi! Obdarzanie skrzatów domowych prezentami jest zwyczajem? - spytał Harry, ostrożnie szturchając pakunek.

- Hermiony na pewno - odrzekł Ron. - Ale poczekajmy i zobaczymy co to, zanim zaczniesz mieć wyrzuty sumienia.

Chwilę później Harry wrzasnął i zeskoczył z łóżka - paczka była pełna robaków.

- Ładne - powiedział Ron, wyjąc ze śmiechu. - Bardzo pomysłowy prezent.

- Wolę to niż naszyjnik - odparł Harry, co od razu otrzeźwiło Rona.

Do stołu świątecznego wszyscy zasiedli w nowych swetrach - za wyjątkiem Fleur (na którą najwyraźniej pani Weasley nie chciała marnować czasu) i samej pani Weasley, która paradowała w nowiutkim kapeluszu o barwie nocnego nieba, połyskującym na wzór gwiazd diamentkami, oraz wspinałym złotym naszyjniku.

- Dostałam od Freda i George'a! Czyż nie są piękne?

- Cóż, teraz, kiedy sami pierzemy sobie skarpetki, nasz szacunek do ciebie bardzo wzrósł, mamó - powiedział George, machając niedbale dłonią. - Pasternaku, Remusie?

- Harry, masz we włosach robaka - stwierdziła radośnie Ginny, sięgając ponad stołem, by go wyjąć. Harry poczuł, jak na jego karku pojawia się gęsia skórka, która nie miała nic wspólnego z robakiem.

- Okropne! - zawołała Fleur, wzdragając się afektownie.

- Prawda? - spytał Ron. - Sosu, Fleur?

Tak gorliwie chciał ją obsłużyć, że potracił sosjerkę, a sos wyleciał w powietrze. Bill machnął różdżką i sos

potulnie wrócił do naczynia.

- Jesteś tak samo nidobry jak ta Tonks - oznajmiła Ronowi Fleur, gdy już skończyła całować Billa w ramach podziękowań. - Ona zawsze coś potrafi...

- Zaprosiłam na dziś *kochaną* Tonks - powiedziała pani Weasley, stawiając miskę marchewki z niepotrzebnym impetem i rzucając Fleur groźne spojrzenie. - Ale nie przyjdzie. Rozmawiałeś z nią ostatnio, Remusie?

- Nie, nie miałem z nikim kontaktu - odparł Lupin.

- Ale Tonks ma rodzinę, prawda?

- Hmm - stwierdziła pani Weasley. - Być może. Odniosłam wrażenie, że planuje spędzić święta sama.

Obdarzyła Lupina poirytowanym spojrzeniem, jakby to była jego wina, że za synową będzie mieć Fleur, a nie Tonks. Ale patrząc na Fleur, która aktualnie własnym widelcem karmiła Billa indykiem, Harry pomyślał, że pani Weasley toczy dawno przegraną bitwę. Przypomniał sobie natomiast związaną z Tonks sprawę, a kogo lepiej spytać niż Lupina, który wiedział wszystko o patronusach?

- Patronus Tonks zmienił kształt - oświadczył mu.

- W każdym razie Snape tak mówił. Nie wiedziałem, że coś takiego może mieć miejsce. Dlaczego patronus może się zmienić?

Lupin przez chwilę przeżuwał indyka, po czym przelknął go i powiedział powoli:

- Czasami... duży szok... wstrząs emocjonalny...

- Był duży i miał cztery nogi - stwierdził Harry i uderzony nagłą myślą zniżył głos. - Hej... to nie mógł być...?

- Arturze! - zawołała nagle pani Weasley. Już była na nogach i przyciskając dłoń do serca, wyglądała przez kuchenne okno. - Arturze... to Percy!

- Co?

Pan Weasley rozejrzał się. Wszyscy szybko popatrzyli w okno, Ginny wstała, by lepiej widzieć. Przez zaśnieżone podwórze sunął Percy Weasley, co do tego nie było wątpliwości, a jego okulary w rogowych oprawkach połyskiwały w słońcu. Nie był jednak sam.

- Arturze, on jest... jest z ministrem!

I rzeczywiście, w ślad za Percym, lekko utykając, podążał mężczyzna, którego Harry widział w *Proroku Codziennym*. Grzywa jego siwiejących włosów i czarny płaszcz upstrzone były płatkami śniegu. Zanim którekolwiek zdążyło cokolwiek powiedzieć, zanim pan i pani Weasley zdążyli zrobić coś więcej, niż wymieniać oszołomione spojrzenia, drzwi otwarły się i stanął w nich Percy Weasley.

Przez chwilę panowała bolesna cisza. Potem Percy powiedział raczej sztywno:

- Wesółych świąt, mamó.

- Och, Percy! - zawołała pani Weasley i rzuciła się w jego ramiona.

Rufus Scrimgeour zatrzymał się na progu, opierając na lasce, i z uśmiechem obserwował tę wzruszającą scenę.

- Proszę nam wybaczyć to wtargnięcie - oznajmił, gdy pani Weasley spojrzała na niego, uśmiechając się radośnie i ocierając oczy. - Percy i ja byliśmy w pobliżu - obowiązki - i nie mógł się oprzeć pokusie, by wstąpić i się z wami zobaczyć.

Ale Percy nie zdradzał żadnej chęci, by przywitać się z pozostałymi członkami rodziny. Stał wyprostowany jak pogrzbacz, jakby nie na miejscu, i patrzył ponad głowami zgromadzonych. Pan Weasley, Fred i George obserwowali go z kamiennymi twarzami.

- Proszę wejść i usiąść, panie ministrze! - Pani Weasley zakrzętała się nerwowo, poprawiając kapelusz. - Proszę się poczęstować pudykiem czy indyngiem... znaczy się...

- Nie, nie, droga Molly - powiedział Scrimgeour. Harry przypuszczał, że przed wejściem do domu spytał Percy'ego o jej imię. - Nie chcę przeszkadzać. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby Percy nie chciał tak bardzo zobaczyć się z wami...

- Och, Percy! - zawołała pani Weasley z płaczem, całując syna w policzek.

- ... zajrzeliśmy tylko na pięć minut, przespaceruję się po podwórzu, a wy sobie porozmawiajcie. Nie, nie, zapewniam cię, nie chcę się wtrącać! Chyba że ktoś zechciałby mi pokazać wasz czarujący ogród... ach, ten

młody człowiek już skończył, może przejdzie się ze mną?

Atmosfera wokół stołu zmieniła się wyraźnie. Wszyscy przenieśli spojrzenia ze Scrimgoeura na Harry'ego. Nikt jakoś nie uwierzył, że Scrimgeour nie zna imienia Harry'ego, nikt nie uważał za nienaturalne, że Harry został wybrany, by towarzyszyć ministrowi w przechadzce po ogrodzie, choć Ginny, Fred i George też siedzieli nad pustymi talerzami.

- Dobrze - powiedział Harry w ciszy.

Nie dał się nabrać. Mimo całej gadki Scrimgoeura, że tylko przechodzili, że Percy chciał się spotkać z rodziną, to musiał być prawdziwy powód wizyty: Scrimgeour pragnął porozmawiać z Harrym.

- W porządku - rzucił cicho, mijając Lupina, który zaczął podnosić się z krzesła. - Naprawdę - dodał, gdy pani Weasley otworzyła usta, by przemówić.

- Cudownie! - zawołał Scrimgeour, cofając się, by Harry mógł wyjść. - Przejdziemy się wokół ogrodu, a potem Percy i ja znikniemy. Bawcie się dalej!

Harry szedł przez podwórze w kierunku zarośniętego, pokrytego śniegiem ogrodu Weasleyów, Scrimgeour utykał lekko przy jego boku. Harry wiedział, że minister był kiedyś szefem Biura Aurorów. Wyglądał na twardego i doświadczonego, zupełnie inaczej niż korpulentny Knot w meloniku.

- Uroczy - powiedział Scrimgeour, zatrzymując się przy płocie i omiatając spojrzeniem zaśnieżony trawnik i niemożliwe do rozpoznania rośliny. - Uroczy.

Harry nic nie powiedział. Wiedział, że Scrimgeour obserwuje go.

- Od dawna chciałem cię spotkać - oświadczył Scrimgeour po chwili. - Wiedziałaś?

- Nie - odparł Harry zgodnie z prawdą.

- Och tak, od bardzo dawna. Ale Dumbledore otacza cię szczególną opieką - odrzekł Scrimgeour.

- To naturalne, oczywiście, naturalne po tym, co przeszedłeś... Zwłaszcza po tym, co zaszło w ministerstwie...

Czekał, aż Harry coś powie, ale Harry nie czuł, że

powinien odpowiadać, więc kontynuował:

- Miałem nadzieję na rozmowę z tobą od momentu, gdy objąłem urząd, ale Dumbledore - zupełnie zrozumiałe - uniemożliwiał to.

Harry wciąż nic nie mówił i czekał.

- Te pogłoski! - zawołał Scrimgeour. - No, my obaj wiemy oczywiście, jak bardzo zniekształcono te opowieści... wszystkie te szeptaki o przepowiedni... o tym, że jesteś *Wybrańcem*...

Harry podejrzewał, że zbliżają się wreszcie do powodu obecności Scrimgeoura.

- Zakładam, że Dumbledore dyskutował z tobą o tej sprawie?

Harry zastanowił się, czy powinien skłamać czy nie. Przyglądał się małym śladom gnomów na grządkach i większej plamie w miejscu, gdzie Fred złapał gнома, który teraz wisiał w trykocie na czubku choinki. Wreszcie zdecydował się powiedzieć prawdę... a w każdym razie jej część.

- Tak, dyskutowaliśmy o tym.

- Ach tak, tak... - zawołał Scrimgeour. Harry widział kątem oka, że Scrimgeour patrzy na niego z ukosa, więc udął, że bardzo interesuje go gnom, który właśnie wystawił głowę spod zamarznętego rododendronu.

- I co powiedział ci Dumbledore, Harry?

- Przykro mi, ale to sprawa między nami - oznajmił Harry.

Jego głos był możliwie najuprzejmiejszy, a i ton Scrimgeoura był lekki i przyjazny, gdy mówił:

- Och, oczywiście, jeśli to kwestia zaufania, nie mogę żądać od ciebie wyznań... nie, nie... a poza tym, czy ma jakieś znaczenie, czy jesteś *Wybrańcem*?

Harry trawił to przez kilka sekund, zanim odpowiedział.

- Naprawdę nie wiem, co ma pan na myśli, panie ministrze.

- Ależ oczywiście, dla *ciebie* ma ogromne znaczenie - stwierdził Scrimgeour, śmiejąc się. - Ale dla całej społeczności czarodziejskiej... to tylko wrażenie, prawda? Liczy się to, w co ludzie wierzą.

Harry nic nie powiedział. Miał niejasne wrażenie, że wie już, dokąd zmierza ta rozmowa, ale nie zamierzał pomagać Scrimgeourowi w dotarciu do celu. Gnom kopał teraz pod korzeniami rododendrona w poszukiwaniu robaków i Harry skupił na nim wzrok.

- Widzisz, ludzie wierzą, że *jesteś Wybrańcem*, Harry - powiedział Scrimgeour. - Mają cię za bohatera, którym oczywiście jesteś - wybrany czy nie! Ile razy ścierałeś się z Tym, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać? Nieważne - ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź

- chodzi o to, że dla wielu jesteś symbolem nadziei, Harry. Idea, że istnieje ktoś, kto mógłby, kogo nawet *przeznaczeniem* jest pokonać Tego, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać - cóż, to raduje ludzi. A ja wiem, że gdy już uświadomisz to sobie, uznasz za swój, no, niemal obowiązek: współdziałać z ministerstwem i podnosić wszystkich na duchu.

Gnom właśnie pochwycił robaka. Teraz bardzo mocno ciągnął go, usiłując wydobyć z zamrożonej ziemi. Harry milczał tak długo, że Scrimgeour, patrząc to na niego, to na gнома, powiedział:

- Śmieszne typki, prawda? Ale co ty na to wszystko, Harry?

- Nie do końca rozumiem, czego pan chce - powiedział Harry powoli. - *Współdziałać z ministerstwem...* Co to znaczy?

- Och, zapewniam cię, że nic uciążliwego - oświadczył Scrimgeour. - Gdybyś na przykład od czasu do czasu pokazał się w ministerstwie, zrobiłoby to dobre wrażenie. Oczywiście mógłbyś wtedy porozmawiać z Gawainem Robardsem, moim następcą w Biurze Aurorów. Dolores Umbridge wspominała, że żywisz ambicje zostania aurorem. Cóż, to się da bardzo łatwo zorganizować...

Harry poczuł gniew kipiący w żołądku: więc Dolores Umbridge wciąż pracuje w ministerstwie, tak?

- Więc w zasadzie - powiedział, jakby pragnął po prostu uściślić kilka punktów - chcielibyście, bym sprawiał wrażenie, że pracuję dla ministerstwa?

- Ludzie będą czuli się raźniej, myśląc, że jesteś

bardziej zaangażowany, Harry - rzekł Scrimgeour, a w jego głosie pobrzmiwała ulga, że Harry zorientował się tak szybko. - *Wybraniec*, wiesz... Chodzi o obdarzenie ludzi nadzieją, uczuciem, że dokonują się doniosłe rzeczy...

- Ale czy przez te moje wizyty w ministerstwie - zapytał Harry, wciąż usiłując utrzymać przyjazny ton głosu - nie będzie się wydawać, że pochwalam działania ministerstwa?

- Cóż - odparł Scrimgeour, lekko marszcząc czoło

- cóż, tak, po części dlatego chcielibyśmy...

- Nie, nie wydaje mi się, że to zadziała - powiedział Harry uprzejmie. - Widzi pan, nie podobają mi się niektóre posunięcia ministerstwa. Na przykład zamknięcie Stana Shunpike'a.

Scrimgeour przez chwilę nic nie mówił, ale wyraz jego twarzy momentalnie stwardniał.

- Nie oczekuję, że zrozumiesz - oświadczył, odnosząc mniejszy niż Harry sukces w ukrywaniu gniewu.

- Są niebezpieczne czasy i trzeba przedsięwziąć pewne środki. Masz szesnaście lat...

- Dumbledore ma o wiele więcej, a też nie uważa, że Stan powinien być w Azkabanie - stwierdził Harry.

- Zrobiliście ze Stana kozła ofiarnego, tak samo jak ze mnie chcecie zrobić maskotkę.

Patrzyli na siebie długo i twardo. Wreszcie Scrimgeour odezwał się, nie siłąc na jakiegokolwiek ciepło:

- Rozumiem. Wolisz - jak twój bohater, Dumbledore

- odciąć się od ministerstwa?

- Nie chcę, by mnie wykorzystywano - powiedział Harry.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że twoim obowiązkiem jest być wykorzystanym przez ministerstwo!

- Jasne, a ktoś inny powiedziałby, że waszym obowiązkiem jest sprawdzać ludzi, czy rzeczywiście są śmierciożercami, zanim wsadzicie ich do więzienia

- zripostował Harry, tracąc panowanie. - Robicie to samo co Barty Crouch. Nigdy nie to, co trzeba, prawda? Mamy albo Knota, który uważa, że wszystko jest cudownie, podczas gdy morduje się ludzi pod jego

nosem, albo pana, wrzucającego ludzi za kratki i udającego, że ma pan Wybrańca, który dla was pracuje!!

- Więc nie jesteś *Wybrańcem*? - spytał Scrimgeour.

- Zdawało mi się, że powiedział pan, że to nie ma znaczenia - przypomniał Harry, śmiejąc się gorzko.

- W każdym razie nie dla pana.

- Nie powinienem był tego mówić - rzekł Scrimgeour szybko. - To było nietaktowne...

- Nie, było szczere - poprawił Harry. - Jedną z niewielu szczerych rzeczy, jakie pan powiedział. Nie interesuje pana czy przeżyję, czy zginę, tylko czy pomogę panu przekonać ludzi, że wygrywacie wojnę z Voldemortem. Nie zapomniałem, panie ministrze...

Uniósł prawą pięść. Na grzbiecie jego zimnej dłoni połyskiwały białe blizny, które miał dzięki Dolores Umbridge, zmuszając, by wyciął je we własnym ciele: *Nie będę opowiadać kłamstw.*

- Nie przypominam sobie, byście stanęli w mojej obronie, gdy usiłowałem opowiedzieć wszystkim, że Voldemort powrócił. W zeszłym roku ministerstwo nie było tak chętne do grania dobrych kumpli.

Stali w ciszy tak mroźnej jak grunt pod ich stopami. Gnom wreszcie zdołał wydobyć robaka i teraz ssal go szczęśliwy, opierając się o najniższe gałęzie rododendrona.

- Co planuje Dumbledore? - spytał Scrimgeour szorstko. - Dokąd się udaje, gdy opuszcza Hogwart?

- Nie mam pojęcia - odparł Harry.

- I nie powiedziałbyś mi, nawet gdybyś wiedział - domyślił się Scrimgeour - prawda?

- Nie, nie powiedziałbym - odrzekł Harry.

- Cóż, będę więc musiał spróbować odkryć to innymi sposobami.

- Może pan spróbować - powiedział Harry obojętnie.

- Ale wydaje się pan sprytniejszy niż Knot, więc wydawało mi się, że nauczy się pan na jego błędach. Usiłował wtrącać się w sprawy Hogwartu. Być może pan zauważył, że nie jest już ministrem, podczas gdy Dumbledore wciąż jest dyrektorem. Na pana miejscu odpuściłbym sobie Dumbledore'a.

Nastąpiła długa pauza.

- Cóż, teraz widzę, że wykonał na tobie świetną robotę
- powiedział Scrimgeour, a jego oczy były zimne i twarde za drucianymi oprawkami. - Człowiek

Dumbledore'a do końca, prawda, Potter?

- Zgadza się, jestem jego człowiekiem - oświadczył Harry. - Cieszę się, że to ustaliliśmy.

Odwróciwszy się plecami do Ministra Magii, podążył w kierunku domu.

Tłumaczyła Clio

Teksty piosenek: Arien Halfelven. Wielkie podziękowania! :)



Mętne wspomnienie

Późnym popołudniem, w kilka dni po Nowym Roku, Harry, Ron i Ginny ustawili się przy kuchennym palenisku, gotowi wrócić do Hogwartu. Ministerstwo przygotowało jednorazowe podłączenie do sieci Fiuu, by uczniowie mogli szybko i bezpiecznie powrócić do szkoły. Tylko pani Weasley zjawiała się, by pożegnać się z nimi, jako że pan Weasley, Fred, George, Bill i Fleur byli już w pracy. W chwili rozstania pani Weasley wybuchnęła płaczem. Trzeba było przyznać, że ostatnio niewiele było trzeba, by przyprawić ją o łzy. Popłakiwała co jakiś czas odkąd Percy wymaszerował z domu w Boże Narodzenie z okularami upapranymi tartym pasternakiem (zarówno Fred, George jak i Ginny twierdzili, że było ich zasługą).

- Nie płacz, mamuś - powiedziała Ginny poklepując ją po plecach, gdy pani Weasley lkała na jej ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze...

- No, nie martw się o nas - przekonywał Ron

pozwalając mamie na wyjątkowo mokrego calusa w policzek. - Ani o Percy'ego. To taki kretyn, że to żadna strata, nie?

Chwytając Harry'ego w ramiona pani Weasley zalkała jeszcze bardziej.

- Obiecuj mi, że będziesz dbał o siebie... Trzymaj się z dala od kłopotów...

- Jak zawsze, pani Weasley - odparł Harry. - Przecież pani mnie zna, lubię spokojne życie.

Zachichotała przez łzy i odsunęła się.

- No dobrze, bądźcie grzeczni, wszyscy...

Harry wkroczył w szmaragdowy ogień i wykrzyknął "Hogwart!". Zanim objęły go płomienie, raz jeszcze ulotnie ujrzał kuchnię Weasley'ów i zapłakaną twarz pani Weasley. Wirując bardzo szybko dostrzegał rozmazane obrazy innych czarodziejskich domów, które znikaly błyskawicznie nim zdołał się im przyjrzeć. Wreszcie zaczął zwalniać, zatrzymując się w końcu w samym środku kominka w gabinecie profesor McGonagall. Zaledwie zerknęła znad swej pracy, kiedy gramolił się z rusztu.

- Dobry wieczór, Potter. Postaraj się nie wnieść za dużo popiołu na dywan.

- Dobrze, pani profesor.

Harry wyprostował okulary i przyglądał włosy, kiedy w kominku pojawił się Ron. Po chwili dołączyła do nich Ginny i cała trójka wymaszerowała z gabinetu profesor McGonagall ruszając w kierunku Wieży Gryffindoru. Harry spojrzał na widok za oknami, które mijali idąc korytarzem. Słońce już zachodziło nad łąkami pokrytymi grubą warstwą śniegu. W ogrodzie przy Norze było go mniej. W oddali dostrzegł Hagrida karmiącego Hardodzioba przed swoją chatką.

- Bzdury - powiedział stanowczo Ron, kiedy dotarli do Grubej Damy. Wyglądała na bledszą niż zwykle i skrzywiła się słysząc jego donośny głos.

- Nie - odparła.

- Co to znaczy "nie"?

- Jest nowe hasło - wyjaśniła. - I proszę mi tu nie krzyczeć.

- Ale nas nie było, skąd niby mamy...

- Harry! Ginny!

W ich stronę biegła opatulona w płaszcz, czapkę i rękawiczki Hermione. Twarz miała mocno zaróżowioną.

- Wróciłam parę godzin temu, byłam właśnie odwiedzić Hagrida i Hardo... znaczy się Suchoskrzydłego - wysapała. - Bawiliście się dobrze w Święta?

- Jasne - odpowiedział natychmiast Ron - sporo się działo, Rufus Scrim...

- Mam coś dla ciebie, Harry - rzuciła nie patrząc na Rona i nie dając po sobie poznać, że w ogóle go słyszała. - Och, czekajcie... hasło. Abstynencja.

- Dokładnie - odparła Gruba Dama słabym głosem i odskoczyła odsłaniając dziurę za portretem.

- Co ją ugryzło? - spytał Harry.

- Najwyraźniej przesadziła w czasie Świąt - odpowiedziała Hermione przewracając oczami i prowadząc ich do wypełnionej wspólnej sali.

- Razem ze swoją przyjaciółką Violet dorwały się do wina na tym obrazie pijanych mnichów, przy korytarzu koło sali Zaklęć. W każdym razie...

Pogrzebała przez chwilę w kieszeni i wyciągnęła z niej kawałek pergaminu zapisany pismem Dumbledore'a.

- Cudownie - ucieszył się Harry, kiedy okazało się, że jego następna lekcja z Dumbledorem wyznaczona została na najbliższy wieczór. - Mam mu mnóstwo do opowiedzenia... Tobie też. Usiądźmy...

Ale w tej chwili rozległ się głośny pisk "Lon-Lon!" i nagle pojawiła się Lavender Brown, rzucając się Ronowi na szyję. Na twarzach obserwujących tę scenę pojawiły się złośliwe uśmiešky. Hermione zaśmiała się w głos i powiedziała - Tam jest miejsce... Idziesz, Ginny?

- Nie, dzięki, obiecałam Deanowi, że się z nim spotkam - odparła Ginny, chociaż Harry'emu wydało się, że nie było w jej głosie zbyt wiele entuzjazmu. Pozostawiając Rona i Lavender zamkniętych we wzajemnym uścisku, przypominającym nieco zapasy, Harry poprowadził Hermionę do wolnego stolika.

- To jak tobie minęły Świąta?

- A dzięki - wzruszyła ramionami. - Nic szczególnego. A jak było u Lon-Lona?

- Zaraz ci opowiem - powiedział Harry. - Słuchaj, Hermiona, nie mogłabyś...

- Nie, nie mogłabym - odparła stanowczo.

- Więc nawet mnie nie prosz.

- Myślałem, że może, no wiesz, przez Świąta...

- To Gruba Dama obaliła beczkę pięćsetletniego wina, Harry, nie ja. Więc co takiego ważnego chciałeś mi opowiedzieć?

Była tak zawzięta w tej chwili, że Harry odpuścił temat Rona i opowiedział jej wszystko, co usłyszał z rozmowy Malfoya ze Snapem. Kiedy skończył, Hermiona siedziała zamyślona przez chwilę, a następnie spytała: - Nie wydaje ci się...

- ...że udawał z tym oferowaniem pomocy, by wystrychnąć Malfoya na dudka i dowiedzieć się, co kombinuje?

- No... tak - przytaknęła Hermiona.

- Tata Rona i Lupin też tak myślą - stwierdził ponuro Harry. - Ale to zdecydowanie potwierdza, że Malfoy coś planuje, temu nie możesz zaprzeczyć.

- Nie, nie mogę - odpowiedziała powoli.

- I że działa z polecenia Voldemorta, tak jak mówiłem!

- Hmm... a właściwie, czy któryś z nich wspomniał w ogóle jego imię?

Harry zmarszczył brwi próbując sobie przypomnieć.

- Nie jestem pewien... Snape na pewno powiedział "twój pan", a któż inny miałby to być?

- Nie mam pojęcia - odparła Hermiona zagryzając wargę. - Może jego ojciec?

Utkwiła wzrok gdzieś w kącie pokoju, najwyraźniej zaprzątnięta myślami, nie zauważając nawet jak Lavender laskocze Rona.

- A jak się ma Lupin?

- Nie za dobrze - odrzekł Harry i opowiedział jej wszystko o misji Lupina wśród wilkołaków i wszystkich trudnościach, którym musiał stawiać czoła. - Słyszałaś o tym Fenrirze Greybacku?

- Oczywiście, że słyszałam! - Hermione była zaskoczona. - I ty też slyszaleś, Harry!

- Kiedy? Na Historii Magii? Wiesz dobrze, że nigdy nie słuchałem...

- Nie, nie, nie na Historii Magii. Malfoy groził nim Borginowi! - wyjaśniła Hermione. - Wtedy, na Alei Nokturnu, nie pamiętasz? Powiedział Borginowi, że Greyback jest dobrym przyjacielem jego rodziny i że będzie pilnował postępów prac!

Harry wpatrywał się w nią.

- Zapomniałem! Ale to dowodzi, że Malfoy jest Śmierciożercą, bo jak inaczej mógłby być w kontakcie z Greybackiem i do tego wydawać mu polecenia?

- To całkiem podejrzane - wyszeptała Hermione

- chyba że...

- Oj, daj spokój - rozłóścił się Harry. - Tego nie wytłumaczysz inaczej!

- Cóż... zawsze jest możliwość, że były to czece pogróżki.

- Wiesz, jesteś niesamowita - stwierdził Harry potrząsając głową.

- Zobaczmy kto miał rację... Jeszcze udławisz się tymi słowami, Hermiono. Tak jak Ministerstwo. A właśnie, miałem też sprzeczkę z Rufusem Scrimgeourem...

I reszta wieczoru minęła już bez kłótni na wspólnym obrzucaniu obelgami Ministra Magii, jako że Hermione, podobnie jak Ron, uważała, że trzeba było mieć niezłą czelność, by prosić Harry'ego o pomoc po tym wszystkim, co Harry przeszedł w ubiegłym roku z powodu Ministerstwa.

Nowy semestr, który rozpoczął się następnego ranka, przywitał szóstoklasistów miłą niespodzianką. W nocy na tablicy ogłoszeń we wspólnej sali przyczepiona została informacja.

LEKCJE APORTACJI

Jeśli masz lat siedemnaście lub ukończysz siedemnaście do dnia 31. sierpnia włącznie, jesteś dopuszczony do dwunastotygodniowego kursu Lekcji Aportacji, prowadzonych przez instruktora Aportacji z ramienia Ministerstwa Magii. Zainteresowanych prosimy o wpisanie poniżej swojego nazwiska. Koszt: 12 galeonów.

Harry i Ron dołączyli do tłumu uczniów kłębiących się wokół informacji i po kolei wpisujących swoje nazwiska pod tekstem. Ron właśnie wyjmował swoje pióro, by podpisać się zaraz za Hermioną, kiedy Lavender zbliżyła się od tyłu, zasłoniła dłońmi jego oczy i zaćwierkała:

- Zgadnij kto, Lon-Lon?

Odwracając się Harry zobaczył odchodzącą Hermionę. Dogonił ją, nie mając ochoty zostawać z tyłu z Ronem i Lavender, ale ku jego zdumieniu Ron dopadł ich zaraz za wejściem. Miał mocno zaczerwienione uszy i niezadowolony wyraz twarzy. Hermiona bez słowa przyspieszyła, by dogonić Neville'a.

- No więc... Aportacja - odezwał się Ron tonem dającym wyraźnie do zrozumienia, że Harry ma nie wspominać o tym, co właśnie się stało. - Będzie ubaw, co?

- Nie wiem - stwierdził Harry. - Może jest lepiej, jak się to robi samemu, ale niezbyt mi się podobało, kiedy Dumbledore zabrał mnie ze sobą.

- Zapomniałem, że masz to już za sobą... Lepiej żebym zdał za pierwszym razem - zaniepokoił się Ron. - Fred i George zdali.

- Ale Charlie oblał, nie?

- Tak, ale Charlie jest większy ode mnie - Ron ułożył ramiona tak, że przypominał goryla,

- więc Fred i George nie mówili nic na ten temat... no przynajmniej przy nim...

- Kiedy możemy zdawać testy?

- Jak tylko skończymy siedemnaście lat. Ja będę mógł już w marcu!

- Tak, ale nie będziesz mógł się aportować tutaj, nie w zamku...

- Nie w tym rzecz, prawda? Wszyscy by wiedzieli, że mogę się aportować, jeśli tylko będę chciał.

Nie tylko Ron był podekscytowany na myśl o Aportacji. Przez cały dzień było mnóstwo gadania na temat zbliżających się lekcji. Umiejętność znikania i pojawiania się dawała wielkie możliwości.

- To będzie takie fajowe, jak będziemy mogli po prostu... - Seamus pstryknął palcami sygnalizując zniknięcie. - Mój kuzyn Fergus robi tak tylko po to, żeby mnie wkurzyć. Czekał tylko, aż będę mógł mu się odwdziżyć... Już nie zazna spokojnej chwili...

Tak się zapomniał w swoich wyobrażeniach, że machnął różdżką nieco zbyt entuzjastycznie. W efekcie zamiast wyczarować fontannę czystej wody, co było przedmiotem dzisiejszej lekcji Uroków, wypuścił potężny strumień, który odbił się od sufitu i zwałił z nóg profesora Flitwicka.

- Harry już się aportował - powiedział Ron lekko zmieszanemu Seamusowi, po tym jak profesor Flitwick wysuszył się jednym ruchem różdżki i kazał Seamusowi pisać zdania: Jestem czarodziejem, a nie pawianem, który wymachuje patykiem. - Dum... eee... ktoś go zabrał ze sobą. No wiesz, Wspólna Aportacja.

- Łał! - wyszeptał Seamus i wraz z Deanem i Nevillem nachylił głowy bliżej, żeby posłuchać jakie to uczucie. Przez resztę dnia Harry był zasypywany przez innych szóstoklasistów pytaniami na temat wrażeń z Aportacji. Wszyscy byli bardziej zdumieni niż wystraszeni, kiedy mówił im, jakie to nieprzyjemne uczucie. Odpowiadał na wszystkie szczegółowe pytania aż do za dziesięć ósma, kiedy to zmuszony był skłamać, że musi odnieść książkę do biblioteki, by zdążyć na czas na lekcję z Dumbledorem.

Lampy w gabinecie Dumbledore'a były zapalone, portrety poprzednich dyrektorów pochrapywały cicho w swoich ramach. Myśloidsiewnia już stała przygotowana na biurku. Ręce Dumbledore'a spoczywały po obu jej stronach. Jego prawa dłoń była poczerniała i wyglądała na spaloną. Wcale nie wyglądało, żeby mogła zostać uleczona i Harry zaczął się zastanawiać chyba po raz setny, co spowodowało tak poważną ranę, ale nie ośmielił się spytać. Dumbledore mówił, że kiedyś w końcu się dowie, poza tym była inna sprawa, o której Harry chciał porozmawiać. Ale zanim zdążył powiedzieć cokolwiek na temat Snape'a i Malfoya, Dumbledore przemówił.

- Słyszałem, że w Święta spotkałeś Ministra Magii?

- Tak - odparł Harry. - Chyba nie był mną zachwycony.

- Nie był - westchnął Dumbledore. - Ze mnie też nie jest zadowolony. Musimy postarać się nie nurzać we własnych cierpieniach, ale walczyć dalej.

Twarz Harry'ego rozjaśnił uśmiech.

- Chciał, żebym oznajmił czarodziejskiej społeczności, że Ministerstwo odwała wspaniałą robotę.

Dumbledore uśmiechnął się.

- Wiesz, początkowo był to pomysł Knota. Podczas swoich ostatnich dni, kiedy desperacko próbował zachować stanowisko, bardzo chciał się z tobą spotkać, mając nadzieję, że okażesz mu swoje wsparcie...

- Po tym wszystkim, co zrobił w zeszłym roku? - rozzłościł się Harry.

- Po Umbridge?

- Wyjaśniłem Korneliuszowi, że nie ma na to żadnych szans, ale jak widać pomysł nie umarł, kiedy Knot odszedł z biura. Spotkałem się ze Scrimgeour'em w kilka godzin po jego mianowaniu i zażądał ode mnie, bym zaaranżował spotkanie z tobą...

- Więc to o to się pokłóciliście! - wybuchnął Harry.

- Pisali o tym w Proroku Codziennym.

- "Prorokowi" od czasu do czasu zdarza się napisać prawdę - stwierdził Dumbledore. - Nawet jeśli tylko przypadkiem. Tak, to dlatego się wtedy pokłóciliśmy. No cóż, wygląda na to, że Rufus znalazł jednak w

końcu sposób, by się z tobą spotkać.

- Oskarżył mnie, że jestem "na wskroś człowiekiem Dumbledore'a".

- A to niemiłe z jego strony.

- Powiedziałem mu, że jestem.

Dumbledore otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zamknął je z powrotem. Z tyłu za Harrym feniks Fawkes wydał z siebie niski, cichy, melodyjny okrzyk. Ku swemu wielkiemu zakłopotaniu Harry nagle zdał sobie sprawę, że w jasnoniebieskich oczach Dumbledore'a pojawiły się łzy, więc pospiesznie spuścił wzrok. Jednak kiedy Dumbledore przemówił, jego głos był całkiem spokojny.

- Jestem bardzo wzruszony, Harry,

- Scrimgeour chciał wiedzieć, gdzie pan bywa, kiedy nie ma pana w Hogwarcie - powiedział Harry ze wzrokiem nadal utkwionym w swoich kolanach.

- Tak, jest bardzo wścibski w tej kwestii - stwierdził Dumbledore. W jego głosie słychać było rozbawienie i Harry pomyślał, że może już bezpiecznie spojrzeć na niego. - Nawet próbował nasłać na mnie szpiegów. Doprawdy zabawne. Kazał Dawlishowi mnie śledzić. To nie było zbyt uprzejme. Już raz wcześniej byłem zmuszony rzucić czarem w Dawlisha i z największym żalem uczyniłem to znowu.

- Więc nadal nie wiedzą, dokąd pan wyjeżdża? - spytał Harry z nadzieją, że dowie się czegoś więcej na ten interesujący temat, ale Dumbledore zaledwie uśmiechnął się znad swych okularów ze szklami w kształcie półksiężyców.

- Nie, nie wiedzą i jeszcze nie pora, byś i ty się o tym dowiedział. A teraz sugerowałbym, byśmy przeszli do rzeczy, chyba że jest coś jeszcze...?

- Tak w sumie, to jest, proszę pana - powiedział Harry.

- Chodzi o Malfoya i o Snape'a.

- Profesora Snape'a, Harry.

- Tak, proszę pana. Podśledzałem ich podczas przyjęcia u Slughorna... no... właściwie, to poszedłem za nimi...

Dumbledore wysłuchał opowieści Harry'ego z

niewzruszoną miną. Kiedy Harry skończył, nie odzywał się przez chwilę, po czym rzekł:

- Dziękuję, Harry, że mówisz mi to, jednak sugerowałbym, abyś nie myślał o tym. Nie wydaje mi się, by było to bardzo istotne.

- Nie jest bardzo istotne? - powtórzył Harry z niedowierzaniem. - Panie profesorze, czy rozumiał pan...?

- Tak, Harry, jako że miałem szczęście zostać obdarzonym niezwykajnym umysłem, rozumiałem wszystko, co mi powiedziałeś - przerwał nieco ostrzejszym tonem Dumbledore.

- Myślę, że mógłbyś nawet rozważyć możliwość, iż rozumiałem więcej niż ty. Raz jeszcze powtarzam, cieszę się, że zaufałeś mi, ale zapewniam cię, że nie powiedziałeś mi nic, co przyprowadziłoby mnie o niepokój.

Harry siedział w ciszy wpatrując się w Dumbledore'a. O co tu chodziło? Czy oznaczało to, że Dumbledore faktycznie nakazał Snape'owi dowiedzieć się, co zamierza Malfoy? W takim przypadku słyszał już wszystko, co Harry mu powiedział od Snape'a. Czy może tak naprawdę zaniepokoiło go to, co usłyszał, ale udawał, że tak nie jest?

- Panie profesorze - Harry miał nadzieję, że jego głos brzmi grzecznie i spokojnie - więc zdecydowanie nadal pan ufa...?

- Byłem dość pobłażliwy, by odpowiedzieć już na to pytanie - odparł Dumbledore, ale jego głos nie był już zbytnio pobłażliwy. - Moja odpowiedź się nie zmieniła.

- Nie wydaje mi się - odezwał się obłudny głos. Fineas Nigellus najwyraźniej jedynie udawał, że śpi. Dumbledore zignorował go.

- A teraz, Harry, nalegam byśmy przeszli do rzeczy. Mamy dziś wieczorem ważniejsze sprawy do omówienia.

Harry siedział w buntowniczym nastroju. Co by było, gdyby sprzeciwił się zmianie tematu, gdyby nalegał na dalszą rozmowę o Malfoju? Dumbledore potrząsnął głową, jakby czytał w myślach Harry'ego.

- Och Harry, tak często się tak dzieje, nawet pomiędzy najlepszymi przyjaciółmi! Każdy z nas wierzy, że to, co ma do powiedzenia, jest ważniejsze, niż cokolwiek ten drugi ma do zaoferowania!

- Nie mówię, że to, co pan chce powiedzieć jest nieważne, proszę pana - zaproponował Harry.

- No cóż, i masz rację, bo to jest ważne - odpowiedział rażno Dumbledore. - Mam ci dziś do pokazania dwa kolejne wspomnienia, oba zdobyte z niebywałym trudem. I myślę, że drugie z nich jest najważniejszym z tych, które udało mi się zebrać.

Słyszając to Harry nie odezwał się. Nadal był zły na to, jak odebrane zostały jego zwierzenia, ale nie widział sensu dalszego wyklócania się na ten temat.

- Tak więc - powiedział Dumbledore dźwięcznym głosem, - spotykamy się dziś, by kontynuować historię Toma Riddle, którego na ostatniej lekcji zostawiliśmy na progu jego lat w Hogwarcie. Przypomnij sobie, jaki był podekscytowany, kiedy usłyszał, że jest czarodziejem, jak odmówił mojej propozycji towarzyszenia mu w podróży na ulicę Pokątną i jak ostrzegłem go, by zrezygnował z dalszych kradzieży, kiedy przybędzie do szkoły.

- Cóż, nadszedł początek roku szkolnego i wraz z nim do Hogwartu przybył Tom Riddle, cichy chłopiec w przechodzonych szatach, który ustawił się wraz z innymi pierwszorocznikami w kolejce do przydziału. Został przydzielony do Slytherinu niemal w tej samej chwili, w której Tiara Przydziału dotknęła jego głowy - ciągnął dalej Dumbledore, wskazując poczerniałą dłońią w kierunku półki, na której leżała stara i nieruchoma Tiara. - Nie potrafię powiedzieć, jak szybko Riddle odkrył, że słynny założyciel jego Domu umiał porozumiewać się z węzami. Być może miało to miejsce jeszcze tego samego wieczoru. Wiedza ta tylko pogłębiła jego podekscytowanie i zwiększyła poczucie własnej wartości.

- Jednak do nauczycieli nigdy nie dotarła informacja o tym, czy straszył lub próbował zaimponować kolegom Ślizgonom pokazami węzomowy we wspólnej sali.

Nigdy nie okazywał śladu otwartej wyniosłości, czy agresji. Jako niezwykle utalentowany i bardzo przystojny sierota przyciągał oczywiście uwagę i budził sympatię wśród nauczycieli niemal od chwili przybycia. Wydawał się grzeczny, cichy, spragniony wiedzy. Niemal na wszystkich wywarł bardzo korzystne wrażenie.

- Nie powiedział im pan, jak się zachowywał w sierocińcu? - spytał Harry.

- Nie, nie powiedziałem. Choć nie okazał ani śladu skruchy, możliwe iż żałował tego, jak zachowywał się przedtem i był zdecydowany zmienić się. Postanowiłem dać mu tę szansę.

Dumbledore umilkł i spojrział pytająco na Harry'ego, który otworzył usta, by przemówić. Po raz kolejny wychodziła u Dumbledore'a skłonność do ufania ludziom pomimo przytłaczających dowodów, że na to nie zasługują! Ale wtedy Harry przypomniał sobie o czymś...

- Ale tak naprawdę nie ufał mu pan, prawda, profesorze? Powiedział mi... Riddle, który wyszedł z tego pamiętnika, powiedział: "Wyglądało na to, że Dumbledore nigdy nie lubił mnie tak bardzo jak inni nauczyciele."

- Powiedzmy, że nie założyłem z góry, że można mu zaufać - odpowiedział Dumbledore. - Postanowiłem, jak już zaznaczyłem, mieć na niego baczenie i tak też uczyniłem. Nie będę udawał, że wyciągnąłem wiele z moich obserwacji. Był bardzo ostrożny wobec mnie. Sam czuł, o czym jestem przekonany, że w gorączce odkrycia kim jest naprawdę, powiedział mi odrobinę za dużo. Pilnował się, by już nigdy tak się nie otworzyć, jednak nie był w stanie cofnąć tego, co wymknęło mu się z podekscytowania, ani tego, co wyznała mi pani Cole. Jednakże miał na tyle rozsądku, by nie próbować mnie oczarować, tak jak to zrobił z wieloma moimi kolegami.

- W miarę jak posuwał się z edukacją, zebrał wokół siebie grupę oddanych przyjaciół. Nazywam ich w ten sposób, bo nie mam lepszego określenia, chociaż jak

już zaznaczyłem, Riddle bez wątpienia nie żywił żadnych uczuć w stosunku do żadnego z nich. Grupa ta cieszyła się mroczną sławą w obrębie zamku. Byli mieszkanką różnych ludzi, słabych - szukających ochrony, ambitnych - poszukujących odrobiny współdzielonej chwały i zbirów, zbierających się wokół wodza, który był w stanie nauczyć ich bardziej wyrafinowanych form okrucieństwa. Innymi słowy, byli to prekursorzy śmierciożerców, i w rzeczy samej, niektórzy z nich zostali pierwszymi śmierciożercami po opuszczeniu Hogwartu.

- Trzymani twardą ręką przez Riddle'a nigdy na niczym nie zostali przyłapani, chociaż siedem lat ich działań w Hogwarcie naznaczone było wieloma paskudnymi wydarzeniami. Jednak w żadnym z tych przypadków nie udało się znaleźć wystarczających dowodów na ich udział. Najpoważniejszym występkiem było oczywiście otwarcie Komnaty Tajemnic, co zaowocowało śmiercią dziewczyny. Jak wiesz, to Hagrid został niesprawiedliwie oskarżony o tę zbrodnię.

- Nie udało mi się odszukać zbyt wielu wspomnień z pobytu Riddle'a w Hogwarcie - powiedział Dumbledore kładąc swoją pokurczoną rękę na krawędzi myśłodsiewni. - Niewiele osób, które znały go wówczas, gotowych jest mówić o nim. Są zbyt przerażeni. Tego co wiem, dowiedziałem się po tym, jak opuścił Hogwart. Wymagało to wielkiego wysiłku, wyszukania tych kilku osób, od których podstępem udało się coś wydobyć, przegrzebania się przez stare archiwa i wypymania świadków zarówno wśród Mugoli, jak i czarodziejów.

- Ci, których udało mi się namówić na rozmowę, powiedzieli mi, że Riddle miał obsesję na punkcie swojego pochodzenia. To oczywiście zrozumiałe. Dorastał w sierocińcu i naturalnie chciał wiedzieć, jak tam trafił. Wygląda na to, że nadaremnie szukał jakiegoś śladu Toma Riddle'a seniora na tarczach w pokoju z pucharami, na listach prefektów w archiwach szkoły, nawet w księgach o historii magii. W końcu musiał przyjąć do wiadomości, że jego ojciec nigdy nie

postawił swojej stopy w Hogwarcie. Jestem przekonany, że to wtedy na zawsze zrezygnował ze swego nazwiska, przyjął miano Lorda Voldemorta i rozpoczął poszukiwania po stronie rodziny matki, którą wcześniej tak pogardzał. Matki, która, jak pewnie pamiętasz, jego zdaniem nie mogła być czarownicą, jako że uległa przynoszącej wstyd ludzkiej słabości - śmierci.

- Wszystko, co miał, to jedno jedyne imię Marvolo, które, jak wiedział od opiekunów w sierocińcu, było imieniem ojca jego matki. Wreszcie po długich i męczących poszukiwaniach w starych księgach o czarodziejskich rodzinach, odkrył istnienie żyjących potomków Slytherina. Latem swoich szesnastych urodzin opuścił sierociniec, do którego powracał rokrocznie, i wyruszył w poszukiwaniu swoich krewnych Gauntów. A teraz, Harry, wstań proszę...

Dumbledore podniósł się i Harry spostrzegł, że profesor trzyma małą kryształową buteleczkę wypełnioną perłowym, kłębiącym się wspomnieniem.

- Miałem wielkie szczęście, że udało mi się je zdobyć - powiedział wlewając lśniąca masę do Myśłodsiewni.

- Przekonasz się, kiedy sam zobaczysz. Zaczynamy?

Harry podszedł do kamiennej miski i posłusznie schylił się, aż jego twarz zanurzyła się we wspomnieniu. Poczul znajome uczucie spadania przez pustkę i wylądował na brudnej, kamiennej podłodze, w niemal całkowitej ciemności. Kilka sekund zajęło mu rozpoznanie tego miejsca. W tym czasie Dumbledore wylądował tuż obok. Dom Gauntów był teraz chyba najbardziej obrzydliwym miejscem, jakie Harry kiedykolwiek widział. Pod sufitem wisiała gruba warstwa pajęczyn, a posadzka pokryta była brudem. Zapleśniałe i gnijące resztki jedzenia wały się na stole wśród masy potłuczonych naczyń. Jedyne światło dobiegało z pojedynczej ociekającej świecy, stojącej u stóp mężczyzny tak zarośniętego, że spoza włosów i brody Harry nie był w stanie dostrzec ani oczu, ani ust. Siedział bezwładnie w fotelu przy kominku i Harry zastanawiał się przez chwilę, czy on w ogóle żyje. Ale

wtedy rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Mężczyzna wzdrygnął się budząc się ze snu, uniósł różdżkę w prawej dłoni, lewą sięgając po krótki nóż.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. W progu, ze staromodną latarnią, stał chłopiec, którego Harry rozpoznał od razu. Wysoki, blady, ciemnowłosy i przystojny - nastoletni Voldemort.

Spojrzenie Voldemorta przesunęło się powoli po chacie i spoczęło na mężczyźnie siedzącym w fotelu. Przez kilka chwil spoglądali na siebie, po czym mężczyzna zerwał się na równe nogi. Liczne butelki u jego stóp potoczyły się z brzękiem po podłodze.

- TYYYYY! - zawył. - TY!

I ruszył pijackim krokiem w kierunku Riddle'a z wyciągniętymi przed siebie różdżką i nożem.

- Stój!

Riddle przemówił w mowie węży. Mężczyzna wpadł na stół posyłając spleśniałe naczynia na podłogę. Wpatrzył się w Riddle'a. Przez dłuższą chwilę w ciszy mierzyli się wzrokiem. Pierwszy odezwał się mężczyzna.

- Mówisz tym językiem?

- Mówię - odpowiedział Riddle. - Ruszył naprzód, wchodząc do izby. Drzwi zatrzęsły się za nim. Harry nie potrafił się oprzeć poczuciu podziwu dla Voldemorta za jego brak strachu. Na jego twarzy malowały się zaledwie odraza i być może rozczarowanie.

- Gdzie jest Marvolo? - zapytał.

- Nie żyje - odpowiedział ten drugi. - Zmarł wiele lat temu, no nie?

Riddle zmarszczył brwi.

- W takim razie kim ty jesteś?

- Jestem Morfin, no nie?

- Syn Marvola?

- No przecie że...

Morfin odgarnął włosy z brudnej twarzy, by lepiej widzieć Riddle'a, a Harry dostrzegł na jego prawej ręce pierścień z czarnym kamieniem, który wcześniej nosił

Marvolo.

- Myślałem, żeś ten mugol - wyszeptał Morfin.

- Wyglądasz cholernie podobnie.

- Jaki mugol? - spytał ostro Riddle.

- Ten mugol, za którym moja siostra ganiała, ten mugol, co to mieszka w tym wielkim domu, tam za drogą - odpowiedział Morfin i niespodziewanie splunął na podłogę. - Wyglądasz dokładnie jak on. Riddle. Tyle, że on starszy, no nie? Taa... jest starszy, jak se teraz o tym pomyśle...

Morfin wyglądał na nieco otumanionego i chwiał się lekko, nadal podtrzymując krawędź stołu dla oparcia.

- Bo wiesz, on wrócił - dodał głupkowato.

Voldemort przyglądał się Morfinowi, jakby próbował ocenić jego możliwości. Po chwili przysunął się nieco bliżej i odezwał się:

- Riddle wrócił?

- No, zostawił ją i dobrze jej tak, zachciało jej się szlamowatego męża! - odpowiedział Morfin ponownie spluwając na podłogę. - Obrabowała nas zanim uciekła! Gdzie jest medalion, co? No, gdzie medalion Slytherina?

Voldemort nie odpowiedział. Morfin znów zaczynał wpadać w szal. Potrząsnął swoim nożem i wykrzyknął:

- Znieważyla nas, o tak, ta mała dzdżira! A tyś kto, że przyłazisz i pytasz o to wszystko, co? To już skończone, nie..? Skończone...

Spojrzał w bok, chwiejąc się lekko, a wtedy Voldemort ruszył przed siebie. I kiedy to uczynił, zapadła nienaturalna ciemność. Zgasły lampa Voldemorta i świeczka Morfina, zgasło wszystko... Palce Dumbledore'a zacisnęły się szczelniej na ramieniu Harry'ego i poszybowali z powrotem do teraźniejszości. Miękkie, złociste światło w gabinecie Dumbledore'a oślepiło Harry'ego po tak nieprzebytej ciemności.

- I to wszystko? - spytał bez wahania Harry. - Dlaczego nagle zrobiło się ciemno, co się stało?

- Ponieważ Morfin nie pamiętał nic od tego momentu - wyjaśnił Dumbledore, wskazując Harry'emu, by usiadł.

- Kiedy obudził się następnego ranka, leżał na podłodze, zupełnie sam. Znikł też pierścień Marvola.
 - W tym samym czasie, w wiosce Little Hangleton, po Głównej Ulicy biegła już pokojówka, krzycząc naokoło, że w salonie wielkiego domu leżą trzy ciała
 - Tom Riddle, jego matka i ojciec.
 - Mugolskie władze były zdumione. O ile wiem, do dziś nie wiedzą jak zginęli Riddle'owie, jako że *Avada Kedavra* zwykle nie pozostawia żadnych śladów obrażeń... Jedyne wyjątek siedzi tu przede mną - dodał Dumbledore wskazując głową na bliznę Harry'ego.
 - Jednak nasze Ministerstwo od razu wiedziało, że morderstwo jest sprawką czarodzieja. Wiedzieli również, że po drugiej stronie doliny mieszka skazany wcześniej czarodziej, który nienawidził mugoli. Czarodziej, który wcześniej był już więziony za zaatakowanie jednego z zamordowanych.
 - Tak więc Ministerstwo obwinilo Morfina. Nie musieli przesłuchiwać go, używać Veritaserum, czy legilimencji. Przyznał się od razu do zabójstwa, podając szczegóły, które mógł znać tylko morderca. Jak przyznał, był dumny z uśmiercenia tych mugoli. Cekał na swą szansę przez wszystkie te lata. Oddał swoją różdżkę i natychmiast udowodniono, że została ona użyta do zabicia Riddle'ów. I pozwolił odstawić się do Azkabanu bez walki.
- Jedyne, co nie dawało mu spokoju, to fakt, że znikł pierścień jego ojca.
- Zabije mnie za to, że go zgubiłem - powtarzał raz za razem. - Zabije mnie za to, że zgubiłem jego pierścień. I to najwyraźniej było ostatnią rzeczą, jaką powiedział. Resztę życia przeżył w Azkabanie rozpaczając nad stratą ostatniego dziedzictwa Marvola. Został pogrzebany przy więzieniu, wraz z innymi nieszczęśnikami, którzy umarli za jego murami.
 - Więc Voldemort ukradł Morfinowi różdżkę i użył jej?
 - spytał Harry prostując się na krześle.
 - Dokładnie tak - przytaknął Dumbledore. - Nie mamy żadnych wspomnień, które by nam to pokazały, myślę jednak, że możemy być pewni, co naprawdę się

wydarzyło. Voldemort ogłuszył swojego wuja, zabrał jego różdżkę i skierował się na drugą stronę doliny "do wielkiego domu tam za drogą". Tam zamordował mugola, który zostawił jego matkę czarownicę i do kompletu swoich dziadków. W ten sposób wymazał ostatnich z niegodnego rodu Riddle'ów i zemścił się na swoim ojcu, który nigdy go nie chciał. Następnie wrócił do chaty Gauntów, wykonał skomplikowane zaklęcia, które wszczepiły fałszywe wspomnienia w pamięć jego wuja, położył różdżkę Morfina obok jej nieprzytomnego właściciela, ukradł mu starodawny pierścień i odszedł.

- I Morfin nigdy nie zdał sobie sprawy, że tego nie zrobił?

- Nigdy - powiedział Dumbledore. - Złożył, jak mówiłem, kompletne i pełne dumy wyznanie.

- Ale przecież przez cały czas zachował to prawdziwe wspomnienie!

- Tak, ale wymagało to bardzo zaawansowanej Legilimencji, by wyciągnąć je z niego - wyjaśnił Dumbledore - a czemu ktokolwiek miał zgłębiać pokłady umysłu Morfina, kiedy on sam już przyznał się do zbrodni? Jednak udało mi się uzyskać pozwolenie na wizytę u Morfina w ostatnich tygodniach jego życia. W tym czasie próbowałem dowiedzieć się jak najwięcej o przeszłości Voldemorta. Wydobyłem to wspomnienie z niemalym trudem. Kiedy zobaczyłem, co zawiera, próbowałem wykorzystać je i doprowadzić do zwolnienia Morfina z Azkabanu. Zanim jednak Ministerstwo podjęło decyzję, Morfin zmarł.

- Ale jak to się stało, że Ministerstwo nie zdało sobie sprawy, że Voldemort uczynił to wszystko Morfinowi?

- spytał ze złością Harry. - W tym czasie był niepełnoletni, prawda? Myślałem, że potrafią wykryć użycie czarów przez niepełnoletnich czarodziejów!

- Masz rację, potrafią wykryć użycie czarów. Ale nie potrafią wykryć kto ich użył. Pamiętasz chyba, że sam zostałeś oskarżony o użycie Zaklęcia Swobodnego Zwisu, które tak naprawdę rzucił...

- Zgredek... - burknął Harry. Ta niesprawiedliwość

wciąż go bolała. - Więc jeśli jesteś niepełnoletni i rzucisz zaklęcie w domu dorosłego czarodzieja lub czarownicy, Ministerstwo nigdy się nie dowie?

- Z pewnością nie będą w stanie stwierdzić, kto wykonał to zaklęcie - przytaknął Dumbledore uśmiechając się lekko na widok wielkiego oburzenia na twarzy Harry'ego. - Opierają się na tym, że czarodziejscy rodzice potrafią wymusić posłuszeństwo swoich pociech we własnym domu.

- Cóż, to bzdura - warknął Harry. - Wystarczy spojrzeć tutaj, na to, co stało się z Morfinem!

- Zgadzam się - odparł Dumbledore. - Jaki by Morfin nie był, nie zasłużył sobie na taką śmierć, obwiniany za morderstwa, których nie popełnił. Ale robi się już późno, a ja chciałbym, żebyś zobaczył jeszcze jedno wspomnienie zanim się rozstaniemy...

Dumbledore wyciągnął z wewnętrznej kieszeni jeszcze jeden kryształowy flakonik. Harry umilkł natychmiast, przypominając sobie, co powiedział Dumbledore - że to najważniejsze ze wspomnień, które zebrał. Harry zauważył, że opróżnienie flakonu przychodzi z trudem, jakby zawartość nieco zastygła. Czy z tymi wspomnieniami było coś nie tak?

- To nie zajmie długo - powiedział Dumbledore, kiedy w końcu udało mu się opróżnić flakonik. - Wrócimy zanim się zorientujesz. A zatem, raz jeszcze do Myśłodsiewni...

I Harry wpadł raz jeszcze przez srebrzystą powierzchnię, lądując tym razem wprost przed człowiekiem, którego rozpoznał natychmiast.

Był to o wiele młodszy Horacy Slughorn. Harry tak się już przyzwyczaił do jego łysiny, że widok Slughorna noszącego gęste, lśniące włosy koloru słomkowego, wprowił go w zakłopotanie. Wyglądało jakby jego głowa pokryta była strzechą, jednak na jego ciemieniu już widać było błyszczący skrawek łysiny wielkości galeona. Jego wąsy, rzadsze niż obecnie, były ryże. Nie był tak pulchny jak Slughorn, którego Harry znał, jednak złociste guziki jego bogato haftowanej kamizelki były dość mocno napięte. Siedział rozparty w

wygodnym fotelu, z nogami ułożonymi na aksamitnej pufie. W jednej dłoni trzymał mały kieliszek wina, drugą zanurzał w pudełku kandyzowanych ananasów.

Kiedy Dumbledore pojawił się przy nim, Harry rozejrzał się dokoła i spostrzegł, że znajdują się w gabinecie Slughorna. Wokół profesora siedziało pół tuzina chłopców. Wszyscy zajmowali twardsze lub niższe miejsca niż on i mieli po kilkanaście lat. Harry natychmiast rozpoznał Voldemorta. Ze wszystkich chłopców to on był najprzystojniejszy i najbardziej zrelaksowany. Jego prawa ręka leżała niedbale na oparciu fotela. Harry wzdrygnął się zauważając złotoczarne pierścienie Marvola. Voldemort już zabił swego ojca.

- Panie profesorze, czy to prawda, że profesor Merrythought odchodzi na emeryturę? - zapytał.

- Tom, Tom, nawet gdybym wiedział, nie mógłbym ci powiedzieć - odpowiedział Slughorn kiwając pokrytym cukrem palcem w kierunku Riddle'a. Gdyby nie mrugnął przy tym, można było pomyśleć, że go zganił.

- Chciałbym wiedzieć, muszę przyznać, skąd ty bierzesz te informacje. Chłopcze, zdaje się, że wiesz więcej niż połowa grona nauczycielskiego.

Riddle uśmiechnął się. Pozostali chłopcy wybuchnęli śmiechem i spojrzeli na niego z podziwem.

- Jak to jest z tą twoją przedziwną umiejętnością rozpoznawania tego, czego robić nie powinienesz? I z twoim ostrożnym przypodobywaniem się ludziom, którzy coś znaczą... swoją drogą, dziękuję za ananasa, miałeś rację, to mój ulubiony...

I kiedy kilku chłopców zachichotało, wydarzyło się coś dziwnego. Cały pokój wypełnił się nagle gęstą, białą mgłą, tak że Harry nie był w stanie dostrzec nic, poza twarzą stojącego tuż przy nim Dumbledore'a. I wtedy przez mgłę przedarł się nienaturalnie donośny głos Slughorna:

- Zejdiesz na złą drogę, chłopcze, zważ na me słowa!

Mgła przerzedzila się tak nagle jak się pojawiła i nikt nie powiedział słowa na jej temat. Wszyscy wyglądali, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło.

Zdumiony Harry rozejrzał się dokoła. Mały złoty zegar, stojący na biurku Slughorna wybił godzinę jedenastą.

- Wielkie nieba, to już ta pora? - odezwał się Slughorn.

- Lepiej już idźcie, chłopcy, bo wszyscy znajdziemy się w opalach. Lestrangle, do jutra chcę to wypracowanie, albo będzie szlaban. To samo tyczy ciebie, Avery.

Slughorn podniósł się z fotela i odstawił pusty kieliszek na biurko, a chłopcy zaczęli wychodzić z gabinetu. Jednak Voldemort został z tyłu. Harry mógł przysiąc, że zwlekał specjalnie, chcąc zostać samemu ze Slughornem.

- Pospiesz się, Tom - Slughorn odwrócił się i spostrzegł, że chłopiec wciąż jest z nim.

- Nie chciałbyś chyba być przyłapany po godzinach. Do tego jesteś prefektem...

- Proszę pana, chciałem o coś pana spytać.

- Zatem pytaj, mój chłopcze, pytaj...

- Proszę pana, zastanawiałem się, czy wie pan coś o... o horcruxach.

I nagle znów się to stało. Gęsta mgła wypełniła gabinet, tak że Harry nie widział ani Slughorna ani Voldemorta. Tylko Dumbledore stał obok uśmiechając się pogodnie. I wtedy ponownie rozległ się donośny głos Slughorna, tak jak to miało miejsce wcześniej.

- Nie wiem nic o Horcruxach i nawet gdybym wiedział, to bym ci nie powiedział! A teraz wynoś się stąd i żebym więcej nie słyszał, jak o nich wspominasz!

- No dobrze, to by było na tyle - odezwał się spokojnie stojący przy Harrym Dumbledore. - Czas na nas.

I Harry uniósł się w górę, by kilka chwil później opaść z powrotem na dywanik przy biurku Dumbledore'a.

- I to już wszystko? - spytał pusto Harry.

Dumbledore mówił, że to najważniejsze wspomnienie ze wszystkich, ale Harry nie widział w nim nic znaczącego. Musiał przyznać, że mgła oraz fakt, że nikt zdawał się jej nie dostrzegać, były dziwne, ale poza tym nic takiego się nie wydarzyło. Z wyjątkiem tego, że Voldemort zadał pytanie i nie uzyskał na nie odpowiedzi.

- Być może zauważyłeś - odpowiedział Dumbledore sadowiac z powrotem za biurkiem - że to wspomnienie zostało sfalszowane.

- Sfalszowane? - powtórzył Harry również siadając.

- Oczywiście - stwierdził Dumbledore. - Profesor Slughorn nagrzał w swoich własnych wspomnieniach.

- Ale dlaczego miałby to zrobić?

- Bo, jak myślę, wstydzi się tego, co pamięta - odpowiedział Dumbledore.

- Próbował przerobić to wspomnienie tak, by ukazać siebie w lepszym świetle, wymazując te fragmenty, których nie chciał mi pokazać. Jak zauważyłeś, zostało to zrobione bardzo niewpravnie, i całe szczęście, bo to wskazuje na fakt, że prawdziwe wspomnienia wciąż kryją się pod tymi przeróbkami.

- I dlatego też, po raz pierwszy, zadaję ci pracę domową, Harry. Twoim zadaniem będzie przekonanie profesora Slughorna, by pokazał prawdziwe wspomnienia, które bez wątpienia będą dla nas najistotniejszą informacją.

Harry wlepił w niego wzrok.

- Ale panie profesorze - zaproponował starając się, by w jego głosie było jak najwięcej szacunku - z całą pewnością nie potrzebuje mnie pan... mógłby pan użyć Legilimencji... albo choćby Veritaserum...

- Profesor Slughorn jest niezwykle utalentowanym czarodziejem i będzie się spodziewał obu tych rzeczy - wyjaśnił Dumbledore. - Jest o wiele bardziej wykształcony w Oklumencji niż biedny Morfin Gaunt i byłbym bardzo zdziwiony, gdyby okazało się, że nie nosi ze sobą antidotum na Veritaserum, odkąd wymusiłem na nim tę parodię wspomnienia.

- Nie, myślę, że byłoby głupotą usiłować wyrwać prawdę z profesora Slughorna siłą, i mogłoby to spowodować więcej szkody niż pożytku. Nie chciałbym, aby opuścił Hogwart. Jednakże i on, jak my wszyscy, ma swoje słabości, i wierzę, że jesteś jedyną osobą, która jest w stanie sforsować jego blokady. Harry, to niezmiernie ważne, by zdobyć prawdziwe

wspomnienie... Jak ważne, będziemy wiedzieć dopiero wtedy, gdy ujrzymy, co wydarzyło się naprawdę. Tak więc powodzenia... i dobranoc.

Nieco zaskoczony tym nagłym odprawieniem Harry szybko podniósł się z krzesła.

- Dobranoc, profesorze.

Zamykając za sobą drzwi, usłyszał jeszcze jak Fineas Nigellus mówi:

- Nie wiem, czemu niby ten chłopiec miałby to zrobić lepiej niż ty, Dumbledore.

- Nie spodziewałbym się, że zrozumiesz, Fineasie - odparł Dumbledore, a Fawkes wydał z siebie jeszcze jeden niski, melodyjny ton.

Tłumaczył Spike



Urodzinowe niespodzianki

Następnego dnia Harry zwierzył się Ronowi i Hermionie z tego, jakim zadaniem obarczył go Dumbledore. Powiedział o tym każdemu z osobna, gdyż Hermiona nadal odmawiała pozostawania w obecności Rona dłużej, niż zajmowało jej posłanie pogardliwego spojrzenia.

Ron uważał, że było mało prawdopodobne, aby Harry miał jakiegokolwiek problemy ze Slughornem.

- On cię uwielbia - powiedział podczas śniadania, wymachując widelcem pełnym omletu. - Nie odmówi ci niczego, prawda? Nie swojemu małemu Księciu Eliksirów. Po prostu zostań dziś po zajęciach i zapytaj. Hermiona jednakże przyjęła ponury punkt widzenia.

- Musi być zdeterminowany, aby ukrywać, co się naprawdę stało, skoro Dumbledore nie mógł tego z niego wyciągnąć - powiedziała cicho, kiedy stali na pustym, zaśnieżonym dziedzińcu podczas przerwy.

- Horcruxy... horcruxy... Nigdy nawet o nich nie słyszałam...

- Nie?

Harry był zawiedziony, miał nadzieję, że Hermione da mu jakąś wskazówkę na temat tego, czym były.

- To musi być naprawdę zaawansowana Czarna Magia, inaczej czemu Voldemort chciałby się o nich czegoś dowiedzieć? Myślę, że zdobycie informacji może być trudne, Harry. Musisz być bardzo ostrożny, zwracając się do Slughorna, pomyśl o strategii...

- Ron uważa, że powinienem po prostu zostać po eliksirach w klasie dzisiejszego popołudnia...

- Och, jeśli Lon-Lon tak myśli, lepiej tak zrób - wybuchnęła nagle. - W końcu, czy osąd Lon-Lona kiedykolwiek był błędny?

- Hermiono, czy nie możesz...

- Nie! - powiedziała gniewnie i wypadła jak burza, pozostawiając Harry'ego samego, po kostki w śniegu.

W tych dniach na zajęciach z eliksirów panowała ciężka atmosfera, gdyż Harry, Ron i Hermione musieli dzielić biurko. Dzisiaj dziewczyna przeniosła swój kociołek na drugą stronę stołu, tak więc była blisko Erniego i ignorowała Harry'ego i Rona.

- Co ty zrobiłeś? - wymamrotał Ron do Harry'ego, patrząc na wyniosły profil Hermiony.

Ale zanim Harry zdołał odpowiedzieć, Slughorn nawoływał o ciszę z przodu sali.

- Siadajcie, siadajcie! Szybko, mamy dzisiaj masę pracy! Trzecie Prawo Golpalotta... kto mi powie...? Ależ oczywiście, panna Granger!

- Trzecie Prawo Golpalotta mówi, że antidotum na truciznę zmieszaną z kilku innych będzie równe czemuś więcej, niż sumie antidotów na oddzielne składniki - wyrecytowała Hermione z ogromną prędkością.

- Dokładnie! - Slughorn uśmiechnął się promiennie.

- Dziesięć punktów dla Gryffindoru. A teraz, jeśli założymy, że Trzecie Prawo Golpalotta jest prawdziwe...

Harry zamierzał uwierzyć Slughornowi na słowo, że Trzecie Prawo Golpalotta jest prawdziwe, ponieważ niczego z tego nie rozumiał. Nikt z wyjątkiem Hermiony nie wydawał się śledzić tego, co nauczyciel powiedział następnie.

- ...który oczywiście oznacza - zakładając, że właściwie zidentyfikowaliśmy składniki eliksiru dzięki Zakłęciu Odkrywajacemu autorstwa Scarpina - że naszym głównym celem nie jest stosunkowo proste wybieranie odtrutek na te składniki oraz same te odtrutki, ale odkrycie, iż dodany składnik, poprzez niemalże alchemiczny proces, przemieni te zasadniczo różne elementy...

Ron siedział obok Harry'ego z półotwartymi ustami, rysując esy-floresy na swoim nowym egzemplarzu *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych*. Ciągłe zapominał, że nie mógł już dłużej polegać na pomocy Hermiony, kiedy nie pojmował, o co chodziło.

- ... zatem - kończył Slughorn - chcę, aby każdy z was podszedł i wziął jedną z fiolek z mojego biurka. Macie stworzyć odtrutkę przeciw truciznie przed końcem zajęć. Powodzenia i nie zapomnijcie o ochronnych rękawicach!

Hermiona zostawiła swój taboret i była w połowie drogi do biurka Slughorna zanim reszta klasy zdała sobie sprawę, że trzeba się ruszyć. Kiedy Harry, Ron i Ernie dopiero wrócili na swoje miejsca, ona zdążyła już wlać zawartość fiołki do kociołka i rozniecała pod nim ogień.

- Jaka szkoda, że Księżę nie będzie w stanie ci zbytnio pomóc, Harry - powiedziała pogodnie, kiedy się wyprostowała. - Tym razem musisz zrozumieć zawile zasady. Żadnych skrótów albo oszustw!

Rozdrażniony, Harry odkorkował fiołkę jaskraworóżowego eliksiru, którą wziął z biurka Slughorna i wlał do kociołka, rozpalając pod nim ogień. Nie miał najmniejszego pojęcia, co powinien zrobić dalej. Zerknął na Rona, który stał teraz, patrząc się na niego dość tępo, po wcześniejszym skopiowaniu wszystkiego, co Harry zrobił do tej pory.

- Jesteś pewien, że Księżę nie podaje jakichkolwiek wskazówek? - wymamrotał Ron do Harry'ego.

Zapytany wyciągnął swój wierny egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych* i otworzył na rozdziale o odtrutkach. Było tam Trzecie Prawo Golpalotta, słowo

w słowo tak, jak wyrecytowała je Hermiona, ale nie było ani jednej notki, która wyjaśniałaby, co to wszystko znaczy. Wydawało się, że Książę, zupełnie jak Hermiona, nie miał żadnego problemu ze zrozumieniem tego.

- Nic - powiedział ponuro.

Hermiona machnęła entuzjastycznie różdżką nad kociółkiem. Niestety, nie mogli skopiować zaklęcia, które rzuciła, ponieważ była teraz tak dobra w niewerbalnych inkantacjach, że nie musiała wymawiać słów na głos. Jednakże Ernie Macmillan mamrotał *Specialis revelio* nad swoim kociółkiem, co brzmiało imponująco, więc Harry i Ron pospiesznie poszli jego śladem.

Tylko pięć minut zajęło Harry'emu uświadomienie sobie, że jego reputacja najlepszego w klasie warzyciela eliksirów właśnie się załamywała. Slughorn przyglądał się z nadzieją jego kociółkowi podczas swojego pierwszego obchodu lochu, przygotowując się, aby wykrzyknąć radośnie, jak to zazwyczaj robił, zamiast tego odrzucił głowę gwałtownie, kaszląc, ponieważ przytłoczył go zapach zepsutych jajek. Wyraz twarzy Hermiony nie mógł wyrażać większego zadowolenia z siebie, nie cierpiała być prześcigana na każdych zajęciach Elikserów. Teraz przelewała rozdzielone w tajemniczy sposób składniki odtrutki do dziesięciu innych kryształowych fiolek. Aby uniknąć obserwowania tego, co go tak straszliwie drażniło, Harry zagiął książkę Księcia Półkrwi i przewrócił kilka stron z niepotrzebną siłą.

I oto było, nagryzmołone wzdłuż długiej listy odtrutek.
Po prostu wepchnij im bezoar w gardło.

Harry wpatrywał się w te słowa przez moment. Czy ich już gdzieś, dawno temu, nie słyszał? Czy Snape nie wspominał o tym podczas pierwszych zajęć Elikserów? *Kamień wzięty z żołądka kozy, ochroni przed większością trucizn.*

To nie było rozwiązanie problemu Golpalotta, a gdyby Snape nadal był ich nauczycielem, Harry nie ośmieliłby

się tego zrobić, ale była to chwila przeznaczona na desperackie działanie. Ruszył szybko w kierunku szafki i zaczął w niej grzebać, odsuwając na boki rogi jednorogów i płataniny suszonych ziół, dopóki nie znalazł, na samym końcu, małego kartonowego pudełka, na którym było nabazgrane *Bezoary*.

Otworzył pudełko w momencie, kiedy Slughorn zawołał: - Pozostały dwie minuty! W środku było pół tuzina wysuszonych, brązowych przedmiotów bardziej przypominających wyschnięte nerki niż prawdziwe kamienie. Harry chwycił jeden, odłożył pudełko z powrotem do szafki i pośpieszył do kociołka.

- KONIEC! - zawołał Slughorn przyjaźnie. - Cóż, zobaczmy jak wam poszło! Blaise... co dla mnie masz?

Slughorn ruszył powoli po klasie, oglądając różne odtrutki. Nikt nie ukończył zadania, chociaż Hermiona usiłowała wcisnąć jeszcze kilka składników do swojej butli, zanim Slughorn zdążył do niej dojść. Ron poddał się kompletnie, starając się jedynie unikać wdychania cuchnących oparów wydobywających się z jego kociołka. Harry zastygł w oczekiwaniu, ściskając kurczowo bezoar w lekko spoconej dłoni.

Slughorn doszedł do ich stolika na końcu. Powąchał eliksir Erniego i przeszedł do Rona, krzywiąc się. Nie pochylał się długo nad jego kociołkiem, ale cofnął szybko, czując lekkie mdłości.

- A ty, Harry - powiedział. - Co masz mi do pokazania? Harry wyciągnął rękę z bezoarem.

Slughorn patrzył w dół przez pełnych dziesięć sekund. Harry zastanawiał się przez chwilę, czy nauczyciel zamierza na niego krzyczeć. Wtedy ten odrzucił do tyłu głowę i ryknął śmiechem.

- Masz nerwy, chłopcze! - huknął, biorąc bezoar i podnosząc go tak, aby reszta klasy mogła zobaczyć.

- Och, jesteś jak twoja matka... cóż, nie mogę cię winić... bezoar z pewnością spełniłby rolę odtrutki przeciw tym wszystkim eliksirom!

Hermiona, która była spocona na twarzy i miała sadzę na nosie, wyglądała na wściekłą. Jej na pół wykończony antidotum, zawierające pięćdziesiąt dwa składniki, w

tym jej własne włosy, bulgotało ospale za Slughornem, którego oczy były zwrócone tylko i wyłącznie na Harry'ego.

- I wpadłeś na pomysł z bezoarem bez niczyjej pomocy, prawda, Harry? - zapytała przez zaciśnięte zęby.

- To jest właśnie odwaga, której potrzebuje każdy warzyciel eliksirów! - powiedział uszczęśliwiony Slughorn, zanim Harry mógł odpowiedzieć. - Zupełnie jak jego matka, ona również pojmowała intuicyjnie, jak warzyć eliksiry. Niewątpliwie odziedzyczyłeś to po Lily... Tak, tak, Harry, jeśli masz bezoar w dłoni, to oczywiście rozwiązuje sprawę... Aczkolwiek one nie działają na wszystko i są dość rzadkie, dlatego nadal warto jest wiedzieć, jak przyrządzać odtrutki...

Jedyną osobą, która wyglądała na bardziej rozzłoszczoną niż Hermiona, był Malfoy, który, co Harry zauważył z przyjemnością, rozlał na siebie coś przypominającego kocie wymioty. Zanim jednak którekolwiek z nich mogło wyrazić swoją wściekłość z powodu tego, że Harry wypadł najlepiej z klasy nie robiąc niczego, zadzwonił dzwonek.

- Czas się pakować! - powiedział Slughorn. - I jeszcze dziesięć punktów dla Gryffindoru za kompletną bezczelność!

Nadal chichocząc, podreptał do swojego biurka z przodu lochu.

Harry ociągał się, pakując swoją torbę przez przesadnie długi czas. Ani Ron, ani Hermiona nie życzyli mu szczęścia wychodząc, oboje wyglądali raczej na rozdrażnionych. Wreszcie w klasie pozostali tylko Harry i Slughorn.

- Chodź, chodź, Harry, spóźnisz się na następne zajęcia. - powiedział życzliwie Slughorn, klapiąc złotymi zapinkami teczki ze skóry smoka.

- Proszę pana - powiedział Harry, nie mogąc się oprzeć, by nie przypomnieć sobie o Voldemorcie.

- Chciałem o coś zapytać.

- Pytaj śmiało, drogi chłopcze, pytaj śmiało...

- Zastanawiałem się, co pan wie o... o horcruxach?

Slughorn zamarł. Jego okrągła twarz wydawała się zapadać w sobie. Oblizął usta i powiedział chrapliwie:

- Co takiego powiedziałeś?

- Zapytałem pana, czy nie wie czegoś o horcruxach. Widzi pan...

- Dumbledore namówił cię do tego - wyszeptał nauczyciel.

Ton jego głosu zmienił się zupełnie. Nie był już uprzejmy, ale zszokowany, przerażony. Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni szaty, wyjął chusteczkę i przetarł spocone czoło.

- Dumbledore pokazał ci tamto... tamto wspomnienie - powiedział Mistrz Elikssirów. - Mam rację?

- Tak - odpowiedział Harry, decydując, że w tym momencie najlepiej będzie nie kłamać.

- Tak, oczywiście - powiedział Slughorn cicho, wciąż przecierając bladą twarz. - Oczywiście... cóż, jeśli widziałeś tamto wspomnienie, Harry, powinieneś wiedzieć, że nie wiem niczego... niczego - powtórzył to słowo, kładąc na nie nacisk - o horcruxach.

Chwył swoją teczkę ze skóry smoka, schował chusteczkę z powrotem do kieszeni i pomaszerował do drzwi.

- Proszę pana - powiedział Harry rozpaczliwie. - Po prostu pomyślałem, że może być coś więcej w tym wspomnieniu...

- Tak? - powiedział Slughorn. - Więc się myliłeś, nieprawdaż? MYLIŁEŚ!

Wykrzyczał ostatnie słowo i zanim Harry mógł cokolwiek powiedzieć, zatrzasnął za sobą drzwi lochu.

Ani Ron, ani Hermiona nie byli wcale pełni współczucia, kiedy Harry opowiedział im o fatalnej rozmowie. Hermiona wciąż kipiała ze złości na myśl o sposobie, w jaki Harry zatriumfował, nie wykonując pracy jak należy. Ron był pełen urazy, że przyjaciel również jemu nie podsunął bezoaru.

- To po prostu wyglądałoby głupio, gdybyśmy obaj zrobili to samo! - powiedział Harry z rozdrażnieniem.

- Zrozum, musiałem spróbować i ulagodzić go, abym mógł spytać o Voldemorta! Och, weź się w garść! -

dodał z irytacją, widząc jak Ron wzdraga się na dźwięk tego imienia.

Rozjuszony swoim niepowodzeniem oraz zachowaniem Rona i Hermiony, Harry rozmyślał przez następnych kilka dni, co zrobić w sprawie Slughorna. Zdecydował, że na razie pozwoli mu myśleć, iż zapomniał o horcruxach, co miało uspić czujność mężczyzny przed kolejnym atakiem.

Gdy dał spokój z ponownych wypytywaniem Slughorna, Mistrz Eliksirów powrócił do swojego zwykłego, uprzejmego traktowania chłopca. Wydawało się, że wyrzucił całą sprawę z pamięci.

Harry czekał na zaproszenie na jeden z wieczorków, zdecydowany przyjąć każdy termin, nawet gdyby musiał zmienić harmonogram treningów quidditcha. Niestety, zaproszenie nie nadeszło. Harry zapytał także Hermionę i Ginny, ale żadna z nich nie otrzymała zaproszenia ani - o ile wiedziały - nie otrzymał go nikt inny. Harry nie mógł przestać zastanawiać się, czy to znaczyło, że Slughorn nie był tak roztargniony jak się wydawało, czy po prostu usiłował nie dać okazji do dokończenia rozmowy.

W międzyczasie hogwarcka biblioteka zawiodła Hermionę po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią. Była tak zszokowana, że nawet zapomniała, iż była zła na Harry'ego o jego podstęp z bezoarem.

- Nie znalazłam ani jednej wzmianki o horcruxach! - powiedziała.

- Ani jednej! Byłam też w Dziale Ksiąg Zakazanych i nawet w najokropniejszych księgach, z których dowiesz się, jak przyrządzić najstraszniejsze eliksiry, nie znalazłam niczego! Wszystko, co udało mi się znaleźć to kilka słów we wstępie do *Najbardziej Złej Magii*, słuchaj: *o Horcruxach, najpodlejszych z magicznych wynalazków, nie powinniśmy mówić ani dawać wskazówek. W takim razie, po co o nich wspominać?* - zastanawiała się zniecierpliwiona, zatraskując starą księgę, co wywołało upiorne zawrodozenie.

- Och, zamknij się - warknęła, wpychając ją z powrotem do torby.

Śnieg wokół szkoły stopił się wraz z nadejściem lutego, zastąpiony przez zimne i przygnębiające deszcze. Fioletowo-szare chmury wisiały nisko nad zamkiem, a przez ciągle opady chłodnego deszczu trawniki stały się śliskie i zabłocone. Rezultat był taki, że pierwsze lekcje aportacji dla szóstoklasistów, zaplanowane na sobotnie popołudnie, aby uczniowie nie tracili zajęć, odbyły się w Wielkiej Sali zamiast na błoniach.

Kiedy Harry i Hermiona dotarli do Wielkiej Sali (Ron przyszedł z Lavender) zauważyli, że stoły zniknęły. Deszcz bębnił w wysokie okna, a zaczarowany sufit wirował ponuro nad nimi, gdy zgromadzili się przed Opiekunami Domów - McGonagall, Snapem, Flitwickiem i Sprout, oraz niskim czarodziejem, który - jak Harry podejrzewał - był instruktorem aportacji z Ministerstwa. Wyglądał dziwnie bezbarwnie, z jasnymi rzęsami, rzadkimi i rozwichrzonymi włosami, sprawiał też wrażenie tak wątlego, że jeden podmuch wiatru mógłby go porwać. Gryfon zastanawiał się, czy ciągle aportacje i deportacje miały jakikolwiek wpływ na jego budowę albo czy była ona idealna dla każdego, kto pragnąłby zniknąć.

- Dzień dobry - powiedział czarodziej z Ministerstwa, kiedy zjawili się już wszyscy uczniowie, a Opiekunowie Domów poprosili o ciszę. - Nazywam się Wilkie Twycross i będę waszym instruktorem aportacji przez następnych dwanaście tygodni. Mam nadzieję, że dam radę przygotować was przez ten czas do testu...

- Malfoy, bądź cicho i skup się! - warknęła profesor McGonagall.

Wszyscy rozejrzeli się dookoła. Mocno zaczerwieniony Malfoy wyglądał na wściekłego, kiedy odszedł od Crabbe'a, z którym wydawał się mieć cichą sprzeczkę. Harry zerknął szybko na Snape'a, który również wyglądał na rozdrażnionego, chociaż Harry podejrzewał, że nie było to spowodowane zachowaniem Malfoya, a faktem, że McGonagall udzieliła nagany jednemu z jego podopiecznych.

- ...w tym czasie wielu z was może być gotowych, aby zdać test - kontynuował Twycross, jak gdyby nikt mu

nie przerwał.

- Jak zapewne większość wie, jest zazwyczaj niemożliwe, aby aportować lub deportować się na terenie Hogwartu. Dyrektor zniósł jednak ten czar, wyłącznie wewnątrz Wielkiej Sali, tak, abyście przez jedną godzinę mogli ćwiczyć. Pragnę podkreślić, że nikt nie będzie zdolny aportować się poza ściany tej sali, dlatego nie róbcie głupstw i nie próbujcie.

- Chciałbym, aby każdy z was zajął teraz miejsce tak, abyście mieli przed sobą pięć stóp wolnej przestrzeni. Zapanował ogromny zgielk, wszyscy rozchodzili się, wpadali na siebie nawzajem, wypraszały innych ze swoich rejonów. Opiekunowie Domów chodzili pomiędzy studentami, ustawiając ich i ucinając sprzeczki.

- Harry, dokąd idziesz? - domagała się odpowiedzi Hermiona.

Ale on nie odpowiedział. Szedł szybko przez tłum, omijając miejsce, gdzie profesor Flitwick czynił piskliwe próby rozstawienia kilku Kruków, których chciał mieć z przodu. Minął też profesor Sprout, która ustawiała Puchonów w rzadek, oraz Erniego Macmillana. Usadowił się na tyłach tłumy, dokładnie za Malfoyem, który, korzystając z ogólnego poruszenia, kontynuował swój spór z Crabbem, stojącym pięć stóp dalej i wyglądającym na oburzonego.

- Nie wiem, jak długo jeszcze, w porządku? - Malfoy spojrział na drugiego Ślizgona, nieświadomy tego, że Harry stał tuż obok. - To trwa dłużej, niż myślałem.

Crabbe otworzył usta, ale Malfoy wydawał się zgadnąć po raz drugi, co tamten chciał powiedzieć.

- Posłuchaj, to nie twoja sprawa, co robię, Crabbe. Ty i Goyle po prostu róbcie to, co macie robić i miejcie oczy szeroko otwarte!

- Ja mówię swoim przyjaciółom do czego zmierzam, jeśli chcę, żeby stanęli dla mnie na straży - powiedział Harry, na tyle głośno, aby Malfoy go usłyszał.

Draco odwrócił się w miejscu, jego ręka momentalnie znalazła się przy różdżce, ale w tym właśnie momencie wszyscy Opiekunowie Domów krzyknęli „Spokój!” i

znów zapadła cisza. Malfoy powoli odwrócił twarz do przodu.

- Dziękuję - powiedział Twycross. - A teraz...

Machnął różdżką. Staromodne drewniane obręcze natychmiast pojawiły się na posadzce przed każdym studentem.

- Ważne, aby przy aportacji pamiętać o zasadzie trzech De! - powiedział Twycross. - Dążenie, Determinacja, Dokładność!

- Krok pierwszy: oczyśćcie swój umysł, po czym zapragnijcie miejsca przeznaczenia – kontynuował.

- W tym wypadku będą to wnętrza waszych obręczy. Teraz delikatnie skoncentrujcie się na swoim celu.

Każdy rozejrzał się ukradkiem, sprawdzając, czy pozostali także wpatrują się w obręcze, po czym pośpiesznie zrobił to, co kazano. Harry wpatrywał się w koliste terytorium zakurzonej podłogi otoczone obręczą i usilnie starał się nie myśleć o czymkolwiek innym. Co okazało się niemożliwe, ponieważ nie mógł przestać zastanawiać się co takiego Malfoy robił, że potrzebował, aby trzymano dla niego straż.

- Krok drugi: skupcie swoją determinację, by zająć wyobrażoną przestrzeń. Pozwólcie, aby pragnienie wylało się z waszego umysłu do każdej cząstki ciała!

Harry rozejrzał się ukradkiem. Niedaleko niego, po lewej, Ernie Macmillan tak bardzo koncentrował się na obręczy, że poróżowiał na twarzy, co wyglądało tak, jakby starał się znieść jajko wielkości kafla. Harry powstrzymał śmiech i pośpiesznie wrócił spojrzeniem do swojej obręczy.

- Krok trzeci! - zawołał Twycross. - I tylko wtedy, kiedy dam znać... odwróćcie się natychmiast, znajdując własną drogę przez nicość, poruszając się w określonym celu. Na mój znak... raz...!

Harry rozejrzał się raz jeszcze, dużo osób było zdecydowanie zaniepokojonych tym, że zostały poproszone o aportowanie się tak szybko.

Spróbował skupić myśli ponownie na obręczy, zapomniał już, jak brzmiały trzy zasady.

- TRZY!

Harry zakręcił się w miejscu, stracił równowagę i niemal przewrócił. Nie był jedynym. Cała Sala była pełna zataczających się ludzi. Neville leżał płasko na plecach, Ernie Macmillan, po drugiej stronie wykonał pewnego rodzaju piruet do swojej obręczy i wyglądał na podekscytowanego, do czasu, kiedy zobaczył, że Dan Thomas naśmiewa się z niego.

- Nic się nie stało, nic się nie stało - powiedział sucho Twycross, który najwyraźniej nie spodziewał się lepszych rezultatów. - Proszę, abyście ustawili z powrotem swoje obręcze i powrócili na swoje początkowe stanowiska.

Druga próba nie była wcale lepsza od pierwszej. Trzecia była tak samo kiepska. Nic emocjonującego nie wydarzyło się do czasu czwartej. Rozległ się okropny wrzask pełen bólu i wszyscy zaczęli rozglądać się z przerażeniem, by zobaczyć Susan Bones z Hufflepuffu, chwiejącą się w swojej obręczy, podczas gdy jej noga stała tak jak na początku, pięć stóp dalej.

Opiekunowie Domów skupili się wokół niej, słychać było głośnie huknięcie, kiedy pojawił się obłok fioletowego dymu. Gdy się przerzedził, ukazał szlochającą Susan, już z nogą, ale nadal wyglądającą na przerażoną.

- Rozdzielenie przypadkowych części ciała - powiedział Wilkie Twycross beznamiętnie - zdarza się, kiedy umysł jest niewystarczająco zdecydowany. Musicie ciągle koncentrować się na swoim celu, na ruchu, bez pośpiechu, ale z rozwagą... a zatem...

Twycross ruszył do przodu, odwrócił się wdzięcznie z wyciągniętymi ramionami i zniknął, wirując szatami, by pojawić się z tyłu Sali.

- Pamiętajcie o trzech De i spróbujcie ponownie... raz... dwa... trzy...

Jednak godzinę później rozłączenie Susan nadal było najbardziej interesującą rzeczą, jaka się przydarzyła. Twycross nie wydawał się zniechęcony. Zapinając pelerynę pod szyją, powiedział jedynie:

- Do zobaczenia w przyszłą sobotę. I niech każdy pamięta: Dążenie, Determinacja, Dokładność.

Mówiąc to, machnął różdżką i obręcze zniknęły. On sam opuścił Wielką Salę w towarzystwie profesor McGonagall. Natychmiast rozpoczęły się rozmowy, a uczniowie zaczęli przechodzić do Sali Wejściowej.

- I jak ci poszło? - zapytał Ron, śpiesząc do Harry'ego.

- Myślę, że poczułem coś podczas ostatniej próby, coś jakby mrowienie w stopach.

- Podejrzewam, że twoje trampki są za małe, Lon-Lon - powiedział głos za nimi i minęła ich Hermiona, krocząc dumnie, z wyniosłym uśmiechem na twarzy.

- Ja niczego nie poczułem - powiedział Harry, ignorując Hermionę. - Ale nie martwię się teraz o to...

- O co ci chodzi... nie chcesz nauczyć się aportacji? - zapytał Ron sceptycznie.

- Nie kręci mnie to tak bardzo, naprawdę. Wolę latanie - powiedział, zerkając przez ramię, by zobaczyć, gdzie jest Malfoy i przyspieszając, kiedy weszli do Sali Wejściowej. - Słuchaj, pospieszmy się, jest jeszcze coś, co chcę zrobić...

Zaintrygowany Ron podążył biegiem za Harrym do Wieży Gryffindoru. Zostali na chwilę zatrzymani przez Irytka, który zablokował drzwi na czwartym piętrze i odmawiał przejścia każdemu, kto nie podpalił własnych spodni. Harry i Ron po prostu zawrócili i wybrali jeden ze swoich sprawdzonych skrótów. Po pięciu minutach przeciskali się przez dziurę za portretem.

- Planujesz mi powiedzieć, co zamierzamy zrobić? - spytał Ron, dysząc nieznacznie.

- Nie tutaj - powiedział Harry, przecinając Pokój Wspólny i kierując się na schody do sypialni chłopców. Dormitorium było, tak jak liczył Harry, puste. Otworzył swój kufer i zaczął w nim grzebać, podczas gdy Ron spoglądał niecierpliwie.

- Harry...

- Malfoy używa Crabbe'a i Goyle'a jako szpiegów. Sprzeczał się o coś z Crabbe'm chwilę temu. Chcę wiedzieć... Aha.

Znalazł to, czego szukał - złożony kawałek pozornie czystego pergaminu, który teraz rozłożył i stuknął w niego końcem różdżki.

- Przysięgam uroczyście, że knuję coś niedobrego... a przynajmniej Malfoya.

W tym momencie Mapa Huncwotów pokazała się na pergaminie. Był to bardzo dokładny plan każdego z pięter zamku i poruszających się po nich, malutkich i opatrzonych podpisami czarnych kropek, oznaczających każdego z mieszkańców zamku

- Pomóż mi znaleźć Malfoya - powiedział Harry nagle.

Położył Mapę na łóżku i nachylił się nad nią wraz z Ronem.

- Tutaj! - wykrzyknął rudzielec po niecałej minucie.

- Jest w Pokoju Wspólnym Slytherinu, spójrz... z Parkinson, Zabiniem, Crabbe'm i Goylem...

Harry spojrział na mapę zawiedziony, ale po chwili oprzytomniał.

- Cóż, będę miał na niego oko od tej pory - oznajmił stanowczo. - I w momencie, kiedy zobaczę go czającego się gdzieś, z Crabbe'm i Goylem czuwającymi na zewnątrz, będę miał pelerynę-niewidkę, aby dowiedzieć się, co on...

Przerwał, kiedy do dormitorium wszedł Neville, przynosząc ze sobą ostry zapach przypalanego materiału. Od razu zaczął przetrząsać swój kufer w poszukiwaniu nowych spodni.

Pomimo całej determinacji, by nakryć Malfoya, Harry nie miał absolutnie szczęścia przez kolejne kilka tygodni. Chociaż oglądał Mapę tak często, jak mógł, czasem nawet wybierając się pomiędzy lekcjami na niepotrzebne wizyty do łazienki, aby sprawdzić Mapę, ani razu nie udało mu się dostrzec Malfoya w żadnym budzącym podejrzenia miejscu. Wprawdzie zauważył, że Crabbe i Goyle poruszają się po zamku sami częściej niż zwykle, czasem pozostając przez dłuższy czas w jednym miejscu, na pustych korytarzach, ale w każdym z tych przypadków Malfoya nie było nie tylko nigdzie w pobliżu nich, ale także niemożliwe było odnalezienie go w ogóle na Mapie. To było najbardziej tajemnicze. Harry bawił się podejrzeniem, że Malfoy rzeczywiście opuszcza teren szkoły, ale nie widział możliwości, jak

mógłby to robić, biorąc pod uwagę wysoki stopień zabezpieczeń funkcjonujących teraz w zamku. Mógł jedynie przypuszczać, że gubił Malfoya pośród setek drobniotkich czarnych kropek na mapie. Co do faktu, że Malfoy, Crabbe i Goyle zdawali się chodzić różnymi drogami, pomimo, że zazwyczaj byli nierozłączni, Harry uznał, że takie rzeczy zdarzały się, gdy ludzie dorastali - Ron i Hermiona, co ze smutkiem zauważał, byli na to żywym dowodem.

Luty przesuwiał się w kierunku marca nie zapowiadając żadnej zmiany pogody, poza tym, że zrobiło się równie wietrznie, co mokro. Ku ogólnemu oburzeniu, na tablicy w Pokoju Wspólnym pojawiła się wiadomość, że wycieczka do Hogsmeade została odwołana. Ron był wściekły.

- To miało być w moje urodziny! - powiedział. - Tak na to czekałem!

- Niezbyt duża niespodzianka, nie sądzisz? - zapytał Harry. - Nie po tym, co stało się z Katie.

Nadal nie wróciła ze Świętego Munga. Poza tym w Proroku Codziennym opisywano coraz więcej zniknięć, także członków rodzin uczniów Hogwartu.

- Ale teraz wszystko, czego mogę oczekiwać, to głupie zajęcia z aportacji - powiedział naburmuszony Ron.

- Wielka urodzinowa niespodzianka...

Trzy lekcje później, aportacja wciąż wydawała się trudna jak nic innego, chociaż kilku kolejnym osobom udało się rozszczępić. Frustracja rosła i nawarstwiała się niechęć do Wilkiego Twycrossa i jego trzech zasad, co zainspirowało powstanie wielu przezwisk, z których najłagodniejszymi były "psi dech" i "łajnogłowy".

- Wszystkiego najlepszego, Ron - powiedział Harry, kiedy zostali obudzeni pierwszego marca przez Seamusa i Dana wychodzących na śniadanie.

- Łap prezent!

Rzucił paczką w kierunku łóżka Rona, trafiając w mały stosik innych prezentów. Harry przypuszczał, że zostały dostarczone nocą przez skrzaty.

- Zdrówko! - powiedział sennie Ron, kiedy zdzierał papier. Harry wstał z łóżka, otworzył swój kufer i

zaczął w nim grzebać w poszukiwaniu Mapy Huncwotów, którą chował po każdym użyciu. Zanim ją znalazł, wyrzucił z kufra połowę jego zawartości, a jak się okazało leżała pod zwiniętymi skarpetami, w których nadal trzymał buteleczkę eliksiru szczęścia Felix Felicis.

- Jasne – wymamrotał, biorąc Mapę ze sobą do łóżka, dotykając jej końcem różdżki i szepcząc - Przysięgam uroczyście, że knuję coś niedobrego - na tyle cicho, aby przechodzący obok Neville go nie usłyszał.

- Niezłe, Harry! - krzyknął Ron entuzjastycznie, machając nową parą rękawic dla obrońcy, które Harry mu podarował.

- Nie ma sprawy - powiedział z roztargnieniem Harry, szukając Malfoya w dormitorium Slytherinu. – Hej... Nie wydaje mi się, że jest w swoim łóżku... Ron nie odpowiedział, był zbyt zajęty rozpakowywaniem prezentów, przy każdym wdychając z zachwytem.

- Niezły łup tego roku! - ogłosił, unosząc ciężki, złoty zegarek z dziwnymi symbolami wokół brzegu i małymi, poruszającymi się gwiazdkami zamiast wskazówek.

- Widzisz, co rodzice mi przysłali? Kurczę, myślę, że w przyszłym roku także osiągnę pełnoletność...

- Super - wymamrotał Harry, posyłając oszczędne spojrzenie zegarkowi, zanim zaczął przyglądać się dokładniej mapie. Gdzie był Malfoy? Nie jadł śniadania przy stole Slytherinu w Wielkiej Sali... Nie było go nigdzie w pobliżu Snape'a, który siedział w swoim gabinecie... Nie było go w żadnej łazience ani w Skrzydle Szpitalnym...

- Chcesz? - zapytał Ron niewyraźnie, trzymając pudełko Czekoladowych Kociolków.

- Nie, dzięki - powiedział Harry spoglądając w górę.

- Malfoy znów zniknął!

- Nie mógł - powiedział Ron wpychając sobie drugi kociołek do ust, kiedy zsunął się z łóżka, aby się ubrać. - Daj spokój, jeśli się nie pośpieszysz, będziesz musiał iść na aportację o pustym żołądku... co w zasadzie mogłoby uczynić wszystko łatwiejszym, jak sądzę...

Ron spojrzal na pudelko Czekoladowych Kociolków troskliwie, po czym wzruszył ramionami i wziął trzeci. Harry stuknął Mapę różdżką, mrużąc "Koniec psot", chociaż to wcale nie był ich koniec, ubrał się i zamyślił. Musiało być jakieś wyjaśnienie dla zniknięć Malfoya, ale po prostu nie mógł żadnego znaleźć. Najlepszym rozwiązaniem byłoby śledzenie go, ale nawet z peleryną-niewidką byłoby to niemożliwe. Miał przecież lekcje, treningi quidditcha, zadania domowe i aportacje, nie mógł chodzić za Malfoyem przez cały dzień, ktoś by zauważył jego nieobecność.

- Gotów? - spytał Rona.

Był w połowie drogi do drzwi, kiedy zdał sobie sprawę, że Ron nie poruszył się, ale stał oparty o kolumnkę, wpatrując się w zalane deszczem okno dziwnym, rozbieganym wzrokiem.

- Ron? Śniadanie.

- Nie jestem głodny.

Harry wpatrywał się w niego.

- Myślałem, że właśnie powiedziałeś...?

- W porządku, zejść z tobą na dół - westchnął Ron

- ale nie chcę jeść.

Harry przyjrzał mu się badawczo, zdziwiony.

- Po prostu zjadłeś pół tuzina Czekoladowych Kociolków, prawda?

- Nie o to chodzi - Ron westchnął ponownie. - Ty... ty nie rozumiałbyś.

- W porządku - powiedział Harry, zdziwiony, jednak odwrócił się, by otworzyć drzwi.

- Harry! - krzyknął niespodziewanie rudzielec.

- Co?

- Dłużej tego nie wytrzymam!

- Czego nie możesz znieść? - zapytał Harry, zaczynając czuć niepokój. Ron był blady i wyglądał jakby miał się rozchorować.

- Nie mogę przestać o niej myśleć! - wykrzyknął chrapliwie.

Harry wpatrywał się w niego. Nie oczekiwał tego i nie był pewien, czy chce o tym słyszeć. Mogli być przyjaciółmi, ale jeśli Ron zacznie nazywać Lavender

„Lav-Lav”, będzie musiał mu to wyperswadować.

- Dlaczego to cię powstrzymuje przed zjedzeniem śniadania? - zapytał Harry, starając się doszukać jakiegoś sensu w postępowaniu przyjaciela.

- Nie sądzę nawet, aby wiedziała, że istnieje - powiedział z rozpaczliwym gestem.

- Ona zdecydowanie wie o twoim istnieniu - powiedział Harry zdziwiony. - Ciągle cię przytula i całuje, prawda? Ron zamrugał.

- O kim ty mówisz?

- A o kim ty mówisz? - powiedział Harry, z narastającym poczuciem, że cały sens uciekł z rozmowy.

- Romilda Vane - powiedział miękko Ron, a cała jego twarz wydawała się błyszczeć, jak gdyby oświetlił ją najczystszy promień słońca. Patrzyli na siebie przez około minutę, zanim Harry się odezwał.

- To jakiś żart, prawda? Żartujesz sobie.

- Myślę... Harry, myślę, że ją kocham - powiedział zduszonym głosem rudzielec.

- Dobra - powiedział Harry, podchodząc do Rona by mieć lepszy widok na jego błyszczące oczy i bladą cerę

- Dobra... powiedz to raz jeszcze, z poważną miną.

- Kocham ją - powtórzył Ron jednym tchem.

- Widziałeś jej włosy, czarne, lśniące i miękkie... a jej oczy? Jej duże, ciemne oczy? A...

- Udał ci się żart, jest naprawdę śmieszny - zapewnił niecierpliwie Harry - ale skończ z tym, w porządku?

Odwrócił się do wyjścia, zrobił dwa kroki, kiedy niespodziewany cios trafił w jego prawe ucho. Oslupiały rozejrzał się dookoła. W tym momencie pięść Rona wróciła na swoje miejsce, a on sam szykował się do kolejnego ciosu. Jego twarz była wykrzywiona złością.

Harry zareagował instynktownie, różdżka błyskawicznie znalazła się w jego dłoni, a zaklęcie wydostało się zanim zdolał się zastanowić - *Levicorpus!* Ron krzyknął, kiedy jego pięta została raz jeszcze szarpnięta w górę. Kręcił się bezradnie, do góry nogami ze zwieszającą się z niego szatą.

- Za co to było? - ryknął Harry.
- Obraziłeś ją! Powiedziałeś, że to żart! - wykrzykiwał Ron, który powoli zmieniał kolor na fioletowy, kiedy cała krew zaczęła spływać mu do głowy.
- To jakiś obłęd! - krzyknął Harry. - Co ma do tego...? Prawda uderzyła w niego z siłą pędzącego trolla, kiedy zobaczył otwarte pudełko leżące na łóżku Rona.
- Skąd masz te Czekoladowe Kociolki?
- To był prezent urodzinowy! - krzyknął Ron, obracając się powoli w powietrzu, jakby próbował się uwolnić. - Poczęstowałem cię jednym, pamiętasz?
- Podniosłeś je z podłogi, prawda?
- Spadły z mojego łóżka! A teraz mnie uwolnij!
- Nie spadły z twojego łóżka, durniu. Czy nie rozumiesz? Należały do mnie, wyrzuciłem je z kufra, kiedy szukałem Mapy. To są Czekoladowe Kociolki, które dała mi Romilda przed Świętami Bożego Narodzenia i są nasączone eliksirem miłosnym!
- Ale z całej wypowiedzi Harry'ego Ron wydawał się zarejestrować tylko jedno słowo.
- Romilda? – powtórzył. - Czy powiedziałeś Romilda? Harry, czy ją znasz? Czy mógłbyś mnie przedstawić?
- Harry wpatrywał się w wiszącego Rona, którego twarz była teraz tak ufna, że niemal żalosna i poczuł przemożną chęć aby się roześmiać. Część jego, ta najbliższej bolącego ucha, była całkiem chętna do puszczania Rona i oglądania go w amoku, do czasu, gdy mikstura przestanie działać. Ale z drugiej strony, byli przyjaciółmi, Ron nie był sobą, kiedy go zaatakował, poza tym pomyślał, że sam zasłuży na kolejne lanie, jeśli pozwoli Ronowi wyznawać miłość aż po grób Romildzie Vane.
- Jasne, przedstawię cię - powiedział decydując się szybko. - Zamierzam cię teraz wypuścić, ok?
- Gwałtownie puścił Rona na podłogę (jego ucho bolało całkiem mocno), ale rudzielec po prostu wylądował na stopach, uśmiechając się szeroko.
- Będzie w gabinecie Slughorna - powiedział z przekonaniem, prowadząc ich do drzwi.
- Dlaczego miałyby być właśnie tam?- spytał

niespokojnie Ron, śpiesząc się, aby nadążyć.

- Och, ma dodatkowe zajęcia eliksirów - zmyślił szybko Harry.

- Może mógłbym poprosić, aby mieć je z nią? - spytał gorliwie rudzielec.

- Świetny pomysł - pochwalili Harry. Lavender czekała przy wyjściu z Pokoju Wspólnego, czego Harry nie przewidział.

- Spóźniłeś się, Lon-Lon - skrzywiła się niezadowolona. - Mam dla ciebie urodzinowy...

- Zostaw mnie - powiedział zniecierpliwiony Ron.

- Harry przedstawi mnie Romildzie Vane.

I nie mówiąc do niej nic więcej, przecisnął się przez dziurę za portretem. Harry starał się zrobić przeproszącą minę, ale Lavender chyba pomyślała, że go to śmieszy, ponieważ kiedy Gruba Dama zamykała się za nimi, wyglądała na obrażoną bardziej niż kiedykolwiek.

Harry trochę się martwił, że Slughorn będzie uczestniczył w śniadaniu, ale nauczyciel otworzył drzwi już po pierwszym w niego puknięciu. Miał na sobie zielony, jedwabny szlafrok i pasującą do niego czapkę, wyglądał na zasnętego.

- Harry - wymamrotał. - Jest bardzo wcześnie, jak na wizytę... Zazwyczaj śpię dość długo w soboty...

- Bardzo mi przykro, że przeszkadzam, profesorze... - powiedział Harry najciszej, jak to było możliwe, podczas kiedy Ron stał o krok dalej, starając się zajrzeć za Slughorna, do wnętrza jego gabinetu. - ...ale mój przyjaciel Ron wypił przez przypadek eliksir miłosny. Czy nie mógłby pan przyrzucić antidotum dla niego? Zabrałbym go do pani Pomfrey, ale nie powinniśmy mieć nic z „Czarodziejskich Dowcipów Weasley'ów” i rozumie pan... to niewygodne pytanie...

- Pomyślałbym, że mógłbyś sam upichcić mu lekarstwo... taki ekspert w warzeniu eliksirów, jak ty? - zapytał Slughorn.

- Eee...- zaczął Harry, nieco rozpraszany faktem, że Ron trącił go teraz łokciem w żebra, próbując wymusić na nim wejście do pomieszczenia. - Prawdę

powiedziawszy, nigdy nie warzyłem lekarstwa na eliksir miłosny, profesorze, a do czasu, kiedy uda mi się to zrobić poprawnie, Ron mógłby zrobić coś naprawdę poważnego...

Ron, uczynnie, wybrał akurat ten moment, żeby jęknąć.

- Nie widzę jej Harry, czy on ją ukrywa?

- Czy ten eliksir miał ważną datę przydatności? - zapytał Slughorn, teraz obserwując Rona z zawodowym zainteresowaniem. - Działanie takich wywarów może przybierać na sile, rozumiesz, im dłużej są przetrzymywane.

- To by wiele wyjaśniało - westchnął Harry, teraz wręcz silując się z Ronem, aby uniemożliwić mu przewrócenie Slughorna. - Są jego urodziny, Profesorze - dodał błagalnie.

- No, dobrze, wchodźcie, w takim razie, wchodźcie - powiedział Slughorn, ustępując. - Mam wszystko, co jest potrzebne tutaj w torbie, to nie jest trudne antidotum...

Ron wpadł przez otwarte drzwi do przegrzanego, ciasnego gabinetu, potykając się o ozdobiony frędzlami podnózek, po czym odzyskał równowagę, obejmując szyję Harry'ego, i wymamrotał:

- Nie widziała tego, prawda?

- Jeszcze jej tu nie ma - odpowiedział Harry, obserwując Slughorna, sięgającego po swoje przyrządy i wrzucającego szczypty różnych składników do kryształowej butelki.

- To dobrze - powiedział ponaglająco Ron.

- Jak wyglądam?

- Bardzo dobrze - odparł gładko Slughorn, podając Ronowi szklanekę przejrzystego płynu. - A teraz wypij to, to na wzmocnienie nerwów, pozwoli ci zachować spokój, kiedy ona się zjawi, wiesz.

- Genialne - powiedział ze zniecierpliwieniem Ron, przelykając głośno antidotum.

Harry i Slughorn obserwowali go. Przez chwilę Ron uśmiechał się do nich promiennie. Potem, powoli, jego uśmiech wiały i zniknął, w końcu zastąpiony przez minę, mającą wyrażać skrajne przerażenie.

- A więc, z powrotem w normie? - rzucił Harry, uśmiechając się szeroko. Slughorn zachichotał.

- Dziękuję, profesorze.

- Nie ma za co, mój chłopcze, nie ma za co - odpowiedział, kiedy Ron przewrócił się na pobliski fotel. Wyglądał na zdruzgotanego. - Postaw-mnie-na-nogi, to wszystko, czego potrzebuje - kontynuował Slughorn, przemieszczając się w stronę zastawionego napojami stołu. - Mam piwo kremowe, wino, ostatnią butelkę dębowego miodu pitnego... hmm... miałem zamiar sprezentować go Dumbledore'owi na Święta... ach, co tam... - wruszył ramionami. - Nie może żałować czegoś, czego nigdy nie dostał! Dlaczego nie mielibyśmy otworzyć go teraz i nie uczcić urodzin pana Weasleya? Nie ma nic lepszego, niż dobry duch, który odgoni męki niespełnionej miłości.

Zarechotał znowu, a Harry dołączył do niego. To był pierwszy raz, kiedy znalazł się prawie sam na sam ze Slughornem od czasu dramatycznej próby wyciągnięcia z niego prawdziwych wspomnień. Być może, gdyby udało mu się utrzymać Slughorna w dobrym nastroju... Być może, gdyby przebrnęli przez wystarczającą ilość dębowego miodu...

- A więc, proszę bardzo, w takim razie - powiedział Slughorn, podając Harry'emu i Ronowi po szklance miodu, nim uniósł w toaście własną. - A więc, wszystkiego najlepszego, Ralf...

- Ron - szepnął Harry.

Ale Ron, który nie wydawał się nawet słuchać, zdążył już wlać miód do ust i przelknąć go.

Minęła sekunda, niewiele więcej niż uderzenie serca, w ciągu której Harry zrozumiał, że coś było bardzo nie w porządku, a Slughorn, jak się zdawało, niczego nie zauważył.

- ...i obyś miał wiele więcej...

- RON!

Ron upuścił szklankę, podnosząc się z krzesła i zginając w pół. Jego kończyny skręcały się niekontrolowanie. Piana wypełniła mu usta, a oczy wychodziły z orbit.

- Profesorze! - zawył Harry - Niech pan coś zrobi!
Slughorn wydawał się jednak sparaliżowany ze strachu. Ronem wstrząsnęły drgawki i zakrztusił się, jego skóra zaczęła zmieniać kolor na niebieski.

- Co... ale... - wykrztusił Slughorn.

Harry przeskoczył ponad niskim stołem i pobiegł w stronę otwartego zestawu do warzenia eliksirów Slughorna, wyrzucając z niego słoiki i woreczki, podczas gdy potworny, gulgoczący dźwięk oddechu Rona wypełniał pokój. W końcu znalazł - zeschnięty, przypominający nerkę kamień, który Slughorn odebrał mu w czasie lekcji Elixirów.

Popędził z powrotem w stronę Rona, szarpnięciem otworzył jego usta i wepchnął do nich bezoar. Ronem wstrząsnęły jeszcze silniejsze dreszcze, zaczerpnął charczącego oddechu, po czym jego ciało zamarło, wiotkie i nieruchome.

Tłumaczyła Michiru



Skrzacie dochodzenie

Czyli, w sumie, nie były to najlepsze urodziny Rona? - spytał Fred.

Zapadł wieczór. Skrzydło szpitalne było ciche, okna zasłonięte, lampy pozapalane. Ron zajmował łóżko jako jedyny pacjent.

Harry, Hermiona i Ginny siedzieli dokoła niego; cały dzień spędzili za dwuskrzydłowymi drzwiami, próbując zajrzeć do wnętrza, kiedy ktoś tam wchodził lub wychodził. Pani Pomfrey wpuściła ich dopiero o ósmej. Fred i George przyszli dziesięć minut później.

- Nie tak sobie wyobrażaliśmy wręczanie naszego prezentu - rzekł George ponuro, kładąc duży pakunek na szafce nocnej Rona i siadając przy Ginny.

- Taa, kiedy wyobrażaliśmy sobie tę scenę, on był jeszcze przytomny - dodał Fred.

- Siedzieliśmy w Hogsmeade, czekając na niego... - powiedział drugi z braci.

- Byliście w Hogsmeade? - spytała Ginny, podnosząc głowę.

- Myśleliśmy o kupieniu Zonka - odparł posępnie Fred.

- Branża w Hogsmeade, wiecie, dużo by nam to dało, ale skoro nie wolno wam już wychodzić w weekendy i kupować naszych rzeczy... no cóż, nieważne. Przysunął krzesło do Harry'ego i spojrzał na bladą twarz Rona.

- Jak to się dokładnie stało, Harry?

Harry ponownie opowiedział historię, którą już ze sto razy powtarzał Dumbledore'owi, McGonagall, Hermionie oraz Ginny.

- ... i wtedy wepchnąłem mu bezoar do gardła, zaczęło mu się łatwiej oddychać, Slughorn pobiegł po pomoc, pojawiły się McGonagall i pani Pomfrey, i przeniosły Rona tutaj. Uważają, że nic mu nie będzie. Pani Pomfrey mówi, że będzie musiał tu zostać przez tydzień, lub coś koło tego... ciągle biorąc wywar z ruty...

- Rany, co za szczęście, że pomyślałeś o bezoarze - powiedział cicho George.

- Szczęście, że jeden z nich był w pokoju - odparł Harry, któremu zaczynało być zimno na myśl, co mogłoby się stać, gdyby nie znalazł tamtego kamienia. Hermiona niemal niesłyszalnie pociągnęła nosem. Była wyjątkowo cicha przez cały dzień.

Przybiegła, strasznie blada, do Harry'ego czekającego na zewnątrz skrzydła szpitalnego i domagała się informacji na temat tego, co się stało. Prawie nie wzięła udziału w zajadłej dyskusji Harry'ego i Ginny o tym, jak otruto Rona, ale po prostu stała obok nich z zaciśniętymi szczękami i przerażonym spojrzeniem, do czasu, aż pozwolono im wejść do środka.

- Czy mama i tata wiedzą? - spytał Fred Ginny.

- Już go widzieli, przyszli godzinę temu - są teraz w biurze Dumbledore'a, ale niedługo powinni wrócić...

Zapadła cisza, podczas której wszyscy przyglądali się Ronowi, mamroczącemu przez sen.

- Więc trucizna była w drinku? - szepnęła Fred.

- Tak - rzekł od razu Harry. Potrafił myśleć tylko o tym i był wdzięczny za możliwość ponownego rozpoczęcia dyskusji. - Slughorn nalał to do...

- Czy mógłby dolać czegoś do kieliszka Rona tak, żebyś tego nie zauważył?

- Prawdopodobnie tak - odparł Harry. - Ale dlaczego Slughorn chciałby go zabić?

- Nie mam pojęcia - powiedział Fred, marszcząc brwi.

- Chyba nie myślisz, że przypadkiem zamienił szklanki? Że chciał dorwać ciebie?

- Dlaczego Slughorn chciałby otruć Harry'ego? - spytała Ginny.

- Nie wiem - odparł Fred. - Ale na pewno jest dużo ludzi, którzy chcieliby to zrobić, prawda? "Wybraniec" i ta cała reszta...

- Więc myślisz, że Slughorn jest śmierciożercą? - zapytała Ginny.

- Wszystko jest możliwe - rzekł Fred ponuro.

- Mógł być pod zaklęciem Imperiusa - podpowiedział George.

- Lub może być niewinny - odparła Ginny. - Trucizna mogła być w butelce, co znaczy, że mogła być przeznaczona dla Slughorna.

- Kto mógłby chcieć jego śmierci?

- Dumbledore uważa, że Voldemort chciał mieć Slughorna po swojej stronie - odparł Harry. - Slughorn ukrywał się przez rok, zanim pojawił się w Hogwarcie. I... - pomyślał o wspomnieniu, którego Dumbledore nie zdołał wyciągnąć od aktualnego nauczyciela eliksirów - ...i może teraz Voldemort chce go usunąć ze swej drogi, może myśli, że Slughorn jest cenny dla dyrektora.

- Ale mówiłeś, że Slughorn planował dać tę butelkę Dumbledore'owi na gwiazdkę - przypomniała mu Ginny. - Więc osoba odpowiedzialna za ten wypadek mogła równie dobrze chcieć uśmiercić dyrektora.

- Truciciel nie znał Slughorna zbyt dobrze - dodała Hermiona, odzywając się pierwszy raz od dobrych kilku godzin i brzmiąc, jakby miała zapalenie zatok. - Każdy, kto poznał go bliżej, wiedziałby, że może zatrzymać coś tak smacznego dla siebie.

- Er... mjo... na - niespodziewanie zachrypiął Ron. Zapadła cisza, obserwowali go, zaniepokojeni, lecz po krótkim mruczeniu Ron zaczął chrapać.

Nagle drzwi do pokoju otwarły się z hukiem, tak że

wszyscy aż podskoczyli: Hagrid kroczył w ich kierunku, jego włosy ociekały wodą, płaszcz z niedźwiedziej skóry ciągnął się za nim. W dłoni trzymał kuszę, zostawiał za sobą ścieżkę błotnistych śladów stóp wielkości delfina.

- Byłem w Lesie cały dzień - wydyszał. - Aragogowi gorzej, więc żem mu poczytał troszkę... Dopiero co obiad zjadłem i wtedy Profesor Sprout powiedziała mi o Ronie. Co z nim?

- Nie jest źle - powiedział Harry. - Mówią, że nic mu nie będzie.

- Nie więcej niż sześcioro odwiedzających naraz! - dało się słyszeć głos pani Pomfrey, śpieszącej ze swego biura.

- Z Hagridem jest sześcioro - zwrócił jej uwagę George.

- Och... tak... - odparła Pani Pomfrey. Zdawało się, że policzyła Hagrida za kilku ludzi, ze względu na jego rozmiary. Żeby ukryć zakłopotanie zaczęła czyścić za pomocą różdżki błotniste ślady na podłodze.

- Nie wierzę - powiedział chrapliwie Hagrid. Potrząsnął swą kudłatą głową, patrząc na Rona. - Cholibka, nie wierzę... no bo spójrzcie na niego, jak tam sobie leży... kto by go chciał skrzywdzić, co?

- Właśnie o tym rozmawialiśmy - odparł Harry. - Nie mamy pojęcia.

- Ktoś by mógł mieć żal do drużyny Gryffindoru, co nie? - spytał gajowy z niepokojem. - Pierw Katie, teraz Ron...

- Nie widzę nikogo, próbującego zakatrupić gryfońską drużynę - rzekł George.

- Wood mógłby to zrobić ze Ślizgonami, gdyby był pewny, że ujdzie mu to na sucho - powiedział sprawiedliwie Fred.

- Cóż, nie sądzę żeby w grę wchodził quidditch. Myślę, że te dwa ataki mają ze sobą coś wspólnego - dodała cicho Hermiona.

- Jak do tego doszłaś? - spytał Fred.

- Po pierwsze, oba w zamierzeniu miały być śmiertelne, ale szczęśliwie nie były. Po drugie, zarówno trucizna,

jak i naszyjnik nie dotarły do osób, które miały zostać zgładzone. Oczywiście - dodała w zamyśleniu - to pokazuje, że osoba, która za tym stoi jest jeszcze bardziej niebezpieczna, gdyż nie dba o to, ilu ludzi zginie, zanim ona dosięgnie swej ofiary.

Zanim ktokolwiek zareagował na to złowieszcze oświadczenie, drzwi otworzyły się ponownie i państwo Weasleyowie pośpieszyli przez salę do łóżka syna. Podczas ostatniej wizyty zdążyli jedynie upewnić się, że Ron wyzdrowieje, a teraz pani Weasley wyciągnęła ręce do Harry'ego i uściskała go bardzo mocno.

- Dumbledore powiedział nam, że uratowałeś go dzięki bezoarowi - szlochala. - Och, Harry, co mogę powiedzieć? Uratowałeś Ginny... uratowałeś Artura... a teraz ocaliłeś Rona...

- Nie, no naprawdę... ja nic... - mruknął niezręcznie Harry.

- Teraz, kiedy o tym pomyślę, to połowa naszej rodziny zawdzięcza ci życie - powiedział ze ściśniętym gardłem pan Weasley. - Cóż, jedyne co mogę rzec to to, iż dzień, w którym Ron usiadł obok ciebie w Hogwart Expressie, był dniem szczęśliwym dla rodziny Weasleyów, Harry.

Harry nie mógł znaleźć na to żadnej odpowiedzi i był niemal wdzięczny pani Pomfrey, kiedy weszła i ponownie przypomniała, iż jedyne sześcioro gości może przebywać koło łóżka chorego.

Kiedy on i Hermiona wstali, by wyjść, Hagrid zdecydował się pójść z nimi, by zostawić Rona z jego rodziną.

- To jest okropne - warknął w brodę Hagrid, kiedy we trójkę wędrowali korytarzem w kierunku marmurowej klatki schodowej. - Cała ta nowa ochrona i dzieciakom ciągle coś się dzieje... Dumbledore jest chory ze zmartwienia... nie mówi dużo, ale ja mogę powiedzieć...

- Czy on nie ma żadnych pomysłów, Hagridzie? - spytała zdesperowana Hermiona.

- Myślę, że mając taki mózg, ma ich setki - odparł lojalnie. - Ale nie wie, kto przysłał naszyjnik, ani kto wlał tamtą truciznę, bo już dawno by byli złapani, nie?

Co mnie martwi – powiedział Hagrid, ścisząc głos i oglądając się przez ramię (Harry dla pewności sprawdził sufit na wypadek obecności Irytka) – to to, jak długo Hogwart pozostanie otwarty, jeśli dzieciaki są atakowane. Tak jakby znowu Komnata Tajemnic była otwarta, nie? Będzie panika, więcej rodziców pozabiera stąd swoje dzieci i następną rzeczą jaką będziecie widzieli, będzie rada nadzorcza...

Hagrid uciął w pół zdania, kiedy duch długowłosej kobiety przepłynął spokojnie obok, a potem dokończył ochryplym szeptem:

- ...rada nadzorcza, jak ustala zamknięcie nas na dobre.
- Na pewno nie? – powiedziała Hermiona, wyglądając na zmartwioną.

- Trzeba by to zobaczyć od ich strony – odparł ciężko Hagrid. – To znaczy się, zawsze było jakieś niebezpieczeństwo w posyłaniu dzieciaków do Hogwartu, no nie? Spodziewasz się wypadków, z setkami nieletnich czarodziejów zamkniętych razem, ale próba morderstwa – to co innego. Nic dziwnego, że Dumbledore jest wściekły na Sn...

Gajowy zatrzymał się, a znajome poczucie winy było widoczne na jego twarzy poprzez splątana brodę.

- Co? – spytał szybko Harry. – Dumbledore jest zły na Snape'a?

- Nigdy żem tego nie powiedział – wyparł się Hagrid, lecz jego panika była wystarczającą odpowiedzią.

– Spójrzcie, dochodzi północ, musze jeszcze...

- Hagridzie, dlaczego dyrektor jest zły na Snape'a? – powtórzył głośno Harry.

- Szszsz! – syknął Hagrid, wyglądając na zdenerwowanego i złego jednocześnie. – Nie krzycz takich rzeczy, Harry, chcesz żebym stracił robotę? Ech, pewnie i tak ci na tym nie zależy, teraz kiedy odrzuciłeś Opiekę nad Mag...

- Nawet nie próbuj zmusić mnie żebym czuł się winny, to nie wypali! – powiedział Harry stanowczo. – Co Snape zrobił?

- Nie wiem, Harry, ja w ogóle żem nie powinien był tego słyszeć! Ja... tego, wychodziłem z Lasu jednego

wieczora i natknąłem się na nich, jak rozmawiali – tego, no, klócili. Nie chciałem, żeby zawracali sobie mną głowę, więc przyczałem się i próbowałem nie słuchać, ale to była naprawdę gorąca dyskusja i trudno było tego do siebie nie dopuścić.

- I? – ponaglił go Harry, gdy półolbrzym ciężko zaszurał swoją wielką stopą.

- I... ja po prostu usłyszałem, jak Snape mówi do Dumbledore'a, że za dużo założył z góry i że on – Snape – nie chce więcej tego robić...

- Robić czego?

- Nie wiem, Harry, to brzmiało, jakby czuł się trochę przepracowany, to i wszystko. Poza tym Dumbledore powiedział mu, że on już się wcześniej zgodził i to był koniec. I wtedy jeszcze zaczął coś mówić o tym, że Snape prowadzi śledztwo w swoim domu, w Slytherinie. Cóż, nic w tym dziwnego! – dodał szybko Hagrid, kiedy Harry i Hermiona wymienili pełne zrozumienia spojrzenia. – Wszyscy opiekunowie domów zostali poproszone o zajęcie się tą sprawą z naszymi...
- Taa, ale zdaje się, że Dumbledore nie klóci się z całą resztą, prawda? – odparł Harry.

- Słuchaj... – Hagrid wykręcił w dłoniach kuszę, po czym rozległ się trzask i rozpadła się ona na dwoje.

- Wym, jaki masz stosunek do Snape'a i nie chcę, cholibka, żebyś próbował wyciągać z tego więcej, niż tu jest.

- Uwaga – rzekła zwięźle Hermiona.

Obrócili się akurat w porę, by zobaczyć cień Argusa Filcha, wylaniający się zza ściany za nimi, zanim sam mężczyzna wyszedł zza narożnika, garbiąc się. Policzek mu zadrgał.

- Oho! – zadyszał. – Poza łózkami tak późno w nocy? To oznacza szlaban!

- Nie, nie oznacza, Filch – rzucił Hagrid. – Oni są ze mną, no nie?

- A co to za różnica? – spytał pogardliwie Filch.

- Do diabła, jestem nauczycielem, ty donosicielski charłaku! – gorączkował się Hagrid.

Usłyszeli okropny, syczący dźwięk, kiedy Filch nadał się w furii. Pojawiła się Pani Norris, niezauważona i zaczęła się ocierać o chude kostki woźnego.

- Idźcie – syknął Hagrid.

Harry'emu nie trzeba było dwa razy powtarzać: on i Hermiona pośpiesznie zniknęli im z oczu. Głosy Hagrida i Filcha niosły się za nimi, kiedy biegli. Minęli Irytka, kiedy skręcali do Wieży Gryffindoru, ale on mknął uradowany w kierunku źródła wrzasków, rechocząc i wołając:

*Tam gdzie chaosik was niepokoi,
Wołaj Irytka, on go podwoi!*

Gruba Dama drzemała i nie była zachwycona tym, że ją obudzono, lecz zrzędząc usunęła się im z drogi, pozwalając, by weszli do pustego i cichego pokoju wspólnego. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek dowiedział się już o Ronie; Harry'emu ulżyło

– wystarczająco dużo osób go dziś przesłuchiwało. Hermiona życzyła mu dobrej nocy i poszła do dormitoriów dziewcząt. On jednak został, usiadł w fotelu naprzeciw kominka i patrzył na dogasające płomienie.

Więc Dumbledore sprzeczał się ze Snape'em. Mimo tego wszystkiego, co powiedział Harry'emu, mimo że utrzymywał, iż ufa Snape'owi całkowicie, stracił nad sobą panowanie... Nie uważał, żeby Snape starał się wystarczająco w swym dochodzeniu w Slytherinie... albo może, w sprawdzaniu jednego Ślizgona – Malfoya? Czy to dlatego, że Dumbledore nie chciał, by Harry zrobił coś głupiego, by wziął sprawy w swoje ręce, i udawał, że w przypuszczeniach ucznia nie było krzty słuszności? Tak to wyglądało. A może było nawet tak, że dyrektor nie chciał, by cokolwiek odwracało uwagę Harry'ego od ich lekcji; albo od odebrania Slughornowi jego wspomnienia. Możliwe, że Dumbledore nie uważał za słuszne zwierzać się ze swych przypuszczeń o kadrze nauczycielskiej szesnastolatkowi...

- Tu jesteś, Potter!

Harry aż podskoczył, zszokowany, z różdżką w gotowości. Był przekonany, że pokój wspólny był pusty; zupełnie nie był przygotowany na widok niezgrabnej postaci, która nagle wstała z krzesła po drugiej stronie pomieszczenia. Dokładniejsze przyjrzenie pozwoliło mu rozpoznać Cormaca McLaggena.

- Czekalem aż wrócisz – powiedział McLaggen, nie zauważając, że Harry wyciągnął różdżkę. – Musiałem zasnąć. Słuchaj, widziałem, jak wcześniej zabierali Weasley'a do skrzydła szpitalnego. Nie wygląda na to, że będzie w stanie grać w przyszłotygodniowym meczu. Zajęło Harry'emu kilka chwil, zanim pojął, o czym Cormac mówi.

- Och... racja... quidditch – powiedział, po czym włożył różdżkę za pasek spodni i przeczesał włosy dłonią. – Taa... chyba nie da rady.

- Cóż, wtedy to chyba ja zostanę obrońcą, tak? – powiedział McLaggen.

- Taa – odparł Harry. – Taa, tak myślę...

Nie potrafił znaleźć żadnego argumentu przeciwko temu; w końcu McLaggen był drugim najlepszym na eliminacjach.

- Świetnie – powiedział usatysfakcjonowany Cormac.

- Więc kiedy są treningi?

- Co? Och... jeden jest jutro wieczorem.

- Dobrze. Słuchaj, Potter, myślę, że powinniśmy przedtem porozmawiać. Mam kilka pomysłów na strategię, które mogą ci się przydać.

- Niech będzie – rzekł Harry bez entuzjazmu.

- Cóż, jutro ich wysłucham, Dzisiaj jestem za bardzo zmęczony... na razie...

Wieści o tym, że Ron został otruty, rozeszły się szybko, ale nie wywołały takiej sensacji, jak atak na Katie. Zdawało się, że ludzie uznali to za wypadek dlatego, że odbyło się to w pokoju Mistrza Elikśirów i że od razu podano antidotum – jednym słowem, nie stała się Ronowi żadna krzywda. Właściwie, Gryfoni byli zajęci przede wszystkim nadchodzącym meczem

przeciwko Puchonom; większość z nich chciała zobaczyć Zachariasza Smitha, grającego na pozycji ścigającego w drużynie Hufflepuffu, bo zostali poważnie zranieni jego komentarzami na ostatnim meczu ze Ślizgonami.

Jednak Harry jeszcze nigdy nie był mniej zainteresowany quidditchem niż teraz; szybko opętała go obsesja na punkcie Draco Malfoya, lecz nie zauważył, by ten robił coś niezwykłego. Ale ciągle pozostawały te niewytłumaczalne chwile, kiedy Draco całkowicie zniknął z mapy...

Lecz Harry nie miał za dużo czasu, by się nad tym zastanawiać przez treningi, prace domowe i fakt, że gdziekolwiek nie poszedł, nie odstępowali go na krok Cormac McLaggen i Lavender Brown. Nie potrafił zdecydować, które z nich było bardziej irytujące. McLaggen zalewał go nieprzerwanym strumieniem aluzji, że on byłby lepszym obrońcą niż Ron i że teraz, kiedy Harry widzi jego grę regularnie, to na pewno też zacznie tak myśleć. Cormac krytykował też innych graczy i dostarczał Harry'emu szczegółowe schematy treningów, dlatego Harry musiał mu nie raz przypominać, kto jest kapitanem.

W międzyczasie Lavender przemykała do niego, by porozmawiać o Ronie, co zaczął uważać za nawet bardziej nużące, niż wykłady McLaggena na temat quidditcha. Po pierwsze, Lavender była mocno zirytowana tym, że nikt jej nie powiedział o zabranii Rona do skrzydła szpitalnego – Przecież ja jestem jego dziewczyną! – na nieszczęście, postanowiła wybaczyć Harry'emu jego szwankującą pamięć i zapaliła się do odbywania z nim głębokich rozmów na temat uczuć Rona – najbardziej nieprzyjemne doświadczenie, którego Harry by się z przyjemnością zrzekł.

- Czemu po prostu z nim o tym nie pogadasz? – spytał Harry, po długim i szczegółowym przesłuchaniu, w którym Lavender kazała mu powtórzyć dokładnie, co Ron powiedział o jej nowych szatach wyjściowych i czy Harry uważa, że Ron traktuje ich związek "poważnie", czy nie.

- Och, spytałabym, ale za każdym razem, kiedy do niego przychodzę, on śpi! – powiedziała, rozdrażniona.
- Naprawdę? – spytał Harry, zaskoczony, bo zawsze, kiedy przychodził do skrzydła szpitalnego, Ron był kompletnie rozbudzony i bardzo ciekaw wieści o kłótni Dumbledore'a i Snape'a, oraz chętny do wieszania psów na McLaggenie tak często, jak to możliwe.
- Czy Hermiona Granger ciągle go odwiedza? – spytała nagle Lavender.
- Taa, tak myślę. W końcu są przyjaciółmi, nie? – odparł Harry opryskliwie.
- Przyjaciółmi, nie rozśmieszaj mnie! – rzuciła pogardliwie. – Nie rozmawiała z nim przez całe tygodnie, kiedy zaczął się ze mną umawiać! Ale myślę, że teraz chce z nim być, jest taki interesujący...
- Nazywasz otrucie interesującym? – spytał Harry.
- Swoją drogą... przepraszam, muszę iść, bo McLaggen tu idzie pogadać o quidditchu – rzucił pośpiesznie Harry i pognął w bok przez drzwi, udające solidną ścianę, i pobiegł skrótem na eliksiry, na które, dzięki Bogu, nie chodzili ani Lavender, ani McLaggen.
- Rankiem, w dzień meczu przeciwko Puchonom, Harry wpadł do skrzydła szpitalnego, zanim poszedł na boisko. Ron był bardzo podniecony; pani Pomfrey nie chciała go wypuścić i pozwolić mu na obejrzenie meczu, uważając, że za bardzo się podekscytuje.
- Więc jak idzie McLaggenowi? - zapytał Harry'ego nerwowo, najwidoczniej zapominając, że zadał już to pytanie dwa razy.
- Mówiłem ci - odpowiedział cierpliwie Harry.
- Mógłby być mistrzem świata i nie chciałbym go zatrzymać. Próbuje mówić wszystkim, co mają robić i myśli, że zagrałby na każdej pozycji lepiej, niż każdy z drużyny. Nie mogę się doczekać, żeby go usunąć. A mówiąc o usuwaniu ludzi... - zaczął Harry wstając i chwytając Błyskawicę. - Czy przestaniesz udawać, że śpisz, kiedy Lavender przychodzi się z tobą zobaczyć? Mnie też ona wkurza.
- Och... - odezwał się Ron, robiąc minę owieczki.

- Tak, masz rację.
- Jeśli nie chcesz się już z nią spotykać, po prostu jej powiedz - rzekł Harry.
- Taa... cóż... to nie takie proste, prawda? - odparł Ron. Ucichł. - Hermione wpadnie przed meczem? - zapytał, jak gdyby nigdy nic.
- Nie, zeszła już na boisko z Ginny.
- Och... - powiedział Ron dosyć pośpiesznie. - Tak. Cóż, powodzenia. Mam nadzieję, że zmiażdżysz MacLaga... to znaczy, Smitha.
- Postaram się. - Harry wziął miotłę na ramię.
- Do zobaczenia po meczu!

Harry pobiegł w dół przez opustoszałe korytarze; cała szkoła była na zewnątrz i siedziała już na stadionie albo właśnie do niego zmierzała. Wyglądał przez mijane okna, próbując oszacować, z jak silnym wiatrem będzie się mierzyć, kiedy hałas przed nim sprawił, że podniósł wzrok; zobaczył Malfoya, idącego w jego kierunku w towarzystwie dwóch dziewcząt, wyglądających na urażone i nadąsane. Malfoy przystanął na widok Harry'ego, roześmiał się krótko i ruszył dalej.

- Gdzie idziesz? - odezwał się Harry.
- Taa, zaraz ci powiem, bo to twój interes, Potter - zadrwił Malfoy. - Lepiej się pośpiesz, będą czekać na Wybranego Kapitana - Chłopca, Który Trafił Do Bramki - jakkolwiek cię teraz nazywają.

Jedna z dziewczyn nie mogła powstrzymać chichotu. Harry gapił się na nią. Zarumieniła się. Draco przepchnął się obok Harry'ego, a dziewczyny pokłusowały za nim i wszyscy zniknęli za zakrętem.

Harry stał jak wrośnięty w ziemię i patrzył, jak odchodzą.

Poczuł rosnącą furję. Prawie udało mu się zdążyć na mecz na czas i właśnie pojawia się Malfoy, czający się, kiedy cała szkoła będzie pusta: najlepszy moment dla Harry'ego, żeby odkryć, co knuje Draco. Kilka sekund upłynęło w ciszy i Harry zorientował się, gdzie stoi, znieruchomiały, gapiący się w miejsce, gdzie zniknął Malfoy...

- Gdzie ty byłeś? – dopytywała się Ginny, kiedy Harry wpadł do szatni. Cała drużyna była już przebrana. Coote i Peakes nerwowo uderzali się palkami o nogi.

- Spotkałem Malfoya – powiedział jej cicho Harry, kiedy wciągnął szkarłatną szatę przez głowę.

- Więc?

- Więc chciałem wiedzieć, jakim cudem jest w zamku z parą dziewczyn, kiedy wszyscy inni są tutaj na dole...

- Czy to teraz ważne?

- Cóż, nie będę się teraz dowiadywał, prawda? – powiedział, chwytając swoją Błyskawicę i poprawiając okulary na nosie. – Chodźmy więc!

Bez słowa więcej wyszedł na boisko, do ogłuszających okrzyków zachęty i gwizdów dezaprobaty. Wiał lekki wiatr, chmury były rozproszone, tu i ówdzie przeblyskiwało jasne światło słoneczne.

- Zdradziecka pogoda! – powiedział McLaggen krzepiąco do drużyny. – Coote, Peaks, wylatujcie ze słońca, żeby was nie widzieli, jak nadlatujecie...

- Ja jestem kapitanem, McLaggen, zamknij się i nie dyrguj – powiedział Harry ze wściekłością.

- Po prostu bądź przy bramkach!

Kiedy McLaggen odmaszerował, Harry zwrócił się do Coote'a i Peaksa.

- Upewnijcie się, że wylecicie ze słońca – powiedział im.

Ucisnął dłoń kapitana Hufflepuffu i na gwizdek pani Hooch odbił się od ziemi i pomknął wokół boiska, poszukując znicza. Gdyby udało mu się złapać go wcześniej, mógłby mieć szansę na powrót do zamku, wzięcie Mapy Huncwotów i dowiedzenie się, co knuje Malfoy.

- A teraz Smith z Hufflepuffu ma kafel – powiedział marzycielski głos, roznoszący się echem po błoniach.

- Komentował ostatnim razem, oczywiście, i Ginny Weasley wleciała na niego; myślę, że celowo – tak to wyglądało. Smith był dość niemiły dla Gryffindoru, podejrzewam, że żałuje teraz tego, grając przeciw Gryfonom – och, spójrzcie, stracił kafel, Ginny przejęła go od niego, naprawdę ją lubię, jest bardzo

miła...

Harry spojrzal w dół na podium komentatora. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby komentować Lunie Lovegood? Ale nawet z tej wysokości nie było mowy o pomyleniu długich, niesfornych blond włosów, ani naszyjnika z kapsli od Kremowego Piwa. Obok Luny siedziała McGonagall, wyglądając nieco nieswojo, jakby rzeczywiście zaczęła mieć wątpliwości co do tego wyboru.

- ...ale teraz ten duży gracz z Hufflepuffu przejął kafła, nie pamiętam jego nazwiska, to było coś jak Bible, nie, Buggins...

- To Cadwallader! – powiedziała głośno profesor McGonagall. Tłum wybuchnął śmiechem. Harry wypatrywał znicza, ale nie było po nim śladu. Kilka chwil później Cadwallader strzelił gola. McLaggen wyrzaskiwał uwagi do Ginny za wypuszczenie kafła, co sprawiło, że nie zauważył wielkiej czerwonej piłki, która przeleciała tuż koło jego ucha.

- McLaggen, zajmij się tym, co masz robić i zostaw resztę w spokoju! – krzyknął Harry, wykręcając w kierunku gryfońskiego obrońcy.

- Nie dajesz najlepszego przykładu – odgryzł się Cormac z furią, czerwieniejąc na twarzy.

- I Harry Potter właśnie klóci się ze swoim obrońcą – powiedziała spokojnie Luna, kiedy poniżej tłum Puchonów i Ślizgonów cieszył się i szydził.

- Nie wydaje mi się, żeby to pomogło im w odnalezieniu znicza, ale może to zmyślna sztuczka...

Przeklinając wściekle, Harry odwrócił się i znów poleciał wokół boiska, przypatrując się niebu w poszukiwaniu malej, skrzydlatej, złotej piłeczki.

Ginny i Demelza strzeliły po голу, dając odzianym na czerwono-złoto Gryfonom coś na pocieszenie. Potem Cadwallader znów strzelił bramkę, wyrównując wynik, ale zdawało się, że Luna tego nie zauważyła. Była zupełnie niezainteresowana tak przyziemnymi sprawami, jak punktacja i wciąż próbowała skierować uwagę tłumu, przykładowo, na interesujący kształt chmur i prawdopodobieństwo, że Zachariasz Smith,

któremu jak dotąd nie udało się utrzymać kafla dłużej niż minutę, cierpi na coś zwanego Chorobą Ofermy.

- Siedemdziesiąt do czterdziestu dla Hufflepuffu – warknęła do megafonu Luny McGonagall.

- Tak? Już? – powiedziała ogólnikowo Luna.

- Och, spójrzcie, gryfoński obrońca zabrał jednemu z pałkarzy kij.

Harry zawrócił w powietrzu. McLaggen z tylko sobie znanych powodów zabrał Peakesowi pałkę i wyglądało, jakby demonstrował, jak uderzać w tłuczek, w kierunku nadlatującego Cadwalladera.

- Oddaj mu jego pałkę i wracaj do bramki! – wydarł się Harry, pędząc w kierunku McLaggena, który właśnie wziął dziki zamach na tłuczek i nie trafił.

Oślepiający do mdłości ból... błysk światła... oddalone krzyki... i uczucie opadania w dół długiego tunelu...

Następną rzeczą, jaka dotarła do Harry'ego, było leżenie w ciepłym i wygodnym łóżku i wgapienie się w lampę, która rzucała na zacieniony sufit złoty krąg światła. Powoli uniósł głowę. Po lewej stronie zobaczył znajomo wyglądającą, piegowatą i czerwonowłosą osobę.

- Fajnie, że wpadłeś – wyszczerzył się Ron.

Harry zamrugał i rozejrzał się dookoła. Oczywiście: był w skrzydle szpitalnym. Niebo na zewnątrz nabrało odcienia indygo z karmazynowymi smugami. Mecz musiał się skończyć całe godziny temu... jak i nadzieja na przyłapanie Malfoya. Harry'emu zaciężła głowa; podniósł dłoń i poczuł pod palcami turban z bandaży.

- Co się stało?

- Pęknięta czaszka – powiedziała pani Pomfrey, pojawiając się i układając Harry'ego z powrotem na poduszkach. – Nie ma się czym martwić, naprawione od razu, ale zostajesz na noc. Nie możesz się przemęczać przez jakiś czas.

- Nie chcę zostawać tu na noc – powiedział Harry ze złością, podnosząc się i odgarniając kołdrę. – Chcę znaleźć McLaggena i go zabić.

- Obawiam się, że to należy do kategorii “przemęczenie się” – odparła pani Pomfrey, popychając go na łóżko i

unosząc groźnie różdżkę. – Zostajesz tu, dopóki cie nie zwolnię, Potter, albo udam się ze skargą do dyrektora.

Wróciła do swojego biura, a Harry opadł na poduszki, wściekając się.

- Wiesz iloma punktami przegraliśmy? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Tak, wiem – powiedział przepaszająco Ron.

- Końcowy wynik wynosił trzysta dwadzieścia do sześćdziesięciu.

- Cudownie – powiedział dziko Harry. – Po prostu cudownie! Jak tylko dorwę McLaggena...

- Nie chcesz go dopaść, jest wielkości trola - powiedział rozsądnie Ron. – Osobiście uważam, że fajnie by było potraktować go tym zaklęciem od paznokci u stóp, tym od Księcia. W każdym razie, reszta drużyny mogła już się nim zająć, nie są zachwyceni...

W głosie Rona slychać było nutkę niezbyt dobrze skrywanej radości; Harry poznał z głosu Rona, że ten ani trochę nie martwi się o McLaggena.

Harry leżał tam, gapiąc się w płamę. Jego dopiero co zrośnięta czaszka nie bolała, ale czuł, że pod bandażem jest bardzo delikatna.

- Słyszałem stąd komentarz do meczu – powiedział Ron głosem trzęsącym się od śmiechu.

- Mam nadzieję, że Luna już zawsze będzie komentować... Choroba Ofermy...

Ale Harry był wciąż zbyt zły, by docenić komizm sytuacji i po chwili parsknięcia Rona umilkły.

- Ginny przyszła cię odwiedzić, kiedy byłeś nieprzytomny – rzekł Ron po długiej pauzie, a wyobraźnia Harry'ego natychmiast ukazała mu scenę, w której Ginny, roniąc łzy nad jego bezwładnym ciałem, wyznaje mu głęboką miłość, a Ron daje mu swoje błogosławieństwo. – Mówi, że ledwo zdążyłeś na czas na boisko. Jak to możliwe? Przecież wyszedłeś wcześniej.

- Och... – odparł Harry, kiedy scena w jego głowie zniknęła. – Taa... cóż, widziałem Malfoya

wymykającego się z parą dziewczyn, które nie wyglądały, jakby chciały z nim iść i to drugi raz, kiedy nie było go na meczu quidditcha z resztą szkoły. Nie było go też ostatnio, pamiętasz? – Harry westchnął.

– Żałuję, że go nie śledziłem, mecz był takim fiaskiem...

- Nie bądź głupi – powiedział ostro Ron. – Nie mogłeś nie iść tylko po to, żeby chodzić za Malfoy'em, jesteś kapitanem!

- Chcę wiedzieć, co on zamierza – powiedział Harry.

– I nie mów mi, że to wszystko wymyśli, nie po tym, co podsłuchałem, kiedy rozmawiał ze Snape'em...

- Nigdy nie powiedziałem, że to wszystko tylko wymyśli – powiedział Ron, unosząc się na łokciu i marszcząc brwi. – Ale nie ma zasady, która by mówiła, że tylko jedna osoba może coś knuć w tym miejscu. Zaczynasz mieć obsesję na punkcie Draco, Harry. Myślenie o opuszczeniu meczu tylko po to, żeby go śledzić...

- Chcę go na tym przyłapać! – odparł sfrustrowany Harry. – To znaczy, gdzie on idzie, kiedy znika z mapy?

- Nie wiem... Hogsmeade? – zasugerował Ron, ziewając.

- Nigdy nie widziałem na mapie, żeby używał jakiegokolwiek sekretnego przejścia. Tak czy siak myślałem, że teraz są obserwowane?

- No cóż, w takim razie nie wiem – powiedział Ron.

Zapadła cisza. Harry znów wpatrywał się w krąg światła nad nim, rozmyślając...

Gdyby tylko miał władzę Rufusa Scrimgeoura, mógłby kazać śledzić Malfoya, ale niestety, Harry nie miał biura pełnego aurorów na swoje rozkazy... Pomyślał przelotnie o GD, ale tu znowu problemem byłoby znikanie z lekcji. Większość z nich, mimo wszystko, miała wciąż pełne plany zajęć...

Rozległo się niskie, dudniące chrapnięcie z łóżka Rona. Po chwili pani Pomfrey wyszła ze swojego gabinetu, tym razem ubrana w gruby szlafrok. Najłatwiej byłoby zasnąć; Harry obrócił się na bok i słuchał, jak zasłony

zaciągają się za sprawą różdżki kobiety. Lampy zgasły, a pani Pomfrey wróciła do swojego biura. Usłyszał, jak drzwi zamykają się za nią i wiedział, że idzie już spać. Zamyślił się w ciemnościach, to był już trzeci raz, kiedy trafił do szpitala z powodu wypadku podczas quidditcha. Ostatnio spadł z miotły przez obecność dementorów na boisku, a wcześniej wszystkie kości w jego ręce zostały usunięte przez nieuleczalnie zwariowanego profesora Lockharta... jak dotąd najbardziej bolesny przypadek... pamiętał potworny ból odrastających w nocy kości ramienia, dyskomfort nie poprawiony bynajmniej przez niespodziewanego gościa, który pojawił się w sali szpitalnej...

Harry gwałtownie usiadł, serce biło mu szybko, bandaż przekrzywił się na głowie. Nareszcie znalazł rozwiązanie: był sposób na śledzenie Malfoya – jak mógł o tym zapomnieć, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Ale pytanie brzmiało, jak go zawołać? Jak to się robi? Cicho, z wahaniem, Harry przewrócił się w ciemności.

- Stworek?

Nastąpił głośny łomot, odgłosy bijatyki i piski wypełniły cichy pokój. Ron obudził się ze skowytym.

- Co się...?

Harry pośpiesznie skierował różdżkę na drzwi gabinetu pani Pomfrey i wymamrotał: Muffliato!, żeby nie przybiegła.

Wtedy wygramolił się na brzeg łóżka, by mieć lepszy widok na to, co się dzieje.

Dwa domowe skrzaty turlały się po podłodze na środku pokoju, jeden nosił skurczony kasztanowaty sweter i kilka wełnianych czapek, a drugi brudną, starą szmatę, zawiązaną na biodrach niczym przepaskę. Wtedy nastąpił kolejny huk i Irytek zmaterializował się w powietrzu nad mocującymi się skrzatami.

- Obserwowałem to, Potty! – powiedział Harry'emu, ześlony, zerkając na walkę poniżej, zanim wydał z siebie głośny rechot. – Spójrz na te maleńkie, sprzeczące się stworzenia, gryzu gryzu, biju biju...

- Stworek nie będzie znieważał Harry'ego Pottera w

obecności Zgredka, nie będzie, albo Zgredk zamknie usta Stworka za niego! – krzyczał piskliwie Zgredk.

- ...kopu, drapu! – krzyczał Irytek, uradowany, rzucając w skrzaty kawalkami kredy, by doprowadzić je do wściekłości. – Szczypu, szturchu!

- Stworek będzie mówił, co mu się podoba o jego Panie, o tak i jakim Panem jest, brudnym przyjacielem szlam, och, co powie biedna Pani Stworka...?

Co dokładnie Pani Stworka by powiedziała, nie dowiedzieli się, bo akurat w tym momencie Zgredk uderzył Stworka swoją małą, guzowatą piąstką, wybijając mu połowę zębów.

Wtedy Harry i Ron jednocześnie wyskoczyli z łóżek i rozdzielili oba stworzenia, mimo iż te dalej próbowały się kopać i popychać, zachęcane przez poltergeista, który latał dookoła lampy i skamlał:

- Palce pchnij mu do nochała, szarp za uszy, by oszalał...

Harry wycelował różdżkę w Irytka i powiedział: Langlock! – Duch chwycił się za gardło, przelknął ślinę i wystrzelił z pokoju, robiąc nieprzyzwoite gesty, lecz nie mogąc się odezwać, ponieważ język przykleił mu się do podniebienia.

- Niezłe – powiedział Ron z uznaniem, podrzucając Zgredka, by jego ręce, którymi wymachiwał nie miały więcej styczności ze Stworkiem. – To było kolejne zaklęcie Księcia, prawda?

- Taa – odparł Harry, zakładając Stworkowi półnelsona. – Dobra, zakazuję wam ze sobą walczyć! Cóż, Stworku, nie wolno ci bić Zgredka. Zgredku, wiem, że nie jestem upoważniony, by wydawać ci rozkazy...

- Zgredk jest wolnym skrzatem i może słuchać kogokolwiek chce, i Zgredk zrobi wszystko, co tylko Harry Potter zechce! – powiedział skrzat, a łzy spływały teraz po jego twarzy, skapując na sweter.

- W porządku – powiedział Harry i obaj z Ronem puścili skrzaty, które upadły na podłogę, lecz nie podjęły walki.

- Pan mnie wołał? – zaskrzeczał Stworek, uklonił się i posłał Harry'emu spojrzenie życzące bolesnej śmierci.

- Taa, wołałem – odparł Harry, zerkając przez ramię na drzwi gabinetu pani Pomfrey, sprawdzając, czy zaklęcie Muffliato wciąż działa. Pielęgniarka nie dała żadnego znaku, że cokolwiek słyszała. – Mam dla ciebie zadanie.

- Stworek robi, co tylko Pan mu każe – powiedział skrzat, pochylając się tak nisko, że jego usta prawie dotykały palców u nóg. – Ponieważ Stworek nie ma wyboru, ale Stworek jest zawstydzony, że ma takiego Pana, o tak...

- Zgredek to robi, Harry Potterze! – pisnął Zgredek, a jego oczy wielkości piłek tenisowych pływały we łzach. – Zgredek byłby zaszczycony, gdyby mógł pomóc Harry'emu Potterowi!

- Pomyślę o tym, dobrze by było mieć was obu – powiedział Harry. – W porządku... chcę, żebyście śledzili Draco Malfoya.

Ignorując zdziwienie i irytację widniejące na twarzy Rona, ciągnął dalej. – Chcę wiedzieć, gdzie idzie, kogo spotyka i co robi. Macie go śledzić dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Tak, Harry Potterze! – zgodził się Zgredek, jego oczy błyszczały z podniecenia. – I jeśli Zgredek źle to zrobi, to rzuci się z najwyższej wieży, Harry Potterze!

- Nie będzie takiej potrzeby – odparł pośpiesznie Harry.

- Pan chce, abym chodził za najmłodszym Malfoy'em? – zaskrzeczał Stworek. – Pan chce, żebym szpiegował czystokrwistego, wielkiego siostrzeńca mojej Pani?

- Właśnie – powiedział Harrym przewidując duże niebezpieczeństwo i postanowił szybko mu zapobiec.

- I nie wolno ci dać mu cynku, Stworku, albo pokazywać mu co robisz, ani z nim rozmawiać, ani... ani w ogóle się z nim kontaktować. Rozumiesz?

Wydawało mu się, że widzi, jak Stworek próbuje znaleźć jakąś lukę w poleceniu, więc czekał.

Po chwili lub dwóch, ku wielkiej satysfakcji Harry'ego, Stworek głęboko się uklonił i powiedział z przejmującą niechęcią:

- Pan myśli o wszystkim i Stworek musi słuchać go,

nawet jeśli Stworek wolałby być służącym dziecka Malfoyów, o tak...

- A więc ustalone – rzekł Harry. – Chcę regularnych sprawozdań, ale upewnijcie się, że nikogo nie ma przy mnie, zanim się pojawicie. Ron i Hermiona są w porządku. I nie mówcie nikomu, co robicie. Po prostu przyklejcie się do Malfoya, jak para kurzajek.

Tłumaczyła Rachel



Prośba Lorda Voldemorta

Powróciwszy do pełni sił, dzięki staraniom Madam Pomfrey, Harry i Ron opuścili Skrzydło Szpitalne w poniedziałek rano, by w pełni korzystać z uroków życia osób: znokautowanej i otrutej. Ale najlepsze było to, że Hermiona znów zaczęła przyjaźnić się z Ronem. Towarzyszyła im w drodze na śniadanie, przekazując nowinę: Ginny pokłóciła się z Deanem. Poczwara, drzemiąca w piersiach Harry'ego, podniosła nagle łeb, oddychając z nadzieją.

- O co się posprzeczcali? – zapytał, gdy skręcali w korytarz na siódmym piętrze – starał się przy tym, by jego głos brzmiał jak najbardziej zwyczajnie. Korytarz był praktycznie pusty, nie licząc małej dziewczynki, przyglądającej się gobelinom, przedstawiającym trolle w baletowych sukieneczkach. Wyglądała na wystraszoną nadejściem szóstoklasistów, upuściła ciężką mosiężną wagę, którą dźwigała.

- Wszystko w porządku! – powiedziała Hermiona łagodnie, spiesząc jej z pomocą. – Proszę – stuknęła w złamaną wagę różdżką, szepcząc *Reparo*. Dziewczynka

nie podziękowała, tylko stała jak przykuta do swojego miejsca, obserwując ich, dopóki nie zniknęli jej z pola widzenia. Ron odwrócił się i zerknął na nią.

- Słowo daję, oni robią się coraz mniejsi – powiedział.

- Nieważne – przerwał Harry, niecierpliwiąc się.

- O co Ginny posprzeczała się z Deanem, Hermiono?

- Och, Dean śmiał się, jak McLaggen walnął w ciebie tłuczkiem – odpowiedziała Hermiona.

- To musiało wyglądać śmiesznie – zauważył trzeźwo Ron.

- To w ogóle nie było śmieszne! – przerwała mu ostro Hermiona. – To wyglądało strasznie! Gdyby Coote i Peakes nie złapali Harry’ego, naprawdę mógłby zrobić sobie poważną krzywdę!

- Taa, ale to nie był powód, by Ginny rozeszła się z Deanem? – zagaił Harry, ciągle starając się, aby brzmiało to całkiem naturalnie. – To znaczy: nadal są razem?

- Tak, są. Ale czemu cię to tak interesuje, Harry? – zapytała Hermiona, przyglądając mu się badawczo.

- Po prostu nie chcę żadnych więcej kłótni w mojej drużynie! – zapewnił pospiesznie, ale Hermiona dalej obserwowała go podejrzliwie. Ulgę odczuł dopiero, kiedy usłyszał za sobą znajomy głos wołający „Harry”, co dało znakomity powód, by odwrócić się do Hermiony plecami.

- Och, cześć Luna.

- Poszłam poszukać cię w Skrzydle Szpitalnym – powiedziała Luna, otwierając swoją torbę.

- Ale powiedzieli mi, że już wyszedłeś...

Zaczęła przetrząsać torbę, wykładając na ręce obserwującej ją trójki coś, co wyglądało jak zielona cebulka, duży nakrapiany muchomor i spora garść czegoś, co w ręku Rona przypominało kocie kłaczki. W końcu wyciągnęła z torby sfatygowany zwój pergaminu, który wręczyła Harry’emu.

- Poproszono mnie, żebym ci to oddała.

Harry rozpoznał kolejne zaproszenie na lekcję u Dumbledore’a.

- Dziś w nocy – powiedział Ronowi i Hermionie, gdy

tylko rozwinął pergamin.

- Nieźle komentowałaś mecz – oznajmił Ron Lunie, gdy ta wkładała z powrotem muchomora i kocie kłaczki do torby.

- Nabijasz się ze mnie, prawda? – zapytała. – Każdy mówi, że byłam okropna.

- Nie, całkiem poważnie! – zapewnił szczerze. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się ubawiłem – dodał, trzymając cebulopodobny obiekt na wysokości oczu.

- Oj, to jest burczykłacze – wyjaśniła, pakując się.

- Możesz zatrzymać, jeśli chcesz. Mam jeszcze kilka. Są absolutnie doskonale do odpędzania młasczypaszczy. – I odeszła, pozostawiając Rona chichoczącego i ściskającego burczykłacze.

- Wiecie, ta Luna mnie przerasta – powiedział, gdy znów znaleźli się w Wielkiej Sali. – Wiem, że jest walnięta, ale w dobrą... – nagle przerwał. Lavender Brown stała u stóp marmurowej klatki schodowej, gromiąc go wzrokiem.

- Cześć – zaczął Ron nerwowo.

- Chodź – mruknął Harry do Hermiony i oddalili się pospiesznie, ale nie dość szybko, by nie słyszeć:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dziś wychodzisz? I dlaczego *ona* była z tobą?

Kiedy Ron pojawił się na śniadaniu pół godziny później, patrzył na nich nadąsany i rozeźlony, po czym usiadł obok Lavender. Harry nie zauważył, by zamienili choć jedno zdanie. Hermiona zdawała się być całkowicie obojętna na wszystko, ale raz czy dwa Harry'emu wydawało się, że dostrzegł tajemniczy, złośliwy uśmieszek błakający się na jej wargach. Przez resztę dnia Hermiona była w doskonałym humorze, do tego stopnia, że wieczorem w pokoju wspólnym zgodziła się przejrzeć (innymi słowy, dokończyć) Harry'emu wypracowanie z zielarstwa. Było to coś, czego mu dotąd zdecydowanie odmawiała, wiedząc doskonale, że Harry natychmiast da odpisać Ronowi.

- Stokrotne dzięki, Hermiono – powiedział Harry, zerkając raz po raz na zegarek. Dochodziła prawie ósma. – Słuchaj, muszę się spieszyć, bo spóźnię się na

spotkanie z Dumbledorem.

Hermiona nic nie odpowiedziała, tylko ze znużeniem wykreśliła parę co bardziej kiepskich zdań.

Harry wyszczerzył się i pospiesznie wybiegł przez dziurę za portretem, zmierzając prosto do gabinetu dyrektora. Chimera odskoczyła na wzmiankę o eklerkach z toffi i Harry już wspinał się, przeskakując po dwa stopnie, by zapukać do drzwi gabinetu dyrektora dokładnie wtedy, gdy zegar bił ósmą.

- Proszę wejść! – zawołał Dumbledore, ale jak tylko Harry położył dłoń, by nacisnąć klamkę, drzwi gwałtownie otworzono od środka. Za nimi stała profesor Trelawney.

- Aha! – westchnęła, wskazując na Harry'ego dramatycznie, mrugając zza powiększających soczewek okularów. – Więc to jest powód, dla którego tak bezceremonialnie wyrzucasz mnie ze swojego gabinetu, Dumbledore!

- Moja droga Sybillo – zaczął dyrektor, odrobinę zrozpaczonym głosem. – To nie jest powód wyrzucenia cię bezceremonialnie skądkolwiek. Harry był ze mną umówiony i nie sądzę, by trzeba było cokolwiek dodawać.

- Bardzo dobrze – odrzekła Profesor Trelawney, głosem osoby głęboko zranionej. - Ale jeśli nie wypędzisz tej oszukańczej szkapy, to będzie... może po prostu powinnam poszukać sobie szkoły, gdzie mój talent będzie lepiej doceniany...

Przepchnęła się obok Harry'ego i zniknęła, schodząc w dół po spiralnych schodach. Słyszeli, jak potyka się w połowie drogi. Harry odgadł, że po prostu zaplątała się w swoje szale.

- Proszę, zamknij drzwi i usiądź, Harry – powiedział Dumbledore. Zdawał się być bardzo zmęczony.

Harry posłuchał polecenia i usiadł, jak zwykle, na krześle naprzeciwko biurka Dumbledore'a, a między nimi po raz kolejny stała myśłodsiewnia oraz dwie kryształowe fiołki.

- Profesor Trelawney ciągle jest niezadowolona, że Firenzo naucza w szkole? – zapytał Harry.

– Tak – odpowiedział Dumbledore. – Wróżbiarstwo zaczyna sprawiać znacznie więcej problemów, niż byłem w stanie przewidzieć, nie spędziwszy ani minuty na studiowaniu tego przedmiotu. Nie mogę poprosić Firenzo, by powrócił do Zakazanego Lasu, skąd został wygnany, ani nie mogę poprosić o odejście Sybilli Trelawney. A tak między nami, to ona zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwa czyhają na nią, jak tylko opuści zamek. Ona o niczym nie wie, a widzisz, ja nie uważam za stosowne oświecać ją w kwestii przepowiedni o tobie i Voldemorcie. – Dumbledore westchnął ciężko. – Ale porzućmy moje problemy kadrowe. Mamy przecież dużo ważniejsze rzeczy do omówienia. Po pierwsze - czy uporałeś się z zadaniem specjalnym, które zleciłem ci pod koniec naszej poprzedniej lekcji?

- Aj – jęknął Harry. Wszystko, co dotychczas się wydarzyło: lekcje aportacji, quidditch, próba rozbicia jego własnej czaszki, otrucie Rona i cała determinacja, jaką wkładał w próby odkrycia, co też knuje Draco Malfoy, sprawiło, że Harry prawie zapomniał, że Dumbledore prosił go, by wydobył od profesora Slughorna pewne wspomnienie. – Więc, poprosiłem profesora Slughorna, pod koniec lekcji eliksirów, ehm... ale nie chciał mi go dać.

Zapadła cisza.

- Rozumiem – odezwał się w końcu Dumbledore, przyglądając się Harry'emu znad swoich okularów-polówek, co jak zwykle sprawiło, że Harry poczuł, jakby prześwieślały go promienie Roentgena. – A ty stwierdziłeś, że to był największy wysiłek, na jaki było cię stać, czy tak? Że wyczerpałeś już cały swój spryt. Że sięgnąłeś dna swojej pomysłowości, by pozyskać pożądane wspomnienie.

– Więc... – Harry starał się odwlec to, co za chwilę i tak będzie musiał powiedzieć. Jego pojedyncza próba zdobycia wspomnienia, wydała mu się nagle rozpaczliwie żalosa. – Więc... tego dnia Ron, przez pomyłkę, wypił eliksir miłości, więc zaprowadziłem go do profesora Slughorna. Myślałem, że przy okazji, jeśli

najpierw wprawię profesora w odpowiednio dobry nastrój...

- I podziałało? – zainteresował się Dumbledore.

- No, nie sir, bo Ron został otruty...

- ... co sprawiło, że natychmiast zapomniałeś o próbie zdobycia wspomnienia. Nie spodziewałbym się niczego innego, skoro twój najlepszy przyjaciel był w niebezpieczeństwie. Jednakże, kiedy stało się jasne, że pan Weasley jednak wyzdrowieje, miałem nadzieję, że powrócisz do zajęcia, które ci zleciłem. Myślałem, że dałem ci jasno do zrozumienia, jak ważne jest to wspomnienie. Zaiste, starałem się uczynić wszystko, co w mojej mocy, by uświadomić ci, iż jest to najważniejsze, wręcz decydujące wspomnienie i bez niego właściwie tracimy tylko czas.

Gorący, wręcz palący rumieniec wstydu rozlał się po Harry'm, poczynając od korzonek włosów, na palcach stóp skończywszy. Dumbledore nie podniósł głosu, w ogóle nie sprawiał wrażenia rozgniewanego. Ale Harry wolałby, żeby dyrektor na niego krzyczał. Takie spokojne rozczarowanie było gorsze od wszystkich wrzasków.

- Proszę pana - zaczął Harry, a w jego głosie pobrzmiwała desperacja – to nie tak, że nie potraktowałem poważnie pana słów, że sobie odpuściłem. Ale wszystko pozostało...

- Wszystko pozostałe zaprzętało ci umysł – dokończył za niego Dumbledore. – Rozumiem.

Cisza zapadła po raz drugi. Cisza, która sprawiała, że Harry poczuł się w obecności Dumbledore'a tak niezręcznie, jak jeszcze nigdy. Cisza, od czasu do czasu zakłócana jedynie przez chrapanie portretu Armando Dippet'a, wiszącego ponad głową Dumbledore'a, sprawiała, że czas dłużył się w nieskończoność. Harry był coraz bardziej przytłoczony, jakby zmalął troszkę od momentu, kiedy wszedł do tego pokoju. Wreszcie, gdy stwierdził, że już dłużej tego nie zniesie, poderwał się i powiedział:

- Panie profesorze, przepraszam. Jest mi naprawdę bardzo przykro, powinienem się bardziej postarać...

Powiniem sobie uświadomić, że nie prosiłby pan mnie o coś, co nie byłoby naprawdę ważne.

- Dziękuję, że to powiedziałaś Harry – rzekł Dumbledore. – Czy więc mogę mieć nadzieję, iż od teraz nadasz tej sprawie wyższy status? Gdybyśmy mieli to wspomnienie, byłby to punkt zwrotny dla naszych spotkań.

- Zrobię to, panie profesorze, wydobędę to z niego – zapewnił szczerze Harry.

- Więc nie mówmy o tym więcej – zakończył Dumbledore zdecydowanie łagodniej. – Kontynuujmy naszą opowieść od tego miejsca, gdzie ją skończyliśmy. Pamiętasz, co to było?

- Tak, dyrektorze – odpowiedział szybko Harry.

- Voldemort zabił swojego ojca, dziadków i upozorował to tak, żeby wszystko wskazywało na winę jego wuja Morfina. Potem powrócił do Hogwartu i zapytał... zapytał profesora Slughorna o horcruxy - wymamrotal, dławiąc się wstydem.

- Bardzo dobrze – pochwalil Dumbledore.

- Mam nadzieję, że pamiętasz, jak na początku naszych spotkań powiedziałem ci, że znajdziemy się w królestwie zgadywanek i domysłów.

- Oczywiście, panie profesorze.

- I jak dotychczas, zgadzasz się ze mną, co do moich wniosków, co też robił Voldemort do czasu, aż osiągnął pełnoletność? Pokazałem ci pewne i niepodważalne źródła moich przypuszczeń.

Harry przytaknął.

- Ale teraz, Harry – kontynuował Dumbledore – teraz wszystko mętnieje i zaciemnia się. Jeśli trudne było odnalezienie informacji na temat małego Riddle’a, to prawie niemożliwym staje się odkrycie czegoś pewniejszego od domysłu o dorosłym Voldemortcie. Wątpię, czy istnieje jakaś żywa dusza, poza nim samym, która nam opowie co się z nim działo, po tym jak opuścił Hogwart. Ale jednak odnalazłem dwa wspomnienia, którymi chciałbym się teraz z tobą podzielić. – Dumbledore wskazał zawartość dwóch malutkich, kryształowych flakonów, połyskujących

obok myśłodsiewni. – Cieszyłbym się, Harry, gdybyś wyraził o nich swoje zdanie. Zobaczmy czy tobie i moje wnioski wydadzą ci się prawdopodobne.

Sama myśl, że Dumbledore życzy sobie wysłuchać jego opinii, sprawiła, że Harry zawstydzil się jeszcze bardziej swoją porażką w zdobywaniu wspomnienia o horcruxach. Z obezwładniającym poczuciem winy wstał ze swojego miejsca, gdy Dumbledore podniósł pierwszy flakonik pod światło i przyjrzał mu się uważnie.

- Mam nadzieję, że nie nuży cię to nurkowanie w cudzych wspomnieniach, bo te dwa są naprawdę interesujące – powiedział. – Pierwsze pochodzi od bardzo starej skrzatki domowej o imieniu Czaruszka. Ale zanim zobaczymy to, czego skrzatka była świadkiem, muszę szybciotko streścić jak Lord Voldemort opuścił Hogwart.

- Gdy skończył siódmy rok nauki, jak łatwo możesz się domyśleć, otrzymał najlepsze stopnie ze wszystkich przedmiotów jakie wybrał. Wszyscy dookoła, nauczyciele i koledzy z klasy, zastanawiali się, jaki zawód powinien wybrać, by kontynuować tak wspaniale rozpoczętą karierę. Chyba każdy zastanawiał się wtedy, co wybierze Tom Riddle, prefekt, Prefekt Naczelny, laureat Nagrody Specjalnej za Zasługi wobec Szkoły. Wiem, że kilkoro nauczycieli, profesor Slughorn między innymi, proponowali mu pracę w Ministestwie Magii, oferowali zaaranżowanie spotkań i obiecywali przydatne kontakty. Ale on odmówił wszystkim. Kadra dowiedziała się, że podjął pracę u *Borgina i Burkesa*.

- U *Borgina i Burkesa*? – przerwał osłupiały Harry.

- U *Borgina i Burkesa* – powtórzył spokojnie Dumbledore. – Sam zobaczysz jak atrakcyjna zdała mu się ta posada, jak tylko wkroczyliśmy do wspomnień Czaruszki. Ale to nie była pierwsza decyzja Voldemorta, która dotyczyła pracy. Prawie nikt o tym nie wiedział. Byłem jednym z niewielu, którym zwierzył się profesor Dippet. Voldemort poprosił go, by pozwolono mu objąć w Hogwarcie posadę nauczyciela.

- Chciał tu zostać?! Dlaczego? – zawołał ciągle zdumiony Harry.

- Wierzę, że miał ku temu powody, chociaż żadnego z nich nie zdradził profesorowi Dippetowi – zauważył Dumbledore. – Po pierwsze i najważniejsze, wierzę, że Voldemort przyzwyczaił się do tej szkoły bardziej niż do jakiejkolwiek osoby. W Hogwarcie był najszcześniejszy. To pierwsze i jedyne miejsce, gdzie czuł się naprawdę jak w domu.

Harry poczuł się odrobinę niezręcznie, słysząc te słowa, bo czuł dokładnie to samo.

– Po drugie, zamek jest twierdzą pradawnej magii. Niewątpliwie Voldemort odkrył zdecydowanie więcej jego sekretów niż większość studentów, która przeszła przez jego mury. Mógł przypuszczać, że wciąż tkwią w niej nierozwikłane jeszcze tajemnice, pokłady magii do zdobycia.

- I po trzecie, jako nauczyciel miałby największy wpływ na kształtowanie umysłów młodych czarodziejów i czarownic. Prawdopodobnie powziął ten pomysł pod wpływem profesora Slughorna, nauczyciela, u którego był najlepszy, który pokazał mu jak wpływać może być osoba wykładowcy. Nie wyobrażam sobie, by Voldemort od razu zakładał spędzenie reszty życia w Hogwarcie, ale myślę, że potraktowałby to jako wygodny ośrodek rekrutacyjny i miejsce, gdzie mógłby rozpocząć budowanie swej armii.

- Ale nie dostał tej posady, prawda, dyrektorze?

- Nie, nie dostał. Profesor Dippet powiedział mu, że jako osiemnastolatek jest za młody, ale zaproponował mu, by ubiegał się o to stanowisko za parę lat, jeśli nadal będzie chciał nauczać.

- A co pan o tym myślał? – zapytał niepewnie Harry.

- Byłem bardzo zaniepokojony – odpowiedział Dumbledore. – Radziłem Armandowi, by zrezygnował z tej nominacji. Nie podałem mu powodów, jakie podałem tobie, gdyż profesor Dippet bardzo polubił Voldemorta i był przekonany o jego uczciwości. Ale ja nie chciałem Lorda Voldemorta w tej szkole, zwłaszcza na tak wpływowym stanowisku.

- Jakiego stanowisko chciał objąć, panie profesorze? Jakiego przedmiotu chciał uczyć?

W jakiś sposób Harry znalazł odpowiedź, zanim Dumbledore mu ją dał.

- Obrony przed czarną magią. Dotychczas tego przedmiotu uczyła profesor Galatea Merrythought, przebywająca w Hogwarcie już prawie pięćdziesiąt lat... Tak więc Voldemort uciekł do *Borgina i Burkesa*, a cała kadra dziwiła się czemu, taki znakomity młody czarodziej jak on, chce zaprzepaścić karierę, pracując w sklepie. Jednakże Voldemort nie był zwykłym sprzedawcą. Uprzejmy, przystojny i sprytny, szybko otrzymał nietypowe stanowisko, istniejące tylko w takim miejscu jak sklep *Borgina i Burke'a*, który, jak sam wiesz Harry, specjalizuje się w przedmiotach o niezwykłych i potężnych właściwościach. Został oddelegowany, by przekonywać ludzi do wystawiania na sprzedaż za pośrednictwem sklepu części swoich skarbów, i wszystko wskazywało na to, że jest w tym niezwykle utalentowany.

- Idę o zakład, że był – przerwał Harry, nie mogąc się powstrzymać.

- No, dość – powiedział Dumbledore, delikatnie się uśmiechając. – Teraz nadszedł czas, by wysłuchać Czaruszki, skrzatki domowej, która pracowała u bardzo leciwej, bardzo bogatej czarownicy, Hepzibah Smith. Dumbledore stuknął różdżką w buteleczkę, korek odskoczył, i dyrektor wlał wirujące wspomnienie do myślodsiewni, mówiąc jak zwykle:

- Ty pierwszy, Harry.

Harry wstał i ponownie pochylił się ponad migotliwą, srebrzystą substancją, wypełniającą kamienną misę. Gdy wreszcie zanurzył w niej twarz, poczuł, że stacza się, koziolkując poprzez ciemną nicość, by w końcu wylądować w salonie naprzeciwko nieprawdopodobnie grubej, starej damy, wystrojonej w kunsztowną perukę o imbirowym kolorze i odzianej w olśniewającą, wymyślną różową szatę, falującą na wszystkich krągłościach właścicielki. Wszystko to nadawało jej wygląd topniejącego tortu lodowego.

Patrzyła w małe lusterko, ozdobione klejnotami i wielkim puszkiem różowała prawie szkarłatne już policzki, podczas gdy najmniejszy i najstarszy skrzat domowy, jakiego Harry kiedykolwiek widział, krępowal jej mięsiste stopy ciasnymi, satynowymi pantofelkami.

- Pospiesz się, Czaruszka! – rozkazała Hepzibah.

– Powiedział, że przyjdzie o czwartej, pozostało tylko parę kilka minut, a on jeszcze nigdy się nie spóźnił!

Odrzuciła puszek, gdy skrzat domowy się prostował. Czubek głowy skrzatki ledwie dosięgał siedziska krzesła pani, a jej papierowa skóra zwisała z kości, podobnie jak krochmalone lniane prześcieradło, które miała udrapowane na sobie na kształt togi.

– Jak wyglądam? – zaszcebiotała Hepzibah, obracając głową, by podziwiać w lustrze swą twarz z różnej perspektywy.

– Uroczo, madam - zapiszczała Czaruszka.

Harry wywnioskował, że skrzatka miała zapisane w kontrakcie klamanie w żywe oczy na tego typu pytanie, ponieważ w jego mniemaniu wygląd Hepzibah daleki był od uroczego.

Rozległ się cichutki dzwonek do drzwi i obie, pani i jej skrzatka, podskoczyły.

- Szybko, szybko, już tu jest, Czaruszko! – zawołała Hepzibah i skrzatka wybiegła z pokoju, który był tak zavalony różnymi przedmiotami, że aż dziw brał, że ktoś może się po nim poruszać nie potraciwszy przynajmniej tuzina rzeczy.

Znajdowały się tam lakierowane puzderka, szafki pełne książek z wytłoczonymi złotymi literami, modele konstelacji i układów planetarnych, i mnóstwo kwitnących roślin doniczkowych w mosiężnych naczynkach. Generalnie pokój był czymś pośrednim między magicznym antykwariatem a cieplarnią.

Skrzatka powróciła po chwili, prowadząc wysokiego młodego mężczyznę, w którym Harry bez najmniejszych problemów rozpoznał Voldemorta. Ubrany był w prosty czarny garnitur. Jego włosy były odrobinę dłuższe niż za czasów szkolnych, a policzki zapadły się lekko, ale to wszystko pasowało do niego i

sprawiało, że wyglądał przystojniej niż przedtem. Kroczył swobodnie poprzez zagracony pokój, co mogło sugerować, iż często tu gościł. Skłonił się nisko nad drobną, pulchną dłonią Hepzibah, muskając ją wargami.

- Te kwiaty są dla pani, madame – powiedział cicho, wyczarowując kwiaty z nicości.

- Och, niepoprawny chłopcze, nie powinieneś – zakwicziała starucha, ale mimo to Harry zauważył pusty wazon stojący w gotowości na najbliższym stoliczku.

- Rozpieszczasz staruszkę, Tom... Usiądź, usiądź... Gdzie jest Czaruszka? Ach!

Skrzatka żywo wróciła do pokoju, przynosząc z sobą taczkę niewielkich ciasteczek, które postawiła obok łokcia swojej pani.

- Często się – szczebiotała Hepzibah. – Wiem jak uwielbiasz moje ciasteczka. Więc, co tam u ciebie słychać? Jesteś taki blady. Przepracowujesz się w tym sklepie, powtarzałam to tysiące razy.

Voldemort uśmiechnął się mechanicznie, a Hepzibah odpowiedziała głupkowatym chichotem.

- Więc, jaką tym razem masz wymówkę, by mnie odwiedzić? – zapytała, trzepocząc rzęsami.

- Pan Burkes chciałby złożyć pani bardzo intratną ofertę. Za tę goblińską zbroję – rzekł Voldemort.

- Pięć tysięcy galeonów. Uważa, że to więcej niż uczciwa cena...

- Chwileczkę, chwileczkę, nie tak prędko, bo jeszcze sobie pomyślę, że jesteś tu tylko z powodu moich bibelotów.

- Takie otrzymałem polecenie – odparł cicho Voldemort. – Jestem tylko prostym asystentem, który musi słuchać wydawanych mu rozkazów. Pan Burkes życzył sobie, bym zapytał...

- Och, Pan Burke, a fe! – fuknęła Hepzibah, machając swoją malutką rączką. – A ja mogłabym pokazać ci coś, czego nigdy nie zobaczysz u pana Burkesa! Umiesz dotrzymać tajemnicy, Tom? Obiecasz mi, że nigdy nie powiesz panu Burke'owi, co też takiego mam? Nigdy nie dałby mi spokoju, gdyby dowiedział się o tym, co

zamierzam ci pokazać, a ja nie sprzedam tego, ani Burke'owi, ani nikomu innemu! Ale ty, Tom, ty docenisz wartość historyczną, a nie to ile galeonów można za to dostać.

- Będę szczęśliwy, mogąc ujrzeć wszystko, cokolwiek zechciałaby mi pani pokazać, panno Hepzibah – wyszeptał Voldemort, a kobieta znów zachichotała.

- Poproszę Czaruszkę, by to przyniosła... Czaruszko, jesteś tam? Chciałabym pokazać panu Riddle'owi nasz *najcenniejszy* skarb... Właściwie to przynieś oba, jak już tam będziesz...

- Proszę, pani – zapiszczała skrzatka i Harry zobaczył dwa skórzane pudelka, jedno na drugim, poruszające się w poprzek pokoju, jakby z własnej woli, chociaż wiedział, że to malutka skrzatka dźwiga je nad głową, lawirując pomiędzy stolikami, pufami i podnóżkami.

– O, proszę – zagruchala Hepzibah, biorąc pudelka od skrzatki, kładąc je sobie na podółku i przygotowując do otwarcia pierwszego. – Myślę, że będzie ci się podobać, Tom... Ale gdyby moja rodzina dowiedziała się o tym, co ci pokażę... Nie spoczęliby, dopóki nie położyliby na tym łap.

Podniosła wieko. Harry przesunął się trochę do przodu, by mieć lepszy widok na coś, co wyglądało jak mały złoty puchar z misternie wyrobionymi uszkami.

- Ciekawa jestem, czy wiesz, co to takiego, Tom? Podnieś, i oglądaj do woli! – wyszeptala Hepzibah, a Voldemort wyciągnął dłonie o długich palcach, by wyjąć puchar z jego miękkiego, eleganckiego opakowania, chwytając za jedno ze zdobionych uszu. Harry'emu wydawało się, że zobaczył czerwony błysk w jego oczach. Jego chciwe spojrzenie w dziwny spódób odbiło się na twarzy Hepzibah, z tym, że ona wpatrywała się w przystojne rysy Voldemorta.

- Borsuk - wymamrotal Voldemort, badając grawerunek na pucharze. – Czy to należało do...

- Helgi Hufflepuff, jak doskonale wiesz, spryciarzu! – rzekła Hepzibah, z głośnym trzaskiem gorsetu, przechylając się w jego stronę i szczypiąc czule go w zapadnięty policzek. – A nie mówiłam, że była moja

przodkinią? Przechodził w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Słodki, nieprawdaż? I podobno posiada też najróżniejsze moce, ale nie wypróbowałam go jeszcze dokładnie. Na razie po prostu trzymam go tutaj, w spokoju.

Zabrała puchar spomiędzy szczupłych palców Voldemorta i umieściła go delikatnie z powrotem w pudełku, zbyt pochłonięta precyzyjnym pakowaniem, by zauważyć cień, który przemknął przez twarz Voldemorta w chwili, gdy puchar został zabrany.

- A teraz – powiedziała wesoło Hepzibah – gdzie jest Czaruszka? Och, tutaj jesteś, zanieś to z powrotem.

Skrzatka posłusznie odniosła pudełko z pucharem, a Hepzibah zainteresowała się drugim, dużo bardziej okazałym puzdrem.

– Myślę, że to spodoba ci się zdecydowanie bardziej, Tom – wyszeptala. – Przysuń się troszkę, drogi chłopcze, więc jak widzisz... Oczywiście Burkes wie, że to mam, kupiłam to od niego, ale przypuszczam, że zapragnie to odzyskać, gdy mnie zabraknie...

Odsunęła piękne filigranowe zapięcie i otworzyła pudełko. Na gładkim, karmazynowym aksamicie spoczywał ciężki złoty medalion.

Bez zaproszenia, dłonie Voldemorta pochwyciły go. Przysunął go do światła i wpatrywał się weń długo.

- Pieczęć Slytherina - wysyczał cicho, gdy światło padło na zdobne węzowate S.

– Zgadza się – odparła Hepzibah, wyraźnie ukontentowana tym, że Voldemort wpatruje się w jej medalion, niczym zahipnotyzowany. – Musiałam za to słono zapłacić, ale nie mogłam pozwolić, by przepadło, nie taki skarb. Musiałam go mieć w swojej kolekcji. Burkes kupił to od jakiejś żebraczki, myślał, że go ukradła, ale nie miała pojęcia o jego prawdziwej wartości...

Tym razem nie było pomyłki: na te słowa oczy Voldemorta błysnęły szkarłatem, a Harry widział jak jego dłonie zaciskają się na łańcuszku medalionu.

- Podejrzewam, że Burkes zapłacił jej jakieś nędzne grosze... Ale proszę... Prześliczny, prawda? Przypisuje

mu się może wszelkiego rodzaju, a ja trzymam go zamkniętego miło i bezpiecznie...

Sięgnęła, by odebrać mu medalion. Przez chwilę, Harry myślał, że Voldemort nie zamierza go oddać, ale po chwili medalion wysunął się z jego palców i wrócił na swoją czerwoną aksamitną poduszeczkę.

– Więc teraz już wszystko jasne, Tom, mam nadzieję, że podobał ci się pokaz! – Spojrzała na twarz gościa i po raz pierwszy Harry zobaczył jak głupkowaty uśmiešek spelza z jej z warg.

- Wszystko w porządku, drogi chłopcze?

- O tak – szepnęła Voldemort.

- Tak, czuję się doskonale...

- Myślałam... to pewno gra światła... – rzekła Hepzibah, lekko zdenerwowana, a Harry zgadywał, że ona również zobaczyła ten czerwony błysk w oczach Voldemorta. - Proszę, Czaruszkko, odnieś je i zamknij z powrotem... Zakłęcie takie, jak zwykle...

- Czas wracać, Harry – powiedział cicho Dumbledore, gdy malutki skrzat oddalał się, dźwigając pudełka. Dumbledore znów złapał Harry'ego za ramię i razem unieśli się poprzez powierzchnię myśłodsiewni z powrotem do gabinetu Dyrektora.

- Hepzibah Smith zmarła dwa dni po tym, jak rozegrała się ta mała scena - podsumował Dumbledore, siadając i zachęcając Harry'ego, by zrobił to samo.

- Czaruszkka, skrzatka domowa, została skazana przez Ministerstwo za przypadkowe otrucie swojej pani wieczornym kakao.

- Bez kitu! – krzyknął gniewnie Harry.

- Chyba jesteśmy tego samego zdania – skwitował dyrektor. – Oczywiście, jest wiele podobieństw między tą śmiercią, a wypadkiem w Domu Riddle'ów. W obu przypadkach ktoś szybko przyznał się do winy, ktoś, kto pamiętał dokładnie jak to zrobił...

- Czaruszkka się przyznała?

- Pamiętała, jak wkładała coś do kakao swojej pani, coś co nie było cukrem, a śmiertelną, mało znaną trucizną – rzekł Dumbledore. – Można wnioskować, że nie chciała tego zrobić, ale była stara i roztargniona...

- Voldemort zmodyfikował jej pamięć, tak jak to zrobił z Morfinem!

- Tak, moje wnioski są takie same - przyznał Dumbledore. – I tak jak w przypadku Morfina, Ministerstwo skłonne było podejrzewać Czaruszkę...

- ...bo była domowym skrzatem – dokończył Harry. Nagle zapalał większą sympatią do powołanego przez Hermionę Stowarzyszenia W.E.S.Z.

- Dokładnie – zgodził się Dumbledore. – Była stara, przyznała się do manipulacji przy kakao, i nikt w Ministerstwie więcej nie zwracał sobie głowy dalszymi pytaniami. I tak jak w przypadku Morfina, do czasu gdy natrafiłem na ślad tego kawałka wspomnienia, jej życie prawie się skończyło... ale jej pamięć pokazuje, że Voldemort wiedział o istnieniu tego pucharu i medalionu.

- W czasie, gdy skazano Czaruszkę, rodzina Hepzibah zorientowała się, że zginęły jej dwa największe skarby. Zajęło im troszkę czasu, zanim odkryli, ile miała tajemnych skrytek, chroniących jej drogocenną kolekcję biżuterii. Ale zanim upewnili się co do zniknięcia pucharu i medalionu, pomocnik pracujący u Borgina i Burke'a, młody człowiek, który tak regularnie odwiedzał Hepzibah i tak skutecznie ją oczarował, zrezygnował z posady i zniknął. Jego przełożeni nie mieli pojęcia, gdzie mógł przepaść, i byli tak samo zadziwieni jego zniknięciem jak wszyscy. I to był ostatni raz kiedy usłyszeliśmy o Tomie Riddle'u, na długi czas.

- Teraz – zaczął po chwili dyrektor – jeśli nie masz nic przeciwko temu, znów zrobię przerwę, by zwrócić twoją uwagę na pewien ważny punkt w całej opowieści. Voldemort popełnił kolejne morderstwo. Czy było pierwsze od czasu zabicia Riddle'ów, nie wiem, ale najprawdopodobniej tak. Tym razem, jak sam widziałeś, zamordował dla zysku, a nie z zemsty. Chciał pojąć dwa bajeczne trofea, które mu pokazała ta biedna, zaślepiona, stara kobiecina. Tak jak kiedyś okradał inne dzieci w sierocińcu, tak jak ukradł pierścień wuja Morfina, tak i tym razem uciekł z

medalionem i pucharem.

- Ale – wtrącił Harry, marszcząc brwi – to szaleństwo... Ryzykować wszystko, porzucać pracę, tylko dla tych....

- Szalone może dla ciebie, ale nie dla Voldemorta – rzekł Dumbledore. – Mam nadzieję, że we właściwym czasie zrozumiesz, co te wszystkie przedmioty dla niego znaczyły, Harry. Ale sam musisz przyznać, co zresztą łatwo sobie wyobrazić, iż mógł uznać medalion za swoją prawowitą własność.

- Medalion, zgoda – odparł Harry. – Ale czemu zabrał przy okazji puchar?

- Należał do jednego z założycieli Hogwartu – powiedział Dumbledore. – Wydaje mi się, że Voldemort nadal był mocno związany ze szkołą i nie potrafił zrezygnować z żadnego obiektu tak silnie zakorzonego w tradycji Hogwartu. Są jeszcze inne powody, myślę... mam nadzieję, że będę mógł zademonstrować ci je w swoim czasie.

- A teraz, już na sam koniec wspominek, w każdym razie do czasu, aż wydobędziesz wspomnienie od profesora Slughorna, muszę ci pokazać jeszcze coś. Dziesięć lat oddziela wspomnienie Czaruszki od tego. Dziesięć lat, w czasie których możemy tylko zgadywać, co porabiał Voldemort...

Harry wstał po raz drugi, w czasie gdy dyrektor przelewał do myśloidsiewni ostatnie wspomnienie.

- Czyje ono jest? – zapytał.

- Moje – odpowiedział Dumbledore.

I Harry zanurzył się za Dumbledore'm w srebrzystą taflę, lądując w tym samym gabinecie, który dopiero co opuścił.

Był tam Fawkes, spokojnie śpiący na swojej żerdzi, a za biurkiem siedział Dumbledore. Wyglądał bardzo podobnie do tego, który stał za Harrym, ale z obiema rękami sprawnymi, i może z twarzą mniej pomarszczoną. Jedyną różnicą między gabinetem z przeszłości a obecnym była pora roku. Wtedy była śnieżycą, niebieskawe plamki wirowały w ciemności i osiadały na parapecie.

Młodszy Dumbledore zdawał się na kogoś czekać, i było tak z pewnością. W momencie, kiedy przybyli rozległo się pukanie. Dyrektor zawołał "Proszę wejść". Harry z zaskoczenia wstrzymał oddech. Voldemort wszedł do pokoju. Jego postać nie była tą, którą Harry widział wynurzającą się z kamiennego kotła prawie dwa lata temu. Nie przypominał węża, jego oczy jeszcze nie jarzyły się czerwienią, twarz nie była jeszcze maską, ale nie był już tym przystojnym Tomem Riddle'm.

Miał woskową cerę, a rysy jego twarzy były dziwnie zniekształcone, zamazane, jakby wypalone, białka jego oczu były teraz permanentnie przekrwione, ale źrenice pozostały okrągłe, choć Harry wiedział, że staną się dwiema szparkami. Voldemort nosił długą, czarną pelerynę, a jego twarz była tak biała jak śnieg pokrywający mu ramiona.

Dumbledore za biurkiem nie okazał zaskoczenia. Najwyraźniej spodziewał się tej wizyty.

- Dobry wieczór, Tom – przywitał gościa Dumbledore.
- Zechcesz spocząć?

- Dziękuję – odpowiedział Voldemort i zajął wskazane przez Dumbledore'a miejsce – to samo, które Harry opuścił. – Słyszałem, że zostałeś dyrektorem – zagadnął, a jego głos był teraz wyższy i zimniejszy niż wcześniej. – Trafny wybór.

- Cieszę się twoją aprobatą – ucieszył się Dumbledore. – Czy mogę zaoferować ci coś do picia?

- Bardzo chętnie - podziękował Voldemort.

- Przebyłem długą drogę.

Dumbledore wstał i otworzył szafkę, tę samą, w której obecnie przechowywał myślodsiewnię, a którą wtedy wypełniały butelki. Podał Voldemortowi kieliszek wina i nalał sobie drugi, po czym wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

- Więc, Tom... czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Voldemort nie odpowiedział od razu, tylko przez chwilę sączył wino.

- Nie nazywają mnie już Tomem – powiedział w końcu.

- Obecnie jestem znany jako...

- Wiem, jak cię obecnie zwą – przerwał dyrektor

uśmiechając się przyjaźnie. – Ale dla mnie zawsze pozostaniesz Tomem Riddle'm. To jedna z tych irytujących cech starych nauczycieli. Obawiam się, że nigdy nie zapominają swoich młodych podopiecznych. Podniósł swój puchar, jakby wznosząc toast za Voldemorta, którego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Jednakże Harry poczuł, że atmosfera w pokoju subtelnie się zmieniła. Odmawiając używania jego przybranego imienia, dyrektor nie pozwolił mu dyktować sobie warunków spotkania. Harry był pewny, że Voldemort zrozumiał to właśnie w ten sposób.

- Jestem zaskoczony, że pozostałeś tu tak długo – zaczął Voldemort po krótkiej pauzie. – Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego czarodziej twojego pokroju nigdy nie zechciał opuścić szkoły.

– Cóż, – podjął Dumbledore, wciąż się uśmiechając – dla czarodzieja mojego pokroju nie ma nic ważniejszego od wykładania starożytnej wiedzy, pomagania w doskonaleniu młodych umysłów. I, o ile dobrze pamiętam, ty też kiedyś pragnęłaś nauczać.

- I nadal pragnę – przerwał Voldemort. – Dziwiłem się tylko, dlaczego ty – którego ministerstwo tak często prosi o radę, i któremu aż dwa razy proponowało urząd Ministra...

- Właściwie trzy razy, według ostatnich sondaży – odrzekł Dumbledore. – Ale ministerstwo nigdy nie interesowało mnie w sensie kariery. Znów coś nas łączy, jak miemam.

Voldemort skinął głową, nie uśmiechając się, i upił łyk wina. Dumbledore nie przerwał ciszy, która zapadła w pokoju, tylko czekał z wyrazem uprzejmego zaciekawienia na twarzy, aż Voldemort odezwie się pierwszy.

- Powróciłem - rzekł Voldemort po chwili - później, zdaje się, niż by tego oczekiwał profesor Dippet... Ale wróciłem, mimo wszystko, ponownie prosić o to, czego odmówiono mi wtedy, gdyż byłem za młody. Przybyłem, by prosić cię o pozwolenie na powrót do zamku i nauczanie. Myślę, że musisz wiedzieć, ile widziałem i czego dokonałem od czasu, kiedy

opuściłem to miejsce. Mogę pokazać i opowiedzieć twoim studentom rzeczy, których nie dowiedzą się od innych czarodziejów.

Dumbledore obserwował przez chwilę Voldemorta znad pucharu, zanim zabrał głos.

- Tak, oczywiście, wiem ile widziałeś i czego dokonałeś, odkąd nas opuściłeś – rzekł cicho.

- Pogłoski o twoich wyczynach dotarły *nawet* do twojej starej szkoły, Tom. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym uwierzył choć w połowę z nich.

Twarz Voldemorta pozostała kamienna.

- Potęga wiedzie do zazdrości, zazdrość wiedzie do złośliwości, a złośliwość wiedzie do kłamstwa. Musisz o tym wiedzieć, Dumbledore.

- Nazywasz *potęgą* to, co robiłeś? – delikatnie spytał Dumbledore.

- Oczywiście - odparł Voldemort, a jego oczy zdawały się płonąć. - Eksperymentowałem. Dotarłem poza odkryte obszary magii, dalej niż ktokolwiek dotarł kiedykolwiek...

- Pewnych rodzajów magii – poprawił go cicho dyrektor. – Tylko pewnych rodzajów. Bo co do innych, zachowałeś... wybacz mi to stwierdzenie... żalną ignorancję.

Po raz pierwszy Voldemort uśmiechnął się. Był to napięty grymas, wyraz zła, bardziej złowrogi niż sam gniew.

- Stary argument – odparł miękko. – Ale nic, co widziałem na całym świecie, nie zdawało się potwierdzać twojego oświadczenia, że miłość jest potężniejsza niż mój rodzaj magii, Dumbledore.

- Może szukałeś w niewłaściwych miejscach? – zasugerował dyrektor.

- A więc, czy istnieje lepsze niż Hogwart miejsce do rozpoczęcia moich nowych badań? – zapytał Voldemort. – Czy pozwolisz mi wrócić? Czy pozwolisz mi podzielić się wiedzą z twoimi studentami? Oddaję siebie i mój talent do twojej dyspozycji. Jestem na twoje rozkazy.

Dumbledore uniósł brwi.

- A co się stanie z tymi, którzy są na twoje rozkazy? Co stanie się z tymi który nazywają siebie... bądź plotki nazwały ich... śmierciożercami?

Harry musiał przyznać, że Voldemort nie spodziewał się, iż Dumbledore zna tę nazwę. Jego oczy znów rozblysły czerwienią, a nozdrza zadrżały.

- Moi przyjaciele – zaczął po krótkiej pauzie - poradzą sobie beze mnie, jestem pewien.

- Miło mi słyszeć że nazywasz ich przyjaciółmi – odparł Dumbledore. – Wydawało mi się, że są raczej sługami.

- Myliłeś się więc – sprostował Voldemort.

- Gdybym wybrał się "Pod Świński Łeb", to czy spotkałbym kilkoro z nich... Notta, Rosiera, Mulcibera, Dołohova... oczekujących twojego przybycia? Oddani przyjaciele, w rzeczy samej, podróżują z tobą w tę śnieżną noc, jedynie po to, by życzyć ci szczęścia w zdobyciu posady nauczyciela.

Było oczywiste, że drobiazgowa wiedza Dumbledore'a na temat tego, kto podróżował z Voldemortem, była mniej niż pożądana, jednakże ten opanował się w jednej chwili.

- Jak zwykle, jesteś wszytkowiedzący, Dumbledore.

- Och nie, jedynie zaprzyjaźniony z lokalnym barmanem – wesoło zaprzeczył Dumbledore. – Teraz, Tom - Dumbledore odstawił pusty kielich, i opierając się w fotelu i łącząc końce palców w charakterystycznym dla siebie geście - pomówmy otwarcie. Czemu przybyłeś tu w nocy, otoczony wiernymi stronnikami, by prosić o pracę, której, co wiemy obaj, nie chcesz?

Voldemort wyglądał na niemile zaskoczonego.

- Jak to nie chcę? Wprost przeciwnie, Dumbledore, chcę i to bardzo.

- Och, chcesz wrócić do Hogwartu, ale nie chcesz nauczać, podobnie jak wtedy, gdy miałeś osiemnaście lat. Co sprawiło, że wróciłeś, Tom? Dlaczego, choć raz, nie spróbujesz poprosić otwarcie?

Na twarz Voldemorta wypłynął drwiący uśmiezek.

- Jeśli nie chcesz dać mi tej pracy...

- Oczywiście, że nie chcę ci jej dać! – zawołał Dumbledore. – I nie wydaje mi się, byś choć przez moment oczekiwał czegoś innego. Ale mimo to przyszedłeś tutaj, poprosiłeś, musiałeś więc mieć jakiś cel.

Voldemort wstał. Był jeszcze mniej podobny do Toma Riddle'a, teraz, gdy rysy jego twarzy wykrzywiła furia.

– Czy to twoje ostatnie słowo?

– Tak jest – potwierdził Dumbledore, również wstając.

- Więc nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Tak, nic – rzekł dyrektor i wielki smutek odmalował się na jego twarzy. – Minał już czas, kiedy mogłem ci nastraszyć płonąca szafą i zmusić do zadośćuczynienia za twoje zbrodnie. Chociaż bardzo bym chciał, Tom... Bardzo bym chciał...

Przez sekundę Harry był bardzo bliski tego, by krzyknąć jakieś bezcelowe ostrzeżenie. Był przekonany, że ręka Voldemorta powędrowała do kieszeni z różdżką, ale po chwili wszystko minęło. Voldemort odwrócił się, zamknął drzwi i odszedł.

Harry poczuł na ramieniu zaciskającą się rękę Dumbledore'a i chwilę później stali już razem ponownie w tym samym miejscu, tylko nie było śniegu na parapecie, a ręka Dumbledore'a znów stała się czarna i wyglądała na martwą.

– Dlaczego? – zapytał natychmiast Harry, wpatrując się w twarz dyrektora. – Dlaczego chciał wrócić? Czy kiedykolwiek dowiedział się pan tego?

- Mam parę teorii – odpowiedział Dumbledore

- ale nic ponad to.

- Jakich teorii, panie profesorze?

- Powiem ci, Harry, gdy wydobędziesz wspomnienie od profesora Slughorna. Kiedy zdobędziesz ostatni fragment tej układanki, wszystko, mam nadzieję, powinno stać się jasne... Dla nas obu.

Harry nadal stał bez ruchu, palony ciekawością i nie poruszył się nawet gdy dyrektor podszedł do drzwi i przytrzymał je otwarte dla niego.

– Czy chodziło mu o stanowisko nauczyciela obrony przed czarną magią, profesorze? Nie powiedział...

– Och, zdecydowanie chciał objąć stanowisko nauczyciela obrony przed czarną magią - odrzekł Dumbledore. – Dowodzą tego następstwa naszej małej pogawędki. Widzisz, nigdy nie byliśmy zdolni utrzymać jednego nauczyciela obrony przed czarną magią dłużej niż rok, od kiedy odmówiłem tej posady Lordowi Voldemortowi.

Tłumaczyła Tanger



Niepoznawalny Pokój

Harry przez tydzień wysilał szare komórki, próbując znaleźć sposób na przekonanie Slughorna, żeby ten podzielił się z nimi wspomnieniem, nie doznał jednak żadnego olśnienia. Wrócił do tego, co robił coraz częściej w tych dniach – przeglądania podręcznika do eliksirów. Miał nadzieję, że Księżę napisał coś użytecznego na marginesie, tak, jak robił to wiele razy wcześniej.

- Nic tu nie znajdziesz – powiedziała twardo Hermiona w niedzielę późnym wieczorem.

- Nie zaczynaj, Hermiona – rzekł chłopak.

- Gdyby nie Księżę, Ron by tu z nami nie siedział.

- Siedziałby, gdybyś słuchał Snape'a na pierwszym roku – zbyła go dziewczyna. Harry zignorował ją. Znalazł właśnie inkantację (*Sectumsempra!*) zapisaną naprędce na marginesie nad intrygującymi słowami "dla wrogów". Kusilo go, żeby ją zaraz przetestować, ale stwierdził, że lepiej nie próbować tego przy Hermionie. Zamiast tego zagiął ukradkiem róg strony.

Siedzieli przed kominkiem w pokoju wspólnym. Reszta

uczniów z szóstego roku również jeszcze nie spała. Wszyscy byli podekscytowani – kiedy wrócili z obiadu, zastali nową notatkę na tablicy ogłoszeń, która informowała o dacie testu z aportacji. Ci, którzy kończyli siedemnaście lat najpóźniej w dniu pierwszego egzaminu, dwudziestego pierwszego kwietnia, mogli zgłosić się na uzupełniający kurs praktyczny, który miał się odbywać w bardzo dobrze zabezpieczonym na tę okazję Hogsmeade.

Ron spanikował, czytając tę notatkę. Nie udało mu się jeszcze aportować i był pełen obaw, że nie będzie gotowy na test. Hermiona, której udało się to już dwa razy, była nieco bardziej pewna siebie, a Harry, który nie miał skończyć siedemnastu lat w ciągu najbliższych czterech miesięcy, i tak nie mógł przystąpić do egzaminu, przygotowany czy nie.

- Ty przynajmniej umiesz się aportować! – powiedział nerwowo Ron. – Nie będziesz miał problemu w lipcu.

- Zrobiłem to tylko raz – przypomniał mu przyjaciel. Udało mu się w końcu zniknąć i zmaterializować w swojej obręczy na poprzedniej lekcji.

Marnując czas na głośnie martwienie się sprawą aportacji, Ron borykał się teraz z trudnym wypracowaniem dla Snape'a, które Hermiona i Harry zdążyli już skończyć. Harry spodziewał się niskiej oceny, ponieważ nie zgadzał się z profesorem na temat najlepszego sposobu na stawienie czoła dementorom, ale nie obchodziło go to. Wspomnienie Slughorna było dla niego teraz najważniejsze.

- Mówię ci, Harry, ten głupi Książę nie pomoże ci tego rozwiązać! – powiedziała Hermiona podniesionym głosem. – Jest tylko jedna metoda, żeby zmusić kogoś, by zrobił coś, czego od niego chcesz. Imperius, który jest nielegalny...

- Taa, wiem, dzięki – odpowiedział chłopak, nie podnosząc głowy znad książki. – Dlatego szukam czegoś innego. Dumbledore powiedział, że Veritaserum nie pomoże, ale może jest coś innego, jakiś eliksir albo zaklęcie...

- Idziesz w złym kierunku – powiedziała dziewczyna.

- Dumbledore powiedział, że tylko ty możesz zdobyć wspomnienie. To na pewno oznacza, że jesteś w stanie namówić Slughorna, kiedy inni nie mogą. Nie chodzi o podanie mu eliksiru, to może zrobić każdy.

- Jak się pisze "przerażający"? - zapytał Ron, potrząsając mocno piórem i gapiąc się na pergamin.

- Bo chyba nie "P-S-Z-E..."

- Nie - powiedziała Hermiona, przysuwając sobie wypracowanie przyjaciela. - I "zapowiadać" nie pisze się przez "Z-A-B-O-". Czym ty piszesz?

- Jednym z piór Sprawdzających Pisownię Freda i George'a, ale zakłęcie przestaje już chyba działać.

- Najwyraźniej, - powiedziała Hermiona, wskazując na tytuł wypracowania - bo mieliśmy napisać na temat obchodzenia się z dementorami, a nie "demimozami". Nie pamiętam też, żebyś zmieniał imię na Roonil Wazlib.

- O, nie! - jęknął Ron, patrząc z przerażeniem na pergamin. - Nie mów mi tylko, że będę musiał pisać to wszystko od nowa!

- Wszystko w porządku, możemy to naprawić - rzekła dziewczyna, przyciągając pergamin do siebie i wyciągając różdżkę.

- Kocham cię, Hermiona - powiedział rudzielec, zapadając się z powrotem w fotel i przecierając oczy ze znużeniem.

Hermiona lekko poróżowiała, ale powiedziała:

- Nie pozwól, żeby Lavender to usłyszała.

- Nie pozwolę - odpowiedział chłopak, dalej chowając twarz w dłoniach. - Albo może pozwolę, wtedy mnie rzuci.

- Czemu ty jej nie rzucisz, skoro chcesz to skończyć? - zapytał Harry.

- Nie zrywałeś nigdy z nikim, prawda? - zapytał Ron.

- Ty i Cho po prostu...

- Tak jakby się rozstaliśmy, taaa... - odrzekł "były" Cho Chang.

- Chciałbym, żeby tak było ze mną i Lavender - powiedział pośepnie Ron, patrząc na Hermionę, która cicho stuknęła końcem różdżki w poprzekręcane słowa,

by je poprawić. – Ale im jaśniej sugeruję, że chcę to skończyć, tym mocniej ona się przyczepia. To tak, jakby chodzić z wielką kalamarnicą.

- Gotowe – powiedziała Hermiona jakieś dwadzieścia minut później, oddając Ronowi wypracowanie.

- Stokrotne dzięki – powiedział. – Mogę pożyczyć twoje pióro, żeby skończyć?

Harry, który nie znalazł nic użytecznego w notatkach Półkrwi Księcia, rozejrział się. Już tylko ich trójka została w pokoju wspólnym po tym, jak Seamus poszedł na górę, mrużąc obelgi pod adresem Snape'a i jego wypracowania. Jedynymi dźwiękami w pomieszczeniu było trzaskanie ognia w kominku i skrobanie pióra po pergaminie, gdy Ron dopisywał ostatni akapit do wypracowania. Harry zamknął właśnie książkę Półkrwi Księcia, ziewając, kiedy...

TRZASK

Hermiona pisnęła. Ron rozlał atrament na swój świeżo dokończony referat, a Harry zawołał: "Stworek!".

Skrzat domowy sklonił się nisko, przemawiając do swoich pokrzywionych palców u nóg:

- Pan powiedział, że chce regularnych raportów na temat tego, co robi młody Malfoy, więc Stworek przyszedł, żeby złożyć...

TRZASK

Zgredek zmaterializował się tuż obok Stworka, a ocieplacz na czajnik na jego głowie przekrzywił się.

- Zgredek też pomagał, Harry Potterze! – zaskrzeczał, rzucając w stronę drugiego skrzata urażone spojrzenie.

- A Stworek powinien powiedzieć Zgredkowi, kiedy idzie spotkać się z Harrym Potterem, żeby mogli złożyć raporty razem!

- O co tu chodzi? – zapytała Hermiona.

- Co się dzieje, Harry?

Chłopak zawahał się, zanim odpowiedział. Nie wspominał Hermionie o tym, że kazał Zgredkowi i Stworkowi śledzić Malfoya. Skrzaty domowe zawsze były dla niej drażliwym tematem.

- No... śledzili dla mnie Malfoya – powiedział.

- Dzień i noc – zaskrzeczał Stworek.

- Zgredek nie spał przez tydzień! – rzekł dumnie Zgredek, kołysząc się w miejscu.

Hermiona wyglądała na oburzoną.

- Nie spałeś, Zgredku? Ale z pewnością, Harry, nie kazaleś mu nie...

- Nie, oczywiście, że nie – powiedział szybko Harry.

- Zgredku, możesz spać, dobrze? Ale czy któryś z was coś odkrył? – zapytał naprędce, zanim Hermiona zdolała znów się wtrącić.

- Pan Malfoy porusza się z godnością, wskazującą na czystość jego krwi – zaskrzeczał od razu Stworek.

- Jego rysy twarzy przypominają delikatne kości mojej pani, a jego maniery są tymi...

- Draco Malfoy jest złym chłopcem! – pisnął ze złością Zgredek. – Złym chłopcem, który... który...

Zadrzał od frędzla ocieplacza na głowie aż do skarpetek i pobiegł w stronę ognia, jakby chciał w niego zanurkować. Harry, który spodziewał się czegoś takiego, złapał go wpół i trzymał mocno. Przez kilka sekund skrzat szarpał się, ale po chwili rozluźnił się zupełnie.

- Dziękuję, Harry Potterze – wydyszał. – Zgredek dalej ma trudności w wyrażaniu się źle o swojej starej rodzinie.

Harry wypuścił go z uścisku. Zgredek poprawił ocieplacz na głowie i rzekł buntowniczo do Stworka:

- Ale Stworek powinien wiedzieć, że Draco Malfoy nie jest dobrym panem dla skrzata domowego!

- Taaa, nie chcemy słyszeć o tym, że jesteś zakochany w Malfoyu – powiedział Stworkowi Harry. – Przejdźmy do tego, dokąd chodził cały czas.

Stworek skłonił się nisko, wyglądając na wściekłego i powiedział:

- Pan Malfoy jadł w Wielkiej Sali, spał w dormitorium, uczęszczał na lekcje w różnych...

- Zgredku, ty mi powiedz – Harry przerwał Stworkowi w pół zdania. – Chodził gdzieś, gdzie nie powinien?

- Harry Potter, sir – zaskrzeczał skrzat, jego duże, kuliste oczy błyszczały w świetle płomieni. – O ile Zgredek wie, młody Malfoy nie łamie żadnych

przepisów, ale stale unika wykrycia. Ciągłe odwiedzał siódme piętro z różnymi uczniami, którzy stali na straży kiedy wchodził do...

- Pokoju Życzeń! – powiedział Harry, uderzając się mocno w czoło *Warzeniem eliksirów dla zaawansowanych* Hermiona i Ron gapili się na niego. – Tam się wymykał! To tam robi... to, cokolwiek robi! Mogę się założyć, że to dlatego zniknął z mapy. Jakby się nad tym zastanowić, to nigdy nie widziałem na niej Pokoju Życzeń!

- Może Huncwoci nie wiedzieli, że on istnieje? – rzekł Ron.

- Ja myślę, że to jest część magii tego pokoju – powiedziała Hermiona. – Jeśli potrzebujesz, żeby był nienanoszalny – będzie.

- Zgredku, zdołałeś wejść do środka i zobaczyć, co robi Malfoy? – zapytał niecierpliwie Harry.

- Nie, Harry Potterze, to niemożliwe – odpowiedział skrzat.

- Nieprawda – powiedział od razu chłopak. – Malfoy wszedł do naszej siedziby w zeszłym roku, więc ja też będę mógł wejść i szpiegować go bez problemu.

- Nie sądzę, Harry – rzekła powoli Hermiona. – Malfoy wie, jak używaliśmy pokoju, prawda? Przez to, że ta głupia Marietta się wygadała. Potrzebował, żeby pokój stał się siedzibą GD, więc się nim stał. Ale ty nie wiesz, czym staje się pokój, kiedy Malfoy tam idzie, więc nie wiesz, o co poprosić pokój.

- Znajdzie się na to sposób – zbył ją Harry.

- Znakomicie się spisałeś, Zgredku.

- Stworek też się dobrze spisał – powiedziała życzliwie dziewczyna, ale Stworek nie wyglądał na zadowolonego i zwrócił swe duże, przekrwione oczy na sufit.

- Szlama mówi do Stworka, Stworek będzie udawał, że nie słyszy...

- Wynoś się stąd – warknął na niego Harry, a Stworek skłonił się ostatni raz i zniknął. – Ty też idź i prześpij się, Zgredku.

- Dziękuję, Harry Potter, sir – zaskrzeczał radośnie i poszedł w ślady drugiego skrzata.

- Nieźle, nie? – zapytał entuzjastycznie Harry, odwracając się do swoich przyjaciół w chwili, kiedy pokój znów był wolny od skrzatów.

- Wiemy gdzie chodzi Malfoy! Mamy go teraz!

- Taa, ekstra – powiedział ponuro Ron, próbujący wytrzeć przemoczony dużą ilością atramentu pergamin, który niegdyś był skończonym wypracowaniem. Hermiona przysunęła je do siebie i zaczęła usuwać atrament za pomocą różdżki.

- Ale o co chodzi z tym, że chodzi tam z *różnymi uczniami*? – zapytała dziewczyna. – Jak wiele osób jest w to zamieszanych? Chyba nie myślisz, że zaufał im wszystkim i powiedział, co robi...

- Taa, to dziwne – powiedział Harry, marszcząc brwi.

- Słyszałem jak Malfoy mówił Crabbe'owi, że to nie jego sprawa, co robi... Więc, co mówi wszystkim tym... wszystkim tym...

Głos Harry'ego zamarł. Chłopak gapił się w ogień.

- Boże, jaki byłem głupi – powiedział cicho.

- To oczywiście, prawda? W lochach był tego cały kocioł... mógł zwinąć trochę podczas tej lekcji...

- Co zwinąć? – zapytał rudzielec.

- Elikser Wielosokowy. Ukradł trochę Elikseru Wielosokowego, który Slughorn pokazywał nam na pierwszej lekcji Elikserów... To nie różni uczniowie stoją na straży... to jak zwykle Crabbe i Goyle... tak, teraz wszystko pasuje! – powiedział Harry, skoczył na równe nogi i zaczął chodzić przed kominkiem w tę i z powrotem. – Są głupi na tyle, żeby wykonywać to, co im kazał, nie wiedząc, co on robi... ale Malfoy nie chce, żeby ich widziano pałętających się przed Pokojem Życzeń, więc kazał im wziąć Elikser Wielosokowy, żeby wyglądali jak różne osoby... Te dwie dziewczyny, z którymi widziałem go, kiedy opuścił mecz – ha! To byli Crabbe i Goyle!

- Chcesz powiedzieć, – rzekła Hermiona cichym głosem - że ta mała dziewczynka, której naprawiłam wagę...?

- Oczywiście! – powiedział głośno Harry, gapiąc się na nią. – Oczywiście! Malfoy musiał być wtedy w pokoju,

więc ona – co ja gadam? – on upuścił wagę, żeby dać znać Malfoyowi, by nie wychodził, bo ktoś jest na korytarzu! I ta dziewczyna, która upuściła żabi skrzek też! Przechodziliśmy obok niego cały czas i nie zwróciliśmy uwagi!

- Zmusił Crabbe'a i Goyle'a, żeby zamienili się w dziewczyny? – Ron zarechotał. – Kurczę... nie dziwi mnie, że niezbyt szczęśliwie teraz wyglądają... Jestem zaskoczony, że nie kazali mu się wypchać...

- Nie ośmieliliby się, prawda? Jeśli pokazał im Mroczny Znak – powiedział Harry.

- Hmm... Mroczny Znak, którego istnienia nie jesteśmy pewni – rzekła sceptycznie Hermiona, zwijając, zanim stanie się mu jeszcze jakaś szkoda, wypracowanie Rona i oddając je właścicielowi.

- Przekonamy się – powiedział Harry stanowczo.

- Tak, przekonamy – odpowiedziała dziewczyna, wstając i przeciągając się. – Ale, Harry, zanim się bardziej napalisz – nadal uważam, że nie uda ci się dostać do Pokoju Życzeń bez informacji, co tam aktualnie się znajduje. I myślę, że nie powinieneś zapominać – zawiesiła sobie torbę z książkami na ramieniu i rzuciła mu bardzo poważne spojrzenie - że to, na czym *powinieneś* się teraz koncentrować, to zdobycie tego wspomnienia Slughorna. Dobranoc.

Harry patrzył na nią, jak odchodzi, czując się lekko rozczarowany. Gdy tylko drzwi do dziewczęcego dormitorium zamknęły się za nią, odwrócił się do Rona.

- O czym myślisz?

- Chciałbym umieć deportować się jak skrzaty – powiedział rudzielec, patrząc w miejsce, z którego zniknął Zgredek. – Nigdy mi się nie uda zdać tego testu aportacyjnego.

Harry nie spał dobrze tej nocy. Leżał na łóżku przez kilka godzin, całkowicie rozbudzony, rozmyślając, w jaki sposób Malfoy używał Pokoju Życzeń, i co on, Harry, zobaczy, gdy wejdzie do środka następnego dnia, bo cokolwiek mówiła Hermiona, chłopak był pewien, że jeśli Malfoy mógł zobaczyć siedzibę GD, to

on będzie mógł zobaczyć... co to mogło być? Miejsce spotkań? Kryjówka? Rupieciarnia? Warsztat? Harry myślał gorączkowo i jego sny, kiedy w końcu udało mu się zasnąć, przerywane były obrazami Malfoya, który zmieniał się w Slughorna, a potem w Snape'a...

Następnego ranka, przy śniadaniu, Harry był bardzo zadowolony. Miał wolny czas przed obroną przed czarną magią i zamierzał spróbować dostać się do Pokoju Życzeń. Hermiona ostentacyjnie ignorowała jego sekretne plany, dotyczące otwarcia pokoju, co bardzo Harry'ego irytowało, ponieważ myślał, że mogłaby dużo pomóc, gdyby tylko chciała.

- Słuchaj – powiedział cicho, pochylając się i kładąc rękę na *Proroku Codziennym*, który dziewczyna otrzymała właśnie sowsią pocztą, powstrzymując ją od otwarcia gazety i zniknięcia za nią. – Nie zapomniałem o Slughornie, ale nie mam zielonego pojęcia, jak dostać od niego to wspomnienie i dopóki mnie nie olśni, czemu nie miałbym dowiedzieć się, co robi Malfoy?

- Już ci powiedziałam, że musisz *przekonać* Slughorna – powiedziała Hermiona. – Nie chodzi o to, żebyś go okantował czy oczarował, bo Dumbledore mógłby to zrobić w każdej chwili. Zamiast wyglupiać się przed Pokojem Życzeń – wyszarpnęła *Proroka* spod ręki Harry'ego i otworzyła go, by spojrzeć na pierwszą stronę - powinieneś iść, odnaleźć Slughorna i wrzucić jego dobre serce.

- Ktoś kogo znamy...? – zapytał Ron, kiedy Hermiona przelatowała wzrokiem nagłówki.

- Tak! – wykrzyknęła, powodując tym samym, że Harry i Ron zakrztusili się śniadaniem. – W porządku, nie umarł – to Mundungus, aresztowali go i zamknęli w Azkabanie! Ma coś wspólnego z podszywaniem się pod Inferich podczas próby włamania... i zniknął jakiś Oktawiusz Pepper... och, jakie to okropne, dziewięciolatek został aresztowany za próbę zamordowania własnych dziadków, podejrzewają, że jest pod wpływem Imperiusa...

Skończyli śniadanie w ciszy. Hermiona pobiegła natychmiast na starożytny runy, a Ron oddalił się do

pokoju wspólnego, gdzie dalej czekało na niego niedokończony wypracowanie o dementorach dla Snape'a. Harry poszedł na korytarz na siódmym piętrze, do kawałka pustej ściany naprzeciw gobelinu, na którym uwieczniono Barnabasza Bzika uczącego trolle baletu.

Harry narzucił na siebie pelerynę-niewidkę, gdy tylko znalazł puste przejście, ale niepotrzebnie się martwił - gdy dotarł do celu, znalazł opustoszały korytarz. Chłopak nie był pewny, czy jego szanse na dostanie się do środka są większe z czy bez Malfoya w pokoju, ale przynajmniej jego pierwsza próba nie będzie komplikowana przez obecność Crabbe'a lub Goyle'a udających jedenastoletnie dziewczynki.

Zamknął oczy, podchodząc do miejsca, gdzie powinny znajdować się drzwi do Pokoju Życzeń. Wiedział, co musi zrobić. Wprawił się w tym w zeszłym roku. Koncentrując się całkowicie, pomyślał: *Muszę zobaczyć, co Malfoy tu robi... Muszę zobaczyć, co Malfoy tu robi... Muszę zobaczyć, co Malfoy tu robi...*

Przeszedł trzy razy wzdłuż ściany, serce waliło mu z podekscytowania, otworzył oczy i odwrócił się w jej kierunku, ale nadal patrzył na kawałek pustej ściany. Zbliżył się i spróbował ją popchnąć. Kamień pozostał twardy i nieustępliwy.

- Okej - powiedział na głos. - Okej... Pomyślałem o złej rzeczy...

Dumał przez chwilę i zaczął jeszcze raz, z zamkniętymi oczami, koncentrując się najsilniej, jak tylko mógł.

Muszę zobaczyć miejsce, do którego Malfoy przychodzi w sekrecie... Muszę zobaczyć miejsce, do którego Malfoy przychodzi w sekrecie...

Po tym, jak przeszedł trzy razy wzdłuż ściany, otworzył oczy.

Nie było żadnych drzwi.

- Och, daj spokój - powiedział zirytowany do ściany.

- To było jasne polecenie... dobra...

Myślał usilnie przez kilka minut, zanim zaczął wszystko od początku.

Potrzebuję, byś stała się miejscem, którym stajesz się dla

Draco Malfoya...

Nie otworzył natychmiast oczu, kiedy skończył przechadzać się w tę i z powrotem wzdłuż ściany. Przysłuchiwał się, jakby myślał, że może usłyszy, jak pojawiają się drzwi. Jednak nie usłyszał nic, oprócz odległego ćwierkania ptaków na zewnątrz. Otworzył oczy.

Dalej nie było żadnych drzwi.

Harry zaklął. Ktoś krzyknął. Rozejrzył się, by ujrzeć stado uciekających za róg pierwszoroczników, najwyraźniej przekonanych, że właśnie napotkali plugawie wysławiającego się ducha.

Próbował wszystkich kombinacji *Chcę zobaczyć co Draco Malfoy robi w środku*, które przychodziły mu do głowy, przez całą godzinę, pod koniec której został zmuszony do przyznania, że Hermiona jednak może mieć rację: pokój nie chciał się dla niego otworzyć. Sfrustrowany i rozdrażniony, skierował się na obronę przed czarną magią, ściągając z siebie pelerynę-niewidkę i wpychając ją do torby.

- Znów spóźniony, Potter – powiedział zimno Snape, kiedy Harry wpadł do oświetlonej światłem świec klasy.

- Gryffindor traci dziesięć punktów.

Chłopak popatrzył na profesora spode łba i opadł na swoje miejsce obok Rona. Pół klasy dalej stało, wyciągając książki i organizując swoje przybory – nie mógł być dużo później niż któreś z nich.

- Zanim zaczniemy, zbiorę wasze wypracowania o dementorach – oznajmił Snape, skinąwszy niedbale różdżką, a dwadzieścia pięć rolek pergaminu wylądowało w schludnym stosie na jego biurku.

- I mam nadzieję, że są lepsze niż te bzdury na temat opierania się kłątwie Imperius, które musiałem znosić. Teraz, jeżeli otworzycie książki na stronie... o co chodzi, panie Finnigan?

- Proszę pana – odezwał chłopak - zastanawiałem się, jak można odróżnić Inferich od duchów? Bo w *Proroku* było coś o Inferich...

- Nie, nie było – powiedział znudzonym głosem profesor.

- Ale, proszę pana, słyszałem, jak ludzie mówili...
- Jeśli przeczytałby pan ten artykuł, panie Finnigan, wiedziałby pan, że ten tak zwany Inferi był nikim innym, jak śmierzącym, zakradającym się złodziejem, imieniem Mundungus Fletcher.

- Myślałem, że Snape i Mundungus byli po tej samej stronie? – mruknął Harry do Rona i Hermiony.

- Nie powinien być zły, że go aresztowali...?

- Ale wygląda na to, że Potter ma dużo do powiedzenia na ten temat – oznajmił Snape, wskazując nagle na koniec sali, jego czarne oczy skupione były na chłopaku. – Zapytajmy Pottera, jak rozróżnimy Inferi od ducha.

Cała klasa odwróciła się w stronę Harry'ego, który pospiesznie próbował sobie przypomnieć, co Dumbledore powiedział mu tej nocy, której odwiedzili Slughorna.

- Ee... więc... duchy są przezroczyście... – powiedział.

- O, bardzo dobrze – przerwał mu profesor, jego usta wykrzywiły się w szyderczym grymasie. – Tak, teraz widać, że prawie sześć lat magicznej edukacji, w twoim przypadku nie poszło na marne, Potter. *Duchy są przezroczyście.*

Pansy Parkinson zachichotała cienko. Kilka innych osób uśmiechało się pod nosem. Harry wziął głęboki oddech i kontynuował spokojnie, chociaż w środku się w nim gotowało.

- Tak, duchy są przezroczyście, ale Inferi to martwe ciała, prawda? Więc są materialne...

- Pięciolatek mógłby nam powiedzieć tyle samo – zakpił Snape. – Inferi to zwłoki, które zostały zmuszone do ruchu poprzez zaklęcia czarnoksiężnika. Inferi nie jest żywy, jest jedynie wykorzystywany jako kukielka wykonująca rozkazy czarnoksiężnika. Duch, o czym, jak mniemam, już wszyscy do tej pory dobrze wiecie, jest śladem zmarłej duszy pozostawionym na ziemi... i oczywiście, jak już Potter rozsądnie nam wspomniał, duchy są *przezroczyście.*

- To, co powiedział Harry, przyda nam się najbardziej, kiedy będziemy chcieli je odróżnić! – powiedział Ron.

– Kiedy spotkamy się twarzą w twarz z jednym z nich w ciemnej uliczce, będziemy musieli ocenić na pierwszy rzut oka, czy jest solidny, prawda? Nie będziemy przecież pytali: "Przepraszam, czy jesteś śladem zmarłej duszy?"

Szemranie i śmiechy zostały natychmiast stłumione przez spojrzenie, które nauczyciel rzucił całej klasie.

- Gryffindor traci kolejne dziesięć punktów – powiedział Snape. – Nie spodziewałbym się po tobie niczego bardziej skomplikowanego, Ronaldzie Weasley, chłopcze tak solidny, że aż niezdolny do aportowania się o pół cala.

- *Nie!* - szepnęła Hermiona, łapiąc Harry'ego za rękę, kiedy otwierał usta. – To nie ma sensu, skończysz tylko ze szlabanem, daj spokój!

- Otwórzcie teraz książki na stronie dwieście trzynastej – powiedział Snape z lekkim uśmieszkiem na twarzy - i przeczytajcie dwa pierwsze akapity na temat klątwy Cruciatu.

Ron był bardzo cichy do końca lekcji. Kiedy zadzwonił dzwonek, Lavender podeszła do niego i Harry'ego. (Hermiona tajemniczo rozplynęła się w powietrzu, gdy tylko tamta pojawiła się na horyzoncie.) Wyrażała się niezbyt pochlebnie na temat Snape'a za jego uwagę na temat aportacji Rona, ale zdawało się, że to tylko jeszcze bardziej poirytowało chłopaka i odepchnął ją, wchodząc do męskiej łazienki razem z Harrym.

- Chociaż Snape ma rację, prawda? – powiedział Ron, po tym jak gapił się w pęknięte lustro minutę czy dwie. – Nie wiem, czy to w ogóle ma sens, żebym przystępował do tego testu. Ja po prostu nie mogę pojąć aportacji.

- Ale możesz przecież brać udział w tym dodatkowym kursie w Hogsmeade i zobaczyć, co z tego wyjdzie – rzekł rozsądnie Harry. – Przynajmniej będzie ciekawiej niż przy próbach zmaterializowania się w tej głupiej obręczy. A jeśli nadal nie będziesz – no wiesz – tak dobry, jak byś chciał, możesz przełożyć test i zdać go razem ze mną la... Marto, to jest męska łazienka!

Duch dziewczyny wyłonił się z toalety w kabinie tuż za

nimi i wznosił się teraz w powietrzu, gapiąc się na nich przez grube, białe, okrągłe okulary.

- Och – powiedziała pośepnie. – To tylko wy.

- A kogo oczekiwałaś? – zapytał Ron, patrząc na jej odbicie w lustrze.

- Nikogo – odpowiedziała, skubiąc ponuro podbródek.

- Powiedział, że wróci i się ze mną zobaczy, ale *wy* też powiedzieliście, że wpadniecie i mnie odwiedzicie... – spojrzała na Harry'ego z przyganą - ...a nie widziałam was przez całe miesiące. Nauczyłam się nie oczekiwać zbyt wiele od chłopców.

- Myślałem, że mieszkasz w łazience dla dziewczyn? – powiedział Harry, który omijał to miejsce szerokim łukiem od kilku lat.

- Bo mieszkam – odpowiedziała, wzruszając ramionami. - Ale to nie znaczy, że nie mogę *odwiedzać* innych miejsc. Przyszłam i widziałam cię raz w kąpielni, pamiętasz?

- Jakby to było wczoraj – odpowiedział chłopak.

- Ale myślę, że on mnie lubi – powiedziała płaczkliwie.

- Może jeśli sobie pójdziecie, wróci jeszcze raz... mamy ze sobą dużo wspólnego... jestem pewna, że on też to czuje...

Spojrzała w stronę drzwi.

- Kiedy mówisz, że macie ze sobą dużo wspólnego – rzekł Ron, wyglądając na lekko rozbawionego - masz na myśli to, że on też mieszka w rurze odpływowej?

- Nie – odpowiedziała Marta zuchwale, jej głos odbijał się echem od ścian łazienki. – Mam na myśli, że jest wrażliwy, ludzie się z niego wyśmiewają, czuje się samotny i nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Nie boi się okazywać swoich uczuć i płakać!

- Przychodzi tu płaczący chłopak? – zapytał zaciekawiony Harry. – Mały chłopiec?

- Nie twój interes! – oznajmiła Marta, a jej małe, wodniste oczy skupione były na Ronie, który uśmiechał się teraz od ucha do ucha. – Obiecałam, że nie powiem nikomu i wezmę jego sekret ze sobą do...

- ...chyba nie do grobu? – zapytał Ron, parskając.

– Raczej do kanału ściekowego...

Marta zawyla z wściekłością i zanurkowała z powrotem do toalety, powodując, że woda rozprysła się na wszystkie strony. Wyglądało na to, że rozdrażniony duch dziewczyny dał Ronowi nową siłę.

- Masz rację – powiedział, przewieszając sobie torbę przez ramię. – Będę chodził na ten dodatkowy kurs w Hogsmeade, zanim zdecyduję się, czy będę zdawał test. I tak w weekend Ron dołączył do Hermiony oraz reszty szóstoklasistów, którzy mieli skończyć siedemnaście lat do czasu testu za dwa tygodnie. Harry czuł się nieco zazdrosny, patrząc, jak wszyscy szykują się do wyjścia do wioski. Brakowało mu wycieczek do Hogsmeade, a to był nadzwyczaj piękny wiosenny dzień, jeden z pierwszych od dawna, kiedy niebo było zupełnie czyste. Jednak zdecydował, że wykorzysta ten czas na kolejną próbę dostania się do Pokoju Życzeń.

- Zrobiłbyś lepiej – powiedziała Hermiona, kiedy zwierzył się ze swojego pomysłu swoim przyjaciółom w sali wejściowej - gdybyś poszedł prosto do gabinetu Slughorna i spróbował wydobyć od niego to wspomnienie.

- Próbowałem! – powiedział rozszalony Harry, co było absolutną prawdą.

Zostawał po każdej lekcji eliksirów przez ostatni tydzień, próbując zagonić Slughorna w kozi róg, ale Mistrz Elixirów opuszczał lochy tak szybko, że Harry zwykle nie zdążył do niego nawet nic powiedzieć. Chłopak dwa razy poszedł do gabinetu Slughorna i pukał, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Chociaż za drugim razem był prawie pewien, że usłyszał odgłosy ze starego gramofonu, które szybko zostały stłumione.

- Hermiona, on nie chce ze mną rozmawiać! Może ci powiedzieć, że próbowałem złapać go na każdym kroku, ale bezskutecznie!

- Więc musisz próbować dalej, prawda?

Krótką kolejką ludzi, czekających aż Filch, który nadal dźgał uczniów czujnikiem tajności, wpisze ich do swojej kartoteki, ruszyła o kilka kroków do przodu. Harry nie odpowiedział na wypadek, gdyby miał go

usłyszeć woźny. Życzył Hermionie i Ronowi szczęścia, odwrócił się i znów wspiął po marmurowych schodach. Był zdeterminowany, bez względu na to, co powiedziała Hermiona, by przez godzinę lub dwie próbować dostać się do Pokoju Życzeń.

Gdy tylko zniknął z zasięgu wzroku osób w sali wejściowej, wyciągnął z torby Mapę Huncwotów i pelerynę-niewidkę. Zarzucając sobie płaszcz na ramiona, puknął różdżką w mapę i mruknął: "Przysięgam uroczyście, że knuję coś niedobrego", lustrując pergamin uważnie.

Ponieważ był to sobotni ranek, prawie wszyscy uczniowie znajdowali się w swoich pokojach wspólnych. Gryfoni w jednej wieży, Krukoni w innej, Ślizgoni w lochach, a Puchoni na parterze, blisko kuchni. Tu i tam zbląkana osoba kluczyła między półkami w bibliotece albo po korytarzu... kilka osób było na bloniach... i tu, na siódmym piętrze, samotnie stał Gregory Goyle. Nie było śladu Pokoju Życzeń, ale Harry nie martwił się o to. Jeśli Goyle stał na straży – pokój był otwarty, bez względu na to, czy mapa była tego świadoma, czy nie. Dlatego pobiegł w górę schodami, zwalniając dopiero przed zakrętem, prowadzącym na korytarz na siódmym piętrze, kiedy zaczął się skradać, bardzo powoli, w stronę tej samej (ściskającej swoją ciężką, mosiężną wagę) dziewczynki, której Hermiona tak życzliwie pomogła dwa tygodnie temu. Poczekał aż będzie tuż za jej plecami, następnie bardzo nisko się pochylił i wyszeptał:

- Witaj... jesteś bardzo ładna, wiesz?

Goyle krzyknął cienko w panice, wyrzucił wagę w powietrze i uciekł, znikając z zasięgu wzroku długo przed tym, nim dźwięk rozbijanej wagi przestał odbijać się od ścian korytarza. Harry odwrócił się ze śmiechem, by podziwiać kawałek pustej ściany, za którą, był tego pewien, Draco Malfoy stał teraz bez ruchu, wiedząc, że nadszedł ktoś nieproszony, ale nie miał odwagi, żeby się ujawnić. To dało Harry'emu miłe uczucie władzy, kiedy zastanawiał się, jakiej kombinacji słów jeszcze nie próbował.

Jednak jego pełen nadziei nastrój nie potrwał długo. Pół godziny później, po wypróbowaniu wielu wersji życzenia, mającego pozwolić na odkrycie tego, co knuje Malfoy, ściana dalej była tą samą ścianą bez drzwi. Harry czuł się sfrustrowany ponad ludzkie wyobrażenie. Malfoy mógł być zaledwie stopę od niego, a on dalej nie miał nawet najmniejszego strzępka wiedzy, co on tam robi. Tracąc całkowicie cierpliwość, Harry podbiegł do ściany i ją kopnął.

- AUĆ!

Pomyślał, że mógł złamać sobie palec u nogi. Kiedy trzymał się za stopę, podskakując na jednej nodze, peleryna-niewidka zsunęła się z niego.

- Harry?

Chłopak odwrócił się na jednej nodze i runął do przodu. Ku jego ogromnemu zdziwieniu, Tonks szła w jego stronę tak swobodnie, jakby regularnie przechadzała się tym korytarzem.

- Co ty tu robisz? – zapytał, gramoląc się z powrotem na nogi. Dlaczego zawsze znajdowała go leżącego na podłodze?

- Przyszłam zobaczyć się z Dumbledore'em – odpowiedziała Tonks.

Harry pomyślał, że dziewczyna wygląda okropnie. Była chudsza niż zwykle, a jej mysie włosy opadały w strąkach.

- To nie tu jest jego gabinet – powiedział chłopak - to po drugiej stronie zamku, za chimera...

- Wiem – odpowiedziała. – Nie ma go teraz. Najwyraźniej znów wyjechał.

- Naprawdę? – zapytał Harry, stawiając swą obolałą stopę delikatnie na ziemi. – Hej, podejrzewam, że nie wiesz dokąd się udał?

- Nie – odpowiedziała Tonks.

- Po co chciałaś się z nim zobaczyć?

- Nic specjalnego – rzekła, skubiąc nieświadomie rękaw szaty. – Pomyślałam po prostu, że chciałby wiedzieć, co się dzieje... Słyszałam plotki... ludzie zostają ranni...

- Taaa, wiem, wszystko było w gazetach – powiedział chłopak. – Ten mały chłopczyk próbujący

zamordować...

- *Prorok* jest często w tyle – oznajmiła Tonks, która sprawiała wrażenie, jakby go wcale nie słuchała. – Nie dostałeś ostatnio żadnych listów od członków Zakonu?

- Nikt z Zakonu już do mnie nie pisze – odpowiedział.

- Odkąd Syriusz...

Zobaczył, jak jej oczy napelniają się łzami.

- Przepraszam – mruknął niezręcznie. – To znaczy... Ja tak samo za nim tęsknię...

- Co? – zapytała bezmyślnie dziewczyna tak, jakby go wcale nie usłyszała. – Cóż... Zobaczymy się przy okazji, Harry...

Odwróciła się nagle i skierowała w dół korytarza, zostawiając Harry'ego, gapiącego się za nią. Po jakiejś minucie założył jeszcze raz pelerynę-niewidkę i ponownie próbował dostać się do Pokoju Życzeń, ale nie wkładał w to serca. W końcu burczenie w brzuchu i świadomość, że Hermiona i Ron wrócą niedługo na obiad, zmusiły go do przerwania starań i opuszczenia korytarza. Malfoy, o ile szczęście dopisze, będzie bał się za bardzo, by opuścić pokój przez kilka następnych godzin.

Znalazł swoich przyjaciół w trakcie jedzenia wczesnego obiadu.

- Udało mi się – no, po części! – powiedział Harry'emu entuzjastycznie Ron, kiedy tylko go zobaczył. – Miałem się aportować przed herbaciarnią pani Puddifoot, chybiłem troszeczkę i wylądowałem niedaleko Scrivenshafta, ale przynajmniej się ruszyłem!

- Nieźle – rzekł jego przyjaciel. – A jak tobie poszło, Hermiona?

- Och, oczywiście była idealna – odpowiedział Ron, zanim Hermiona zdążyła otworzyć usta. – Idealna dokładność, doradztwo i desperacja, czy co to tam, do cholery, było – wszyscy poszliśmy do Trzech Miotel, żeby się napić. Żebyś słyszał, jak ten Twycross o niej nawijał – zdziwię się, jeśli niedługo jej nie zapyta...

- A co u ciebie? – zapytała Hermiona, ignorując Rona. – Cały czas byłeś przy Pokoju Życzeń?

- Tak – odpowiedział Harry. – I zgadnijcie, na kogo

tam wpadłem. Na Tonks!

- Tonks? – powtórzyli Ron i Hermiona, wyglądając na zaskoczonych.

- Tak, powiedziała, że przyszła odwiedzić Dumbledore'a...

- Jeśli o mnie chodzi – powiedział Ron, kiedy Harry skończył opisywać swoją rozmowę z Tonks - to myślę, że się trochę załamała. Straciła energię po tym, co stało się w Ministerstwie.

- To trochę dziwne – powiedziała Hermiona, wyglądając z jakiegoś powodu na zmartwioną. – Ona ma strzec szkoły, dlaczego więc opuszcza swoje stanowisko, by przyjść zobaczyć się z Dumbledorem, kiedy jego tu nawet nie ma?

- Mam pewien pomysł – oznajmił niepewnie Harry. Dziwnie się czuł, mówiąc o tym. To było bardziej terytorium Hermiony niż jego. – Nie myślcie, że ona mogła być... no wiecie... zakochana w Syriuszu? Hermiona gapiła się na niego.

- Skąd ci w ogóle przyszła do głowy taka myśl?

- Nie wiem – odpowiedział chłopak, wzruszając ramionami. – Ale prawie płakała, kiedy wspomniałem jego imię... i jej patronus jest teraz wielkim, czworonożnym czymś... zastanawiam się, czy nie stał się przypadkiem... no wiecie... nim.

- To jest myśl – rzekła powoli dziewczyna. – Ale nadal nie wiem, dlaczego przyszła do zamku zobaczyć się z Dumbledorem. Jeśli naprawdę była tu z tego powodu...

- Wracamy do tego, o czym mówiłem, prawda? – powiedział Ron, wkładając sobie do ust tłuczone ziemniaki. – Śmieszna się zrobiła. Straciła energię. Kobiety... – rzekł jowialnym tonem do Harry'ego – tak łatwo jest je zmartwić.

- A jednak – oznajmiła Hermiona, otrząsając się z zadumy – wątpię, byś znalazł *kobietę*, która łąsa się przez pół godziny, ponieważ Madam Rosmerta nie zaśmiała się z jej żartu o czarownicy, uzdrowicielu i *Mimulus mibletonii*.

Ron popatrzył na nią spode łba.

Tłumaczył Półkrwi Wampir



Po pogrzebie

S krawki jasnego, błękitnego nieba zaczęły pojawiać się nad wieżyczkami zamku, lecz oznaki nadchodzącego lata nie poprawiały nastroju Harry'ego. Doznał niepowodzenia, zarówno w swoich próbach dowiedzenia się, co robi Malfoy, jak i w wysiłkach doprowadzenia do rozmowy ze Slughornem, która w jakiś sposób mogłaby doprowadzić do przekazania Harry'emu tajonego przez całe dekady wspomnienia.

- Mówię po raz ostatni, po prostu zapomnij o Malfoju – powiedziała Harry'emu stanowczo Hermione.

Po obiedzie siedzieli z Ronem w nasłonecznionym rogu dziedzińca. Hermione i Ron ściskali w rękach ulotki Ministerstwa Magii: *Częste błędy podczas aportacji i sposoby ich unikania*, ponieważ oboje przystępowali do testów jeszcze tego popołudnia. Jednak, oględnie mówiąc, ulotki nie wydawały się działać uspokajająco na ich nerwy. Ron starał się schować za Hermioną, kiedy jakaś dziewczyna zbliżyła się do ich kąta.

- To nie Lavender – powiedziała Hermione znudzonym głosem.

- O, to dobrze – odparł z ulgą Ron.
 - Harry Potter? – spytała dziewczyna. – Poproszono mnie, żebym ci to oddała.
 - Dzięki...
- Harry nie wiedział, co myśleć, kiedy wziął mały zwój pergaminu. Gdy dziewczyna nie mogła go już usłyszeć, powiedział:
- Dumbledore mówił, że nie będziemy mieli więcej lekcji, dopóki nie zdobędę tego wspomnienia!
 - Może chce sprawdzić jak ci idzie? – zasugerowała Hermiona, kiedy Harry rozwinął pergamin. Lecz zamiast długiego, wąskiego, pochylego pisma Dumbledore'a, zobaczył niechlujnie rozrzucone litery, bardzo trudne do odczytania ze względu na obecność wielkich plam na pergaminie w miejscach, w których atrament się rozmazał.

*Drodzy Harry, Ron i Hermiono,
 Aragog zmarł był zeszłej nocy. Harry i Ron, wy go spotkaliście i wiecie, jaki był wyjątkowy dla mnie, no nie? Hermiono, wiem, że ty byś go polubiła. To by znaczyło dla mnie bardzo dużo, jakbyśta wpadli na pogrzeb dziś wieczorem. Planuje urządzać go, jak zapadnie zmierzch, to była jego ulubiona pora dnia. Wiem, że nie powinniście przebywać na dworze tak późno, ale może byście użyli peleryny. Nie prosiłbym was, ale nie dam se rady sam.
 Hagrid*

- Spójrzcie na to – powiedział Harry, podając liścik Hermionie.
- Och, na miłość boską – powiedziała, przeglądając go pobieżnie i podając Ronowi, który czytał go z niedowierzaniem wypisanym na twarzy.
- Zwariował! – powiedział ze złością. – To coś powiedziało swoim znajomym, żeby zjadły Harry'ego i mnie! Powiedziało im, żeby się częstowali! I teraz Hagrid oczekuje, że pójdziemy do niego i będziemy płakać nad tym okropnym owłosionym cielskiem!
- Nie tylko o to chodzi – powiedziała Hermiona.

- Prosi nas, abyśmy opuścili zamek w nocy, a wie, że zabezpieczenia są milion razy większe, no i w jakie kłopoty możemy wpaść, jeśli ktoś nas złapie.

- Już odwiedzaliśmy go wcześniej w nocy – zauważył Harry.

- Tak, ale z takiego powodu? – powiedziała Hermiona.

- Dużo ryzykowaliśmy, żeby pomóc Hagridowi, ale przede wszystkim – Aragog nie żyje. Gdyby chodziło o uratowanie go...

- Tym bardziej nie chciałbym iść – powiedział stanowczo Ron. – Nie poznałaś go, Hermiono. Wierz mi, że bycie martwym bardzo poprawia jego wizerunek. Harry odebrał list i spojrzął na plamy atramentu, którymi był pokryty. Najwidoczniej lzy Hagrida padały gęsto i szybko na powierzchnię pergaminu...

- Harry, chyba nie myślisz o tym, żeby pójść – powiedziała Hermiona. – Ryzykowanie kary za coś takiego byłoby zupełnie bez sensu.

Harry westchnął.

- Tak, wiem – powiedział. – Myślę, że Hagrid będzie musiał pochować Aragoga bez nas.

- Zgadza się – powiedziała z ulgą Hermiona. – Słuchaj, sala eliksirów będzie prawie pusta dziś popołudniu, będziemy zdawać te nasze testy... Spróbuj trochę zmiękczyć Slughorna!

- Myślisz, że pięćdziesiąty siódmy raz przyniesie mi szczęście? – spytał gorzko Harry.

- Szczęście – powiedział nagle Ron. – Harry, to jest to – potrzebne ci szczęście!

- Co masz na myśli?

- Użyj swojego eliksiru szczęścia!

- Ron, to jest to, to jest to! – zawołała Hermiona, wyglądająca na zaskoczoną. – Oczywiście! Dlaczego o tym nie pomyślałam?

Harry zapatrzył się na nich oboje.

- Felix Felicis? – spytał. – No nie wiem... Chciałem go oszczędzać, tak jakby...

- A po co? – dopytywał się Ron z powątpiewaniem.

- Co, u licha, może być ważniejsze od tego wspomnienia, Harry? – spytała Hermiona.

Harry nie odpowiedział. Myśl o tej małej, złotej buteleczce tkwiła na skraju jego wyobraźni od jakiegoś czasu. Mgliste i niejasne plany, które obejmowały Ginny rozstającą się z Deanem i Rona cieszącego się na widok jej nowego chłopaka, fermentowały w głębi... jego umysłu, nieuświadomione, z wyjątkiem marzeń sennych lub pory między snem a przebudzeniem...

- Harry? Jesteś z nami? – spytała Hermiona.

- Co? A tak, oczywiście – odpowiedział, zbierając się w sobie. – Cóż... zgoda. Jeśli nie dam rady namówić Slughorna na rozmowę dziś popołudniu, zażyję trochę eliksiru szczęścia i spróbuję jeszcze raz wieczorem.

- No, to ustalone – stwierdziła raźnie Hermiona, wstając i wykonując zgrabny piruet. - Cel, determinacja, skupienie – wymamrotała.

- Och, przestań – usilnie prosił Ron.

- Jest mi wystarczająco niedobrze na samą myśl – szybko, schowaj mnie!

- To nie jest Lavender! – powiedziała zniecierpliwiona Hermiona, kiedy Ron zanurkował za nią, bo para innych dziewczyn pojawiła się na podwórzu.

- Świetnie – powiedział Ron, wyglądając znad ramienia Hermiony, aby sprawdzić. – A niech mnie, nie wyglądają na szczęśliwe, nie?

- To są siostry Montgomery i oczywiście, że nie są szczęśliwe. Nie słyszałeś, co spotkało ich młodszego braciszka? – spytała Hermiona.

- Szczerze mówiąc, zaczynam już nie nadążać za wiadomościami o tym, co spotkało czyichś krewnych – stwierdził Ron.

- No więc, ich brat został zaatakowany przez wilkołaka. Plotka mówi, że ich matka odmówiła pomocy śmierciożercom. W każdym razie, chłopczyk miał zaledwie pięć lat i umarł u Świętego Munga. Nie mogli go uratować.

- Umarł? – powtórzył Harry, zszokowany.

- Ale wilkołaki chyba nie zabijają, tylko zamieniają cię w jednego z nich?

- Czasami zabijają – powiedział Ron, który teraz wyglądał wyjątkowo poważnie. – Słyszałem, że tak się

dzieje, jeśli wilkołaka poniesie.

- Jak nazywa się ten wilkołak? – spytał Harry szybko.

- Cóż, plotka głosi, że był to ten Fernir Greyback – odparła Hermiona.

- Wiedziałem! To ten maniak, który lubi atakować dzieci, ten sam, o którym opowiedział mi Lupin! – powiedział Harry gniewnie.

Hermiona spojrzała na niego smutno.

- Harry, musisz zdobyć to wspomnienie – powiedziała.

- To dotyczy powstrzymania Voldemorta, prawda? Te okropne rzeczy, które się teraz dzieją, to wszystko przez niego...

Od strony zamku dał się słyszeć dzwon i Ron z Hermioną poderwali się na równe nogi z przerażonymi minami.

- Na pewno dobrze wam pójdzie – powiedział Harry do obojga, kiedy ruszyli w stronę sali wejściowej, na spotkanie z pozostałymi osobami, przystępującymi do egzaminu na aportację. – Powodzenia.

- Tobie też! – odparła Hermiona, rzucając Harry'emu znaczące spojrzenie, kiedy skierował się w stronę lochów.

Tego popołudnia na eliksirach było ich tylko trzech: Harry, Ernie i Draco Malfoy.

- Za młodzi na aportację, co? – powiedział Slughorn dobrotliwie. – Daleko jeszcze do siedemnastki?

Skinęli głowami twierdząco.

- No cóż... – powiedział Slughorn pogodnie.

- Skoro jest nas tak niewielu, zrobmy coś dla zabawy. Chcę, żebyście uwarzyli mi coś zabawnego!

- To brzmi świetnie, proszę pana – powiedział przymilnie Ernie, zacierając ręce. Z drugiej strony Malfoy nie skrzywił się nawet w uśmiechu.

- Jak pan rozumie "coś zabawnego"? – spytał zirytowany.

- Och, zaskoczcie mnie – odparł beztrzesko Slughorn.

Malfoy z pośepną miną otworzył swoje *Warzenie eliksirów dla zaawansowanych*. Było zupełnie jasne, że uważał tę lekcję za marnowanie czasu. Bez wątpienia, pomyślał Harry, obserwując go sponad własnej książki,

Malfoy żałował czasu, który inaczej mógłby spędzić w Pokoju Życzeń.

Czy to była tylko jego wyobraźnia, czy rzeczywiście Malfoy, podobnie jak Tonks, wydawał się chudszy? Z pewnością był bledszy, a jego skóra ciągle miała szary odcień, chyba dlatego, że tak rzadko ostatnimi czasy oglądał światło dzienne. Nic nie zostało z je'go samozadowolenia, podekscytowania, czy poczucia wyższości. Nic z tej buty, którą miał w ekspresie do Hogwartu, kiedy otwarcie przechwalał się misją powierzoną mu przez Voldemorta. Zdaniem Harry'ego oznaczać to mogło tylko jedno: ta misja, jakakolwiek była, nie szła zbyt dobrze.

Pocieszony tą myślą, Harry przejrzał swój egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych* i znalazł znacznie poprawioną przez Półkrwi Księcia wersję Elixiru na Wywołanie Euforii, który wydawał się nie tylko pasować do polecenia Slughorna, ale także mógł '(serce Harry'ego zabiło szybciej na tę myśl) wprowadzić Slughorna w tak dobry nastrój, że nauczyciel mógłby poczuć się gotowy do przekazania tego wspomnienia, gdyby tylko Harry namówił go na spróbowanie odrobiny.

- No, wygląda wspaniale – powiedział Slughorn półtorej godziny później, klaszcząc w dłonie, kiedy spojrzal w dół na słonecznożółtą zawartość kociołka Harry'ego.

- Euforia, zdaje się? I co to za zapach? Mmmm... dodałeś odrobinę gałązki mięty, zgadza się? Nieszablonowo, ale jaki przebłysk inspiracji, Harry. Oczywiście, to niweluje sporadyczne efekty uboczne: niepohamowaną chęć śpiewania i szczypania w nos... Napraw...dę nie wiem, skąd ci się biorą takie pomysły, mój chłopcze... chyba że – (Harry upchnął stopą głębiej książkę Księcia Półkrwi w swojej torbie) - odzywają się w tobie geny twojej matki!

- A... tak, może – odparł Harry z ulgą.

Ernie był wyraźnie w złym humorze. Zdeterminowany, aby choć raz przyćmić Harry'ego, dość w pośpiechu wymyślił swój własny eliksir, który zsiadł się i

uformował coś w rodzaju fioletowej bryły na dnie jego kociołka. Malfoy już się pakował z kwaśną miną. Slughorn ocenił jego Roztwór Czkawki na zaledwie zadowolająco.

Dzwonek zadzwonił i obaj, Ernie i Malfoy, od razu wyszli.

- Proszę pana – zaczął Harry, ale Slughorn natychmiast spojrział przez ramię, a kiedy zorientował się, że w pokoju pozostali tylko on i Harry, ruszył tak szybko, jak tylko mógł.

- Profesorze, profesorze, nie chce pan spróbować mojego elik... ? – wołał zdesperowany Harry. Ale Slughorna już nie było. Rozczarowany Harry opróżnił kociołek, spakował swoje rzeczy, wyszedł z lochów i powlókł się schodami na górę, do pokoju wspólnego.

Ron i Hermiona wrócili późnym popołudniem.

- Harry! – wołała Hermiona kiedy przeskakiwała przez dziurę za portretem. – Harry, zdałam! – Dobra robota! – powiedział. – A Ron?

- On, on po prostu oblał – wyszeptała Hermiona, kiedy Ron wszedł ociężale do pokoju, wyglądając bardzo posępnie. – To prawdziwy pech, drobiażdżek, egzaminator zauważył, że zostawił za sobą połowę brwi... Jak ci poszło ze Slughornem?

- Żadnego powodu do radości – odparł Harry, kiedy Ron do nich dołączył. – Pech, stary, ale zdasz następnym razem, możemy zdawać razem.

- Tak sędzę – powiedział Ron smętnie. – Ale połowa brwi! Jakby to miało jakieś znaczenie!

- Wiem – powiedziała Hermiona łagodnie – To było naprawdę przykre...

Spędzili większość obiadu, narzekając na egzaminatora aportacji i Ron wydawał się częściowo pocieszony, kiedy wrócili do pokoju wspólnego, dyskutując o problemie ze Slughornem i jego wspomnieniem.

- I co teraz, Harry? Masz zamiar użyć Felix Felicis, czy jak? – dopytywał się Ron.

- Sędzę, że tak będzie lepiej – powiedział Harry.

- Nie przypuszczam, żebym potrzebował wszystkiego, nie na dwanaście godzin, to nie może trwać całą noc...

Wezmę tylko lyk. Dwie, trzy godziny powinny załatwić sprawę.

- To wspaniałe uczucie, kiedy go użyjesz – powiedział Ron, zatapiając się we wspomnieniach. – Jakbyś miał całkowitą pewność, że nic nie może pójść źle.

- O czym ty mówisz? – powiedziała Hermione, śmiejąc się. – Nigdy go nie zażyłeś!

- Tak, ale myślałem, że zażyłem, czyż nie? – powiedział Ron, jakby wyjaśniał coś oczywistego. – Wychodzi na to samo...

Ponieważ dopiero co widzieli Slughorna wchodzącego do Wielkiej Sali i wiedzieli, że jedzenie może zająć mu nieco czasu, zamarudzili trochę w pokoju wspólnym. Plan zakładał, że Harry powinien pójść do gabinetu Slughorna dopiero, kiedy nauczyciel będzie miał dość czasu, aby tam wrócić. Kiedy słońce przesunęło się nad wierzchołki drzew w Zakazanym Lesie, zdecydowali, że nadeszła właściwa chwila i po dokładnym sprawdzeniu, że Neville, Dean i Seamus są w pokoju wspólnym, wślizgnęli się do dormitorium chłopców.

Harry z dna swojego kufra podniósł zwinięte skarpetki i wydobyl małą, lśniącą buteleczkę.

- No to jazda – powiedział Harry, podniósł buteleczkę i wypił ostrożnie odmierzony lyk.

- Jakie to uczucie? – wyszeptala Hermione.

Harry nie odpowiedział przez chwilę. Następnie, powoli acz całkowicie, opanowało nim radosne poczucie nieskończonych możliwości. Poczul, że zdoła zrobić wszystko, zupełnie wszystko... a wydobycie wspomnienia ze Slughorna wydało mu się nie tylko możliwe, al...e wręcz zdecydowanie proste...

Wstał przepelniony pewnością siebie.

- Wspaniale – powiedział. – Naprawdę wspaniale. Dobra, no to idę do Hagrida.

- Co? – powiedzieli razem Ron i Hermione, wyglądający na przerażonych.

- Nie, Harry – musisz iść zobaczyć się ze Slughornem, pamiętasz? – stwierdziła Hermione.

- Nie – odparł Harry, pewny swego. – Idę do Hagrida. Mam dobre przeczucie, co do odwiedzin u Hagrida.

- Masz dobre przeczucie, co do grzebania ogromnego pajaka? – spytał Ron, ze wstrząśniętą miną.

- Tak – odparł Harry, wyciągając pelerynę-niewidkę ze swojej torby. – Czuję, że to świetne miejsce na spędzenie dzisiejszego wieczoru, wiecie, co mam na myśli?

- Nie – odparli Ron i Hermiona razem, wyraźnie przestraszeni.

- To jest Felix Felicis, jak przypuszczam? – powiedziała Hermiona niespokojnie, podnosząc butelkę bliżej światła. – Nie miałeś innej buteleczki pełnej, nie wiem...

- Esencji wariactwa? – zasugerował Ron, podczas gdy Harry zarzucił pelerynę na ramiona. Kiedy się roześmiał, Ron i Hermiona wyglądali na jeszcze bardziej przerażonych.

- Zaufajcie mi – powiedział. – Wiem, co robię... a przynajmniej – powędrował ufnie w kierunku wyjścia – Felix wie.

Naciągnął pelerynę na głowę i ruszył w dół schodami, Ron i Hermiona pospieszyli za nim. Na dole Harry prześlizgnął się przez otwarte drzwi.

- Co robisz na górze z nią?! – wrzasnęła Lavender Brown, gapiąc się poprzez Harry'ego na Rona i Hermionę, wynurzających się razem z męskiego dormitorium. Harry usłyszał Rona mamroczącego coś za jego plecami, kiedy spieszył przez pokój, oddalając się od nich.

Przedostanie się przez dziurę za portretem było proste. Kiedy do niej dotarł, Ginny i Dean akurat przechodzili, więc Harry dał radę przecisnąć się między nimi. Kiedy to robił, przypadkowo otarł się o Ginny.

- Nie popychaj mnie, Dean, proszę – powiedziała zirytowana. – Zawsze to robisz. Sama świetnie daje sobie radę z przejsiem.

Zanim portret przesunął się i zamknął za nim, Harry zdążył jeszcze usłyszeć ciętą odpowiedź Deana. Kroczył przez zamek, a jego uczucie podniecenia rosło. Nie musiał się skradać, bo nie spotkał nikogo na swej drodze, co zresztą nie dziwiło go w najmniejszym

stopniu: tego wieczoru był najszcześniejszą osobą w całym Hogwarcie.

Skąd wiedział, że pójście do Hagrida było najwłaściwszą rzeczą, nie miał pojęcia. To było tak, jakby eliksir oświecał mu ścieżkę w zasięgu kilku kroków. Nie widział ostatecznego celu, nie widział, dokąd poszedł Slughorn, ale wiedział, że sam jest na dobrej drodze do zdobycia tego wspomnienia. Kiedy doszedł do sali wejściowej, zobaczył, że Filch zapomniał zamknąć główne drzwi. Harry otworzył je radośnie, odetchnął czystym powietrzem i zapachem trawy, zanim zszedł po schodach w półmrok.

Myśl o tym, że podczas wyprawy do Hagrida niezwykle miło byłoby przejść się obok grządek warzywnych, dopadła Harry'ego akurat w momencie, gdy dotarł do najniższego stopnia. Nie było to tak całkiem po drodze, ale wydawało mu się zupełnie jasne, że to zachcianka, której powinien ulec. Skierował więc swoje kroki w kierunku upraw warzywnych, gdzie z zadowoleniem, choć bez specjalnego zdziwienia, odnalazł profesora Slughorna pograżonego w konwersacji z profesorem Sprout. Harry przycupnął za niskim, kamiennym murkiem, czując w sobie pokój z całym światem i słuchając ich rozmowy.

-... naprawdę dziękuję, Pomono, za poświęcenie mi swojego czasu – powiedział dwornie Slughorn.

- Większość autorytetów zgodnie twierdzi, że najbardziej wydajne są te zbierane o zmroku.

- Och, zgadzam się całkowicie – powiedziała ciepło profesor Sprout. – Czy tyle ci wystarczy?

- Dostyc, dostyc – powiedział Slughorn, który, jak Harry zobaczył, niósł naręcze liściastych roślin.

- To wystarczy, po kilka liści dla każdego z moich trzecioklasistów i jeszcze trochę na zapas, gdyby któryś je za bardzo przydusił... tak, dobranoc i jeszcze raz wielkie dzięki!

Profesor Sprout ruszyła w otaczającej ciemności w kierunku swoich szklarni, zaś Slughorn skierował się do miejsca, w którym stał niewidoczny Harry. Ulegając naglej potrzebie ujawnienia się, Harry szerokim gestem

zrzucił z siebie pelerynę-niewidkę.

- Dobry wieczór, panie profesorze.

- Na brodę Merlina, Harry, aż podskoczyłem przez ciebie – powiedział Slughorn, zatrzymując się gwałtownie i wyglądając na zaskoczonego.

- Jak udało ci się wyjść z zamku?

- Sądzę, że Filch zapomniał zamknąć drzwi – stwierdził Harry pogodnie i był zachwycony, widząc spojrzenie Slughorna.

- Zgłoszę to, tego człowieka bardziej martwią śmieci, niż odpowiednie bezpieczeństwo, jeśli kto by mnie pytał... ale co tu właściwie robisz, Harry?

- Cóż, proszę pana, chodzi o Hagrida – odpowiedział Harry, który wiedział, że najważniejszą rzeczą będzie teraz powiedzenie prawdy. – Jest naprawdę przygnębiony, ale nikomu pan nie powie, panie profesorze? Nie chciałbym ściągnąć na niego jakichś kłopotów...

Ciekawość Slughorna ewidentnie została pobudzona

- Cóż, nie mogę tego obiecać – powiedział mrukliwie.

- Ale wiem, że Dumbledore ufa Hagridowi całkowicie, więc jestem pewien, że nie może planować niczego paskudnego.

- No więc, ten ogromny pająk, którego miał od lat... żył w Zakazanym Lesie... potrafił mówić i w ogóle...

- Słyszałem plotki o jakiejś akromantuli w Lesie – powiedział Slughorn delikatnie, patrząc na masę czarnych drzew. – A więc to prawda?

- Tak – potwierdził Harry. – Ale Aragog, pierwszy pająk, jakiego Hagrid miał, zmarł zeszłej nocy. Hagrid jest zdruzgotany. Potrzebuje towarzystwa w czasie, gdy będzie go grzebał i powiedziałem, że przyjdę.

- Wzruszające, wzruszające – powiedział Slughorn, błędząc myślami gdzie indziej, a jego duże oczy skupiły się na odległych światłach chatki Hagrida. – Ale jad akromantuli jest bardzo cenny... jeśli bestia dopiero co zdechła mogła jeszcze nie wyschnąć... oc'.....zywiście nie chciałbym zrobić czegoś gruboskórnego, jeśli Hagrid jest zmartwiony..., ale jeśli istnieje jakiś sposób, żeby zdobyć trochę... to znaczy,

jest prawie niemożliwe zdobyć jad akromantuli kiedy ta jeszcze żyje... (Slughorn wydawał się teraz mówić bardziej do siebie niż do Harry'ego.) To byłaby ogromna strata, gdyby go nie zebrać... może osiągnąć nawet sto galeonów za pół kwarty... Szczerze mówiąc moja pensja nie jest duża...

A teraz Harry wiedział już jasno, co powinien zrobić.

– Cóż... – powiedział, z bardzo przekonującym wahaniem. – Cóż, gdyby zechciał pan przyjść, profesorze, Hagrid prawdopodobnie byłby bardzo ucieszony, mogąc dać Aragowskiemu lepsze pożegnanie. Tak sądzę...

– Tak, oczywiście – odparł Slughorn, a jego oczy świeciły z entuzjazmem. – Coś ci powiem Harry, dołączę do ciebie tam na dole z butelką lub dwoma... wypijemy za tę biedną bestię – no, nie za zdrowie – ale pożegnamy ją z klasą, no w każdym razie, gdy już będzie...dzie pogrzebana. I zmienię krawat, ten wydaje mi się nieco za radosny na taką okazję...

Ruszył z powrotem do zamku, a zadowolony z siebie Harry pospieszył do Hagrida.

– No, właż – zachrypiał Hagrid, kiedy otworzył drzwi i zobaczył Harry'ego wynurzającego się spod peleryny-niewidki tuż przed nim.

– A, Ron i Hermiona nie mogli – powiedział Harry.

– Bardzo im przykro.

– Nie... nie szkodzi. By się wzruszył, że przyszedłeś, Harry...

Hagrid zalkał. Zrobił sobie czarną opaskę na ramię z czegoś, co wyglądało jak galgan wykąpany w paście do butów, a jego oczy były zapuchnięte i czerwone. Harry poklepał go pocieszająco w łokieć – była to najwyżej położona część ciała Hagrida, której mógł swobodnie dosięgnąć.

– Gdzie go pochowamy? – spytał. – W lesie?

– Cholibka, nie – odparł Hagrid, wycierając mokre oczy skrajem koszuli. – Odkąd Aragowski odszedł, pozostałe pająki nie dopuszczają mnie w pobliże swoich sieci. Okazało się, że nie zjadły mnie tylko z powodu jego rozkazu! Uwierzyłbyś, Harry?

Szczerą odpowiedzią byłoby: tak. Harry przywołał z bolesną łatwością wspomnienie sceny, kiedy on i Ron stanęli twarzą w twarz z akromantulą: było całkiem jasne, że Aragog był jedynym czynnikiem powstrzymującym resztę od zjedzenia Hagrida.

Nigdy wcześniej nie było w lesie miejsca, gdzie nie mógłbym wejść! – powiedział Hagrid, kręcąc głową.

– Nie było łatwo wyciągnąć stamtąd ciało Aragoga, powim ci, że one zwykle zjadają swoich zmarłych... ale ja chciałem, żeby miał miły pogrzeb... odpowiedni... pożegnanie...

Znowu zaniósł się szlochem i Harry znowu zaczął go poklepywać w łokieć, mówiąc przy tym (bo eliksir zdawał się wskazywać, że właśnie to powinien zrobić):

- Profesor Slughorn spotkał mnie, kiedy tu szedłem, Hagridzie.

- Nie wpadłeś przez to w kłopoty? – powiedział Hagrid, wyglądający na zaniepokojonego.

– Nie powinienesz przebywać wczoraz poza zamkiem. Ja wiem, to moja wina.

- Nie, nie. Kiedy usłyszał, co tam robiłem, powiedział, że też chciałby przyjść złożyć swoje ostatnie uszanowanie Aragogowi. Poszedł przebrać się w coś bardziej stosownego, jak sędzę... i powiedział, że przyniesie kilka butelek, żebyśmy mogli wypić za pami...ęć Aragoga...

- Serio? – spytał Hagrid, wyglądając na zdziwionego i wzruszonego. – To miło z jego strony. Nigdy wcześniej nie miałem za wiele do czynienia z Horacym Slughornem... Więc przyjdzie tu zobaczyć odejście starego Aragoga? A to by mu się podobało...

Harry prywatnie pomyślał sobie, że najbardziej Aragogowi podobałaby się w Slughornie znaczna ilość jadalnego ciała, której ten by mu dostarczył. Gdy tylko ruszył w stronę tylnego okna chaty, zaraz dostrzegł raczej przerażający widok - na zewnątrz leżał na grzbiecie ogromny, nieżywy pająk, ze skrzyconymi i poplątanymi nogami.

- Pochowamy go tutaj, Hagridzie, w twoim ogrodzie?

- Zара za grządką z dyniami, myślę – powiedział Hagrid

zdlawionym głosem. – Wykopałem już, no wiesz, grób. Pomyślałem, że możemy powiedzieć nad nim kilka miłych słów – szczęśliwe wspomnienia, no wiesz...

Jego głos lamał się i drżał. Rozległo się pukanie do drzwi, więc Hagrid obrócił się, aby je otworzyć, wydmuchując przy tym nos w swoją wielką pstrą chusteczkę. Slughorn przekroczył próg w bardzo ciemnym, czarnym krawacie i z kilkoma butelkami w rękach.

- Hagridzie – powiedział głębokim, grobowym głosem.

- Tak mi przykro z powodu twojej straty.

- To miło z twojej strony – powiedział Hagrid.

- Wielkie dzięki. I dzięki, że nie przywaliłeś Harry'emu kary.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło – powiedział Slughorn. – Smutna noc, smutna noc... gdzie jest to biedne stworzenie?

- Na zewnątrz – powiedział Hagrid drżącym głosem.

- Czy możemy... możemy zacząć?

Wszyscy trzej wyszli do ogródka za chatą. Księżyc lśnił blado za drzewami i jego promienie mieszały się ze światłem wylewającym się z Hagridowego okna, oświetlając martwe ciało Aragoga leżące na skraju solidnego dołu, obok wysokiego na dziesięć stóp kopca świeżo wykopanej ziemi.

- Imponujące – powiedział Slughorn, zbliżając się do głowy pająka, gdzie osiem mętnych oczu wpatrywało się obojętnie w niebo, a para ogromnych, zgiętych szczypiec błyszczała nieruchomo w świetle księżyca. Harry'emu wydawało się, że usłyszał brzęk butelek w momencie, gdy Slughorn przyklęknął przy szczypcach. Wyglądało to, jakby badał ogromną, owłosioną głowę.

- Nie każdy docenia, jakie one są pikne – powiedział Hagrid za plecami Slughorna. Łzy płynęły z jego napuchniętych oczu. – Nie wiedziałem, że interesujesz się stworzeniami takimi jak Aragog, Horacy.

- Interesuję się? Ależ mój drogi Hagridzie, ja je ubóstwiam – powiedział Slughorn odstępując od zwłok. Harry zobaczył błysk butelki znikającej pod

jego płaszczem. Hagrid jednak, wycierając swoje oczy po raz kolejny, nic nie zauważył.

– Teraz... czy możemy kontynuować pogrzeb?

Hagrid skinął głową i ruszył do przodu. Dźwignął gigantycznego pająka w ramiona i z głośnym chrupnięciem wtoczył go do ciemnego dołu. Ciało dosięgło dna z dość przerażającym, trzaskającym odgłosem. Hagrid znów zaczął płakać.

– Oczywiście to musi być trudne dla ciebie, który znalazł go najlepiej – powiedział Slughorn, który podobnie jak Harry, sięgał zaledwie do łokcia Hagrida, więc klepał go tak samo. – Może ja powiem kilka słów? Harry pomyślał, że Slughorn musiał zapewne zebrać sporo dobrej jakości jadu od Aragoga, bo nauczyciel miał na twarzy zadowolony uśmiešek, kiedy podszedł do brzegu dołu, a następnie powiedział swoim spokojnym, przejmującym głosem:

– Żegnaj Aragogu, królu pajęczaków, którego długa i wierna przyjaźń z tymi, którzy cię znali, nie zostanie zapomniana! Choć twe ciało zgnije, twój duch będzie trwał w cichych miejscach pełnych pajęczych nici w twoim leśnym domu. Niech twoi wieloocy potomkowie rozkwitają, a twoi ludzcy przyjaciele znajdą pocieszenie po stracie, jakiej doświadczyli.

– To było... to było... pikne! – zawył Hagrid i osunął się na stos nawozu, płacząc bardziej niż przedtem.

– No już, no już... – powiedział Slughorn, machając różdżką. Duża sterta ziemi uniosła się, a następnie upadła z głuchym odgłosem na martwego pająka i uformowała zgrabny kopiec. – Wejźmy do środka i napijmy się czegoś. Harry, złap go z drugiej strony... t.....ak jest... do góry, Hagridzie... bardzo dobrze... Usadzili Hagrida na krześle przy stole. Kiel, który podczas pogrzebu przyczaił się w swoim koszu, teraz wyszedł, przywłókł się do nich cicho i położył swoją ciężką głowę, jak zwykle, na kolanach Harry'ego. Slughorn odkorkował jedną z butelek wina, które przyniósł.

– Przetestowałem je wszystkie na obecność trucizny – zapewnił Harry'ego przelewając większość zawartości

pierwszej butelki do Hagridowego kubka wielkości wiadra i podając go właścicielowi. – Kazałem skrzatowi próbować zawartości każdej butelki, po tym, co spotkało twojego biednego przyjaciela Ruperta.

Harry wyobraził sobie wyraz twarzy Hermiony, gdyby kiedykolwiek dowiedziała się o tym wykorzystaniu skrzatów domowych i zdecydował się nigdy jej o tym nie wspominać.

- Jeden dla Harry'ego – powiedział Slughorn, dzieląc zawartość drugiej butelki między dwa kubki – i jeden dla mnie. Cóż - podniósł swój kubek wysoko

- za Aragoga.

- Za Aragoga – powiedzieli Harry i Hagrid jednocześnie.

Obaj, Slughorn i Hagrid, pili mocno. Jednak Harry, zgodnie z drogą, którą wskazywał mu Felix Felicis, wiedział, że nie wolno mu pić, udawał więc tylko, że łyknął, a następnie odstawił swój kubek z powrotem na stół przed sobą.

- Miałem go od samego jajka, no wicie – powiedział smutno Hagrid. – Kiedy się wyklął był taki malusi. Coś jak pekińczyk.

- Słodziutki – powiedział Slughorn.

- Trzymałem go w szkolnej szafce zanim... cóż...

Twarz Hagrida pociemniała i Harry wiedział dlaczego: Tom Riddle doprowadził do wyrzucenia ze szkoły Hagrida, obwinionego za otwarcie Komnaty Tajemnic. Slughorn jednak nie wyglądał na słuchającego; patrzył na sufit, z którego zwisało nieco doniczek z trawą, a także długie, jedwabne pasmo białego włosa.

- Hagridzie, czy to może włos jednoroźca?

- A tak – odparł Hagrid obojętnie. – Wypada im z ogonów, zostawiają go na gałęziach i takich tam w Lesie, no wiesz...

- Ale mój drogi kolego, wiesz, ile to jest warte?

- Używam tego do wiązania bandaży i takich tam, jeśli jakieś stworzenie się zrani – odparł Hagrid wzruszając ramionami. – Jest cholernie użyteczne... bardzo mocne, rozumiecie.

Slughorn pociągnął kolejny, duży łyk ze swojego

kubka, jego oczy dokładnie badały zawartość chaty, szukając, Harry to wiedział, więcej skarbów, które mógłby zamienić na obfity zapas miodu dojrzewającego w dębowych beczkach, kandyzowanych ananasów i aksamitnych bonzurek. Uzupełnił kubek Hagrida i swój własny, przepytywał go o stworzenia żyjące w Zakazanym Lesie i o to, jak Hagrid daje sobie radę z opieką nad nimi wszystkimi. Hagrid, który stał się wylewny pod wpływem alkoholu i przypochebnego zainteresowania Slughorna, przestał wycierać oczy i szczęśliwie pograżył się w długim wyjaśnianiu gospodarki Nieśmiałków.

Felix Felicis dał Harry'emu małego kuksańca i chłopak zauważył, że zapas napoju, który przyniósł Slughorn, szybko się kończył. Harry nie potrafił jeszcze używać Zaklęcia Napelniającego bez głośnego wypowiedzenia inkantacji, ale pomyśl, że nie byłby w stanie zrobić tego dziś w nocy, wydał mu się śmieszny. Co więcej, szeroko się do siebie uśmiechnął, kiedy niezauważony przez Hagrida ani Slughorna (teraz zajętych opowieściami o nielegalnym handlu smoczymi jajkami), skierował swoją różdżkę pod stołem na opróżniane butelki, a one natychmiast zaczęły się zapelniać.

Po jakiejś godzinie, Hagrid i Slughorn, rozpoczęli wznosić bardziej ekstrawaganckie toasty: za Hogwart, za Dumbledore'a, za wino skrzaciej roboty i za...

- Za Harry'ego Pottera! – zaryczał Hagrid, który podczas picia rozlał sobie na brodzie nieco wina ze swojego czternastego wiadra.

- Otóż to! – zawołał Slughorn nieco niewyraźnie.

- Za Parry'ego Ottera, Wybranego Chłopca, Który, hm, coś w ten deseń – wybelkotał i także osuszył swój kubek.

Niedługo potem Hagrid znowu zalał się łzami i wcisnął cały ogon jednorozca Slughornowi, który schował go do kieszeni z okrzykiem:

- Za przyjaźń! Za hojność! Za dziesięć galeonów za włos!

I wkrótce, Hagrid i Slughorn siedzieli ramię w ramię, obejmując się nawzajem, śpiewając wolną, smutną

pieśń o umierającym czarodzieju imieniem Odo.

- Aaargh, dobrzy umierają młodo – wymamrotał Hagrid, osuwając się nisko na stół i zezując odrobinę, podczas gdy Slughorn dalej śpiewał refren. – Mój tata młodo odszedł... jak i twoja mama i tata, Harry...

Wielkie, grube łzy sączyły się z kącików zmarszczonych oczu Hagrida, kiedy złapał Harry'ego za ramię i potrząsnął nim.

- Najlepsza czarownica i czarodziej w ich wieku, jakich kiedykolwiek znałem... okropne... okropne...

Slughorn śpiewał melancholijnie:

I Odo, bohater, przyniesiony do domu,

Do miejsca, które chłopcem będąc znał,

Złożony na spoczynek z kapeluszem na lewej stronie

I różdżką na pół złamaną, a przez to smutek się stał.

- Okropne... - mruknął Hagrid, a jego wielka, kudłata głowa kiwnęła się na bok i opadła na ramiona, a on zasnął, mocno chrapiąc.

- Przepraszam – powiedział Slughorn, walcząc z czkawką. – Nie zaśpiewałbym czysto, nawet gdyby chodziło o ratowanie życia.

- Hagrid nie mówił o pańskim śpiewie – powiedział cicho Harry. – Mówił o śmierci mojej mamy i mojego taty.

- Och – powiedział Slughorn, tłumiąc ogromne czknięcie. – Och, mój drogi. Tak, to było – to było naprawdę okropne. Okropne... okropne...

Wyglądał jakby zabrakło mu słów, więc powrócił do napełniania kubków.

- Nie przypuszczam, żebyś mógł to pamiętać, Harry? – spytał z zakłopotaniem.

- Nie, miałem zaledwie roczek, kiedy zmarli – powiedział Harry, patrząc na płomień świecy, drgający przy ciężkim chrapaniu Hagrida. – Ale od tamtej pory dowiedziałem się całkiem sporo o tym, co się wtedy wydarzyło. Mój tata zginął pierwszy. Wiedział pan o tym?

- Nie wiedziałem – powiedział Slughorn ściszym głosem.

- Tak, Voldemort zamordował go, a potem przeszedł

po jego ciele, w kierunku mojej mamy – powiedział Harry.

Slughorn zadygotał, ale wydawało się, że nie może oderwać przerażonego spojrzenia od twarzy Harry'ego.

- Kazał jej zejść z drogi – ciągnął Harry niewzruszenie.

- Powiedział mi, że ona nie musiała zginąć. Chciał tylko mnie. Mogła uciec.

- Och Boże – westchnął Slughorn. – Ona mogła... ona nie musiała... to straszne...

- Prawda? – powiedział Harry, głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Ale nie ruszyła się z miejsca. Tata był już martwy, ale ona nie chciała, żeby i mnie to spotkało. Próbowwała błagać Voldemorta... ale on tylko się roześmiał...

- Wystarczy! – powiedział nagle Slughorn, podnosząc drżącą rękę. – Naprawdę, mój drogi chłopcze, wystarczy... Jestem starym człowiekiem... Nie potrzebuję tego słuchać... Nie chcę tego słuchać...

- Zapomniałem – skłamał Harry, bo tak prowadził go Felix Felicis. – Pan ją lubił, prawda?

- Lubilem ją? – powiedział Slughorn, jego oczy wypełniły się łzami raz jeszcze. – Nie potrafię sobie wyobrazić, aby ktokolwiek, kto ją spotkał, jej nie polubił... bardzo odważna... bardzo zabawna... to najokropniejsza rzecz...

- Ale nie pomoże pan jej synowi – powiedział Harry.

- Ona oddała mi swoje życie, a pan nie da mi swojego wspomnienia.

Dudniące chrapanie Hagrida wypełniło chatę. Harry twardo wpatrywał się w wypełnione łzami oczy Slughorna. Wydawało się, że Mistrz Elikssirów nie jest w stanie oderwać od niego wzroku.

- Nie mów tak – wyszeptał. – To nie jest kwestia... gdyby to miało ci pomóc, oczywiście... ale tu nie ma żadnego celu...

- Jest – powiedział Harry wyraźnie. – Dumbledore potrzebuje informacji. Ja potrzebuję informacji.

Wiedział, że jest bezpieczny: Felix Felicis powiedział mu, że Slughorn nie będzie rano niczego pamiętał. Patrząc Slughornowi prosto w oczy, Harry nachylił się

lekką w jego stronę.

- Jestem Wybrańcem. Muszę go zabić. To wspomnienie jest mi potrzebne.

Slughorn zbladł bardziej niż kiedykolwiek. Jego błyszczące czoło świeciło się od potu.

- Ty jesteś Wybrańcem?

- Oczywiście, że jestem – powiedział Harry spokojnie.

- Ale jeśli tak... mój drogi chłopcze... prosisz o wielką rzecz. Prosisz mnie, faktycznie, o pomoc w twojej próbie zniszczenia...

- Nie chce się pan pozbyć czarodzieja, który zabił Lily Evans?

- Harry, Harry, oczywiście, że tak, ale...

- Boi się pan, że on się dowie, że mi pan pomagał?

Slughorn nie odpowiedział; wyglądał na przerażonego.

- Niech pan będzie odważny, jak moja mama, profesorze...

Slughorn podniósł swoją grubą rękę i przycisnął drżące palce do ust. Przez chwilę wyglądał jak niesamowicie przerośnięte dziecko.

- Nie jestem dumny – wyszeptał między palcami.

- Wstyd mi za to, co pokazuje to wspomnienie. Myślę, że mogłem spowodować tamtego dnia wiele złego.

- Wykreśli pan wszystko, cokolwiek pan zrobił, oddając mi to wspomnienie – powiedział Harry. – To byłaby bardzo odważna i szlachetna rzecz.

Hagrid drgnął przez sen i zachrapał. Slughorn i Harry patrzyli na siebie ponad topniejącą świecą. Zapadła długa cisza, ale Felix Felicis podpowiedział Harry'emu, żeby jej nie przerywał, żeby zaczekał.

Wreszcie, bardzo wolno, Slughorn włożył rękę do swojej kieszeni i wyciągnął z niej różdżkę. Drugą rękę włożył pod płaszcz i wyciągnął z niego małą, pustą butelkę. Ciągłe patrząc Harry'emu w oczy, dotknął końcem różdżki swojej skroni i odsunął ją, w taki sposób, że długa, srebrna nitka wspomnień wydostała się za nią, przyczepiona do końca różdżki. Slughorn opuścił ją do butelki, gdzie kłębiła się, a następnie rozproszyła, wirując jak gaz. Zakorkował butelkę drżącą ręką, a potem przesunął ją przez stół do

Harry'ego.

- Bardzo panu dziękuję, profesorze.

- Dobry z ciebie chłopak – powiedział profesor Slughorn. Łzy spływały po jego tłustych policzkach prosto na sumiaste wąsy. – I masz jej oczy... Tylko nie myśl o mnie zbyt źle, kiedy już to zobaczysz...

I on również złożył głowę na ramionach, westchnął głęboko i zasnął.

Tłumaczyła Wodnik



Horcruxy

Harry poczuł, że Felix Felicis przestaje działać, kiedy zakradł się z powrotem do zamku. Wrota wejściowe wciąż jeszcze nie były zamknięte na klucz, ale na trzecim piętrze trafił na Irytka i ledwie uniknął wykrzyčia, dając nura na bok, w jeden ze znanych sobie skrótów. Kiedy dotarł już na górę do portretu i ściągnął pelerynę niewidkę, nie był zdziwiony, że Gruba Dama zupełnie nie jest w nastroju do współpracy.

- No to porę sobie wybraliśmy na przychodzenie...
- Jest mi naprawdę przykro... Musiałem załatwić coś ważnego...
- Cóż, hasło zmieniło się o północy, więc będziesz musiał przespać się na korytarzu, co?
- Żartujesz sobie! - obruszył się Harry. - Dlaczego niby miałyby się zmienić o północy?
- Tak to już jest - odpowiedziała Gruba Dama. - Jeśli jesteś zły, to idź i uzgodnij to z dyrektorem. W końcu to on zwiększył zabezpieczenia.
- Rewelacja - stwierdził gorzko Harry, przyglądając się

twardej posadzce. - Naprawdę cudownie. Poszedłbym z tym do Dumbledore'a, gdyby tylko był na miejscu, bo to właśnie on chciał, żebym...

- On jest na miejscu - oznajmił głos z tyłu za Harrym.
- Profesor Dumbledore wrócił do szkoły przed godziną.

Ku Harry'emu sunął Prawie Bezgłowy Nick, z głową chwiejącą się jak zwykle ponad kryzą.

- Wiem to od Krwawego Barona, który widział jego przybycie - powiedział Nick. - Według tego, co mówił Baron, wydawał się być w dobrym nastroju, chociaż nieco zmęczony, oczywiście.

- Gdzie on jest? - spytał Harry, czując jak serce zabiło mu z radości.

- Och, jęczy i brzęczy na Wieży Astronomicznej, to jego ulubiona rozrywka...

- Nie Krwawy Baron... Dumbledore!

- A... w swoim gabinecie - powiedział Nick. - Z tego, co mówił Baron, miał jeszcze jakąś sprawę do załatwienia przed pójściem...

- Tak, ma - przerwał Harry. W jego piersi rozgorzało podniecenie na myśl o tym, jak powie Dumbledore'owi, że udało mu się zdobyć wspomnienie. Obrócił się i pognął z powrotem, ignorując okrzyki Grubej Damy.

- Wracaj! No dobra, skłamałam! Byłam zła, że mnie obudziłeś! Hasło nadal brzmi "tasiemiec"!

Ale Harry pędził już korytarzem i parę minut później już wypowiadał "eklerki z toffi" w stronę Dumbledorowego gargulca, która odskoczyła na bok, pozwalając mu wejść na spiralne schody.

- Wejść - odezwał się Dumbledore, kiedy Harry zapukał. W jego głosie słychać było wyczerpanie. Harry pchnął drzwi i otworzył je. Poza ciemnym, usianym gwiazdami niebem za oknami, gabinet dyrektora wyglądał tak jak zawsze.

- Wielkie nieba, Harry - zdziwił się Dumbledore.

- Czemu zawdzięczam tak późną wizytę?

- Proszę pana... mam to. Mam wspomnienie Slughorna. Harry wyciągnął maleńką szklaną buteleczkę i pokazał ją Dumbledore'owi. Przez chwilę dyrektor wyglądał na

oszołomionego. Potem jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Harry, to jest wspaniała wiadomość! Naprawdę spisałeś się świetnie! Wiedziałem, że ci się uda!

Zapominając najwyraźniej o późnej porze, pospiesznie obszedł biurko, chwycił buteleczkę ze wspomnieniem Slughorna w swoją zdrową dłoń i ruszył do szafki, w której stała myśłodsiewnia.

- A teraz - powiedział Dumbledore, stawiając kamienną misę na biurku i opróżniając do niej zawartość butelki - ...teraz w końcu zobaczymy. Szybko, Harry...

Harry pochylił się posłusznie nad myśłodsiewnią i poczuł jak jego stopy odrywają się od podłogi gabinetu... Po raz kolejny opadał przez ciemność i wylądował w gabinecie Horacego Slughorna sprzed wielu lat. O wiele młodszy Slughorn, o gęstych, błyszczących włosach słomkowego koloru i z rudoblond wąsem, siedział jak wtedy w wygodnym fotelu z wysokim oparciem. Jego stopy spoczywały na aksamitnej pufie, w jednej dłoni trzymał mały kieliszek wina, drugą grzebał w pudełku kandyzowanych ananasów. Wokół niego siedziało pół tuzina nastolatków, pośród których był Tom Riddle. Na jednym z palców chłopca lśnił czarno-złoty pierścień Marvola.

Dumbledore wylądował obok Harry'ego dokładnie w chwili, gdy Riddle spytał:

- Panie profesorze, czy to prawda, że profesor Merrythought odchodzi na emeryturę?

- Tom, Tom, nawet gdybym wiedział, nie mógłbym ci powiedzieć - odparł Slughorn i pogroził Riddle'owi palcem, równocześnie jednak mrugając. - Chciałbym wiedzieć, muszę przyznać, skąd ty bierzesz te informacje. Chłopcze, zdaje się, że wiesz więcej niż połowa grona nauczycielskiego.

Riddle uśmiechnął się. Pozostali chłopcy wybuchnęli śmiechem i spojrzeli na niego z podziwem.

- Jak to jest z tą twoją przedziwną umiejętnością rozpoznawania tego, czego robić nie powinienesz? I z twoim ostrożnym przypodobywaniem się ludziom,

którzy coś znaczą... swoją drogą, dziękuję za ananasa, miałeś rację, to mój ulubiony... - Kilku chłopców zachichotało znowu. - Ufam, że w ciągu dwudziestu lat zostaniesz Ministrem Magii. Piętnastu, jeśli dalej będziesz mi przysyłał ananasy. Mam doskonale kontakty w Ministerstwie.

Na twarzy Toma Riddle'a pojawił się nikły uśmiech, a pozostali wybuchnęli głośnym śmiechem. Harry zauważył, że chociaż w żadnym wypadku nie był najstarszym z chłopców, to wszyscy patrzyli na niego jak na swego przywódcę.

- Nie wiem, czy polityka będzie mi odpowiadać, proszę pana - odezwał się, gdy śmiechy ucichły. - Na pewno nie mam odpowiedniej przeszłości.

Kilkoro chłopców wkoło niego wymieniło głupawe uśmiešky. Harry był pewien, że żartowali sobie, bez wątpienia na temat tego, co wiedzieli lub podejrzewali odnośnie słynnego przodka przywódcy ich gangu.

- Nonsens - zaproponował energicznie Slughorn.

- Przecież to jasne, że pochodzisz z porządnego czarodziejskiego rodu. Z takimi umiejętnościami? Nie, zajdziesz daleko, Tom, jeszcze nigdy nie pomyliłem się co do mojego ucznia.

Mały złoty zegar, stojący na biurku za plecami Slughorna, wybił godzinę jedenastą. Profesor obejrzał się.

- Wielkie nieba, to już ta pora? Lepiej już idźcie, chłopcy, bo wszyscy znajdziemy się w opałach. Lestrangle, do jutra chcę to wypracowanie, albo będzie szlaban. To samo tyczy ciebie, Avery.

Jeden za drugim, chłopcy opuszczali gabinet. Slughorn dźwignął się z fotela i odniósł pusty kieliszek na biurko. Dostrzegając ruch za plecami, obejrzał się. Riddle nadal stał w miejscu.

- Pospiesz się, Tom, nie chciałbyś chyba być przyłapany po godzinach. Do tego jesteś prefektem...

- Proszę pana, chciałem o coś pana spytać.

- Zatem pytaj, mój chłopcze, pytaj...

- Proszę pana, zastanawiałem się, czy wie pan coś o... o horcruxach.

Slughorn zapatrzył się w niego. Jego grube palce w roztargnieniu zacisnęły się na nóżce kieliszka do wina.

- Projekt na obronę przed czarną magią, co?

Ale Harry mógł przysiąc, że Slughorn wiedział doskonale, że nie jest to szkolne zadanie.

- Nie bardzo, proszę pana - odpowiedział Riddle.

- Wpadłem na to określenie czytając i nie do końca je rozumiałem.

- Nie... no cóż... miałbyś problem ze znalezieniem w Hogwarcie książki, która wyjaśniłaby ci szczegóły na temat horcruxów, Tom. To bardzo mroczne sprawy, bardzo mroczne zaiste - rzekł Slughorn.

- Ale pan oczywiście wie o nich wszystko, proszę pana? Chciałem powiedzieć, taki czarodziej jak pan... to znaczy, przepraszam, oczywiście jeśli nie może mi pan powiedzieć... po prostu pomyślałem, że jeśli ktokolwiek jest mi w stanie coś powiedzieć, to pan... więc pomyślałem, że...

To było świetnie zagrane, pomyślał Harry. Wahanie, zwykły ton głosu, ostrożne pochlebstwo - w żadnym nie było przesady. On sam miał zbyt wiele doświadczenia w próbach wydobywania informacji z opornych ludzi, by nie rozpoznać mistrza w działaniu. Był pewien, że Riddle pragnął tej informacji ze wszystkich sił. Być może przygotowywał się do tej chwili przez całe tygodnie.

- Cóż... - odezwał się Slughorn, nie spoglądając na Riddle'a, ale bawiąc się bezmyślnie wstążką umieszczoną na przykrywce pudełka z kandyzowanymi ananasami. - Oczywiście nie zaszkodzi opowiedzieć ci o tym pokrótce. Tak, byś zrozumiał znaczenie tego terminu. Horcrux jest słowem używanym dla określenia przedmiotu, w którym jakaś osoba ukryła fragment swojej duszy.

- Nie bardzo jednak rozumiem, jak to działa, proszę pana - powiedział Riddle.

Ostrożnie kontrolował głos, ale Harry wyczuł w nim podekscytowanie.

- Bo widzisz, rozdzielasz swoją duszę - wyjaśnił Slughorn - i ukrywasz jej fragment w jakimś

przedmiocie poza ciałem. Wtedy nawet, gdy ciało zostanie zaatakowane lub zniszczone, nie możesz umrzeć, bo część twojej duszy pozostaje na ziemi nieuszkodzona. Ale oczywiście istnienie w takiej formie...

Twarz Slughorna wykrzywiła się i Harry przypomniał sobie słowa, które usłyszał niemal dwa lata wcześniej: *Zostałem wyrwany z mego ciała, nie byłem nawet duchem... ale nadal żyłem.*

- ...niewielu by tego chciało, Tom, niewielu. Już lepsza byłaby śmierć.

Ale pragnienie Riddle'a było już teraz widoczne. Na jego twarzy odmalowało się pożądanie i nie był w stanie już dłużej skrywać swoich pragnień.

- W jaki sposób podzielić swoją duszę?

- Cóż - zaczął Slughorn z zakłopotaniem - musisz zrozumieć, że dusza z założenia ma pozostawać w całości, nietknięta. Dzielenie jej jest aktem zbezczeszczenia, jest wbrew naturze.

- Ale jak tego dokonać?

- Poprzez akt zła... wyjątkowy akt zła. Poprzez popełnienie morderstwa. Zabijanie rozdziera duszę. Czarodziej zamierzający stworzyć horcrux wykorzysta to rozdarcie dla swoich celów. Uwięzi oderwany fragment...

- Uwięzi? Ale jak..?

- Jest ku temu zaklęcie, nie pytaj mnie, ja go nie znam - odpowiedział Slughorn potrząsając głową jak stary słoń opędzający się od komarów. - Czy ja wyglądam, jakbym je wypróbował... czy ja wyglądam jak morderca?

- Nie, proszę pana, oczywiście, że nie - zaprzeczył szybko Riddle. - Przepraszam... nie chciałem pana obrazić...

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi, nie obraziłeś - burknął Slughorn. - To naturalne być ciekawym tych spraw... Czarodziejów pewnego formatu zawsze pociągał ten aspekt magii...

- Tak, proszę pana - powiedział Riddle. - Jednak jeszcze coś czego nie rozumiem... tak z ciekawości... to znaczy, czy z jednego horcruxu byłby jakiś pożytek?

Czy duszę można rozdzielić tylko raz? Czy nie byłoby lepiej, czy nie uczyniłoby to czarodzieja silniejszym, gdyby jego dusza była w większej liczbie kawałków? No, na przykład, czy to nie siedem jest najpotężniejszą magiczną liczbą? Czy siedem nie...

- Na brodę Merlina, Tom! - zawył Slughorn. - Siedem! Czy nie wystarczająco złe jest myślenie o zabiciu jednej osoby? I tak czy siak... samo dzielenie duszy jest złe... a rozrywanie jej na siedem kawałków...

Slughorn wyglądał teraz na bardzo zaniepokojonego. Wpatrywał się w Riddle'a, jakby nigdy wcześniej nie widział go wyraźnie i Harry czuł, że profesor żałuje, iż w ogóle wdał się w tę konwersację.

- Oczywiście - wymamrotał - wszystko to o czym dyskutujemy, jest tylko hipotetyczne, prawda? Czysto naukowe...

- Tak, oczywiście, proszę pana - odpowiedział szybko Riddle.

- Ale tak czy siak, Tom... nie mów nikomu o tym, co ci powiedziałem... to znaczy, o czym rozmawialiśmy. Ludziom nie podobałoby się to, że rozmawialiśmy o horcruxach. Wiesz, to zakazany temat w Hogwarcie... Dumbledore jest szczególnie uczulony na te sprawy...

- Nie powiem ani słowa, proszę pana - powiedział Riddle i wyszedł. Harry przelotnie uchwycił wyraz jego twarzy, na której malowało się to samo dzikie szczęście, które widział już u niego w chwili, gdy Riddle po raz pierwszy dowiedział się, że jest czarodziejem. Ten sam rodzaj szczęścia, który nie upiększał jego przystojnej twarzy, ale który w jakiś sposób czynił ją mniej ludzką...

- Dziękuję, Harry - odezwał się cicho Dumbledore.

- Chodźmy...

Kiedy Harry wylądował z powrotem na podłodze gabinetu Dumbledore'a, ten już siedział za swoim biurkiem. Harry usiadł również i czekał, aż dyrektor przemówi.

- Liczyłem na taki dowód od bardzo dawna - odezwał się w końcu Dumbledore. - To potwierdza teorię, nad którą pracowałem, pokazuje zarówno, że mam rację,

jak i że daleka droga jeszcze przed nami...

Harry nagle zauważył, że wszyscy, co do jednego, dawni dyrektorowie i dyrektorki, rozbudzeni, przysłuchują się ich rozmowie ze swych portretów na ścianach. Pękaty czarodziej z czerwonym nosem właśnie przyłożył nawet tubę do ucha.

- No dobrze, Harry - powiedział Dumbledore - jestem pewien, że zrozumiałeś znaczenie tego, co właśnie słyszeliśmy. Będąc w twoim wieku, z dokładnością do kilku miesięcy, Tom Riddle robił już wszystko, by znaleźć sposób na uczynienie siebie nieśmiertelnym.

- Myśli pan zatem, że mu się udało? - spytał Harry.

- Stworzył horcrux? I to dlatego nie zginął, kiedy zaatakował mnie? Miał gdzieś schowany horcrux? Fragment jego duszy był bezpieczny?

- Fragment... albo i więcej - odparł Dumbledore.

- Słyszałeś Voldemorta. Co szczególnie chciał wyciągnąć od Horacego, to opinia, co stałoby się z czarodziejem, który stworzył więcej niż jeden horcrux. Z czarodziejem tak mocno pragnącym uniknąć śmierci, że gotów byłby zamordować kilkakrotnie, raz za razem rozdzierać swą duszę, by móc ją przechowywać w wielu oddzielnie ukrywanych horcruxach. Żadna książka nie udzieliłaby mu takiej informacji. Z tego co wiem... z tego co, jestem pewien, wiedział Voldemort... żaden czarodziej nigdy nie rozdarł swej duszy na więcej niż dwoje.

Dumbledore przerwał na chwilę porządkując myśli, po czym powiedział:

- Cztery lata temu otrzymałem coś, co uznałem za oczywisty dowód na to, że Voldemort rozdzielił swą duszę.

- Gdzie? - spytał Harry. - Jak?

- Ty mi go wręczyłeś, Harry - wyjaśnił Dumbledore.

- Pamiętnik, pamiętnik Riddle'a. Ten, który zawierał instrukcje ponownego otwarcia Komnaty Tajemnic.

- Nie rozumiem, proszę pana - powiedział Harry.

- Cóż, mimo iż nie widziałem Riddle'a, który wyszedł z dziennika, to co mi opisałeś było zjawiskiem, jakiego nigdy nie doświadczyłem. Zwykle wspomnienie, które

zaczyna działać i myśleć? Zwykle wspomnienie wysysające życie z dziewczynki, w której ręce wpadł notes? Nie, wewnątrz tej książki musiało być coś o wiele groźniejszego... Fragment duszy, byłem tego niemal pewien. Pamiętnik był horcruxem. Ale to stawiało tyle samo pytań, ile wyjaśniało. Co mnie najbardziej zaintrygowało i zaniepokoiło, to że pamiętnik w zamierzeniu miał być nie tylko zabezpieczeniem, ale i bronią.

- Nadal nie rozumiem - stwierdził Harry.

- No dobrze, działał tak, jak powinien działać horcrux. Innymi słowy, fragment duszy ukryty wewnątrz był bezpieczny i niewątpliwie odegrał swoją rolę w uchronieniu jego właściciela przed śmiercią. Ale nie było wątpliwości, że Riddle chciał, by jego pamiętnik został przeczytany. Chciał, by fragment jego duszy zamieszkał w czymś ciele lub opętał kogoś, by potwór Slytherina ponownie został wypuszczony.

- Widać nie chciał, by jego ciężka praca poszła na marne - odezwał się Harry. - Chciał, by ludzie wiedzieli, że był dziedzicem Slytherina, bo w tamtym czasie nie mógł się tym pochwalić.

- Całkiem słuszna uwaga - przytaknął Dumbledore.

- Ale czy nie widzisz, Harry, że skoro zamierzał przekazać pamiętnik jakiemuś uczniowi Hogwartu, to nie zależało mu za bardzo na cennym fragmencie jego duszy, ukrytym wewnątrz niego. Celem horcruxu, jak wyjaśnił profesor Slughorn, jest trzymanie fragmentu siebie w bezpiecznym ukryciu, a nie podrzucanie go komuś i ryzykowanie możliwości zniszczenia go, co faktycznie miało miejsce. Ten fragment jego duszy już nie istnieje. Ty sam o to zadbałeś.

- Beztraska, z jaką Voldemort potraktował ten horcrux, wydała mi się bardzo złowieszcza. Sugerowała ona, że Voldemort musiał stworzyć.. albo planował stworzyć... więcej horcruxów, tak by utrata tego pierwszego nie przyniosła mu zbyt dużej szkody. Nie chciałem w to uwierzyć, jednak nic innego nie miało sensu. A wtedy ty, dwa lata później, opowiedziałeś mi, że nocą, której Voldemort powrócił do swego ciała,

wypowiedział do swoich śmierciożerców zdanie, które wyjaśniało wszystko i przyprawiało o jeszcze większy niepokój. "Ja, który zaszedłem dalej niż ktokolwiek na drodze do nieśmiertelności". Zgodnie z twoimi słowami, to wtedy powiedział. "Dalej niż ktokolwiek!" I pomyślałem, iż wiem, co to oznacza, chociaż śmierciożercy nie wiedzieli. On odnosił się do swoich horcruxów, horcruxów w liczbie mnogiej, Harry, czego nigdy nie osiągnął żaden inny czarodziej. Wszystko pasowało. W miarę upływu lat Lord Voldemort stawał się coraz mniej ludzki i przemiana, którą przechodził, mogła być wytłumaczona tylko tym, że jego dusza została okaleczona ponad to, co możemy nazwać "zwykłym złem"...

- A więc, mordując innych ludzi uczynił siebie niemożliwym do zabicia? - spytał Harry. - Ale skoro był taki zainteresowany nieśmiertelnością, to dlaczego nie mógł zrobić Kamienia Filozoficznego, albo chociaż ukraść jakiegoś?

- No cóż, wiemy, że właśnie to próbował zrobić pięć lat temu - odparł Dumbledore. - Ale myślę, że jest kilka powodów, dla których Kamień Filozoficzny przemawiał do Lorda Voldemorta słabiej niż horcruxy. Pomimo iż Elixir Życia faktycznie przedłuża życie, trzeba go pić regularnie, przez całą wieczność, jeśli pijący chce podtrzymywać nieśmiertelność. W ten sposób Voldemort byłby całkowicie zależny od Eliksiru, a gdyby ten się skończył lub został zanieczyszczony, albo gdyby ktoś ukrał Kamień, wtedy Voldemort umarłby jak każdy inny człowiek. Pamiętasz, że Voldemort lubi działać sam. Sądzę, że myśl o byciu zależnym, choćby od Eliksiru, była dla niego nie do zniesienia. Oczywiście był gotów go pić, gdyby miało go to wyrwać z tego przerażającego pół-życia, na które został skazany po ataku na ciebie. Ale robiłby to tylko dla odzyskania ciała. A potem, jestem przekonany, dalej polegałby na horcruxach. Mogąc odzyskać ludzki kształt, nie potrzebowałby niczego więcej. Widzisz, już wtedy był nieśmiertelny... albo przynajmniej tak bliski nieśmiertelności, jak człowiek

może być. Ale teraz, Harry, uzbrojeni w tę informację, kluczowe wspomnienie, które udało ci się dla nas zdobyć, jesteśmy bliżej sekretu pokonania Lorda Voldemorta, niż był ktokolwiek wcześniej. Sam słyszałeś, Harry, *Czy nie byłoby lepiej, czy nie uczyniłoby to czarodzieja silniejszym, gdyby jego dusza była w większej liczbie kawałków? No, na przykład, czy to nie siedem jest najpotężniejszą magiczną liczbą...? Czy to nie siedem jest najpotężniejszą magiczną liczbą...?* Tak, myślę, że pomysł duszy podzielonej na siedem części bardzo by odpowiadał Voldemortowi.

- Stworzył siedem horcruxów? - spytał przerażony Harry. Od strony portretów na ścianach dobiegły szmery zdumienia i gniewu. - Ale przecież one mogą być gdziekolwiek na świecie... schowane... pogrzebane albo niewidzialne...

- Cieszę się, że doceniasz powagę sytuacji - odpowiedział spokojnie Dumbledore. - Ale po pierwsze, nie, Harry, nie siedem horcruxów. Sześć. Siódma część jego duszy, choć okaleczona, znajduje się wewnątrz jego zregenerowanego ciała. To był ten fragment, który żył jako duch przez tak wiele lat jego wygnania. Bez niego nie jest sobą w ogóle. Ten siódmy fragment jego duszy musi być ostatnim, jaki osoba chcąc zabić Voldemorta zaatakuje. Fragment, który żyje w jego własnym ciele.

- Ale w takim razie te sześć horcruxów - odezwał się Harry głosem, w którym brzmiała nuta desperacji - jak niby mamy je znaleźć?

- Zapominasz o czymś... zniszczyłeś już jeden z nich. A ja zniszczyłem drugi.

- Naprawdę? - ucieszył się Harry.

- Tak, naprawdę - odparł Dumbledore i uniósł swą poczerniałą, wyglądającą na spaloną, dłoń. - Pierścień, Harry. Pierścień Marvola. Na nim też ciążyła potworna klątwa. I gdyby nie moje, wybac mi tu brak właściwej skromności, ogromne umiejętności i błyskawiczna reakcja profesora Snape'a, gdy wróciłem do Hogwartu ciężko ranny, być może nie siedziałbym tu z tobą, opowiadając ci o tym. Jednak uschnięta dłoń nie

wydaje się być nierozsądną ceną za siódmą część duszy Voldemorta. Pierścień nie jest już horcruxem.

- Ale jak go pan znalazł?

- Cóż, jak już teraz wiesz, od wielu lat moim celem jest odkrycie jak najwięcej na temat przeszłości Voldemorta. Mnóstwo podróżowałem, odwiedzając miejsca, które niegdyś znał. Trafiłem na pierścień ukryty w ruinach domu Gauntów. Wygląda na to, że gdy Voldemortowi udało się zamknąć fragment swojej duszy w jego wnętrzu, nie chciał go już więcej nosić. Ukrył go i otoczył wieloma potężnymi zaklęciami w chacie, w której przed laty żyli jego przodkowie. Morfin, oczywiście, w tym czasie był już odstawiony do Azkabanu. Voldemort nigdy nie przypuszczał, że któregoś dnia zadam sobie trud odwiedzenia tych ruin i że będę szukał śladów magicznych kryjówek.

- Jednak nie powinniśmy sobie jeszcze gratulować. Ty zniszczyłeś pamiętnik, ja zniszczyłem pierścień, ale jeśli mamy rację co do naszej teorii o istnieniu siedmiu części duszy, to pozostają jeszcze cztery horcruxy.

- I mogą być czymkolwiek? - spytał Harry. - To mogą być... stare metalowe puszki, albo, no nie wiem, puste butelki po eliksirach?

- Masz na myśli świstokliki, Harry, które muszą być zwykłymi przedmiotami, łatwymi do przeoczenia. Ale czy Lord Voldemort użyłby puszek albo starych butelek jako strażników jego własnej, cennej duszy? Zapominasz o tym, co ci pokazałem. Lord Voldemort lubił kolekcjonować trofea, a do tego wolał przedmioty z potężną magiczną historią. Jego duma, jego wiara we własną wyższość, jego dążenie do zdobycia sobie wstrząsającego miejsca w magicznej historii - te rzeczy podsunęły mi, że Voldemort uważnie wybierałby swoje horcruxy, preferując przedmioty warte tego honoru.

- Pamiętnik nie był niczym szczególnym.

- Pamiętnik, jak sam powiedziałeś, był dowodem na to, że był dziedzicem Slytherina. Jestem pewien, że Voldemort uznał go za niezmiernie ważny.

- A pozostałe horcruxy? - spytał Harry. - Myśli pan, że wie czym one są, dyrektorze?

- Mogę jedynie zgadywać - odpowiedział Dumbledore.
- Z powodów, które już podałem, wierzę, że Lord Voldemort wolałby wybrać przedmioty, które same w sobie są pewną wartością. Dlatego też przeszesałem przeszłość Voldemorta, by przekonać się, czy znajde dowód na to, że takie artefakty znikaly w jego obecności.

- Medalion! - krzyknął Harry. - Puchar Hufflepuff!

- Tak - uśmiechnął się Dumbledore - gotów byłbym postawić, może nie moją drugą dłoń, ale parę palców, że staly się one trzecim i czwartym horcruxem. Pozostałe dwa, zakładając raz jeszcze, że stworzył ich łącznie sześć, stanowią większy problem, ale zaryzykuje stwierdzenie, że mając przedmioty od Hufflepuff i Slytherina, postanowił odszukać przedmioty, które były własnością Gryffindora i Ravenclaw. Cztery przedmioty należące do czterech założycieli z pewnością wywarłyby olbrzymi wpływ na wyobraźnię Voldemorta. Nie potrafię stwierdzić, czy udało mu się znaleźć coś, co należało do Ravenclaw. Jestem jednak pewien, że jedyna znana relikwia po Gryffindorze pozostaje nietknięta.

Dumbledore wskazał poczerniałymi palcami na ścianę za swymi plecami, gdzie w oszklonej szafce spoczywał zdobiony rubinami miecz.

- Myśli pan, że to dlatego tak naprawdę chciał wrócić do Hogwartu, profesorze? - spytał Harry.

- By spróbować odnaleźć coś, co należało do jednego z pozostałych założycieli?

- Dokładnie tak pomyślałem - odparł Dumbledore.

- Ale to, niestety, nie posuwa nas wiele naprzód, bo został odrzucony i wierzę, że nie miał okazji przeszukania szkoły. Zmuszony jestem wnioskować z tego, że nigdy nie udało mu się spełnić jego ambicji posiadania przedmiotów należących do czworga założycieli. Z pewnością miał dwa, być może znalazł trzeci, ale to wszystko, co wiemy na teraz.

- Nawet jeśli udało mu się zdobyć coś, co należało do Ravenclaw albo do Gryffindora, to nadal zostaje szósty horcrux - powiedział Harry wyliczając na palcach. -

Chyba, że zdobył oba?

- Nie wydaje mi się - stwierdził Dumbledore. - Myślę, że wiem, co jest szóstym horcruxem. Zastanawiam się, co powiesz, kiedy przyznam ci się, że przez pewien czas interesowało mnie zachowanie węża, Nagini.

- Węża? - spytał zaskoczony Harry. - To zwierząt też można użyć jako horcruxów?

- Cóż, jest to niewskazane - odpowiedział Dumbledore - ponieważ powierzenie części swej duszy czemuś, co samo potrafi myśleć i poruszać się, jest bardzo ryzykowną sprawą. Jednak, o ile moje rachuby są słuszne, Voldemortowi wciąż do szczęścia brakowało przynajmniej jednego horcruxu, kiedy wkroczył do domu twoich rodziców z zamiarem zabicia cię. Wygląda na to, że zachował proces tworzenia horcruxów na szczególnie znaczące śmierci. Twoja na pewno by do nich należała. Wierzył, że zabijając ciebie, niszczy niebezpieczeństwo nakreślone przez przepowiednię. Wierzył, że uczyni siebie niepokonanym. Jestem przekonany, że wraz z twoją śmiercią zamierzał stworzyć ostatni horcrux. Jak wiemy, nie udało mu się. Jednak po kilku latach przerwy, wykorzystał Nagini do zabicia mugolskiego staruszka i być może wtedy przyszło mu na myśl, by zmienić ją w ostatni horcrux. Ona podkreśla jego powiązania ze Slytherinem, co uwydatnia mistycyzm Lorda Voldemorta. Myślę, że lubi ją bardziej niż cokolwiek innego. Z pewnością lubi trzymać ją przy sobie i najwyraźniej ma nad nią niezwykłą kontrolę, nawet jak na wężoustego.

- Więc - zaczął Harry - pamiętnika już nie ma, pierścienia nie ma. Kielich, medalion i wąż pozostają nietknięte. I myśli pan, że może być jeszcze horcrux, który niegdyś należał do Ravenclaw albo do Gryffindora?

- Tak, wspaniale zwięzłe i dokładne podsumowanie

- Dumbledore skinął głową.

- Więc... nadal ich pan szuka, profesorze? To po to pan wyjeżdża, opuszczając szkołę?

- Dokładnie - odpowiedział Dumbledore. - Szukam ich od bardzo dawna. Myślę... że być może jestem blisko

znalezienia kolejnego. Mamy obiecujące wskazówki.

- A jeśli już pan znajdzie - spytał szybko Harry

- czy będę mógł iść z panem i pomóc się tego pozbyć?

Dumbledore przyglądał się bacznie Harry'emu przez moment i odpowiedział:

- Tak, tak mi się wydaje.

- Naprawdę? - spytał kompletnie zaskoczony Harry.

- O tak - Dumbledore uśmiechnął się lekko. - Myślę, że na to zasłużyłeś.

Harry poczuł, jak jego serce podskoczyło. Cudownie było choć raz nie usłyszeć słów na temat ostrożności i bezpieczeństwa. Dyrektorowie i dyrektorki na ścianach dookoła byli chyba mniej wyrozumiali dla decyzji Dumbledore'a. Harry zauważył, że kilkoro z nich potrząsało głowami, a Fineas Nigellus nawet prychnął.

- Czy Voldemort wie, kiedy horcrux zostaje zniszczony, proszę pana? Czy on to czuje? - spytał Harry, ignorując portrety.

- Bardzo interesujące pytanie, Harry. Sądzę, że nie. Sądzę, że Voldemort jest teraz tak pogrążony w złe, a te istotne fragmenty jego samego były odłączone od niego na tyle długo, że on nie odczuwa tak jak my. Być może w chwili śmierci pojmie swoją stratę... ale przykładowo nie był świadom tego, że pamiętnik został zniszczony, dopóki nie wydusił prawdy z Lucjusza Malfoya. Powiedziano mi, że kiedy Voldemort odkrył, iż pamiętnik został zniszczony i pozbawiony swoich mocy, jego gniew był potworny.

- Ale myślałem, że chciał, by Lucjusz Malfoy przemycił go do Hogwartu?

- Tak, chciał, przed laty, kiedy był pewien, że będzie w stanie stworzyć więcej horcruxów. Ale mimo to Lucjusz miał czekać na znak od Voldemorta, a nigdy go nie otrzymał, jako że Voldemort znikł niedługo po tym, jak przekazał mu pamiętnik. Bez wątpienia sądził, że Lucjusz nie ośmieliłby się zrobić nic innego z horcruxem, jak tylko strzec go uważnie. Ale za bardzo liczył na strach Lucjusza przed panem, który zniknął na całe lata. Lucjusz wierzył, że Voldemort nie żyje. Rzecz jasna Lucjusz nie miał pojęcia, czym tak

naprawdę był pamiętnik. Z tego, co rozumiem, Voldemort powiedział mu, że Komnata Tajemnic zostanie otwarta dzięki pamiętnikowi, bo tak został sprytnie zaczarowany. Gdyby Lucjusz wiedział, że w jego dłoniach spoczywa fragment duszy jego pana, z pewnością traktowałby go z o wiele większą czcią. Ale zamiast tego pospieszył się i wykorzystał stary plan do własnych celów. Podkładając pamiętnik córce Artura Weasleya miał nadzieję za jednym zamachem zdyskredytować Artura i pozbyć się mocno obciążającego magicznego przedmiotu. Och, biedny Lucjusz... Najpierw furia Voldemorta wynikająca z tego, że wyrzucił horcrux dla własnego zysku, potem fiasko w Ministerstwie w ubiegłym roku... Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że w tej chwili Lucjusz Malfoy w głębi ducha jest zadowolony z bezpiecznego pobytu w Azkabanie.

Harry siedział przez chwilę w zamyśleniu, po czym spytał:

- Więc jeśli wszystkie jego horcruxy zostaną zniszczone, Voldemorta będzie można zabić?

- Tak myślę - odpowiedział Dumbledore. - Bez swoich horcruxów Voldemort będzie zwykłym śmiertelnikiem z okaleczoną i osłabioną duszą. Nie zapominaj jednak nigdy, że choć jego dusza może być nieodwracalnie uszkodzona, to jego mózg i magiczne moce pozostają nietknięte. Nawet bez horcruxów potrzeba będzie niezwykłych umiejętności i mocy, by zabić takiego czarodzieja jak Voldemort.

- Ale ja nie mam żadnych niezwykłych umiejętności ani mocy - wyrwało się Harry'emu, nim zdołał się powstrzymać.

- Owszem, masz - odpowiedział stanowczo Dumbledore. - Masz moc, której Voldemort nigdy nie miał. Potrafisz...

- Wiem! - zniecierpliwil się Harry. - Potrafię kochać!

- I z wielkim trudem powstrzymał się przed dodaniem "Wielka mi rzecz!"

- Tak, Harry, potrafisz kochać - powiedział Dumbledore, który zdawał się wiedzieć doskonale, co

Harry chciał dodać. - Co, biorąc pod uwagę wszystko, co ci się przytrafiło, jest wielką i nadzwyczajną rzeczą. Wciąż jesteś zbyt młody, by zrozumieć, jak niezwykle jesteś, Harry.

- Więc kiedy proroctwo wspomniało, że będę miał *moc, jakiej Czarny Pan nie zna*, chodziło po prostu o... miłość? - spytał Harry, lekko zawiedziony.

- Tak, po prostu miłość - odparł Dumbledore.

- Ale, Harry, nie zapominaj nigdy, że to, co głosi proroctwo, ma znaczenie tylko dlatego, że Voldemort sprawił, by tak było. Powiedziałem ci to pod koniec zeszłego roku szkolnego. Voldemort wybrał ciebie jako osobę, która będzie stanowić dla niego największe zagrożenie. I właśnie dokonując tego wyboru sprawił, że stałeś się osobą najbardziej dla niego niebezpieczną.

- Ale to wszystko sprowadza się do...

- Nie, Harry, nie sprowadza się do tego samego! - teraz i w głosie Dumbledore'a dało się słyszeć zniecierpliwienie. Wskazując na Harry'ego swoją czarną, uschniętą dłoń powiedział: - Za bardzo kierujesz się słowami proroctwa.

- Ale... - wymamrotał Harry. - Ale powiedział pan, że proroctwo oznacza...

- Czy gdyby Voldemort nigdy nie usłyszał o proroctwie, spełniłoby się ono? Czy miałyby jakiegokolwiek znaczenie? Oczywiście, że nie. Myślisz, że każde proroctwo z Sali Przepowiedni spełniło się?

- Ale w zeszłym roku powiedział pan, że jeden z nas będzie musiał zabić drugiego... - powiedział zdezorientowany Harry.

- Harry, Harry, tylko dlatego, że Voldemort popełnił śmiertelny błąd i posłuchał słów profesor Trelawney. Gdyby Voldemort nigdy nie zamordował twojego ojca, czy zasiałby w tobie to zaciekle pragnienie zemsty? Oczywiście, że nie! Gdyby nie zmusił twej matki do oddania za ciebie życia, czy dałby ci tę magiczną osłonę, której nie jest w stanie przebić? Oczywiście, że nie, Harry! Nie rozumiesz? Voldemort sam sobie stworzył najgorszego wroga. Dokładnie tak, jak to robią tyrani na całym świecie! Czy zdajesz sobie

sprawę, jak bardzo tyrani obawiają się ludzi, których uciskają? Wszyscy zdają sobie sprawę, że pewnego dnia pośród ich ofiar znajdzie się ktoś, kto stanie przeciwko nim i zechce odplacić za wyrządzone krzywdy! Voldemort niczym się od nich nie różni! Zawsze szukał kogoś, kto rzuciłby mu wyzwanie. Usłyszał przepowiednię i zaczął działać, tyle że w ten sposób nie tylko wybrał osobę, która ma szansę go zniszczyć, ale i wręczył jej wyjątkowo zabójczą broń!

- Ale...

- Bardzo ważne, byś to zrozumiał! - powiedział Dumbledore. Wstał i ruszył przez pokój, szeleszcząc swymi błyszczącymi szatami. Harry jeszcze nigdy nie widział go tak poruszonego. - Próbując cię zabić, Voldemort sam wyznaczył niezwykłego człowieka, który siedzi tu teraz przede mną i dał mu do ręki narzędzia potrzebne do wykonania tej roboty! To wina Voldemorta, że byłeś w stanie widzieć jego myśli, jego ambicje, nawet to, że rozumiesz język węzów, w którym wydaje polecenia. A mimo to, Harry, pomimo uprzywilejowanego wglądu w świat Voldemorta, za który to dar, nawiasem mówiąc, każdy śmierciożerca gotów byłby zabić, nigdy nie pociągała cię Czarna Magia. Nigdy, nawet na chwilę, nie okazałeś najmniejszej chęci zostania jednym ze stronników Voldemorta!

- Jasne, że nie! - oburzył się Harry. - On zabił moją mamę i mojego tatę!

- Mówiąc krótko, jesteś chroniony przez swą zdolność do kochania! - powiedział głośno Dumbledore.

- Jedyłą ochronę, jaka w ogóle jest w stanie przeciwstawić się pokusie potęgi, jaką posiada Voldemort! Pomimo wszelkich pokus, których doświadczyłeś, całego tego cierpienia, nadal masz czyste serce, tak jak miałeś w wieku jedenastu lat, gdy popatrzyłeś w lustro odbijające pragnienia twego serca i wskazało ci ono nie bogactwa czy nieśmiertelność, a jedynie sposób na zniszczenie Lorda Voldemorta. Harry, czy zdajesz sobie sprawę, jak niewielu czarodziejów ujrzałoby to, co zobaczyłeś w lustrze ty?

Voldemort już wtedy powinien wiedzieć, z czym ma do czynienia, ale nie wpadł na to! Ale teraz już wie. Przebywałeś w umyśle Voldemorta bez żadnej szkody dla siebie, a on nie jest w stanie opętać cię bez doświadczenia śmiertelnej udręki, o czym przekonał się w Ministerstwie. Nie sądzę, by wiedział czemu, Harry, ale z drugiej strony, tak mu się spieszyło rozbić swoją własną duszę, że nigdy nie zastanowił się nad nieporównywalną potęgą duszy, która pozostaje cała, nietknięta.

- Ale, proszę pana - powiedział Harry starając się, by nie zabrzmiało to jakby się spierał - to wszystko sprowadza się do jednego, prawda? Muszę go zabić, albo...

- Musisz? - powtórzył Dumbledore. - Oczywiście, że musisz! Ale nie ze względu na przepowiednię! Dlatego, że ty, sam z siebie, nigdy nie spocznesz, póki tego nie zrobisz! Obaj to wiemy! Wyobraź sobie, proszę, tylko na chwilę, że nigdy nie slyszales o tym proroctwie! I co sądzisz teraz o Voldemortzie? Pomyśl!

Harry obserwował Dumbledore'a, przechadzającego się w tą i z powrotem przed nim, i myślał. Myślał o swojej matce, o swoim ojcu, o Syriuszu. Myślał o Cedriku Diggory'm. Myślał o wszystkich tych okropnych rzeczach, które były sprawką Lorda Voldemorta. Ogień rozgorzał w jego piersi i poczuł jak pali go w gardle.

- Chciałbym, żeby zginął - odpowiedział cicho Harry.

- I chciałbym, żebym to ja tego dokonał.

- Oczywiście, że chciałbyś! - krzyknął Dumbledore.

- Widzisz, przepowiednia nie oznacza, że musisz cokolwiek robić! Ale to przepowiednia sprawiła, że Lord Voldemort oznaczył cię, jako równego sobie... Innymi słowy, masz wolną wolę, by wybrać swoją drogę. Równie dobrze możesz wypiąć się na proroctwo! Ale Voldemort dalej kieruje się przepowiednią. Będzie cię dalej ścigał... co oczywiście faktycznie sprowadza się do tego, że...

- Że jeden z nas zabije drugiego - powiedział Harry.

- Tak.

Ale w końcu zrozumiał, co Dumbledore starał się mu

powiedzieć. Istniała różnica, pomyślał, między byciem wciągniętym na arenę, by walczyć na śmierć i życie, a wkroczeniem na nią samemu, z podniesioną głową. Niektórzy być może powiedzieliby, że niewielki jest wybór między jednym a drugim, ale Dumbledore wiedział, i ja też wiem, pomyślał Harry z nagłym uczuciem zawziętej dumy, i wiedzieli moi rodzice... że te dwie drogi różni wszystko.

Tłumaczył Spike



Sectumsempra

Wykończony, ale zadowolony ze swoich nocnych działań, o wszystkim, co zaszło, Harry opowiedział Ronowi i Hermionie następnego poranka, podczas lekcji zaklęć, uprzednio rzuciwszy czar *Muffliato* na najbliższej siedzących. Oboje byli pod dużym wrażeniem tego, w jaki sposób udało mu się nakłonić Slughorna do zwierzeń, i ze sporym szacunkiem wysłuchali o horcruxach Voldemorta oraz obietnicy Dumbledore'a, że zabierze z sobą Harry'ego, gdy odnajdzie kolejny.

- Łał - powiedział Ron, gdy Harry wreszcie skończył. Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co robi, machał różdżką w kierunku sufitu. - Łał... Pójdiesz z Dumbledore'em... I spróbujecie zniszczyć... lał.

- Ron, wyczarowałaś śnieg - oznajmiła cierpliwie Hermiona, łapiąc go za nadgarstek i kierując w inną stronę, gdyż rzeczywiście z góry zaczęły sypać się wielkie, białe płatki. Harry zauważył, że od sąsiedniego stołu Lavender Brown rzuciła Hermionie wściekle spojrzenie bardzo zaczerwienionymi oczami, i

Hermiona momentalnie puściła rękę Rona.

- O - powiedział Ron, patrząc na swoje ramiona w lekkim zdumieniu. - Przepraszam... wygląda to, jakbyśmy mieli okropny łupież...

Strzepnął trochę sztucznego śniegu z ramienia Hermiony. Lavender zalała się łzami. Ron sprawiał wrażenie winnego, gdy odwracał się do niej plecami.

- Zerwaliśmy - poinformował Harry'ego półgębkiem.

- Wieczorem. Kiedy zobaczyła, jak wchodziłem z Hermioną do dormitorium. Nie widziała ciebie, więc myślała, że jesteśmy tam tylko we dwoje.

- Aha - powiedział Harry. - Cóż... Nie martwisz się za bardzo, prawda?

- Nie - przyznał Ron. - Darła się okropnie, ale przynajmniej nie ja to skończyłem.

- Tchórz - oświadczyła Hermiona, choć wyglądała na rozbawioną. - To była kiepska noc dla romansów. Ginny i Dean też zerwali, Harry.

Harry miał wrażenie, że widzi w jej oczach znaczące spojrzenie, ale nie mogła przecież wiedzieć, że jego wnętrze nagle zatańczyły congę. Starając się, by jego twarz pozostała bez wyrazu, a głos tak obojętny, jak tylko to możliwe, zapytał:

- Jakim cudem?

- Och, poszło o coś naprawdę głupiego... powiedziała, że zawsze upierał się, by jej pomagać w przejściu przez portret, jakby sama sobie nie mogła poradzić... ale nie układało się im już od dawna.

Harry zerknął na siedzącego w drugim końcu sali Deana, który sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego.

- Teraz masz dylemat, prawda? - zagaiła Hermiona.

- Co masz na myśli? - spytał szybko Harry.

- W drużynie quidditcha - odparła Hermiona.

- Jeśli Ginny i Dean nie będą z sobą rozmawiać...

- O... tak - powiedział Harry.

- Flitwick - rzucił Ron ostrzegawczym tonem. Maleńki nauczyciel zaklęć w podskokach kierował się ku ich stołowi, a Hermiona jako jedyna zdołała zmienić ocet w wino. Jej kolba pełna była karmazynowego płynu,

podczas gdy pojemniki Harry'ego i Rona pozostawały ciemnobrazowe.

- No, chłopcy - zapiszczał profesor Flitwick z wyrzutem. - Trochę mniej rozmowy, trochę więcej działania... Pokażcie, co umiecie...

Wspólnie unieśli różdżki i koncentrując się z całej mocy, skierowali je na pojemniki. Ocet Harry'ego zmienił się w lód. Kolba Rona eksplodowała.

- Tak... w ramach pracy domowej - powiedział profesor Flitwick, wynurzając się spod stołu i strzepując z tiary szklane skorupki - *poćwiczcie*.

Po zaklęciach cała trójka miała jedną z niewielu wolnych godzin, więc razem udali się do pokoju wspólnego. Ron sprawiał wrażenie beztroskiego z powodu zakończenia znajomości z Lavender, Hermiona też wydawała się radosna, choć na zapytanie, dlaczego się tak uśmiecha, odpowiedziała po prostu: - Miły dziś dzień. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z zaciętej bitwy, jaka toczyła się w głowie Harry'ego:

Ona jest siostrą Rona.

Ale rzuciła Deana!

Jest jednak siostrą Rona.

Jestem jego najlepszym kumplem!

Tym gorzej.

Gdybym z nim pomówił...

Zabije cię.

A jeśli mnie to nie obchodzi?

Jest twoim najlepszym kumplem!

Harry ledwo zauważył, że minęli przejście w portrecie i znaleźli się w zalanym słońcem pokoju wspólnym. Mgliście zaobserwował też ściśniętą grupkę siódmoklasistów. Hermiona krzyknęła:

- Katie! Wróciłaś! Wszystko w porządku?

Harry popatrzył: to rzeczywiście była Katie Bell, zupełnie zdrowa i w otoczeniu rozradowanych przyjaciół.

- Czuję się świetnie! - powiedziała szczęśliwa.

- Wypuścili mnie ze Świętego Munga w poniedziałek, kilka dni spędziłam w domu z rodzicami i dziś wróciłam tutaj. Leanne właśnie mi opowiadała o

McLaggenie i ostatnim meczu, Harry...

- No cóż - powiedział Harry - teraz, kiedy wróciłaś, a Ron jest w dobrej formie, mamy sporą szansę roznieść Ravenclaw i wciąż walczyć o puchar. Posłuchaj, Katie... Musiał od razu ją zapytać. Ciekawość na trochę przegoniła nawet z jego myśli Ginny. Zniżył głos, gdy przyjaciele Katie zaczęli zbierać rzeczy - już byli spóźnieni na transmutację.

- ...tamten naszyjnik... pamiętasz, kto ci go dał?

- Nie - odparła Katie, potrząsając ze smutkiem głową.

- Wszyscy mnie o to pytają, a ja nie mam pojęcia. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest wejście do toalety w Trzech Miotłach.

- Więc weszłaś do łazienki? - spytała Hermiona.

- Cóż, pamiętam, że pchnęłam drzwi - powiedziała Katie - więc ktokolwiek rzucił na mnie Imperiusa, musiał stać za nimi. Potem moje wspomnienia są pustą plamą, dopiero dwa tygodnie temu w Świętym Mungu odzyskałam świadomość. Słuchajcie, muszę iść, McGonagall jest w stanie dać mi szlaban, mimo że to mój pierwszy dzień w szkole...

Złapała torbę z książkami i pobiegła za przyjaciółmi. Harry, Ron i Hermiona usiedli przy oknie, rozważając, co usłyszeli.

- Więc Katie dostała naszyjnik od jakiejś dziewczyny albo kobiety - stwierdziła Hermiona - skoro było to w damskiej łazience.

- Albo od kogoś, kto wyglądał jak dziewczyna lub kobieta - zauważył Harry. - Nie zapominaj, że mieliśmy w Hogwarcie kociołek eliksiru wielosokowego. Wiemy, że trochę go skradziono...

Oczyrna duszy widział paradujących pod jego nosem Crabbe'a i Goyle'a, zmienionych w dziewczyny.

- Chyba wezmę kolejny łyk Felix Felicis - oświadczył Harry - i znów spróbuję się dostać do Pokoju Życzeń.

- To będzie marnotrawstwo - powiedziała stanowczo Hermiona, odkładając swój egzemplarz *Sylabariusza Spellmana*, który dopiero co wyjęła z torby. - Szczęście ci w tym nie pomoże, Harry. Sytuacja ze Slughornem była inna. Zawsze miałeś możliwość przekonania go,

musiałeś tylko nagiąć trochę okoliczności. Jednak szczęście to za mało, by sforsować potężny czar. Nie marnuj resztek tego eliksiru! Będziesz potrzebował całego szczęścia, jeśli Dumbledore weźmie cię ze sobą... - Jej głos opadł do szeptu.

- Nie możemy zrobić go więcej? - spytał Harry'ego Ron, ignorując Hermionę. - Byłoby super mieć cały zapas... Popatrz do książki...

Harry wyciągnął z torby *Warzenie eliksirów dla zaawansowanych* i sprawdził.

- Kurczę, to jest naprawdę skomplikowane - powiedział, przebiegając wzrokiem listę składników.

- I potrzeba sześciu miesięcy... Musi się dusić...

- Typowe - stwierdził Ron.

Harry już miał schować podręcznik, gdy zauważył zagięty róg strony. Odnalazł ją i zobaczył zakłęcie *Sectumsempra* z podpisem "Na wrogów", które zaznaczył kilka tygodni wcześniej. Wciąż nie wiedział, jak ono działa - głównie dlatego, że nie chciał testować go w pobliżu Hermiony - rozważał jednak wypróbowanie go na McLaggenie, gdy ten znów zechce się przy nim pojawić.

Jedyną osobą, która nie cieszyła się szczególnie z powrotu Katie Bell, był Dean Thomas - już nie potrzebowali go jako zastępcy na pozycji ścigającego. Przyjął ten cios dość spokojnie, jedynie burczał coś i wzruszał ramionami - ale Harry miał wyraźne wrażenie, że Dean i Seamus szepcą buntowniczo za jego plecami, gdy odchodził.

Odbywające się w następnych dwóch tygodniach treningi quidditcha były najlepszymi, jakie Harry widział, odkąd został kapitanem. Jego drużyna była tak zadowolona, że pozbyli się McLaggena, i tak szczęśliwa, mając z powrotem Katie, że latała nadzwyczaj dobrze.

Ginny w ogóle nie wydawała się zmartwiona rozstaniem z Deanem - przeciwnie, była duszą ekipy. Wszyscy świetnie się bawili, kiedy udawała Rona, niespokojnie podskakującego przed bramkami na widok zbliżającego się kafla, albo Harry'ego, jak wykrzykuje

polecenia do McLaggena, zanim stracił przytomność. Harry, śmiejąc się razem z innymi, cieszył się, że ma zupełnie niewinny powód, by na nią patrzeć. Zarobił kilka urazów od tłuczków, bo nie koncentrował się tylko na zniczu.

W jego głowie wciąż toczyła się bitwa: Ginny czy Ron? Czasami miał wrażenie, że po przejściach z Lavender Ron może nie miałby nic przeciwko, jeśli Harry umówiłby się z Ginny - ale potem przypominał sobie wyraz twarzy Rona, gdy widział siostrę całującą się z Deanem, i był pewien, że Ron uznałby za podłą zdradę, gdyby Harry choć wziął ją za rękę...

Mimo to Harry nie był w stanie powstrzymać się od rozmawiania z Ginny, śmiania się z nią czy wracania z nią z treningów. Choć gryzło go sumienie, zastanawiał się, w jaki sposób zobaczyć się z nią na osobności. Idealnie byłoby, gdyby Slughorn wydał kolejne przyjęcie, bo nie byłoby na nim Rona - niestety, Slughorn chyba porzucił te pomysły. Raz czy dwa Harry zastanawiał się, czy nie poprosić o pomoc Hermiony, ale wątpił, by był w stanie znieść jej zadowolony uśmiezek. Widywał go czasami, gdy Hermiona przyłapywała go, patrzącego na Ginny albo śmiejącego się z jej żartów. I, by skomplikować sprawę do reszty, dręczył go niepokój, że jeśli czegoś szybko nie zrobi, z pewnością ktoś inny zacznie się wkrótce z Ginny umawiać: on i Ron zgadzali się przynajmniej w tej kwestii, że cieszyła się za dużą popularnością.

Przez to wszystko pokusa, by wziąć kolejny lyk Felix Felicis, rosła z dnia na dzień, bo z pewnością przypadek ten kwalifikował się do - jak to określiła Hermiona - "nagięcia okoliczności"? Ciepłe majowe dni powoli mijały, a za każdym razem, gdy Harry widział Ginny, kręcił się przy nim Ron. Harry zaczął w końcu liczyć na jakiś uśmiech losu, który uświadomi Ronowi, że nic nie uczyni go szczęśliwszym niż fakt, że jego najlepszy przyjaciel i siostra zakochają się w sobie, i Ron zostawi ich samych na więcej niż kilka sekund. Nie było na to szans, gdy zbliżał się ostatni mecz quidditcha - Ron cały czas chciał omawiać z Harrym

taktykę i nie myślał o niczym innym.

Ron nie był jedyny. W całej szkole zainteresowanie meczem Gryffindor-Ravenclaw było niesamowicie duże, gdyż to spotkanie miało rozstrzygnąć wciąż otwartą kwestię mistrzostwa. Jeśli Gryfoni pokonają Krukonów przewagą trzystu punktów (wysoko zawieszona poprzeczka, ale Harry wiedział, że drużyna lata lepiej niż kiedykolwiek), zdobędą mistrzostwo. Jeśli wygrają mniej niż trzystoma punktami, będą drudzy za Krukonami. Jeśli przegrają setką punktów, będą trzeci za Puchonami, a jeśli przegrają więcej niż setką, będą czwarci i nikt, Harry był pewien, nie pozwoli mu zapomnieć, że w czasie gdy on był kapitanem, Gryffindor po raz pierwszy od dwustu lat zajął ostatnie miejsce w tabeli.

Okres poprzedzający decydujący mecz był zupełnie typowy: członkowie rywalizujących domów usiłowali zastraszać przeciwników w korytarzach. Nieprzyjemne śpiewki o poszczególnych graczach rozlegały się, gdy ci przechodzili. Sami członkowie drużyn albo chodzili dumnie i cieszyli się pełną uwagą, albo biegali w przerwach między lekcjami do łazienek i wymiotowali ze zdenerwowania. W jakiś sposób w umyśle Harry'ego mecz połączył się nierozzerwalnie z sukcesem lub porażką jego planów względem Ginny. Miał wrażenie, że jeśli wygrają więcej niż trzystoma punktami, euforia i miły, głośny bankiet mogą zadziałać tak samo dobrze, jak zdrowy lyk Felix Felicis.

Mimo całego swego zaabsorbowania Harry nie zapominał o drugiej ambicji: odkrycia, co robi Malfoy w Pokoju Życzeń. Co i rusz zaglądał na Mapę Huncwotów i kiedy nie mógł zlokalizować Dracona, dochodził do wniosku, że Malfoy wciąż spędza dużo czasu w środku. Choć Harry tracił nadzieję, że kiedykolwiek dostanie się do Pokoju Życzeń, próbował tego, gdy tylko znalazł się w pobliżu - ale niezależnie od tego, jak kształtował swoją prośbę, ściana uparcie nie chciała ukazać mu drzwi.

Kilka dni przed meczem z Ravenclawem Harry schodził na kolację - sam, bo Ron pobiegł do

najbliższej łazienki i znów wymiotował, zaś Hermione poleciała do profesor Vector dowiedzieć się, czy nie zrobiła błędu w ostatnim wypracowaniu z numerologii. Bardziej z przyzwyczajenia niż czegokolwiek innego Harry poszedł okrężną drogą przez korytarz na siódmym piętrze, zerkając na Mapę Huncwotów. Przez chwilę nie mógł nigdzie odnaleźć Malfoya i założył, że ten rzeczywiście musi być w Pokoju Życzeń, ale wtedy ujrzał małą kropkę, podpisaną Malfoy, w łazience chłopców piętro niżej - w towarzystwie nie Crabbe'a i Goyle'a, ale Jęczącej Marty.

Harry, przyglądając się tej nieoczekiwanej parze, zatrzymał się dopiero, gdy wpadł na zbroję i głośny łomot wyrwał go z zamyślenia. Uciekając ze sceny, zanim pojawi się Filch, zbiegł po marmurowych schodach i rzucił się w korytarz. Przycisnął ucho do drzwi łazienki od zewnątrz. Nic nie słyszał. Bardzo cicho pchnął drzwi.

Draco Malfoy stał odwrócony do wejścia tyłem, jego dłonie zaciskały się na umywalce, a jasnowłosą głowę miał opuszczoną.

- Nie - dobiegł z jednej z kabin głos Jęczącej Marty.

- Nie... powiedz mi, co się dzieje... pomogę ci...

- Nikt mi nie może pomóc - powiedział Malfoy. Trząśł się cały. - Nie umiem tego zrobić... nie umiem... Nie zadziała... a jeśli tego wkrótce nie zrobię... powiedział, że mnie zabije...

I Harry zdał sobie sprawę, z szokiem tak wielkim, że przykuło go to do ziemi, że Malfoy płacze - naprawdę płacze - a łzy spływają po jego twarzy do brudnej umywalki. Malfoy wciągnął powietrze i przelknął ślinę, a następnie z silnym dreszczem spojrzął w pęknięte lustro i zobaczył Harry'ego, patrzącego na niego.

Malfoy obrócił się, sięgając po różdżkę. Harry instynktownie wyciągnął swoją. Klątwa Malfoya chybiła o cale, rozbijając wiszącą obok ścienną lampę. Harry rzucił się w bok, pomyślał *Levicorpus!* i smagnął różdżką, ale Malfoy zablokował zaklęcie i uniósł różdżkę do następnego...

- Nie! Nie! Przestańcie! - zapiszczała Jęcząca Marta, a

jej głos rozbrzmiał echem w wykafelkowanym pomieszczeniu. - Przestańcie! PRZESTAŃCIE!

Rozległ się huk i za Harrym eksplodował kosz na śmieci. Harry spróbował Zaklęcia Zwieracza Nóg, ale odbiło się od ściany za plecami Malfoya i rozbiło zbiornik z wodą pod Jęczącą Martą, która krzyknęła. Woda rozlała się wszędzie i Harry pośliznął się, gdy Malfoy z wykrzywioną twarzą zawołał:

- Cruci...

- SECTUMSEMPRA! - wrzasnął Harry z podłogi, dziko wywijając różdżką.

Krew wytrysnęła z twarzy i klatki piersiowej Malfoya, jakby sieknięto go niewidzialnym mieczem. Zachwiał się i upadł na mokrą posadzkę, rozpryskując potężnie wodę, a różdżka wypadła z jego bezwładnej ręki.

- Nie... - wydusił Harry.

Ślizgając się i chwiejąc, Harry podniósł się na nogi i rzucił w kierunku Malfoya, którego twarz lśniła teraz szkarłatem, a białe dłonie pełzały po krwawiącej piersi.

- Nie... ja nie...

Harry nie wiedział, co mówi. Upadł na kolana obok Malfoya, który dygotał niepokohamowanie w kałuży własnej krwi. Jęcząca Marta ryknęła ogłuszająco:

- MORDERSTWO! MORDERSTWO W ŁAZIENCIE! MORDERSTWO!

Drzwi otworzyły się z łoskotem i Harry podniósł przerażony wzrok: do pomieszczenia wpadł Snape z posiniąłą twarzą. Gwałtownie odepchnął Harry'ego na bok, klęknął obok Malfoya, wyciągnął różdżkę i przesunął nią wzdłuż głębokich ran, które uczyniła kłątwa Harry'ego. Jednocześnie mruczał inkantacje, które brzmiały niemal jak pieśń. Krwotok jakby się zmniejszył. Snape otarł krew z twarzy Malfoya i powtórzył zaklęcie. Rany wydawały się zasklepiać.

Harry wciąż patrzył, zaszokowany tym, co uczynił, ledwo świadomy, że on też ocieka krwią i wodą. Jęcząca Marta wciąż szlochala i zawodzila nad nimi. Snape wykonał przeciwzaklęcie po raz trzeci i podniósł Malfoya do pozycji stojącej.

- Musisz iść do skrzydła szpitalnego. Mogą ci zostać

blizny, ale jeśli natychmiast zażyjesz dyptam, może nawet tego unikniemy... Chodź...

Podtrzymał Malfoya, gdy wychodzili, a w drzwiach obrócił się i powiedział głosem pełnym lodowatej furii:

- A ty, Potter... Ty poczekaasz tu na mnie.

Harry ani przez sekundę nie zamierzał nie posłuchać. Trzęsąc się, wstał powoli i spojrzał na mokrą podłogę. Po jej powierzchni niczym purpurowe kwiaty pływały plamy krwi. Nie był nawet w stanie powiedzieć Jęczącej Marcie, by się uciszyła, gdy wciąż zawodziła i lkała z coraz większą przyjemnością.

Snape wrócił dziesięć minut później. Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

- Idź - rzucił do Marty, a ona natychmiast wleciała do swej toalety, pozostawiając za sobą dźwięczącą ciszę.

- Nie chciałem tego - powiedział Harry od razu. Jego głos rozbrzmiał w zimnej, wilgotnej przestrzeni. - Nie wiedziałem, jak działa to zaklęcie.

Ale Snape zignorował to.

- Najwyraźniej nie doceniałem cię, Potter - stwierdził cicho. - Kto by pomyślał, że znasz czarną magię? Kto nauczył cię tego zaklęcia?

- Ja... przeczytałem o nim.

- Gdzie?

- Było... w książce z biblioteki - zmyślał naprędce Harry. - Nie pamiętam jej nazwy...

- Kłamca - powiedział Snape. Harry'emu zaschło w gardle. Wiedział, co Snape zamierza, a nigdy nie potrafił mu uniemożliwić...

Łazienka zamigotała przed jego oczami. Usiłował zablokować wszystkie myśli, ale choć starał się jak mógł, egzemplarz *Warżenia eliksirów dla zaawansowanych* Półkrwi Księcia mgliście wypłynął na wierzch jego umysłu.

A potem znów patrzył na Snape'a pośrodku zrujnowanej, zalanej wodą łazienki. Patrzył w czarne oczy Snape'a, mając nadzieję wbrew wszystkiemu, że Snape nie widział tego, ale...

- Przynieś mi swoją torbę - polecił cicho Snape

- i wszystkie swoje książki. *Wszystkie*. Przynies je tutaj. Teraz!

Nie było sensu sprzeczać się. Harry odwrócił się natychmiast i wypadł z łazienki. Gdy już był na korytarzu, zaczął biec w kierunku wieży Gryffindoru. Większość uczniów szła w przeciwną stronę. Gapili się na niego, ociekającego wodą i krwią, ale nie odpowiadał na żadne z pytań, jakie do niego kierowali, gdy ich mijal.

Czuł się oszołomiony - jakby ulubione zwierzątko nagle zmieniło się w dzikie zwierzę. Dlaczego Książę wpisał do podręcznika takie zaklęcie? I co się stanie, gdy zobaczy ją Snape? Powie Slughornowi - żołądek Harry'ego ścisnął się - w jaki sposób Harry otrzymywał tak dobre rezultaty z eliksirów przez cały rok? Zarekwiruje albo zniszczy książkę, która nauczyła Harry'ego tak wiele... książkę, która w jakiś sposób stała się jego przewodnikiem i przyjacielem? Harry nie mógł na to pozwolić... nie mógł...

- Gdzieś ty...? Czemu jesteś mokry...? To *krw*? - Ron stał u szczytu schodów, patrząc na Harry'ego z dezorientacją.

- Potrzebuję twoją książkę - wysapał Harry.

- Podręcznik eliksirów. Szybko... daj mi go...

- A co z Księciem...

- Później wyjaśnię!

Ron wyciągnął z torby swój egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych* i podał mu. Harry pobiegł z powrotem do pokoju wspólnego. Złapał torbę, ignorując zdumione spojrzenia kilkorga uczniów, którzy zjedli już kolację, wybiegł przez przejście w portrecie i popędził na siódme piętro.

Z poślizgiem zatrzymał się przed gobelinem z tańczącymi trollami, zamknął oczy i zaczął chodzić.

Potrzebuję miejsca, by ukryć książkę... Potrzebuję miejsca, by ukryć książkę... Potrzebuję miejsca, by ukryć książkę...

Trzy razy przespacerował się w tę i z powrotem przed pustą ścianą. Gdy podniósł powieki, nareszcie tam były: drzwi do Pokoju Życzeń. Otworzył je szarpnięciem, wbiegł do środka i zatrasnął.

Nabrał głęboko powietrza. Pomimo pośpiechu, paniki, strachu przed tym, co czekało go w łazience, nie mógł nie być pod wrażeniem z powodu rozciągającego się przed nim widoku. Stał w pomieszczeniu wielkości katedry, którego wysokie okna rzucały snopy światła na coś, co wyglądało jak pełne górujących wież miasto, zbudowane z przedmiotów ukrytych przez całe pokolenia mieszkańców Hogwartu. Były tam aleje i drogi otoczone chwiejnymi stertami złamanych i uszkodzonych mebli, schowanych być może, by utajnić dowody nieumiejętnego użycia magii, bądź umieszczonych przez pracowite skrzaty domowe. Były tu tysiące tysięcy książek, bez wątpienia zarekwirowanych, pogryzmołonych lub skradzionych. Były skrzydlate proce i Zębate Frisby, niektóre wciąż wystarczająco ożywione, by bez przekonania unosić się ponad górami innych zakazanych przedmiotów. Były wyszczerbione butelki ze zgęstniałymi eliksirami, kapelusze, klejnoty, płaszcze. Były skorupy smoczycich jaj, zakorkowane flaszki, których zawartość wciąż połyskiwała złowrogo, kilka pordzewiałych mieczy i ciężki, splamiony krwią topór.

Harry pospieszył w jedną z wielu alejek pomiędzy wszystkimi tymi ukrytymi skarbami. Obok wielkiego, wypchanego trolla skręcił w prawo, przebiegł krótszą uliczką, skręcił w lewo przy zniszczonej Komodzie Zniknięć, w której w ubiegłym roku zaginął Montague, i wreszcie zatrzymał się obok dużej szafki, której połyskliwa powierzchnia nosiła ślady kwasu. Otworzył jedno ze skrzypiących drzwiczek kredensu. Okazało się, że już kiedyś posłużono się nim dla ukrycia czegoś w klatce - czegoś, co nie żyło od bardzo dawna i miało pięć nóg. Wepchnął książkę Półkrwi Księcia za klatkę i zatrzasnął drzwi. Znieruchomiał na moment, a jego serce okropnie waliło, gdy rozglądał się wokół po gratach... Czy będzie potrafił odszukać to miejsce w całym tym złomie? Ściągnął z pobliskiej skrzynki pobrużdżone popiersie obrzydliwego, wiekowego czarnoksiężnika i postawił na wierzchu szafki, w której

teraz znajdowała się książka, po czym udekorował statuetkę starą, zakurzoną peruką i poszarpaną tiarą, by bardziej się wyróżniała. Najszybciej, jak mógł, podążył uliczkami wśród ukrytych rupieci z powrotem do wejścia i na korytarz, po czym zatrzasnął drzwi, które natychmiast stały się kamieniem.

Harry jak najprędzej pobiegł do łazienki piętro niżej, w międzyczasie wpychając do torby Ronowy egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych*. Minutę później znów stał przed Snape'em, który bez słowa wyciągnął rękę po torbę Harry'ego. Harry podał mu ją, łapiąc hausty powietrza, aż paliło go w piersiach, i czekał.

Jedną po drugiej, Snape wyjmował książki Harry'ego i oglądał je. Na koniec został już tylko podręcznik do eliksirów, który Snape przejrzał bardzo uważnie, zanim przemówił.

- To jest twój egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych*, Potter?

- Tak - odparł Harry, wciąż ciężko oddychając.

- Jesteś tego zupełnie pewny, Potter?

- Tak - powiedział Harry z lekkim odcieniem buntu.

- To jest egzemplarz *Warzenia eliksirów dla zaawansowanych*, który zamówiłeś w Esach i Floresach?

- Tak - odrzekł Harry stanowczo.

- Czemu więc - spytał Snape - na pierwszej stronie napisane jest imię "Roonil Wazlib"?

Serce Harry'ego przestało uderzać.

- To moja ksywka - powiedział.

- Twoja ksywka - powtórzył Snape.

- Tak... w taki sposób nazywają mnie przyjaciele - odrzekł Harry.

- Wiem, co to jest ksywka - oznajmił Snape. Zimne, czarne oczy po raz kolejny wwiercily się w Harry'ego. Usiłował w nie patrzyć. *Zamknij umysł... zamknij umysł...* ale nigdy nie nauczył się, jak to robić właściwie.

- Wiesz, co ja myślę, Potter? - spytał Snape bardzo cicho. - Myślę, że jesteś kłamcą i oszustem, i że zasługujesz na szlaban ze mną każdej soboty do końca roku szkolnego. Co ty na to, Potter?

- Ja... nie zgadzam się, proszę pana - odparł Harry, wciąż nie patrząc w oczy Snape'a.

- Cóż, zobaczymy, jak będziesz się czuł po szlabanach - powiedział Snape. - Dziesiąta rano w sobotę, Potter. W moim biurze.

- Ale panie profesorze... - zaprotestował Harry, podnosząc desperacko wzrok. - Quidditch... ostatni mecz...

- Dziesiąta - wyszeptał Snape, pokazując w uśmiechu żółte zęby. - Biedny Gryffindor... Czwarte miejsce w tym roku...

I nie powiedziawszy nic więcej, wyszedł z łazienki, zostawiając Harry'ego patrzącego w pęknięte lustro i z uczuciem mdłości silniejszych, niż Ron kiedykolwiek doświadczał - tego był pewien.

- Nie powiem "a nie mówiłam" - oznajmiła Hermiona godzinę później w pokoju wspólnym.

- Daj spokój, Hermiona! - zawołał Ron ze złością.

Harry nie dotarł na kolację, nie miał w ogóle apetytu. Właśnie skończył opowiadać Ronowi, Hermionie i Ginny o tym, co zaszło, choć tak naprawdę nie musiał. Wiadomość rozeszła się błyskawicznie: najwyraźniej Jęcząca Marta postanowiła zrelacjonować całe zajście w każdej toalecie zamku. Malfoya w skrzydle szpitalnym zdażyła już odwiedzić Pansy Parkinson, która nie traciła czasu, łącząc Harry'ego na lewo i prawo, zaś Snape dokładnie opowiedział gronu nauczycielskiemu, co się zdarzyło. Harry został wywołany z pokoju wspólnego i przeżył bardzo nieprzyjemny kwadrans u profesor McGonagall, która oznajmiła mu, że ma szczęście, że nie został usunięty ze szkoły, i że całym sercem popiera karę szlabanów u Snape'a w każdą sobotę do końca semestru.

- Mówiłam, że z tym Księciem jest coś nie w porządku - oświadczyła Hermiona, najwyraźniej nie mogąc się powstrzymać. - I miałam rację, prawda?

- Nie, nie wydaje mi się, żebyś miała - powiedział Harry uparcie.

Kiepsko czuł się i bez wykładów Hermiony. Twarze drużyny Gryfonów, gdy powiedział im, że nie może

grać w sobotę, były najgorszą karą. Czuł na sobie wzrok Ginny, ale nie patrzył na nią - nie chciał widzieć w jej oczach rozczarowania, czy gniewu. Powiedział jej, że będzie grała w sobotę jako szukający, a Dean znów dołączy do ekipy na jej miejsce ścigającego. Być może, jeśli wygrają, Ginny i Dean pogodzą się w euforii po meczu... ta myśl przeszła przez Harry'ego jak lodowaty nóż...

- Harry - odezwała się Hermiona - jak możesz bronić tej książki, gdy to zaklęcie...

- Przestań o tym nudzić! - warknął Harry. - Książę tylko je przepisał! Nikogo nie namawiał do użycia! Pewnie zanotował coś, co zostało użyte przeciw niemu!

- Nie wierzę - oświadczyła Hermiona. - Naprawdę bronisz...

- Nie bronię się przed tym, co zrobiłem! - zawołał Harry szybko. - Żałuję, że to zrobiłem, i nie dlatego, że zarobiłem tuzin szlabanów. Wiesz, że nie użyłbym takiego zaklęcia, nawet przeciw Malfoyowi, ale nie możesz winić Księcia. Nie napisał: "Wypróbuj to, jest naprawdę dobre"... po prostu robił notatki dla siebie, dla nikogo innego...

- Chcesz powiedzieć - zapytała Hermiona

- że zamierzasz wrócić...?

- I zabrać książkę? Tak, zamierzam - powiedział Harry stranowczo. - Posłuchaj, bez Księcia nigdy nie zdobyłbym Felix Felicis. Nie wiedziałbym, jak uratować Rona, nigdy bym nie...

- ...zdobył reputacji znakomitości eliksirów, na którą nie zasługujesz - wtrąciła Hermiona złośliwie.

- Daj sobie spokój, Hermiona! - zawołała Ginny, a Harry był tak zdumiony, tak wdzięczny, że aż podniósł wzrok. - Malfoy próbował użyć Zaklęcia Niewybaczalnego. Powinnaś się cieszyć, że Harry miał coś dobrego w zanadrzu!

- No oczywiście, że się cieszę, że Harry uniknął klątwy!

- powiedziała Hermiona, wyraźnie dotknięta. - Ale nie nazwiesz zaklęcia *Sectumsempra* dobrym, Ginny. Popatrz, gdzie go zaprowadziło! I zastanowiłabym się, patrząc na wasze szanse w meczu...

- Och, nie udawaj, że znasz się na quidditchu - warknęła Ginny. - Tylko się ośmieszasz.

Harry i Ron gapili się na nie ze zdziwieniem. Hermione i Ginny, które zawsze świetnie się dogadywały, teraz siedziały ze skrzyżowanymi ramionami i rzucały sobie gniewne spojrzenia. Ron popatrzył nerwowo na Harry'ego, potem chwycił przypadkową książkę i schował się za nią. Harry jednak - choć wiedział, że po części sobie zasłużył - nagle poczuł się niewiarygodnie radosny, mimo że przez resztę wieczoru żadne już się do siebie nie odezwało.

Jego beztroska nie trwała długo. Następnego dnia musiał przetrwać szyderstwa Ślizgonów, nie mówiąc już o wściekłości Gryfonów, którzy byli bardzo nieszczęśliwi, że kapitan ich drużyny dał sobie wlepić szlaban na czas ostatniego meczu w sezonie. Zanim nadszedł sobotni ranek - cokolwiekby nie powiedział Hermionie - Harry z chęcią zamieniłby cały Felix Felicis świata, by móc iść na boisko quidditcha z Ronem, Ginny i pozostałymi. Niemożliwie ciężko było odwrócić się od tej masy uczniów, wylewającej się na światło słońca - wszyscy z rozetkami i w kolorowych kapeluszach, wymachujący transparentami i szalikami - i zejść po kamiennych schodach do lochu, i iść, aż ucichły odległe odgłosy tłumu, ze świadomością, że nie usłyszy ani słowa komentarza, ani radości, ani jęku.

- Ach, Potter - powiedział Snape, gdy Harry zastukał do drzwi i wszedł do nieprzyjemnie znajomego gabinetu, którego Snape nie zwolnił, choć nauczał teraz kilka pięter wyżej. Panował tu ten sam półmrok, co zawsze, i te same martwe obiekty zawieszane w barwnych eliksirach zajmowały ściany. Na stole, przy którym Harry miał usiąść, stały liczne, pokryte pajęczynami pudelka. Nieodparcie nasuwały złowrogie wrażenie nużącej, ciężkiej i bezsensownej pracy.

- Pan Filch szukał kogoś do uprzątnięcia starych kartotek - powiedział cicho Snape. - To akta innych złoczyńców Hogwartu i ich kar. Chcemy, byś przepisał wykroczenia i kary na nowo, gdziekolwiek wyblakł atrament albo karty zostały zniszczone przez myszy, i

ułożył w pudełkach, koniecznie w alfabetycznym porządku. Bez użycia magii.

- Tak, panie profesorze - odparł Harry z tak wielką pogardą, jaką udało mu się włożyć w te kilka sylab.

- Pomyślałem, że powinieneś zacząć - oznajmił Snape z złośliwym uśmiechem na ustach - od pudełek z numerami od tysiąca dwunastu do tysiąca pięćdziesięciu sześciu. Znajdziesz tam kilka znajomych nazwisk, co powinno przydać zadaniu atrakcji. Na przykład tutaj...

Z rozmachem wyciągnął z kartonu na samej górze kartę i przeczytał:

- *James Potter i Syriusz Black. Zatrzymani podczas użycia zakazanej klątwy na Bertramie Aubrey. Głowa Aubreya powiększyła się dwukrotnie. Podwójny szłaban.* - Snape uśmiechnął się z drwiną. - Musi być bardzo pocieszające, że choć oni już odeszli, pozostają świadectwa ich wielkich osiągnięć.

Harry poczuł znajome gotowanie w żołądku. Gryząc się w język, by nie wziąć odwetu, usiadł naprzeciw pudełek i przyciągnął jedno do siebie.

Jak Harry przewidział, była to bezsensowna, nudna praca, przerywana, co Snape najwyraźniej zaplanował, regularnymi ukłuciami w żołądku, kiedykolwiek natrafił na imię ojca lub Syriusza, zwykle w parze, odnotowane przy różnych drobnych wykroczeniach, od czasu do czasu w towarzystwie Remusa Lupina i Petera Pettigrew. I gdy tak przepisywał wszystkie ich najróżniejsze przestępstwa i kary, rozmyślał o tym, co dzieje się na zewnątrz, gdzie mecz się właśnie zaczął... Ginny jako szukająca przeciw Cho...

Harry wciąż i wciąż zerkał na wielki zegar tykający na ścianie. Wydawał się poruszać o połowę wolniej niż normalne zegary - może Snape spowolnił czarem jego działanie? Nie mógł tu być dopiero pół godziny... godzinę... półtorej...

Harry'emu zaczęło burczeć w brzuchu, gdy zegar pokazywał dwunastą trzydzieści. Snape, który nie odezwał się, odkąd zlecił Harry'emu zadanie, podniósł

wzrok dziesięć po pierwszej.

- Myślę, że wystarczy - powiedział chłodno.

- Zaznacz miejsce, do którego doszedłeś. Będziesz kontynuował o dziesiątej w następną sobotę.

- Tak, proszę pana.

Harry na chybił trafił wepchnął do pudełka złożoną kartkę i postanowił wyjść, zanim Snape zmieni zdanie. Wbiegł po kamiennych schodach, wyżej słuch, by uchwycić odgłosy z boiska, ale panowała cisza... A więc już po wszystkim...

Wahał się przez chwilę pod drzwiami zatłoczonej Wielkiej Sali, po czym pobiegł po marmurowych schodach. Niezależnie od wyniku meczu drużyna Gryffindoru zwykle świętowała bądź smuciła się w pokoju wspólnym.

- *Quid agis?* - powiedział niepewnie do Grubej Damy, zastanawiając się, co zastanie wewnątrz.

Wyrazu jej twarzy nie dało się odczytać, gdy odpowiedziała:

- Zobaczysz.

I otworzyła przejście.

Z otworu buchnął ryk celebracji. Harry patrzył tylko, jak ludzie na jego widok zaczynają krzyczeć. Kilka rąk wciągnęło go do pokoju.

- Wygraliśmy! - wrzasnął Ron, pojawiając się w polu widzenia i wymachując srebrnym pucharem w kierunku Harry'ego. - Wygraliśmy! Czteryście pięćdziesiąt do stu czterdziestu! Wygraliśmy!

Harry rozejrzał się. Biegła ku niemu Ginny. Patrzyła na niego intensywnie i cała promieniała, rzucając mu się na szyję. I bez myślenia, bez planowania, bez martwienia się faktem, że widzi ich pięćdziesiąt osób, Harry pocałował ją.

Po kilku długich chwilach - a może było to pół godziny - czy nawet kilka słonecznych dni - rozdzielili się. W pokoju panowała cisza. Wtedy kilka osób zagwizdało i rozległy się nerwowe chichoty. Harry popatrzył nad głową Ginny i zobaczył Deana Thomasa, trzymającego w dłoni rozbity kielich, oraz Romildę Vane, która wyglądała, jakby miała ochotę czymś

rzucić. Hermione promieniała, ale oczy Harry'ego szukały Rona. Wreszcie go znalazł, wciąż ściskającego puchar i z wyrazem twarzy, jakby ktoś uderzył go pałką w głowę. Przez ułamek sekundy patrzyli na siebie, a potem Ron machnął lekko głową, co Harry zrozumiał jako "Cóż... jeśli musicie."

Bestia w jego piersi ryknęła triumfalnie, gdy uśmiechnął się do Ginny i wskazał bez słów na przejście w portrecie. Długi spacer po błoniach wydawał się wskazany, a podczas niego - jeśli wystarczy im czasu - mogli omówić mecz.

Tłumaczyła Clio



Wróżka podsłuchała, wróżkę podsłuchano

Fakt, że Harry Potter chodził z Ginny Weasley, interesował ogromną liczbę osób, głównie dziewcząt, a jednak Harry w ciągu kilku następných tygodni był, o dziwo, szczęśliwie nieczuły na plotki. Miło, że dla odmiany mówili o czymś, dzięki czemu w końcu był taki szczęśliwy, a nie o tym, że jest powiązany z jakąś przerażającą czarną magią.

– Że też nie mają lepszych tematów do plotek – odezwała się Ginny, siadając na podłodze pokoju wspólnego, opierając się o nogi Harry'ego i czytając *Proroka Codziennego*. – Trzy ataki dementorów w jednym tygodniu, a jedyne, o co mnie pyta Romilda Vane, to czy faktycznie masz na piersi wytatuowanego hipogryfa.

Ron i Hermiona ryknęli śmiechem. Harry zignorował ich.

– Co jej powiedziałaś?

– Że masz rogowona węgierskiego – przyznała Ginny,

odwracając leniwie stronę gazety. – Bardziej macho.
– Dzięki – odparł Harry, uśmiechając się szeroko.
– A co według ciebie ma Ron?
– Pufka pigmejskiego, ale nie powiedziałam jej gdzie.
Ron zmarszczył brwi, kiedy Hermiona zwijała się ze śmiechu.
– Uważajcie – ostrzegł, wskazując palcem na Harry'ego i Ginny. – To, że dałem swoje pozwolenie, nie znaczy, że nie mogę go cofnąć.
– *Swoje pozwolenie.* – Ginny spojrzała na niego wilkiem.
– Od kiedy to dajesz mi na cokolwiek pozwolenie? A poza tym sam stwierdziłeś, że wolisz, aby to był Harry niż Michael czy Dean.
– Taak, wolę – przyznał niechętnie Ron. – I póki nie zaczniecie się publicznie migdalić...
– Ty ohydny hipokryto! A co z tobą i Lavender, rzucającymi się na siebie jak para napalonych pufków?
– odcięła się Ginny.
Ale tolerancja Rona nie była zbyt wyjątkowa, bo kiedy zaczął zbliżać się czerwiec, Harry i Ginny mieli coraz mniej czasu dla siebie. Zbliżały się sumy, więc Ginny długo po nocach powtarzała materiał. Jednego z takich wieczorów, kiedy Ginny poszła do biblioteki, a Harry siedział koło okna w pokoju wspólnym, udając, że kończy pracę domową z zielarstwa, a w rzeczywistości wspominając bardzo przyjemną godzinę, jaką po obiedzie spędził z Ginny nad jeziorem, Hermiona z nieprzyjemnie stanowczą miną, usiadła pomiędzy nim a Ronem.
– Chcę z tobą porozmawiać, Harry.
– O czym? – spytał podejrzliwie. Poprzedniego dnia Hermiona zbeształa go za rozpraszenie uwagi Ginny, kiedy ta powinna ciężko pracować przed egzaminami.
– O tak zwanym Półkrwi Księciu.
– Och, tylko nie to – jęknął. – Oduścisz sobie w końcu?

Nie ośmielił się wrócić do Pokoju Życzeń, by odzyskać podręcznik, co odbijało się na jego wynikach z eliksirów (choć Slughorn zaakceptował Ginny i żartobliwie tłumaczył gorsze rezultaty Harry'ego tym,

że chłopak się zakochał). Ale Harry był pewny, że Snape jeszcze nie zrezygnował z książki Księcia, więc postanowił jej nie ruszać tak długo, póki Snape jej szukał.

– Nie odpuszczę, dopóki mnie nie wysłuchasz – oznajmiła stanowczo Hermiona. – Staralam się dowiedzieć, kto mógł mieć jako hobby wymyślanie czarnoksięskich zaklęć...

– To nie było jego hobby...

– Jego, jego... Kto mówi, że to był on?

– Już to omawialiśmy – odparł rozgniewany Harry.

– *Książę, Hermiona, Książę!*

– Dobra! – Hermiona, z rumieńcami na policzkach, wyciągnęła z kieszeni fragment bardzo starej gazety i z głośnym plaśnięciem położyła go na stole przed Harrym. – Spójrz na to! Spójrz na to zdjęcie!

Harry podniósł wystrzępioną kartkę i przyjrzał się pozółkłej ze starości, ruchomej fotografii. Ron przysunął się bliżej, aby też zerknąć. Na obrazku widać było chudą dziewczynę, mniej więcej piętnastoletnią. Nie była ładna; wyglądała jednocześnie na poirytowaną i posępną, miała grube brwi i podłużną, bladą twarz. Pod zdjęciem widniał napis: *Eileen Prince, kapitan hogwarckiej drużyny gargulków.*

– No i...? – zapytał Harry, przeglądając krótki artykuł, do którego dołączone było zdjęcie. Była to dość nudna historia o wewnątrzszkolnych zawodach garkulkowych.

– Nazywała się Eileen Prince. *Prince, Harry. Książę!*

Spojrzeli na siebie i Harry zrozumiał, co Hermiona próbowała mu powiedzieć. Wybuchnął śmiechem.

– Nie ma mowy.

– Co?

– Myślisz, że to *ona* była Półkrwi...? Nie no, daj spokój.

– A dlaczego nie? Harry, w czarodziejskim świecie nie ma żadnych prawdziwych książąt! To albo przezwisko, wymyślony tytuł, jaki ktoś sam sobie nadał, albo nazwisko, nieprawdaż? Nie, słuchaj! Jeśli, na przykład, jej ojciec był czarodziejem i miał na nazwisko "Prince", a jej matka była mugolką, to wtedy ona

byłaby "półkrwi Prince'em"!

– Tak, bardzo błyskotliwa teoria, Hermiono...

– Ale by była! Może była dumna z tego, że jest w połowie Prince'em!

– Słuchaj, Hermiona, wiem, że to nie jest dziewczyna. Po prostu to czuję.

– Prawda jest taka, że nie wierzysz, aby dziewczyna mogła być wystarczająco mądra – oświadczyła Hermiona wściekle.

– Jak bym mógł po pięciu latach znajomości z tobą myśleć w ten sposób? – odrzekł Harry, dotknięty jej słowami. – Chodzi o sposób, w jaki pisze. Po prostu wiem, że Księciem był facet. Ta dziewczyna nie ma z tym nic wspólnego. A tak w ogóle, to gdzie to znalazłaś?

– W bibliotece. – Taka odpowiedź była łatwa do przewidzenia. – Jest tam cała kolekcja starych numerów *Proroka*. No cóż, postaram się dowiedzieć czegoś więcej o Eileen Prince.

– Baw się dobrze – powiedział zgryźliwie Harry.

– Będę – zapewniła. – I zacznę od tego – spojrzała na niego, zbliżając się do dziury za portretem

– że przejrzę stare zapisy o nagrodach z eliksirów!

Harry patrzył za nią wilkiem przez chwilę, potem powrócił do kontemplacji ciemnego nieba.

– Po prostu nie pogodziła się z tym, że na eliksirach szło ci lepiej niż jej – stwierdził Ron, wracając do swojego egzemplarza *Tysiąca Magicznych ziół i grzybów*.

– Nie myślisz, że zwariowałem, bo chcę tę książkę z powrotem, nie?

– Jasne, że nie – zapewnił stanowczo Ron.

– Ten Książę był geniuszem. A poza tym... bez tej jego podpowiedzi o bezoarze... – przesunął znacząco palcem po szyi – nie rozmawiałbym z tobą teraz o tym, no nie? To znaczy, nie mówię, że to zaklęcie, które rzuciłeś na Malfoya było świetne...

– Też tak nie uważam – zadeklarował szybko Harry.

– Ale wyzdrowiał już, nie? Szybko stanął na nogi.

– Taak – odparł Harry. Było to zupełną prawdą, chociaż sumienie i tak go gryzło. – Dzięki Snape'owi...

– Nadal masz szlaban ze Snape'em w tę sobotę? – kontynuował Ron.

– Taak. I w następną, i jeszcze następną... – Harry westchnął. – I cały czas daje mi do zrozumienia, że jeśli nie skończę wszystkich pudełek do końca semestru, to będę dalej to robił w przyszłym roku.

Te szlabany były dla niego wyjątkowo nieprzyjemne, bo kolidowały z i tak ograniczonym czasem, jaki mógł spędzać z Ginny. Zaiste, często zastanawiał się ostatnio, czy Snape o tym nie wiedział, bo za każdym razem zatrzymywał Harry'ego dłużej i dłużej, równocześnie robiąc uwagi o tym, jaką to piękną pogodę traci i przeróżne możliwości, jakie ona oferuje. Pojawienie się Jimmy'ego Peakesa wyrwało go z tych ponurych rozmyślań. Chłopak trzymał rolkę pergaminu.

– Dzięki, Jimmy... Hej, to od Dumbledore'a! – zawołał podekscytowany Harry, rozwijając kartkę i przeglądając ją. – Chce, żebyśmy jak najszybciej przyszedł do jego gabinetu.

Popatrzyli z Ronem na siebie.

– Cholibka – wyszeptał Ron. – Nie myślisz, że odkrył...?

– Lepiej pójdę i się dowiem, nie? – odrzekł Harry, zrywając się na nogi.

Pospiesznie opuścił pokój wspólny i przeszedł przez siódme piętro, najszybciej jak mógł. Po drodze nie minął nikogo poza Irytkiem, lecącym korytarzem w przeciwną stronę i rzucającym w niego kawalkami kredy. Poltergeist rechotał głośno, unikając obronnych czarów chłopaka. Kiedy już zniknął, na korytarzu zaległa cisza. Do ciszy nocnej zostało tylko piętnaście minut, więc większość uczniów wróciła już do swoich pokoi wspólnych.

I wtedy Harry usłyszał krzyk i huk. Zatrzymał się, słuchając.

– Jak...*śmiesz*...?! Aaargh!

Głos dochodził z pobliskiego korytarza. Harry pobiegł w jego kierunku, trzymając różdżkę w pogotowiu, skręcił za róg i zobaczył profesor Trelawney, leżącą na

podłodze. Głowę miała owiniętą jednym ze swoich szali, kilka butelek sherry leżało obok niej, a jedna była rozbita.

– Pani profesor...

Harry podbiegł do niej i pomógł jej się podnieść. Kilka z błyszczących sznurów koralików zaplątało się w jej okulary. Czknęła głośno, wygładziła włosy i podniosła się z pomocą chłopaka.

– Co się pani stało?

– A pytaj! – wykrzyknęła piskliwym głosem.

– Spacerowałam sobie, rozmyślając o pewnych mrocznych omenach, które zauważyłam...

Ale Harry nie zwrócił na to zbytnej uwagi. Właśnie zauważył, gdzie się znajdowali: po prawej stronie wisiał gobelin z tańczącymi trollami, a po lewej rozciągała się jednolita, kamienna ściana, za którą skrywał się...

– Pani profesor, czemu próbowała pani wejść do Pokoju Życzeń?

– ...znaki które ja... co?

Nagle spojrzała na niego podejrzliwie.

– Pokój Życzeń – powtórzył Harry. – Próbowała pani tam wejść?

– Ja... no... nie wiedziałam, że uczniowie wiedzą o...

– Nie wszyscy – wyjaśnił Harry. – Ale co się stało? Krzyknęła pani... brzmiało to tak, jakby ktoś panią krzywdził...

– Ja... no... – zaczęła profesor Trelawney, owijając się obronnym ruchem szalem, i przyjrzała mu się swymi olbrzymimi oczami. – Chciałam... ach... przechować pewne... uhm... osobiste rzeczy w Pokoju...

– I wymamrotała coś o "okropnych oskarżeniach".

– Jasne – odrzekł Harry, zerkając na butelki sherry.

– Ale nie mogła pani tam wejść i ich schować.

Wydawało mu się to bardzo dziwne, ostatecznie pokój dla niego się otworzył, kiedy chciał schować książkę Półkrwi Księcia.

– Och, dostałam się do środka, jak najbardziej – wyjaśniła profesor Trelawney, patrząc wrogo na ścianę.

– Ale ktoś już tam był.

- Ktoś był...? Kto? – zapytał Harry. – Kto tam był?
- Nie wiem – odparła, zdziwiona nieco natarczywością w głosie chłopca. – Weszłam tam i usłyszałam głos, a to nie zdarzyło się nigdy wcześniej w ciągu tylu lat ukrywania w... to znaczy używania go.
- Głos? Co mówił?
- Nie sądzę, by cokolwiek mówił – stwierdziła profesor Trelawney. – On... wydawał okrzyki radości.
- *Okrzyki radości?*
- W podnieceniu – dodała, kiwając głową.
- Harry wpatrywał się w nią.
- Męski czy kobiecy?
- Wydaje mi się, że męski – odpowiedziała.
- I był zadowolony?
- Bardzo. – Pociągnęła nosem.
- Jakby coś świętował?
- Zdecydowanie.
- A potem...?
- A potem zawołałam: "Kto tu jest?"
- Nie mogła pani sprawdzić, kto to był, bez zadania pytania? – spytał Harry, nieco sfrustrowany.
- Moje wewnętrzne oko – oświadczyła z godnością profesor Trelawney, rozprostowując szal i liczne sznury błyszczących koralików – było skierowane na sprawy poza powszednią sferą wykrzykujących głosów.
- Oczywiście – zapewnił pośpiesznie Harry. Wystarczająco dużo razy słyszał już o wewnętrznym oku profesor Trelawney. – A czy głos powiedział, kim był?
- Nie, nie powiedział – odrzekła. – Zrobiło się zupełnie czarno, a potem zostałam wyrzucona za drzwi!
- I nie widziała pani, że ktoś się zbliża? – Harry nie zdołał się powstrzymać.
- Nie, nie widziałam. Jak już mówiłam, było zupełnie czarno... – Zamilkła, spojrzała na niego wrogo i podejrzliwie.
- Uważam, że powinna pani powiedzieć to profesorowi Dumbledore'owi – orzekł Harry. – Powinien wiedzieć, że Malfoy świętuje... znaczy, że ktoś wyrzucił panią z

Pokoju Życzeń.

Ku jego zdziwieniu, profesor wyprostowała się wyniośle, słysząc tę sugestię.

– Dyrektor oznajmił mi, że wolałby mniej moich wizyt – oświadczyła chłodno. – Nie mam zwyczaju narzucać swojego towarzystwa tym, którzy go nie doceniają. Jeśli Dumbledore woli ignorować ostrzeżenia, jakie ukazują karty...

Zacisnęła kościstą dłoń na nadgarstku chłopaka.

– Znowu i znowu, niezależnie jak je układam...

I wyciągnęła dramatycznym gestem spod szala kartę.

– Wieża... wieża rażona piorunem – wyszeptala.

– Katastrofa. Nieszczęście. Coraz bliżej...

– Oczywiście – powtórzył Harry. – No cóż... Mimo wszystko uważam, że powinna pani powiedzieć Dumbledore'owi o tym głosie, i że wszystko stało się czarne, a potem została pani wyrzucona z Pokoju Życzeń...

– Tak sądzisz? – Profesorka Trelawney rozważała to przez chwilę, ale Harry widział, że spodobał jej się pomysł ponownego opowiedzenia swojej małej przygody.

– Idę właśnie do niego – powiedział. – Mam z nim spotkanie. Może pani pójść ze mną.

– Och, no cóż, w takim razie... – Profesorka Trelawney uśmiechnęła się. Schyliła się, zebrała butelki sherry i bezceremonialnie wrzuciła je do dużego, białoniebieskiego wazonu, stojącego w pobliżu.

– Brakuje mi Ciebie w klasie, Harry – stwierdziła z uczuciem, kiedy ruszyli korytarzem. – Nigdy nie był z Ciebie wielki jasnowidz... ale byłeś cudownym obiektem...

Harry nie odpowiedział. Nienawidził nieustannego bycia obiektem przepowiedni profesorki Trelawney, zapowiadających jego śmierć.

– Obawiam się – kontynuowała – że ta szkapa... o, przepraszam, ten centaur nie wie nic o kartomancji. Spytałam go – jak jeden jasnowidzący drugiego – czy i on nie wyczuł odległych wibracji zwiastujących katastrofę. Ale zachował się tak, jakby uważał, że

jestem śmieszna. Tak, śmieszna!

Na koniec już prawie histeryzowała, a Harry poczuł mocny zapach sherry, choć butelki zostały w wazonie.

– Może ten koń usłyszał, jak ktoś mówił, że nie odziedziczyłam talentu po mojej praprababce. Te pogłoski, wymyślone przez tych, co mi zazdroszczą, już od lat szargają moją opinię. Wiesz, Harry, co mówię takim ludziom? Czy Dumbledore pozwoliłby mi uczyć w tej wspaniałej szkole przez tyle lat i tak mi ufał, gdybym według niego się nie sprawdziła?

Harry wymamrotał coś niewyraźnie.

– Dobrze pamiętam swoją pierwszą rozmowę kwalifikacyjną z Dumbledore'em – kontynuowała gardłowym głosem. – Był pod wielkim wrażeniem, oczywiście, wielkim wrażeniem... Zatrzymałam się Pod Świńskim Łbem, czego nikomu nie polecam – pluskwy, mój chłopcze – ale małe koszta. Dumbledore zrobił mi tę uprzejmość i odwiedził mnie w moim pokoju w gospodzie. Zadawał mi pytania... muszę przyznać, że na początku myślałam, że miał złe nastawienie do wróżbiarstwa... i pamiętam, że zaczynałam się dziwnie czuć, jadłam niewiele tego dnia... ale wtedy...

Teraz Harry po raz pierwszy naprawdę uważał, wiedział, co się wtedy stało: profesor Trelawney wygłosiła przepowiednię, która rządziła całym jego życiem, przepowiednię o nim i Voldemorcie.

– ...ale wtedy przerwał nam, w bardzo nieuprzejmy sposób, Severus Snape!

– Co?

– Tak, za drzwiami zrobiło się zamieszanie i nagle ktoś je otworzył. Za nimi stał ten nieokrzesany barman ze Snape'em, który mówił coś o tym, że szedł po złych schodach, chociaż obawiam się, że został schwytyany na podsłuchiwanie mojej rozmowy z Dumbledore'em – widzisz, on sam szukał wtedy pracy i pewnie liczył na uzyskanie jakichś wskazówek! Cóż, po tym, no wiesz, Dumbledore o wiele chętniej podchodził do dania mi tej posady. I wciąż tak myślę, Harry, że to dlatego, że docenił wyraźny kontrast pomiędzy moimi wzorowymi manierami i cichym talentem, a tym nachalnym

młodzieńcem, który był gotowy podsłuchiwać przez dziurkę od klucza... Harry, kochanie?

Zerknęła przez ramię, dopiero teraz zauważając, że Harry'ego już z nią nie było; zatrzymał się i stał jakies dziesięć stóp dalej.

– Harry? – powtórzyła niepewnie.

Widocznie był bardzo blady, bo wyglądała na naprawdę zmartwioną i przestraszoną. Harry stał zupełnie nieruchomo, fale szoku przelewały się przez niego, jedna za drugą, wymazując wszystko z pamięci poza tą jedną informacją, którą tak długo przed nim ukrywano...

To Snape podsłuchał przepowiednię. To Snape zaniósł wieści o niej Voldemortowi. To przez Snape'a i Petera Pettigrew Voldemort ruszył za Lily, Jamesem i ich synem...

Nic innego nie miało w tej chwili znaczenia dla Harry'ego.

– Harry? – spytała ponownie profesor Trelawney.

– Harry... Myślałam, że mieliśmy pójść razem do dyrektora?

– Pani zostanie tutaj – odparł Harry zdrętwiałymi wargami.

– Ależ mój drogi... Miałam mu powiedzieć, jak zostałam napadnięta w Pokoju...

– Pani zostanie tutaj! – powtórzył jeszcze raz.

Wyglądała na zatrwożoną, kiedy przebiegł obok niej i skręcił w korytarz, prowadzący do gabinetu Dumbledore'a, gdzie na straży stała chimera. Harry wykrzyknął hasło i pobiegł po ruchomych, kręconych schodach, przeskakując po kilka stopni na raz. Nie zapukał do drzwi, zaczął w nie walić pięściami. Kiedy już wkroczył do pokoju, spokojny głos odpowiedział mu: "Proszę".

Feniks Fawkes spojrział na niego bystrymi, czarnymi oczami, w których światło odbijało się złotawo. Dumbledore stał przy oknie i wyglądał przez nie. Na sobie miał długi, czarny płaszcz podróżny.

– Harry, obiecałem ci, że będziesz mógł pójść ze mną. Przez chwilę czy dwie Harry nie rozumiał. Przez

rozmowę z Trelawney miał problemy z myśleniem o czymś innym, jego mózg wydawał się pracować wyjątkowo powoli.

– Pójść... z panem...?

– Tylko jeśli chcesz, oczywiście.

– Jeśli chcę...

I wtedy Harry przypomniał sobie, dlaczego na początku tak szybko szedł do dyrektora.

– Znalazł pan jeden z nich? Jeden z horcruxów?

– Tak sądzę.

Wściekłość i frustracja walczyły z szokiem i podnieceniem: przez pewien czas nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

– Strach jest naturalny – odezwał się Dumbledore.

– Nie boję się! – odrzekł natychmiast Harry i było to całkowitą prawdą. Strach był jedynym uczuciem, którego w tej chwili w ogóle nie czuł. – Który to z horcruxów? Gdzie się znajduje?

– Nie jestem pewny, który to z nich – chociaż sądzę, że możemy wykluczyć węża – ale uważam, że jest ukryty w jaskini na wybrzeżu, wiele mil stąd. W jaskini, której poszukiwałem już od bardzo dawna: tej, w której kiedyś podczas corocznej wycieczki Tom Riddle sterroryzował dwójkę dzieci z sierocińca. Pamiętasz?

– Tak – potwierdził Harry. – Jak jest chroniony?

– Nie wiem. Mam podejrzenia, które mogą być całkowicie niewłaściwe. – Dumbledore zawahał się. – Harry, obiecałem ci, że będziesz mógł ze mną wyruszyć. Podtrzymuję tę obietnicę, ale muszę ci ostrzec, że będzie to niezwykle niebezpieczne.

– Idę – odparł Harry, zanim jeszcze dyrektor skończył mówić. Jego wściekłość na Snape'a oraz potrzeba zrobienia czegoś desperackiego i ryzykownego zwiększyły się dziesięciokrotnie w ciągu ostatnich kilku minut. To musiało być widoczne na jego twarzy, bo Dumbledore odsunął się od okna i przyjrzał mu uważniej, ściągając przy tym siwe brwi.

– Co ci się stało?

– Nic – skłamał natychmiast Harry.

– Co cię zdenerwowało?

– Nie jestem zdenerwowany.

– Harry, nigdy nie byłeś dobrym oklumentą...

Te słowa były iskrą, która rozpałała furię Harry'ego.

– Snape! – wykrzyknął głośno, Fawkes zaskrzeczał za nimi. – Snape się stal! To *on* powiedział Voldemortowi o prorocctwie, to *on* słuchał pod drzwiami, Trelawney mi powiedziała!

Dumbledore nie zmienił wyrazu twarzy, ale Harry'emu wydawało się, że w krwistym świetle, rzucanym przez zachodzące słońce zbladł nieco. Przez dłuższą chwilę dyrektor nic nie powiedział.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś? – spytał w końcu.

– Właśnie przed chwilą! – Harry z ogromnym trudem powstrzymywał się, by nie wrzeszczeć. A potem nagle nie był już w stanie się opanować. – A PAN POZWOLIŁ MU TUTAJ UCZYĆ I ON POWIEDZIAŁ VOLDEMORTOWI, ŻEBY ZAATAKOWAŁ MOJĄ MAMĘ I MOJEGO TATĘ!

Oddychając ciężko, jakby walczył, odwrócił się od Dumbledore'a, nadal stojącego nieruchomo, i zaczął chodzić po gabinecie, rozcierając dłonie i starając się powstrzymać przed poprzewracaniem jakichś rzeczy. Chciał wściekać się i krzyczeć na Dumbledore'a, ale równocześnie chciał z nim iść, by spróbować zniszczyć horcrux. Chciał powiedzieć dyrektorowi, że jest starym głupcem, jeśli wierzy Snape'owi, lecz obawiał się, że jeśli nie opanuje gniewu to Dumbledore go ze sobą nie zabierze...

– Harry – odezwał się cicho Dumbledore. – Proszę, wysłuchaj mnie.

Trudno mu było się zatrzymać, prawie tak samo, jak powstrzymać się od krzyku. W końcu stanął, przygryzł wargę i spojrzał na pomarszczoną twarz dyrektora.

– Profesor Snape popełnił straszliwą...

– Niech mi pan nie mówi, że to była pomyłka. Podслуchiwał pod drzwiami!

– Pozwól mi skończyć. – Dumbledore poczekał, aż Harry skinął głową, dopiero wtedy kontynuował. – Profesor Snape popełnił straszliwą pomyłkę. Nadal pracował dla Lorda Voldemorta tej nocy, kiedy

usłyszał pierwszą połowę proroctwa profesor Trelawney. Naturalnie pośpieszył do swojego pana i powiedział mu, co usłyszał, bo to bardzo dotyczyło Voldemorta. Ale nie wiedział – i nie mógł wiedzieć – jakiego chłopca Voldemort będzie próbował dopaść, ani że rodzice, których po drodze zamorduje, będą ludźmi, których profesor Snape znał, swoją matką i ojcem...

Harry zaśmiał się gorzko.

– Nienawidził mojego taty tak, jak nienawidził Syriusza! Nie zauważył pan, profesorze, jak często umierają ludzie, których Snape nienawidzi?

– Harry, nie wiesz, jakie profesor Snape miał wyrzuty sumienia, kiedy rozumiał, w jaki sposób Lord Voldemort zinterpretował przepowiednię. Sądzę, że tego najbardziej żałuje w swoim życiu i właśnie dlatego wrócił...

– Ale *on* jest bardzo dobrym oklumentą, no nie, profesorze? – Głos Harry'ego drżał od wysiłku, jaki chłopak wkładał, by mówić spokojnie. – I czy Voldemort nie jest przekonany, że Snape jest po jego stronie, nawet teraz? Profesorze... jak może pan być *pewny*, że Snape jest po naszej stronie?

Dumbledore przez chwilę nie odzywał się. Wyglądał, jakby próbował podjąć jakąś decyzję.

– Jestem pewny. Ufam całkowicie Severusowi Snape'owi – powiedział w końcu.

Harry przez dłuższy czas oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Nie zadziałało.

– A ja nie! – zawołał głośno. – Coś planuje z Draconem Malfoyem, właśnie teraz, tuż pod pana nosem, a pan nadal...

– Już to omawialiśmy, Harry. – Teraz głos Dumbledore'a brzmiał znowu stanowczo.

– Powiedziałem ci, co o tym myślę.

– Zostawia pan dzisiaj szkołę i pewnie nawet nie pomyślał pan, że Snape i Malfoy mogą...

– Mogą co? – zapytał Dumbledore, unosząc brwi.

– O co tak dokładnie ich podejrzewasz?

– Ja... oni coś planują! – Harry zacisnął dłonie w

pięści. – Profesor Trelawney była właśnie w Pokoju Życzeń, starała się schować swoje butelki sherry, i usłyszała, jak Malfoy wydaje okrzyki radości, świętuje! Próbował tam naprawić coś niebezpiecznego i myślę, że mu się udało, a pan ma zamiar tak po prostu opuścić szkołę bez...

– Wystarczy – przerwał mu Dumbledore. Powiedział to spokojnie, a mimo to Harry natychmiast zamilkł. Wiedział, że w końcu przekroczył niewidzialną granicę.

– Myślisz, że choć raz w tym roku zostawiłem szkołę bez ochrony? Nie. Dzisiaj, kiedy wyjdę, będą dodatkowe zabezpieczenia. Proszę, Harry, nie sugeruj, że nie traktuję bezpieczeństwa uczniów poważnie.

– Ja nie... – wymamrotał zażenowany Harry, ale Dumbledore nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie chcę już więcej o tym mówić.

Harry nie odpowiedział, przestraszony, że zrujnował szansę na wyprawę z Dumbledore'em, ale dyrektor dodał:

– Chcesz mi dzisiaj towarzyszyć?

– Tak – odparł natychmiast.

– Bardzo dobrze. Słuchaj w takim razie.

Dumbledore wyprostował się.

– Zabiorę cię pod jednym warunkiem: będziesz wykonywać każdy mój rozkaz natychmiast, bez zadawania pytań.

– Oczywiście.

– Zrozum mnie dobrze, Harry. Jeśli powiem "uciekaj", "kryj się" albo "wracaj", zrobisz to. Mam na to twoje słowo?

– Ja... tak, oczywiście.

– Jeśli powiem, żebyś się schował, zrobisz to?

– Tak.

– Jeśli powiem, żebyś uciekał, posłuchasz mnie?

– Tak.

– Jeśli powiem, abyś mnie zostawił i ratował siebie, zrobisz jak ci powiem?

– Ja...

– Harry?

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Tak, proszę pana.

– Bardzo dobrze. Zatem idź po swoją pelerynę i spotkaj się ze mną za pięć minut w sali wejściowej.

Dumbledore odwrócił się w stronę okna; słońce na horyzoncie świeciło na rubinowo. Harry wyszedł szybko z gabinetu i zszedł po kręconych schodach. Umysł miał nagle dziwnie czysty. Wiedział, co ma zrobić.

Kiedy wszedł do pokoju wspólnego, Ron siedział razem w Hermioną.

– Czego chce Dumbledore? – spytała natychmiast Hermiona. – Harry, nic ci nie jest? – dodała, zatroskana.

– Nie – odparł krótko Harry, szybko przechodząc obok nich. Wbiegł po schodach do dormitorium, otworzył kufer i wyjął z niego Mapę Huncwotów i parę zrolowanych skarpetek. Potem zbiegł po stopniach do pokoju wspólnego i zatrzymał się koło Rona i Hermiony, przyglądających się mu w zdumieniu.

– Nie mam czasu – wydyszał. – Dumbledore myśli, że zabieram pelerynę-niewidkę. Słuchajcie...

Pospiesznie opowiedział im, gdzie się wybierał i po co. Nie przerywał opowieści, gdy Hermiona chwyciła głośno powietrze, ani gdy Ron zadawał pytania; szczegółów mogli domyśleć się sami później.

– ...więc wiecie, co to znaczy? – zakończył.

– Dumbledore'a nie będzie tu dziś w nocy, więc Malfoy będzie miał szansę zrobić to, co planuje. *Nie, słuchajcie!*

– wysyczał gniewnie, kiedy Ron i Hermiona chcieli mu przerwać. – Wiem, że to Malfoy coś świętował w Pokoju Życzeń. Trzymaj... – Wsunął Mapę Huncwotów Hermionie do ręki. – Obserwujcie jego i Snape'a też. Korzystajcie z pomocy każdego z GD, kogo tylko możecie ściągnąć. Hermiona, te fałszywe galeony nadal działają, prawda? Dumbledore powiedział, że szkoła jest dodatkowo chroniona, ale jeśli jest w to zamieszany Snape, to on pewnie zna zabezpieczenia i wie, jak je obejść... ale nie będzie się spodziewał, że będziecie go pilnować, no nie?

– Harry... – zaczęła Hermiona, oczy miała rozszerzone

ze strachu.

– Nie mam czasu na klótnie – stwierdził sucho Harry.

– Weź jeszcze to... – Podał Ronowi skarpetki.

– Dzięki – odrzekł Ron. – Eee... Po co mi to?

– Przyda wam się to, co jest w środku, Felix Felicis. Podzielcie go między siebie i Ginny. Pożegnajcie ją ode mnie. Muszę już iść, Dumbledore czeka...

– Nie! – wykrzyknęła Hermiona, kiedy Rona wyjął buteleczkę złotawego płynu i przyjrzał się jej z lękiem.

– Nie chcemy tego, ty to weź. Kto wie, z czym przyjdzie ci się zmierzyć?

– Nic mi nie będzie, będę z Dumbledore'em – zapewnił Harry. – Chcę być pewny, że wam nic się nie stanie... nie patrz tak na mnie, Hermiona, zobaczymy się później...

Wyszedł przez dziurę za portretem i pobiegł do sali wejściowej.

Dumbledore czekał przy dębowych drzwiach wejściowych. Odwrócił się do Harry'ego, gdy ten zbiegł po schodach, dysząc ciężko.

– Załóż pelerynę, proszę – rzekł dyrektor. Począł, aż chłopak to zrobił. – Bardzo dobrze. Możemy iść?

Dumbledore zszedł po kamiennych schodach, jego płaszcz podróżny prawie się nie poruszał w ciepłym, nieruchomym powietrzu. Harry pośpieszył za mężczyzną, ukryty pod peleryną niewidką, nadal dysząc.

– Ale co pomyślą sobie ludzie, kiedy zobaczą, jak pan wychodzi? – spytał Harry, myśląc o Malfoyu i Snapie.

– Że poszedłem do Hogsmeade się napić – odpowiedział lekko profesor. – Czasami składam wizytę Rosmercie, a innym razem odwiedzam Świński Łeb... albo przynajmniej tak to wygląda. To dobry sposób na ukrycie właściwego celu.

Szli drogą w półmroku. W powietrzu czuć było zapach ciepłej trawy, jeziora i ognia płonącego w chacie Hagrida. Trudno było uwierzyć, że czekało ich coś niebezpiecznego czy przerażającego.

– Profesorze – odezwał się cicho Harry, kiedy zobaczyli bramę – będziemy się aportować?

– Tak – odpowiedział Dumbledore. – Teraz już umiesz, jak sądzę?

– Tak – przyznał chłopak – ale nie mam jeszcze licencji.

Czuł, że lepiej, jak będzie szczerzy. Co by było, gdyby wszystko popsuł, pojawiając się sto mil od miejsca przeznaczenia?

– Nie ma znaczenia – stwierdził dyrektor.

– Mogę ci znowu pomóc.

Od bramy poszli pustą, ciemną drogą, prowadzącą do miasteczka. Noc szybko nadchodziła; kiedy dotarli do głównej ulicy, było już zupełnie ciemno. W oknach sklepów paliły się światła. Od strony Trzech Miotel usłyszeli ochryple krzyki.

– ...i nie wracaj! – zawołała Madam Rosmerta, wyrzucając jakiegoś brudnego czarodzieja.

– Och, witaj, Albusie... późno wyszedłeś...

– Dobry wieczór, Rosmerto, dobry wieczór... wybac mi, idę do Świńskiego Łba... nie miej mi tego za złe, ale mam dzisiaj ochotę na nieco spokojniejszą atmosferę...

Chwilę później obaj skręcili za róg w boczną uliczkę, gdzie chybotał się (mimo braku wiatru) szyld gospody Pod Świńskim Łbem. W przeciwieństwie do Trzech Miotel, ta oberża wydawała się zupełnie pusta.

– Nie musimy wchodzić – mruknął Dumbledore, rozglądając się wkoło. – Jeśli nikt nie widzi, że znikniemy... schwyć mnie za ramię, Harry. Nie musisz zbyt mocno, będę cię tylko prowadził. Na trzy: jeden... dwa... trzy...

Harry odwrócił się. Natychmiast ogarnęło go okropne poczucie, jakby był przeciągany przez gumową rurę. Nie mógł oddychać, całe jego ciało było ściskane aż do granic wytrzymałości, a potem, kiedy już myślał, że się udusi, niewidzialne więzy zniknęły i stał pośród chłodnej nocy, wdychając świeże, morskie powietrze.

Tłumaczyła Mirriel



Jaskinia

Pachniało solą. Harry słyszał rozbijające się fale, delikatna, chłodna bryza targająca mu włosy, gdy spoglądał w dal na oświetlone światłem księżyca morze pod obsypanym gwiazdami niebem. Stał na wysokim, ciemnym nawisie skalnym, woda pieniała się i kotłowała pod nim. Spojrzał przez ramię. Za nim piętrzyła się pionowa, czarna faleza. Szerokie półki skalne, takie jak ta, na której stali teraz z Dumbledore'em wyglądały, jakby przed wiekami ktoś wyrąbał je w gładkiej ścianie. Był to ponury, surowy widok, tylko morze i nagie skały, bez śladu drzew, trawy, czy choćby piasku.

- Co ty na to? – zapytał Dumbledore, tonem, którym równie dobrze mógł pytać o najlepsze miejsce na piknik.

- Przywozili tu dzieci z sierocińca? – Harry nie wyobrażał sobie mniej przytulnego miejsca na jednodniową wycieczkę.

- Niezupełnie – odparł Dumbledore. – Kilka mil stąd jest niewielka osada na klifie. Zakładam, że przywożono tam dzieci z sierocińca, żeby spędziły parę

dni nad morzem. Wydaje mi się, że te skały widział tylko Tom Riddle i jego małe ofiary. Żaden mugol nie dostałby się tutaj, chyba, że byłby nad wyraz utalentowanym alpinistą, nawet łodzie tu nie podpływają, te wody są zbyt niebezpieczne. Myślę, że Riddle zdołał zejść aż tutaj, magia była bardziej przydatna niż liny. Przyprowadził ze sobą dwoje małych dzieci, zapewne dla czystej przyjemności patrzenia na ich strach. Zresztą sama podróż tu jest wystarczająco przerażająca, nie sądzisz?

Harry spojrzął na czarne skały i dostał gęsiej skórki.

- Ale miejsce, do którego zmierzał – ciągnął – i do którego my zmierzamy, leży nieco dalej. Chodź.

Dumbledore przywołał Harry'ego na sam skraj skały, gdzie postrzępione załamki skalne tworzyły strome stopnie prowadzące na wielkie głazy, częściowo już zanurzone w morzu. Było to zdradzieckie zejście i Dumbledore, z powodu niesprawnej ręki, poruszał się bardzo powoli. Skały poniżej były śliskie od morskiej wody. Harry czuł na twarzy słoną mgiełkę. *Lumos* mruknął Dumbledore stanąwszy na bloku skalnym położonym najbliżej ściany klifu. Parę stóp pod nimi czarna powierzchnia wody zafalowała tysiącem iskier, ale blask z różdżki oświetlił przede wszystkim ciemną ścianę skalną.

- Widzisz? – zapytał Dumbledore cicho, unosząc różdżkę wyżej. Harry dojrzał szczelinę w klifie, w której kotłowały się fale. – Nie masz nic przeciwko małej kąpieli?

- Nie.

- W takim razie zdejmij pelerynę niewidkę – nie będzie ci teraz potrzebna – i dajemy nura.

Mówiąc to Dumbledore, z nagłym przyływem zwinności godnej znacznie młodszego człowieka, zsunął się z głazu na którym stali i, trzymając różdżkę w zębach, zaczął płynąć perfekcyjną żabką w stronę ciemnej szczeliny w skale. Harry zdjął pelerynę, schował ją do kieszeni i ruszył za nim. Morze było lodowate, przemoczone ubranie Harry'ego nieprzyjemnie falowało, było o wiele za ciężkie i

ciągnęło go w dół. Zapach soli i wodorostów drażnił go w nos, Harry oddychał głęboko, posuwając się w stronę skały za migoczącym światełkiem. Szczelina okazała się ciemnym tunelem, który przy wysokiej fali musiał być całkowicie wypełniony wodą. Strome ściany tworzące ciasny korytarz były od siebie oddalone może o trzy stopy, w świetle padającym z różdżki Dumbledore'a błyszcząły jak wilgotna smoła. Po pewnym czasie korytarz skręcił w lewo. Harry zauważył, że ciągnie się on jeszcze daleko w głąb skały. Płynął dalej za w ślad za dyrektorem, czubkami przemarzniętych palców dotykając szorstkiej, mokrej skały.

W końcu zobaczył Dumbledore'a wychodzącego na brzeg, srebrne włosy i ciemne szaty ociekały wodą. Dopłynawszy do właściwego miejsca, Harry znalazł schody prowadzące do dużej jaskini. Wspiął się na nie. Kiedy dygocąc z zimna znalazł się na lodowatym powietrzu woda ląła się z niego strumieniami.

Dumbledore stał pośrodku jaskini. Trzymając wysoko różdżkę obracał się powoli, badając ściany i sufit.

- Tak, to jest to miejsce – mruknął wreszcie.

- Skąd pan wie? - zapytał Harry szeptem.

- To miejsce poznało magię – odparł prosto Dumbledore.

Harry nie wiedział, czy dygotanie, którego doświadczał, było wynikiem przenikającego go do szpiku kości zimna, czy może dowodem obecności magicznych uroków. Patrzył, jak Dumbledore kontynuuje poszukiwania, koncentrując się na czymś, czego Harry nie mógł dostrzec.

- To jest najprawdopodobniej korytarz wejściowy...

Coś w rodzaju przedpokoju... - powiedział Dumbledore po chwili. – Musimy dostać się do właściwej komnaty...

I tu już nie natura stanie nam na drodze, ale sam Voldemort...

Dumbledore podszedł do ściany i przesunął po niej szerniałymi czubkami palców, szepcząc słowa w dziwnym języku, którego Harry nie rozumiał. Dyrektor dwukrotnie obszedł całą jaskinię, dłonią wciąż

dotykając szorstkiej skały. Czasami zatrzymywał się, badając palcami kilka razy jedno miejsce, aż wreszcie zatrzymał się, rękę przyciskając do ściany.

- Tutaj – oznajmił. - Tędy przedostaniemy się dalej. Przejście jest zamaskowane.

Harry nie zapytał skąd Dumbledore to wszystko wie. Nigdy nie widział, żeby czarodziej działał w ten sposób, jedynie obserwując i dotykając, ale zdążył się już przekonać, że wybuchy i dym były raczej oznaką braku umiejętności, aniżeli wyjątkowych zdolności. Dumbledore cofnął się o kilka kroków i wycelował różdżką w skałę. Na chwilę pojawił się niewyraźny zarys łuku, płonący ognistą bielą, jakby z drugiej strony biło silne źródło światła.

- Udało się panu! – zawołał Harry wciąż dzwoniąc zębami, ale zanim jego słowa przebrzmiały, skała znów była gładka, jak przedtem. Dumbledore spojrział przez ramię.

- Harry, bardzo cię przepraszam, zapomniałem – powiedział, celując różdżką w chłopca. W okamgnieniu ubranie Harry'ego zrobiło się ciepłe i suche, jakby cały dzień wisiało przy ogniu.

- Dziękuję – odrzekł Harry z wdzięcznością, ale Dumbledore znów z zainteresowaniem przyglądał się twardej skale przed sobą. Nie próbował już żadnych czarów, po prostu stał i przyglądał się jej z namysłem, jakby widział na niej jakiś szalenie fascynujące znaki. Harry czekał w bezruchu, nie chcąc przeszkodzić dyrektorowi. Po przeszło dwóch minutach czarodziej wreszcie się odezwał.

- Nie, oczywiście, że nie. Jakież to prymitywne.

- Co takiego, panie profesorze?

- Zdaje mi się... – odparł Dumbledore, wsuwając ranną rękę do kieszeni i wyciągając stamtąd krótki, srebrny nóż, podobny do tego, jakim Harry zazwyczaj siekał składniki eliksirów. – Zdaje się, że musimy zapłacić za przejście.

- Zapłacić? Mamy tym drzwiom coś dać?

- Tak – skinął Dumbledore. – Trochę krwi, jeśli się nie mylę.

- *Krwi?*

- Mówilem, że to prymitywne. – W głosie Dumbledore'a dało się wyczuć pogardę, a nawet rozczarowanie, jakby Voldemort nie spełnił pokładanych w nim nadziei. – Sam pomysł wziął się, jak się zapewne domyślasz, z założenia, że wróg musi się osłabić, by przejść dalej. I znów Lord Voldemort zapomina, że istnieją dużo gorsze rzeczy, niż fizyczne zranienia.

- No tak, ale jeśli można tego uniknąć... – zaczął Harry, który trochę już wycierpiał i wcale nie miał ochoty na więcej.

- Czasem jednak nie da się uniknąć bólu.

– Odwinął rękaw szaty odsłaniając przedramię chorej ręki.

- Panie profesorze! – zaprotestował Harry, rzucając się do przodu, na widok dyrektora unoszącego nóż. – Ja to zrobię, jestem... – Sam nie wiedział, co zamierzał powiedzieć. Młodszy? Sprawniejszy?

Dumbledore tylko się uśmiechnął. Błysnęło srebrne ostrze, szkarłatna substancja zrosiła czarną skalę.

- Bardzo to miło z twojej strony, Harry. – Przesunął czubkiem różdżki nad głębokim skaleczeniem, które natychmiast się ztgoiło, podobnie jak wtedy, w łazience, rany Malfoya. – Ale twoja krew jest znacznie cenniejsza niż moja. No i wydaje się, że wystarczyła, nie sądzisz?

Srebrzysta linia łuku znów pojawiła się na ścianie, ale tym razem już nie znikła. Zakrwawiona skala wypełniająca łuk po prostu rozplynęła się w powietrzu, tworząc przejście, za którym ziała absolutna ciemność.

- Cóż, może ja poprowadzę – rzekł Dumbledore i przeszedł przez kamienny łuk. Harry wyszeptał *Lumos* i podążył za dyrektorem.

Oczom ich ukazał się upiorny widok. Stali na skraju czarnego, podziemnego jeziora, tak rozległego, że Harry nie mógł dostrzec przeciwległego brzegu, sklepienie jaskini również ginęło w mroku, który rozjaśniały tylko ich różdżki i przedziwna, zielonkawa poświata, emanująca jakby ze środka jeziora, odbijająca

się w nieruchomej wodzie. Jednak, ku rozczarowaniu Harry'ego, blask nie sięgał tak daleko, by objąć całą grotę. Aksamitna ciemność poza granicą światła była jeszcze intensywniejsza.

- Chodźmy – powiedział cicho Dumbledore. - Uważaj, nie dotknij wody. Trzymaj się jak najbliżej mnie.

Ruszył brzegiem jeziora, a Harry postępował tuż za nim. Szli po wąskim pasie kamieni tuż przy linii wody, echo kroków odbijało się od ścian. Maszerowali już dobrą chwilę, ale nic się nie zmieniło – po jednej stronie mieli surową ścianę skalną, po drugiej niezmierną, gładką czerń, pośrodku której jaśniała tajemnicza, zielonkawa poświata. Harry uznał, że to bardzo przytłaczające i przerażające miejsce.

- Panie profesorze? Myśli pan, że horcrux jest gdzieś tutaj?

- O tak – rzekł Dumbledore. – Tak, jestem tego pewien. Pytanie tylko, jak my się do niego dostaniemy?

- A nie moglibyśmy... Nie moglibyśmy po prostu spróbować zaklęcia przywołującego? – zapytał Harry, ale już w chwili, gdy to mówił, czuł, że to głupie pytanie. Bardziej, niż chciałby się do tego przyznać, pragnął po prostu wydostać się z jaskini.

- Oczywiście, że moglibyśmy – odparł Dumbledore, zatrzymując się tak nagle, że Harry prawie na niego wpadł. – Dlaczego więc nie spróbujesz?

- Ja... No... No dobrze... – Harry zupełnie się tego nie spodziewał, ale odchrząknął i wyciągnąwszy różdżkę zawołał – *Accio horcrux!*

Rozległ się huk. Coś ogromnego i jasnego wyskoczyło z wody jakieś dwadzieścia stóp przed nimi, zanim Harry zdołał się zorientować co to było, zniknęło ponownie z wielkim pluskiem, zostawiając rozchodzące się kolistą fale na ciemnej tafli jeziora. Przerażony Harry rzucił się do tyłu i wpadł na skalę, serce wciąż jeszcze waliło mu jak oszalałe, gdy zwracał się do Dumbledore'a.

- Co to było?

- Coś, co jak mniemam ma za zadanie uniemożliwić nam dotarcie do horcruxa.

Harry popatrzył na ciemną wodę. Powierzchnia jeziora była znów błyszczącym, idealnie gładkim lustrem, fale znikły nienaturalnie szybko, choć serce Harry'ego jeszcze się nie uspokoiło.

- Wiedział pan, profesorze, że tak będzie?

- Podejrzywałem, że *coś* się stanie, jeśli spróbujemy w sposób tak oczywisty zdobyć horcruxa. To był bardzo dobry pomysł, Harry, najprostsza metoda by dowiedzieć się, z czym będziemy musieli się zmierzyć.

- Ale przecież nie wiemy, czym było to coś – rzekł Harry, wciąż wpatrując się w złowróźnie spokojną wodę.

- Czym to jest, chciałeś powiedzieć – poprawił Dumbledore. – A raczej, czym *śa*, bo wątpię, żeby krył się tam tylko jeden. Idziemy dalej?

- Panie profesorze?

- Tak, Harry?

- Myśli pan, że będziemy musieli wejść do jeziora?

- Do jeziora? Tylko, jeśli będziemy mieć wyjątkowego pecha.

- Więc horcrux nie jest ukryty gdzieś na dnie?

- Na dnie? Nie... Myślę, że horcrux jest tam, dokładnie *na środku*. – Dyrektor wskazywał mglistą, zielonkawą łunę pośrodku jeziora.

- A więc będziemy musieli przedostać się przez jezioro, żeby go zdobyć?

- Obawiam się, że tak.

Harry nic nie odpowiedział. Myślami błądził wokół potworów wodnych, wielkich węży, demonów, kelpi i duchów...

- A-ha! – wykrzyknął Dumbledore i zatrzymał się tak nagle, że tym razem Harry rzeczywiście na niego wpadł. Przez chwilę balansował ponad powierzchnią czarnej wody i dopiero Dumbledore złapał go zdrową ręką za ramię i przyciągnął do pionu. – Przepraszam, Harry, powinienem był cię ostrzec. Stań przy ścianie, bardzo cię proszę. Zdaje się, że znalazłem właściwe miejsce.

Harry nie miał pojęcia, o czym dyrektor mówi, jego zdaniem kamienista ścieżka w tym konkretnym miejscu

nie różniła się niczym od tej, którą szli wcześniej, ale wyglądało na to, że Dumbledore odkrył w niej coś szczególnego. Tak jak wcześniej po skale, tak błądził teraz dłońmi w powietrzu, jakby chciał odnaleźć i schwytać coś niewidzialnego.

- A-ha! – powtórzył Dumbledore sekundę później. Ręka złapała w powietrzu coś, czego Harry nie mógł dojrzeć. Dyrektor zbliżył się do tafli jeziora, Harry wzdrygnął się nerwowo, gdy czubki trzewików Dumbledore'a zatrzymały się o ułamki cala od czarnej wody. Wciąż trzymając coś w zaciśniętej dłoni, Dumbledore wyjął różdżkę i stuknął nią w pięść.

W tej samej chwili w dłoni dyrektora pojawił się gruby, miedziany, połyskujący zielonkawą poświatą łańcuch, którego drugi koniec ginał w wodzie. Czarodziej stuknął weń różdżką i łańcuch zaczął się wić niczym wąż, opadając na kamienne podłoże, z donośnym brzękiem, który echem odbijał się od ścian. Najwyraźniej łańcuch wyciągał coś z dna. Harry wstrzymał oddech, gdy widmowa łódeczka wynurzyła się spod powierzchni, emanując tym samym, zielonkawym blaskiem i powoli podpłynęła, nie mącąc idealnie gładkiej powierzchni, w kierunku miejsca, w którym stali.

- Skąd pan wiedział, że to tu jest, profesorze? – zapytał zdziwiony Harry.

- Magia zawsze zostawia ślady – odparł Dumbledore, gdy z głuchym łąpaniem łódeczka dobiła do brzegu. – Czasem bardzo charakterystyczne ślady. Uczyłem Toma Riddle'a. Znam jego styl.

- Czy ta... Czy ta łódka jest bezpieczna?

- O, myślę, że tak. Voldemort musiał zapewnić sobie bezpieczny sposób przedostania się do horcruxa na wypadek, gdyby chciał sprawdzić, co się z nim dzieje, albo przenieść go w inne miejsce. Wydaje mi się, że nawet on nie chciałby rozłościć upiórów, które umieścił w jeziorze.

- Więc te stworzenia nie zrobią nam nic, jeśli przepłyniemy jezioro w łódce Voldemorta?

- Myślę, że musimy się pogodzić z faktem, że w

pewnym momencie zorientują się, że nie jesteśmy Lordem Voldemortem. Jak dotąd jednak nam się udawało. Pozwoliły nam wydobyć łódź.

- Ale dlaczego? – Harry nie mógł się pozbyć natrętnej wizji macek wylających z czarnej toni w momencie, gdy tylko na chwilę spuści z niej wzrok.

- Voldemort był przekonany – nie bez racji – że tylko bardzo potężny czarodziej byłby w stanie znaleźć tę łódkę - rzekł Dumbledore. - Zapewne zakładał, że nikt się tu nie dostanie, a poza tym mógł zaryzykować, zważywszy, ile przeszkód i pułapek przygotował na drodze do horcruxa, przeszkód, które tylko on

- w swoim mniemaniu - mógł przejść. Przekonamy się, czy miał rację.

Harry spojrział na łódkę. Była naprawdę maleńka.

- Ta łódka nie wygląda tak, jakby miała być przewidziana dla dwóch osób. Czy zmieścimy się w niej obaj? Nie będziemy za ciężcy?

Dumbledore zachichotał.

- Voldemort dba nie tyle o tuszę, co o moc czarodzieja, który miałby przebyć jezioro. Podejrzewam, że rzucił na łódź jakieś zaklęcie, żeby tylko jeden czarodziej mógł przepłynąć.

- To w takim razie...

- Nie sądzę, żebyś się liczył, Harry. Jesteś młody i formalnie jeszcze niewykształcony. Voldemort nigdy by nie przypuszczał, że dostanie się tu jakiś szesnastolatek, no wydaje mi się, że w porównaniu z moją mocą, ciebie się nawet nie zauważy. - Słowa Dumbledore'a nie podniosły Harry'ego na duchu. Czarodziej musiał to zauważyć, bo uśmiechnął się i dodał: - Kolejny błąd Voldemorta, Harry, kolejny błąd. Dorosłość czasem jest na tyle głupia, by nie doceniać młodości... Ty razem ty pójdiesz pierwszy, Harry, tylko uważaj, by nie dotknąć wody.

Dumbledore odsunął się nieco i Harry ostrożnie wsiadł do łódki. Dyrektor wsiadł zaraz za nim, upuszczając łańcuch na dno łodzi. Ledwie się na niej mieścili, Harry nie mógł usiąść, kulił się, a kolana wystawały mu ponad burtę. Łódka ruszyła natychmiast, bez

jakiejkolwiek ingerencji z ich strony, jakby ktoś ciągnął za niewidzialną linę. Kompletną ciszę mącił jedynie delikatny chłupot fal, gdy dziób łodzi ciał czarną, aksamitną toń. Zmierzali w stronę zielonej poświaty, po chwili nie mogli już dojrzeć ścian groty. Gdyby nie to, że woda była idealnie spokojna, Harry mógłby przysiąc, że znajdują się na środku morza.

Harry spojrzął w wodę. Widział złote odbicie światła z różdżki migoczące na błyszczącej, lustrzanej powierzchni. Łódź rozcinała wodę, zostawiając głębokie zmarszczki... I wtedy je zobaczył. Kredowobiałe, unoszące się tuż po powierzchnią wody.

- Panie profesorze! - krzyknął przerażony, a głos poniósł się po wodzie.

- Harry?

- Wydawało mi się, że widziałem w wodzie rękę... Ludzką rękę!

- Wierzę - odparł Dumbledore spokojnie.

Harry zapatrzył się w czarną głębię, wypatrując ręki i poczuł, że go mdli.

- Więc to, co wyskoczyło z wody...? - Ale zanim Dumbledore zdążył odpowiedzieć, w złocistym świetle różdżki Harry dostrzegł odpowiedź. Tym razem parę cali od powierzchnią ukazało się martwe ciało mężczyzny, leżące twarzą do góry, z zamglonymi, niewidzącymi oczami, a włosy i szaty unosiły się wokół falując miękko. - Tam są trupy! - wykrzyknął nienaturalnie wysokim głosem.

- Owszem - odpowiedział łagodnie Dumbledore.

- Ale nie musimy się nimi przejmować w tej chwili.

- W tej chwili? - Harry oderwał wzrok od jeziora i spojrzął na dyrektora.

- Dopóki unoszą się spokojnie pod wodą, nie trzeba się ich bać - rzekł Dumbledore. - Nie trzeba się bać zwłok, tak samo, jak nie trzeba się bać ciemności. Lord Voldemort, który skrycie obawia się jednego i drugiego, jest oczywiście innego zdania. I w ten sposób po raz kolejny objawia swój brak rozważności. Nieznanego boimy się najbardziej, zarówno w śmierci, jak i w ciemności. Nieznanego, niczego więcej.

Harry nie odpowiedział nic, nie chciał się klócić, ale sama myśl o pływających wokół nich trupach wydawała mu się przerażająca. No i wcale nie uważał, że były nieszkodliwe.

- Ale jeden z nich wyskoczył - podjął, siląc się na ton równie spokojny, jak głos Dumbledore'a.

- Kiedy próbowałem przywołać horcruxa, ciało wyskoczyło z jeziora.

- Tak - przytaknął Dumbledore. - Jestem przekonany, że kiedy zdobędziemy horcruxa, będą nastawione o wiele mniej pokojowo. Niemniej jednak, jak wszystkie stworzenia, które zamieszkują w zimnie i ciemności, tak i te boją się ciepła i światła, i to właśnie do tych dwóch instancji będziemy musieli się odwołać, gdy przyjdzie czas. Użyjemy ognia, Harry - dodał na widok zdezorientowanej miny chłopca.

- A... No tak - zgodził się Harry szybko. Odwrócił głowę i popatrzył w kierunku luny, do której wciąż się zbliżali. Nie mógł już udawać, że się nie boi. Wielkie czarne jezioro skrywające ludzkie zwłoki... Wydawało mu się, że całe wieki temu spotkał profesor Trelawney i dał Ronowi i Hermionie Felix Felicis... Nagle pożałował, że nie pożegnał się z nimi właściwie... No i nie widział się z Ginny...

- Już prawie jesteśmy - powiedział Dumbledore radośnie. Zielonkawe światło rosło z każdą minutą i chwilę później łódź się zatrzymała, uderzając lekko w coś, czego Harry początkowo nie dojrzał, lecz uniósłszy zapaloną różdżkę dostrzegł małą, skalistą wysepkę na środku jeziora. - Uważaj, by nie dotknąć wody - ostrzegł ponownie dyrektor, gdy wysiadali z łódki.

Wyspa nie była większa niż gabinet Dumbledore'a. Była to naga, czarna skała, znajdowało się na niej tylko źródło tajemniczego, zielonego światła, które z bliska wydawało się jeszcze jaśniejsze. Harry zerknął nań. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakaś dziwna lampa, ale po chwili zauważył, że blask wydobywał się ze stojącej podwyższeniu kamiennej misy, nieco podobnej do myślodsiewni. Dumbledore zbliżył się do

podwyższenia, Harry uczynił to samo. Stojąc ramie w ramie zajrzeli do naczynia. Było pełne szmaragdowej cieczy, emanującej fosforyzującą poświatą.

- Co to? – zapytał szeptem Harry.

- Nie jestem pewien – odparł Dumbledore.

- Niewątpliwie jednak coś o wiele bardziej niepokojącego, niż krew i martwe ciała.

Dumbledore podwinął rękaw szaty i wyciągając swą szerniałą rękę próbował dotknąć powierzchni eliksiru koniuszkami palców.

- Panie profesorze, niech pan tego nie dotyka!

- Nie mogę – uśmiechnął się blado Dumbledore.

- Widzisz? Nie mogę zbliżyć doń ręki. Sam spróbuj.

Z oczami rozszerzonymi strachem Harry włożył dłoń do kamiennej misy i spróbował zanurzyć ją w cieczy. Napotkał jednak niewidzialną barierę, o cal ponad fosforyzującą taflą. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, palce wciąż trafiały na coś, co w dotyku było dziwnym, gęstym powietrzem.

- Przepraszam cię, Harry – powiedział w końcu dyrektor. Uniósł różdżkę i wykonał szereg skomplikowanych ruchów nad powierzchnią dziwnej substancji, mamrocząc coś ledwo dosłyszalnie. Nic się nie stało, może jedynie eliksir błyszczał odrobinę jaśniej. Harry milczał, dopiero gdy po chwili Dumbledore cofnął różdżkę, Harry spróbował coś powiedzieć.

- Myśli pan, że horcrux tu jest, profesorze?

- O tak – Dumbledore zajrzał do kamiennej misy. Harry zobaczył jego odwrócone odbicie w gładkiej tafli zielonego eliksiru. – Ale jak go zdobyć? Elixiru nie można dotknąć, wylać, odsączyć, odessać, odparować, transmutować, zakląć, ani też w jakikolwiek inny sposób zmienić jego natury. - Z niejakim roztargnieniem Dumbledore uniósł różdżkę, machnął nią w powietrzu i ułamek sekundy później trzymał już kryształowy kielich. – Pozostaje nam zatem uznać, że eliksir ten należy wypić.

- Co? – zawołał Harry. – Nie!

- Tak, obawiam się, że tak. Tylko wypijając ten eliksir

mogę opróżnić misę i sprawdzić, co leży na dnie.

- Ale co będzie, jeśli... Jeśli to pana zabije?

- O, wątpię, żeby eliksir działał w ten sposób – odrzekł Dumbledore nonszalancko. – Lord Voldemort nie chciałby śmierci osoby, która dotarła aż tutaj.

Harry nie mógł uwierzyć własnym uszom. Czyżby dyrektor, na przekór resztkom zdrowego rozsądku widział dobro również w Voldemorczie?

- Panie profesorze – Harry usiłował nadać głosowi brzmienie pełne rozsądku. – Mówimy o *Voldemorczie*...

- Przepraszam, Harry, powinienem wyrazić się jaśniej. Nie chciałby *natychmiastowej* śmierci osoby, która dotarła na tę wyspę – sprostował Dumbledore.

- Chciałby utrzymać ją przy życiu wystarczająco długo, by wyciągnąć z niej, jakim cudem przedarła się przez jego zabezpieczenia i, co najważniejsze, po co to zrobiła. Nie zapominaj, że Voldemort jest przekonany, że tylko on wie o horcruxach.

Harry miał jeszcze coś powiedzieć, ale Dumbledore podniósł dłoń, gestem prosząc o ciszę i zmarszczywszy brwi wpatrywał się w szmaragdową substancję, najwyraźniej głęboko zamyślony.

- Niewątpliwie – powiedział w końcu. – Ten eliksir ma za zadanie powstrzymać mnie przed zdobyciem horcruxa. Może mnie sparaliżować, mogę zapomnieć, po co tu jestem, sprawić mi taki ból, że stracę zmysły lub unieszkodliwić mnie w jakikolwiek inny sposób. Dlatego też twoim zadaniem, Harry, będzie dopilnować, żebym go wypił. Nawet jeśli będziesz musiał wlać mi go do gardła. Rozumiesz?

Oczy chłopca i starca spotkały się nad kamienną misą, ich twarze oświetlało dziwne, zielone światło. Harry nie powiedział nic. Więc tylko dlatego został zaproszony na tę wyprawę? Żeby ktoś wmusił w dyrektora eliksir, który może być przyczyną niewyobrażalnych cierpień?

- Pamiętasz – podjął Dumbledore - pod jakim warunkiem pozwoliłem ci przyjść tu ze mną?

Harry zawahał się, wpatrując wciąż w błękitne oczy, które pod wpływem upiornej poświaty nabrały

zielonkawego odcienia.

- Ale jeśli...?

- Przysiągłeś, wypełnić każde moje polecenie, czyż nie?

- Tak, ale...

- Ostrzegłem cię, że może to być śmiertelnie niebezpieczne, czyż nie?

- Tak – zgodził się ponownie Harry. – Ale...

- W takim razie – Dumbledore podciągnął rękawy unosząc pusty kielich – to było polecenie.

- Dlaczego to ja nie mogę wypić tego eliksiru? – zapytał desperacko Harry.

- Bo jestem starszy, mądrzejszy i o wiele mniej wart. Zapytam ostatni raz, Harry. Czy mam twoje słowo, że uczynisz wszystko w swojej mocy, by zmusić mnie do wypicia całego eliksiru?

- A nie mógłbym...

- Mam twoje słowo?

- Ale...

- *Twoje słowo*, Harry.

- Ja... Tak, ale...

Zanim jednak Harry zdołał zaprotestować gwałtowniej, Dumbledore zanurzył kryształowy kielich w kamiennej misie. Przez ułamek sekundy Harry miał jeszcze nadzieję, że dyrektor teraz też nie będzie mógł zbliżyć się do fosforyzującej substancji, ale kryształ przeszedł przez niewidzialną barierę jak nic przed nim i Dumbledore napelnił kielich po brzegi. Zbliżając go do ust powiedział tylko:

- Twoje zdrowie, Harry.

I wypił szmaragdowy eliksir. Harry przyglądał się mu przerażony, zaciskając kurczowo dłonie na kamiennym rancie naczynia. Nawet nie zauważył, że zdrętwiały mu palce.

- Panie profesorze? – zapytał nerwowo, gdy Dumbledore odjął kielich od ust. – Jak się pan czuje?

Stary czarodziej potrząsnął głową, oczy miał zamknięte. Harry zastanawiał się, czy bardzo cierpi. Nie otwierając oczu Dumbledore sięgnął ponownie do kamiennej misy, napelnił czarę i wypił.

W kompletnej ciszy Dumbledore wypił trzy kielichy

eliksiru. I nagle, w połowie czwartego kielicha zatoczył się i opadł na kamienną misę. Oczy miał wciąż zaciśnięte, oddychał ciężko.

- Profesorze Dumbledore? – Głos Harry'ego drżał z napięcia. – Czy pan mnie słyszy?

Dyrektor nie odpowiedział. Twarz miał wykrzywioną, jakby śniły mu się koszmary. Naczynie wyslizgiwało się z zaciśniętej dłoni, niewiele brakowało, a eliksir by się rozlał. Harry wyciągnął rękę i złapał kielich.

- Panie profesorze, czy pan mnie słyszy? – powtórzył tak głośno, że echo odbijało się echem od ścian.

Dumbledore wypuścił głośno powietrze i odpowiedział głosem, którego Harry nie znał, bo nigdy jeszcze nie słyszał dyrektora tak przerażonego.

- Nie chcę... Nie zmuszaj mnie...

Harry wpatrywał się w pobladałą twarz, którą znał tak dobrze. Patrzył na haczykowany nos, okulary połówki i nie wiedział, co robić.

- Nie chcę... Przestań... – jęknął Dumbledore.

- Nie... Nie może pan przestać, profesorze – powiedział w końcu. – Musi pan pić, pamięta pan?

Nienawidząc się za to, co robi, Harry przystawił kielich do ust Dumbledore'a i przechylił go tak, że czarodziej wypił resztę eliksiru.

- Nie – stęknął z bólem, gdy Harry ponownie napełnił naczynie. – Nie chcę... Nie chcę... Puść mnie...

- Już dobrze, profesorze – odparł Harry, a ręce mu drżały. – Wszystko będzie dobrze, jestem tu...

- Niech to przestanie... Niech to przestanie...

- Tak... Ten eliksir pomoże – skłamał Harry i wlał zawartość czary w otwarte usta Dumbledore'a. Ten wrzasnął, rozpaczliwy krzyk wypełnił na moment całą jaskinię.

- Nie, nie, nie, nie! Nie mogę, nie mogę, nie zmuszaj mnie... Nie chcę...

- Już dobrze, profesorze, już dobrze! – Harry trząsał się cały, że z trudem napełnił szósty kielich, misa była do połowy opróżniona. – Nic się nie stało, jest pan bezpieczny, to nie jest prawda, przysięgam, że to nie jest prawdziwe – proszę to wypić, proszę...

Dumbledore posłusznie wypił, jakby sądził, że Harry daje mu jakieś cudowne antidotum, lecz ledwie przełknął ostatni łyk, opadł na kolana, dygocząc jak w febrze.

- To wszystko moja wina, moja wina – załkał.

- Proszę, niech to przestanie... Wiem, że zrobiłem źle... Proszę, niech to przestanie, a ja już nigdy, nigdy więcej...

- To pomoże, panie profesorze... – powiedział Harry łamiącym się tonem, wlewając Dumbledore'owi do ust siódmy kielich eliksiru.

Dumbledore kulił się, jak gdyby otaczali go niewidzialni oprawcy, machnięciem ręki omal nie wytrącił eliksiru Harry'emu z rąk.

- Nie krzywdź ich, nie krzywdź, proszę, błagam, to moja wina, weź mnie...

- Proszę, proszę to wypić, wszystko będzie dobrze – szeptał desperacko Harry i raz jeszcze dyrektor go posłuchał, otworzył usta, mimo że trząsał się cały, a oczy wciąż miał zaciśnięte. Harry napełnił naczynie dziewiąty raz. Dumbledore upadł z krzykiem, raz po raz uderzając pięściami w kamienną powierzchnię wyspy.

- Błagam, błagam, nie... tylko nie to, nie to, zrobię wszystko...

- Proszę to wypić, profesorze, proszę to tylko wypić...

Dumbledore wypił łapczywie, jak dziecko umierające z pragnienia, a gdy przełknął ostatni łyk, zaczął rozpaczliwie krzyczeć, jakby wnętrzości płonęły mu żywym ogniem.

- Nie, nie, nie chcę już więcej...

Harry napełnił naczynie po raz dziesiąty i poczuł, że kryształ uderza o kamienne dno misy.

- Już prawie koniec, panie profesorze. Proszę, niech pan to wypije...

Podtrzymał Dumbledore'a za ramiona, a ten ponownie wypił eliksir. Harry pośpiesznie zaczerpnął kolejny kielich. Dumbledore zaczął krzyczeć, jeszcze bardziej udręczonym głosem.

- Chcę umrzeć! Niech to przestanie, spraw, niech to

przestanie, chcę umrzeć... Chcę umrzeć!

- Niech pan pije, profesorze. Niech pan pije...

Dumbledore wypił i wrzasnął straszonym głosem.

- ZABIJ MNIE!

- Ten... Ten ostatni pana zabije! Tylko proszę to wypić. Już będzie po wszystkim, po wszystkim!

Dyrektor wypił eliksir do ostatniej kropli, po czym, z jękiem znamionującym straszliwe cierpienie, upadł, twarzą do ziemi.

- Nie! – krzyknął Harry, który wstał, by napełnić naczynie po raz ostatni, na widok padającego dyrektora upuścił kielich na dno i padł na kolana przy jego boku, dźwignął go i odwrócił na plecy. Okulary połówki były przekrzywione, oczy zaciśnięte, a usta otwarte jak do krzyku. – Nie... – Potrząsnął nim delikatnie. – Nie umarł pan, nie... Przecież sam pan mówił, że to pana nie zabije, mówił pan, że to nie była trucizna, niech się pan obudzi, niech się pan obudzi... *Rennervate!* – krzyknął, celując różdżką w pierś Dumbledore'a. Błysnęło czerwone światło, ale nic się nie stało. *Rennervate...* Panie profesorze... Proszę...

Powieki dyrektora zadrżały. Serce Harry'ego podskoczyło.

- Panie profesorze... Czy pan...?

- Wody... – wychrypiał Dumbledore.

- Wody – powtórzył Harry. – Już... Zerwał się i złapał kielich, który wrzucił do kamiennej misy chwilę przedtem. Kątem oka zauważył leżący na dnie złoty medalion zawinięty w łańcuch.

- *Aguamenti!*

Naczynie napełniło się kryształowo czystą wodą. Harry ukląkł przy Dumbledorze, uniósł mu głowę i chciał przytknąć kielich do ust, ale czara była pusta. Dumbledore jęknął i zaczął ciężko dyszeć.

- Zaraz, zaraz będzie... *Aguamenti!* – spróbował ponownie, celując różdżką w kielich. I ponownie, na krótką chwilę naczynie wypełniło się świeżą wodą, ale gdy zbliżył je do ust dyrektora, woda znikła. – Próbuję, próbuję, panie profesorze, jeszcze chwilkę! – zawołał zdesperowany, chociaż nie sądził, że Dumbledore go

słyszał. Czarodziej leżał teraz na boku, oddychając szybko i z trudem, jak ktoś, kto się dusi.

- *Aguamenti... Aguamenti... AGUAMENTI!*

Woda pojawiała się i znikła. A oddech Dumbledore'a powoli zaczął słabnąć. Ogarnięty paniką umysł Harry'ego podsunął mu jedyne rozwiązanie. Wodę można zdobyć tylko w jeden sposób, ten, który przewidział Voldemort... Rzucił się ku brzegowi kamiennej wysepki i zanurzył czarę w jeziorze, napelniając ją po brzegi lodowatą wodą, która tym razem nie zniknęła.

- Panie profesorze, proszę...! – zawołał i rzucając się w przód niezdarnie oblał twarz dyrektora.

Nic więcej nie mógł zrobić, bo przeszywające zimo, które zmroziło mu rękę wcale nie było skutkiem zanurzenia jej w wodzie. Oślizgła, biała dłoń złapała Harry'ego za nadgarstek, a stwór, do którego należała, ciągnął go powoli z powrotem na brzeg wyspy. Powierzchnia jeziora nie była już gładką taflą, kłębiła się wściekle, gdziekolwiek by nie spojrzeć, białe głowy i ręce wynurzały się z ciemnych głębi. Mężczyźni, kobiety, dzieci o białych twarzach topielców – atakowali wyspę, niczym armia umarłych powstająca z otchłani.

- *Petrificus Totalus!* - wrzasnął Harry, który, usiłując zaczepić palce o gładką, moką powierzchnię skały, wycelował w trzymającego go Inferiusa. Ten puścił go i upadł w wodę z głośnym pluskiem, dzięki czemu Harry zdołał się podnieść. Tymczasem kolejni Inferi o drapieżnych, sinych twarzach wychodzili na śliską skałę, chwytając się jej kościstymi rękami.

Mętne, niewidzące oczy utkwili w Harrym, ich poszarpane lachmany ociekały wodą.

- *Petrificus Totalus!* - zawołał Harry ponownie, wymachując różdżką na wszystkie strony. Sześciu czy siedmiu Inferich padło, następni jednak podchodzili już coraz bliżej. - *Impedimenta! Incarcerous!*

Paru następnych ogłuszył, dwóch szamotało się w więzach, ale ci, którzy szli za nimi po prostu przechodzili po leżących ciałach.

- *Sectumsempra! SECTUMSEMPRA!*

Ale choć na twarzach i ciałach pojawiły się głębokie nacięcia, Inferi nie mieli krwi, by nią broczyć, postępowali więc wciąż naprzód, z wyciągniętymi ramionami, otaczając go ze wszystkich stron. Harry poczuł, że silne, chude, zimne jak grób ramiona dźwigają go w powietrze i unoszą, powoli, lecz nieubłaganie, w stronę wody. Wiedział, że nie ma już ratunku, wiedział, że go utopia i stanie się jeszcze jednym martwym strażnikiem kolejnego fragmentu roztrzaskanej duszy Voldemorta.

I nagle, w ciemnościach, zajaśniał ogień. Szkarłatnozłoty pierścień płomieni otoczył wysepkę. Trzymający Harry'ego Inferi zatrzymali się nagle, nie ważąc się przedostać przez płonący krąg w kierunku wody. Upuścili chłopca, który upadł na skałę, kalecząc sobie ręce, ale szybko poderwał się i, podnosząc różdżkę, rozejrzał w poszukiwaniu źródła ratunku.

Dumbledore wyprostowany, równie blady, jak otaczający go Inferi, ale wyższy niż oni, stał z płonącymi oczyma i różdżką uniesioną wysoko, niczym pochodnią, z której strzelały języki ognia, otaczając ich ciepłem i światłem. Inferi wpadali na siebie, na oślep usiłując uciec od więżącego ich ognia.

Dumbledore złapał medalion z dna kamiennej misy i wsunął go do kieszeni szaty. Gestem pokazał Harry'emu, żeby do niego podszedł. Zajęci unikaniem ognia Inferi nie zauważyli, że ich ofiary uciekają. Dumbledore, wciąż utrzymując ognisty pierścień, powiódł Harry'ego do łódki. Inferi podążyli za nimi, zanurzając się na powrót w ciemne wody jeziora.

Dygocząc na całym ciele Harry dostrzegł, że dyrektor ma problemy z dostaniem się do łódki. Dumbledore chwiał się, jakby całą energię zużywał na utrzymywanie ochronnego kręgu płomieni, więc Harry wychylił się i pomógł mu wsiąść. Ledwie zajęli swoje miejsca, łódź ruszyła z powrotem przez czarne jezioro. Szkarłatne jęzory ognia z różdżki Dumbledore'a wciąż ich otaczały i wydawało się, że tłoczący się pod powierzchnią Inferi nie ośmiela się wynurzyć.

- Panie profesorze – wydyszał Harry. – Profesorze, zapomniałem o ogniu, szli na mnie i spanikowałem...

- To zrozumiałe – wymamrotał Dumbledore. Harry'ego przeraziła słabość brzmiąca w jego głosie.

Dotarli do brzegu, łódka zatrzymała się z lekkim tapnięciem. Harry wyskoczył i odwrócił się natychmiast, by pomóc dyrektorowi. W momencie, gdy Dumbledore wyszedł na brzeg, opuścił różdżkę, ale Inferi nie pojawili się ponownie. Łódeczka zatонуła z brzękiem łańcucha. Dumbledore westchnął ciężko i wsparł się o ścianę jaskini.

- Jestem słaby...

- Niech się pan nie martwi – odpowiedział natychmiast Harry, zaniepokojony wyjątkową bladeścią Dumbledore'a i jego krańcowym wręcz wyczerpaniem.

- Niech się pan nie martwi, zabiorę nas z powrotem... Niech się pan na mnie oprze, profesorze...

I zarzucając sobie zdrową rękę Dumbledore'a na ramię, Harry prawie poniósł dyrektora z powrotem ścieżką wokół jeziora.

- Koniec końców... Nieźle to wymyślił – odezwał się słabo Dumbledore. – Jedna osoba nie dałaby rady... Poradziłeś sobie znakomicie, Harry.

- Proszę nic nie mówić, profesorze. – Słyszając niewyraźny, urywany głos Dumbledore'a i czując, jak z coraz większym trudem powłóczy nogami, Harry zaczął się bać. – Niech pan oszczędza siły, profesorze... Zaraz się stąd wydostaniemy...

- Przejście pewnie znów się zamknęło... Mój nóż...

- Nie ma potrzeby, profesorze, zraniłem się o skałę – odparł Harry szybko. – Niech mi pan tylko pokaże, gdzie...

- Tu...

Harry potarł skaleczonym przedramieniem w miejscu, które wskazał Dumbledore. Otrzymawszy myto z krwi, przejście otworzyło się natychmiast. Przedostali się do zewnętrznej groty, a potem Harry pomógł dyrektorowi zanurzyć się w lodowatym morzu, gdy przepływali przez szczelinę w klifie.

- Wszystko będzie dobrze, profesorze – powtarzał

Harry raz po raz, bardziej przestraszony milczeniem Dumbledore'a niż jego słabym głosem. – Już prawie jesteśmy... Aportuję nas obu z powrotem... Niech się pan nie martwi...

- Nie martwię się, Harry – odparł Dumbledore, a jego głos, mimo przeszywającego zimna, był nieco pewniejszy. – Ty jesteś ze mną.

Tłumaczyła Visperas



Wieża rażona piorunem

Znalazłszy się z powrotem pod rozgwieżdżonym niebem, Harry pomógł Dumbledore'owi wspiąć się na najbliższy głąz. Przemoczony i drżący, z dyrektorem wciąż uczepionym jego ramienia, Harry skoncentrował się na swoim celu: Hogsmeade. Zamykając oczy, z całych sił trzymając ramię Dumbledore'a, Harry poddał się okropnemu uczuciu towarzyszącemu aportacji.

Wiedział, że mu się udało, zanim jeszcze otworzył oczy. Nie czuł już wilgotnego zapachu soli w powietrzu. Harry i Dumbledore stali, ociekając wodą i dygocząc, na środku głównej ulicy Hogsmeade. Przez jedną, straszliwą chwilę wyobraźnia podsunęła Harry'emu wizję Inferich, czających się w cieniu sklepów, ale zamrugał i przekonał się, że nic tam nie ma. Otoczenie było ciche, spokojne, a ciemność rozjaśniały tylko lampy uliczne i blask, dochodzący z otwartych gdzieś okien na piętrze.

- Udało nam się, panie profesorze! – wyszeptał z trudem, nagle zdając sobie sprawę, że czuje piekący ból w klatce piersiowej. – Udało nam się, zdobyliśmy

horcruxa.

Dumbledore zatoczył się i oparł o Harry'ego. Przez chwilę chłopiec bał się, że to jego niewprawna aportacja wywołała taki skutek, ale potem dojrzał twarz dyrektora, upiornie bladą w świetle ulicznych latarni.

- Panie profesorze, dobrze się pan czuje?

- Bywało lepiej – odrzekł słabo Dumbledore, a kąciki ust drżały mu lekko. – Ten eliksir... Nie dodaje wigoru...

I ku przerażeniu Harry'ego, Dumbledore osunął się na ziemię.

- Panie profesorze, już wszystko dobrze, zaraz poczuje się pan lepiej, niech się pan nie martwi...

Rozejrzał się desperacko w poszukiwaniu pomocy, ale na ulicy nie było nikogo. Po głowie tłukła mu się jedna myśl: musi jak najszybciej zaprowadzić dyrektora do skrzydła szpitalnego.

- Musimy wrócić do szkoły, panie profesorze... Pani Pomfrey...

- Nie – przerwał mu Dumbledore. – To profesor... Profesora Snape'a potrzebuję... Ale nie sądzę... Lubię dalekie spacer, ale dziś...

- Dobrze, niech pan posłucha. Popukam, znajdę miejsce, gdzie będzie mógł pan zostać, a ja pobiegnę i sprowadzę panią...

- Severusa – powiedział Dumbledore bardzo wyraźnie.

- Chcę Severusa...

- Dobrze, w takim razie Snape'a. Ale muszę pana gdzieś zostawić, żeby mógł...

Zanim zdążył dokończyć, usłyszał zbliżające się kroki.

Ktoś biegł. Serce Harry'ego podskoczyło z radości

– ktoś ich widział, ktoś się domyślił, że potrzebują pomocy. Odwrócił się i zobaczył Madam Rosmertę w jedwabnym szlafroku haftowanym w smoki, która spieszyła w ich kierunku, postukując rannymi pantoflami na wysokim obcasie.

- Widziałam, jak się aportowaliście, gdy zasłaniałam okna w sypialni. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, nie wiedziałam, co o tym myśleć... Ale co się stało

Albusowi?

Zatrzymała się wreszcie, ciężko dysząc i wpatrywała się w Dumbledore'a szeroko otwartymi oczami.

- Jest ranny – odpowiedział wymijająco Harry.

- Madam Rosmerto, czy mógłbym zaprowadzić go do Trzech Miotel, a sam pobiegłbym do szkoły, sprowadzić pomoc?

- Nie możesz iść tam sam! Nie zdajesz sobie sprawy? Nie widziałeś...?

- Jeśli pani mi pomoże, damy radę go tam zaprowadzić... – Harry w ogóle jej nie słuchał.

- Co się stało? – włączył się Dumbledore.

- Rosmerto, co się stało?

- Mroczny Znak, Albusie. Mroczny Znak!

Wskazała na niebo, w kierunku Hogwartu. Strach ponownie zdjął Harry'ego na dźwięk jej słów. Odwrócił się i spojrział.

Był tam, unosił się na niebie ponad szkołą. Błyszcząca, zielona czaszka, z wężem zamiast języka – znak, który śmierciożercy zostawiali na niebie za każdym razem, kiedy wchodzili do czyjegoś domu... Za każdym razem, gdy kogoś mordowali.

- Kiedy się pojawił? – zapytał Dumbledore i zaciskając długie, kościste palce na ramieniu Harry'ego, podniósł się z trudem.

- Zapewne parę minut temu, nie było go, gdy wypuszczałam kota, ale gdy weszłam na górę...

- Natychmiast wracamy do zamku – zakomenderował dyrektor i choć nieco się chwiał, znów był panem sytuacji. – Rosmerto, potrzebujemy transportu. Miotel...

- Mam parę, w pubie, za barem – powiedziała, wyglądając na przerażoną.

- Mam przynieść...?

- Nie, Harry to załatwi.

Harry natychmiast podniósł różdżkę.

- *Accio miotły Rosmerty!*

Sekundę później usłyszeli głośny trzask, to frontowe drzwi pubu otworzyły się szeroko, gdy dwie miotły wystrzeliły na ulicę i podleciały do Harry'ego. Unosiły

się teraz przed nim.

- Rosmerto, proszę, prześlij wiadomość do Ministerstwa – powiedział Dumbledore, wspinając się na miotłę. – Możliwe, że nikt w Hogwarcie nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Harry, załóż pelerynę niewidkę.

Harry wyciągnął z kieszeni pelerynę i zarzuciwszy ją na siebie, dosiadł miotły. Madame Rosmerta wracała do swojego pubu, gdy Harry i Dumbledore odbili się od ziemi i poszybowali w kierunku zamku. Harry kątem oka obserwował Dumbledore'a, gotów w każdej chwili złapać go, gdyby spadał, ale widok Mrocznego Znak nad szkołą najwyraźniej dodawał dyrektorowi sił. Czarodziej leciał pochylony nisko na miotle, z oczami utkwionymi w Znak, a srebrne włosy i broda powiewały za nim, unoszone pędem wiatru. Harry spojrzal na zieloną czaszkę i poczuł, jak przerażenie rośnie w nim niczym balon wypełniony jadem, dławiąc i wypierając z umysłu wszystko inne.

Jak długo ich nie było? Czy do tej pory eliksir, który dał Ronowi, Hermionie i Ginny przestał już działać? Czy to z ich powodu Mroczny Znak pojawił się nad szkołą? A może to Neville, Luna, albo któryś z członków GD? A jeśli... Przecież to on kazał im patrolować korytarze, to on prosił, żeby opuścili bezpieczne dormitoria... Czy znów będzie odpowiedzialny za śmierć przyjaciela?

Przelatując nad ciemną, krętą ścieżką, która prowadziła do Hogwartu, Harry usłyszał – mimo wiatru gwizdającego mu w uszach – że Dumbledore znów szepce coś w jakimś dziwnym języku. Poczul, że miotła zatrzęsa się przez chwilę, gdy przelatywali nad niewidzialną granicą zamku i zrozumiał: Dumbledore zdejmował zaklęcia, które nałożył na szkołę parę godzin wcześniej, tym samym umożliwiając im przelot na pełnej szybkości. Mroczny Znak błyszczał dokładnie nad najwyższą wieżą Hogwartu – Wieżą Astronomiczną. Czy to znaczyło, że to właśnie tam...? Dumbledore minął już ozdobiony krenelażem mur i lądował na szczycie wieży. Chwilę później Harry

wylądował tuż obok niego. Rozejrzał się.

Na wieży nie było nikogo. Drzwi na wiodącą do zamku spiralną klatkę schodową były zamknięte. Nie było najmniejszych śladów walki na śmierć i życie, nie było ciała.

- Co to znaczy? – zapytał Harry Dumbledore'a, wpatrując się w czaszkę lśniąca nad nimi.

- Czy to prawdziwy Znak? Czy naprawdę ktoś został...
Panie profesorze?

W zielonej poświacie Mrocznego Znaków Harry zauważył, że Dumbledore chwytła się za serce poczerniałą ręką.

- Idź i obudź Severusa – powiedział dyrektor słabo, ale wyraźnie. – Powiedz mu, co się stało i sprowadź go do mnie. Nie rób nic innego, nie rozmawiaj z nikim i nie zdejmuj peleryny niewidki. Poczekam tu na ciebie.

- Ale...

- Przysięgłeś być mi posłusznym, Harry. Idź!

Harry pobiegł do drzwi, wiodących na spiralne schody, ale ledwie złapał żelazną klamkę, usłyszał kroki po drugiej stronie drzwi. Obejrzał się na Dumbledore'a, który gestem nakazał mu, by się odsunął. Harry cofnął się, wyjmując z kieszeni różdżkę.

Drzwi otworzyły się z hukiem, ktoś wpadł przez nie z wielkim impetem i wrzasnął: - *Expelliarmus!*

Harry zdał sobie sprawę, że nie może się poruszyć, jakby całe ciało zeszytywniało w ułamku sekundy. Nie mógł wydobyć z siebie nawet jęku. Czuł, że się przewraca, nie upadł jednak, tylko oparł się o kamienną ścianę wieży niczym chwiejny posąg. Nie wiedział, jak to się stało, przecież *Expelliarmus* nie było zaklęciem zamrażającym...?

I wtedy dostrzegł różdżkę Dumbledore'a, która wyrwała się z dłoni dyrektora i łukiem wypadła poza blankowane mury wieży. Zrozumiał. Dumbledore bezgłośnie go unieruchomił, a ten moment, w którym rzucał na niego zaklęcie, kosztował go szansę własnej obrony.

Dumbledore stał teraz przy murze, lecz na jego kredowobiałej twarzy nie było ani śladu paniki czy

przerażenia. Spojrzał tylko na tego, który go rozbroił i uprzejmie rzekł:

- Dobry wieczór, Draco.

Malfoy postąpił do przodu, rozglądając się szybko, jakby chciał się upewnić, czy on i Dumbledore są sami. Zauważył drugą miotłę.

- Kto jeszcze tu jest?

- To jest pytanie, które z powodzeniem ja mógłbym ci zadać. Czy może działasz sam?

Malfoy oderwał wzrok od twarzy dyrektora i spojrzał na Mroczny Znak.

- Nie, oczywiście, że mam wsparcie. Dziś wieczorem w szkole są śmierciożercy.

- Proszę, proszę... – odrzekł Dumbledore takim tonem, jakby Malfoy pokazywał mu wzorowo odrobioną pracę domową. – Bardzo ładnie. Więc znalazłeś sposób, żeby ich tu wprowadzić, prawda?

- Owszem – rzucił Malfoy, lekko dysząc.

- Tuż pod pańskim nosem i nikt tego nie zauważył!

- Imponujące – pochwalił dyrektor. – Ale wybacz mi to pytanie... Gdzie oni się podziali? Nie wygląda, żebyś miał obstawę.

- O, napotkali paru z pańskich strażników. Walczą parę pięter niżej. Pewnie zaraz skończą... Poszedłem przodem, ja... mam zadanie do wykonania.

- W takim razie drogi chłopcze, musisz je wykonać – odparł miękko Dumbledore.

Zapadła cisza. Uwięziony w swoim własnym, sparaliżowanym ciele, ukryty pod peleryną niewidką, Harry usiłował złowić uchem dalekie echa walki ze śmierciożercami i patrzył, jak Draco Malfoy wpatrywał się z niedowierzaniem w Albusa Dumbledore, który uśmiechał się lekko.

- Draco, Draco, nie jesteś mordercą.

- Skąd pan wie?

Chyba nawet on zdał sobie sprawę, jak dziecinnie to zabrzmiało – w zielonkawej poświacie Znaków Harry dostrzegł głęboki rumieniec wykwitający na twarzy Dracona.

- Nie wie pan, do czego jestem zdolny! – podjął Malfoy

z mocą. – Nie wie pan, czego już dokonałem!

- O, wiem, wiem – powiedział łagodnie Dumbledore.

- Niemal zabiłeś Katie Bell i Ronalda Weasleya. Przez cały rok, z rosnącą desperacją, usiłowałeś mnie zabić. Wybacz mi, Draco, ale te próby były żalosne. Na tyle żalosne, że zastanawiam się, czy doprawdy wkładałeś w to serce...

- Wkładałem! – przerwał Malfoy gwałtownie.

- Pracowałem nad tym cały rok i dziś wieczór...

Gdzieś poniżej, w zamku, rozległ się stłumiony krzyk. Malfoy zeszytywniał i obejrzał się przez ramię.

- Jeszcze walczą, jak sędzę – rzekł Dumbledore konwersacyjnym tonem. – Ale mówileś... Tak, mówileś, że zdołałeś wprowadzić do mojej szkoły śmierciożerców, co, przyznaję, uważałem za niemożliwe... Jak tego dokonałeś?

Ale Malfoy nic nie odpowiedział. Wsłuchiwał się wciąż w odgłosy walki i wydawał się niemal tak sparaliżowany, jak Harry.

- Może jednak powinieneś zabrać się za to sam – zaproponował dyrektor. – Co zrobisz, jeśli moje strażę odeprą twoje wsparcie? Jak zapewne wiesz, są tu dziś wieczorem członkowie Zakonu Feniksa. I tak prawdę mówiąc, nie potrzebujesz pomocy. W tej chwili nie mam różdżki... Nie mogę się bronić.

Malfoy wciąż nie odrywał od niego wzroku.

- Rozumiem – ciągnął Dumbledore uprzejmie.

- Boisz się działać, póki ich tu nie ma.

- Nie boję się! – warknął Malfoy, ale wciąż nie uczynił nic, by zranić Dumbledore'a.

- To pan powinien się bać!

- Ale dlaczego? Nie sędzę, byś mnie zabił, Draco. Zabijanie nie jest nawet w połowie tak proste, jak to się wydaje niewinnym... A więc, póki czekamy na twoich przyjaciół, powiedz mi... Jak udało ci się tu ich wprowadzić? Zdaje się, że dużo czasu upłynęło, zanim wreszcie na to wpadłeś?

Malfoy miał minę, jakby chciał krzyzczeć, albo walczył z napadem nudności. Przelknął głośno i wziął parę głębokich oddechów, wpatrując się w dyrektora, wciąż

celując różdżką w jego serce. Nareszcie, jakby nie mógł się dłużej powstrzymać powiedział:

- Musiałem naprawić tę nieużywaną od lat Komodę Zniknięć. Tę, w której w zeszłym roku utknął Montague.

- Aaaach... – Westchnienie Dumbledore'a przeszło w jęk. Na chwilę przymknął oczy. Wreszcie odezwał się znowu. – Sprytne, bardzo sprytne. Zakładam, że istnieje do niej para?

- Owszem, u Borgina i Burkesa. Razem tworzą coś w rodzaju korytarza. Montague opowiadał, że kiedy utknął w tej hogwarckiej komodzie, znajdował się w stanie zawieszenia, ale czasem słyszał, co się działo w szkole, a czasem słyszał odgłosy dochodzące ze sklepu, jakby mebel podróżował między szkołą a sklepem. Nikt go wtedy nie słyszał... W końcu udało mu się aportować na zewnątrz, choć omal nie przyplacił tego życiem, bo wciąż jeszcze nie ma licencji. Wszyscy myśleli, że to świetna historia, ale tylko ja zrozumiałem, co to oznaczało – nawet Borgin o tym nie wiedział – tylko ja zdałem sobie sprawę, że jeśli naprawię zepsutą komodę, droga do Hogwartu stanie otworem.

- Bardzo dobrze – mruknął Dumbledore.

- A więc śmierciożercy mogli przejść ze sklepu Borgina i Burke'a do szkoły, by ci pomóc... Sprytne, bardzo sprytne plan... I to, jak mówisz, tuż pod moim nosem...

- Tak! – Malfoy zdawał się czerpać otuchę z uznania Dumbledore'a. – Tak, właśnie tak!

- Ale musiały być takie momenty, kiedy traciłeś nadzieję, że uda ci się naprawić komodę – ciągnął Dumbledore. – I wtedy właśnie odwoływałeś się do tak prymitywnych i nieskutecznych środków jak podesłanie mi przekłętego naszyjnika, który po prostu musiał trafić w niepowołane ręce... Zatrucie miodu, co do którego istniało nikle prawdopodobieństwo, że go spróbuje...

- Może i owszem, ale i tak się pan nie zorientował, kto za tym wszystkim stoi, prawda? – zadrwił Malfoy, gdy dyrektor osunął się nieco po ścianie, o którą się

opierał, jakby nogi powoli odmawiały mu posłuszeństwa. Harry bezowocnie usiłował pokonać zaklęcie, którym był unieruchomiony.

- Prawdę mówiąc – odparł Dumbledore - byłem pewien, że to ty.

- Dlaczego więc mnie pan nie powstrzymał?

- Próbowałem, Draco, próbowałem. Profesor Snape pilnował cię na moją prośbę...

- Wcale nie na *twoją* prośbę, przysiągł mojej matce...

- Oczywiście, tak ci miał powiedzieć, ale...

- Snape to podwójny agent, ty stary głupcze, on nie pracuje dla ciebie, tobie się tylko tak zdaje...

- I tu się właśnie różnimy, Draco. Tak się składa, że ufam profesorowi Snape'owi...

- No to się mylisz! – Malfoy wykrzywił się drwiąco.

- Bardzo chciał mi pomóc... Pewnie miał nadzieję, że cała chwała przypadnie jemu... A może chciał po prostu coś robić... "Co ty wyprawiasz, Draco? Po coś dał tej dziewczynie naszyjnik, to mogło wszystko zrujnować..." Ale nie powiedziałem mu, co robiłem w Pokoju Życzeń, obudzi się jutro rano i będzie po wszystkim, i już nie będzie ulubieńcem Czarnego Pana, będzie niczym w porównaniu ze mną, niczym!

- To bardzo przyjemne, gdy ktoś doceni naszą ciężką pracę, to oczywiste... – rzekł Dumbledore uprzejmie.

- Niemniej musiałeś mieć pomocnika... Kogoś w Hogsmeade, kogoś, kto mógłby dać Katie... Ach!

Dumbledore zamknął oczy i skłonił głowę, jakby zapadał w sen.

- Oczywiście... Rosmerta. Od jak dawna jest pod *Imperiuem*?

- O, wreszcie dotarło?

Z dołu dobiegły krzyki, nieco głośniejsze niż ostatnim razem i Malfoy ponownie nerwowo obejrzał się przez ramię, podczas gdy Dumbledore ciągnął:

- A więc zmusiłeś biedną Rosmertę, by zaczęła się w swojej własnej łazience i dała naszyjnik pierwszej uczennicy Hogwartu, która wejdzie tam bez towarzyszkii? A ten zatruty miód... No tak, Rosmerta mogła z łatwością zatruć zawartość butelki przed

wysłaniem jej do Slughorna, zakładając, że będzie to prezent gwiazdkowy dla mnie... Tak, bardzo pomysłowe, bardzo... Biednemu Filchowi w głowie nie powstało sprawdzanie butelek z Trzech Miotel... Powiedz mi, jak porozumiewałeś się z Rosmertą? Wydawało mi się, że wszystkie drogi komunikacji w Hogwarcie mam pod kontrolą?

- Zaczarowane monety – wyjaśnił Malfoy, jakby coś zmuszało go do mówienia, a różdżka w dłoni drżała coraz bardziej. – Ja miałem jedną, Rosmerta drugą i w ten sposób wysyłałem jej wiadomości.

- Czy nie tak porozumiewali się w zeszłym roku członkowie tajnego stowarzyszenia, nazywający siebie Gwardią Dumbledore'a? – Dumbledore wciąż mówił lekko, niemal gawędziarskim tonem, ale Harry zauważył, że dyrektor znów osunął się nieco.

- Tak, to od nich wzięłem ten pomysł – powiedział Malfoy ze złośliwym uśmieszkiem. – A koncept z zatrutą nalewką podsunęła mi ta szlama, Granger, słyszałem, jak mówi w bibliotece, że Filch nie jest w stanie odróżnić eliksiru od herbaty...

- Proszę, nie używaj takich słów w mojej obecności.

Malfoy parsknął śmiechem.

- Obchodzi pana, że mówię "szlama", kiedy za chwilę pana zabiję?

- Owszem – odparł Dumbledore, usiłując stać prosto, ale jego stopy znów ześliznęły się parę centymetrów po kamiennej podłodze i dyrektor zachwiał się lekko. – A co do zabicia mnie, to miałeś już kilka długich chwil, a każda była znakomitą okazją. Jesteśmy tu zupełnie sami, jestem bardziej bezbronny, niż mógłbyś to przewidzieć w najśmielszych snach, a jednak wciąż nie zrobiłeś nic...

Usta Malfoya wykrzywiły się mimowolnie, jakby spróbował czegoś bardzo gorzkiego.

- A co do dzisiejszej nocy... Zastanawia mnie parę spraw. Wiedziałeś, że nie ma mnie w szkole? Ależ oczywiście – odpowiedział sobie na własne pytanie. – Rosmerta widziała, jak wychodzę, jestem pewien, że zawiadomiła cię o tym przy pomocy tej twojej genialnej

monety...

- No tak – przytaknął Malfoy. – Ale powiedziała, że idzie pan tylko się czegoś napić i zaraz pan wraca...

- No tak, nie da się ukryć, napilem się... I wróciłem... W pewnym sensie – mruknął Dumbledore.

- Więc postanowiłeś zastawić na mnie pułapkę?

- Postanowiliśmy wystrzelić Mroczny Znak nad wieżę, żeby pan jak najszybciej się tu zjawił, chcąc sprawdzić, kto zginął. I podziałało!

- Cóż... I tak, i nie... A więc mam rozumieć, że nikt nie zginął?

- No, ktoś jest martwy – rzekł Malfoy, a jego głos zdawał się o oktawę wyższy niż przed chwilą. – Jeden z pańskich ludzi... Nie wiem, kto, było ciemno... Wlazłem na jakieś zwłoki... Miałem tu na pana czekać, ale ci pańscy Feniksowcy weszli mi w paradę...

- O tak, oni tak mają.

Na dole rozległ się huk i coraz głośniejsze krzyki, wydawało się, że walka trwa już na spiralnej klatce schodowej wiodącej na szczyt wieży. Serce Harry'ego waliło jak młotem. Ktoś umarł... Malfoy wszedł na ciało... Ale kto to był?

- Tak czy siak, zostało nam już niewiele czasu – stwierdził Dumbledore. – A więc przedyskutujmy twój wybór, Draco...

- Mój wybór! – zawołał Draco. – Stoję tu z różdżką, mam cię zabić...

- Mój drogi chłopcze, nie udawajmy. Gdybyś miał mnie zabić, zrobiłbyś to w tej samej chwili, w której mnie rozbroiłeś, i nie przystanąłbyś na tę miłą pogawędkę o powodach i sposobach.

- Nie mam wyboru! – Malfoy był teraz tak blady, jak Dumbledore. – Muszę to zrobić! On mnie zabije! Zabije całą moją rodzinę!

- Rozumiem powagę twojej sytuacji – odparł Dumbledore. – Jak myślisz, dlaczego wcześniej nie interweniowałem? Bo wiedziałem, że zginąłbyś, gdyby Lord Voldemort domyślił się, że cię podejrzewam.

Malfoy drgnął na dźwięk tego imienia.

- Nie ośmieliłem się wspominać o twojej misji na

wypadek, gdyby użył legilimencji przeciwko tobie – kontynuował Dumbledore. – Ale teraz wreszcie możemy szczerze porozmawiać. Nic się nie stało, nikt nie zginął. Nie skrzywdziłeś nikogo, choć miałeś mnóstwo szczęścia, że przypadkowe ofiary twoich zamachów przeżyły... Mogę ci pomóc, Draco.

- Nie, nie może pan! – zawołał Malfoy, a różdżka trzęsła się w jego zaciśniętej kurczowo dłoni. – Nikt nie może. Kazał mi to zrobić, albo mnie zabije. Nie mam wyboru.

- Przejdź na stronę dobra, Draco, a ukryjemy cię lepiej, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić. Co więcej, jeszcze dziś mogę wysłać członków Zakonu do twojej matki i jej również zapewnić ochronę. Twój ojciec jest chwilowo bezpieczny w Azkabanie... Kiedy przyjdzie właściwy moment, jego również ukryjemy. Przejdź na stronę dobra, Draco... Nie jesteś mordercą...

Malfoy wpatrywał się w twarz Dumbledore'a.

- Ale dotarłem aż tutaj, prawda? – powiedział powoli.

- Myśleli, że zginę, ale jestem tu i pan jest w mojej mocy... Ja mam różdżkę... I pan jest zdany na moją łaskę...

- Nie, Draco – wyszeptał Dumbledore. – Rozmawiamy teraz o mojej łasce, nie o twojej.

Malfoy nie odpowiedział. Usta miał otwarte, ręka z różdżką dygotała. Przez ułamek sekundy Harry'emu wydawało się, że Malfoy opuści różdżkę.

Ale nagle dał się słyszeć tupot kroków, drzwi się otworzyły z hukiem i na mury wpadły cztery osoby w czarnych szatach, odpychając Malfoya z drogi. Wciąż sparaliżowany Harry, nie mogąc nawet mrugać, przyglądał się czterem przybyszom. Wyglądało na to, że śmierciożercy wygrali bitwę, toczącą się u stóp wieży.

Nieproporcjonalnie zbudowany mężczyzna z wykrzywioną groteskowo twarzą zachichotał chytrze.

- Dumbledore osaczony! – Spojrzał na rechoczącą wściekle korpulentną kobietę, mogącą być jego siostrą.

- Dumbledore rozbrojony! Dumbledore samotny! Dobra robota, Draco. Dobra robota!

- Dobry wieczór, Amycusie – powiedział spokojnie Dumbledore, jakby witał się z gościem na popołudniowej herbatce. – Och, i przyprowadziłeś ze sobą Alecto, jak miło...

Kobieta prychnęła, nagle zirytowana.

- Myślisz, że te żarciki pomogą ci w godzinie śmierci, Dumbledore?

- Żarciki? Och, nie, to tylko dobre wychowanie – sprostował Dumbledore.

- Zrób to! – warknął stojący najbliżej Harry'ego nieznajomy barczysty mężczyzna z wielką szopą matowych szarych włosów i zmierzwionymi bokobrodami. Szaty śmierciożercy wydawały się na nim nieco przyciasne. Mówił głosem, który nie przypominał żadnego, jaki Harry kiedykolwiek słyszał, było to raczej wściekle ujadanie, a nie głos. Harry wyczuwał od niego dziwny odór, mieszaninę brudu, potu i bez wątpienia krwi. Ręce nieznajomego zakończone były długimi pożółkłymi paznokciami.

- Czy to ty, Fenrirze? – zapytał Dumbledore.

- Tak jest! – szczechnął zapytany. – Cieszysz się że mnie widzisz?

- Nie, obawiam się, że nie mogę tego powiedzieć.

Fenrir Greyback wyszczerzył się, obnażając ostro zakończone zęby. Krew skapnęła mu na brodę, a on obscenicznym ruchem oblizal wargi.

- Ależ, Dumbledore, wiesz jak ja lubię dzieci!

- Czy mam rozumieć, że atakujesz teraz nawet gdy nie ma pełni? To wielce oryginalne... Rozsmakowałeś się w ludzkim mięsie, a tego głodu nie możesz zaspokoić w czasie jednej nocy w miesiącu?

- Tak jest! – rzucił Greyback – Zszokowany, prawda, Dumbledore? Przerażony?

- Cóż, nie będę ukrywał, że lekko zniesmaczony – odpowiedział Dumbledore. – I tak, jestem zaszokowany, że Draco właśnie ciebie zaprosił do szkoły, gdzie mieszkają jego przyjaciele.

- To nie ja! – wrzasnął Malfoy. Nie patrzył na Greybacka, nawet nie sprawiał wrażenia, że chciałby mieć z nim cokolwiek wspólnego. – Nie wiedziałem, że

on tu przyjdzie...

- Za nic nie przepuściłbym wycieczki do Hogwartu, Dumbledore – szczechnął znów Greyback. – Nie tam, gdzie czekają młode gardziolka do przegryzienia... Pyszności, pyszności...

Podniósł palec zakończony poźółkłym paznokciem i postukał się w kiel.

- Ale ciebie mogę wziąć na deser, Dumbledore...

- Nie! – uciał ostro czwarty śmierciożerca. Jego twarz był pełna gniewu i brutalności. – Mamy rozkazy, Draco musi to zrobić. No już Draco, szybko!

Ale mina Malfoya wyrażała jeszcze mniej pewności siebie niż przedtem. Przerażony, spoglądał na twarz Dumbledore'a, z każdą chwilą coraz bledszą i bardziej udreconą. Osłabiony dyrektor zsunął się trochę po murze.

- Jeśli mnie kto pyta, to on i tak długo nie pociągnie! – zauważył czarodziej nazwany Amycusem, przy akompaniamencie ochryplego chichotu siostry.

- Spójrzcie na niego! Co ci się stało, Dumblu?

- Och, słabsza odporność, spowolnione reakcje, Amycusie. Jednym słowem starość! – posumował sentencjonalnie Dumbledore. – Pewnego dnia, być może, też ci się to przytrafi... Jeśli będziesz miał wystarczająco dużo szczęścia...

- A cóż to miało niby znaczyć? – zawył śmierciożerca, fioletowiejąc nagle. – Wciąż to samo, co nie, Dumblu? Gadki szmatki i nic więcej! Nawet nie wiem, czemu Czarnemu Panu jeszcze tak zależy na tym, by cię kropnąć... No dalej Draco, rusz się!

Ale w tym momencie od strony schodów znów zdały się słyszeć odgłosy bitwy i jakiś głos zawołał:

- *Zablokowali schody... Reducto! REDUCTO!*

Harry'emu serce zmarło. Więc ta czwórka nie pokonała wszystkich obrońców, ale po prostu uciekła na szczyt Wieży Astronomicznej i, sądząc po dobiegających z dołu odgłosach, stworzyła coś na kształt bariery...

- Teraz Draco, szybko! – zawołał ze złością mężczyzna o brutalnej twarzy.

Ale ręce Malfoya trzęsły się tak, że prawie nie mógł

utrzymać różdżki.

- Ja to załatwię – prychnął z pogardą Greyback, przesuwając się w stronę dyrektora z wyciągniętą różdżką i obnażonymi klami.

- Powiedziałem, nie! – krzyknął śmierciożerca ponownie. Błysnęło światło i wilkołaka odrzuciło na ścianę. Zatoczył się i rozejrział wściekle.

Serce Harry'ego waliło tak głośno, że wydawało się nieprawdopodobne, iż nikt tego nie słyszy. Gdyby nie był uwięziony zaklęciem Dumbledore'a, mógłby wysunąć różdżkę spod peleryny i rzucić jakąś kłutwę...

- Draco, zrób to, albo odsuń się, by jeden z nas... - zaskrzeczała kobieta, ale dokładnie w tym momencie w drzwiach klatki schodowej stanął Snape z różdżką w dłoni. Błyskawicznie zlustrował czarnymi oczyma rozgrywającą się scenę: Dumbledore'a ślaniającego się pod murem, czterech śmierciożerców, rozwścieczonego wilkołaka i drżącego Malfoya.

- Mamy problem, Snape – powiedział Amycus, którego oczy i różdżka wciąż były skierowane na Dumbledore'a. – Chłopak nie wydaje się zdolny do czegokolwiek...

W tym momencie ktoś jeszcze wypowiedział łagodnie imię Snape'a.

- Severusie...

Ten głos przeraził Harry'ego bardziej, niż wszystko, czego doświadczył dzisiejszego wieczoru. Po raz pierwszy Dumbledore kogoś błagał.

Snape nie odrzekł nic, tylko podszedł bliżej, odsuwając Malfoya na bok. Troje śmierciożerców cofnęło się bez słowa. Nawet wilkołak wyglądał na przestraszonego.

Snape wpatrywał się przez moment w twarz dyrektora, a na surowym, bladym obliczu malowała się nienawiść i odraza.

- Severusie... Proszę...

Snape uniósł różdżkę i wycelował ją w Dumbledore'a.

- *Avada kedavra!*

Promień zielonego światła wystrzelił z różdżki Snape'a i trafił Dumbledore'a prosto w pierś. Przerażony Harry krzyknął rozpaczliwie, ale z zaciśniętego gardła nie

wy dostał się nawet najcichszy jęk. Uwięziony pod peleryną niewidką patrzył, jak zakłęcie wyrzuciło Dumbledore'a w górę, przez ułamek sekundy wydawało się, że dyrektor zawisł w powietrzu tuż pod lśniącą, złowrogą czaszką, a potem zaczął powoli opadać poza blanki, niczym wielka, szmaciana lalka i zniknął im z oczu. nagie skały, bez śladu drzew, trawy, czy choćby piasku.

Tłumaczyła Visperas



Ucieczka Księcia

Harry czuł, jakby nim też ciśnięto w przestrzeń.
To się nie zdarzyło... To nie mogło się zdarzyć...

- Wynosimy się stąd, szybko - powiedział Snape.

Złapał Malfoya za kark i popchnął w kierunku drzwi. Greyback i krępe rodzeństwo podążyli za nimi - ostatnia dwójka dyszała z ekscytacji. Gdy zniknęli za drzwiami, Harry uświadomił sobie, że znów może się ruszać. Sparaliżowanego przy ścianie trzymała go nie magia, lecz przerażenie i szok. Odrzucił na bok pelerynę-niewidkę w chwili, gdy ostatni śmierciożerca, ten o brutalnej twarzy, zniknął za drzwiami.

- *Petrificus Totalus!*

Śmierciożerca wygiął się, jakby coś ciężkiego uderzyło go w plecy, po czym upadł, sztywny niczym figura woskowa. Ledwo jednak dotknął posadzki, a Harry już przeskoczył ponad nim i zbiegł ciemną klatką schodową.

Serce Harry'ego rozrywał paniczny strach... musi dostać się do Dumbledore'a i musi złapać Snape'a... te dwie sprawy w jakiś sposób łączyły się z sobą... może

odwrócić to, co się stało, jeśli będzie miał ich obu...
Dumbledore nie mógł umrzeć...

Przeskoczył ostatnie dziesięć stopni spiralnej klatki i zatrzymał się z uniesioną różdżką. Słabo oświetlony korytarz był pełen kurzu. Połowa sufitu się zapadła. Przed nim toczyła się bitwa, ale gdy spróbował zorientować się, kto z kim walczy, usłyszał zniechęcony głos, krzyżący: - Już po wszystkim, musimy iść! - i zobaczył Snape'a, znikającego w odległym końcu korytarza. On i Malfoy przeszli przez bitwę nietknięci. Gdy Harry rzucił się za nimi, jeden z walczących odłączył się od pozostałych i skoczył na niego: to był wilkołak, Greyback. Znalazł się na Harrym, zanim ten zdążył unieść różdżkę, i chłopak upadł w tył, mając na twarzy brudne, splątane włosy. Jego nos i usta wypełnił smród potu i krwi. Na gardle czuł gorący, pożądliwy oddech...

- *Petrificus Totalus!*

Greyback osunął się na niego. Harry z ogromnym wysiłkiem zepchnął wilkołaka na podłogę, gdy pomknęła ku niemu smuga zielonego światła. Schylił się, a potem rzucił w sam środek bitwy. Jego stopy napotkały coś miękkiego i śliskiego, potknął się: w kałuży krwi leżały tam dwa ciała, twarzami do ziemi - ale nie miał czasu, by je badać. Harry widział teraz przed sobą rudą głowę, podskakującą niczym płomień: to Ginny walczyła z ciężkim śmierciożercą, Amycusem, który ciskał klątwę za klątwą, podczas gdy ona robiła uniki. Amycus chichotał, wyraźnie ucieszony zabawą:

- *Crucio... Crucio...* Nie będziesz tańczyć wiecznie, ślicznotko...

- *Impedimenta!* - wrzasnął Harry.

Zaklęcie trafiło Amycusa w klatkę piersiową. Zapiszczał z bólu jak prosiak, gdy zaklęcie uniosło go w powietrze i rzuciło na przeciwną ścianę. Zsunął się po niej i zniknął z widoku za Ronem, profesorem McGonagall i Lupinem, z których każde walczyło z innym śmierciożercą. Za nimi Harry zobaczył Tonks w pojedynku z potężnym blondynem, który posyłał klątwy we wszystkich kierunkach, aż odbijały się od

ścian, rozłupując kamień i rozbijając najbliższe okno...

- Harry, skąd się wzięłeś?! - krzyknęła Ginny, ale nie miał czasu na odpowiedź. Schylił głowę i pobiegł przed siebie, ledwo unikając wybuchu, który obsypał wszystkich kawałkami ściany. Snape nie może uciec, musi dogonić Snape'a...

- A masz! - zawołała profesor McGonagall i Harry zobaczył śmierciożerczynię, Alecto, jak biegnie korytarzem, osłaniając ramionami głowę, a jej brat podąża tuż za nią. Rzucił się za nimi, ale jego stopa zaczepiła o coś, i w następnym momencie leżał w poprzek czyichś nóg. Rozejrzawszy się, dostrzegł bladą, okrągłą twarz rozpostartego na ziemi Neville'a.

- Neville, co...?

- W porządku - wymamrotał Neville, trzymając się za brzuch. - Harry... Snape i Malfoy... przebiegli...

- Wiem, gonię ich! - zawołał Harry, rzucając z podłogi klątwę na wielkiego jasnowłosego śmierciożercę, który powodował najwięcej chaosu. Mężczyzna zawył z bólu, gdy zaklęcie uderzyło go w twarz. Obrócił się, zachwiał, a potem pobiegł za towarzyszami.

Harry podniósł się na nogi i popędził korytarzem, ignorując dochodzące z za jego pleców hałasy, okrzyki pozostałych, by wracał, i nieme wołanie postaci leżących na ziemi, których losu jeszcze nie znał...

Okrażył róg na śliskich od krwi adidasach. Snape miał ogromną przewagę. Czy mógł już wejść do Pokoju Życzeń, czy może Zakon przedsięwziął coś, by go zabezpieczyć i uniemożliwić śmierciożercom ucieczkę tą drogą? Harry nie słyszał nic poza odgłosem swoich kroków i biciem własnego serca, gdy wbiegł w następny korytarz, ale wtedy dostrzegł krwawy odcisk, który wskazał, że przynajmniej jeden z uciekających śmierciożerców zmierzał ku głównemu wejściu - być może Pokój Życzeń został rzeczywiście zablokowany...

Z poślizgiem minął kolejny róg - i przeleciała obok niego klątwa. Zanurkował za zbroję, która eksplodowała. Zobaczył Amycusa i jego siostrę, zbiegających po marmurowych schodach, więc cisnął zaklęcie, ale trafił jedynie w portret na półpiętrze.

Kilka czarownic w perukach z piskiem uciekło na sąsiednie malowidła. Przeskakując nad szczątkami zbroi, Harry usłyszał więcej okrzyków - chyba obudzili się inni ludzie w zamku...

Popędził w stronę skrótu z nadzieją, że prześcignie rodzeństwo i zbliży się do Snape'a i Malfoya, którzy z pewnością byli już na bloniach. Pamiętał, by przeskoczyć znikający stopień w połowie drogi, już na dole rzucił się w gobelin i wypadł na korytarz, gdzie stało kilkoro zdezorientowanych Puchonów w piżamach.

- Harry! Słyszeliśmy hałas, a ktoś coś mówił o Mrocznym Znak... - zaczął Ernie Macmillan.

- Z drogi! - wrzasnął Harry, odpychając dwóch chłopców i biegnąc na półpiętro i w dół, po pozostałościach marmurowych schodów. Dębowe drzwi stały otworem, na płytach przed wejściem widniały smugi krwi, a kilkoro przestraszonych uczniów kulilo się przy ścianach, jedno czy dwoje wciąż z twarzami ukrytymi w ramionach. Wielka klepsydra Gryffindoru została trafiona zaklęciem i na posadzkę z głośnym grzechotem wciąż wysypywały się rubiny.

Harry przemknął przez salę wejściową i wypadł na ciemne blonia: dostrzegł trzy postacie biegnące przez trawnik w kierunku bramy, za którą mogli się zdeportować - wielki jasnowłosy śmierciożerca, a trochę przed nim Snape i Malfoy...

Chłodne, nocne powietrze rozdarło płuca Harry'ego, gdy rzucił się za nimi. W oddali zobaczył błysk światła, który na moment obrysował sylwetki jego zwierzyny. Nie wiedział co to, ale kontynuował pościg, wciąż jednak był zbyt daleko, by rzucić zaklęcie...

Kolejny błysk, krzyki, smugi światła w odpowiedzi, i Harry zrozumiał: ze swojej chatki wynurzył się Hagrid i usiłował powstrzymać ucieczkę śmierciożerców. I choć każdy oddech zdawał się rozrywać mu płuca, a ból w piersiach był jak żywy ogień, Harry przyspieszył, gdy nieproszony głos w jego głowie mówił: *nie Hagrid... nie on także...*

Coś mocno uderzyło Harry'ego w plecy i upadł, rozbijając twarz o ziemię i krwawiąc z nosa. Już obracając się na plecy, z gotową różdżką, wiedział, że tuż za nim jest złowrogie rodzeństwo, które przegonił dzięki skrótowi...

- *Impedimenta!* - wrzasnął, znów się obracając i przykucając na ciemnym gruncie. Jego klątwa trafiła jedno z nich, które zachwiało się i upadło, pociągając za sobą drugie. Harry zerwał się na nogi i pobiegł za Snape'em...

I teraz widział już zarys olbrzymiej sylwetki Hagrida, oświetlonej przez sierp księżyca, który nagle wypłynął zza chmur. Jasnowłosy śmierciożerca ciskał w jego kierunku klątwę za klątwą, ale Hagrida chroniły ogromna siła i twarda skóra, jaką odziedziczył po matce olbrzymce. Jednak Snape i Malfoy wciąż biegli. Zaraz znajdują się za bramą, będą mogli się zdeportować...

Harry minął Hagrida i jego przeciwnika, wycelował w plecy Snape'a i wrzasnął:

- *Drehtwota!*

Chybił. Smuga czerwonego światła przeleciała nad głową Snape'a. Snape krzyknął: - *Biegnij, Draco!* - i odwrócił się. Mając między sobą niespełna dwadzieścia metrów, on i Harry patrzyli na siebie, po czym równocześnie unieśli różdżki.

- *Cruc...*

Ale Snape odparował atak, posyłając Harry'ego na trawę, zanim Harry dokończył. Harry przewrócił się na brzuch i wstał, gdy wielki śmierciożerca za jego plecami zawołał: - *Incendio!* Harry usłyszał odgłos eksplozji i wszędzie wokół nich zatańczyły pomarańczowe płomienie: dom Hagrida płonął.

- Kiel tam jest, ty podły...! - ryknął Hagrid.

- *Cruc...* - wrzasnął Harry po raz drugi, celując w oświetloną tańczącymi płomieniami postać, ale Snape znów zablokował zaklęcie. Harry widział jego szyderczy uśmiech.

- Nie będziesz rzucił Zaklęcia Niewybaczalnych, Potter!

- zawołał poprzez huk płomieni, krzyki Hagrida i dziki

skowyt uwięzionego Kła. - Nie masz dość odwagi, ani umiejętności...

- *Incarc...* - zawył Harry, ale Snape odbił zaklęcie niemal leniwym ruchem ręki.

- Walcz! - krzyknął Harry. - Walcz, ty tchórzliwy...

- Nazwalesz mnie tchórzem, Potter? - zawołał Snape.

- Twój ojciec nigdy mnie nie atakował, jeśli nie było czterech na jednego. Jak jego byś nazwał?

- *Dreftwo...*

- Zablokowane znów i znów, i znów, dopóki nie nauczysz się trzymać ust zamkniętych, a umysłu osłoniętego, Potter! - powiedział Snape z drwiną, po raz kolejny odbijając klątwę. - *Chodź* już! - krzyknął na wielkiego śmierciożercę. - Musimy iść, zanim pojawi się ministerstwo...

- *Impedi...*

Ale zanim dokończył zaklęcie, Harry'ego przeszył rozdzierający ból. Upadł na trawę. Ktoś krzychał. Umrze z pewnością w tej agonii, Snape będzie go torturował do śmierci bądź szaleństwa...

- Nie! - ryknął głos Snape'a i ból ustał tak samo nagle, jak się zaczął. Harry leżał skulony na ciemnej trawie, ściskając różdżkę i dysząc. Gdzieś ponad nim Snape krzychał: - Zapomniałeś o rozkazach? Potter należy do Czarnego Pana... zostawimy go! Idź! Idź!

I Harry poczuł pod twarzą drżenie podłoża, gdy brat i siostra, i wielki śmierciożerca usłuchali polecenia i pobiegli w stronę bramy. Harry wydał z siebie nieartykułowany odgłos wściekłości: w tym momencie nie dbał o to, czy przeżyje, czy zginie. Znów podniósł się na nogi i zataczając się, na oślep, ruszył na Snape'a, człowieka, którego nienawidził teraz równie mocno, jak nienawidził samego Voldemorta...

- *Sectum...*

Snape machnął różdżką i zaklęcie zostało po raz kolejny odparte. Ale Harry był teraz ledwo kilka stóp dalej i wreszcie widział wyraźnie twarz Snape'a, który już nie uśmiechał się drwiąco i z szyderstwem. Blask płomieni ukazał twarz pełną wściekłości. Koncentrując wszystkie swe siły, Harry pomyślał *Levi...*

- Nie, Potter! - wrzasnął Snape. Nastąpiło głośnie BUM i Harry poleciał w tył, znów ciężko uderzając o ziemię, i tym razem różdżka wypadła z jego dłoni. Słyszał krzyk Hagrida i wycie Kłā, gdy Snape zbliżył się i spojrzal na niego - pozbawionego różdżki i bezbronny, jak wcześniej Dumbledore. Błada twarz Snape'a, oświetlona blaskiem płonącej chaty, emanowała nienawiścią, tak jak wtedy, gdy rzucił zaklęcie na Dumbledore'a.

- Ośmielasz się walczyć ze mną moimi własnymi zaklęciami, Potter? To ja je opracowałem... ja, Półkrwi Książę! Chciałbyś obrócić moje odkrycia przeciw mnie, jak twój podły ojciec, prawda? Nie wydaje mi się... *nie!* Harry zanurkował po różdżkę. Snape cisnął w jej kierunku zaklęciem i odleciała o kilka stóp dalej, w ciemność i poza zasięg wzroku.

- Zabij mnie więc - wydyszał Harry, który nie czuł strachu, a jedynie wściekłość i pogardę. - Zabij mnie, jak zabiłeś jego, ty tchórze...

- NIE - wrzasnął Snape, a jego twarz stała się nagle oblakana, nieludzka, jakby cierpiał taki sam ból jak skowyczący, wyjący pies, uwięziony w płonącym domu za ich plecami - NAZYWAJ MNIE TCHÓRZEM!

I smagnął różdżką powietrze. Harry poczuł, jak coś rozgrzanego do białości niczym bicz uderza go poprzez twarz, i został ciśnięty na ziemię. Przed jego oczami rozbłysły punkty światła i na chwilę cały oddech jakby opuścił jego ciało - a potem usłyszał szelest skrzydeł i coś wielkiego przysłoniło gwiazdy: to Hardodziób sfrunął na Snape'a, który zatoczył się do tyłu, gdy zamierzyły się na niego ostre jak brzytwa szpony. Kiedy Harry podniósł się do pozycji siedzącej - w głowie wciąż mu się kręciło od ostatniego spotkania z ziemią - zobaczył, że Snape ucieka możliwie najszybciej, a olbrzymia bestia łopocze za nim skrzydłami i skrzeczy przeraźliwie.

Harry wstał, chwiejąc się i rozejrzal za różdżką, bo wciąż miał nadzieję na pościg. Ale gdy jego palce przeczesywały trawę, rozrzucając gałązki, już wiedział, że jest za późno. I rzeczywiście, gdy znalazł różdżkę i

odwrócił się, zobaczył już tylko okrążającego bramę hipogryfa. Snape zdołał się deportować tuż za granicami szkoły.

- Hagrid... - wymamrotał Harry, wciąż oszołomiony, rozglądając się wokół. - HAGRID?

Potyając się, ruszył w kierunku płonącego budynku, gdy z płomieni wynurzyła się wielka postać, niosąca na plecach Kłā. Z okrzykiem wdzięczności Harry opadł na kolana. Trząsł się na całym ciele, wszystko go bolało, a oddech sprawiał dotkliwie ukłucia bólu.

- W porządziu, Harry? W porządziu? Odezwij się do mnie, Harry...

Ogromna, brodata twarz Hagrida unosila się ponad Harrym, zasłaniając gwiazdy. Harry'ego doleciał zapach spalonego drewna i sierści psa. Wyciągnął rękę i poczuł dodające otuchy ciepło Kłā i żywe ciało drżące obok niego.

- W porządku - wydyszał Harry. - A ty?

- Jasne, że tak... trza więcej, żeby mnie załatwić.

Hagrid otoczył Harry'ego ramieniem i podniósł go z taką siłą, że Harry na moment stracił grunt pod nogami. Na policzku Hagrida zobaczył krew, płynącą z głębokiego rozcięcia pod okiem, które gwałtownie puchło.

- Musimy ugasić ogień - powiedział Harry. - Zakłęcie *Aguamenti*...

- Wiedziałem, że to coś takiego - wymamrotał Hagrid i uniósłszy tłący się, różowy parasol w kwiatki, zawołał:

- *Aguamenti!*

Z końca parasola wytrysnął strumień wody. Harry uniósł różdżkę, choć jego ramię było jak z ołowiu, i też mruknął: - *Aguamenti*. Wspólnie z Hagridem zalali dom wodą, aż stłumiony został ostatni płomień.

- Nie jest źle - stwierdził z nadzieją Hagrid kilka minut później, patrząc na dymiące zgliszcza. - Nic, czego Dumbledore nie mógłby naprawić...

Na dźwięk tego nazwiska Harry poczuł palący ból w żołądku. Stał nieruchomo i nic nie mówił, gdy narastała w nim groza.

- Hagridzie...

- Bandażowałem właśnie nogi kilku nieśmiałkom, kiedy usłyszałem, że ktoś nadchodzi - powiedział Hagrid ze smutkiem, wciąż patrząc na ruiny chatki. - Spaliły się na wiór, biedne maluchy...

- Hagridzie...

- Ale co się stało, Harry? Widziałem śmierciożerców uciekających z zamku, ale co u licha robił z nimi Snape? Gdzie się podział... gonił ich?

- On... - Harry odchrząknął. Gardło miał suche z powodu przerażenia i dymu. - Hagridzie, on zabił...

- Zabił? - powiedział Hagrid głośno, patrząc na Harry'ego. - Snape zabił? Co ty pleciesz, Harry?

- Dumbledore'a - powiedział Harry. - Snape zabił... Dumbledore'a.

Hagrid po prostu na niego patrzył. Widoczna spod zarostu część jego twarzy była kompletnie pusta, nierozumiejąca.

- Co z Dumbledore'em, Harry?

- Nie żyje. Snape go zabił...

- Nie mów tak - odrzekł Hagrid szorstko. - Snape zabił Dumbledore'a... nie bądź głupi, Harry. Czemu tak mówisz?

- Widziałem to.

- Niemożliwe.

- Widziałem to, Hagridzie.

Hagrid potrząsnął głową. Jego twarz wyrażała niewiarę, ale i współczucie, i Harry wiedział, że Hagrid myśli, że uderzono go w głowę, że nie wie, co mówi, być może z powodu zaklęcia...

- Dumbledore musiał powiedzieć Snape'owi, żeby poszedł ze śmierciożercami - oznajmił Hagrid z przekonaniem. - Pewnie wciąż nie wolno mu się ujawnić. Wracajmy do szkoły. Chodź, Harry...

Harry nie próbował klócić się czy tłumaczyć. Wciąż trząsał się niepohamowanie. Hagrid szybko sam się przekona, zbyt szybko... Gdy skierowali się do zamku, Harry zobaczył, że w wielu oknach pali się światło. Potrafił sobie wyobrazić, bardzo wyraźnie, jak ludzie biegną z pokoju do pokoju, opowiadając sobie nawzajem, że śmierciożercy włamali się do zamku, że

ponad Hogwartem jaśnieje Mroczny Znak, że ktoś musiał zginąć...

Dębowe drzwi frontowe były otwarte, a zza nich na podjazd i trawnik wylewało się światło. Powoli, niepewnie, ludzie w koszulach nocnych schodzili po stopniach, rozglądając się nerwowo za jakimś śladem śmierciożerców, którzy wybiegli w noc. Jednak wzrok Harry'ego skupiony był u podnóża najwyższej wieży. Wiedział, że tam na trawie leży czarna, skulona masa, choć tak naprawdę był zbyt daleko, by cokolwiek widzieć. Gdy jeszcze patrzył bez słowa w miejsce, gdzie musiało znajdować się ciało Dumbledore'a, zaczęli tam podchodzić ludzie.

- Na co oni patrzą? - spytał Hagrid, gdy on i Harry zbliżyli się do zamku, a Kiel trzymał się możliwie najbliżej ich kostek. - Co tam leży na trawie? - dodał Hagrid ostro, zmierzając teraz do podnóża Wieży Astronomicznej, gdzie gromadził się mały tłumek.

- Widzisz to, Harry? Tam na dole? Pod Mrocznym... Cholibka... myślisz, że kogoś wypchnięto...?

Hagrid umilkł, myśl była najwidoczniej zbyt okropna, by wymówić ją na głos. Harry szedł obok niego, czując cały ból twarzy i nóg, gdzie w ciągu ostatniej godziny trafiły go najróżniejsze zaklęcia, jednak w dziwnie odległy sposób, jakby cierpiał ktoś obok niego. Prawdziwy i nieunikniony był ten straszny ucisk w piersi...

On i Hagrid przeszli jak we śnie przez szepcący tłum na sam przód, gdzie oniemiała uczniowie i nauczyciele zostawili wolne miejsce.

Harry słyszał jęk bólu i szoku, jaki wydał Hagrid, ale nie zatrzymał się. Szedł powoli naprzód, aż doszedł do miejsca, gdzie leżał Dumbledore, i przykucnął przy nim. Że nie ma nadziei, wiedział od momentu, gdy ustąpiło zaklęcie unieruchamiające, rzucone na niego przez Dumbledore'a. Wiedział, że stało się tak tylko dlatego, że ten, kto je rzucił, nie żyje - ale wciąż nie był przygotowany, by ujrzeć go leżącego tutaj, z rozrzuconymi kończynami, złamanego: największego czarodzieja, jakiego Harry kiedykolwiek spotkał bądź

spotka.

Oczy Dumbledore'a były zamknięte. Gdyby nie dziwne wygięcie ramion i nóg, można by pomyśleć, że śpi. Harry wyciągnął dłoń, poprawił okulary połówki na zakrzywionym nosie i wytarł rękawem strużkę krwi, która sączyła się z ust. Potem popatrzył na starą, mądrą twarz i usiłował przyswoić sobie kolosalną i niezrozumiałą prawdę: że już nigdy więcej Dumbledore się do niego nie odezwie, że nigdy więcej nie pomoże... Tłum szeptał za plecami Harry'ego. Po długim czasie Harry uświadomił sobie, że kłęczy na czymś twardym, i spojrzał w dół.

Medalion, który zdołali wykraść te kilka godzin temu, wypadł z kieszeni Dumbledore'a. Otworzył się, być może z powodu uderzenia o ziemię. I choć nie mógł czuć większego szoku czy przerażenia, czy smutku, niż już czuł, podnosząc go, Harry wiedział, że coś jest nie tak...

Obrócił medalion w dłoniach. Nie był tak duży, jak medalion, który widzieli w myślodsiewni, nie było też na nim żadnych znaków, nie było ozdobnego "S" - symbolu Slytherina. Co więcej, w środku nie było nic, poza skrawkiem zwiniętego pergaminu, wepchniętym ciasno w miejsce, gdzie powinien znajdować się portret.

Automatycznie, nie myśląc tak naprawdę o tym, co robi, Harry wyciągnął kawałek pergaminu, rozwinął i przeczytał w świetle wielu różdżek, które teraz płonęły wokół niego:

Do Czarnego Pana Wiem, że kiedy to przeczytasz, od dawna nie będę żył, ale chcę, byś wiedział, że odkryłem twój sekret. Ukradłem prawdziwy horcrux i zamierzam zniszczyć go tak szybko, jak tylko zdołam. Spotkam się ze śmiercią w nadziei, że kiedy trafisz na godnego przeciwnika, znów będziesz śmiertelnikiem.

R.A.B.

Harry nie wiedział ani nie obchodziło go, co oznaczała ta wiadomość. Liczyła się tylko jedna rzecz: to nie był horcrux. Dumbledore na darmo osłabił się wypiciem tego straszego eliksiru. Harry zgniótł pergamin w dłoni, a jego oczy zapłonęły od łez, gdy za jego plecami Kieł zaczął wyć.

Tłumaczyła Clio



Lament Feniksa

Chodź tu, Harry.

Nie.

- Nie możesz tu zostać, Harry. Chodź natychmiast.

- Nie.

Nie chciał opuszczać miejsca przy boku Dumbledore'a, nie chciał gdziekolwiek iść. Dłoń Hagrida na jego ramieniu drżała. Wtedy inny głos powiedział:

- Harry, chodź.

Dużo mniejsza, cieplejsza ręka objęła go i podciągnęła do góry. Poddął się jej, nie myśląc nawet o tym, co robi. Gdy na ślepo przedzierał się przez tłum, zorientował się po unoszącym się w powietrzu delikatnym, kwiatowym zapachu, że to Ginny prowadzi go z powrotem do zamku. Niezrozumiałe głosy ranily uszy, szloch, krzyki i zawodzenia rozdzierały ciszę nocy, a oni nadal szli w kierunku schodów, prowadzących do Sali Wejściowej. Twarze migwały na brzegach pola widzenia Harry'ego, ludzie przyglądali mu się, szeptali, dziwili się. Rubiny z klepsydry Gryffindoru błyszczwały na podłodze jak krople krwi,

gdy zbliżali się do marmurowych schodów.

- Idziemy do skrzydła szpitalnego - poinformowała Ginny.

- Nie jestem ranny! - sprzeciwił się Harry.

- To z polecenia McGonagall - odpowiedziała dziewczyna. - Wszyscy tam są: Ron, Hermiona, Lupin... Wszyscy.

Strach znów ścisnął piersi chłopca. Zapomniał o nieruchomych ciałach, które zostawił za sobą.

- Ginny, kto jeszcze zginął?

- Nie martw się, nikt z nas.

- Ale Mroczny Znak - Malfoy mówił, że wpadł na ciało...

- Wpadł na Billa, ale wszystko w porządku, on żyje.

Jednak było w jej głosie coś, co źle wróżyło.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna... jest... pewien problem, to wszystko. Greyback go zaatakował. Pani Pomfrey mówi, że on nie będzie... nie będzie już taki sam...

Głos Ginny drżał lekko.

- W zasadzie nie wiemy, jakie będą skutki... chodzi o to, że Greyback jest wilkołakiem, chociaż wtedy nie był przemieniony.

- Ale inni... Na ziemi leżały też inne ciała...

- Neville i profesor Flitwick są ranni, ale pani Pomfrey mówi, że wszystko będzie dobrze. Jeden śmierciożerca nie żyje, dostał Zakłęciem Zabijającym, ten wielki blondyn, który rzucał kłutwami na prawo i lewo... Harry, gdybyśmy nie mieli twojego Felix Felicis, pewnie wszyscy bylibyśmy martwi, ale każde przekleństwo zdawało się po prostu nas mijać...

Doszli do skrzydła szpitalnego. Otworzywszy drzwi, Harry ujrzał Neville'a, który leżał na łóżku naprzeciwko i najwyraźniej spał. Ron, Hermiona, Luna, Tonks i Lupin zebrawali się wokół innego chorego, spoczywającego na końcu sali. Na dźwięk otwierających się drzwi, wszyscy się obejrzel. Hermiona podbiegła do Harry'ego i przytuliła go. Lupin przesunął się do przodu. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Wszystko w porządku?

- Tak, ze mną tak. Jak Bill?

Nikt nie odpowiedział. Harry spojrział przez ramię Hermiony i zobaczył nierozpoznawalną twarz spoczywającą na poduszce. Była tak bardzo pocięta i poszarpana, że wyglądała wręcz groteskowo. Pani Pomfrey smarowała rany Billa jakąś zieloną maścią o ostrym zapachu. Potter przypomniał sobie, jak łatwo Snape przy pomocy różdżki łatwo wyleczył obrażenia Malfoya, spowodowane Sectumsemprą.

- Nie może pani użyć zaklęcia czy czegoś takiego? - zapytał pielęgniarkę.

- Żadne zaklęcie na to nie podziała - odrzekła pani Pomfrey. - Próbowałam wszystkiego, co znam, ale nie ma leku na ugryzienie wilkołaka.

- Ale nie został ugryziony podczas pełni! - zawołał Ron, który wpatrywał się w twarz brata, jakby mógł go uzdrowić samym tylko wzrokiem. - Greyback się nie przetransformował, więc Bill na pewno nie będzie... prawdziwym?

Spojrzał niepewnie na Lupina.

- Nie, nie sądzę, żeby Bill został prawdziwym wilkołakiem - stwierdził były nauczyciel - ale to nie znaczy, że nie będzie żadnego zakażenia. To są przekłete rany. Mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek zagoiły się w pełni i... i Bill może mieć teraz pewne cechy wilka.

- Dumbledore może znać jakiś lek - powiedział Ron.

- Gdzie on jest? Bill walczył jak szalony na rozkaz Dumbledore'a. Dumbledore jest mu to winny, nie może go zostawić w tym stanie...

- Ron, Dumbledore nie żyje - odezwała się Ginny.

- Nie! - Lupin patrzył dziko to na nią, to na Harry'ego, jak gdyby miał nadzieję, że ten jej zaprzeczy. Kiedy tego nie zrobił, Remus osunął się na krzesło stojące obok łóżka Billa i ukrył twarz w dłoniach. Harry nigdy wcześniej nie widział, żeby Lupin stracił nad sobą panowanie. Poczul, jakby robił coś nieprzyzwoitego, ingerując w prywatność mężczyzny. Odwrócił się i spojrział zamiast tego na Rona, w milczeniu

potwierdzając spojrzeniem to, co powiedziała Ginny.

- Jak umarł? - wyszeptala Tonks. - Jak to się stało?

- Snape go zabił - odrzekł Harry. - Byłem tam, widziałem to. Wróciliśmy na Wieżę Astronomiczną, bo to nad nią był Mroczny Znak.... Dumbledore był chory, słaby, ale sądzę, że zdał sobie sprawę, że to była pułapka, gdy usłyszeliśmy kroki ludzi, wbiegających po schodach. Unieruchomił mnie, nie mogłem nic zrobić. Byłem pod peleryną-niewidką. I wtedy wszedł Malfoy i rozbroił go...

Hermiona zasłoniła sobie twarz rękoma, Ron jęknął. Usta Luny drżały.

- Przybyło więcej śmierciożerców... i wtedy Snape... i Snape to zrobił. Avada Kedavra - Harry nie mógł już dalej mówić.

Pani Pomfrey rozplakała się. Nikt nie zwracał na nią uwagi, oprócz Ginny, która szepnęła:

- Ciiiiii... Posłuchajcie!

Przelykając nerwowo ślinę, pielęgniarka przycisnęła palce do warg. Oczy miała szeroko otwarte. Gdzieś w ciemnościach rozległ się śpiew feniksa - śpiew, jakiego Harry nigdy wcześniej nie słyszał: rozpaczliwy lament straszego piękna. Poczul się tak, jak czuł się zawsze, kiedy słyszał pieśń feniksa: jakby muzyka była wewnątrz niego, a nie obok. Jego żal przemieniono za pomocą magii w melodię, która brzmiała teraz na błoniach i wdierała się przez okna zamku.

Nie wiedział, jak długo stali tam wszyscy, wsłuchani. Nie wiedział, dlaczego wsłuchiwanie się w tę pieśń, pełną wspólnego im bólu i żalu, przynosiło mu ulgę. Gdy szpitalne drzwi otwarły się znów i McGonagall weszła do środka, wszyscy mieli wrażenie, że minęło bardzo dużo czasu. Tak samo jak inni, nauczycielka nosiła ślady niedawnej bitwy: miała zadrapaną twarz i podarte szaty.

- Molly i Artur już tu jadą - odezwała się i czar muzyki został przerwany. Wszyscy jakby zbudzili się z transu, znów spoglądając na Billa lub przecierając oczy i potrząsając głowami. - Harry, co się stało? Zgodnie z tym, co mówi Hagrid, byłeś z profesorem Dumbledorem,

kiedy on... kiedy to się stało. Podobno profesor Snape był zamieszany w jakieś...

- Snape zabił Dumbledore'a - oznajmił Harry.

Wbiła w niego na chwilę wzrok, a potem zachwiała się alarmująco. Pani Pomfrey, która najwyraźniej pozbiierała się najszybciej, podbiegła do niej i podsunęła wyczarowane z powietrza krzesło.

- Snape - powtórzyła McGonagall słabo, osuwając się na siedzisko. - Wszyscy się zastanawialiśmy... ale on ufał... zawsze... *Snape*... Nie mogę uwierzyć...

- Snape był znakomitym oklumentą - wtrącił Lupin dziwnie ostrym głosem. - Zawsze to wiedzieliśmy.

- Ale Dumbledore przysięgał, że on jest po naszej stronie! - wyszeptała Tonks. - Zawsze myślałam, że Dumbledore musi wiedzieć o Snape'ie coś, czego my nie wiemy.

- Zawsze upierał się, że ma żelazne argumenty, żeby ufać Snape'owi - wymamrotała profesor McGonagall, ocierając kąciaki oczu chusteczką obrębianą wzorem w szkocką kratę. - To znaczy... z historią Snape'a... oczywiście, że ludzie się zastanwiali... ale Dumbledore powiedział mi wyraźnie, że nawrócenie Snape'a było absolutnie szczerze... Nie dałby sobie o nim powiedzieć złego słowa!

- Chciałabym wiedzieć, co takiego powiedział Snape, że go przekonał - rzuciła Tonks.

- Ja wiem - odezwał się Harry. Wszyscy na niego popatrzyli. - Snape przekazał Voldemortowi informację, która popchnęła go do polowania na moich rodziców. Potem Snape powiedział Dumbledore'owi, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi i że żałuje, że to zrobił, żałuje, że oni nie żyją.

Wszyscy z wbili w niego wzrok.

- I Dumbledore w to uwierzył? - zapytał z niedowierzaniem Lupin. - Dumbledore uwierzył, że Snape żałował śmierci Jamesa? Snape nienawidził Jamesa...

- I uważał, że moja matka nie była warta funta klaków - dokończył Harry - ponieważ pochodziła z mugolskiej rodziny... "Szlama". Nazywał ją szlamą...

Nikt nie zapytał, skąd chłopak to wie. Wszyscy zdawali się być zagubieni w przerażającym szoku. Próbowali jakoś przetrwać potworną prawdę o tym, co się stało.

- To wszystko moja wina - powiedziała nagle McGonagall. Wyglądała na zdezorientowaną, gniotła w dłoniach mokrą chusteczkę. - Moja wina. Wysłałam dzisiaj Filiusa, żeby przyprowadził Snape'a. Posłałam po niego, żeby nam pomógł! Gdybym nie zaalarmowała Snape'a, może nigdy nie dołączyłby do śmierciożerców. Nie sądzę, żeby wiedział o ich przybyciu, zanim Filius go powiadomił. Nie sądzę, żeby wiedział, że mają przybyć...

- To nie twoja wina, Minerwo - rzekł stanowczo Lupin.

- Wszyscy potrzebowaliśmy pomocy, cieszyliśmy się, że Snape już idzie...

- Kiedy przybył na miejsce walki, dołączył do śmierciożerców? - dopytywał się Harry, który chciał wiedzieć wszystko o obludzie i hańbie Snape'a, gorączkowo zbierając coraz więcej powodów, by go nienawidzić, by przysiąc zemstę.

- Nie wiem dokładnie, jak to się stało - powiedziała zmartwiona nauczycielka. - To wszystko jest takie mylące... Dumbledore powiedział nam, że opuszcza szkołę na parę godzin i że na wszelki wypadek mamy patrolować korytarze. Bill i Nimfadora mieli do nas dołączyć... więc patrolowaliśmy. Wydawało się, że jest spokojnie. Każda sekretna ścieżka była pod kontrolą. Wiedzieliśmy, że nikt nie może się dostać do budynku. Potężne zaklęcia strzegły wszystkich wejść do zamku. Nadal nie wiem, jak śmierciożercy zdołali wejść...

- Ja wiem - odrzekł Harry i krótko opowiedział o parze komód znikania i o magicznym przejściu, które tworzyły.

- Więc weszli tu przez Pokój Życzeń.

Niemal wbrew swej woli mierzył wzrokiem to Rona, to Hermionę. Oboje wyglądali na zdruzgotanych.

- Zawalilem, Harry - powiedział Ron ponuro.

- Zrobiliśmy tak, jak nam powiedziałaś. Sprawdziliśmy na mapie Huncwotów i nie było tam Malfoya, więc stwierdziliśmy, że musi być w Pokoju Życzeń. Ja,

Ginny i Neville poszliśmy tam, żeby obserwować, ale wymknął się...

- Wyszedł mniej więcej godzinę po tym, jak zaczęliśmy go obserwować - dodała jego siostra. - Był sam i trzymał tę obrzydliwą, wysuszoną łapę...

- Swoją Rękę Glorii - uzupełnił Ron. - Pamiętasz? Świeci tylko temu, który ją trzyma.

- W każdym razie - kontynuowała Ginny - musiał sprawdzać, czy może bezpiecznie wyprowadzić śmierciożerców, bo w chwili, kiedy nas zobaczył, rzucił coś w powietrze i zrobiło się zupełnie ciemno.

- Peruwiański Błyskawiczny Proszek Ciemności - powiedział gorzko chłopak. - Od Freda i George'a. Pogadam z nimi później o tym, komu sprzedają swoje produkty.

- Próbowaliśmy wszystkiego: Lumos, Incendio... - podjęła znów Ginny. - Nic nie rozproszyło ciemności. Mogliśmy tylko po omacku odnaleźć drogę powrotną na korytarz. W międzyczasie słyszeliśmy ludzi biegnących obok nas. Pewnie Malfoy widział, bo miał tę swoją rękę i prowadził ich, ale nie ośmieliliśmy się użyć żadnych zaklęć, bo mogliśmy trafić w swoich. Zanim dotarliśmy do korytarza, światło znów się pojawiło, ale ich już nie było.

- Na szczęście Ron, Ginny i Neville niemal natychmiast wpadli na nas i powiedzieli, co się stało - wtrącił ochryple Lupin. - Po kilku minutach znaleźliśmy śmierciożerców, podążających do Wieży Astronomicznej. Malfoy najwyraźniej nie spodziewał się, że ktoś jeszcze będzie na straży i wyglądało na to, że nie ma więcej tego Proszku Ciemności. Wywiązała się walka, oni się rozproszyli, my ich goniliśmy. Jeden z nich, Gibbon, wyrwał się i wbiegł na schody do wieży.

- Żeby wystrzelić Znak? - zapytał Harry.

- Zapewne to zrobił, musieli się umówić, zanim opuścili Pokój Życzeń - odpowiedział Remus. - Ale Gibbonowi najwyraźniej nie spodobał się pomysł samotnego czekania na Dumbledore'a, bo zbiegł po chwili i znów włączył się do walki. Został ugodzony

Zaklęciem Zabijającym, które o mały włos minęło mnie.

- Skoro Ron obserwował Pokój Życzeń z Ginny i Neville'em - zwrócił się Harry do Hermiony - gdzie ty...?

- Tak, przed gabinetem Snape'a - wyszeptala panna Granger. Łzy szklily się w jej oczach. - Z Luną. Kręciliśmy się tam całe wieki i nic się nie działo. Nie wiedziałyśmy, co się dzieje na górze, Ron zabrał mapę... Około północy profesor Flitwick zbiegł do lochów. Krzyczał coś o śmierciożercach w zamku, nie sądzę, żeby w ogóle zauważył, że Luna i ja tam byliśmy, wpadł po prostu do gabinetu Snape'a i słyszałyśmy, jak mówił mu, że musi z nim iść i pomóc. Wtedy usłyszałyśmy głośny łomot i Snape wyszedł z gabinetu i zobaczył nas i... i...

- Co? - chłopak domagał się odpowiedzi.

- To było takie głupie, Harry! - wyszeptala piskliwie Hermiona. - Powiedział, że profesor Flitwick zasłabł i że powinniśmy się nim zająć, podczas gdy on pójdzie pomóc w walce ze śmierciożercami - zawstydzona, zasłoniła twarz i mówiła nadal przez palce, tak że jej głos był przytłumiony. - Weszliśmy do gabinetu, żeby zobaczyć, czy możemy w czymś pomóc profesorowi Flitwickowi i znalazłyśmy go nieprzytomnego na podłodze... Och, to teraz takie oczywiste, Snape musiał oszołomić Flitwicka, ale nie zdawałyśmy sobie z tego sprawy, Harry, nie zdawałyśmy sobie sprawy, po prostu pozwoliliśmy Snape'owi odejść!

- To nie twoja wina - powiedział twardo Lupin.

- Hermiono, gdybyście nie posłuchały Snape'a i nie zeszły mu z drogi, pewnie zabiłby was obie.

- Więc potem przyszedł na górę - wrócił do meritum Harry, który oczami wyobraźni widział Snape'a, biegnącego po marmurowych schodach. Jego czarne szaty łopotaly za nim tak, jak zwykle, wyciągał spod peleryny różdżkę, gdy się wspinał... - i znalazł miejsce, w którym walczyliście...

- Mieliśmy problem, przegrywaliśmy - podjęła niskim głosem Tonks. - Gibbon nie żył, ale reszta śmierciożerców wydawała się gotowa do walki na

śmierć i życie. Neville został ranny, Greyback pokiereszował Billa... Było zupełnie ciemno... zaklęcia latały we wszystkie strony... Młody Malfoy zniknął, musiał się schodami wślizgnąć na górę... jeszcze kilku pobiegło za nim, ale jeden zablokował za sobą przejście jakimś zaklęciem... Neville na to wbiegł i wyrzuciło go w powietrze...

- Nikt z nas nie mógł się przedrzeć - dodał Ron - a ten wielki śmierciożerca cały czas rzucał na nas przekleństwa na oślep, odbijały się od ścian, mijaly nas o milimetry...

- Snape tam był - powiedziała Tonks - i po chwili już go nie było.

- Widziałam, jak biegnie w naszą stronę, ale wtedy przekleństwo tego wielkiego śmierciożercy ledwo mnie minęło, uchyliłam się i straciłam orientację - dodała Ginny.

- Widziałem, jak przebiega przez barierę tak, jakby jej tam nie było - rzekł Lupin. - Próbowałem iść za nim, ale odrzuciło mnie tak, jak Neville'a.

- Musiał znać zaklęcie, którego my nie znaleźliśmy - wyszeptała McGonagall. - W końcu był nauczycielem obrony przed czarną magią... Uznałam po prostu, że spieszył się, by dogonić tych śmierciożerców, którzy uciekli na wieżę.

- Tak było. Ale chciał im pomóc, a nie powstrzymać ich - powiedział brutalnie Harry. - I założę się, że żeby przejść przez tę barierę, trzeba było mieć Mroczny Znak na ramieniu. Więc co się stało, kiedy zszedł z powrotem?

- Wielki śmierciożerca rzucił właśnie zaklęcie, które spowodowało, że połowa sufitu się zawaliła. To złamało również czar blokujący schody - odrzekł Lupin. - Wszyscy pobiegliśmy do przodu

- przynajmniej ci, którzy nadal trzymali się na nogach - i wtedy Snape wraz z chłopcem wyłonił się z pyłu. Oczywiście nikt z nas ich nie zaatakował.

- Po prostu pozwoliliśmy im przejść - oznajmiła pustym głosem Tonks. - Myśleliśmy, że śmierciożercy ich gonia. Poza tym pozostali śmierciożercy i Greyback

wrócili i znów walczyliśmy. Wydawało mi się, że słyszę, jak Snape coś krzyczy, ale nie mam pojęcia co.

- Krzyczał: "Wszystko skończone." - powiedział Harry.

- Zrobił to, co miał zrobić.

Zapadła cisza. Lament Fawkesa nadal dało się słyszeć na błoniach. Muzyka pobrzmiwała w powietrzu. Harry'emu przyszły do głowy niechciane i nieproszone myśli. Czy zabrali już ciało Dumbledore'a spod wieży? Co się z nim dalej stanie? Gdzie spocznie? Zacisnął mocno pięści w kieszeniach. Czuł małą, zimną bryłę fałszywego horcruxa pod palcami prawej ręki.

Drzwi do skrzydła szpitalnego otworzyły się tak gwałtownie, że wszyscy podskoczyli. Państwo Weasley szli w stronę łóżka syna, a za nimi podążała Fleur z wyrazem przerażenia na pięknej twarzy.

- Molly, Arturze - odezwała się profesor McGonagall, zrywając się z krzesła i spiesząc ich powitać. - Tak mi przykro...

- Bill... - wyszeptała pani Weasley, mijając błyskawicznie nauczycielkę, gdy tylko zobaczyła zniekształconą twarz syna. - Och, Bill!

Lupin i Tonks wstali szybko i wycofali się, żeby dopuścić rodziców chorego bliżej łóżka. Molly schyliła się nad Billem i przycisnęła usta do jego krwawego czoła.

- Mówiłaś, że Greyback go zaatakował? - zwrócił się pan Weasley do profesor McGonagall. - Ale nie transformował się? Więc co to znaczy? Co się stanie z Billem?

- Jeszcze nie wiemy - odpowiedziała nauczycielka, patrząc bezradnie na Lupina.

- Arturze, to najprawdopodobniej będzie jakieś zakażenie - odezwał się wilkołak. - To dziwny przypadek, możliwe, że jedyny... Nie wiemy, jak będzie się zachowywał, gdy się obudzi.

Pani Weasley wzięła od pielęgniarki paskudnie pachnącą maść i zaczęła opatrywać rany Billa.

- A Dumbledore... - zaczął Artur. - Minerwo, czy to prawda... Czy on naprawdę?

Gdy profesor McGonagall przytaknęła, Harry poczuł,

że Ginny przesunęła się obok niego. Spojrzał na nią. Jej nieco zwężone oczy były skupione na Fleur, która wpatrywała się w Billa z przerażonym wyrazem twarzy.

- Dumbledore odszedł... - wyszeptał pan Weasley, ale jego żona widziała tylko swojego najstarszego syna. Zaczęła szlochać, a jej łzy padały na poranioną twarz Billa.

- Pewnie, że wygląd nie ma znaczenia... To tak naprawdę nie jest ważne... ale był bardzo przystojnym chłopcem... zawsze bardzo przystojnym... i miał się żenić!

- Cio pani ma na miśli? - nagle i głośno odezwała się Fleur. - Cio pani ma na miśli, miwiąc: "mił si żinić"?

Pani Weasley podniosła zalaną łzami twarz. Wyglądała na zaskoczoną.

- Sądziłam, że...

- Miślala pani, że Bill ni bidzie już chciał si ze mną ozinić? - drażyła Francuzka. - Miślala pani, że z powodu ugriziń przistanie mni kochać?

- Nie, nie o to mi...

- Bo ni przestaniel! - zawołała Fleur, prostując się na całą swą wysokość i odrzucając do tyłu długą grzywę srebrnych włosów. - Potrzeba więcej, niż wilkiłak, żebi Bill przistał mni kochać!

- Oczywiście, jestem pewna - odrzekła pani Weasley - ale sądziłam, że może...

- Miślala pani, że ni będę chciała za nigo wijść? A może miała pani nadzieję? - warknęła dziewczyna, a nozdrza drgały jej z wściekłości. - Co mni obchodzi, jak on wigłada? Sądzi, że mogę bić piękna za nas oboje. Wsistkie te blizni pokazuują, że mij mąż jist odważni! I ja powinnam to zrobić - dodała gwałtownie, odpychając panią Weasley od Billa i zabierając jej maść. Pani Weasley znalazła się na powrót obok męża i z bardzo zaciekawionym wyrazem twarzy obserwowała Fleur, przemycającą rany swego narzeczonego. Nikt nic nie mówił, Harry nie śmiał się poruszyć. Jak wszyscy inni, czekał na wybuch.

- Nasza cioteczna babka Muriel - odezwała się Molly po długiej przerwie - ma bardzo piękną tiarę - robota

goblinów - i jestem pewna, że mogę ją przekonać, żeby ci ją pożyczyła na ślub. Widzisz, ona uwielbia Billa, a tiara wyglądałaby wspaniale na twoich włosach.

- Dziękuj - odrzekła Fleur sztywno. - Jistem pewna, że jist piękni.

I wtedy (Harry nie do końca widział, jak to się stało) nagle obie kobiety płakały i tuliły się do siebie. Całkowicie skonsternowany zaczął się zastanawiać, czy świat aby nie zwariował. Obrócił się. Ron wyglądał na tak oszłomionego, jak się czuł. Ginny i Hermiona wymieniały zaskoczone spojrzenia.

- Widzisz? - zabrzmiał napięty głos. Tonks patrzyła na Lupina z wściekłością. - Ona chce za niego wyjść, chociaż został ugryziony. Jej to nie obchodzi!

- To co innego - odrzekł Remus, ledwo poruszając ustami. Nagle zaczął wyglądać na spiętego. - Bill nie będzie w pełni wilkołakiem. To są zupełnie różne...

- Ale mnie też to nie obchodzi! Nie obchodzi mnie to! - wykrzyknęła aurorka, chwytając przód szat mężczyzny i trzęsąc nimi. - Mówiłam ci milion razy...

Znaczenie patronusa Tonks, jej mysie włosy, powód, dla którego przybiegła do Dumbledore'a, gdy usłyszała plotkę, że Greyback kogoś zaatakował - wszystko nagle stało się jasne dla Harry'ego. Ostatecznie to nie w Syriuszu zakochała się Tonks.

- A ja mówiłem ci milion razy - odrzekł Lupin, unikając jej wzroku i wpatrując się w podłogę - że jestem dla ciebie zbyt biedny, zbyt stary... zbyt niebezpieczny...

- Mówiłam ci wielokrotnie, Remusie, że obierasz śmieszny linię postępowania - wtrąciła się pani Weasley znad ramienia Fleur, poklepując ją po plecach.

- Nie jest śmieszna - odpowiedział spokojnie Lupin.

- Tonks zasługuje na kogoś młodego i całego.

- Ale ona chce ciebie - stwierdziła Molly z nieznacznym uśmiechem. - Poza tym, Remusie, młodzi i cali mężczyźni nie zawsze się takimi okazują.

Ze smutkiem wskazała na swojego syna, który leżał między nimi.

- To nie jest odpowiedni moment, żeby o tym

rozmawiać - powiedział Lupin, unikając spoglądania na kogokolwiek, gdy nerwowo rozglądał się dookoła.

- Dumbledore nie żyje...

- Dumbledore byłby bardzo szczęśliwy, mając świadomość, że jest trochę więcej miłości na świecie - ucięła profesor McGonagall dokładnie w chwili, w której drzwi skrzydła szpitalnego otworzyły się i do środka wkroczył Hagrid.

Niewielka część jego twarzy, która nie była przykryta włosami czy brodą, była mokra i spuchnięta, trząsł się od płaczu. W ręce miał wielką chustkę w grochy.

- Zro... zrobiłem to, pani psor - zaniósł się od szloch.

- Przeniosłem go. Profesor Sprout zaprowadziła dzieciaki z powrotem do łóżek. Profesor Flitwick leży, ale mówi, że za chwilę wszystko będzie dobrze, a profesor Slughorn mówi, że zawiadomiono Ministerstwo.

- Dziękuję, Hagridzie - powiedziała McGonagall, wstając wreszcie i spoglądając na ludzi stłoczonych przy łóżku Billa. - Powinnam spotkać się z wysłannikami Ministerstwa, kiedy przybędą. Hagridzie, powiedz, proszę, opiekunom domów - Slughorn może reprezentować Slytherin - że chcę ich niezwłocznie widzieć w moim gabinecie. Chciałabym, żebyś do nas dołączył.

Gdy Hagrid kiwnął twierdząco głową, obrócił się i opuścił skrzydło szpitalne, kobieta spojrzała na Harry'ego.

- Zanim spotkam się z nimi, chciałabym zamienić z tobą parę słów, Harry. Chodź ze mną.

Chłopiec wymamrotał "Do zobaczenia za chwilę" do Rona, Hermiony i Ginny, po czym podążył za profesor McGonagall. Korytarze były puste i słychać było tylko odległy dźwięk pieśni feniksa. Po paru minutach zorientował się, że nie szli w stronę gabinetu nauczycielki transmutacji, a Dumbledore'a, zaś po kilku kolejnych dotarło do niego, że przecież ona była zastępcą dyrektora... Wygląda na to, że teraz jest dyrektorką... więc pokój strzeżony przez gargulca należy teraz do niej.

W ciszy wspięli się na spiralne ruchome schody i weszli do okrągłego gabinetu. Sam nie wiedział, czego się spodziewał: może tego, że pokój będzie osłonięty czarnymi tkaninami albo nawet, że ciało Dumbledore'a będzie tu spoczywało. W rzeczywistości wszystko wyglądało niemal tak samo, jak wtedy, gdy kilka godzin wcześniej opuszczał je z dyrektorem: srebrne instrumenty kręciły się i dymiły na stolikach o wrzecionowatych nóżkach, miecz Gryffindora w swej szklanej gablotce lśnił w świetle księżyca, Tiara Przydziału leżała na półce za stołem, tylko żerdź Fawkesa stała pusta. Feniks nadal wypłakiwał swój żal na błoniach. Nowy portret dołączył do innych podobizn nieżyjących dyrektorów i dyrektorek Hogwartu: Dumbledore przysypiał w złotej ramie nad stołem, okulary - połówki tkwiły na jego haczykowatym nosie. Wyglądał na spokojnego i niczym nie niepokojonego.

Rzuciwszy okiem na ów portret, profesor McGonagall uczyniła dziwny ruch, jakby przygotowywała się na coś trudnego. Potem okrążyła stół i spojrzała na chłopca. Jej twarz była pomarszczona i pełna napięcia.

- Harry, chciałabym wiedzieć, co ty i profesor Dumbledore robiliście dziś w nocy, kiedy opuściliście szkołę.

- Nie mogę tego zdradzić, pani profesor - odrzekł Harry. Spodziewał się tego pytania i miał przygotowaną odpowiedź. To tutaj, dokładnie w tym pokoju, Dumbledore powiedział mu, że o tym, czego dowiadywał się na ich lekcjach, może rozmawiać tylko z Ronem i Hermioną.

- Harry, to może być ważne - nalegała nauczycielka.

- Jest - przytaknął. - Ale on nie chciał, żebym mówił o tym komukolwiek.

McGonagall spiorunowała go wzrokiem.

- Potter - chłopiec zauważył, że wróciła do nazywania go po nazwisku - jako że profesor Dumbledore nie żyje, sądzę, że powinieneś zauważyć pewną zmianę sytuacji.

- Nie sądzę - odpowiedział Harry, wzruszając

ramionami. - Profesor Dumbledore nie powiedział mi nigdy, że po jego śmierci mam przestać stosować się do jego poleceń. Jest jedna rzecz, którą powinna pani wiedzieć, zanim przyjdzie tu ministerstwo. Madame Rosmerta pod wpływem zaklęcia Imperius pomagała Malfoyowi i śmierciożercom. To w ten sposób naszyjnik i zatruty miód...

- Rosmerta? - zapytała z niedowierzaniem nauczycielka, ale zanim mogła kontynuować, rozległo się pukanie do drzwi i profesorowie Sprout, Flitwick i Slughorn weszli do gabinetu. Za nimi wsunął się do środka Hagrid, który nadal rzewnie płakał. Jego olbrzymia postać trzęsła się ze zgrzyoty.

- Snape! - wybuchnął Slughorn, wyglądający na najbardziej wstrząśniętego, bladego i spoconego.

- Snape! Uczyłem go! Myślałem, że go znam!

Zanim ktokolwiek z nich zdążył odpowiedzieć, ostry głos przemówił ze ściany. Czarodziej o ziemistej cerze i krótkiej, czarnej grzywce właśnie wrócił na swoje płótno.

- Minerwo, Minister za chwilę tu będzie, właśnie deportował się z Ministerstwa.

- Dziękuję, Everardzie - odrzekła McGonagall i szybko obróciła się do nauczycieli.

- Chcę porozmawiać o tym, co stało się w Hogwarcie, zanim on się tu zjawi - powiedziała szybko. - Osobiście nie jestem przekonana do tego, żeby w przyszłym roku znów otworzyć szkołę. Śmierć dyrektora z rąk jednego z naszych kolegów to potworne wydarzenie w historii Hogwartu. To straszne.

- Jestem pewna, że Dumbledore chciałby, żeby szkoła pozostała otwarta - odezwała się profesor Sprout.

- Uważam, że jeśli choć jeden uczeń będzie chciał tu przybyć, szkoła powinna być otwarta dla tego jednego ucznia.

- Ale czy po tym wszystkim zostanie nam choć jeden uczeń? - zabrał głos Slughorn, ocierając spocone czoło jedwabną chustką. - Rodzice będą woleli trzymać swoje dzieci w domu i ja ich nie winię. Osobiście nie uważam, żebyśmy w Hogwarcie byli w większym

niebezpieczeństwie, niż gdziekolwiek indziej, ale nie spodziewam się, żeby matki też tak to widziały. Będą chcieli trzymać się razem w rodzinie, to naturalne.

- Zgadza się - powiedziała profesor McGonagall.

- W każdym razie nie można powiedzieć, że Dumbledore nigdy nie przewidywał sytuacji, w której Hogwart mógłby zostać zamknięty. Kiedy Komnata Tajemnic została znów otwarta, rozważał zamknięcie szkoły i muszę powiedzieć, że zamordowanie profesora Dumbledore'a uważam za problem większej rangi, niż wizja niewykrytego potwora Slytherina żyjącego wewnątrz zamku...

- Musimy się skonsultować z Radą Nadzorczą - zawołał Flitwick swym piskliwym głosikiem. Miał na czole wielkiego siniaka, ale poza tym wydawało się, że z upadku w gabinecie Snape'a wyszedł bez szwanku.

- Musimy się trzymać ustalonych procedur. Decyzja nie może być podjęta pochopnie.

- Hagridzie, ty się jeszcze nie wypowiedziałeś - stwierdziła profesor McGonagall. - Jak sądzisz, czy Hogwart powinien zostać otwarty?

Hagrid, który lkał cicho w swoją wielką chustkę przez całą tę rozmowę, podniósł teraz czerwone, zapuchnięte oczy i wychrypiał:

- Nie wiem, pani psor... To opiekunowie i dyrektorka powinni zdecydować...

- Profesor Dumbledore zawsze cenil twoją opinię - powiedziała uprzejmie dyrektorka. - Ja też.

- Cóż, ja zostaję - stwierdził Hagrid. Wielkie łzy nadal płynęły mu z oczu i spadały na splątana brodę. - To mój dom, jest nim, odkąd skończyłem trzynaście lat. I jeśli będą tu jakiegokolwiek dzieciaki, które będą chciały, żebym je uczył, będę to robił. Ale... Nie wiem... Hogwart bez Dumbledore'a... - przelknął ślinę i znów zniknął za swą chustką. Zapadła cisza.

- W porządku - powiedziała profesor McGonagall, spoglądając za okno i sprawdzając, czy nie zbliża się Minister. - Muszę się zgodzić z Filiusem. Trzeba się skonsultować z Radą, która podejmie ostateczną decyzję. Jeśli chodzi o wysłanie uczniów do domu...

Lepiej zrobić to wcześniej, niż później. Można zorganizować Hogwart Ekspres nawet na jutro, jeśli to konieczne.

- A co z pogrzebem Dumbledore'a? - spytał Harry, odzywając się nareszcie.

- Cóż - odrzekła McGonagall. Jej głos drżał, brzmiał nieco mniej energicznie. - Wiem, że Dumbledore życzył sobie spocząć tutaj, w Hogwarcie.

- Więc tak się właśnie stanie, prawda? - zapytał ostro chłopiec.

- Jeśli Ministerstwo uzna to za właściwe - odpowiedziała. - Żaden inny dyrektor ani dyrektorka nigdy nie...

- Żaden inny dyrektor ani dyrektorka nigdy nie dał tej szkole tak wiele - warknął Hagrid.

- Hogwart powinien być miejscem spoczynku Dumbledore'a - odezwał się Flitwick.

- Absolutnie - poparła go Sprout.

- W związku z tym - podjął Harry - nie powinna pani wysyłać uczniów do domów przed pogrzebem. Wszyscy chcą powiedzieć...

Przy ostatnim słowie głos go zawiódł, więc nauczycielka zielarstwa skończyła zdanie za niego:

- "Żegnaj."

- Dobrze powiedziane! - zaskrzeczał Flitwick.

- Stanowczo dobrze powiedziane! Nasi uczniowie powinni oddać mu hołd, tak się należy. Później mogą wrócić do domu.

- Popieram - odezwała się Sprout.

- Sądzę, że... tak... - powiedział Slughorn poruszoną głosem. Hagrid wydał z siebie stłumiony szloch na znak zgody.

- Idzie - powiedziała nagle McGonagall, wpatrując się w błonia. - Minister... i wygląda na to, że wziął ze sobą całą delegację...

- Czy mogę wyjść, pani profesor? - zapytał Harry.

Nie miał ochoty widzieć tego dnia Rufusa Scrimgeoura ani być przez niego przesłuchiwanym.

- Możesz - odpowiedziała nauczycielka. - Szybko.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Chłopiec zbiegł po

spiralnych schodach i popędził pustym korytarzem. Zostawił swoją pelerynę niewidkę na szczycie Wieży Astronomicznej, ale to nie miało znaczenia. Nie było tu nikogo, kto mógłby go teraz zauważyć, nawet Filcha, Pani Norris czy Irytka. Nie spotkał nikogo, póki nie dotarł do wejścia do pokoju wspólnego Gryfonów.

- Czy to prawda? - wyszeptala Gruba Dama, gdy się do niej zbliżył. - Czy to się naprawdę zdarzyło? Dumbledore - martwy?

- Tak.

Zapłakała i nie pytając o hasło, odsunęła się, wpuszczając go do środka.

Tak, jak Harry przypuszczał, pokój wspólny był pełny. Gdy przechodził przez ukryte za portretem drzwi, wszyscy ucichli. Zobaczył Deana i Seamusa siedzących nieopodal. To znaczyło, że dormitorium musiało być puste lub prawie puste. Nic nie mówiąc i nie patrząc na nikogo, Harry przeszedł przez pomieszczenie i skierował się prosto do drzwi sypialni chłopców.

Nadzieja go nie zawiodła - całkowicie ubrany Ron siedział na swoim łóżku i czekał. Usiadł naprzeciwko niego i przez chwilę po prostu patrzyli na siebie.

- Mówią o zamknięciu szkoły - odezwał się Harry.

- Lupin mówił, że tak będzie.

Chwila ciszy.

- Więc? - zaczął Ron bardzo cicho, jakby myślał, że meble mogą ich podsłuchać. - Znaleźliście go? Zdobyliście? Horcruxa?

Harry potrząsnął głową. To, co miało miejsce nad czarnym jeziorem wydawało mu się teraz starym koszmarem sennym. Czy to naprawdę zdarzyło się ledwie parę godzin temu?

- Nie zdobyliście go? - Ron wyglądał na strapionego.

- Nie było go tam?

- Nie. Ktoś go już zabrał i zostawił na jego miejscu falsyfikat.

- Już zabrał?

Harry bez słowa wyciągnął z kieszeni fałszywy medalion, otworzył go i podał Ronowi. Cała historia mogła poczekać... Dziś nie była ważna... Nic nie było

ważne oprócz końca ich bezsensownej przygody, końca życia Dumbledore'a...

- R.A.B. - wyszeptał Ron. - Ale kto to taki?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział jego przyjaciel, kładąc się w ubraniu na łóżku i bezmyślnie wpatrując się w górę. R.A.B wcale go nie interesował. Wątpił, żeby miał jeszcze kiedykolwiek czuć ciekawość. Nagle zorientował się, że zapadła cisza. Fawkes przestał śpiewać. Nie miał pojęcia, skąd to wiedział, ale był pewien, że feniks odszedł, że opuścił Hogwart na dobre, tak samo, jak Dumbledore opuścił szkołę, opuścił świat... opuścił Harry'ego.

Tłumaczyła Semele



Biały grobowiec

Wszystkie lekcje zostały zawieszono, wszystkie egzaminy przesunięto. W ciągu następnych kilku dni rodzice niektórych z uczniów kazali swoim dzieciom pospiesznie opuścić Hogwart. Bliźniaczki Patil wyjechały jeszcze przed śniadaniem, rannem następnego dnia po śmierci Dumbledore'a, a Zachariasz Smith został zabrany przez swego buńczucznie wyglądającego ojca. Z drugiej strony Seamus Finnigan kategorycznie odmówił towarzyszenia swojej matce w drodze do domu. Odbyli słowny pojedynek, wrzeszcząc na siebie w sali wejściowej, aż w końcu zgodziła się, by został na pogrzeb. Seamus powiedział Harry'emu i Ronowi, że miała problemy ze znalezieniem noclegu w Hogsmeade, bo czarodzieje i czarownice zalali wioskę, szykując się do oddania ostatniego hołdu Dumbledore'owi.

Pojawienie się błękitnego powozu wielkości domu wywołało poruszenie pośród młodszych uczniów, którzy nie mieli okazji widzieć go wcześniej. Ciągnięty przez tuzin olbrzymich skrzydlatych rumaków, sfrunął

z nieba późnym popołudniem w przeddzień pogrzebu i wylądował na skraju Lasu. Harry przyglądał się z okna, jak potężna, ładna, ciemnowłosa kobieta o oliwkowej skórze zstępuje po stopniach powozu i rzuca się w ramiona Hagrida. W międzyczasie na zamku kwaterowano delegację ministerialnych oficjeli, wśród których był sam Minister Magii. Harry skrzętnie unikał kontaktu z nimi. Wiedział, że prędzej czy później, znów padną pytania na temat ostatniej wyprawy Dumbledore'a z Hogwartu.

Harry, Ron, Hermiona i Ginny spędzali cały czas razem. Przepiękna pogoda zdawała się drwić z nich. Harry wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby Dumbledore nie zginął. Mieliby cały ten czas dla siebie, na sam koniec roku, po egzaminach Ginny, bez martwienia się pracami domowymi... i godzina za godziną odkładał powiedzenie tego, co wiedział, że musi powiedzieć, zrobienia tego, co zrobić musiał. Zbyt trudno było mu wyrzec się jedyne źródła radości, jakie miał.

Odwiedzali skrzydło szpitalne dwa razy dziennie. Neville został już zwolniony, ale Bill nadal wciąż pozostawał pod opieką pani Pomfrey. Jego rany nadal wyglądały koszmarnie. Prawdę mówiąc, patrząc na Billa widziało się wyraźne podobieństwo do Szaloonookiego Moody'ego (choć na szczęście Bill miał obie nogi i sprawną parę oczu), ale charakter w ogóle mu się nie zmienił. Może z wyjątkiem tego, że ogromnie polubił bardzo krwiste steki.

- ... więc ma ścienści, zie zieni sie zie mną - oznajmiła radośnie Fleur, poprawiając poduszki Billa

- bo Brytyjczyci psiegotowujom miensia, zawszi to mówiłam.

- Wygląda na to, że będę jednak musiała zaakceptować to, że oni naprawdę się pobierają - westchnęła Ginny, kiedy wieczorem ona, Harry, Ron i Hermiona usiedli razem przy otwartym oknie, w pokoju wspólnym Gryffindoru, patrząc na pogrążone w półmroku łąki pod zamkiem.

- Ona nie jest taka zła - odezwał się Harry. - Chociaż

jest brzydka - dodał pośpiesznie, widząc uniesione brwi Ginny, która słysząc to, zachichotała trochę na siłę.

- No cóż, myślę, że jeśli mama jest w stanie to znieść, to i ja mogę.

- Czy zginął ktoś jeszcze, kogo znamy? - spytał Ron Hermionę, która przeglądała Proroka Wieczornego.

Hermiona skrzywiła się, słysząc wymuszoną twardość w jego głosie.

- Nie - odpowiedziała niechętnie, składając gazetę.

- Nadal szukają Snape'a, ale ani śladu...

- Jasne, że nie ma ani śladu - odezwał się Harry, który denerwował się za każdym razem, gdy pojawiał się ten temat. - Nie znajdą Snape'a, póki nie znajdą Voldemorta, a biorąc pod uwagę, że przez cały ten czas nie udało im się tego dokonać...

- Idę spać - ziewnęła Ginny. - Nie spałam dobrze, odkąd... no... po prostu przydałoby mi się trochę snu.

Pocałowała Harry'ego (Ron natychmiast odwrócił wzrok), pomachała pozostałej dwójce i powędrowała do sypialni dziewcząt. W chwili, gdy drzwi zamknęły się za nią, Hermiona nachyliła się ku Harry'emu z tym najbardziej typowym dla niej wyrazem twarzy.

- Harry, znalazłam coś dzisiaj rano, w bibliotece...

- R.A.B.? - spytał Harry, siadając prosto.

Harry nie czuł się tak, jak to często miało miejsce kiedyś - nie był już podekscytowany, ciekawy, usychający z pragnienia dokopania się do sedna tajemnicy. Po prostu wiedział, że dopiero po odkryciu prawdy o prawdziwym horcruxie, będzie mógł ruszyć dalej tą mroczną i krętą ścieżką, która rozciągała się przed nim. Ścieżką, na którą wstąpił wraz z Dumbledore'em, a którą, wiedział już teraz, będzie musiał wędrować sam. Nadal gdzieś tam mogły istnieć przynajmniej cztery horcruxy, a każdy z nich musiał być odnaleziony i zniszczony, zanim w ogóle będzie można pomyśleć o zabiciu Voldemorta. Powtarzał w myślach, jakby samym wyliczaniem był w stanie je ściągnąć ku sobie: medalion... puchar... wąż... coś od Gryffindora albo Ravenclaw... medalion... puchar...

waż... coś od Gryffindora albo Ravenclaw...

Wyglądało na to, że ta mantra wbila się mocno w jego umysł. Kiedy zasnął w nocy, w jego snach pełno było medalionów, pucharów i tajemniczych przedmiotów, których nie mógł dosięgnąć. I choć Dumbledore ofiarował Harry'emu pomoc w postaci drabinki sznurowej, to zamieniła się ona w węże w chwili, gdy zaczął się po niej wspinać...

Pokazał Hermionie kartkę z medalionu następnego ranka po śmierci Dumbledore'a i chociaż nie rozpoznała od razu tych inicjałów, jako należących do jakiegoś nieokreślonego czarodzieja, o którym czytała, to od tamtego czasu odwiedzała bibliotekę trochę częściej niż wypadaloby komuś, kto nie ma żadnych prac domowych do odrobienia.

- Nie - odpowiedziała smutno. - Próbuję, Harry, ale nie znalazłam nic... Jest kilkoro dość znanych czarodziejów o tych inicjałach - Rozalinda Antygona Bungs... Rupert "Axebanger" Brookstanton... ale jakoś zupełnie do tego nie pasują. Sądząc po tej kartce, ktoś kto ukradł horcrux, znał Voldemorta, a nie jestem w stanie znaleźć ani skrawka informacji na temat tego, że Bungs czy Axebanger mieli w ogóle cokolwiek z nim wspólnego... Nie, właściwie to chodziło mi... no... o Snape'a.

Na samą wzmiankę o tym nazwisku już wyglądała na zdenerwowaną.

- Co z nim znowu? - spytał ciężko Harry, opadając z powrotem na fotel.

- Nie no, chodzi tylko o to, że miałam trochę racji co do tego Półkrwi Księcia - powiedziała ostrożnie.

- Czy naprawdę musisz to teraz drażnić, Hermiono? Jak sądzisz, co ja teraz o tym myślę?

- Nie... nie... Harry, nie o to mi chodziło! - powiedziała pospiesznie, rozglądając się wokół, by upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje. - Po prostu miałam rację, że to była kiedyś książka Eileen Prince. Bo widzisz... to była matka Snape'a!

- Mówiłem, że najpiękniejsza to ona nie była - stwierdził Ron. Hermiona nie zwróciła na niego uwagi.

Przeglądałam resztę starych numerów Proroka i znalazłam małe ogłoszenie o ślubie Eileen Prince z mężczyzną zwanym Tobiasz Snape, a później informację, że urodziła...

- ...mordercę - warknął Harry.

- No... tak - powiedziała Hermiona. - Więc... miałam tak jakby rację. Snape musiał być dumny będąc "w połowie Prince'em", rozumiesz? Z tego, co napisali w Proroku, Tobiasz Snape był mugolem.

- Jasne, to pasuje - stwierdził Harry. - Obnosił się swoją przynależnością do rodu czystej krwi, by móc się zbliżyć do Lucjusza Malfoya i całej tej reszty... jest dokładnie taki, jak Voldemort. Czystej krwi matka, ojciec mugol... wstydzący się swoich rodziców, za pomocą Czarnej Magii próbujący sprawić, by ludzie się go bali. Obaj nadali sobie nowe imponujące imiona

- Lord Voldemort, Półkrwi Księżę... Jak Dumbledore mógł tego nie zauważyć...?

Przerwał, spoglądając na świat za oknem. Nie potrafił przestać zastanawiać się nad niezachwianym zaufaniem, jakie Dumbledore pokładał w Snapie... ale jak Hermiona nieustannie mu przypominała, on sam, Harry, tak samo dał się podejść... Mimo że te zapisane na marginesach zaklęcia były coraz paskudniejsze, nie chciał uwierzyć w zło drzemiące w chłopcu, który był tak uzdolniony, który tak bardzo mu pomógł...

Pomógł mu... ta myśl była teraz niemal nie do zniesienia...

- Nadal nie rozumiem, czemu nie wydał cię za używanie tej książki - odezwał się Ron. - Musiał przecież wiedzieć, skąd to wszystko bierzesz.

- Wiedział - odparł gorzko Harry. - Wiedział, kiedy użyłem Sectumsempra. Nie potrzebował wcale legilimencji... Mógł nawet wiedzieć wcześniej, kiedy Slughorn rozplątywał się nad tym, jaki to jestem wspaniały na eliksirach... Nie powinien był zostawiać swojej starej książki na dnie tej szafki, co?

- Ale dlaczego cię nie wydał?

- Sądzę, że nie chciał być powiązany z tą książką - odpowiedziała Hermiona. - Myślę, że Dumbledore'owi

nie spodobałoby się to, gdyby się dowiedział. I nawet gdyby Snape udawał, że to nie jego książka, Slughorn natychmiast rozpoznałby jego pismo. W każdym razie, książka leżała w dawnej sali Snape'a, i założę się, że Dumbledore wiedział, że matka Snape'a nazywała się Prince.

- Powiniennem być pokazać tę książkę Dumbledore'owi - powiedział Harry. - Przez cały czas pokazywał mi, jaki Voldemort był zły, nawet jeszcze jako uczeń. A miałem dowód, że Snape też taki był...

- Zły to mocne słowo - powiedziała cicho Hermiona.

- Ty sama powtarzałaś mi cały czas, że ta książka jest niebezpieczna!

- Próbuję tylko powiedzieć, Harry, że za bardzo siebie obwiniasz. Myślałam, że Książę ma wyjątkowo paskudne poczucie humoru, ale nigdy bym nie wpadła na to, że może być potencjalnym zabójcą...

- Nikt z nas nie pomyślałby, że Snape jest w stanie... no wiecie... - odezwał się Ron.

Między nimi zapadła cisza. Każde z nich pogrążyło się w swoich myślach, ale Harry był pewien, że tak jak on, myśleli o nadchodzącym poranku, kiedy ciało Dumbledore'a zostanie złożone w grobie. Harry nigdy jeszcze nie uczestniczył w pogrzebie. Nie było ciała, które można było pochować, kiedy zginął Syriusz. Nie wiedział, czego się spodziewać i trochę bał się tego, co może zobaczyć, oraz tego, co będzie czuł. Zastanawiał się, czy kiedy już pogrzeb się skończy, śmierć Dumbledore'a stanie się dla niego czymś bardziej realnym. Chociaż były momenty, gdy ten okropny fakt przytłaczał go, miewał też pełne obojętności chwile odrętwienia, kiedy pomimo tego, że w zamku mówiono tylko o tym, nadal trudno było mu uwierzyć, że Dumbledore'a naprawdę już nie ma. Trzeba było przyznać, że nie szukał rozpaczliwie, tak jak to miało miejsce w przypadku Syriusza, jakichś wytłumaczeń, ani żadnego sposobu na to, by Dumbledore powrócił... W kieszeni czuł chłodny łańcuch fałszywego horcruxa, który nosił teraz ze sobą wszędzie - nie jako talizman, ale jako pamiątkę po tym, jak wielką cenę przyszło za

niego zapłacić i przypomnienie, co jeszcze trzeba zrobić.

Następnego dnia Harry wstał wcześnie, by się spakować. Ekspres Hogwarcki odjeżdżał godzinę po pogrzebie. W Wielkiej Sali na dole panował smutny nastrój. Wszyscy mieli na sobie odświętne szaty i nikt nie wydawał się głodny. Przypominające tron krzesło pośrodku nauczycielskiego stołu profesor McGonagall pozostawiła puste. Na miejscu Hagrida też nie było nikogo. Harry pomyślał, że być może dziś wspólne śniadanie to dla Hagrida było za wiele. Za to miejsce Snape'a bezceremonialnie zajął Rufus Scrimgeour. Harry unikał wzroku, którym minister świdrował Salę. Miał niepokojące przeczucie, że Scrimgeour szukał właśnie jego. Pośród doradców Scrimgeoura Harry dostrzegł rudą czuprynę i okulary w rogowych oprawkach, należące do Percy'ego Weasleya. Ron nie dał po sobie poznać, że wie o obecności Percy'ego, jedynie dźgał widelcem kawałki śledzia z niezwykłą zajadłością. Przy stole Slytherinu Crabbe i Goyle szeptali między sobą. Mimo swej okazałej postury, wyglądali dziwnie samotnie bez wysokiego, bladego, rozkazującego im na prawo i lewo Malfoya pomiędzy nimi. Harry nie myślał zbyt wiele o Malfoyu. Całą swą wściekłość skierował przeciwko Snape'owi, ale nie zapomniał strachu w głosie Malfoya tam, na szczycie wieży, ani tego, że opuścił swą różdżkę, zanim przybyli pozostali śmierciożercy. Harry nie wierzył, że Malfoy byłby w stanie zabić Dumbledore'a. Nadal gardził Draco za jego pociąg do Czarnej Magii, ale teraz z jego niechęcią do Malfoya mieszała się maleńka kropla współczucia. Gdzie był teraz, zastanawiał się Harry, i co Voldemort kazał mu czynić pod groźbą zabicia jego i jego rodziców?

Z zamyślenia wyrwał go kuksaniec pod żebro, którym poczęstowała go Ginny. Profesor McGonagall wstała i ponury gwar w Sali ucichł natychmiast.

- Już czas - oznajmiła. - Proszę pójść na błonia za przelożonymi waszych Domów. Gryffindor, za mną. Opuścili swoje ławki w niemal absolutnej ciszy. Na

czele kolumny Slytherinu Harry spostrzegł Slughorna, ubranego we wspaniałe, długie, szmaragdowozielone, zdobione srebrem szaty. Profesor Sprout, przełożona Hufflepuffu, jeszcze nigdy nie wyglądała tak czysto. Na jej kapeluszu nie było ani jednej łaty. Kiedy dotarli do Sali Wejściowej, zobaczyli panią Pince, stojącą obok Filcha. Miała na sobie grubą, czarną woalkę, która opadała jej do kolan, on ubrany był w staromodny czarny garnitur i śmierzdzący naftaliną krawat.

Kiedy schodzili po kamiennych schodach, prowadzących od drzwi wejściowych, Harry zobaczył, że kierują się w stronę jeziora. Ciepłe słońce pieściło jego twarz, gdy szli w ciszy za profesor McGonagall do miejsca, w którym w rzędach ustawiono setki krzeseł. Pośrodku między nimi znajdowała się wolna przestrzeń. Na przedzie, przed wszystkimi krzesłami, stał marmurowy stół. Był cudowny letni dzień.

Niezwykła zbieranina ludzi zasiadła już na miejscach, zajmując połowę krzeseł - ubodzy i bogaci, starzy i młodzi. Większości z nich Harry nie rozpoznawał, ale byli i tacy, których znał, włączając w to członków Zakonu Feniksa: Kingsleya Shacklebolta, Szalonookiego Moody'ego, Tonks o włosach, które jakimś cudem znów przybrały odcień jaskrawego różu, Remus Lupin, z którym Tonks trzymała się za ręce, pani i pani Weasley, Bill, podtrzymywany przez Fleur, oraz Fred i George, ubrani w marynarki z czarnej smoczej skóry. Była też Madame Maxime, która sama zajęła dwa i pół krzesła, Tom, właściciel Dziurawego Kotła, Arabella Figg, będąca charłakiem sąsiadka Harry'ego, kudłaty basista z czarodziejskiej grupy Fatalne Jędze, Ernie Prang, kierowca Błędnego Rycerza, Madame Malkin, właścicielka sklepu z szatami na ulicy Pokątnej i kilka innych osób, które ledwie znalazł z widzenia, jak barman ze Świńskiego Łba, czy czarownica, która prowadziła wózek z jedzeniem w Ekspresie Hogwarckim. Przybyły też duchy z zamku, ledwie widoczne w jasnym słonecznym świetle, dostrzegalne jedynie kiedy się poruszały, połyskujące bezcielesnie w powietrzu.

Harry, Ron, Hermiona i Ginny zajęli miejsca na końcu rzędu, przy jeziorze. Ludzie szeptali do siebie. Brzmiało to jak powiew wiatru wśród traw, ale nawet ptasie trele były o wiele głośniejsze. Tłum nadal rósł. Harry zobaczył jak Luna pomaga usiąść Neville'owi i poczuł nagły przyływ sympatii do obojga,. Tylko oni z całej GD odpowiedzieli na wezwanie Hermiony tamtej nocy, gdy zginął Dumbledore, i Harry wiedział dlaczego. To właśnie im najbardziej brakowało GD... prawdopodobnie jako jedyni sprawdzali regularnie swoje monety, z nadzieją, że odbędzie się następne spotkanie...

Korneliusz Knot przeszedł koło nich, kierując się ku frontowym rzędom. Na jego twarzy gościł wyraz bólu, w dłoniach, jak zwykle, miętosił swój zielony melonik. Chwilę później Harry rozpoznał Ritę Skeeter, która, co go rozjuszyło, ścisnęła notatnik w osłoniętej czerwoną rękawiczką dłoni. Za nią szła Dolores Umbridge. Harry'm aż targnęło z wściekłości. Na jej ropszej twarzy malował się nieprzekonujący smutek. Na szczycie jej kędzierzawych loków w kolorze żelaza spoczywała czarna aksamitna kokarda. Na widok centaury Firenze, który stał jak strażnik na skraju wody, wzdrygnęła się i ruszyła pospiesznie zająć miejsce, jak najdalej od niego.

Nauczyciele usiedli jako ostatni. Harry dostrzegł poważnego i dostojnie wyglądającego Scrimgeoura, siedzącego w pierwszym rzędzie obok profesor McGonagall. Zastanawiał się, czy Scrimgeourowi albo w ogóle któremukolwiek z tych ważnych ludzi, tak naprawdę było przykro, że Dumbledore nie żyje. I wtedy usłyszał muzykę, przedziwną, niezmierną muzykę, i rozglądając się za jej źródłem, od razu zapomniał o swej niechęci do Ministerstwa. Nie on jeden zresztą ją słyszał. Wiele osób, lekko zaniepokojonych, odwracało się, szukało.

- Tam - Ginny szepnęła Harry'emu na ucho.

I wtedy zobaczył ich w czystej, zielonej, rozświetlonej słońcem wodzie, zaledwie kilka cali pod powierzchnią, przerażająco przypominających mu Inferich. Chór

trytonów śpiewał w dziwnym języku, którego Harry nie znał. Ich blade twarze zdawały się falować w wodzie, liliowe włosy unosiły się wokół nich. Muzyka sprawiała, że Harry'emu włosy zjeżyły się na karku, a mimo to, nie było to nieprzyjemne. Melodia bardzo wyraźnie opowiadała o stracie i rozpacz. Spoglądając w dzikie twarze śpiewających, Harry czuł, że przynajmniej im było przykro z powodu śmierci Dumbledore'a. Ginny szturchnęła go znów i spojrział w drugą stronę.

Przejściem między krzesłami wolno szedł Hagrid. Plakał w ciszy. Twarz błyszczała mu od łez, a w jego ramionach, owinięte w szkarłatny aksamit usiany złotymi gwiazdami, spoczywało ciało Dumbledore'a. Na ten widok Harry poczuł w gardle ostry ból. Na krótką chwilę ta przedziwna muzyka i świadomość, że ciało Dumbledore'a było tak blisko, wyssały całe ciepło z tego dnia. Ron siedział blady i wstrząśnięty. Łzy płynęły obficie po twarzach Ginny i Hermiony, i spadały na ich kolana.

Nie widzieli wyraźnie, co działo się z przodu. Wyglądało na to, że Hagrid złożył ostrożnie ciało na stole. Teraz szedł z powrotem drogą między krzesłami, wydmuchując głośno nos. Kilka osób, pośród których Harry dostrzegł Dolores Umbridge, rzuciło Hagridowi pełne oburzenia spojrzenia, ale Harry wiedział, że Dumbledore zupełnie by się tym nie przejął. Próbował uczynić jakiś przyjazny gest w stronę Hagrida, gdy ten przechodził, ale oczy Hagrida były tak mokre od łez, że cudem było, iż w ogóle widział dokąd idzie. Harry zerknął w kierunku tylnych rzędów i zrozumiał, czym kierował się gajowy. Siedział tam posłusznie olbrzym Graup, ubrany w marynarkę i spodnie, każde wielkości sporego namiotu. W niemal ludzkim geście pochylił brzydką, przypominającą głaz głowę. Hagrid zajął miejsce obok swojego przyrodniego brata, a Graup rąbnął go w głowę tak, że nogi krzesła, na którym usiadł pograżyły się w ziemi. Harry poczuł nagle, jak wzbiera w nim śmiech. Ale w tym momencie muzyka ucichła i odwrócił się z powrotem do przodu.

Mały człowieczek z kępkami włosów na głowie, odziany w gładkie, czarne szaty wstał z miejsca i stanął przed ciałem Dumbledore'a. Harry nie słyszał, co mówił. Dziwne słowa płynęły ku nim ponad setkami głów. "Szlachetność ducha"... "wkład intelektualny"... "wielkość serca"... Nie znaczyły one zbyt wiele. Niewiele miały wspólnego z Dumbledore'em, którego znał Harry. Nagle przypomniał sobie Dumbledore'a rzucającego ni stąd ni zowąd kilka słów: Głupol! Mazgaj! Śmieć! Obsuw! I po raz kolejny musiał stłumić śmiech... co się z nim działo?

Po jego lewej stronie rozległ się chłupot i Harry zobaczył, że trytony wychyliły się nad powierzchnię, by również słuchać. Przypomniał sobie, jak Dumbledore szedł brzegiem jeziora dwa lata temu, bardzo blisko miejsca, w którym Harry teraz siedział, i rozmawiał z przywódczynią trytonów w ich języku. Harry zastanawiał się, gdzie Dumbledore nauczył się mowy trytonów. Było tak wiele rzeczy, o które nigdy go nie spytał, tak wiele rzeczy, które powinien był powiedzieć...

I w tym momencie, bez ostrzeżenia, całkowicie i niezaprzeczalnie, spłynęła na niego ta straszna prawda. Dumbledore zginął, odszedł... Z całej siły zacisnął w dłoni zimny medalion, tak, że aż poczuł ból, ale nie był w stanie powstrzymać gorących łez, płynących z jego oczu. Mały człowieczek w czerni burczał coś dalej, a on odwrócił wzrok od Ginny i pozostałych, i zapatrzył się gdzieś daleko, ponad jeziorem, w stronę lasu... Między drzewami dostrzegł jakiś ruch. To centaury również przyszły oddać swój hołd. Nie wyszły na otwartą przestrzeń, ale Harry widział je, stojące w bezruchu, na wpół skryte w cieniu, jak z łukami przewieszonymi u boków obserwowały czarodziejów. I przypomniał sobie swoją pierwszą koszmarną wycieczkę do Wielkiego Lasu, swoje pierwsze spotkanie z czymś, co później stało się Voldemortem, to jak stawiał mu czoła i jak niedługo po tym rozmawiał z Dumbledore'em o walce nawet wtedy, gdy bitwa wydaje się przegrana. Dumbledore mówił, że ważne jest, by

walczyć, walczyć i cały czas walczyć, bo tylko w ten sposób można przyprzeć zło do muru, nawet jeśli nigdy nie da się go całkiem wypłenić...

I siedząc tak w gorącym słońcu, Harry ujrzał bardzo wyraźnie jak ludzie, którym na nim zależało, jeden po drugim stawali przed nim, gotowi chronić go za każdą cenę. Jego matka, ojciec, jego chrzestny, i w końcu Dumbledore... ale teraz już było po wszystkim. Nie mógł pozwolić, by ktoś jeszcze stanął pomiędzy nim a Voldemortem. Musiał na zawsze porzucić złudzenie, którego nie powinien w ogóle mieć od czasu swoich pierwszych urodzin. Schronienie w ramionach rodziców nie oznaczało wcale, że nikt i nic nie jest w stanie go skrzywdzić. Nie było wybudzenia z tego koszmaru, nie było uspokajającego szeptu w ciemności, który zapewniłby go, że tak naprawdę jest bezpieczny, że to wszystko tylko jego wyobraźnia. Ostatni i największy z jego opiekunów zginął i Harry był bardziej sam, niż kiedykolwiek w całym swym życiu.

Mały człowieczek w czerni przestał w końcu mówić i powrócił na swoje miejsce. Harry czekał, aż podniesie się następna osoba. Spodziewał się przemów, być może samego Ministra, ale nikt się nie poruszył.

I wtedy kilka osób krzyknęło. Jasne, białe płomienie otoczyły Dumbledore'a i stół, na którym leżał, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, zakrywając ciało. Białym dym uniosł się spiralą w niebo, przybierając przedziwne kształty. Przez krótką jak drgnienie serca chwilę, Harry'emu wydawało się, że zobaczył feniksa, ulatującego radośnie w błękity, ale w następnej chwili ogień znikł. W jego miejscu znajdował się grobowiec z białego marmuru, skrywający ciało Dumbledore'a i stół, na którym spoczywało.

Jeszcze kilka okrzyków strachu rozległo się, gdy świst strzał przeszył powietrze. Deszcz pocisków opadł jednak z dala od tłumu. Harry wiedział, że to centaury oddawały swój hołd. Widział jak odwróciły się i znikły z powrotem w cieniu drzew. Podobnie trytony z wolna zanurzyły się w zielonej wodzie i znikły z oczu. Harry spojrzął na Ginny, Rona i Hermionę. Twarz Rona była

wykrzywiona, jakby oślepiąło go słońce. Policzki Hermiony lśniły od łez, ale Ginny już nie płakała. Ich oczy spotkały się, i Harry poznał to samo twarde, płonące spojrzenie, które ujrzał, gdy uściskała go po wygraniu Pucharu Quidditcha bez jego udziału. I wiedział, że w tej chwili rozumieją się doskonale, że gdy powie jej to, co ma zamiar jej powiedzieć, nie będzie go próbowała powstrzymać słowami: "Bądź ostrożny" albo "Nie rób tego". Wiedział, że Ginny przyjmie jego decyzję, bo niczego innego tak naprawdę po nim się nie spodziewała. Dlatego zebrał się, by powiedzieć to, co musiał, od chwili gdy zginął Dumbledore.

- Ginny, posłuchaj... - zaczął bardzo cicho, kiedy szmer rozmów wokół nich zaczął narastać i ludzie zaczęli podnosić się z krzeseł. - Nie mogę już z tobą być. Musimy przestać się widywać. Nie możemy być razem.

- I pewnie masz jakiś głupi, szlachetny powód, co? - spytała, uśmiechając się smutno.

- Te ostatnie kilka tygodni z tobą, to było jak... jak coś wyjętego z innego życia - mówił dalej Harry. - Ale nie mogę... nie możemy... są rzeczy, które muszę teraz zrobić sam.

Nie płakała, po prostu patrzyła na niego.

- Voldemort wykorzystuje ludzi, którzy są blisko z jego wrogami. Już raz użył cię jako przynęty, i to tylko dlatego, że jesteś siostrą mojego najlepszego przyjaciela. Pomyśl tylko, w jakim będziesz niebezpieczeństwie, jeśli będziemy to ciągnąć dalej. On będzie wiedział, dowie się. Będzie próbował dobrać się do mnie przez ciebie.

- A co, jeśli mam to gdzieś? - rozgniewała się Ginny.

- Ja nie mam - odparł Harry. - Jak myślisz, co bym czuł, gdyby to był twój pogrzeb... i byłaby to moja wina...

Odwróciła wzrok i spojrzała w stronę jeziora.

- Nigdy tak naprawdę nie zrezygnowałam z ciebie - powiedziała. - Nigdy, naprawdę. Zawsze miałam nadzieję. Hermiona mówiła mi, żebym odpuściła,

spróbowała być z kimś innym, trochę się przy tobie wyluzować. Pamiętasz? Nigdy nie potrafiłam wykrztusić słowa, gdy byłeś w pokoju. I mówiła, że może zaczniesz mnie dostrzegać, jeśli będę trochę bardziej... sobą.

- Mądra dziewczynka z tej Hermiony - powiedział Harry, próbując się uśmiechnąć. - Żałuję tylko, że nie spytałem cię wcześniej. Mogliśmy mieć kupę czasu... miesiące... może lata...

- Ale byłeś zbyt zajęty ratowaniem czarodziejskiego świata - uśmiechnęła się słabo Ginny. - No cóż... Nie powiem, że mnie zaskoczyłeś. Wiedziałam, że tak to się skończy. Wiedziałam, że będziesz szczęśliwy jedynie polując na Voldemorta. Może właśnie dlatego tak cię lubię.

Harry nie mógł już słuchać tego wszystkiego. Nie był też pewien, czy wytrzyma w tym postanowieniu siedząc przy niej choć chwilę dłużej. Widział jak Ron tuli i głaszcze po włosach płaczącą na jego ramieniu Hermionę. Z czubka jego długiego nosa skapywały łzy. Pełnym bólu gestem Harry podniósł się, odwrócił się, zostawiając za plecami Ginny i grobowiec Dumbledore'a, i ruszył przed siebie brzegiem jeziora. Takie chodzenie o wiele łatwiej było znieść, niż siedzenie beczynnienie. Tak jak lepiej czułby się wyruszając, by wytropić horcruxy i zabić Voldemorta najszybciej jak to możliwe, niż zwlekając z tym...

- Harry!

Odwrócił się. Brzegiem, podpierając się na swej lasce, kuśtykał ku niemu szybko Rufus Scrimgeour.

- Miałem nadzieję zamienić z tobą słówko... Masz coś przeciwko, bym przespacerował się z tobą kawalek?

- Nie - powiedział obojętnie Harry i ruszył dalej.

- Harry, to była straszna tragedia - powiedział cicho Scrimgeour. - Nie potrafię opowiedzieć, jak bardzo zatrwożyła mnie ta wiadomość. Dumbledore był wspaniałym czarodziejem. Sprzecaliśmy się czasem, jak wiesz, ale nikt chyba nie wie lepiej niż ja...

- Czego pan chce? - spytał stanowczo Harry.

Scrimgeour zirytował się, ale tak jak poprzednio,

pospiesznie przybrał minę pełnego troski zrozumienia.

- To oczywiście, że jesteś zdruzgotany - powiedział.
- Wiem, że byłeś bardzo blisko z Dumbledore'em. Myślę, że byłeś prawdopodobnie najbardziej ulubionym ze wszystkich jego uczniów. Więc między wami dwoma...
- Czego pan chce? - powtórzył Harry, zatrzymując się. Scrimgeour również przystanął, wsparł się na swej lasce i wbił wzrok w Harry'ego.
- Mówią, że byłeś z nim, gdy opuścił szkołę tamtej nocy, kiedy zginął.
- Kto tak mówi? - spytał Harry.
- Ktoś ogłuszył śmierciożercę na szczycie wieży, już po tym jak Dumbledore zginął. Poza tym były tam dwie miotły. Ministerstwo potrafi dodać dwa do dwóch, Harry.
- Dobrze wiedzieć - odparł Harry. - No cóż, to gdzie byłem z Dumbledore'em i co robiliśmy to moja prywatna sprawa. Nie chciał, by ludzie wiedzieli.
- Taka lojalność jest oczywiście godna podziwu - powiedział Scrimgeour, który z trudem powstrzymywał złość - ale Dumbledore nie żyje, Harry. Odszedł.
- Tylko wtedy naprawdę odejdziesz ze szkoły, kiedy nie pozostanie tu nikt lojalny wobec niego - powiedział Harry, uśmiechając się wbrew sobie.
- Mój drogi chłopcze... nawet Dumbledore nie jest w stanie wrócić z...
- A ja nie mówię, że jest w stanie. Nie rozumiałby pan. Ale nie mam panu nic do powiedzenia. Scrimgeour zawahał się, po czym odezwał się tonem, który najwyraźniej miał być delikatny:
- Wiesz, Harry, Ministerstwo może zaoferować ci wszelkie rodzaje ochrony. Będę zachwycony, mogąc pozostawić kilku moich aurorów do twojej dyspozycji...

Harry zaśmiał się.

- Voldemort chce mnie zabić własnoręcznie i aurorzy go nie powstrzymają. Więc dzięki za propozycję, ale nie skorzystam.
- Więc - w głosie Scrimgeoura dało się teraz wyczuć

chlód - to, o co cię prosiłem w Świąta...

- O co mnie pan prosił? A tak... że niby mam powiedzieć całemu światu, jaką to wspaniałą robotę odwalacie, by...

- ...by zwiększyć morale wszystkich! - warknął Scrimgeour.

Harry przyglądał mu się przez chwilę.

- Zwolniliście już może Stana Shunpike'a?

Twarz Scrimgeoura przybrała kolor paskudnej purpury, przywołujący na myśl niedwuznaczne skojarzenia z wujem Vernonem.

- Widzę, że jesteś...

- ...człowiekiem Dumbledore'a w każdym calu - dokończył za niego Harry. - Zgadza się.

Scrimgeour patrzył na niego przez kolejną chwilę, po czym odwrócił się i odmaszerował bez słowa. Harry widział Percy'ego i resztę delegacji z Ministerstwa, czekających na Scrimgeoura, rzucając nerwowe spojrzenia na łkającego Hagrida i Graupa, którzy wciąż jeszcze siedzieli na swoich miejscach. W kierunku Harry'ego zmierzali Ron i Hermiona, mijając się po drodze ze Scrimgeourem. Harry odwrócił się i wolno ruszył przed siebie, czekając, aż go dogonią. Dotarli do niego w cieniu buka, pod którym zwykli siadać kiedyś, za szczęśliwszych czasów.

- Czego chciał Scrimgeour? - szepnęła Hermiona.

- Tego samego, co w Świąta - wzruszył ramionami Harry. - Chciał, bym powiedział mu wszystko o Dumbledore i że bym był nową maskotką Ministerstwa.

Ron zdawał się walczyć ze sobą przez chwilę, po czym zwrócił się głośno do Hermiony.

- Słuchaj, pozwól mi iść tam i przywalić Percy'emu.

- Nie - powiedziała stanowczo, chwytając go za ramię.

- Od razu się lepiej poczuje!

Harry wybuchnął śmiechem. Nawet Hermiona skrzywiła się odrobinę, chociaż jej uśmiech zgasł, gdy spojrziała w stronę zamku.

- Nie potrafię pogodzić się z tym, że możemy tu już nigdy nie wrócić - powiedziała cicho. - Jak można

zamknąć Hogwart?

- Może go nie zamkną - odparł Ron. - Nie grozi nam tu większe niebezpieczeństwo niż w domu, nie? Teraz wszędzie jest tak samo. Powiedziałbym nawet, że w Hogwarcie jest bezpieczniej. Jest tu więcej czarodziejów, gotowych bronić tego miejsca. A ty co myślisz, Harry?

- Ja nie wracam, nawet jeśli go otworzą - powiedział Harry.

Ron otworzył usta ze zdziwienia, ale Hermiona powiedziała ze smutkiem:

- Wiedziałam, że to powiesz. Ale co w takim razie masz zamiar zrobić?

- Wracam jeszcze raz do Dursleyów, bo tak chciał Dumbledore - odparł Harry. - Ale to będzie krótka wizyta. A potem wybywam na dobre.

- Ale dokąd pójdziesz, jeśli nie wrócisz do szkoły?

- Pomyślałem, że mógłbym wrócić do Doliny Godryka - mruknął Harry. Ta myśl krążyła mu po głowie od nocy, której zginął Dumbledore. - Dla mnie wszystko tam się zaczęło. Po prostu czuję, że muszę tam iść. I chciałbym odwiedzić groby moich rodziców.

- A potem co? - spytał Ron.

- Potem muszę odszukać resztę horcruxów, nie? - odparł Harry ze wzrokiem wpatrzonym w biały grobowiec Dumbledore'a, odbijający się w wodzie po drugiej stronie jeziora. - On chciał, żebym to właśnie zrobił. To dlatego powiedział mi o nich wszystko. Jeśli Dumbledore miał rację, a jestem pewien, że miał, gdzieś tam są jeszcze cztery. Muszę je znaleźć i zniszczyć, a potem ruszyć za ostatnim, siódmym fragmentem duszy Voldemorta. Fragmentem, który nadal jest w jego ciele. I to ja zabiję Voldemorta. A jeśli po drodze spotkam Severusa Snape'a - dodał - to tym lepiej dla mnie i tym gorzej dla niego.

Zapadła długa cisza. Tłum znikł już niemal zupełnie, maruderzy szerokim łukiem omijali potężną postać Graupa tulącego Hagrida, którego zawodzenia wciąż niosły się echem po wodzie.

- Będziemy z tobą, Harry - odezwał się Ron.

- Co?
- W domu twojego wuja i ciotki - powiedział Ron.
- A potem pójdziemy z tobą, gdziekolwiek się wybierzesz.
- Nie - zaproponował szybko Harry. Nie spodziewał się tego. Chciał, by zrozumieli, że tę najniebezpieczniejszą podróż podejmował sam.
- Kiedyś nam powiedziałaś - odezwała się cicho Hermiona - że jeśli chcemy, to teraz jest czas, by zawrócić. Ten czas już minął, nieprawdaż?
- Jesteśmy z tobą, cokolwiek się stanie - powiedział Ron. - Ale, stary, będziesz musiał wpaść do chaty moich rodziców, zanim zrobimy cokolwiek, nawet przed wizytą w Dolinie Godryka.
- Dlaczego?
- Ślub Billa i Fleur, nie pamiętasz?
- Harry spojrział na niego, wystraszony. Pomyśl, że coś tak normalnego jak ślub mogło nadal istnieć, zdawał się niesamowity i cudowny jednocześnie.
- Tak, nie powinniśmy tego opuścić - powiedział w końcu.
- Jego dłoń zacisnęła się automatycznie na fałszywym horcruxie, ale pomimo tego wszystkiego, pomimo ciemnej i krętej ścieżki, jaka się przed nim rozciągała, oraz świadomości ostatniego spotkania z Voldemortem, które musiało nadejść, czy to w ciągu miesiąca, roku, czy dziesięciu lat, w sercu poczuł ulgę na myśl, że pozostał jeszcze jeden przepiękny dzień spokoju, którym mógł się cieszyć wraz z Ronem i Hermioną.

Koniec

Tłumaczył Spike

KILKA SÓW OD TŁUMACZY,
CZYLI PARE ZDAŃ NA KONIEC:

Jest piątek (13 Sierpnia 2005). Dokładnie cztery tygodnie temu wszyscy niecierpliwie wyglądaliśmy nadejścia północy, kiedy to mogliśmy wreszcie wziąć do ręki tak długo wyczekiwany egzemplarz "Półkrwi Księcia". Ci szczęściarze, którzy znają język angielski, mogli od razu zanurzyć się w kolejnych przygodach Harry'ego i jego przyjaciół, i wraz z całym czarodziejskim światem stawić czoła nadciągającemu złu. Pozostali musieli czekać...

Na całe szczęście znalazł się ktoś, kto nie miał zamiaru czekać ponad pół roku. **Świstak Susie** zebrała grupę ludzi, którzy już wcześniej bawili się w przekłady, rozdzieliła pracę pomiędzy nich i, zarywając dnie i nocki, siedziała nad korektą i dopilnowywała wszystkiego. Gdy strony, na których tłumaczenie się pojawiała były zamykane, z uporem i determinacją godną prawdziwej czarownicy, zakładała następne. Gdyby nie ona, nie czytalibyście już dziś przygód Harry'ego. Wszyscy mówią na nas **Grupa Spike'a**. Ale tak naprawdę, to jesteśmy **Armia Świstaka**. A ja, spike, jestem tu tylko gościnnie. Wiecie już więc, komu dziękować najbardziej.

Nie można jednak też zapominać o innych, którzy przyczynili się do powstania tego "fan fica" ;). O tłumaczach. O korektorach. O człowieku, który złożył całość w e-book'a. Wreszcie o czytelnikach, którzy czytając uważnie wychwytywali wszystko, co uciekło przemęczonym korektorom.

Dzięki nam wszystkim, tak naprawdę, oddajemy dziś w Wasze ręce kompletny szósty tom przygód Harry'ego Pottera - **Półkrwi Księcia**.

Wszyscy dziękujemy tym, którzy trwali z nami, nie łykając w pośpiechu tego, co oferowały inne strony. Z czystym sumieniem możemy powiedzieć, że chociaż nie

byliśmy najszybsi, to oddajemy Wam tłumaczenie, którego żadne z nas nie będzie się wstydzić. I myślę, że warto było poczekać raptem tydzień dłużej, niż czytać pojawiające się niechronologicznie poszatkowane rozdziały.

Każdy z nas, tłumaczy, już osobno chciałby w tym miejscu zadedykować swoją pracę lub podziękować komuś.

*

Pamiętajcie jednak o jednym. Nie zwalnia to Was z obowiązku zakupu oficjalnego wydania. Wydawnictwo jest jakie jest. Mugole i tyle. Ale to nie powód, żeby ich za to karać. Poza tym pani Rowling też należą się pieniążki za ciężko wykonaną pracę. I myślę, że warto będzie w styczniu usiąść i na spokojnie porównać to tłumaczenie z tym, którego dokona pan Polkowski. A póki co żegnamy się z Wami. Przynajmniej na najbliższe dwa lata :)

SŁOWNIK

- WYBRANIEC - (org. *Chosen One*) - tego chyba wyjaśniać nie trzeba :)
- FEGMA - (org. *Phlegm*) - określenie stosowane przez niezaangażowane uczuciowo rodzeństwo Weasley w stosunku do przyszłej bratowej, Fleur
- NIEŚMIAŁEK - (org. *Bontruckle*) - pojawiał się już we wcześniejszych tomach
- SZKAPA - (org. *Dobbin*) - tak nazywała swego konkurenta, Firenze, profesor Trelavney
- CZARUSZKA - (org. *Hokej*) - skrzatka domowa pewnej bardzo bogatej starszej pani
- INFERUS, INFERI - jeden Inferus, dwaj Inferi. Ożywieńce, które wykorzystywał do swych niecznych celów Voldemort
- KOŁKOGONEK - (org. *Nogtail*) - zwierzątko, które pojawiało się już we wcześniejszych tomach
- PUFEK PIGMEJSKI - (org. *Pygmy Puff*) - pufek miniaturka, słodkie zwierzątko sprzedawane w sklepie braci Weasley
- SUCHOSKRZYDŁY - (org. *Witherwings*) - nowe imię, pod którym dla niepoznaki ukrywał się Hardodziób
- WRAKOCHLUSTY - (org. *Wrackspurts*) - bardzo niemile zwierzątko rodem ze Zwodnika (lub jak kto woli Żonglera), które sprawiają, że człowiek przybiera bardzo dziwny wyraz twarzy
- DETONATORY PRZYNYĘTY - (org. *Decoy Detonators*) - akcesoria sprzedawane w sklepie braci Weasley, mające odwrócić uwagę wroga
- BŁYSKAWICZNY PROSZEK CIEMNOŚCI - (org. *Instant Darkness Powder*) – sprowadzany z Południowej Ameryki proszek, który... zresztą chyba nazwa mówi sama za siebie
- MEDALE METAMORFICZNE - (org. *Metamorph-Medals*) – medaliony, dzięki którym można było zmieniać wygląd
- PIÓRA: SAMONAPEŁNIAJĄCE SIĘ, SPRAWDZAJĄCE ORTOGRAFIĘ I PODPOWIADAJĄCE - (org. *Quills: Self-Inking, Spell-Checking, and Smart-Answer*) - tego chyba tłumaczyć nie trzeba - coś, co każdy chciałby mieć :)

CZUJNIKI TAJNOŚCI - (org. *secrecy sensors*)

FAŁSZOSKOP - (org. *Sneakscope*) - wiadomo – rzenośne wykrywacze kłamstw

WIDMOKULARY - (org. *Spectrespects*) - wielkie okulary noszone przez Lunę Lovegood

SYLABARIUSZ SPELLMANA - (org. *Spellmans Syllabary*) – książka

SONDA RZETELNOŚCI - (org. *Probity Probe*) - przedmiot używany przez gobliny odGringotta w celu sprawdzenia, czy osoba jest tym, za kogo się podaje. Nie chcecie wiedzieć, gdzie go wkładano...

BOKSERSKI TELESKOP - (org. *punching telescope*) -jeden z niedokończonych wynalazków Freda i George'a. Co nie znaczy, że nie działający, o czym przekonała się Hermiona

SAM-ZRÓB-TO - (org. *U-No-Poo*, w dosłownym tłumaczeniu: Nie zesraj się) - część hasła reklamowego braci Weasley, wyraźnie nawiązująca do You-Know-Who, czyli Sami-Wiecie-Kogo (co przyprawiało o dreszcze panią Weasley)

KLUB ŚLUGA - tytuł rozdziału w oryginale brzmi Sluggish Memory. Pani Rowling wprost uwielbia słowne zabawy. Chodzi tu oczywiście o wspomnienie profesora Slughorna. Jednak samo "sluggish" też ma swoje znaczenie. Po polsku to "ślimakowaty, powolny, niemrawy, leniwy". Tylko jak brzmiałoby "ślimakowate wspomnienie"? :) Dlatego nie tłumaczyłem tego dokładnie i uznałem, że słowo "mętne" dobrze oddaje to, co wydarzyło się w gabinecie profesora Slughorna.

LON-LON - Kolejna zabawa pani Rowling. Lavender nazwała tak pieśczośliwie swojego ukochanego Rona po wygranym meczu quidditcha, w którym Ron był po prostu boski. Oryginalne "Won-Won" (czyta się Łon-Łon), odnosi się zarówno do Rona (niedbale wypowiedziane Ron, np. z pełną buzią, może brzmieć jak Łon), jak i do wygranej w meczu, do której na pewno Ron

się przyczynił. Dlatego w języku angielskim ma to sens. W języku polskim Wygrany-Wygrany (jak brzmiałoby dosłowne tłumaczenie) nie ma sensu - nie jest w najmniejszym stopniu pieszczotliwe. No powiedzcie sami, czy ktoś z Was nazwałby tak swojego chłopaka lub swoją dziewczynę? Dlatego zostało po prostu zdrobnienie.

WIEŻA RAŻONA PIORUNEM - Nie jest to Wieża Astronomiczna, żadna wieża Hogwartu też nie została rażona piorunem... Prawdopodobnie większość z Was (tam też to w pierwszej chwili uciekło) nie zauważy nawiązania do pewnego wydarzenia z rozdziału dwudziestego piątego, kiedy to pani Trelavney wyciąga kartę Tarota, na której znajduje się Wieża.

The Lightning-Struck Tower - Wieża rażona piorunem - to nazwa XVI karty Tarota. Obrazek na niej przedstawia wieżę, którą trafia piorun i strąca w dół stojącego na niej człowieka. Karta ta oznaczają katastrofę, nieszczęście, upadek i wszystko, co najgorsze. W polskim wydaniu Tarota karta XVI nazywa się Wieża. Mieliśmy dylemat, czy tytuł rozdziału powinien brzmieć **Wieża** (tak jak polska nazwa XVI karty), czy **Wieża rażona piorunem**. Większość opowiedziała się za tym drugim tytułem.

WRÓŻKA PODSŁUCHAŁA, WRÓŻKĘ

PODSŁUCHANO - Tego tytułu będę bronić jak niepodległości! *The Seer Overheard* jest cudownie dwuznaczne, dzięki - co oczywiste zwłaszcza w tym towarzystwie - identycznej formie, jaką przyjmują past simple i past participle od czasownika "overhear". Zatem można to odczytywać jako "Wróżka podsłuchała" oraz "Wróżka podsłuchana".

Ambiwalentny charakter tytułu podkreśla jeszcze sama treść rozdziału 25., w której Trelavney zarówno podsłuchała Malfoya, nieładnie zabawiającego się w Pokoju Życzeń, jak i sama została podsłuchana przez Snape'a w Świńskim

Łbie. Apropoz, zauważyliście, że Snape musiał całą przepowiednię usłyszeć, skoro Sybilla pamięta, że wszedł? W końcu nie pamięta się tego, co się dzieje, kiedy wieszcz jest w wieszczym szale... Może to Snape przegonił Glizdogona...?

APORTACJA - Zgodnie z tezauresem, aportacja (pojawienie się) jest tylko częścią teleportacji i musi być poprzedzona deportacją (zniknięciem). Jednak w związku z tym, że u pana Polkowskiego, czyli w tzw. kanonie, używane jest słowo aportacja, my też chyba powinniśmy się go trzymać. Nawet jeśli egzaminatorzy u uczniów sprawdzają nie tylko umiejętność pojawiania się, ale i znikania, by móc się pojawić.

HORCRUXY - było kilka propozycji spolszczenia nazwy. Część **hor** oznacza duszę, część **crux** to z łaciny trzon, sedno. W ten sposób pojawiły się psychotrzony, spirytrony, duszoryty i duchonity. W końcu jednak zostaliśmy przy horcruxach, nawet nie spolszczyliśmy pisowni. W ten sposób słowo **horcrux** nie straciło nic na swym złowieszczym i mrocznym brzmieniu. :)

SPIS ROZDZIAŁÓW:

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tamten minister

4

ROZDZIAŁ DRUGI

Spinner`s End

21

ROZDZIAŁ TRZECI

Móc i nie chcieć

37

ROZDZIAŁ CZWARTY

Horacy Slughorn

53

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nadmiar Flegmy

74

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ścieżki Drakona

95

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Klub Sluga

115

ROZDZIAŁ ÓSMY

Triumf Snape`a

138

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Półkrwi Księżę

153

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dom Gauntów

173

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pomocna dłoń Hermiony

193

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Srebro i Opale

210

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Skryty Riddle

229

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Felix Felicis

248

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nieślomna Przysięga

270

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bardzo mroźne święta

290

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Mętne wspomnienie

311

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Urodzinowe niespodzianki

334

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Skrzacie dochodzenie

357

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Prośba Lorda Voldemorta

378

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Niepoznawalny Pokój

401

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Po pogrzebie

420

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Horcruxy

378

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Sectumsempra

461

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wróżka podsłuchała, wróżkę podsłuchano

480

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jaskinia

497

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Wieża rażona piorunem

518

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ucieczka Księcia

534

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Lament Feniksa

546

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Biały grobowiec

565

**KILKA SÓW OD TŁUMACZY,
CZYLI PARE ZDAŃ NA KONIEC**

583

SŁOWNIK

585

SPIS ROZDZIAŁÓW

589

PODZIĘKOWANIA

893

PODZIĘKOWANIA

Valaraukarowi, za motywację na trudnej drodze do perfekcji i wydawnictwu Media Rodzina, dzięki decyzjom którego poznałem wielu wspaniałych ludzi, którzy potrafią poświęcić swój cenny czas, nie oczekując niczego w zamian.

spike

Abrakadabrahokuspokuskonstantynopolitańczyk-wianeczkitrzykowi – za pomysł na mile spędzenie piątków

Zcaalock

Arienkowi za wsparcie psychiczne i pozytywną energię.

Clio

Panom Kurierom z Merlina za Wszyscy-Wiedzą-Co oraz Lochom Snape'a, że są.

Oraz kochanej Mithianie i Mirriel za pomoc przy tłumaczeniu i za to, że poratowały mój wampirzy tyłek w stanach krytycznych.

Półkrwi Wampir

Susie - za wytrwałość, solidność i trwanie na posterunku. Bo gdyby nie ona, to by nic tu nie było.

Kubisiowi - za ciepło, sumiennosc i serdeczność.

Akzseінде - za to, że umie przepowiadać przyszłość.

Semele

Najlepszej jasnowidzącej, Susie, za wszystko.

Mirriel

pizzy oraz astarot za pomoc i za to, że wzięła na siebie kilka stron ;*

no i oczywiście czatownicom :) za wszystko

Michiru

Vil, dzięki której pośrednio w ogóle wzięłam w tym udział - za wszystko

Nilc

Pani Małgosi, najcudowniejszej Przewodniczce po mowie Szekspira, która od ćwierćwiecza wytrzymuje z Trzema Wiedźmami.

Visperas i Tanger

Wszystkim tym, z którymi codziennie rozmawiam i od których tyle się nauczyłam. Jesteście dla mnie bardzo ważni

Kubiś

Aleksandrze - naszemu słoneczku

asdfasdf

Szu - za to, że jest i była ze mną podczas tych trudnych dni z Bezczelnym Potterem.

Mirri i Clio - za jak zwykle szybko okazaną pomoc językową wtedy, kiedy jest najbardziej potrzebna.

Mariannie - za przetłumaczenie około sześciu stron, kiedy ja, biedny Rej, nie wyrabiałam się z przeklętym terminem.

Puszkowi - za motywację.

Dziękuję, że daliście mi szansę wzięcia udziału w tym cudnym przedsięwzięciu i szczerze wierzę, że nasze tłumaczenie jest i będzie najlepsze ze wszystkich (nawet od pana Polkowskiego), ponieważ robiliśmy to z sercem i dla przyjemności, a nie dla cholernych pieniędzy.

Rachel

... tej odrobiny magii, która jest w każdym z nas...

wodnik

Stało się. Przez dwadzieścia sześć dni grupa czternastu tłumaczy i trzech redaktorów pracowała nad tym, co dziś w całości zawisło przed wami. Panie, Panowie, Harry Potter i Półkrwi Książę do waszej dyspozycji. Chciałam zadedykować tę książkę wszystkim, którym chciało się odpowiedzieć na moją prośbę. Dziękuję wam.

Dedykuję ją również Frankowi, który jest miłym chłopcem.

Susie